

**MARY JO PUTNEY**

**TANIEC NA WIETRZE**

## PROLOG

*Eton, zima 1794*

Po pogrzebach odesłano go z powrotem do szkoły. Co innego można zrobić z dzieckiem, nawet jeżeli właśnie stało się najbogatszym chłopcem Wielkiej Brytanii?

Nowy hrabia Strathmore, Lucien Fairchild, nie mógł się doczekać powrotu do Eton. Tam, pośród przyjaciół, mógł udawać, że nic się nie stało, że gdy po zakończeniu semestru wróci do Ashdown, jego rodzice i siostra będą cali i zdrowi.

Wiedział oczywiście, że to tylko złudzenia, ale jeszcze nie nauczył się akceptować ostateczności śmierci. Może gdy skończy dwanaście lat, przyjdzie mu to łatwiej...

Dotychczas tytułowano go wicehrabią Maldon. Dyrektor szkoły, kiedy wyszedł, by powitać go po powrocie, zwrócił się do niego per „Strathmore”, podobnie jak służący, którzy nieśli bagaże. Jednak chłopiec aż dwa razy wyłowił szept: „hrabia - sierota”. Aż się wzdrygnął słysząc te słowa. Były tak okropnie patetyczne. Z tego samego powodu nie znośił laski, ale to przynajmniej minie za kilka tygodni.

Było już nieźle po południu, gdy wreszcie dotarł do internatu. Gdy tylko zdjął w pokoju płaszcz i rękawiczki, udał się na poszukiwanie najbliższych przyjaciół, którzy mieszkali w tym samym budynku. Jak zwykle siedzieli w pokoju Rafe'a, gdyż było to największe i najcieplejsze pomieszczenie.

Lucien wszedł do pokoju bez pukania. Jego przyjaciele wylegiwali się na dywanie. Nicholas był wicehrabią; Rafe - markizem; Michael - młodszym synem księcia. Jednak te tytuły były ledwie namiastkami rzeczywistości, podczas gdy Lucien przedstawiał sobą prawdziwy świat. Boże, jak bardzo chciał, by tak nie było!

Kiedy drzwi się otworzyły, trzech chłopcy podnieśli głowy. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy - wszyscy słyszeli, co się stało.

Serce w Lucienie zamarło. Oszłomiony bólem i okropną samotnością, które miał z sobą nosić już do końca życia, bardzo chciał, by przyjaciele się nie zmienili. Nie zniósłby, gdyby byli zbyt skrupowani, by traktować go jak zwykle.

Nicholas odłożył na bok książkę i podniósł się ze swego miejsca przed kominkiem. Odrobina cygańskiej krwi, która płynęła w jego żyłach, czyniła go nieco bardziej wylewnym od pozostałych chłopców, było więc całkowicie naturalne, że to on podszedł do Luciena, objął go i podprowadził do ognia.

- Dobrze, że już jesteś - powiedział spokojnie. - Przyszedłeś w sam raz na pieczony ser.

Lucien był przyjacielowi głęboko wdzięczny za ten zwyczajny gest. Poczł, że znowu jest wśród żywych. Przez ostatnie kilka dni zastanawiał się, czy przypadkiem nie został duchem, jak cała jego rodzina.

Kiedy usiadł na dywanie przed kominkiem, pozostali chłopcy odłożyli książki. Na długich widelcach piekli nad ogniem kawałki złotego sera. Płynne, smakowite kaski rozsmarowywane były na kromkach chleba - doskonała kolacja na chłodny, wilgotny wieczór.

Rozmowa nie dotyczyła niczego szczególnego - ot, nowinki o tym, co się wydarzyło w szkole podczas nieobecności Luciena. Na szczęście nie musiał nic mówić - nie był pewien, czy głos przeszedłby mu przez zaciśnięte gardło. Dopiero po jakimś czasie, gdy twardy kamień w piersi zaczął się topić, był w stanie wykrztusić z siebie jakąś drobną uwagę. Poza tym po raz pierwszy od czasu tego potwornego wypadku ze zdziwieniem stwierdził, że jest głodny.

Kiedy zniknęły już ostatnie kawałki sera, Rafe powiedział:

- Znalazłem w mieście coś, co może się przydać w twojej kolekcji, Luce. - Wstał i po dłuższym przerzucaniu rzeczy w biurku wrócił i podał mu mały przedmiot.

Był to mechaniczny, nakręcany złotw, na którego skorupce siedziała miniaturowa syrenka wykonana z brązu. Mimo ogromnego smutku Lucien poczuł zainteresowanie. - To prawdziwa złotwia skorupa, prawda? - Obracał mały przedmiocik w rękach podziwiając doskonałą robotę, a potem nakręcił sprężynę i postawił złotwika na podłodze.

Zabawka natychmiast ruszyła do przodu. Choć poruszała się na maleńkich ukrytych kólkach, głowa i nogi zwierzątka wyglądały tak, jakby naprawdę szło. Na jego grzbiecie, zadowolona z siebie syrenka machała drobnymi ramionkami i posyłała obserwującym ją chłopcom pocałunki.

Lucien uśmiechnął się, zanim przygnębiająca rzeczywistość znowu uderzyła go z przytłaczającą siłą. To ojciec dał mu pierwszą mechaniczną zabawkę i zachęcał do ich budowania i kolekcjonowania... Ojciec, który leżał teraz w rodzinnym grobowcu w Ashdown. Ojciec, którego śmiechu już nigdy nie usłyszy. Lucien zamruzał powiekami, by powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Gdybyż naprawdę istniała kraina, gdzie żyją syreny, są czary i ludzie nigdy nie umierają.

Kiedy już zapanował nad sobą, zapytał:

- Jesteś pewien, że chcesz mi go oddać, Rafe? Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

- Jak będę chciał na niego popatrzeć, wiem, gdzie go znaleźć. - Rafe wzruszył ramionami.

Żółw zatrzymał się, więc Lucien ponownie nakręcił sprężynę i wypuścił zabawkę. Zdobywszy się wreszcie na wypowiedzenie bolesnych słów, rzekł cicho:

- Nazywają mnie „hrabia - sierota”.

Na chwilę zapanowała pełna oburzenia cisza, po czym odezwał się Michael:

- Wstrętne przezwisko. Sugeruje, że nagle stałeś się gorszy. Pozostali chłopcy przytaknęli zgodnie. Lucien od początku wiedział, że go rozumieją.

- Musimy wymyślić ci inne przezwisko, zanim to do ciebie przylgnie - powiedział Rafe zdecydowanie. - Luce, jak byś chciał, żebyśmy cię nazywali?

Nicholas zachichotał.

- Może Żmija Strahmore? To brzmi odpowiednio groźnie. Lucien zastanawiał się przez chwilę. Żmija. Piękna i śmiercionośna. Wszyscy boją się żmij. Ale mimo to...

- Niezłe, ale nie całkiem właściwe.

- Mam lepszy pomysł. - Michael wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósł książkę, którą właśnie czytał. Był to *Raj utracony* Milтона. - Ponieważ masz na imię Lucien, naturalnym wyborem byłby Lucyfer.

- Idealnie - dodał podniecony Nicholas - Lucyfer, zbuntowany Archanioł, który wolał rządzić w piekle niż służyć w niebie. Był jasnowłosy, zupełnie jak ty.

- Wspaniałe miano - zgodził się Rafe. - Osobiście uważam, że Milton szczególną sympatią darzył Lucyfera. Jako postać jest o wiele bardziej interesujący niż Bóg, który postępuje tu jak brutalny tyran.

- Jeżeli zaczniemy cię tak nazywać, w niespełna tydzień w nasze ślady pójdą wszyscy chłopcy w Eton. - Zielone oczy Michaela zaślniły łobuzersko. - Nauczyciele powiedzą, że to profanacja. Będą wściekli aż miło!

Lucien oparł się o łóżko i przytknął oczy rozważając nowe możliwości. Przezwiska były ważne; jeśli ktoś został w Eton, na przykład, Głębem, to ciągnęło się to za nim przez całe życie. Ale Lucyfer było dobrym, mocnym imieniem - stworzenie, które śmiało się z Boga, było pewnie na tyle mądre, by kochać. Z pewnością dumny, groźny upadły Archanioł nie płakałby w nocy.

Spróbował zrobić zimną, ironiczną minę. Taak, to było właśnie to.

- Dobrze - rzekł powoli. - Będę Lucyferem.

*Londyn, październik 1814*

Już dwa dni i czas opłakiwania się skończył. Teraz nadszedł czas na działanie.

Już zdążyła zadać oczywiste pytania odpowiednim ludziom, lecz nic to nie dało. Nie było żadnego dowodu - poza jej intuicją - że stało się coś okropnego.

Lecz w tym przypadku intuicja nigdy jej nie zawodziła.

Przynajmniej, dzięki Bogu, najgorsze jeszcze się nie zdarzyło. Jeżeli będzie działać szybko, być może uda się jej zapobiec ostatecznej katastrofie. Ale cóż mogła zrobić? W takiej sytuacji nie miała do kogo udać się po pomoc, i choć знаła kilku mężczyzn, którzy chętnie by jej pomogli, żadnemu z nich nie ośmieliłaby się zaufać.

Zmusiła się do spokoju i przestała krążyć po pomieszczeniu, które nosiło ślady jej bezowocnych poszukiwań. Podobno była rozsądną kobietą, więc już najwyższy czas, żeby się zacząć odpowiednio zachowywać.

Usiadłszy przy biurku, ostrugała dokładnie końcówkę pióra i zanurzywszy je w atramencie, zaczęła zapisywać na skrawku papieru to, co już wiedziała. Najpierw daty, potem godziny i odpowiedzi ludzi, którym zadawała pytania. Wreszcie napisała, co według niej się stało. Jej teoria opierała się przede wszystkim na strzępach rozmów, które sobie przypomniwała, ale ponieważ zgadzały się one z późniejszymi faktami, postanowiła wziąć je za pewnik. W końcu i tak nie miała innego pomysłu.

Atrament zasechł na końcu pióra, podczas gdy zastanawiała się, co napisać dalej. Największy problem stanowił brak informacji - gdyby wiedziała, co dokładnie się stało, mogłaby wymyślić jakieś rozwiązanie.

Choć miała pomocników, właśnie jej przypadł w udziale cały trud śledztwa. Nie tylko jej zdolności były tu nadzwyczaj potrzebne, ale i nikt inny, nawet Jane, nie mógłby przejąć się tym aż tak mocno.

Powoli wyłaniał się zarys działania, choć gdy przelewała to na papier, jej twarz dziwnie się zacięła. Niektóre skuteczne metody są wyjątkowo niebezpieczne, a ona wiedziała, że nie należy do odważnych tego świata. Lecz w tej sytuacji nie miała wyboru - siedzenie i czekanie byłoby nie do wytrzymania. Najbezpieczniejszy pomysł był wyjątkowo łatwy. Zapisując go, postanowiła, że odłoży go na później.

Pióro biegło po kartce, podczas gdy nowe pomysły przychodziły jej do głowy niczym błyskawice. Wkrótce już wymyśliła wszystko, co było jej potrzebne, by stać się całkiem inną osobą.

Choć może lepiej i dokładniej byłoby powiedzieć, by stać się kilkoma innymi osobami.

Stój i ani drgnij, cholerny paniczyku!

Zatrzymał się natychmiast. Lucien Fairchild, dziewiąty hrabia Strathmore, szef luźno rozciągniętej sieci brytyjskiego wywiadu z zawodu i enigma z wyboru, rozpoznał mord czający się w głosie nieznajomego.

Odwracając się powoli w kierunku wołającego do niego mężczyzny, zrugął się w duchu za to, że od czasu zakończenia wojny przestał być wystarczająco ostrożny. Powinien być mądrzejszy. Choć walki na polach Europy już dobiegły końca, niebezpieczny świat intryg, polityki i władzy trwał wiecznie.

Właśnie wracał z klubu do domu, a pora była późna. Zbliżała się północ. Zeschłe liście szeleściły na bruku ulicy, a kawałek dalej, na Hanover Square, przejechał powóz, lecz Lucien był sam na opustoszałej ulicy z jednym... nie, z dwoma ciemnymi, masywnie zbudowanymi przeciwnikami. Mdły blask gwiazd odbijał się w długich srebrnych lufach pistoletów wymierzonych prosto w jego pierś.

Zagraj na czas. Dowiedz się, z kim masz do czynienia i dlaczego.

- Czy my się znamy, proszę pana? - zapytał uprzejmie.

- Nie osobiście, lecz ludzie mówią, że od ponad dwóch lat szukasz Harry'ego Mirkina. Postanowiłem więc, że się przedstawię. - Potężny mężczyzna prychnął z pogardą. - Jestem zawiedziony. Podobno ludzie nazywają cię Lucyferem, bo jesteś niebezpiecznym diabłem. Ale z tego, co widzę, masz buzię zbyt śliczną, by wystraszyć dziesięcioletniego kieszonkowca z East Endu.

- Przykro mi, że nie dorastam do twoich oczekiwań, ale ludzie często opowiadają głupstwa. - Lucien wskazał na rozmówcę kościaną główką laski. - Na przykład mówią, że jesteś królem podziemnego świata Londynu. Podobno Francuzi zapłacili ci za zamordowanie przywódców Tory w nadziei, że rząd padnie i Wielka Brytania będzie musiała wycofać się z wojny. Czy te plotki są prawdziwe?

- A pewno, że prawdziwe - rzekł jadowicie Mirkin. - I dokonałbym tego, gdyby nie ty i twoi pomocnicy informatorzy. Niewykonanie zadania kosztowało mnie ponad połowę ludzi, utratę pozycji w moim otoczeniu i pięć tysięcy złotych gwinei, które otrzymałbym po wykonaniu zadania. Miałem wiele szczęścia, że uszedłem z życiem.

- Niezła cena, jak za taką pracę, lecz marna, jak za zdradę stanu - zamruczał Lucien. - Bardzo chciałem cię znaleźć, choć muszę się przyznać, że ostatnio cię nie szukałem. Miałem o wiele ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- Jesteś wyjątkowym głupcem.

- Najwyraźniej cię nie doceniłem. - Lucien bawił się laską, niepostrzeżenie obluzowując główkę. - Wykonałeś kawał dobrej roboty znikając tak bez śladu. Gdzież to się schowałeś?

Jego przeciwnik splunął na chodnik.

- Byłem w przeklętym Dublinie, i to wszystko twoja wina. Przyjechałem, by odebrać, co moje, a zacznę od zabicia lorda Lucyfera, który ma brzydki zwyczaj wtrącania nosa w nie swoje sprawy.

- Jestem przekonany, że zabicie nie uzbrojonego przeciwnika z pomocą przyjaciela przysporzy wiele dobrego twojej reputacji - rzekł sucho Lucien.

Mirkin machnął ręką do swego posępnego towarzysza, który stał o jakieś sześć stóp od Luciena.

- Mój brat, Jimmy, nic nikomu nie powie. Wszyscy będą wiedzieć jedynie to, że nie żyjesz i że jest to moja sprawka.

- W jego głosie pojawiło się szaleństwo. - Błagaj o życie, Strathmore. Chcę, byś czołgał się jak roba, którym jesteś.

Choć całe jego ciało prężyło się do ataku, Lucien powiedział spokojnie:

- Co tylko sobie życzysz, Harry. Chcesz, bym padł przed tobą na kolana?

Zęby Mirkina zaświeciły niczym u drapieźnika.

- Pewno, że bym chciał. Jeżeli będziesz ładnie błagał, może zabiję cię szybko. Inaczej pošlę ci dwie kule w brzuch i może minąć tydzień, zanim zdechniesz. - Zniżył lufę pistoletu czekając na poniżenie wroga.

Podczas gdy przeciwnik na chwilę odwrócił uwagę, Lucien pochylił się jak najniżej i uderzył w Jimmy'ego. Było to dość ryzykowne posunięcie, lecz przy odrobinie szczęścia mógł zmusić Mirkina, by w obawie o życie brata, powstrzymał się przed naciśnięciem na spust.

Szczęście mu dopisało, choć nie do końca. Kiedy rzucił się na Jimmy'ego, pistolet tamtego wypalił. Kula przeleciała tuż obok głowy Luciena, a kilka ziarenek prochu utkwilo mu w policzku.

Ignorując ogłuszający wybuch, młody lord przewrócił się na plecy i przekręcając główkę laski, wyciągnął lśniące niebezpiecznie ostrze szpady. Potem, trzymając broń oburącz, wycelował ostrze w górę - prosto w padającego na niego mężczyznę.

Jimmy nadział się na szpadę z taką siłą, że Lucien aż zadrżał. Złoczyńca wydał przeraźliwy, przesywający krzyk i ciężar trupa przygniótł lorda do ziemi.



Zanim się wyswobodził, Mirkin wrzasnął:

- Ty przeklęty, cholerny morderco! - Uderzył leżącego mężczyznę ręką w głowę, po czym zamachnął się, by zrobić to powtórnie. - Za to będę cię zabijał długo i powoli.

Ból wybuchnął tysiącem igieł w czaszce Luciena. Z ponurą determinacją trzymając się resztek świadomości, warknął:

- Jeżeli ci się uda, to przynajmniej zabijesz mnie uczciwie. Kiedy Mirkin zamachnął się, by go kopnąć, lord zrzucił z siebie ciało Jimmy'ego, odepchnął je na nogę napastnika i podniósł się ze zwinnością kota. Stracił kilka cennych sekund starając się wyrwać szpadę z ciała zbira, tkwiła jednak za mocno w jego piersi. Musiał stawić przeciwnikowi czoło gołymi rękami.

- Jesteś podstępny sukinsynem, wiesz? - Mirkin uniósł lufę pistoletu. - Zastrzelę cię tak, jak powinienem to zrobić już dawno.

Zanim jednak nacisnął spust, Lucien poderwał nogę i kopnął go w nadgarstek, pozbawiając broni. Pistolet poleciał kilka metrów dalej i spadł na bruk z metalicznym klekotem.

- Na miły Bóg, jeżeli nie mogę cię zastrzelić, gołymi rękami skręcę ci kark, ty wstrętne świni! - zaryczał Mirkin spadając na wroga niczym burza.

Lucien gwałtownie usiłował się wydostać ze śmiertelnie uścisku, lecz Mirkin zaczął swą karierę jako złodziejasek w portowych dokach, i nadal miał brutalną siłę sztaura. Przycisnął Luciena do ziemi, objął potężnymi łapskami za szyję i ścisnął z całej mocy, nie tylko odcinając powietrze, ale także grożąc zmiążdżeniem krtani.

Kiedy w oczach już zaczęło mu ciemnieć, Lucien uniósł się, by zdezorientować przeciwnika, i wycelował kolanem w jego krocze. Licząc na to, że Mirkin zachowa się jak każdy mężczyzna w tej sytuacji, z kocią zręcznością poderwał się na równe nogi i złapał go z tyłu za głowę. Jednym brutalnym szarpnięciem złamał mu kręgosłup.

Po kruchym trząśnięciu nastąpiła cisza przerywana jedynie przyspieszonym oddechem Luciena. Puścił ciało Mirkina, a kiedy opadło bezwładnie na ziemię, otarł nadgarstkiem pot z czoła.

- W pewien sposób wyświadczyłeś mi przysługę, Harry - rzekł między jednym urywanym oddechem a drugim. - Nie lubię zabijać z zimną krwią, lecz jeżeli chodzi o samoobronę, nie miewam wyrzutów sumienia.

Z pobliskich domów zaczęli wychodzić ludzie przyciągnięci strzałem Jimmy'ego. Od czasu gdy Mirkin i jego brat zaskoczyli Luciena, nie mogło minąć więcej niż parę minut.

Wystarczająco długo, by zabić dwóch mężczyzn.

Kilku mieszkańców pobliskich domów przyniosło latarnie. Jeden z nich, znajomy Luciena o imieniu Winterby, wykrzyknął:

- Wielki Boże, Strathmore został ranny! Poślijcie po medyka! Lucien spuścił wzrok i zobaczył, że przód jego jasnego płaszcza oznaczony jest szkarłatem.

- Nie... nie ma takiej potrzeby. To nie moja krew.

- Co się tu stało?

- Napadło na mnie dwóch zbirów. - Schylił się, by podnieść kapelusz. Teraz, kiedy kryzys już minął, zaczął się trząść. Tym razem było blisko, bardzo blisko.

- To oburzające, że człowiek nie jest bezpieczny nawet w Mayfair - powiedział ktoś z wściekłością.

Szczupły mężczyzna, który uklęknął obok zwłok, spojrzał ze zdziwieniem na Luciena.

- Obaj nie żyją.

- Na szczęście miałem przy sobie szpadę. - Podniósł obie części laski. Otarłszy klingę z krwi o połę zniszczonego płaszcza, wkręcił szpadę do laski.

Szczupły człowieczek popatrzył na szkliste oczy Mirkina, którego głowa przekrzywiona była pod dziwnym kątem.

- W rzeczy samej, na szczęście - mruknął sucho. Ktoś mruknął w pobliżu.

- Nic dziwnego, że nazywają go Lucyferem.

- Chodź do mnie na szklaneczkę brandy - zaproponował Winterby lekceważąc komentarze ludzi. - Poczekamy, aż przyjadą ludzie z magistratu.

- Dziękuję ci, ale ponieważ mieszkam tuż za rogiem, chętnie pójde do domu. W magistracie wiedzą, gdzie mieszkam.

Spojrzał po raz ostatni na dwóch ludzi, którzy usiłowali go zabić. Cóż za dziwne wiódł życie, w którym zapomniana sprawa z przeszłości mogła pojawić się w każdym momencie i go zniszczyć. Gdyby Mirkin nie chciał wytłumaczyć motywów swego postępowania, Lucien leżałby w tej chwili na bruku. Nieżywy.

Zmęczonym krokiem skręcił na Hanover Square, a jeden ze służących Winterby'ego szedł obok z latarnią. Ten atak przypominał mu, że istnieją sprawy z przeszłości, którymi trzeba się natychmiast zająć. Harry Mirkin był tylko narzędziem w rękach kogoś innego, o wiele potężniejszego - agenta Napoleona, który od lat pracował na szkodę Anglii. Na własny użytek Lucien nazywał go Upiorem, gdyż niczym duch zawsze był w pobliżu, lecz nigdy nie był obecny.

Po abdykacji Napoleona na wiosnę Lucien stracił zainteresowanie tą sprawą, gdyż musiał się skoncentrować na machinacjach dotyczących Kongresu Wiedeńskiego. To było o

wiele pilniejsze niż odnalezienie Upiora, lecz Kongres przebiegał bez zakłóceń, i być może nadszedł już czas, by ukrócić działalność człowieka, który przedłużał trwanie wojny i mógł skomplikować nowy pokój.

Ale gdzie zacząć? Istniały podejrzenia, że Upiór jest dobrze urodzonym Anglikiem, może nawet kimś, kogo Lucien zna. Będzie musiał zgromadzić te śladowe ilości dowodów, jakie ma, dodać nieco instynktu i wymyślić plan, by złapać zdrajcę.

Wspinając się po kamiennych schodach swego domu, uśmiechnął się ironicznie. Nawet Upiór nie może uciec przed Lucyferem.

Był już najwyższy czas na włamanie. Wszyscy panowie obecni w zamku Bourne byli na dole, popijając i przechwalając się ile dusza zapragnie. Ich lokaje spędzali podobnie czas w pokojach dla służby, a Kit Travers była wreszcie gotowa.

Wytarła wilgotne dłonie w ciemny materiał spódnicy, powtarzając sobie, że nazywa się Emmie Brown i jest pokojówką, sumienną, lecz niezbyt bystrą. Trochę za duży czepek potęgował tylko to wrażenie, przy czym skrywał prawie połowę jej twarzy. Nikt nigdy się nie domyśli, że nie jest kobietą, za którą się podawała.

Wziąwszy do rąk termofory i lampkę oliwną, wyszła z przyjaznego cienia tylnych schodów na górny zachodni korytarz zamku Bourne. Migocące światło lampy odkrywało przed nią tuzin identycznych drzwi.

Na szczęście w domu panował zwyczaj umieszczania wizytówek na drzwiach pokoi gościnnych, informujących, kto je w danym momencie zajmuje. Najprawdopodobniej było to spowodowane spontanicznymi nocnymi odwiedzinami. Kit słyszała kiedyś taką opowieść: pewien rozochocony kochanek wpadł w poszukiwaniu kochanki do ciemnego pokoju wołając: „Czy moja myszka jest już gotowa na wielkiego ptaka?“, tylko po to, by się przekonać, że w łóżku śpi siedemdziesięcioletni biskup Salisbury. Na to wspomnienie dziewczyna omal się nie roześmiała.

Rozbawienie minęło jej, gdy tylko podniosła lampę, by sprawdzić pierwszą wizytówkę. Pan Halliwell. O ile wiedziała, nie był członkiem Klubu Hellionów, więc podeszła do następnych drzwi. Sir James Westley. Był na jej liście, postawiła więc lampę na podłodze i z wahaniem nacisnęła kłamkę. Drzwi otworzyły się bez trudu.

Z mocno bijącym sercem weszła do środka, starając się zachowywać tak, jakby robiła to co noc. Mimo to odetchnęła z ulgą, gdy pokój okazał się pusty, tak jak powinien. Położyła termofory na łóżku i zaczęła przeszukiwać szafę.

Sądząc po ubraniach, Westley był mężczyzną potężnej budowy, o nieco dandysowatym guście. Szybko przeszukała wiszące w szafie ubrania, zwracając szczególną uwagę na kieszenie, lecz nie znalazła nic interesującego. Potem, jedną po drugiej, wyciągnęła szuflady z bielizną. Nic nie znalazła.

Szybko sprawdziwszy, czy wszystko zostawiła tak, jak zastała, zamknęła szafę i podeszła do biurka. W skórzaną oprawkę włożonych było kilka listów. Zdając sobie sprawę z szybko upływającego czasu, pobieżnie je przerzuciła. Znowu nie dostrzegła nic, co wydawałoby się ważne.

Kiedy już przeszukała wszystko w pokoju, włożyła jeden z termoforów między prześcieradła i szybko wyszła. Następny pokój zajmował świątobliwy Roderick Harford. Doskonale; był założycielem Klubu Hellionów i człowiekiem, który najbardziej ją interesował.

Bardziej zapobiegliwy niż Westley, zamknął drzwi na klucz. Kit rozejrzała się, by się przekonać, czy na pewno jest sama, i wyciągnęła prosty kluczyk, który powinien pasować do większości zamków w drzwiach Bourne. Gdyby ktoś ją przyłapał w środku, powiedziałaaby, że zastała drzwi otwarte. Każdy by założył, że po prostu zapomniał ich zamknąć.

Zamek otworzył się z cichym zgrzytem. Weszła do środka i zaczęła poszukiwania. Harford był o wiele wyższym mężczyzną niż Westley i o wiele mniej troszczył się o garderobę, czego przykładem były plamy po tytoniu na chusteczkach. Poza tym dawno powinien zwolnić swego lokaja.

Ile czasu już minęło? Ponieważ goście spędzili wyczerpujący dzień na polowaniu, być może będą chcieli wcześniej udać się na spoczynek. Nerwowo przesunęła dłońmi między równo złożonymi krawatami. Gdybyż tylko wiedziała, czego szuka!

W pewnej chwili wydało się, że trafiła na coś interesującego. Pod stertą czystych koszul na dnie szafy odkryła dużą drogą książkę zatytułowaną *Concupiscentia*. Otworzyła ją i skrzywiła się niemiłosiernie. Najwyraźniej wielebny Roderick lubił zabawiać się nieprzyzwoitymi i raczej paskudnymi akwarelami. Z pewnością był to człowiek, którego warto obserwować.

Właśnie szła w stronę biurka, gdy usłyszała chrobot klucza w zamku. Przez jedną przerażającą chwilę myślała, że za moment serce jej przestanie bić. Ponieważ drzwi nie były zamknięte, mężczyzna po drugiej stronie zakręcił bezowocnie kluczem usiłując otworzyć to, co już było otwarte. Chwilowe przerażenie minęło jednak szybko i dziewczyna pospiesznie złapała termofor i odrzuciła kołdrę na łóżku. Zanim wielebny Roderick Harford wszedł do pokoju, dziewczyna, w pełni oddana swym obowiązkom, poprawiała pościel na jego łóżku.

Był jeszcze wyższy, niż sugerował rozmiar ubrań.

- A cóż ty tutaj robisz, moja mała? - warknął głosem mocno pijanego mężczyzny. - Ten pokój był zamknięty.

- Był otwarty, psze pana - odparła Kit naśladując prosty wiejski akcent. Garbiąc się, by spotęgować głupawe wrażenie, mówiła dalej: - Jeżeli nie chce pan, by zagrzać łóżko, pójdę już sobie.

- To te cholerne zamki. Są tu zapewne od czasów Henryka VIII. Candover już dawno powinien je wymienić! - rzekł gorzko Harford. Zamknął drzwi i zbliżył się do niej nieco

chwiejnym krokiem.

- Nie odchodź, moja mała. Jest bardzo zimna noc, a kiedy się już nad tym zastanowiłem, faktycznie przydałoby mi się trochę ciepła w łóżku.

Zaniepokojona tym, co zobaczyła w jego oczach, Kit umknęła o cal przed jego wyciągniętymi ramionami.

- Już sobie pójdę, psze pana. - Z niepokojem ruszyła do drzwi.

- Nie tak szybko, kochanie. - Złapał ją za nadgarstek i zatrzymał na miejscu. - Jesteś co prawda trochę chuda, ale jak na rozgrzewkę zupełnie wystarczysz.

Wcale nie musiała udawać przerażenia.

- Proszę, sir. Jestem przyzwoitą dziewczyną.

- Dam ci za to złotą gwineę - rzekł z pijacką radością w głosie.

- A może nawet dwie, jeżeli ładnie się postarasz. - Przyciągnął ją do siebie w obrzydliwym, przesiąkniętym alkoholem uścisku.

Szarpanie się z dwa razy potężniejszym mężczyzną byłoby bezskuteczne, więc dziewczyna zmusiła się do spokoju, choć usta zacisnęła, by nie pozwolić na inwazję jego cuchnącego języka. Biorąc jej bierność za poddanie się, wymamrotał:

- Tak już lepiej, kochanie. - I przesunął dłoń na jej pierś.

- Pokaż mi, jaka jesteś ciepła.

Wykorzystała to, że na chwilę rozluźnił uchwyt i wyszarpnęła się. Dobiegała już do drzwi, kiedy znowu ją złapał.

- Lubisz się drażnić, co? - zapytał jowialnie. - Jesteś żywsza, niż się zdaje na pierwszy rzut oka.

W panice uderzyła go mocno w pierś wytrącając z równowagi. Odruchowo złapał ją za ramiona i pociągnął za sobą na ziemię. Leżeli rozciągnięci przez próg pokoju z głowami na korytarzu. Harford wylądował na górze. Kiedy Kit usiłowała odzyskać oddech, szarpał się ze stanikiem jej sukni i w końcu rozerwał jej go niemal do pasa.

- Jesteś o wiele lepsza, niż mi się zdawało - szepnął jej ochryple do ucha. - Dam ci za to pięć gwinei.

Obawiała się wielu rzeczy w związku z tą nocą, ale na pewno nie tego, że zgwałci ją człowiek, który nawet nie zna jej imienia. Przerażona usiłowała krzyczeć, lecz uciszyły ją jego wargi.

Nagle przygniatający ją ciężar zniknął i znowu mogła oddychać. Ktoś ponad nią powiedział zimnym głosem:

- Ta młoda dama nie wydaje się zainteresowana, Harford.

Kit spojrzała w górę i zobaczyła jasnowłosego mężczyznę przygniatającego jej napastnika do ściany. Choć zdawało się, że elegancki nieznajomy nie wyteża zbytnio sił, Harford nie był w stanie wyrwać się z jego uścisku.

- Pilnuj swojego nosa - wykrztusił, bezskutecznie usiłując wyrwać się jasnowłosemu mężczyźnie. - To tylko pokojówka, a nie żadna dama. Jeszcze nigdy nie spotkałem pokojówki, która nie byłaby zaszczycona, kiedy dżentelmen chciał ją ujeździć.

- Zdaje się, że właśnie spotkałeś. Byłoby co innego, gdyby dziewczyna była chętna, ale gwałcenie służby gospodarza jest przejawem złych manier - odrzekł z przyganą w głosie nieznajomy.

- Candover byłby bardzo niezadowolony, gdyby ci się udało, a sam przecież wiesz, że jest niezłym strzelcem.

Jego słowa powoli zapadały w zamroczony alkoholem umysł Harforda. - Pewno masz rację - odparł po chwili. - Chuda pokojówka nie jest warta pojedynku. - Kiedy jasnowłosa mężczyzna go puścił, jego wielebność z szerokim ziewnięciem wszedł do pokoju. - Dobranoc, Strathmore.

Kit zeszywniała. Dobry Boże, wybawicielem był Lucien Fairchild, hrabia Strathmore. Człowiek, którego ludzie nazywali, z przerażeniem i nerwowo oglądając się przez ramię, Lucyferem. On i kilku jego przyjaciół dość powszechnie uznawanych za niebezpiecznych, nazywano Upadłymi Aniołami. Nie wiedziała natomiast, że jest członkiem Klubu Hellionów.

A jednak zachował się z idealną galanterią, podając jej dłoń i pomagając wstać.

- Nic ci się nie stało, panienko?

Zastanawiając się, co też teraz ją czeka, dziewczyna ujęła jego dłoń i wreszcie wstała.

- Nie, milordzie.

Kiedy spojrzała w jego twarz, poczuła przebiegający ją dreszcz. Podobnie jak jego imiennik, Lucyfer, hrabia Strathmore lśnił większym blaskiem niż przeciętny śmiertelnik. Nawet jeżeli hulaszczę życie dało mu się we znaki, nie było tego widać na jego twarzy... a jednak złotozielone oczy kryły znużenie człowieka, który widział płomienie piekieł. Miała nadzieję, że to nie on jest jej wrogiem, gdyż czuła, że byłby śmiertelnie niebezpieczny.

Ścisnął mocniej jej ramię.

- Jak masz na imię?

Była tak wstrząśnięta, że odruchowo powiedziała „Kit”, zanim przypomniała sobie, że została przyjęta tu na służbę jako Eminie Brown. Wściekła, że wyjawiała swoje prawdziwe imię, zaczęła się jąkać:

- Kit... Kitty, milordzie.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

- Byłabyś chyba warta pojedynku, Kitty.

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że porwany stanik sukienki odsłania pierś. Cofnęła się o krok i wolną ręką przyciągnęła do siebie podarte poły ubrania.

Natychmiast wyswobodził jej dłoni.

- Wypij filiżankę gorącej herbaty i kładź się do łóżka, Kitty - rzekł. - Wyśpij się dobrze, a rano o wszystkim zapomnisz. Choć nie pragnęła niczego innego, odparła:

- Jeszcze nie skończyłam pracy, milordzie.

- Pozostali goście mogą dziś spać bez termoforów. Wyjaśnię księciu, dlaczego nie wykonałaś swej pracy, więc nie zostaniesz ukarana. - Raz jeszcze dokładnie się jej przyjrzał. - Powiedz gospodyni, by przy następnym polowaniu kazała zająć się termoforami komuś starszemu. A teraz biegnij już, Kitty. I dla własnego dobra Wyostrz sobie pazurki.

Zadowolona, że wreszcie może odejść, pochyliła głowę i odeszła pospiesznie niczym mała, niezbyt rozgarnięta pokojóweczka wystraszona na śmierć. Nie potrzebowała do tego zbyt wiele talentu aktorskiego. Skręciła na rogu i zniknęła w ciemnościach schodów prowadzących do kuchni.

Gdy tylko drzwi na korytarz się za nią zamknęły, usiadła na najwyższym stopniu i ukryła twarz w drżących dłoniach. Było jeszcze kilku mężczyzn, których pokoje powinna przeszukać, lecz nie śmiała. Najwyraźniej przyjęcie na dole już dobiegało końca i gdyby napatoczył się jej następny rochochocony gość, mogłaby już nie mieć tyle szczęścia.

Była wściekła, że zrobiła tak mało. Miała nadzieję, że dowie się czegoś, co by zawęziło pole jej poszukiwań, lecz zbyt wiele czasu zajęło jej zdobywanie posady pokojówki, poza tym polowanie już się kończyło. Jutro wszyscy goście odjadą, a ona znowu nic nie będzie wiedziała.

Sztywno podniosła się na nogi; właśnie zaczynała odczuwać sińce, których nabawiła się padając na podłogę. Równie dobrze może wyjechać i tak już nic jej tu nie czeka. Emmie Brown, pokojówka bez zbytniego szczęścia, zniknie. Gospodyni będzie mruczeć o tym, jak to trudno zdobyć przyzwoitą pomoc w dzisiejszych czasach, i wyda jej referencje.

Wdrapując się po stromych schodach do małego pokoiku na strychu, w którym jeszcze nigdy nie spała, przyrzekła sobie, że następnym razem pójdzie jej lepiej.

Nie miała wyboru, gdyż porażka była nie do zaakceptowania.

Idąc powoli korytarzem do swego pokoju Lucien zastanawiał się nad dziwami natury. Pokojówka była prostą wiejską dziewczyną, niezbyt rozgarniętą niewinną istotką, garbiącą się jak ktoś, kto wstydzi się swego wzrostu. A jednak, gdy przez moment widział ją z profilu,



zauważył, że ma w sobie czystość i szlachetność portretu z greckiej monety. Może to przyciągnęło do niej Harforda? Ale nie, ten człowiek z pewnością tego nie zauważył; wielbny Roderick nie należał do najbystrzejszych obserwatorów niewieściej urody.

Zapominając o małej pokojówce, Lucien wszedł do pokoju, zdjął krawat i pochylił się, by rozpaść ogień na kominku. Potem usiadł w bujanym fotelu i wpatrując się w jasne płomienie, myślał o różnych aspektach faktów, które już znał. Starał się znaleźć jakiś schemat, ale nie szło mu zbyt dobrze, z ulgą powitał więc ciche stukanie do drzwi.

- Wejdz! - zawołał.

Nie zdziwił się widząc, że nocnym gościem jest książę Candover. Podczas wielu dni polowania nie miał czasu ani możliwości spokojnie porozmawiać z gospodarzem. Książę wszedł do pokoju niosąc dwa kieliszki i karafkę.

- Tak bardzo byłeś pochłonięty obserwowaniem gości, że ledwo tknąłeś porto. Pomyślałem więc, że chętnie napijesz się brandy przed snem.

- Jak to miło z twojej strony, Rafe. - Lucien roześmiał się. - Podejrzewam też, że miałeś nadzieję dowiedzieć się, dlaczego poprosiłem cię, byś ściągnął taką bandę obiboków do zamku?

- Wiesz, że zawsze chętnie służę ci moim książęcym splendorem, Luce, ale muszę przyznać, że jestem ciekawy, co też tym razem knujesz. - Książę nalał brandy do obu kieliszków, jeden podał Lucienowi, a z drugim usiadł na fotelu po przeciwnej stronie kominka. - Czy jeszcze jakoś mogę pomóc ci w śledztwie?

Lucien zawahał się nie wiedząc, jak wiele może zdradzić przyjacielowi. Kiedy istniała taka konieczność, prosił starych przyjaciół - w tym także Rafe'a - o pomoc, lecz nigdy nie było to z błędnego powodu.

- Nie tym razem... jesteś zbyt powszechnie szanowany. Byłoby podejrzane, gdybyś zrobił coś więcej, niż tylko zaprosił interesujących mnie mężczyzn na polowanie. A jeżeli już o tym mowa, dzięki za wsparcie. Jako gość sławnego zamku Bourne, podniosłem swój status w oczach Hellionów.

Rafe zagwizdał cicho.

- Oczywiście. A ja się zastanawiałem, dlaczego chciałeś, bym zaprosił właśnie ich. Wszyscy należą do Klubu Hellionów. Ale dlaczego aż tak cię interesują? Zawsze mi się wydawało, że są luźną grupką obiboków, którzy lubią uważać się za duchowych spadkobierców Klubu Hellfire. Z pominięciem kryminalnej przeszłości.

- W większości przypadków jest to prawda - zgodził się Lucien.

- Najwięcej jest tam młodych zapaleńców, którzy lubią myśleć o sobie jako o

wspaniałych i niebezpiecznych. Po paru latach większość z nich wyrasta z dziecinnych i dość przestarzałych rytuałów grupy i odchodzi. Istnieje jednak wewnętrzny krąg członków zwanych Wyznawcami, którzy mogą używać popijaw i zabaw klubu jako przykrywkę dla bardziej szkodliwej działalności.

- Skrzywił się niemiłosiernie. - A to znaczy, że najbliższy czas będę musiał spędzać w towarzystwie panów o nieco ograniczonych horyzontach.

- Czy wszyscy moi goście to Wyznawcy?

- Zdaje się, że w większości tak, choć czasem trudno jest mieć pewność. - Lucien zmarszczył brwi. - Szkoda, że brat Rodericka Harforda, lord Mace, nie przyjechał. Podejrzewam, że to oni i ich kuzyn, lord Nunfield, są kręgosłupem organizacji. Muszę zdobyć aprobatę lorda Mace'a, żeby wstąpić do bractwa.

- Z pewnością już go poznałeś? Jeśli się nie mylę, zawsze bardzo ci zależało, by znać wszystkich w Londynie.

- Nie udało mi się to jeszcze do końca, ale wciąż się staram. Spotkaliśmy się z Mace'em kilka razy, to wszystko. Nie jest to człowiek, jakiego chciałbym mieć za przyjaciela. Jest bardzo podejrzliwy, a zdaje się wyjątkowo podejrzliwy w stosunku do mnie.

- I słusznie - odparł sucho Rafe. - Czy są jakieś polityczne przesłanki, byś inwigilował tę grupę?

- W rzeczy samej. Co najmniej jeden z członków rządu był szantażowany jakimś zdarzeniem, które miało miejsce na jednej z orgii Hellionów. Na szczęście miał na tyle rozumu, by mnie powiadomić, ale mogą być i inni, mniej rozsądni. - Lucien przyglądał się brandy w swym kieliszku. - Mam również podstawy, by podejrzewać, że jeden z członków grupy przesyłał wiadomości do Francji.

Ciemne brwi Rafe'a uniosły się. - Jeżeli to prawda, to bardzo nieładnie; ale skoro Napoleon abdykował, szpieg nie powinien już stwarzać żadnego zagrożenia.

- Podczas wojny zginął jeden z moich ludzi tylko dlatego, że ktoś z Londynu podał jego nazwisko policji cesarza. Była jeszcze jedna tragedia. - Oczy Luciena zwięzły się niebezpiecznie. - Wojna może się i skończyła, ale ja jeszcze nie jestem przygotowany, by zapomnieć i wybaczyć.

- Jeżeli to jakiś Hellion jest za to odpowiedzialny, nic mu nie pomoże, nawet jeśli się zwrócił o pomoc do samego diabła. - Księżę uśmiechnął się. - Założę się, że wygrałbyś nawet z diabłem.

- Oczywiście - odparł Lucien lekko. - Jako przywódca Upadłych Aniołów, mam pierwszeństwo w uzyskiwaniu diabelskiej pomocy.

Rafe zaśmiał się głośno, po czym w ciszy obserwował płomienie igrające na palenisku.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, ile funtów sera upiekliśmy nad kominkiem przez wszystkie lata szkoły? - zapytał nagle.

Lucien roześmiał się.

- Nie wiem, ale skoro już o tym wspomniałeś, nie będę mógł zasnąć licząc, ile zjedliśmy.

- Czy to bardzo nużące zawsze musieć znać wszystkie odpowiedzi? - zapytał Rafe, nagle poważniejąc.

- Bardzo. - Uśmiech Luciena zamarł. Dłuższą chwilę milczenia przerwał książkę:

- Nikt nie jest w stanie ocalić świata, bez względu na to, jak ciężko pracuje.

- To nie znaczy, że nie powinno się próbować, Rafaelu. - Lucien uśmiechnął się cierpko. - Kłopot ze starymi przyjaciółmi polega na tym, że zbyt dużo wiedzą.

- Prawda - zgodził się łagodnie Rafe. - Ale jest to również ich zaleta.

- No to za przyjaźń. - Lucien uniósł kieliszek i pociągnął duży łyk brandy. To, że on i jego trzech przyjaciele zyskali sobie przezwisko Upadłych Aniołów, gdy tylko powrócili z Eton do Londynu, było ironią losu; z wyjątkiem Luciena wszyscy byli powszechnie szanowanymi obywatelami. Kiedy tragedia zburzyła spokój dzieciństwa Luciena, uratowały go tylko: wesoła, dobra natura Nicholasa, spokojna akceptacja Rafe'a i niepodważalna lojalność Michaela. Gdyby nie oni, samotność i poczucie winy dawno by go zjadły. Wiedział, jakie to szczęście mieć takich przyjaciół. Lecz nawet najcudowniejsza przyjaźń nie jest w stanie naprawić szkody, jaką wyrządzono duszy rozdzierając ją na pół.

Kiedy już opróżnił kieliszek, Lucien przypomniał sobie incydent z holu.

- Musiałem siłą oderwać Rodericka Harforda od jednej z twoich pokojówek. Zdaje się, że ma na imię Kitty. Chciał wymóc na niej obowiązki, które niezbyt przypadły jej do gustu.

- Harford to cham. - Rafe skrzywił się. - Mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz chciał, bym go zapraszał; mogłoby się to odbić nawet na tak długoletniej przyjaźni, jak nasza. Czy dziewczynie nic się nie stało?

- Bardzo się wystraszyła, ale nic poważnego się nie stało. Powiedziałem jej, by nie kończyła pracy, tylko natychmiast położyła się do łóżka... i że załatwię to z tobą.

- Bardzo dobrze. Rano porozmawiam z gospodynią i powiem, by jej nie karała za niewypełnienie obowiązków. - Ziewając szeroko Rafe wstał. - Czy jutro jedziesz ze wszystkimi do Londynu, czy zostaniesz jeszcze kilka dni?

- Jadę do Londynu. Czeka mnie długa droga, zanim zostanę prawdziwym Hellionem.

- Oj, o to bym się nie zakładał. Istne diabelskie nasienie z ciebie. Przypomnij sobie tylko nasz pierwszy rok w Londynie po ukończeniu Eton.

Obaj zaśmiali się, po czym Rafe wyszedł. Lucien nadal siedział przy kominku patrząc w płomienie. Nie lubił wystawiać swego szczęścia na próbę, więc wcale się nie palił do inwigilacji Hellionów. Ale nie miał wyboru. Choć to, co powiedział przyjacielowi, było prawdą, nie wspomniał, że jego doskonale wyczulony instynkt łowcy pracuje na pełnych obrotach.

Pięćdziesiąt lat temu Klub Hellfire był znany w całej Anglii zarówno ze swojej rozpusty, jak i egzaltacji członków, którymi byli najbardziej wpływowi ludzie Anglii. Klub założył sir Francis Dashwood, człowiek wyjątkowo pomysłowy i zdeprawowany, a ponadto bardzo bogaty. Poza podnoszeniem rozpusty do nieznanych dotąd granic, członkowie klubu stroili sobie żarty z religii i bawili się w polityczne gierki o daleko idących konsekwencjach. Gdyby nie Klub Hellfire, możliwe, że nie doszłoby do buntu w amerykańskich koloniach, do wojny i późniejszego ich podziału.

Dzisiejsi Hellionowie już tak nie rozrabiali. Teoretycznie byli tylko łajdakami i rozpustnikami, podobnie jak członkowie wielu innych klubów. A jednak Lucien podejrzewał, że za tą fasadą kryje się coś naprawdę złego. I miał zamiar odkryć co.

Szkoda tylko, że nie lubił orgii.

Następnego ranka w wielkim holu zamku Bourne było gwarno, gdy goście i ich służący przygotowywali się do odjazdu. W wolnej chwili Rafe zagadnął Luciena:

- Zapytałem gospodynię o tę pokojówkę, o której wspominałeś. Wczoraj był pierwszy dzień jej pracy i zdaje się, że wystraszył ją tak bardzo, że uciekła w środku nocy.

Lucien przypomniał sobie, że dziewczyna wydała mu się niezwykle bezbronna.

- Wyglądała na bardzo nieśmiałą. Mam nadzieję, że będzie mieć na tyle zdrowego rozsądku, by następną pracę znaleźć sobie w spokojniejszym miejscu. Na przykład w domu wikarego.

- Jedno mnie zastanawia... gospodyni powiedziała, że dziewczyna nazywała się Emmie Brown, a nie Kitty.

- Czy mogły to być dwie różne dziewczyny? - zapytał zdziwiony Lucien.

- Nie. To Eminie Brown była bez wątpienia pokojówką, z którą wczoraj rozmawiałeś. Żadna Kitty u nas nie pracuje.

Lucien wzruszył ramionami.

- Być może Kitty to jej przezwisko z dzieciństwa. Przypomniała je sobie pod wpływem zdenerwowania.

Było to dość rozsądne wyjaśnienie. A jednak jadąc do Londynu złapał się na tym, że rozmyśla o dziewczynie o dwóch imionach. Wokół niej unosiła się aura tajemniczości, a on nie lubił tajemnic.

Następny krok w kampanii Luciena, by zostać zaakceptowanym przez Hellionów, miał miejsce następnego wieczoru po powrocie do Londynu w ponurej tawernie Pod Koroną i Sępem, która była miejscem comiesięcznych zebrań klubu. Zaprosił go tam Roderick Harford, wspominając, że obecny będzie także jego brat, lord Mace.

Tego wieczoru było bardzo zimno i padał deszcz, więc Lucien z radością wszedł do zadymionego ciepłego wnętrza tawerny. Ogromna sala z przodu wypełniona była ponuro wyglądającymi robotnikami w starych zniszczonych ubraniach. Barmanowi wystarczyło jedno spojrzenie na dobrze skrojony surdut Luciena, by kiwnąć palcem za ramię i powiedzieć bez zmruczenia oka:

- Pańscy śliczni przyjaciele są tam z tyłu.

Kiedy Lucien szedł ciemnym korytarzem na tyły tawerny, usłyszał gromki wybuch śmiechu. Hellioni byli w dobrych nastrojach.

Zatrzymał się w drzwiach, by przyjrzeć się pomieszczeniu. Była to jego pierwsza wizyta w tawernie Pod Koroną i Sępem. Sala była oświetlona ogniem na kominku i tuzinem świec. Przy stołach siedziało ze dwudziestu mężczyzn, z piwem i kartami w dłoniach. Większość była młoda, lecz Lucien zauważył również kilku starszych.

Była też jedna kobieta - żywiołowa barmanka, która przekomarzała się z gośćmi. Wysoka i o bujnych kształtach, miała mocno umalowaną twarz; potargane kosmyki ognistorudych włosów wystawały spod jej czepka. Zadziwiającą figurę kobiety podkreślał fartuch zawiązany w cienkiej niczym u osy, talii.

, Jednak to nie jej wygląd, lecz złośliwe, szybkie riposty przyciągały do niej mężczyzn. Kiedy pewien młodzieniec zapytał ją, dlaczego znieubiła go od pierwszego wejrzenia, odpowiedziała bez zmruczenia oka:

- By oszczędzić sobie czasu.

Tę uwagę skwitował wybuch śmiechu.

- Zdobyłaś moje serce, kochana Sally! - zawołał inny młodzieniec. - Chodź ze mną jeszcze dzisiejszej nocy. Pojedziemy do Gretna Green.

- Mam jechać taki kawał drogi na kościstej szkapie? - Zakołysała sugestywnie biodrami. - Mogę sobie znaleźć lepszego rumaka tu, w Londynie.

Dwuznaczność jej słów znowu wywołała wybuch śmiechu; kiedy się uciszyło, nie zniechęcony młodzieniec mrugnął przesadnie i rzekł:

- Nie znajdziesz lepszego rumaka ode mnie, Sally.

- Idź już sobie chłopcze - zbesztła go barmanka. - W ogóle nie znasz się na jeździe konnej, i mogę to od razu udowodnić.

- Jak? - zapytał z oburzeniem, lecz i ciekawością w głosie. Przechyliła dzbanek i dołąła piwa do jego kufła.

- Wytykając ci, że gdyby ten świat miał sens, wszyscy mężczyźni jeździliby na koniach bokiem.

Na ten komentarz cała sala zawyła. Nawet Lucien roześmiał się. Wygrawszy słowny pojedynek, dziewczyna wyszła z pokoju prowokacyjnie kołyszając biodrami. Miała w sobie jakąś prymitywną zmysłowość, która przyciągnęłaby uwagę każdego mężczyzny.

- A więc Lucyfer zdecydował się przyjść. Mój brat mnie uprzedził, że pewno się tu zjawisz - odezwał się ktoś głębokim głosem, lekko przeciągając słowa. - Pośród nas, wyrzutków z piekła rodem, powinienesz czuć się jak w domu.

Lucien spojrział na prawo i pod ścianą zobaczył lorda Mace'a, siedzącego w rogu i obserwującego wszystko, co dzieje się w pokoju. Wysoki i smukły, jak jego młodszy brat, Mace był imponującym człowiekiem o ciemnych włosach i mrocznych oczach.

Biorąc te słowa za zaproszenie, Lucien opadł na puste krzesło obok niego. - Dziękuję bardzo. - Chciał powiedzieć coś więcej, lecz głos uwiązł mu w gardle; za plecami Mace'a była drewniana poręcz na której, przestępując z nogi na nogę, siedział ogromny ptak w kapturze na głowie. - Kim jest twój dziobaty przyjaciel?

Cienkie wargi Mace'a rozciągnęły się w uśmiechu.

- To George, sęp, od którego to miejsce wzięło swą nazwę. Właściciel tawerny był kiedyś aktorem, a teraz pożyczca teatrowi ptaka, kiedy jest taka potrzeba. - Spojrział z sympatią na sępa.

- Dodaje atmosfery, nieprawdaż?

- Zdecydowanie - zgodził się Lucien.

W tej chwili pojawiła się Sally z pełnym dzbanem i kuflem w dłoni. Postawiła szklanicę przed Lucieniem i powiedziała wesoło:

- Bardzo proszę, mój śliczny chłopcze. Diabelski poncz. Smacznego!

A potem odeszła. Wzrok miała odwrócony, a twarz przysłoniętą potarganymi włosami, lecz spojrzawszy na nią przelotnie Lucien zauważył, że pod grubą warstwą puchu mogą się kryć blizny po ospie. Ale to nie miało zbytniego znaczenia, gdyż rzadko który mężczyzna patrzył na jej twarz.

Okazało się, że w kufle znajdowała się mieszanka piwa i spirytusu, przy czym tego drugiego było stanowczo więcej.

- Już rozumiem, dlaczego nazywacie to diabelskim ponczem - zauważył. - Pali jak ognie piekielne.

- Po dwóch kuflach będziesz recytował Pismo Święte od końca.

- W oczach Mace'a zabłyśły iskierki ironicznego humoru.

- Albo będzie mi się zdawało, że to potrafię, co i tak wychodzi na to samo. - Lucien skinął głową w stronę barmanki. - Czy ona bierze udział w waszych ceremoniach? Wygląda na żywiołową dziewczkę.

Oczy Mace'a zwęziły się.

- A co wiesz o naszych ceremoniach?

- Plotka głosi, że Hellioni przebierają się za średniowiecznych mnichów. Po ceremonii każdy „mnich” wybiera sobie partnerkę z grupy „zakonnice”, które dobierane są z najlepszych prostytutek Londynu. Mówi się nawet, że niektóre z tych „zakonnice” to damy z londyńskich wyższych sfer, spragnione wrażeń. - Lucien zachichotał złośliwie. - Słyszałem, że raz, kiedy mnich i zakonnica pozbyli się swych przebrań, okazało się, że są mężem i żoną. Grube brwi Mace'a złączyły się na czole.

- Jesteś dobrze poinformowany.

- Kiedy połowa członków twojej grupy całe życie chodzi pijana, nie oczekuj od nich dyskrecji. - Uśmiechnął się lekko. - Myślałem, że jesteście dość zabawni. A ponieważ ostatnio trochę mi się nudziło, chętnie skorzystałem z zaproszenia twojego brata.

- Robimy co w naszej mocy, by nie popaść w nudę. - Mace obserwował Luciena z nie ukrywanym sceptycyzmem. - Roderick wspominał, że chcesz do nas przystać. A jednak wydajesz się zbyt poprawny, zbyt dandysowaty, by należeć do bractwa rozpustników.

- Lubię kontrasty. I intrygi. - Lucien przez chwilę poprawiał spinkę na mankiecie. - A przede wszystkim, nie lubię spełniać oczekiwań innych.

Mace uśmiechnął się lekko.

- Więc mamy coś wspólnego.

- Jeśli się nie mylę, mamy i inne wspólne zainteresowania. Słyszałem, że interesujesz się mechanicznymi zabawkami. - Kiedy Mace przytaknął, Lucien wyciągnął z kieszeni owalny mały przedmiot ze srebra. - Czy widziałeś już kiedyś coś podobnego? Popatrz przez ten cieńszy koniec.

Mace przyłożył zabawkę do oka i spojrzał przez nią na salę. Cicho wciągnął powietrze.

- Fascynujące. Tam w środku są jakieś soczewki, które rozdrabniają świat na mniejsze kawałeczki, tak?



- Otóż to. - Lucien wyciągnął drugą dokładnie taką samą zabawkę z kieszeni i także przez nią spojrział. Sala natychmiast rozpadła się na tysiące identycznych fragmentów. - Znam jednego filozofa, którego interesują owady. Powiedział mi kiedyś, że ważki mają oczy, dzięki którym najprawdopodobniej tak widzą. Pomyślałem sobie, że to bardzo interesujące, i postanowiłem zwielokrotnić efekt. Optyk zrobił specjalnie dla mnie te soczewki, po czym kazałem je oprawić. Ponieważ nie przyszło mi do głowy nic lepszego, nazywam je „soczewkami ważek”.

Zamrugnął, gdy przesuwając wzrok po pokoju zobaczył Sally. Zafalował przed nim tuzin ogromnych piersi i cieniutkich talii. Efekt był doprawdy imponujący.

- Czyżbyś się zajmował robieniem takich zabawek? - zapytał Mace. Lucien odłożył „soczewki ważek” i Sally znowu stała się jedyną kobietą.

- Wymyślam i robię te zabawki sam, ale mam znajomego złotmistrza, który je dla mnie oprawia.

- To tak jak ja. - Mace uśmiechnął się lekko tajemniczym uśmiechem. - Przez wiele lat stworzyłem całą kolekcję mechanicznych zabawek. Niektóre są dość unikatowe. Może pewnego dnia ci je pokażę.

Kiedy chciał zwrócić soczewki, Lucien machnął niecierpliwie ręką.

- Zatrzymaj je, jeśli ci się podobają. W domu mam kilka podobnych.

- Dziękuję. - W zamyśleniu Mace przyglądał się Lucienowi. - Czy następnym razem, kiedy będziemy odprawiali nasze rytuały, chciałbyś się do nas przyłączyć?

Sukces, pomyślał Lucien.

- Będę zaszczycony.

Mace znowu podniósł soczewki i obserwował Sally.

- Dość duża kobieta. Dziewczyna, która zazwyczaj tu służy, bardziej mi odpowiada... jest szczuplejsza, mniej wulgarna.

- Nasza kolejna wspólna cecha.

Jakiś mężczyzna chciał porozmawiać z Mace'em, więc Lucien zwolnił mu swoje miejsce. Z kuflem w dłoni obserwował swych kompanów. Większość Hellionów przypominała mu rozbrykanych studentów, raczej dzikich niż złych. Po drugiej stronie pokoju jakiś bardzo pijany młodzieniec rozpiął spodnie i powiedział butnie:

- Patrz, co dla ciebie mam, Sally.

Spojrzawszy na niego ze znużeniem, dziewczyna odparła:

- Widziałam już lepsze.

Rozległ się dziki wybuch śmiechu; podczas gdy bardzo czerwony na twarzy

młodzieniec zapinał spodnie, Sally powolnym krokiem wyszła z sali.

Lucien wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym zwrócił uwagę na starszych Hellionów, między którymi znajdowało się wielu znanych w całym Londynie rozpustników. Kilku siedziało razem przy jednym stoliku, więc gdy sir James Westley kiwnął na niego ręką, podszedł do nich.

- Miło cię widzieć, Strathmore. Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo podobało mi się na polowaniu w zamku Bourne. - Pijany baronet czknął głośno, po czym wypił jeszcze trochę ponczu. - Miło, że załatwiłeś to z Candoverem. Słyszałem, że jest bardzo zadufany w sobie, lecz muszę przyznać, że jako gospodarzowi nie można mu nic ująć.

Obok niego siedział lord Nunfield, kuzyn Rodericka Harforda i lorda Mace'a. Był tak samo jak oni doskonale zbudowany.

- Masz wiele szczęścia, Strathmore, że twój przyjaciel mieszka na tak doskonałych terenach łowieckich - rzekł znudzonym głosem. Jego usta ułożyły się w charakterystyczny grymas. - Jeśli się nie mylę, ciebie i Candovera łączą od czasów szkolnych bardzo bliskie stosunki.

Nie można było nie usłyszeć w jego słowach aluzji do homoseksualizmu. Z premedytacją Lucien udał, że jej nie zauważył:

- Wiesz chyba, jak jest w szkole.

- Chłopcy zawsze będą tylko chłopcami - zgodził się Harford. Spojrzał na barmankę, której piersi kołysały się prowokacyjnie, gdy nalewała piwo przy sąsiednim stoliku. - Ale uważam, że i dziewczęta powinny chodzić szkół. Wtedy lekcje byłyby o wiele ciekawsze.

Iskierka zainteresowania błysnęła w oczach lorda Chiswicka, mężczyzny siedzącego przy końcu stołu. Jako syn biskupa, przysiągł sobie złamać jak najwięcej z dziesięciu przykazań.

- Nudzą mnie już podstawiane zakonnice. Mogłoby być zabawnie, gdyby nasze towarzyszki przebrały się następnym razem za uczennice. Uroczy kontrast niewinności i doświadczenia.

Harford przytaknął w zamyśleniu.

- Wart zastanowienia. Poza tym przypomina mi córkę gajowego, którą spotkałem, gdy miałem czternaście lat.

Zaczął opowiadać całe zajście bardzo dokładnie, równie plastycznie, jak zbereźnie. Po jego anegdotce posypały się następne. Nawet Lucien opowiedział pewną historyjkę, choć prawdę mówiąc, była wyssana z palca; nie lubił opowiadać o swych przygodach miłosnych.

Był to długi i nudny wieczór; żarty były dość monotematyczne. Jednak z punktu

widzenia Luciena, nie był to czas zmarnowany. Zanim wybiła północ, Hellioni najwyraźniej zaakceptowali go jako członka grupy. Żeby zabić nudę, obserwował Sally, która co chwila wchodziła i wychodziła z pomieszczenia. Wyzywająca i przekorna, była ekspertką w rozbawianiu gości i unikaniu obmacujących ją rąk. Nie należała do typu kobiet, na które zazwyczaj zwracał uwagę, lecz coś go w niej intrygowało. Było w niej coś zastanawiająco znajomego. Być może już ją gdzieś widział.

Przed pierwszą większością Hellionów już poszła do domu i Lucien zastanawiał się, czy nie opuścić tawerny. Wtedy właśnie zauważył, że najgłośniejszy z adoratorów Sally, lord Ives, wstaje chwiejnie i wychodzi za dziewczyną z pokoju. Choć barmanka powinna dać sobie z młodzieńcem radę, Lucien nie potrafił pohamować instynktów opiekuńczych. Pożyczywszy dobrej nocy tym Hellionom, którzy jeszcze nie leżeli pod stołami, wstał powoli i wyszedł za Sally i Ivesem.

Tawerna miała mnóstwo podziemnych korytarzy i Sally właśnie szła jednym z nich w stronę spiżarni. Jej buty stukały o kamienną podłogę, gdy skręciła w lewo, a potem znowu w lewo. Najwyraźniej nie mając pojęcia, że Ives podąża za nią w tak bliskiej odległości, postawiła świeczkę na stole i schyliła się po dzbanek piwa.

Lucien zatrzymał się w ciemnym przejściu. Jeżeli jego pomoc nie będzie konieczna, zniknie. Źle by wpłynęło na jego reputację rozpustnika, gdyby przy każdej sposobności ratował służące przed lubieżnością Hellionów, a wszystko wskazywało na to, że nękanie biednych istot należy do ich zwyczajów.

Gdy barmanka się wyprostowała, Ives zapytał przepitym głosem:

- Jeżeli nie chcesz ze mną uciec, piękna Sally, to może chociaż dasz mi się zabawić, zanim wrócę do domu?

Drgnęła, po czym spokojnie nalewając piwo z dzbanka do kufli, powiedziała z sympatią w głosie:

- Nawet gdybym miała ochotę, a nie mam, wątpię, czy cokolwiek by ci ze mnie przyszło, młodzieńcze. Alkohol może i wzmaga pożądanie, ale obniża możliwości.

Luciena zaskoczył fakt, że barmanka cytuje Szekspira, choć z drugiej strony nie było najmniejszego powodu, dla którego Sally miałyby go lubić mniej niż arystokracja.

- Jeżeli wątpisz w moje możliwości, wypróbuj mnie, droga Sally - rzekł mniej odczytany Ives. Marchewkowe loki dziewczyny zafalowały, gdy energicznie potrząsnęła głową.

- Mojego starego nazywają „zabójca Caine” i wcale by mu się nie podobało, że oddaję się na prawo i lewo. - Żartobliwie odepchnęła Ivesa. - Idź do domu, do własnego łóżka,

chłopcze, i sam odeśpij ten poncz.

- Pocałuj mnie więc, Sally. Daj mi tylko jednego małego buziaka. Zanim mu odpowiedziała, przyciągnął ją do siebie i miętosząc jej piersi, usiłował pocałować w usta. Lucienowi wydawało się, że tak naprawdę młodzieniec nie ma złych zamiarów, ale był zbyt pijany, by zdawać sobie sprawę z własnej siły czy zauważyć, że kobieta rozpaczliwie stara mu się wyrwać. Wspominając przykre zajście z pokojówką w zamku Bourne, Lucien postanowił się wtrącić.

Ruszył w ich stronę, lecz Sally mocno nadepnęła na stopę swego adoratora.

- Auu! - zawył Ives i uniósł głowę. Nie zdejmując dłoni z piersi dziewczyny, zapytał z urazą: - I po co to było?

- Żeby się ciebie pozbyć, chłopcze - odparła Sally ledwo łapiąc oddech.

- Nie odchodź - błagał miętosząc w dłoni miękką pierś. Uderzyła go w klatkę piersiową i wreszcie się wyswobodziła.

- To nie o mnie ci chodzi, tylko o to! - rzuciła wściekle. Sięgnęła za stanik sukni i wyciągnęła stamtąd ogromną poduszkę. Rzuciwszy ją w twarz napastnikowi, dodała: - Dobranoc, chłopcze.

Ives zachwiał się, kiedy miękka poduszka uderzyła go w nos. Długą chwilę gapił się na leżący przed nim zwój wełny, a potem podniósł wzrok na barmankę. Fałdy sukienki opadały teraz luźno na jej, nieco skromniejszych rozmiarów, pierś.

Młodzieniec zaczął się śmiać.

- Jesteś kobietą o fałszywym sercu, Sally.

- To nie moje serce jest fałszywe - odparła zaczepnie. - A teraz uciekaj i nie przeszkadzaj mi w pracy.

- Przepraszam... źle się zachowałem. Czy będziesz tu następnym razem, kiedy Hellioni będą się spotykać?

Wzruszyła ramionami.

- Może tak, a może nie. Posyłając jej w powietrzu całusa, Ives wyszedł drugimi drzwiami prowadzącymi na plac przed tawerną. Sally obserwowała go, kiedy w ciemnościach za nią rozległ się cichy chichot Luciena. Podskoczyła, po czym obejrawszy się, zobaczyła go wynurzającego się z mroków.

- No proszę, czyż to nie stary Lucyfer we własnej osobie? - rzekła złośliwie. - Podobało ci się to przedstawienie?

- Jak najbardziej. - Wszedł do spiżarni. - Myślałem, że będziesz potrzebować pomocy, ale najwyraźniej się myliłem.

- Lucyfer miałby mi pomagać? - zapytała ironicznie. - Czy też może chciałeś dotknąć mojego wypchanego tyłka?

Teraz, kiedy fałszywe piersi zniknęły, okazało się, że jedynie jej wąska talia była prawdziwa. Bez poduszki na biodrach miałaby szczupłe kobiece ciało, które Lucienowi podobałoby się o wiele bardziej niż przesadzone wełniane kształty.

- Dlaczego chowasz figurę, która jest o wiele ładniejsza niż imitacja?

- Może i lubisz chude kobitki, ale większość mężczyzn preferuje nas z ogromnymi piersiami i jeszcze większymi tyłkami. - Kiedy wyszczerzył zęby w uśmiechu, dodała kąśliwie: - Może dla ciebie to i żart, wasza wspaniała lordowska mość, ale to wełniane świnstwo daje mi trzy złote funty więcej tygodniowo z samych tylko napiwków.

- Wcale się z ciebie nie śmieję - zapewnił ją szczerze. - Podziwiam spryt.

Pochyliła głowę, najwyraźniej zawstydzona komplementem. Lucien podziwiał jej zmysłowość, która nie miała nic wspólnego z fałszywymi kształtami ciała. Stał wystarczająco blisko, by zauważyć, że skóra jej twarzy pod grubą warstwą pudru jest gładka. Być może dziewczyna była młodsza, niż mu się zdawało.

- Poza tym byłabyś z pewnością ładniejsza bez całej tej farby. Podniosła głowę i spojrzała na niego krytycznie.

- Nie pytałam pana o opinię, milordzie. Sama wiem, co dla mnie najlepsze.

Jej oczy były czyste i jasne, choć w przytłumionym świetle nie był w stanie zidentyfikować ich koloru. Znowu wydało mu się, że już ją gdzieś widział.

- Mam wrażenie, że już się spotkaliśmy. Występowałaś może na scenie? Spojrzała na niego przerażona.

- Może i jestem tylko barmanką, lecz to jeszcze nie powód, by mnie obrażać.

- Nie wszystkie aktorki są ladacznicami - sprostował łagodnie.

- W większości są.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, z sali na górze dobiegło wołanie:

- Sally, gdzie ty się u diabła podziewasz?

Dziewczyna złapała wełnianą poduszkę i ostentacyjnie odwróciła się plecami do Luciena.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę założyć z powrotem piersi. Zdał sobie sprawę, że nie chce jeszcze wychodzić. Sally intrygowała go i chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Zdziwiło go to, gdyż nigdy do tej pory nie czuł potrzeby uwodzenia służby.

- Powiedz „zabójcy Caine'owi”, że ma szczęście - rzekł. A jednak gdy wychodził z tawerny, miał nadzieję, że lord Mace zaprosi Sally na następną orgię i że on rozpozna ją pod

habitem zakonnicy.

Kit z mocno bijącym sercem oparła się o ścianę. Jak mogła być tak głupia i przekomarzać się z jednym z podejrzanych? A tym bardziej z lordem Strathmore'em, którego leniwie przymknięte oczy zauważają wszystko i którego wdzięk czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym. Tawernę pewnie nawiedzał duch jakiejś starej barmanki; musiał na chwilę ją opętać, gdyż nie była w stanie przypomnieć sobie ani słowa z rozmowy z lordem Strathmore'em.

To nie może się już więcej powtórzyć. Choć Strathmore nie rozpoznał w niej pokojówki z zamku Bourne, kogoś mu przypominała, więc następne spotkanie mogłoby być fatalne w skutkach.

Skusiła się na posadę w tawernie Pod Koroną i Sępem, mając nadzieję, że w ciągu jednego wieczoru pracy pośród Hellionów zdoła poznać ich charaktery. Bella, barmanka, która zazwyczaj obsługiwała ich salę, nie była zbyt skora do odstąpienia koleżance tak intratnej posady, więc Kit obiecała, że odda jej wszystkie napiwki i dołoży od siebie pięć funtów.

Skuszona, lecz nadal podejrzliwa Bella zapytała, dlaczego dama chce wykonywać taką pracę. Bez mrugnięcia okiem Kit opowiedziała jej wcale prawdopodobną historyjkę o tym, że jest siostrą jednego z Hellionów i założyła się z nim, iż potrafi przebrać się tak, że nawet on jej nie pozna.

Rozbawiona Bella powiedziała Kit, co ma robić, po czym przedstawiła ją właścicielowi jako swą kuzynkę, która zastąpi ją tego wieczoru w pracy, ponieważ ona sama źle się czuje. Właściwie cały wieczór dziewczyna bardzo dobrze sobie radziła, Cięty język maskował brak doświadczenia i nikt się nie zorientował, że jest oszustką.

- Sally! - ryknął właściciel po raz drugi. - Przestań się obijać i posprzątaj tę salę na tyłach tawerny.

Doprowadziwszy sztuczny biust do porządku, zabrała się z powrotem do pracy. Udawanie kogoś tak od niej różnego było wyczerpujące, lecz przynajmniej przyzwyczała się do tego, że rozochoceni pijacy starają się do niej dobrać. Już wkrótce będzie ekspertem w unikaniu ich obrzydliwych uścisków.

Jakby się czuła, gdyby pocałował ją lord Strathmore? Uśmiechnąłby się do niej z rozbawieniem w tych dziwnych zielonozłotych oczach, a jego dotyk byłby lekki i pewny. Może od niego wcale nie chciałaby uciekać...?

Na tę myśl zadrżała i przyspieszyła kroku. Jedno wiedziała na pewno: byłby inni niż pozostali...

Kiedy Kit posprzątała w pustym pomieszczeniu na tyłach tawerny, wróciła do głównej sali. Kilka zagubionych dusz siedziało jeszcze smutno przed ogniem na kominku. Właśnie miała wychodzić, gdy jeden z klientów wstał i podszedł do niej. Jej niepokój zniknął, gdy rozpoznała jego masywną, zwalistą postać.

- Jest już bardzo późno, panie Jones. Czyżby miał pan dla mnie jakieś wiadomości? - zapytała z nadzieją.

Potrząsnął głową.

- Nic nowego od czasu naszej ostatniej rozmowy. Przyszedłem, by odprowadzić panią do domu.

Przełykając gorzki smak rozczarowania, Kit mruknęła pod nosem:

- Niech pana Bóg błogosławi. Wcale by mi się nie uśmiechało wracać samej do domu o tej porze.

Zerknął na nią z rozbawieniem, gdy nakładała płaszcz. - Urosłaś, dziewczyno. Ledwo cię poznałem.

- O to właśnie chodziło. - Uśmiechnęła się słabo.

Zapalił latarnię, którą przyniósł ze sobą, po czym otworzył drzwi. Dziewczyna wyszła i zadrżała z zimna. Przytrzymała poły płaszcza pod szyją.

- Pójdę dziś na Marshall Street.

Przytaknął, po czym ruszyli powoli ramię przy ramieniu w chwiejnym świetle latarni. Kiedy już odeszli spory kawałek od tawerny, zapytał:

- Czy dowiedziała się panienka czegoś ciekawego?

- Raczej wyczułam ogólny nastrój. Większość Hellionów wydaje się niegroźna. Moim zdaniem najgroźniejsi się Chiswick, Mace, Nunfield, Harford i Strathmore. W czterech pierwszych wyczuwam dziwny chłód, i dlatego myślę, że są stworzeni do czynienia wszelkiego zła. - Zamilkła na chwilę omijając dużą kałużę. - Nie mam pojęcia, co myśleć o lordzie Strathmore. Jest w nim coś niepokojącego, a jednak chciał mi przyjść z pomocą, gdy jeden z młodzieńców naszedł mnie w spiżarni.

Pan Jones zaklął pod nosem.

- Nie powinna pani stawiać się w podobnych sytuacjach i narażać na niebezpieczeństwo, panienko.

Zacisnęła usta.

- Mam nadzieję, że nie chce pan ponownie tracić naszego czasu na wybijanie mi z głowy czegoś, co postanowiłam.

- Już dawno powinienem się nauczyć, nieprawdaż? - zapytał sucho. - Jednak nie

wolno pani nie doceniać Strathmore'a. Może i miał chwilę słabości, ale z całej tej bandy to jego najtrudniej było sprawdzić. Wszystkie moje dociekania prowadziły w ślepe zaułki. Ten człowiek to chodząca tajemnica, co czyni go dwakroć niebezpiecznym.

- Napisał pan w swym raporcie, że przez kilka ostatnich lat Strathmore nie zadawał się z Hellionami. Najprawdopodobniej więc to nie o niego nam chodzi.

- Był z nimi wystarczająco długo - odparł ponuro Jones. - Nie tak dawno temu zabił dwóch rzeźmieszków, jednego gołymi rękoma. W każdym razie twierdził, że byli to zbóje. Niech pani na niego uważa.

Zadrzała przypominając sobie kocie oczy hrabiego. - Tak właśnie zamierzam.

Potem nie zostało im już nic do powiedzenia. Kiedy doszli do małego domku na Marshall Street, Kit zaproponowała swemu towarzyszowi, by wszedł i napił się czegoś na rozgrzewkę, lecz odmówił jej grzecznie.

- Jeżeli wkrótce nie pojawię się w domu, moja Annie stanie się podejrzliwa. - Zaśmiał się głośno, zapalając świeczkę dziewczyny od płomyka latarni. - Ona uważa, że kobiety nie potrafią mi się oprzeć. To bardzo miłe dla mojego starego próżnego serca.

- Czy da mi pan znać, jeżeli...?

- Oczywiście - odparł cicho. - Jeżeli dowiem się czegokolwiek, natychmiast dam pani znać.

Kit zamknęła za nim drzwi, po czym oparła się o nie, wsłuchując się w przyjazną ciszę pokoju. Jak zwykle zmartwienia usunęły się na dalszy plan i przez chwilę znowu miała wrażenie, że wszystko będzie dobrze.

Wyprostowała się, gdy coś ciepłego i małego otarło się o jej nogi mruczając głośno.

- Nawet nie próbuj ze mną tych sztuczek, Viola. Wiem doskonale, że obchodzi cię tylko kolacja. Wzięła tłusciutką kotkę na ramię i ruszyła do maleńkiej kuchni na tyłach domu. Mieszkanko było niewielkie, lecz bardzo wygodne, ze sporym salonem i jedną sypialnią. Na drugim piętrze znajdowało się identyczne mieszkanie, zajmowane przez aktorkę, Cleo Fransworth. Choć Cleo była nieco młodsza niż Kit, miała tak dobre serce, że matkowała zarówno Violi, jak i dziewczynie.

Nakarmiwszy kotkę, Kit rozpałała ogień w kominku i rozebrała się ze znużeniem. Najbardziej zadziwiające było to, że w całym mieszkaniu wbudowano w ściany ogromne szafy. Powiesiwszy ubranie w jednej z nich, Kit podeszła do innej, w której znajdowało się wiele gipsowych głów. Na wszystkich - z wyjątkiem jednej - wisiały peruki; różnych kolorów, długości i stylów.

Kit z ulgą zdjęła marchewkową perukę i przeczesła palcami swoje zmierzwione



jasnokasztanowe włosy. Z równą ulgą wyjęła spod ubrania wełniane poduszki i zeszkobała puder z twarzy.

Wreszcie wskoczyła do łóżka, gdzie Viola już słodko spała na jednej z poduszek. Zасыpiając, Kit modliła się gorąco o natchnienie, którego tak rozpaczliwie potrzebowała. Stary człowiek, wpuszczając gościa do środka, uniósł ze zdumienia krzaczaste brwi.

- Nie rozpoznałbym pana, milordzie. Wygląda pan raczej na zapalacza latarni.

- I dobrze. Właśnie o to mi chodziło. - Lucien zdjął bezkształtny płaszcz. - Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć o tak późnej porze.

Prowadząc gościa do biblioteki, stary człowiek zachichotał.

- Lichwiarz musi być przyzwyczajony do dziwnych pór odwiedzin, gdyż jest wielu ludzi, którzy nie chcą, by ich tu widziano. Cóż mogę dla ciebie uczynić, milordzie? Nie uwierzę, że chce pan skorzystać z moich usług.

- Masz rację... to nie pieniądze są mi potrzebne, ale informacje.

- Lucien wyciągnął z kieszeni długą listę. - Chciałbym wiedzieć, który z tych mężczyzn kontaktował się z tobą lub z twoimi kolegami. A szczególnie, czy któryś z nich gwałtownie potrzebował pieniędzy, gdy cesarz abdykował na wiosnę? Albo kto pożyczał wcześniej od czasu do czasu, a ostatnio potrzebuje bardzo dużo pieniędzy?

Stary mężczyzna spojrział zamyślonym wzrokiem na młodego lorda, lecz swe myśli zachował dla siebie. Rzuciwszy okiem na listę, rzekł:

- Porozmawiam z moimi kolegami i wkrótce dam panu znać.

- Odkładając listę na biurko, dodał: - Jest jeszcze inna sprawa, dość błaha. Wahałem się, czy w ogóle o niej wspominać, ale...

Kiedy głos mu zadrżał, Lucien zaczął delikatnie nalegać:

- Tak?

- Pewien młodzieniec, który jest mi winien dość sporą sumę pieniędzy, powiedział ostatnio, że we wschodniej i centralnej Europie ludzie mojej profesji często padają ofiarą rozgniewanego tłumu. Bunt, podpalenie i wszystkie niewygodne długi zostają zamienione w popiół. - Rozłożył ręce z zatroskaniem na twarzy.

- Udawał, że to tylko żart, ale sędzę, że mówił poważnie. Lucien zmarszczył brwi.

- Coś podobnego nie miało miejsca w Brytanii od wielu lat, lecz tłum bywa nieobliczalny. Jak się nazywa ten młodzieniec? - Usłyszawszy nazwisko kiwnął głową w zamyśleniu. - Bardzo dobrze. Nie musisz się niczego obawiać... już więcej nie będzie z nim kłopotu. - Co zamierza pan zrobić, milordzie? - zapytał starszek z niepokojem. - Nie chciałbym mieć na rękach krwi człowieka, nawet jeżeli to taka wściekła, chciwa świnia.

- Nie zamierzam zrobić nic tak drastycznego. Poza tym, gdyby nie żył, to jak spłaciłby długi? Znam sposób, by mu wytłumaczyć, jak ma się zachowywać.

- Czy nie zechciałby się pan napić trochę herbaty, milordzie? - zapytał z wdzięcznością lichwiarz.

- Nie dzisiaj. Muszę jeszcze odwiedzić kilku znajomych na East Endzie. Przyjdę za trzy dni. - Potrząsnąwszy dłonią gospodarza, zniknął w mrokach nocy.

Wracając do biblioteki stary człowiek zastanawiał się, jakież to wizyty musi jeszcze odbyć hrabia. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma wystarczającej wyobraźni, by odpowiedzieć sobie na to pytanie; wzdygnął się i otworzył księgę rachunkową.

Lucien włożył mechanizm do srebrnej figurki i sprawdził, czy pasuje. W jednym miejscu zbytnio przylegał. Wyjął urządzenie i jubilerskim pilnikiem zaczął spiłowywać nierówność. Robił właśnie prezent na chrzciny dziecka swego przyjaciela 'Nicholasa' i chciał, aby było to coś wyjątkowego. Z doświadczenia wiedział również, że koncentracja uwagi, konieczna przy budowaniu mechanicznych zabawek, pomaga mu oderwać się od dręczących myśli. Lepiej poczekać, aż plan działania sam przyjdzie do głowy.

Niestety tego wieczoru nic samo nie chciało przychodzić. Zbierał dokładne wiadomości o wszystkich Hellionach - od dokumentacji finansowych aż po własne odczucia... A jednak był równie daleko od odpowiedzi na pytanie, który z nich jest szpiegiem, co pierwszego dnia dochodzenia.

Jedynym dowodem, jaki posiadał, był raport, który niedawno przysłał mu jeden z agentów w Paryżu. W aktach szefa policji napoleońskiej agent ów znalazł kilka ukrytych odniesień do cennego angielskiego źródła informacji. Jedna z informacji sugerowała, że szpiegiem jest ktoś z Klubu Hellionów. To było wszystko, co Lucien posiadał. Zakładał, że zdrajcą powodowała raczej chciwość niż jakiegokolwiek powody polityczne, jednak wiele to nie pomogło: okazało się, że połowa Hellionów ma problemy finansowe spowodowane zamiłowaniem do hazardu i nierządu.

Lucien skończył piłować i wyprostowawszy się na krześle, przeciągnął zeszywniałe mięśnie. Zazwyczaj potrafił opanować zniecierpliwienie, lecz tym razem przychodziło mu to z wyjątkowo dużym trudem. Miał już dość spędzania czasu z Hellionami. Następnego ranka zapowiadało się kolejne polowanie, tym razem w wiejskiej posiadłości lorda Chiswicka. Choć nie było to oficjalne zgromadzenie bractwa, mieli być obecni prawie wszyscy starsi członkowie. Nie byli zbyt sympatyczną grupką; zachowywanie się zgodnie z ich normami kosztowało Luciena wiele nerwów i wysiłku.

Przez myśl przemknęła mu ognista barmanka z tawerny Pod Koroną i Sępem. Z ponurym uśmiechem zdał sobie sprawę, że jego niepokój ma o wiele prymitywniejsze źródło: jego ciało pragnęło kobiety. Spojrzał na zegar - dochodziła jedenasta. Nie było jeszcze za późno, by udać się do jednego z tych dyskretnych burdeli, otwierających swe podwoje tylko dla dobrze urodzonych i bogatych klientów, gdzie kobiety są ciepłe i przyjazne.

Zawahał się rozdarty między pożądaniem a pruderią, aż w końcu potrząsnął głową. Nie czuł jeszcze aż tak silnej potrzeby, by decydować się na taki krok. Wiedział, ile może go to kosztować.

Po raz tysięczny w życiu żałował, że nie należy do tych mężczyzn, którzy sypiają z obcymi kobietami bez żadnych emocjonalnych reperkusji. Niestety dla niego było to niemożliwe.

Jako rozbrykany młodzik często kosztował przyjemności dostępnych przedstawicielom jego sfery. Rzucił się w wir tych uciech tak zapamiętał, że dopiero po długim czasie zdał sobie sprawę z ceny, jaką za nie płacił; były nią depresja i przygnębienie.

Antyczny epigram mówi: *post coitum omne animal triste est* - po stosunku każde stworzenie jest smutne. Jednak to, co Lucien odczuwał, wykraczało poza normalne poczucie smutku i zagubienia we wszechświecie. Jego napady rozpacz były głębsze i ciągnęły się godzinami, czasem trwały nawet parę dni.

Po przeszukaniu najciemniejszych zakątków swego umysłu Lucien doszedł do wniosku, że to wszystko przez iluzoryczne poczucie bliskości, które ma miejsce w czasie zbliżenia. Kiedy akt dobiega końca, powraca samotność i żal.

Gdy zdał sobie sprawę, jak wysoką cenę płaci za kilka minut przyjemności, z żalem wybrał mniej rozpustne życie. Czasami, kiedy namiętności i tęsknota za bliskością innego człowieka brały górę nad samokontrolą, wyruszał na poszukiwanie kobiety. Zawsze miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej; że będzie w stanie dawać i brać przyjemność i obudzić się następnego dnia z uśmiechem na ustach. Ale tak nigdy nie było.

Spojrzał na szkic węglem, przedstawiający jego i jego siostrę, Elinor, wykonany dwa lata przed jej śmiercią. Szkic, nakreślony pośpiesznie przez malarza przybyłego do Ashdown, rodzowego majątku Strathmore'ów, miał być wstępem do olejnego portretu rodziny. Obraz był wspaniały i zajmował honorowe miejsce w galerii, lecz Lucienowi bardziej podobał się szkic, na którym artysta o wiele lepiej uchwycił dziewczęcy wdzięk Elinor.

Patrzył na dwie jasnowłose głowy przytulone do siebie, na twarze dzieci, które do tej pory zaznały tylko miłości i nie widziały jeszcze zła tego świata. Czasem trudno było mu sobie przypomnieć te chwile beztroski i szczęścia.

Z zaciśniętymi ustami, pochylił się nad biurkiem i sięgnął po najcieńszy śrubokręt. Przy odpowiedniej koncentracji może znowu uda mu się zapomnieć.

Kit zapamiętała dokładnie instrukcje pana Jonesa, a otwarcie zamku w balkonowych oszklonych drzwiach zajęło jej tylko chwilę. Wsunęła się cicho do ciemnej biblioteki, wstrzymała oddech i wyteżyła słuch. Z oddali dobiegły ją piskliwe chichoty. Lordowi Chiswickowi trzeba było przyznać, że wie, jak zabawiać gości; specjalnie dla nich sprowadził na prowincję dziesięć londyńskich prostytutek. Ponieważ noc dopiero się zaczynała, miała sporo czasu na przeszukanie pokoi.

Z włamania na włamanie stawała się lepszym kryminalistą. Tym razem była tylko przerażona, już nie trzęsła się ze strachu.

Cicho przeszła schodami na tył domu, gdzie znajdowały się pokoje gościnne. Nie była w stanie ponownie zatrudnić się w charakterze pokojówki, lecz rozpytawszy się w wiosce, odnalazła odpowiedniego człowieka. Służący Chiswicków za odpowiednią opłatą opowiedział jej o zwyczajach panujących w domu i narysował plan pomieszczeń. Powiedział również, że jego lordowska mość ku zgorszeniu całej okolicy zawsze przywozi na swe przyjęcia nierządnicę. To poddało Kit pomysł, żeby ubrać się nieprzyzwoicie i nieopatrzenie wślizgnąć do domu, by kontynuować poszukiwania. Blond peruka oraz nieco zmodyfikowane poduszki i makijaż sprawiły, że wyglądała na wcale niezłą ladacznicę.

Gdyby nawet zobaczył ją któryś z gości, nie miałby wątpliwości, że jest jedną z panienek przywiezionych przez Chiswicka.

Zmarszczyła brwi widząc, że tym razem na drzwiach nie ma wizytówek pozwalających jej zidentyfikować lokatorów. Będzie musiała poszukać w pokojach czegoś, co zdradzi ich tożsamość.

Z wilgotnymi ze zdenerwowania dłońmi wsunęła się do pierwszej sypialni.

Lucien zorientował się, że orgia właśnie się zaczyna, kiedy siedząca obok niego ponętna rudowłosa kobieta wdrapała mu się na kolana.

- Wyglądasz na samotnego, kochanieńki - zamruczała czule. - Lizzie zaraz coś z tym zrobi.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i obdarzyła go pocałunkiem pachnącym winem.

Była doprawdy czarującym stworzeniem i przypominała mu barmankę Sally, z tym że wycięcie sukni Lizzie nie pozostawiło wątpliwości, że jej kształty są prawdziwe. Zastanawiał się nad przyjęciem jej propozycji. Już tyle czasu minęło, odkąd po raz ostatni miał kobietę... zbyt wiele. Być może wesołość i bezpośredniość Lizzie odpędziłyby po wszystkim nieuchronny smutek.

Ale to żądza przemawiała przez niego, a nie rozsądek; doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Bezsensowna kopulacja z nieznaną tylko pogorszyłaby sprawę. Depresja byłaby jeszcze większa. Ledwie by skończył, już żałowałby bezmyślności. Nie warto, pomyślał.

Z drugiej strony wstrzemięźliwość na orgii mogła się wydawać podejrzana. Powinien przynajmniej zachowywać pozory.

Podczas jego pocałunku z Lizzie sprawy posunęły się naprzód. Kiedy spod stołu dobiegł głęboki męski pomruk, Lucien schylił się i zobaczył młodą kobietę demonstrującą swe profesjonalne zdolności na Rodericku Harfordzie. Chiswick natomiast, obejmując dwie

blondynki, oddalał się chwiejnym krokiem w stronę biblioteki. Nunfield leżał na podłodze na brzuchu i ssał palec u nogi jakiejś ciemnowłosej dziwki. Pozostali goście parami albo w większych grupach udawali się na stronę.

Lucien postawił rudą z powrotem na ziemi i wstał z fotela. Potem objął ją i wyprowadził z jadalni na korytarz.

- Czyżbyś nie lubił obserwatorów, kochanieńki? Ja też za nimi nie przepadam. - Przytuliła się do niego i zaczęła pieścić wprawną ręką.

Nieomal zmienił zdanie. Nieomal.

- Przepraszam, Lizzie, ale dziś wolałbym spać sam - powiedział łagodnie. - Spadłem dziś z konia na polowaniu i mam mnóstwo siniaków w najmniej odpowiednich miejscach.

- Jesteś pewien? - zapytała czule. - Muszę dziś kogoś obsłużyć, a ty jesteś tu najlepszy.

Zauważywszy ciemne sińce pod jej oczami rzekł cicho:

- Może i ty trochę byś odpoczęła? Zawahała się.

- Jeżeli mam być szczerą, miałam nad wyraz męczący dzień i chętnie bym się przespała. Ale praca to praca, a lord Chiswick nie lubi wydawać pieniędzy na darmo.

- Jutro opowiem wszystkim, jaka byłaś cudowna. Chiswick nie będzie nic podejrzewał.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Bardzo dobrze... to będzie nasz sekret. - Popatrzyła na niego z jawnym uwielbieniem. - Jestem ci winna przysługę, kochaniutki. Przyjdź do mnie któregoś wieczoru, kiedy oboje będziemy w lepszych nastrojach. Lizzie La Roche... szukaj mnie w loży teatru Royale.

Powiedział jej „dobranoc”. Ruszył do swego pokoju i nagle poczuł ukłucie żalu. Była miłą i ładną dziewczyną i może gdy następnym razem ogarnie go żądza, pójdzie jej poszukać.

Ku jego zaskoczeniu, spod drzwi sypialni sączyło się światło. Wszedł po cichu i w przeciwnym rogu pokoju zobaczył wysoką kobietę. Uznał, że to pokojówka, lecz potem dostrzegł, że ma szminkę na twarzy i jest ubrana w przezroczystą sukienkę. Była to kolejna z pań Chiswicka, tym razem zmierzwiona blondynka. Stłumił westchnienie. Nie był w stanie raz za razem wykopywać ładnych dziewcząt ze swej sypialni, więc może tym razem powinien się poddać nieuniknionemu.

Jednak dobry humor wyparował z niego w chwili, gdy ujrzał, że dziewczyna przeszukuje jego szafę z ubraniami. Sprawdziwszy górne półki, zajęła się szufladami na bieliznę. Tam znalazła pudełko z mechanicznymi zabawkami, które chciał pokazać lordowi Mace'owi.

Zanim zdążyła je otworzyć, powiedział zimno:

- Jeżeli szukasz pieniędzy, tam ich nie znajdziesz. Dziewczyna wypuściła pudełko z rąk. Upadło na podłogę i jego zawartość rozsypała się po dywanie. Kiedy odwracała się do Luciena, złote loki zafalowały, a oczy szeroko otworzyły się ze zdziwienia. Może i nawet by jej współczuł, gdyby nie złapał jej na gorącym uczynku.

Zamknął za sobą drzwi i opierając się o nie plecami, założył ramiona na piersi.

- Czy zawsze okradasz klientów?

- Ja... ja nie kradłam, milordzie. - Jej niski, przyjemny głos miał mocny akcent z prowincji Yorkshire.

- Oczywiście, że nie - odparł sucho. - Zapewne zgubiłaś się i przez pomyłkę weszłaś do mojej sypialni.

Dziewczyna przyglądała się swym zaciśniętym dłoniom.

- Ja... ja szukałam pana Harforda, ale nie wiedziałam, w którym pokoju został ulokowany. Zajrzałam do szafy mając nadzieję, że rozpoznam pośród ubrań jego rzeczy.

Może i mówiła prawdę, choć szczerze w to wątpił. Na szczęście powstrzymał ją na czas. W jej wyzywającym ubraniu trudno by było ukryć sporo zrabowanych kosztowności... nie ukrywało ono nawet ponętne ciało dziewczyny. Patrzył na nią z podziwem. Nie potrafił się gniewać na kobietę o tak wspaniałych długich i szczupłych nogach.

- Wątpię, czy Harford potrzebuje twoich usług. Kiedy go widziałem ostatnio, był zajęty z jedną z twoich koleżanek.

- Ach tak. - Po chwili niezręcznej ciszy dodała: - Przyjechałam nieco później... pewnie lord Chiswick nie będzie ze mnie zadowolony.

- Wątpię, czy nawet zauważy twoją nieobecność - rzekł Lucien przypominając sobie dwie blondynki, które lord obejmował. - A jednak lepiej będzie, jeżeli go odnajdę. Przepraszam, że przez pomyłkę weszłam do pańskiego pokoju. Proszę mi wierzyć, że niczego bym nie zabrała. - Ruszyła do drzwi, pewna, że się odsunie i ją wpuści. - Dobranoc, milordzie.

Ani drgnął. Obserwując, jak się porusza, poczuł przyływ tłumionego od wielu dni pożądania. Krew zaczęła mu krążyć szybciej, a serce biło mocniej. Chociaż dziewczyna nie była tak oszalamiająca jak Lizzie, coś go w niej intrygowało. Być może był to kontrast nieśmiałości i wyzywającego wyglądu. A może cicha godność, jaką w niej wyczuwał, nawet w tych okolicznościach?

Powód nie był ważny; ważne było to, że im dłużej na nią patrzył, tym bardziej tracił samokontrolę.

- Ponieważ Harford nie jest osiągalny, zostań tu i ze mną zarób na swój chleb. - Jego słowa zapadły w ciszę pokoju jak mały kamyczek w staw pełen wody, posyłając drobne fale w każdą stronę.

Kit stanęła w pół kroku. Miała rację obawiając się lorda Strathmore'a, gdyż jego kocie oczy były doprawdy niesamowite. Poczula, że puls jej przyspiesza i już nie była pewna, czy ze strachu, czy oczekiwania.

Wyciągnął do niej dłoń.

- Chodź tutaj - powiedział łagodnie cichym, miękkim głosem. Chciała uciekać, lecz jej ręka, jakby posłuszna innym rozkazom, uniosła się i zacisnęła na jego dłoni. Po chwili dziewczyna była już w ramionach Strathmore'a.

Wiedziała, że ten mężczyzna będzie inny, i był. Nie gniótł jej w uścisku, lecz trzymał lekko, głaszcząc bujne zmierzwione loki, gładząc plecy, wtulając policzek w jej włosy, aż przyzwyczała się do jego dotyku. Zamknęła oczy. Ciepło, siła, subtelny erotyzm - wszystko to zawładnęło jej zmysłami. Powoli odprężyła się i wtuliła w ciało mężczyzny.

- Jak masz na imię? - zamruczał.

Nie odpowiedziała, gdyż zepsułoby to nastrój. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła realizować swój plan, poczuła się bezpieczna. A była tak samotna, tak bardzo się bała...

Ujął jej podbródek i uniosł twarz do pocałunku. Zadrzała, gdy ich usta się złączyły. Choć Strathmore nie poczynał sobie zbyt agresywnie, nie potrafiłaby się mu wyrwać, nawet gdyby jej życie od tego zależało. Pocałunek pogłębił się... stał się bardziej namiętny... zawierał w sobie żądanie. Bez cienia fizycznej przewagi Strathmore łamał wszelkie opory dziewczyny.

Magia przestała działać, gdy poczuła męskie dłonie na swych nagich ramionach. Dobry Boże! Rozwiązał tasiemki przytrzymujące stanik sukienki i zsunął rękawki. Jeżeli zaraz go nie powstrzyma, rozbierze ją do naga. A odzierał ją nie tylko z ubrania, ale i z murów obronnych, które przez tyle lat dokoła siebie wznosiła. Jak mogła tak łatwo zapomnieć, że jest jednym z jej wrogów? Nieprzypadkowo nazywano go Lucyferem.

Gwałtownie łapiąc powietrze odepchnęła go od siebie.

- Muszę już iść. - Podciągnęła rękawy. - Ja... miałam specjalnie zabawić pana Harforda. Jeżeli zwolni mnie z tego obowiązku, z pewnością wrócę.

Przemknęła obok niego i już za chwilę byłaby wolna...



Lucien zaklął pod nosem, gdy dziewczyna mu się wymknęła. Dlaczego chciał posiadać właśnie tę ladacznicę o zbyt dobrze rozwiniętym poczuciu obowiązku? Wyciągnął ramiona, by ponownie ją przytulić.

- Możesz poszukać Harforda później, jeżeli nadal będziesz tego chciała.

Z wdziękiem cofnęła się o krok. Kiedy się odwracała, zobaczył w blasku lampy jej profil. Miała tak delikatne rysy... niczym u greckiej rzeźby.

W tej chwili zrozumiał. Poznał ją. Choć przecież to było niemożliwe... podobieństwo było z pewnością dziełem przypadku.

Instynkt podpowiedział mu co innego.

Żądza zniknęła w jednej chwili i ruszył za dziewczyną łapiąc ją za ramię, gdy już była prawie na korytarzu... Niezbyt delikatnie wciągnął ją do pokoju, zatrzasnął drzwi i obrócił ją dokoła tak, by raz jeszcze przyjrzeć się jej profilowi.

- Dobry Boże, to naprawdę ty! Usiłowała się wykręcić.

- Proszę mnie puścić! Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! Zastanawiał się, czy to lord Mace ją przysłał, by go szpiegowała.

Jeżeli tak, to znaczy, że Mace jest bardzo podejrzliwy i waha się, czy przyjąć go na nowego członka. To by sugerowało, że sytuacja jest groźniejsza, niż mu się z początku wydawało. Lecz dziewczyna szamocząca się w jego uścisku nie wyglądała na twardego szpiega... ani na dziwkę. Całowała jak niedoświadczona panienka... niedoświadczona, lecz ucząca się szybko.

- Nie myśl, że oszukasz mnie tak łatwo, droga pani. - Złapał ją za ramiona, także mógł dokładnie jej się przyjrzeć. Wolną dłonią przesunął delikatnie po twarzy dziewczyny. - Bardzo sprytnie używasz kosmetyków dla podkreślenia tych czy innych rysów twarzy. Twoja własna matka miałaby problemy, by cię rozpoznać. I znowu nieco podreperowałaś figurę, choć nie tak wyzywająco, jak wtedy, gdy udawałaś Sally.

Jej opór zniknął i patrzyła na niego błękitnoszarymi oczami, w których zaczynały świecić łzy.

- Gra skończona, tak? - zapytała, tym razem bez śladu wiejskiego akcentu.

- Z całą pewnością. - Puścił jej nadgarstek. - Kim ty, u diabła, jesteś?

Odwróciła się do niego plecami i przycisnęła drżące dłonie do skroni.

- Nie skrzywdzę cię - dodał łagodniej. - Ale chcę usłyszeć prawdę. Jak masz naprawdę na imię... Kitty? Emmie Brown? Czy Sally, jak ta rubaszna barmanka z tawerny? Pewnie ani

jedno, ani drugie, ani trzecie.

Westchnęła i uniosła głowę.

- Mam na imię Jane, ale nie powiem, jak brzmi moje nazwisko. Wystarczy mi wstydu na jeden wieczór.

To oznacza, że mógłby rozpoznać jej rodzinę; miała w sobie coś z dobrze urodzonej panny, jaką można raczej spotkać w salonie, a nie w tawernie.

- Dlaczego śledzisz Hellionów? Czy też to tylko o mnie ci chodzi?

- Nie pan mnie interesuje, lordzie Strathmore, lecz jeden z pana kompanów.

- Który? Zawahała się.

- Wolałabym nie mówić.

- Musisz mi coś powiedzieć - odparł ostro. - Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jaka kara grozi za kradzież? Ponieważ jesteś ładna, raczej nie skończysz tańcząc na wietrze w Newgate, ale jeżeli postanowię pozwać cię do sądu, przegrasz. Zbladła.

- Proszę nie oddawać mnie magistratowi, wasza lordowska mość. Przysięgam, że chodzi mi tylko o to, do czego mam święte prawo.

Zmarszczył brwi.

- Czy pragniesz wyrównać rachunki z człowiekiem, który cię zrujnował?

Zaczęła krążyć po pokoju, a jasna sukienka owijała się dokoła jej kostek.

- To mój brat, nie ja, został zrujnowany, choć i we mnie to uderzyło.

- Czyżby twój brat stracił szczęście w kartach?

Stanęła gwałtownie w miejscu i spojrzała na niego uważnie.

- Skąd pan wie?

- Mam dobre informacje - odparł sucho Lucien. - Hazard jest najprostszą drogą, by zrujnować człowieka. Ale cóż za bezwstydną młodą świnią pozwoliła siostrze nadstawiać karku za własne grzechy?

- James wcale nie jest taki. - Podeszła do paleniska i wpatrywała się w ogień. - Nie mogę wyobrazić sobie bardziej kochającego czy odpowiedzialnego brata. Jest w wojsku i niedawno wrócił do domu, by wyleczyć rany. Zanim powrócił do regimentu, pewien człowiek wciągnął go w grę karcianą. Mój brat został oszukany po tym, jak go najprawdopodobniej czymś odurzono. Kiedy ocknął się następnego ranka, ów mężczyzna miał w dłoni podpisany przez niego dokument. Zgodnie z nim tytuł własności naszego rodowego majątku miał przejść na niego, jeżeli James nie zapłaci mu dwudziestu tysięcy funtów.

Lucien gwizdnął cicho.

- To rzeczywiście przykra sprawa.

Słyszając rezerwę w jego głosie, dziewczyna spojrzała ostro.

- Mój brat nie kłamie i nie wymyśliłby takiej historyjki, by wytłumaczyć głupi wybryk.

- Jeżeli uważa, że go oszukano, dlaczego nie wyzwie tamtego na pojedynek?

- I pogorszy jeszcze całą sytuację? Człowiek, który go oszukał... - Zaśmiała się bez cienia dobrego humoru - żeby ułatwić rozmowę, będę go nazywać kapitanem Sharpem... ma wielkie wpływy. Doszłoby do skandalu, który zniszczyłby karierę mojego brata. James jest doskonałym strzelcem i zapewne zabiłby swego przeciwnika. Jeżeli nie... - Zadrżała. - Nie chcę nawet myśleć o podobnej sytuacji. W każdym razie powiedziałam mu, by wracał do swego regimentu, podczas gdy ja zajmę się tu wszystkim.

- Więc poszedł grzecznie swoją drogą, zostawiając ci wszystko na głowie? - Lucien zmarszczył czoło. - I co planujesz... wbić mu sztylet między żebra? To nie najlepszy pomysł...

Zaczęła bębnić palcami o okap kominka.

- Uwierz mi, że nie mam inklinacji lady Makbet. Dowiedziałam się, że kapitan Sharp w ten sam sposób zrujnował innych młodzieńców... zazwyczaj podobnych do mojego brata, dobrze urodzonych, bogatych, lecz niezbyt wpływowych. Podobno ma zwyczaj trzymania owych dokumentów przy sobie lub w osobistym bagażu. Miałam nadzieję, że mu je ukradnę, zanim minie te nieszczęsne sześćdziesiąt dni.

- Mówisz to tak, jakby kradzież była idealnie logicznym rozwiązaniem, a nie groźnym szaleństwem. - Lucien zastanawiał się, czy Jane jest najodważniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał, czy też najgłupszą. Zapewne jedno i drugie. - Czy James to twój brat bliźniak?

Zanim odpowiedziała, nastąpiła minuta dziwnej ciszy.

- Nie. Jestem od niego o trzy lata starsza. Dlaczego sądziłeś, że jesteśmy bliźniętami?

Wzruszył ramionami.

- Bo wydaje mi się, że jesteście sobie bardzo bliscy. Ciężki smutek pojawił się na jej twarzy.

- To dlatego, że nasi rodzice umarli, gdy byliśmy jeszcze mali. Zawsze było nas tylko dwoje.

- Nie ma nikogo, kto by pilnował rodzinnych interesów?

- Nasz kuzyn opiekował się nami, lecz od paru lat mieszka za granicą.

- Być może ja mógłbym wam pomóc - zaproponował Lucien. Poza spełnieniem dobrego uczynku, zdobyłby więcej informacji o Hellionach. Zgadywał, że kapitanem Sharpem może być albo Harford, albo Nunfield. Obaj mieli reputację nieuczciwych hazardzistów.

- Nie bądź śmieszny - rzekła, jakby lekko wystraszona. - To nie pana problem. - Byłoby rozsądnie z twojej strony przyjąć każdą pomoc, jaką ci się oferuje, moja droga - odparł spokojnie. - To jest już... która? Trzecia próba zbliżenia się do ptaszka, aby ukraść mu dokument. Czy też próbowałaś jeszcze kiedyś, o czym ja nie wiem?

Uśmiechnęła się ponuro.

- Za każdym razem był pan w pobliżu.

- To doprawdy cud, że do tej pory nie wpadłaś i nie zostałaś aresztowana - zauważył z desperacją w głosie. - Jeżeli powiesz mi, o kogo ci chodzi, może uda mi się wyciągnąć cię z kłopotów. Jej oczy zwięzły się.

- Widzę, że muszę być szczerą. Pańska reputacja nie jest kryształowo czysta, lordzie Strathmore. Może pomyśli pan, że jestem głupia odrzucając pańską pomoc, lecz byłabym jeszcze głupsza, gdybym panu zaufała.

Ponieważ zrobił co w jego mocy, by wydawać się tajemniczy, i nieco groźny, jej słowa nie powinny go zabołec. A jednak bolały.

- Czy fakt, że nie oddałem cię magistratowi, nie powinien wzbudzić w tobie zaufania?  
- zapytał cicho.

- Dość słaby argument, jako że jedynym dostępnym w tej chwili członkiem magistratu jest lord Chiswick - odpowiedziała słodko. - A jak sam pan powiedział, on wyjątkowo nie lubi, jeśli mu się przerywa.

Lucien omal nie roześmiał się na głos. Teraz, kiedy dziewczyna przestała się bać, stała się cudownie pewna siebie. Może zdobędzie jej zaufanie, jeżeli znajdzie rozwiązanie jej problemu?

- Wspomniałaś opiekuna. Zakładam więc, że ty już masz dwadzieścia jeden lat, ale co z twoim bratem?

- Skończy dwadzieścia jeden w lutym. Lucien przytaknął z satysfakcją.

- Doskonale. Ponieważ James nie był pełnoletni zawierając umowę z kapitanem Sharpem, ten nie może zabrać mu ani grosza.

Jej oczy rozszerzyły się, a nadzieja walczyła w nich o lepsze z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe? Przecież młodzieńcy często zaciągają długi karciane.

- I przez wzgląd na honor większość z nich je spłaca, jeżeli ma z czego. Ale prawnie nie można ich do tego zmusić. A jeżeli twój brat uważa, że został oszukany, wątpię, czy kapitan Sharp wspomni choć słowem o całym zajściu twemu opiekunowi - wyjaśnił Lucien.

- Tracenie czasu na nieletniego młodzieńca byłoby głupotą z jego strony.

- Mógł nic o tym nie wiedzieć. James wygląda na więcej niż dwadzieścia lat i od

siedemnastego roku życia był w wojsku.

- Z zaskoczeniem jasno malującym się na twarzy opadła na łóżko.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zgodnie z prawem nie jest jeszcze mężczyzną.

- Sugeruję, byś znalazła prawnika o długich, ostrych kłach, który napisałby do kapitana Sharpa o umorzenie długu. Mogę dać ci kilka nazwisk, jeżeli nie wiesz, do kogo się udać.

- To nie będzie konieczne; znam kogoś, kto się tym zajmie.

- Obdarzyła go oszałamiającym uśmiechem. - I pomyśleć, że zrobiłam z siebie idiotkę zakradając się tutaj, kiedy tak naprawdę nie było to konieczne.

- Ale gdybyś tego nie zrobiła, nie poznałbym cię, a to byłaby wielka szkoda - powiedział łagodnie Lucien.

Ich spojrzenia spotkały się i potężne, prymitywne porozumienie zaczęło pulsować między nimi - kobieta i mężczyzna podziwiali się nawzajem... chcieli być jeszcze bliżej. Jane czuła, że zasycha jej w gardle. Lucien uświadomił sobie, że dziewczyna nie wie, jak się zachować. W jej oczach czaiło się przerażenie, a zarazem fascynacja zdenerwowanej dziewczyny.

- Muszę już iść. - Wstała z łóżka i omal nie nadepnęła na jedną z mechanicznych zabawek, które wcześniej zrzuciła na ziemię. Uklękła i zaczęła zbierać porozrzucone przedmioty. - Przepraszam, że to rozsypałam. Mam nadzieję, że nic nie zepsułam.

Podszedł i uklękł obok niej. Ich palce spotkały się, gdy oboje sięgnęli w tej samej chwili po małego czarno - srebrnego pingwina. Przez ułamek sekundy poczuł drżenie jej palców.

- Co to stworzonko robi? - zapytała pośpiesznie.

Wziął do ręki mechanicznego pingwina, nakręcił sprężynę i postawił zabawkę na podłodze. Z cichym, brzęczącym dźwiękiem stworzonko pochyliło się do przodu, po czym wykonało idealne salto do tyłu, lądując z powrotem na szerokich mechanicznych nóżkach.

- Nie wierzę własnym oczom! - wykrzyknęła Jane. Nie zdążyła wypowiedzieć do końca zdania, gdy pingwin wykonał jeszcze jedno salto. Jane usiadła na piętach, odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się jak dziecko. Wyglądała jak ktoś, kto nie śmiał się już od bardzo dawna.

Obserwowanie jej sprawiło Lucienowi ogromną radość. Jeszcze przed chwilą była przestraszona dziewczynką, zmysłową nimfą i chłodnooką przeciwniczką. Teraz wydawała się rozbawionym dzieckiem. Miał wrażenie, że wszystkie te oblicza są prawdziwe, lecz czy między nimi kryje się to najważniejsze? Była fascynującą układanką i zamierzał ją rozwiązać.

Łzy rozbawienia pojawiły się w jej oczach.

- Skąd to masz? - zapytała.

- Sam go zaprojektowałem i zbudowałem napędzający mechanizm. To prezent na chrzciny dla dziecka mojego przyjaciela.

Kit uniosła zabawkę i przyjrzała się jej w zamyśleniu.

- Ma pan zadziwiające talenty, lordzie Strathmore. Ale dlaczego pingwin?

- Mój przyjaciel ma ich tuziny w swym zamku. Najprawdopodobniej są to jedyne pingwiny w Wielkiej Brytanii. Są doprawdy wspaniałe.

Wcale jej to nie zdziwiło. Nie było nic dziwnego w tym, że lord Strathmore ma przyjaciół równie zagadkowych, jak on sam. Podniosła inną zabawkę - małego królika ubranego we frak, siedzącego na fotelu i grającego na wiolonczeli. Nakręciła sprężynę i króliczek natychmiast zaczął przesuwając smyczkiem w jedną i drugą stronę, podczas gdy ze środka zabawki wydobywały się cienkie dźwięki.

- Śliczne. Czy to też zrobił pan sam?

- Nie, to francuska zabawka. Przyjaciel przywiózł mi ją z Wiednia. - Przyjrzał się królikowi uważniej i wyprostował skrzywione ucho. - Chyba trochę się pogięł spadając na podłogę.

Dziewczyna uśmiechnęła się na widok szczerego zmartwienia Strathmore'a. Już nie wyglądał tak przerażająco. Lecz choć potraktował ją z uprzejmością - właściwie z galanterią - zaniepokoił ją. Był tajemniczym mężczyzną i wyczuwała, że w mrokach jego duszy na równi z charyzmą kryje się bezwzględność.

Podniosła ostatnią zabawkę, zawiniętą w kawałek jedwabiu, i włożyła do pozostałych. Potem wstała i zniosła pudełko do szafy. Najwyraźniej zostało w niej coś z pokojówki, Emmie Brown. Posprzątawszy, powiedziała: - Dobranoc, lordzie Strathmore. Nie potrafię wyrazić, jaka jestem wdzięczna za okazaną mi pomoc.

On również wstał i przyglądał się jej z niepokojącą natarczywością. Dziewczyna zastanawiała się, czy przypadkiem się nie domyślił, że mówiąc o bracie i karcianym długu, cały czas kłamała.

- Chciałbym cię jeszcze zobaczyć - powiedział cicho.

Jego słowa bardziej ją przeraziły niż oskarżenie, którego się spodziewała. Serce jej podskoczyło, po części ze strachu, a po części z szoku spowodowanego świadomością, że i ona chciałaby go jeszcze kiedyś spotkać. Przypomniawszy sobie jednak wszystkie powody, dla których nie mogła do tego dopuścić, odparła spokojnie:

- Obawiam się, że to niemożliwe, milordzie.

Jego brwi wygięły się; wyglądał teraz jak prawdziwy Lucyfer.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że nie zostanę twoją kochanką, a inne stosunki między nami nie są możliwe.

Rozbawienie błyszczące w jego oczach sprawiło, że wydawały się bardziej złote niż zielone.

- Oskarżasz mnie bezpodstawnie. Nie zachowałem się nieodpowiednio, od czasu gdy się przekonałem, że nie jesteś dziwką. Czy nie moglibyśmy zostać przyjaciółmi?

O wiele łatwiej było radzić sobie z Hellionami, którzy atakowali tylko jej ciało. Cofnęła się o krok.

- Przyjaźń między mężczyzną i kobietą jest bardzo rzadko spotykana i właściwie niemożliwa, gdy pochodzą z różnych stanów. Nie obracam się w pańskim środowisku, milordzie, więc nie możemy zostać przyjaciółmi.

- Nonsens - odparł zirytowany. - Ty najwyraźniej pochodzisz z dobrej rodziny, a jak sama powiedziałaś, ja nie mam najlepszej reputacji, choć nadal jestem uznawany w towarzystwie. Powiedz mi, gdzie cię znaleźć, a postaram się o to, by przedstawiono nas sobie zgodnie z etykietą.

Postanowiła zagrać otwarcie.

- Czego pan ode mnie chce, lordzie Strathmore?

- Sam nie wiem - odpowiedział powoli. - Ale chciałbym się dowiedzieć.

- Lepiej przygotuj się na rozczarowanie. - Obeszła go w drodze do drzwi. - Jeśli nie zatrzymasz mnie siłą, odejdę w tej chwili. - Poczekał! - zawołał za nią.

Zatrzymała się z sercem podchodzącym do gardła. Wiedziała, że znajduje się w jego mocy.

- Odprowadzę cię na dół - powiedział, ku wielkiej uldze dziewczyny. - Nie byłoby dla ciebie bezpieczne chodzić samej po tym domu.

Musiała przyznać, że miał rację. Było już zbyt późno na przeszukiwanie innych pokoi. Zapewne pierwsza część orgii już się skończyła i ci z Hellionów, którzy jeszcze byli w stanie chodzić, z pewnością udali się do własnych sypialni. Któryś z nich mógłby mieć ochotę na jeszcze jedną kobietę.

- Dobrze - zgodziła się spokojnie. - Weszłam tu przez bibliotekę i zostawiłam drzwi otwarte, żeby mogła wyjść tą samą drogą.

Rozwiązał krawat i zdjął frak. Kiedy zaczął rozpinać guziki koszuli, zobaczył przerażenie w jej oczach i zinterpretował je właściwie.

- Musimy wyglądać odpowiednio do sytuacji - wyjaśnił uśmiechając się ironicznie.

Z jasnymi włosami opadającymi w nieładzie i rozpiętą koszulą odsłaniającą potężną pierś, był idealnym wizerunkiem rozpustnika, człowieka, któremu żadna kobieta nie jest w stanie się oprzeć.

I wiedział doskonale, jak na nią działał, niech go diabli. Byli sami w jego pokoju, oboje niezupełnie ubrani... mogłoby się zdawać, że już od dawna są kochankami.

Spojrzał na nią krytycznie.

- Wyglądasz zbyt przyzwoicie.

Pociągnął za lewy rękaw jej sukienki. Ponieważ wstążki stanika na plecach wciąż były rozwiązane, materiał zsunął się, obnażając ramię. Kiedy palce Strathmore'a przesunęły się po jej nagiej skórze, omal nie podskoczyła.

Wyczuwając jej reakcję zawahał się, jakby nie wiedząc, czy próbę kamuflażu zamienić w pieszczotę. Napięcie zawisło między nimi.

Potem, ku uldze dziewczyny odsunął się i otworzył drzwi. Wyjrawszy ostrożnie na korytarz, objął ramieniem jej szczupłe plecy i wyprowadził ją z pokoju.

Z dołu dobiegały głosy, lecz nie było widać nikogo. Wchodząc w swoją rolę, objęła go w pasie i zrobiła minę zadowolonej z siebie dziwki. Nie było to trudne, gdyż czuła jego ciepłe ciało. Ta bliskość podsycała ogień, który wcześniej rozpałił w niej pocałunek.

Ponuro przypomniawszy sobie, że musi wytrwać w swej roli jeszcze tylko kilka sekund. Jeszcze chwila i pozbędzie się niepokojącego towarzystwa tego mężczyzny.

Na parterze minęli jednego z Hellionów, podążającego z półnągą kobietą w stronę schodów. Było tak mroczno, że nawet go nie rozpoznała. Pijacki duet tenoru i sopranu zabrzmiał od strony salonu i Kit z pewnością byłaby zawstydzona słowami piosenki, gdyby rozumiała choć połowę. Ale jak przewidział to Strathmore, w jego towarzystwie nie miała się czego obawiać. W każdym razie nie musiała obawiać się innych mężczyzn.

Wyrwała mu się, gdy tylko weszli do biblioteki, i wyciągnęła schowany za sofą płaszcz. Narzuciwszy go na ramiona, rozsunęła ciężkie zasłony i otworzyła oszklone drzwi. Nocne powietrze było wyjątkowo zimne.

- Zakładam, że gdzieś w pobliżu czeka na ciebie koń lub powóz? - zapytał cicho.

Przyglądała się jego twarzy. W poświacie księżycy wydawał się wyjątkowo przystojny; wyglądał jakoś dziwnie niezmiernie. Co by się zdarzyło, gdyby się spotkali w innych, normalniejszych okolicznościach? Prawdopodobnie nawet by jej nie zauważył.

- To prawda, milordzie. Nie musi się pan mną przejmować ani chwili dłużej.

Zanim zdążyła umknąć, złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.



- Mam na imię Lucien - powiedział, po czym przycisnął usta do jej warg w mocnym pocałunku.

Jakże szybko przyzwyczała się do męskich pocałunków, jak szybko stały się naturalną częścią jej życia... Serce zaczęło jej walić, gdy odwzajemniła pocałunek Strathmore'a. Wiedziała z pewnością, że nigdy nie zapomni tego mężczyzny ani intymności tej chwili. Nie zapomni erotycznego kontrastu chłodnego powietrza i ciepłego ciała, delikatnej pieśczoży jego oddechu na skroni, gdy wypuścił ją z objęć... wszystko to wryło się w jej duszę.

- Zastanawiam się, czy naprawdę masz na imię Jane - odezwał się nagle. - Pewno nie, ale to i tak nie ma znaczenia. Zamierzam dowiedzieć się, kim jesteś. Jego pewność siebie była najbardziej irytującym fragmentem całej tej irytującej rozmowy.

- Nie dowiesz się, milordzie - odpowiedziała, gdy strach przeważył nad zmysłowością chwili. - Dziękuję raz jeszcze, ale żegnaj. W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca.

- Więc będziesz musiała się o nie postarać - odparł z niezmaconą pewnością siebie. - Do zobaczenia, moja droga.

Wyślizgnęła się z pokoju w mroki nocy, a puls walił jej jak szalony, gdy wspomniała jego słowa o „tańczeniu na wietrze”. Doprawdy dziwne określenie śmierci na stryczku, co z pewnością ją czeka, jeżeli nie zaprzestanie swej kryminalnej działalności.

Ale te słowa dokładnie oddawały sens jej misji. Czowała się tak, jak gdyby faktycznie tańczyła na wietrze, starając się nie spadać w przepaść bez dna. Między innymi dlatego właśnie tajemniczy hrabia był tak groźny - wytrącał ją z równowagi. Miała gorącą nadzieję, że ich drogi już nigdy się nie spotkają.

## ***Interludium***

*Przyszła milcząca pokojówka o kamiennej twarzy, co znaczyło, że już czas się przygotować. Zdjąwszy zwykłe ubranie, ubrała się w przezroczystą koszulkę z czarnej koronki, która odsłaniała prawie całe piersi i nogi do pół uda. Potem pokojówka pomogła jej włożyć czarny gorset i zawiązała tasiemki tak mocno, że ledwo mogła oddychać.*

*Na nogi wciągnęła czarne koronkowe pończochy; przywiązała je do gorsetu szkarłatnymi wstążkami. Wreszcie włożyła długie skórzane buty, mocno przylegające do nóg, o wysokich, cienkich obcasach, na których wyjątkowo trudno było chodzić.*

*Siedziała spokojnie, podczas gdy pokojówka przykrywała jej jasnokasztanowe włosy rudą peruką, tak długą, że sięgała pośladków. Czerwień nadawała jej ustom wyraz okrucieństwa i maskowała bladość policzków. Całości stroju dopełniała czarna maska zakrywająca pół twarzy i czarne rękawiczki do łokcia.*

*Stała przed lustrem i przejrzała się. Cała w bieli, czerni i szkarłacie, była karykaturą kobiecości, z mocno podkreśloną cieniutką talią, dużymi piersiami, szerokimi biodrami i nieprzyzwoicie długimi nogami. Pokojówka przytaknęła z aprobatą i wyszła z pokoju.*

*Aby przygotować się psychicznie na to, co ją czeka, spojrzała na mechaniczne urządzenia, które jej dano, i pomyślała o tym, co musi zrobić. Kiedy już była gotowa, przeszła do sąsiedniego pokoju i zaczęła zapalać tuziny świec, ustawionych dosłownie wszędzie. Kiedy wszystkie były już zapalone, pokój nabrał pomarańczowej poświaty przedśionka piekieł. On zjawi się już wkrótce. Podniosła bat i strzeliła z niego na próbę. Był idealnie wyważony. Wszystko było gotowe na jej premierę. A jednak zamarła, gdy usłyszała głos przekręcanego w zamku klucza. Tyle było jeszcze nieznanego.*

*Pospiesznie odwróciła się plecami do drzwi, jakby zupełnie było jej obojętne, kto wszedł. Usłyszała ponowne przekręcenie klucza w zamku i przyspieszony oddech. Bawiła się długimi lokami peruki, każąc mu czekać.*

*Kiedy niecierpliwość wzięła w nim już górę, powiedział ochryple:*

*- Już jestem, pani. Jakie są twoje rozkazy? - Odwrócił się niespiesznie, całym ciałem okazując arogancję, dominację i pogardę. Obserwował ją rozszerzonymi oczyma.*

*Kiedy chciał ponownie coś powiedzieć, warknęła:*

*- Cisza!*

*Bat w jej dłoni poruszał się niespokojnie jak ogon wściekłego kota. Napięcie rosło, aż na jego twarzy pojawiła się cienka strużka potu.*

*Gwałtownym skrzętem nadgarstka strzeliła z bata przecinając ciszę pokoju. Spojrzała mu w oczy i powiedziała ze śmiertelnym jadem:*

*- Na kolana, niewolniku!*

Kit obudziła się z płaczem. Z mocno bijącym sercem usiłowała przypomnieć sobie koszmar, który się jej śnił, lecz już się rozpadał w miliony drobnych obrazów. Przyglądała się swym dłoniom, zaskoczona, że są nagie, a nie odziane w skórzane rękawiczki.

W tym śnie było coś ważnego - desperacko ważnego - ale już umknęło i nie było szans, by wróciło. Drżącymi dłońmi zapaliła świeczkę stojącą na nocnym stoliku. Zegar wskazywał dopiero północ. Zsunęła się z łóżka. Nogi ugięły się pod nią i opadła na kolana, czując zamęt w głowie. Cała energia z niej uszła i była wycieńczona i bezbronna jak niemowlę.

Potem świat przestał wirować i chwiejnie wstała. Włożyła szlafrok, poszła do kuchni i postawiła imbryk na piecu. Viola, która spała obok niej na łóżku, przydreptała do kuchni z pytającym miauknięciem. Kit wzięła kotkę na ręce i przytuliła twarz do miękkiego futerka. To trochę pomogło i na chwilę zapomniała o samotności. Jednak nie trwało to długo.

Kiedy czekała, aż woda w imbryku się zagotuje, usłyszała, że frontowe drzwi się otwierają. To musiała być Cleo Fransworth. Obecność tej dziewczyny byłaby w tej chwili błogosławieństwem. Kit pospiesznie postawiła kotkę na podłodze i przebiegła przez salon, po czym uchyliła drzwi. Kiedy wyjrzała na korytarz, zobaczyła, że Cleo, zgrabna, pewnie dwudziestoletnia blondynka właśnie wchodzi po schodach.

- Dobry wieczór, Cleo. - Kit starała się, by głos jej nie zdrzął. - Czy masz może ochotę na filiżankę herbaty i coś do przegryzienia? - Bardzo chętnie. Nic lepiej nie wpływa na apetyt niż całonocne przedstawienie. - Aktorka zeszła z powrotem po schodach i zmarszczyła brwi. - Bardzo już późno. Czy coś się stało?

Kit miała ochotę opowiedzieć jej o wszystkich swych zmartwieniach, lecz zapanowała nad sobą.

- Miałam złe sny - wyjaśniła prowadząc gościa w głąb mieszkania. - Jestem taka zmęczona. Czuję się tak, jakbym prowadziła trzy osobne życia, a każde było wykańczające.

- Cóż, przecież tak jest. Miałaś bardzo pracowity tydzień.

- Wydaje mi się, że to trwało o wiele dłużej. - Kit zalała herbatę wrzącą wodą, po czym wyłożyła na talerzyk ser, marynowaną cebulę i bułeczki z wędliną, które tego dnia kupiła w piekarni. - Jak poszło dzisiejsze przedstawienie?

Cleo wzruszyła ramionami.

- Tak sobie. W teatrze tylko połowa miejsc była zajęta. Mówiłam Whitby'emu, że jest jeszcze za wcześnie na wznowienie *Magistratu*, ale on nie ma zwyczaju słuchać rad kobiet.

Ale i tak moja rola wszystkim bardzo się podobała.

Zjadłszy sporo sera, dwie bułeczki z wędliną i kilka marynowanych cebulek, Cleo odsunęła talerz i czknęła leciutko.

- Czy już postanowiłaś, co teraz zrobisz?

- Z tego, co zdażyłam się dowiedzieć, wnioskuję, że jest kilku dżentelmenów, którzy są najprawdopodobniej zamieszani w całą sprawę - odpowiedziała Kit. - Pan Jones dał mi listę ich londyńskich adresów, więc będę mogła przeszukać po kolei ich mieszkania.

- Oj, Kit! - wykrzyknęła aktorka. - To jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż to, co robiłaś do tej pory. Czy pan Jones nie może znaleźć jakiegoś miłego, godnego zaufania złodzieja, by zrobił to za ciebie?

Kit uśmiechnęła się lekko.

- Wątpię, czy jakikolwiek złodziej byłby godny zaufania. Poza tym nikt nie znalazłby tego, czego szukam, bo sama nie jestem pewna, co to jest.

- Może masz rację - przyznała Cleo. - Ale jak zamierzasz to zrobić? Pan Jones nauczył cię wprawdzie otwierać zamki, ale nadal istnieje ryzyko, że napatoczysz się na jakiegoś służącego.

- Przejdę po dachu i przez górne okno. Dorastałam w zapomnianej przez Boga wsi, więc nie powinnam mieć z tym problemu. Cleo wzdrygnęła się.

- Nawet nie chcę o tym myśleć. Choć z drugiej strony, do tej pory radziłaś sobie nieźle. Módl się, by szczęście cię nie opuściło.

- Moje szczęście nie jest aż tak niezawodne. - Kit dała kawałek sera Violi, która z nadzieją czaiła się pod stołem. - Nie było nawet tak źle, gdy dwóch Hellionów usiłowało się do mnie dostać. Nie mieli pojęcia, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Ale jeden z najsprytniejszych złapał mnie na myszkowaniu po jego pokoju w posiadłości lorda Chiswicka i rozpoznał mnie z wcześniejszych spotkań. Pozwolił mi odejść po tym, jak opowiedziałam mu stek kłamstw, ale skoro uważa, że mój problem został rozwiązany, będę miała kłopoty, jeżeli przyłapie mnie po raz kolejny.

Cleo zachichotała.

- Jestem przekonana, że nawet w takim wypadku sprzedałabyś mu wiarygodną historyjkę. Kim jest ten dżentelmen?

- To hrabia Strathmore.

- Strathmore! - Brwi Cleo podskoczyły w ogromnym zdziwieniu.

- Stary Lucyfer we własnej osobie! Widzę, że podoba ci się niebezpieczne życie.

- Wiesz wszystko o wszystkich. - Kit zaczęła drapać swędzące miejsce na

wewnętrznej stronie uda, lecz powstrzymała się, nie chcąc mieć potem śladów. - Co o nim wiesz?

- Nic nie wiem, ale plotek jest dużo - rzekła powoli Cleo.

- Podobno bywa wszędzie, nie gardzi nawet półświatkiem. Choć nie jest hazardzistą, jeżeli gra w karty, ma diabelskie szczęście, powiadają, że zrujnował już niejednego. Kiedy był młodszy, uważano go za najlepszą partię Londynu, ale ponoć wszystkie swatki już dawno postawiły na nim krzyżyk. Nikt nie wie też dlaczego, gdyż jest niewiarygodnie przystojny, bogaty i odpowiedni.

- W tym, co mówisz, nie ma nic złego.

- To prawda, że w płocie rzadko można się doszukać czegoś znaczącego - zgodziła się Cleo. - O wiele bardziej niepokojący jest fakt, że paru dobrze urodzonych dżentelmenów znikło, jakby zapadli się pod ziemię. Słyszałam, że podobno Strathmore może mieć coś wspólnego z ich dziwnym zniknięciem, ale ponieważ ma wysoko postawionych przyjaciół, nikt nie ośmiela się otwarcie go oskarżyć.

To nie to Kit chciała usłyszeć. Zacisnęła usta. - Więc może być porywaczem, mordercą albo kimś jeszcze gorszym.

- Być może. - Mina Cleo nie wyrażała żadnych emocji. - Spotkałam go kiedyś i wydawał się bardzo miły. Ma cięty język. Byłby w stanie oczarować każdą kobietę, by poszła z nim do łóżka, a jednak tego nie robił. Dziwiło mnie to, gdyż wielu dżentelmenów usiłuje dobierać się do aktorek. - Zrobiła ponurą minę. - Nie pozwól, by złapał cię ponownie, Kit. Jest niebezpieczny i nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on był tym, którego szukasz.

- Niestety i ja go polubiłam. - Kit wlała resztę herbaty do swej filiżanki.

- Jak ci idzie nauka tańca?

Na samą myśl o tym Kit poczuła się jeszcze bardziej zmęczona.

- Chyba już trochę lepiej - powiedziała bez entuzjazmu.

- Pokaż mi.

- O pierwszej nad ranem, w nocnej koszuli i szlafroku? - Kit zamrugła z niedowierzaniem.

- A dlaczego nie? - Cleo wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Ja zanucę melodię.

Wstała, przeszła do saloniku, opadła na fotel i zaczęła nucić jakaś melodię bez słów. Jej głęboki wyszkolony głos wypełnił pokój.

Czując lekkie zażenowanie, Kit zawiązała mocniej pasek szlafrocka i zaczęła tańczyć. Podskakiwała żywo i po chwili poczuła się silniejsza.

Kiedy skończyła, Cleo rzekła krytycznie:

- Nieźle, ale tym razem spróbuj nieco żwawiej. I pokaż trochę nóżki. Mężczyźni po to przychodzą. - Znowu zaczęła nucić i klaskać w dłonie do taktu.

Kit zamysliła się na chwilę, mówiąc sobie, że jest niepoprawną kokietką, erotyczną fantazją każdego mężczyzny. Wyobraziła sobie Luciena Fairchilda patrzącego na nią z pożądaniem w złotych oczach...

Na tę myśl poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Zaczęła krążyć po małym saloniku, ledwo unikając zderzenia z meblami. Tym razem poddała się muzyce; przytupywała i obracała się tak, że szlafrok wirował dokoła jej kolan. Skończyła, a klaskanie Cleo przerodziło się w prawdziwy aplauz. - Wspaniale, Kit! Odniesiesz ogromny sukces!

Humor Kit wyraźnie się popsuł. Może tańcząc na scenie odniesie sukces, ale to nie był wcale jej najważniejszy cel. Czas upływał z przerażającą szybkością, najważniejszy cel, życia lub śmierci, nadal był tak samo odległy.

Usiadł przy biurku, by zapisać to, czego się do tej pory dowiedział o Hellionach, lecz już po chwili ołówek zadrżał nad papierem i Lucien zaczął rysować. Miał talent do rysowania, który był bardzo pomocny przy projektowaniu mechanicznych zabawek. Jednak tym razem spod ołówka nie wyłonił się pingwin, lecz twarz kobiety.

Kiedy skończył rysować, przyjrzał się efektom. Lady Nemezis, równie tajemnicza, co nieuchwytna.

W myślach nazywał ją Jane, gdyż to było ostatnie imię, jakie przybrała. Choć spotkał ją już trzy razy, a pocałował dwa, nadal nie był pewien, jak wygląda. Czy jej kości policzkowe naprawdę są aż tak wysoko osadzone, czy też to tylko efekt dobrego makijażu? Czy jej twarz ma kształt idealnego owalu, czy też jest nieco bardziej pociągła? A jej usta - co prawda wargami sprawdził ich miękkość, lecz nadal nie był pewien ich kształtu. Jedynym pewnikiem była gibka, szczupła figura, która podobała mu się o wiele bardziej niż sztuczne, przesadzone kształty barmanki Sally.

Próbował narysować ją na kilka sposobów, lecz wkrótce się poddał. Żaden rysunek nie wydawał się dobry. Do wściekłości doprowadzała go myśl, że może minąć ją na ulicy i nie rozpoznać.

Z ciężkim westchnieniem odchylił się na fotelu i oparł nogi na biurku. Ta diabelna kobieta powoli stawała się jego obsesją. Powiedział, że ją odnajdzie, i robi to - choć poszukiwanie młodej bezimiennej kobiety, która mieszka nie wiadomo gdzie na terenie Wielkiej Brytanii, przypominało nieco poszukiwanie czarnego kota w piwnicy o północy.

Ale kiedy już ją odnajdzie, to co u diabła, z nią zrobi? Niepohamowane pożądanie,

które poczuł na przyjęciu u Chiswicka, spadło do unormowanego poziomu, lecz nadal chciał ją posiadać i, do wszystkich diabłów, nie obchodziły go konsekwencje. Bywał już przygnębiony i będzie znowu. Sprytna, odważna Jane była warta zachodu. Z drugiej jednak strony nie powinno uwodzić się dobrze urodzonych dziewczyn - a ona taka właśnie była - pomimo wszystkich diabelskich sztuczek, jakie wyczyniały.

Kobietę jej pokroju można by poślubić.

Co oznaczało, że nie ma prawa jej szukać. Spojrzał na swój portret z Elinor. Już bardzo dawno temu postanowił, że ożeni się tylko z kobietą, z którą będzie w stanie dzielić uczuciową i emocjonalną bliskość; od tak dawna mu tego brakowało.

Byłby o wiele szczęśliwszym człowiekiem, gdyby nigdy tego nie zaznał. Lecz choć nadal bolał po utracie tej bliskości, nigdy, ani przez chwilę, nie żałował, że ją przeżył.

Właśnie zabierał się do pracy, gdy wszedł kamerdyner i zapowiedział:

- Przybył lord Aberdare, by się z panem zobaczyć, milordzie.

- Nicholas! - Lucien wstał i uściśnął dłoń przyjaciela, który wszedł do pokoju tuż za służącym. - Nie wiedziałem, że miałaś przyjechać do Londynu.

- Ja też nie. Ale Rafe uprosił mnie, bym przyjechał na to głosowanie w sprawie negocjacji pokojowych w Gandawie, które chce przedstawić Izbie Lordów.

- Dobry Boże, tylko po to ściągnął cię aż z Walii? - Lucien wskazał gościowi fotel. - Choć z drugiej strony Rafe ma rację. Skoro wojna z Amerykanami okazała się fiaskiem, nie ma sensu, by Brytania domagała się jakichkolwiek koncesji terytorialnych. Rozwiązanie Rafe'a polega na tym, by rząd nieco ustąpił i zaakceptował istniejące już granice. Tylko w ten sposób osiągniemy jakieś porozumienie. Ale nawet jeżeli to przejdzie, i tak nie będzie miało żadnych podstaw prawnych.

- To prawda, lecz kiedy Izba Lordów zaczyna czekać, nawet rząd słucha; więc Rafe potrzebuje każdego głosu, jaki uda mu się zdobyć. Dlatego posłał po mnie. - Nicholas opadł na fotel i wyciągnął nogi. - Czas już położyć kres tej wojnie, która i tak nigdy nie powinna się zacząć.

- Właśnie o to chodzi. Szaleństwem było mieszać się w wojnę ze Stanami Zjednoczonymi, kiedy i tak musieliśmy bronić się przed Napoleonem. Im szybciej zawrzemy pokój, tym lepiej.

- Tym bardziej że nasi braciszczkowie zza Atlantyku wygrywali bitwy - dodał cierpko Nicholas. - A jak się miewa moja ulubiona księżna? - zapytał Lucien.

- Claire jest jak zawsze spokojna. - Nicholas uśmiechnął się ponuro. - To mnie ponoszą nerwy. Co prawda ona mówi, że nie ma się czym denerwować, gdyż pochodzi z



długiego rodu wieśniaczek, które pracowały przy żniwach pół godziny po porodzie. Nie wątpię, że ma rację, ale i tak wolałbym mieć to już za sobą.

Lucien wyciągnął mechanicznego pingwina z szuflady.

- Zrobiłem to jako prezent na chrzciny. Możesz to już teraz zabrać do Walii.

- Ciekaw jestem, co tym razem wymyśliłeś? - Nicholas nakręcił sprężynę. Kiedy mały pingwin zrobił salto, młody mężczyzna opadł na fotel rycząc ze śmiechu. - Cóż za oryginalny i cudowny umysł tkwi w tobie, przyjacielu - wykrztusił, gdy już odzyskał głos. - Claire będzie zachwycona. Ale co zrobisz, jeżeli będziemy mieli więcej dzieci?

- Pingwiny potrafią robić wiele rzeczy. Pływać. Zjeżdżać na brzuskach. Tańczyć. Pomyślę o tym, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Nicholas raz jeszcze sięgnął po zabawkę i wtedy zauważył rysunki leżące na biurku. Podniósł jeden, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Interesująca twarz. Pełna charakteru i inteligencji. Czyżbyś się zakochał?

- Oczywiście, że nie - odparł niecierpliwie Lucien. - To tylko kobieta, która przysporzyła mi więcej kłopotów niż...

- To brzmi obiecująco - przerwał mu przyjaciel. - Kiedy mogę się spodziewać interesujących zapowiedzi?

Lucien przewrócił oczami.

- Nawet nie próbuj mi raz jeszcze opowiadać o wszystkich zaletach małżeństwa. Jest tylko jedna Claire, i ty znalazłeś ją pierwszy. Ponieważ ja nie chcę gorszej od niej kobiety, pogódź się z faktem, że będę dożywotnio kawalerem. Twoje dzieci będą mogły nazywać mnie wujkiem Lucieniem i obgadywać za plecami moje dziwactwa.

Nicholas, którego intuicja przypominała iście kocią, usłyszał pustkę pod swobodnym tonem przyjaciela i spojrzał na niego ostro.

- Wiesz - rzekł powoli - Claire powiedziała mi kiedyś, że Upadli Aniołowie byli zawsze tak sobie bliscy dlatego, że właściwie nigdy żaden z nas nie miał prawdziwej rodziny... więc stworzyliśmy sobie własną. To, co powiedział przyjaciel, było tak prawdziwe i zaskakujące zarazem, że Lucien zamilkł. Odezwał się dopiero po dłuższym czasie:

- Zdradź mi, jak to jest żyć z kobietą, która widzi i rozumie za dużo?

- To czasem przerażające. - Nicholas wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale najczęściej cudowne.

Lucien uznał, że czas już zmienić temat, zanim jego zazdrość stanie się zbyt widoczna.

- Czy słyszałeś może ostatnio coś interesującego od swych cygańskich krewnych?

Uśmiech Nicholasa zamarł.

- To jeden z powodów, dla których chciałem z tobą porozmawiać. Mój odległy kuzyn, z którym niegdyś podróżowałem na kontynent, przysłał mi ostatnio wiadomość. Podobno we Francji bez przerwy słyszy się o rychłym triumfalnym powrocie Napoleona z wygnania.

Nicholas spędził kilka lat wędrując po Europie wraz ze swymi cygańskimi braćmi. Rom był wszędzie i słyszał wszystko, a informacje, które przysyłał do Londynu, były bezcenne. Mając nadzieję, że tym razem przyjaciel się myli, Lucien powiedział:

- Można się było spodziewać takich plotek o Korsykaninie. To chodząca legenda.

- Prawda, lecz podobno to idzie o wiele dalej, niż oczekiwano - odparł Nicholas. - Mój kuzyn pisze, że agenci cesarza przemierzają potajemnie Francję, sprawdzając nastawienie ludu, i podobno doszli do wniosku, że większość znowu poprze Napoleona. Słyszał także plotki, że wśród sprzymierzonych, Brytyjczyków, Prusaków i Austriaków, są bardzo potężni ludzie, którzy także chcą powrotu cesarza. Najwyraźniej stwierdzili, że wojna to dochodowy interes.

- Szakale - rzekł Lucien z ledwo tłumioną wściekłością. Wojna może i się skończyła, lecz jemu znowu przypominano, że zniszczenie i chciwość są wieczne. Nadszedł czas, by przestać myśleć o tajemniczej kobiecie i zająć się prawdziwą pracą. - Najprawdopodobniej te plotki są niczym więcej niż tylko spekulacjami i czczym gadaniem ludu, lecz nie możemy ryzykować. Rozpytam się. Prześlę też wiadomości do moich informatorów w Prusach i Austrii. Jeżeli naprawdę istnieje plan przywrócenia panowania cesarza, może uda się go stłumić w zarodku.

- Mam nadzieję - odpowiedział ponuro Nicholas. - Naprawdę mam nadzieję.

Noc była ciemna i zachmurzona, lecz nie padało. Wymarzona pora na działalność kryminalisty. Ubrana w czarne męskie ubranie, zaopatrzona w cienką, lecz mocną linę i małą kotwicę, Kit rozpoczęła swą karierę włamywaczki w domu lorda Nunfielda, sardonicznego, amoralnego szlachcica, który był jednym z jej pierwszych podejrzanych.

Dom stojący obok był tymczasowo nie zamieszkały, mogła więc wspiąć się na dach bez obawy, że ktoś ją usłyszy. Stamtąd wystarczyło tylko przejść na dach domu lorda Nunfielda.

Światło świecące w piwnicznym oknie sugerowało, że służący spędzają spokojny wieczór w swoim pomieszczeniu. Wyższe piętra domu nie były oświetlone. Przymocowawszy linę do komina, Kit przewiązała się nią w pasie, po czym opuściła się na wysokość okna. Było to wyjątkowo trudne zadanie nawet dla kogoś, kto jest przyzwyczajony do wysiłku fizycznego w stopniu zupełnie nieodpowiednim dla damy.

Na szczęście okno, do którego się zbliżyła, było zamknięte na prosty zamek;

otworzyła je nożem bez najmniejszego trudu. W środku zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech, gdyż dyszała ciężko zarówno z wysiłku, jak i zdenerwowania. Jeżeli tym razem zostanie złapana, nie będzie miała jak się wytłumaczyć.

Kiedy już uspokoiła dziko walące serce, zabrała się do pracy. Ponieważ stała się już ekspertem w przeszukiwaniu cudzych rzeczy, zdołała uporać się z szafami lorda Nunfielda w całkiem krótkim czasie. Choć najwięcej uwagi poświęciła sypialni, przetrząsnęła także inne pokoje.

Na szczęście nikt jej nie przeszkodził, lecz nie znalazła nic ciekawego. Zanim podeszła do okna i złapała kołyszającą się linę, uświadomiła sobie, że lord Nunfield nie jest człowiekiem, którego szuka. Następnym na jej liście był lord Mace.

Wdrapując się na dach pomyślała, że tym razem miała szczęście pod jednym względem - nie została przyłapana na gorącym uczynku przez niepokojącego lorda Strathmore'a. Przynajmniej za to powinna być wdzięczna.

Propozycja Rafe'a, by jak najszybciej zawrzeć porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi, przyciągnęła do Izby Lordów wyjątkowo wielu przedstawicieli. Sprawa wywołała wielką i dość gwałtowną dyskusję. Rafe był wystarczająco elokwentny w bronienu swej sprawy, a zarówno Lucien, jak i Nicholas także wygłosili małe mowy popierające pomysł przyjaciela.

Debata przeciągnęła się aż do północy. Kiedy rozpoczęło się głosowanie, Rafe miał kamienną twarz, jakby wynik był mu obojętny. Lucien siedział po prawej ręce przyjaciela i notował wyniki. Było blisko, bardzo blisko i na sali panowała cisza.

Rezolucja przeszła jednym głosem. Gdy podniósł się szum, Rafe pozwolił sobie na zwycięski uśmiech.

- Dobrze, że przyjechałeś, Nicholas.

- Miejmy nadzieję, że ta rezolucja przyniesie Anglii coś dobrego. - Nicholas poklepał przyjaciela po ramieniu. - Doskonale nam poszło. A już się obawiałem, że wygra bezmózgie pospólstwo.

Rafe odwrócił się do Luciena.

- Może przyjdiesz do mnie na małe uczczenie okazji? Może będziemy mogli poknuć jeszcze, jak napsuć krwi rządowi i zrobić coś pożytecznego dla kraju?

- Przyjdę, ale nieco później. - Lucien obserwował tłum w sali. - Są tu dziś ludzie, z którymi powinienem się przywitać.

Wcale się nie zdziwił, że na zebraniu obecni byli Mace i Nunfield ani że głosowali przeciwko pomysłowi Rafe'a. Przedostał się do nich przez tłum gapiów.

Mace uniósł brwi, gdy Lucien stanął obok nich.

- Naprawdę uważasz podporządkowanie się bandzie brudnych Amerykanów za dobry pomysł?

- Ta rezolucja mówi o kompromisie, a nie poddaniu się - sprostował Lucien, gdy wmieszali się w tłum wychodzący z sali. - Nie widzę powodu, by kontynuować bezsensowną wojnę.

- Czyżbyś miał groźne tendencje liberała? - Nunfield udał przerażenie. - Może nawet czytujesz takich radykałów, jak Leigh Hunt czy L. J. Knight, i się z nimi zgadzasz?

- Czasami tak. Pokój nie powinien być aż tak radykalnym zagadnieniem. Większość z obecnych tu ludzi ma krewnych po drugiej stronie oceanu, choćby ja. Powinniśmy się postarać o przyjaźń z Ameryką, a nie palić ich kapitał.

- To prawda, że dostarczają nam tytoń, i coś jesteśmy im za to winni. A mówiąc o tytoniu... - Mace wyjął małą kościaną tabakierkę i otworzył ją zgrabnym ruchem lewej ręki. Posypał sobie nieco na dłoń i wciągnął do nosa, po czym westchnął z przyjemnością. - Wspaniale. Prawie tak, jak tlenek azotu. Próbowaleś go kiedy?

Choć wyraz twarzy Mace'a nie zmienił się ani na jotę, Lucien zdał sobie sprawę, że to pytanie jest dla niego bardzo ważne.

- Nie, ale oczywiście słyszałem o tym. Jeśli się nie mylę, wdychanie tego gazu powoduje efekt podobny do upicia, lecz bez kaca następnego dnia.

- Jest nawet lepszy niż alkohol - zapewnił go Mace. - Tlenek azotu daje ci poczucie harmonii z całym światem, może dlatego nazywa się go gazem rozweselającym... Mam znajomego chemika, który go dla mnie produkuje. Czasem zapraszam przyjaciół, by cieszyli się wraz ze mną cudami chemii. Właściwie urządza takie spotkanie jutro wieczorem. Może chciałbyś się do nas przyłączyć?

- Bardzo chętnie - odparł Lucien nie całkiem szczerze. - To jedna z tych rzeczy, których zawsze chciałem spróbować.

- Więc do jutra. - Mace kiwnął głową i poszedł w swoją stronę. Kiedy Lucien udał się na poszukiwanie Nicholasa i Rafe'a, pozwolił sobie na mały uśmiech satysfakcji. Gaz rozweselający miał opinię rozwiązującego języki i obyczaje, więc może dowie się czegoś interesującego od gości u Mace'a. Ale będzie też sam musiał uważać, by ktoś nie dowiedział się czegoś od niego. Dobrze, że całe życie uczył się trzymać język za zębami.

Lucien specjalnie poszedł późno na przyjęcie u lorda Mace'a. Ponieważ mieszkał zaledwie o dwie przecznice od domu, gdzie odbywała się zabawa z gazem rozweselającym, poszedł pieszo. Wieczór był nadzwyczaj zimny - bardziej przypominał styczniowy niż listopadowy, więc Lucien był na ulicy sam.

Zasłony były pozaciągane na oknach i zdawało się, że w domu lorda Mace'a nikogo nie ma. Jednak poważny lokaj odpowiedział natychmiast na pukanie Luciena, wziął od niego płaszcz i zaprowadził do salonu. W przytłumionym świetle widać było kilkanaście osób, głównie mężczyzn, choć w towarzystwie znajdowało się kilka kobiet. Od innych zebranych towarzyskich to przyjęcie różniło się tym, że uczestnicy mieli szerokie uśmiechy na twarzach, a w dłoniach trzymali skórzane pęcherzyki, z których zaciągali się od czasu do czasu. Służący wolno przesuwali się między gośćmi, podając nowe pojemniczki, gdy zainteresowani zgłaszali taką potrzebę.

Lucien rozejrzał się po pokoju szukając gospodarza. Kilku gości śmiało się i rozmawiało wesoło, choć ich wypowiedzi były wyjątkowo chaotyczne. Inni, być może już bardziej odurzeni gazem, nie zwracali uwagi na otoczenie i pogrążeni w transie zajmowali się tylko własnymi przeżyciami.

W kącie pokoju siedział lord Nunfield, to pociągając z kieliszka wina, to zaciągając się gazem. Nieco bliżej, na podłodze, siedział lord Chiswick z chichoczącą kobietą leżącą mu na kolanach. Podniósł właśnie opróżniony pęcherzyk i zawołał do służącego: - Jest już pusty! Potrzebujemy dokładki.

Lokaj bez słowa przyniósł napełniony nowy woreczek i wymienił go na pusty. Chiswick pociągnął spory haust gazu i na jego twarzy natychmiast pojawił się rozanielony uśmiech.

W tej samej chwili odezwał się Mace zimnym głosem:

- Miło, że przyszedłeś, Strathmore.

- Dziękuję za zaproszenie. - Lucien odwrócił się i zobaczył gospodarza o zaczerwienionej twarzy i źrenicach tak rozszerzonych, że jego oczy wydawały się całkiem czarne. Jeżeli gaz działał w ten sposób, rozumiał, dlaczego światło jest tak przytłumione.

- Będziesz musiał się nieźle starać, by nadrobić zaległości - powiedział Mace. - Chodź gdzieś, gdzie jest nieco ciszej. Poprowadził go do sąsiedniego pokoju. Służący postawili tu dwa obijane skórą fotele. Zaraz przyszedł lokaj z kilkoma pęcherzykami napełnionymi gazem.

Lucien przyjrzał się im i doszedł do wniosku, że każdy zawiera ponad galon gazu.

- Jak się produkuje to чудо?

- Podgrzewając jakąś substancję... zdaje się, że azotan amonu - wyjaśnił Mace. - Oczywiście nie pozwalam chemikowi wytwarzać tego tutaj, bo czasami diabelstwo wybucha. No dalej, spróbuj trochę.

Lucien pociągnął zdrowo z pęcherzyka, modląc się gorąco, by świństwo nie zezarło mu mózgu. Opróżniwszy torebkę, powiedział:

- Odprężające, lecz nic poza tym.

Mace wziął od niego opróżniony pęcherzyk i podał mu następny.

- Kilka minut minie, zanim poczujesz efekt.

Gdzieś w połowie drugiego haustu, Lucien zaczął się czuć dziwnie rozweselony i beztroski. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Zaciągnął się jeszcze raz i poczuł mrowienie w całym ciele, tańczące w żyłach i dudniące we wnętrznościach. Kolory zdawały się żywsze, poczuł radość i sens życia.

- Interesujące. Zaczynam już rozumieć, dlaczego tak ci się to podoba.

- Potem będzie jeszcze lepsze - powiedział Mace sygnalizując służbie, by przyniosła więcej. - Gdyby tlenek azotu można było łatwiej dostać, picie przestałoby być w modzie.

Lucien roześmiał się, gdyż uwaga wydała mu się szalenie zabawna. Tak beztroski nie czuł się od czasów dzieciństwa. Mace podniósł ołówek i papier z biurka i poprosił:

- Opisz to, co czujesz. Mój alchemik chce wiedzieć, jak ludzie reagują na tlenek azotu.

- To jak... bycie muzyką. - Lucien starał się wytłumaczyć niewytłumaczalne. - Poszedłem kiedyś z przyjacielem do Westminster Abbey, żeby posłuchać mszy Haendla. Cały budynek aż wibrował od tego tysiąca dźwięków. To coś takiego.

- Czy brzęczy ci w uszach? Lucien zastanawiał się chwilę.

- Tak, bije w nich rytm wraz z rytmem mojego serca.

Mace nadal zadawał pytania, choć Lucien czasem się w nich gubił. Czas upływał niepostrzeżenie, a jeden po drugim nowe pęcherzyki umieszczono w jego dłoniach. Zauważył, że Mace wdycha gaz w o wiele wolniejszym tempie. Choć było oczywiste, że gospodarz chce go odurzyć, Lucien uznał, że nie warto się tym martwić. Parę razy usiłował odzyskać jasność umysłu, lecz nie mógł sobie przypomnieć dlaczego. Traktował wszystko zbyt poważnie - wszyscy przyjaciele zawsze mu to powtarzali - więc wreszcie nadszedł czas, by się odprężyć i dobrze bawić.

Mały zakątek jego umysłu pozostał nietknięty, rejestrował wszystko, co się dzieje, lecz nie miał siły działania.

Po wielu pytaniach dotyczących reakcji na gaz Mace, nie zmieniając tonu, zapytał:

- Dlaczego chcesz wstąpić do Klubu Hellionów, Strathmore? Tylko tym razem powiedz mi prawdę.

- Chciałbym wiedzieć... chciałbym wiedzieć... - Umysł przez chwilę zupełnie nie kontaktował się z ciałem. Rozpaczliwie szukając odpowiedzi w zakamarkach otumanionego umysłu, Lucien zauważył twardy błysk w oczach gospodarza.

Mace czekał na tę chwilę.

Luciena nie zdziwiło to ani trochę, zdumiało go natomiast to, że pomimo tylu lat praktyki dał się zaskoczyć - chciał wypaplać Mace'owi całą prawdę. Zniknęły gdzieś mury, za którymi się skrywał, i już chciał powiedzieć, że szuka szpiega i że zamierza go zniszczyć, gdy tylko go odnajdzie.

Ta część umysłu, która do tej pory pozostała nietknięta, zaczęła funkcjonować. Jeśli przyzna się, że szuka zdrajcy i jeśli się okaże, że jest nim Mace, to Lucien najprawdopodobniej nie dożyje rana. Wypadek nie byłby trudny do zaaranżowania. Poślizgnie się na oblodzonym bruku... albo napadną go bandyci... i po nim. Towarzystwo będzie zszokowane i pogrążone w smutku... przez dzień lub dwa.

Starając się odroczyć moment podania powodu, Lucien wymamrotał:

- Przepraszam... ale to dudnienie jest coraz silniejsze. Ledwo cię słyszę.

Głos Mace'a nabrał ostrego tonu.

- Powiedz, czego chcesz się dowiedzieć.

- Chciałbym się dowiedzieć... - Lucien, wykorzystując nie naruszony przez narkotyk fragment umysłu, rozpaczliwie usiłował zebrać rozproszone myśli. Potarł dłonią o czoło i nie czuł dotyku własnych palców. Myśl, do diabła!

Wątpił, czy potrafiłby skłamać przekonująco, więc postanowił powiedzieć niecałą prawdę.

- Chciałem dowiedzieć się... czegoś o tobie i pozostałych. Czasami bardzo... nudzę się we własnym towarzystwie. Jestem zbyt... poważny. Zazdroszczę tym, którzy potrafią się cieszyć życiem, bo sam nie wiem, jak to robić. - O dziwo, mówił prawdę, ale w normalnych warunkach nigdy by jej nie dostrzegł. Zaskakujące.

Mace powtarzał swoje pytanie jeszcze wiele razy i na różne sposoby, lecz skoro Lucien już raz wypracował odpowiedź, za każdym razem bezbłędnie ją powtarzał. Po dłuższym czasie Mace odchylił się na fotelu i spojrzał na niego przez na wpół przymknięte powieki.

- Gratulacje, Strathmore, właśnie przeszedłeś próbę Hellionów. Nikt nie może wejść

do grupy, dopóki nie zostanie w ten sposób sprawdzony. Zdaje się, że pod wpływem gazu azotowego ludzie stają się wyjątkowo szczerzy.

Lucien z radością przestał się pilnować.

- Czy czasami ktoś nie przechodzi próby?

- Zazwyczaj nie, lecz ty mógłbyś. Zastanawiałem się, dlaczego chciałeś do nas dołączyć... Skomplikowani ludzie mnie niepokoją. Rozumiem jednak, że można się czuć znudzonym czy zbyt poważnym, ale to się da uleczyć. Dla ludzi takich jak my, bogatych i dobrze urodzonych, przyjemność to obowiązek. - Mace zaciągnął się głęboko ze świeżego pęcherzyka. W jego nabiegłych krwią oczach palił się ogień. - Zwykle zwierzęce przyjemności nie są dla nas niedostępne, lecz aby wzbic się na wyżyny ekstazy, trzeba zadać sobie wiele trudu i mieć wyobraźnię. Z czasem nauczysz się, Strathmore. Nauczysz się. - Wstał i zasygnalizował służącemu, by przyniósł dwie nowe torebki z gazem; po czym zwrócił się do Luciena:

- Ponieważ niedługo będziesz jednym z nas, chciałbym pokazać ci coś wyjątkowego.

Lucien zachwiał się wstając, tak że musiał się przytrzymać poręczy fotela. Kiedy już doszedł do siebie, podążył za gospodarzem. Wychodząc z pokoju zahaczył udem o ostry kant stołu, lecz nic nie poczuł. Było to dziwne doznanie.

W połowie schodów obejrzał się przez ramię na hol. Gdyby spadł i roztrzaskał głowę o marmurową posadzkę, nie poczułby również tego.

- No, chodźże - ponaglił go Mace nieco drżącym głosem. - Jesteś jednym z niewielu ludzi na tym świecie, którzy potrafią to docenić.

Lucien posłusznie wszedł na pierwsze piętro i ruszył korytarzem wiodącym na tył domu. Tam Mace otworzył drzwi i wprowadził go do pokoju, w którym stał mały warsztat i mnóstwo oszklonych szafek.

Kiedy gospodarz zapalił lampkę, Lucien rozejrzał się niepewnie po pokoju.

- To tu trzymasz swoje mechaniczne zabawki. - Zajrzał do najbliższej szafki i zobaczył trzy małe figurki, z których jedna odrąbywała właśnie drugiej głowę. - Z Bawarii?

Mace przytaknął.

- Ścięcie głowy Jana Chrzciciela. Wyjątkowa rzadkość. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co sam zaprojektowałem.

Za pomocą małego, dziwnie powykręcane go kluczyka otworzył inną szafkę; wyciągnął figurkę z niej i nakręciwszy sprężynę postawił ją na stole.

Potem odstąpił o krok, by lepiej widzieć. Figurka przedstawiała nagą kobietę i nagiego mężczyznę leżącego między jej nogami. Kiedy sprężyna zaczęła się rozkręcać, para zaczęła



kopulować z charakterystycznym dźwiękiem metalu trącego o metal. Lucien przyglądał się nagim pośladkom mężczyzny, poruszającym się spazmatycznie, i kobiecym ramionom unoszącym się w udawanej ekstazie. Ten widok wzbudził w nim tak okropne zimno i pustkę, że nawet euforia wywołana gazem nie była w stanie jej zapobiec. Ukochana „zabawka” Mace'a była karykaturą seksualności, symbolem bezmyślnej kopulacji, której Lucien tak bardzo nienawidził. Przyglądając się mechanizmowi, niczego bardziej nie pragnął niż zepchnąć go na podłogę i rozdeptać na drobne kawałeczki.

Impuls był tak silny, że ręka mu zadrżała w ledwo hamowanej pasji. Starając się zachować neutralny głos, powiedział:

- Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Wspaniała robota. Masz doprawdy... niesamowity umysł.

- Na całym świecie nie ma podobnej kolekcji. Sam projektuję i robię mechanizmy, a znajomy złotnik wykonuje dla mnie figurki.

- Mace wyjął kolejną, tym razem przedstawiającą kobietę z dwoma mężczyznami, którzy zachowywali się w dość jednoznaczny sposób.

- Ta praca bardzo mnie... podnieca.

Lucien zaciągnął się ponownie gazem, lecz nawet to nie było w stanie zatrzeć makabrycznego wrażenia. Na szczęście Mace nie patrzył na gościa, zajęty podziwianiem swych małych potworności. Lucien musiał tylko od czasu do czasu wyrażać zachwyt lub pytać o rozwiązania techniczne.

Kiedy wszystkie figurki, przedstawiające wszelkie odmiany zbroczeń seksualnych, stały na stole, Mace odezwał się ochrypłym głosem:

- Pomóż mi je nakręcić, tak by działały wszystkie jednocześnie. Niechętnie Lucien zgodził się na to, zaczynając od kobiety z ogierem. Figurki budziły w nim wręcz fizyczny wstręt, lecz zdołał jakoś je ponakręcać.

Przez jakieś dziesięć sekund wszystkie działały jednocześnie, wypełniając pokój mechanicznym brzęczeniem.

Mace przyglądał się im, aż ostatnia przestała działać.

- Idę dorwać jedną z tych kobiet na dole. Chcesz iść razem ze mną? - zapytał ochryple.

Lucien stłumił szczerą odpowiedź i rzekł:

- Nie, dziękuję. Nadal kręci mi się w głowie od tego gazu. Mace wyprowadził gościa z pokoju. - To szybko minie - powiedział zamykając drzwi. - Jeżeli chcesz się położyć, to po drugiej stronie korytarza jest wolny pokój.

Lucien potrzebował chwili na osobności, więc przyjął propozycję z wdzięcznością.

Znalazł krzesło, omal się nie wywracając, i usiadł ciężko. Zanim skończył ostatni pęcherzyk z gazem, znowu był pogodzony ze światem. Jego umysł falował po nieznanym morzach niezasłużonej przyjemności.

Z otępienia wyrwało go dziwne bębnienie po szybie. Spojrzał na okno i zobaczył szczupłą figurkę przyklejoną do szyby, niczym człowiek - pająk. Doprawdy niesamowity widok - może to gaz wywoływał takie halucynacje.

Okno otworzyło się i do pokoju wdarło się zimne powietrze i... Włamywacz wylądował na podłodze z cichym łupnięciem, po czym stanął spokojnie, a odgłos jego oddechu wypełnił pokój.

Racjonalnie myślący człowiek nie porywałby się na włamywacza, jeśli nie byłby pewien, że ten nie jest uzbrojony, tym bardziej w cudzym domu. Ale Lucien nie kierował się rozsądkiem w tej chwili. Wstał z krzesła i rzucił się na intruza. Może nawet by mu się to udało, gdyby po drodze nie wpadł w ciemności na następne krzesło. Z głośnym stuknięciem przewróciło się, a Lucien stracił równowagę.

Zdumiony włamywacz gwałtownie wciągnął powietrze i zanurkowawszy w otwarte okno, zniknął. Lucien zamrugał oczyma i patrząc w ciemny prostokąt, zastanawiał się, czy aby mu się nie przywidziało. Ale przecież okno naprawdę było otwarte. Wychylił się przez nie i zobaczył linę kołyszącą mu się tuż przed nosem. W górze ujrzał czarny cień włamywacza wdrapującego się właśnie na dach.

Popchnięty tym samym instynktem, który kazał mu skoczyć na intruza, Lucien złapał linę i wydostał się na zewnątrz. Wspinając się z łatwością, poczuł, że na dworze jest bardzo zimno, lecz jakoś mu to nie przeszkadzało. Narkotyczna ekstaza nie mijała i nie miał najmniejszych trudności z wdrapaniem się na wysoką ścianę. Wspiął się na dach tak szybko, jakby miał skrzydła.

Wypuścił linę i rozejrzał się. Dach nie był zbyt spadzisty, więc można było przejść po nim dość swobodnie. Gdzie był włamywacz? Nie po lewej - tam było widać tylko czarną dachówkę. Łotrzyk musiał uciec na prawo między kominy lub na następny dach. Podejrzenia Luciena potwierdził cichy odgłos wciąganej liny gdzieś po prawej. Jednak zanim się zorientował, o co chodzi, koniec liny zniknął w ciemnościach.

Włamywacz był już pewno po drugiej stronie komina. Lucien zaczął się wspinać opierając się o dachówki i szeroką rynnę biegnącą aż na szczyt dachu. Jednak gdy tylko wystawił głowę ponad wierzchołek dachu, wiatr uderzył go z ogromną siłą. Schylił głowę i trzymając się jedną ręką gontów, rozejrzał się ponownie.

Choć czarne ubranie doskonale kryło włamywacza w mrokach nocy, zdradzały go

pospieszne ruchy. Już przebiegł przez dach domu Mace'a i był w połowie dachu na sąsiednim domu.

Lucien podążył za nim, kierując się instynktem myśliwego; podobne podniecenie odczuwał przemykając na końskim grzbiecie przez pola, łąki i płoty na wsi. Roześmiał się głośno, biegnąc po zdradziecko śliskich dachówkach. Lisy i złodzieje to tylko wymówka - liczył się pościg.

Patron myśliwych czuwał nad nim, więc mógł pędzić na złamanie karku po śliskim dachu, z każdym krokiem zmniejszając dystans do ściganego. Nawet się nie zastanawiał przeskakując gonty, łapiąc się komina i łądując na dachu sąsiedniego domu.

Złodziej odwrócił się i zaklął szpetnie, widząc, że Lucien nadal go ściga. Skoczył i złapał się rynny następnego domu, potem chyba liny, którą tam zostawił. Odzyskawszy równowagę po skoku, przebiegł szybko po dachówkach i zabierając linę ze sobą, zniknął za kolejnym kominem.

Dotarłszy na krawędź dachu, Lucien skoczył bez zastanowienia, lecz w tym właśnie momencie jego szczęście się skończyło. Następny dach był o wiele bardziej stromy niż poprzednie, Lucien zaczął się zsuwać. Upadł ciężko, przekręcił i z oszalamiającą prędkością zaczął zjeżdżać po dachówkach na brzuchu.

Usiłował jakoś się zatrzymać, lecz dach był gładki i nie miał się czego złapać. Jego palce przesuwaly się w rozpaczliwym poszukiwaniu czegoś po gładkich powierzchniach dachówek. Z dziwnym spokojem zdał sobie sprawę, że zsuwa się w objęcia nieuniknionej śmierci. Narkotyk, który zawładnął jego umysłem, obdarzył go również błogosławionym brakiem strachu i obojętnością przed nieuniknionym losem. Zablokował również ból.

Lecz choć umysł już się pogodził z nadchodzącą śmiercią, ciało nadal usiłowało się ratować, drapiąc i wyteżając wszystkie siły na gładkim niczym lodzie dachu. Na samym dole, tam gdzie już skończyły się dachówki, udało mu się złapać za ornament. Wisiał ponad trzy piętra nad ziemią, koniuszkami palców trzymając się drobnego kamienia.

Grawitacja była jego śmiertelnym wrogiem, i pewnie już wkrótce go pokona. To był wyjątkowo głupi sposób na umieranie.

I wtedy właśnie ktoś zawołał szorstkim głosem:

- Łap!

Lucien spojrział w górę i zobaczył, że z cienia tuż przy kamiennym kominie coś wylatuje w jego stronę. Zanim zrozumiał, co to jest, wilgotny koniec liny uderzył go w twarz. Tak go to zaskoczyło, że puścił kamienny występ.

Tylko dziwnym łutem szczęścia udało mu się lewą ręką złapać linę. Sznur naprężył

się; Lucien poczuł ostre szarpnięcie i ból w ramionach i w plecach. Wisiał trzymając się jedną ręką liny, a wiatr dziko gwizdał mu w uszach. Na początku był tylko zaskoczony niezwykłym rozwojem wypadków.

Rzeczywistość uderzyła go z całą mocą, gdy zdał sobie sprawę, że nadwerężone palce tracą kontakt z liną. Złapał sznur drugą ręką i wdrapał się z powrotem na dach z tą samą szybkością i nonszalancją, przez które znalazł się w tak głupiej sytuacji.

Kiedy dotarł do bezpiecznego zakątka dachu, oparł się na dłoniach i kolanach, walcząc o oddech. Nie czuł bólu, lecz jego ciało drżało gwałtownie.

Przez wycie wiatru dotarł do niego cichy głos.

- Dzięki Bogu!

Cóż za niesamowity włamywacz! Lucien musiał się z nim bliżej zapoznać.

Za pomocą liny wdrapał się do kominu, lecz właśnie wtedy złodziej podjął ucieczkę. Był jednak na tyle blisko, że Lucien zdołał złapać go za kurtkę na plecach.

- Nie tak szybko, mój dobry przyjacielu. Jeszcze nie zdążyłem podziękować ci za uratowanie mi życia.

Złodziej usiłował mu się wyrwać, lecz stracił równowagę i wpadł na niego. Razem upadli na bezpieczny kawałek dachu między kominami a gontem dachu. Lucien leżał pod spodem, a jego przeciwnik - rozciągnięty na nim.

Gdy tylko odzyskał oddech, Lucien zdał sobie sprawę, że w smukłym kształcie spoczywającym na jego piersi jest coś niepokojąco znajomego. Znał również słodki zapach, nie pasujący do złodzieja zakradającego się w środku nocy do domu szlachcica.

Całkiem niedawno spotkał kogoś, kto używał takich perfum. Już wiedząc, kogo ma przed sobą, zerwał czarny szal z głowy włamywacza. Jasny owal twarzy nie budził wątpliwości nawet w mrokach nocy.

Lucien wyszczerzył zęby w uśmiechu, tuląc do siebie cudownie szczupłe ciało kobiety.

- Więc znowu się spotykamy, lady Jane, czy jak tam się nazywasz dzisiejszej nocy. Zdaje się, że to szczęśliwy traf nas tu sprowadził.

- Nie szczęśliwy, lecz raczej złośliwy - poprawiła go wściekle dziewczyna. - Zaakcentowała swoje słowa wbijając Lucienowi łokieć w żołądek.

Może i poczułby ból, gdyby jego ciało i umysł były prawidłowo połączone.

- Chyba masz wielką ochotę na deportację do Nowej Południowej Walii - zauważył tuląc ją mocniej, by uniknąć dalszych ciosów. - W przeciwnym razie nie włamywałabyś się do domu, w którym trwa przyjęcie.

- Okna były zaciemnione, pomyślałam więc, że lord Mace wyjechał. - Ponieważ ręce miała unieruchomione, próbowała wbić mu w pachwinę kolano.

Na szczęście trzymał ją blisko siebie, więc uderzenie nie było zbyt bolesne.

- Jesteś wyjątkowo silna, jak na kobietę - rzekł z trudem oddychając. - Oczywiście w przeciwnym razie nie biegałabyś po dachach Londynu jak zwariowana małpka.

- I kto to mówi! To ty ryzykowałeś w okropny sposób! Zadziwiające jest, że nie spadłeś wcześniej. - Jej łokcie i nadgarstki wbiły się w niego, gdy po raz kolejny usiłowała się wyswobodzić. - Puść mnie, ty wielki byku!

- Ależ ja nie chcę cię wypuszczać - odparł z odbierającą oddech szczerością. - A w tej chwili robię to, na co mam ochotę.

- Powinnam pozwolić ci spaść z dachu!

- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się spokojnie. - Ale ponieważ tego nie zrobiłaś, mam lepszy pomysł.

I pocałował ją.

Ku własnej wściekłości Kit oddała mu pocałunek. To było czyste szaleństwo, gdy tak leżeli rozciągnięci na lodowato zimnym dachu, po tym jak próbowała popełnić przestępstwo, lecz poczucie humoru i zmysłowość tego mężczyzny były zniewalające. Jego ramiona dawały ciepłe uczucie cudowności w chłodzie nocy, a namiętne usta obiecywały erotyczną przyjemność.

Kiedy ciało Kit rozluźniło się, Lucien dał jej trochę swobody ruchu. Kiedy pieścił ją delikatnie, nawet pod grubą warstwą zimowego ubrania przechodziły ją dreszcze, gdziekolwiek jej dotknął. Jedną rękę trzymając na biodrze dziewczyny, drugą wsunął pod kurtkę i wolno gładził jej plecy, potem ramiona i piersi. Zaczęła mu się poddawać, instynktownie przytulając się do niego jak najmocniej.

Nie zdawała sobie sprawy, że wyciągnął jej koszulę ze spodni, aż do chwili gdy dotknął jej nagich pleców. Byłaby to jeszcze jedna słodka pieszczota, jeśliby nie miał tak lodowatych palców. Zmysłowy nastrój prysł i pisnąwszy cienko, dziewczyna wyrwała mu się z objęć.

- To jest idiotyczne - rzekła bezwstydnie, jakby sama nie oddawała mu namiętne pocałunków. - Jeżeli chcesz, możesz tu zostać i zmarznąć na śmierć, ale ja stąd idę.

Uniósł dłoń i z czułością pogładził jej aksamitny policzek.

- Ogrzeję cię.

Kiedy chwycił ją za ramiona, wyrwała się i przysiadając na piętach, oparła się plecami o komin. Tym razem zachowywał się jakoś inaczej - poruszał się i mówił z dziwnym spokojem, wręcz leniwie, co stanowiło rażący kontrast z arogancją i uważnym skupieniem, jakie widziała u niego poprzednio. Domyśliwszy się powodu tej zmiany, powiedziała zuchwale:

- Jesteś pijany. Nic dziwnego, że zachowujesz się jak idiota. Przeczesał palcami zmierzwione włosy.

- Wcale nie... pijany... - odparł precyzyjnie. - To tylko... gaz azotowy.

To by wyjaśniało, dlaczego nie wyczuła alkoholu podczas pocałunku.

- Degenerat - mruknęła. - Choć z drugiej strony, czego można się spodziewać po Hellionie?

- Ależ to bardzo interesujące doświadczenie - zaprotestował z urazą w głosie. - Człowiek staje się wyjątkowo szczery. I szczerze mówiąc, mam na ciebie ochotę, moja mała kryminalistko. - Usiadł wyprostowany i znowu spróbował ją objąć. - Jeszcze nigdy nie

całowałem włamywacza.

Nie była pewna, czy lepiej będzie go pocałować, czy zepchnąć z dachu. Poprzestała na odepchnięciu jego ręki.

- Wcale nie jestem mała... jestem tak wysoka, jak większość mężczyzn. A teraz zamierzam wziąć linę i zejść z tego dachu, zanim mieszkańcy domu zaczną się zastanawiać, co się tu dzieje, i poślą po stróżów prawa.

- Są zbyt rozsądni, by wychodzić na dwór w takie noce.

- Lucien zaśmiał się.

- Więc my powinniśmy okazać równie dużą rozwagę - odparła.

- Czy będziesz w stanie zejść z tego dachu i nie skrzyć sobie karku? Musiał to przemyśleć.

- Wydaje mi się, że tak - odpowiedział w końcu. Instynkt samozachowawczy i fizyczna sprawność już nie raz uratowały mu życie.

Gdyby zeszli na tył domu, znaleźliby się w otoczonym murem ogrodzie, Kit wzięła więc koniec liny, sprawdziła, czy jest dostatecznie mocno przywiązany do komina, i przeszła na drugą stronę dachu, tę od ulicy.

Nikogo nie było widać, a wszystkie okna w okolicy były zaciemnione. Przygotowała się do zejścia.

- Kiedy będę na ziemi, dwa razy pociągnę za linę - powiedziała Strathmore'owi, który szedł za nią. - Schodząc na dół, na miłość boską, postaraj się uważać.

Po ryzykownym manewrze zsunięcia się z dachu dziewczyna lekko spuściła się na linie; skórzane rękawiczki chroniły jej dłonie przed otarciem. Bez problemu dotarła na ziemię, lecz gdy tylko jej stopy dotknęły chodnika, poślizgnęła się na oblodzonej kałuży dokładnie pod liną. Na szczęście przytrzymała się sznura i nie upadła.

Ostrożnie odsunęła się na bok, po czym dała znak Strathmore'owi. Zanim on dotrze na dół, jej już tu nie będzie, bo ucieknie niczym spłoszony zając. Podstępny hrabia będzie musiał sam sobie radzić.

Jednak znalazł się na ziemi tak szybko, że dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie poobcierał sobie rąk. Upominając się w duchu, że to nie jej zmartwienie, przygotowała się do ucieczki. Wtedy właśnie Strathmore wylądował na lodzie z tak wielkim łomotem, że aż ziemia jęknęła.

- Nic ci się nie stało? - zapytała z niepokojem.

- Zdaje się, że nie. - Zaczaj się podnosić, lecz prawa kostka nie wytrzymała jego ciężaru i znowu upadł na ziemię. - Choć z drugiej strony, może nie całkiem.

- Do diabła! - zaklęła soczyście Kit. - Czyżbyś złamał nogę?

- Chyba nie. - Pomacał kostkę. - Ta noga zawsze mi nawala, gdy się dzieje coś złego.

Za parę dni wszystko wróci do normy.

- Przytrzymując się liny wstał i ciężko oparł się o ścianę domu.

- Bardzo boli?

- Moja droga, w tym momencie nic mnie nie boli. - Zachichotał.

- Mogłabyś odciąć mi tę nogę tępym nożem, a ja i tak nic bym nie poczuł. Jeżeli kiedykolwiek będę musiał korzystać z usług chirurga, zamiast narkozy poproszę o gaz azotowy. - Spróbował zrobić krok, lecz natychmiast osunął się na kolana. - Jednak noga najwyraźniej nie chce ze mną współpracować.

Kit westchnęła ciężko.

- Pomogę ci dojść do drzwi domu lorda Mace'a, jeżeli obiecasz, że poczekaś z pukaniem, dopóki sobie nie pójdę.

- Doceniam twoją propozycję, lecz wolałbym nie wracać do Mace'a - powiedział uprzejmie.

- Jeśli zostaniesz na dworze bez płaszcza, nie doczekasz świtu. - Mieszkam dwie przecznice stąd. I nie martw się o mnie. Poradzę sobie. - Chcąc to zademonstrować, podskoczył na jednej nodze i omal nie upadł. Ocaliła go jedynie bliskość ściany.

Kit z rezygnacją podeszła do niego i objęła ramieniem. Był wyjątkowo wysokim mężczyzną i aż się ugięła, gdy się o nią oparł.

- Pomogę ci dojść do domu, ale musisz mi obiecać, że przez ten czas nic głupiego nie przyjdzie ci do głowy.

- Nie mogę nic gwarantować, moja droga. - W jego głosie czaił się śmiech.

Starając się nie myśleć o mocnym ciele Strathmore'a, opartym o nią tak niepokojąco, dziewczyna poszła wolno przed siebie. Zapewne dla postronnego obserwatora wyglądali jak dwóch pijaków, podpierających się nawzajem.

- Gdybyś się nie wtrącił, uciekłabym bez problemu i nadal miałabym linę - wykrzyknęła mu z wściekłością. - A teraz będę musiała kupić sobie drugą.

- Ja ci kupię. - Przemyślał to i dodał: - Choć z drugiej strony, może jednak nie. Naprawdę wolałbym nie pomagać ci w dalszym łamaniu prawa. Z tego, że nie pytasz o drogę do mego domu, wnoszę, że był następny na liście twoich włamań. Mam rację?

Nie mylił się, więc nie raczyła mu odpowiedzieć.

Na początku starał się podtrzymać pogawędkę, lecz wkrótce zamilkł, a jego oddech stał się cięższy. Na szczęście zła pogoda wypędziła wszystkich ludzi z ulicy i byli sami w



mroku nocy.

Został im tylko kawałek do domu Strathohre'a, gdy trafili na oblodzoną kałużę i oboje upadli. Dziewczynie nic się nie stało, lecz Lucien ze świstem wciągnął powietrze. Kiedy pomagała mu wstać, jęknął:

- Zdaje się, że gaz azotowy przestaje już działać. Niestety. Ostatnie dwieście jardów zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Kit z powątpiewaniem spojrzała ma wysokie marmurowe schody.

- Zadzwoń po służących. Żeby wnieść cię po tych schodach, trzeba co najmniej dwóch mężczyzn.

- Jest lepszy sposób - powiedział dysząc. - Chodźmy jeszcze kawałek w dół alejki.

Kiedy dotarli do drzwi na tyłach domu, dziewczyna była tak zmęczona, że nie wiedziała już, kto kogo podtrzymuje. - Odwróć się na chwilę - poprosił.

Posłuchała bez słowa sprzeciwu i nawet nie starała się zerknąć ukradkiem, gdzie trzyma klucz.

Zaszurały o siebie kamienie, po czym dał się słyszeć odgłos klucza przekręcanego w zamku. Zaciekawiona Kit odwróciła się.

- Jeżeli trzymasz klucz ukryty pod kamieniem, to znaczy, że często korzystasz z tego przejścia. Dlaczego nie wchodzisz do własnego domu frontowymi drzwiami, jak każdy normalny hrabia?

- Czasami lubię wchodzić i wychodzić nie zauważony. - Otworzył drzwi wiodące do małego, wąskiego korytarzyka oświetlonego oliwną lampką.

- Zaczynam podejrzewać, że nie jesteś lepszy ode mnie. - Pomogła mu wejść do środka powtarzając sobie, że taka zażyłość z podejrzanym jest z jej strony wyjątkową głupotą.

- W korytarzu stoi laska, zakładam więc, że dalej sobie poradzisz. - Podała mu laskę i przygotowała się do ucieczki. - Dobranoc, lordzie Strathmore.

Niestety było już za późno. Zanim zdążyła zrobić choć jeden krok, długie, potężne ramię objęło ją w talii.

- Nie tak szybko, moja mała złodziejko.

Zesztywniała przygotowując się do walki, lecz on dodał spokojnie:

- Zawrzyjmy pokój, moja droga. Choćby tylko na dzisiejszy wieczór. Byłoby wyjątkowo nieuprzejmie z mojej strony, gdybym oddał cię władzy po tym, jak uratowałaś mi życie.

- Czego w takim razie chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś poszła ze mną na górę i trochę się ogrzała. Szkoda by było, gdybyś po drodze do domu zamarzła w jakimś rynsztoku.

Hrabia miał rację; gdy przestała czuć obok siebie jego ciepłe ciało, zaczęła gwałtownie drzeć z zimna. Kiedy zamknął drzwi, podążyła za nim po kamiennych schodkach.

Choć ciężko opierał się na lasce, całkiem niezłe dawał sobie radę bez pomocy Kit. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie symulował, aby ją tu ściągnąć? Było to bardziej niż prawdopodobne - hrabia to podstępny łotr, właśnie taki, jakiego szukała.

A jednak mimo złych przeczuc, nie bała się go. Czuła między nimi jakąś dziwną nić porozumienia - zupełnie jakby byli bratnimi duszami. Z racjonalnego punktu widzenia wytłumaczyła sobie, że uczucie to jest spowodowane jej potrzebą ludzkiego towarzystwa. Nigdy nie radziła sobie z samotnością, zawsze w głębi duszy marzyła o tym, by zwierzyć się komuś ze swych kłopotów w nadziei, że pomoże to w ich rozwiązaniu. Jeśliby tylko ośmieliła się zaufać Strathmore'owi! Mogłaby podjąć to ryzyko, gdyby to wyłącznie jej życie było w niebezpieczeństwie, nie mogła jednak narażać życia innego człowieka.

Nawet jeżeli hrabia był potworem, dziś czuła się przy nim bezpieczna; uratowała go i to dawało jej pole do manewru. Przypomniała sobie własne przerażenie, gdy zsuwał się w dół po dachu. Strathmore był może niepokojący i kłopotliwy, lecz nie chciała jego śmierci.

Kiedy doszli do następnego piętra, gospodarz zaprowadził ją do biblioteki. Tuż obok kominka leżała sterta węgla; Kit podeszła tam i uklękła, by rozpalić ogień, podczas gdy Strathmore zapalał świece. Potem pokuśtykał do barku i wyjął karafkę brandy oraz dwa kieliszki. Nalał po dużej porcji i wychylił swoją jednym haustem. Napełnił kieliszek ponownie, usiadł w bujanym fotelu obok kominka i zaczął mocować się z butami. Lewy zszedł lekko, lecz drugi, ten na zranionej nodze, sprawiał więcej kłopotu.

Kiedy ogień palił się już wesoło na kominku, Kit wzięła kieliszek i pociągnęła spory łyk. Po wpływie piekącego alkoholu jej oczy napełniły się łzami, lecz z pewnością brandy była rozgrzewająca. Łyknęła jeszcze raz, ale już o wiele ostrożniej, i podeszła do Luciena, by mu pomóc.

Kiedy pochyliła się, by złapać but, poczuła jego dłoń na swej głowie. Ściągnął szal z jej włosów i powiedział cicho:

- Więc taki jest naprawdę ich kolor. Bardzo piękny. Spojrzała w górę i zabrakło jej tchu. Jego oczy były złote, a ich ciepło o wiele bardziej rozgrzewające niż brandy. Starając się zachować nonszalancję, odparła:

- Są jasnokasztanowe, najwycyzajniejszy kolor, jaki można sobie wyobrazić.

Odsunął na bok loki, które wysmyknęły się spod spinek na karku.

- Nie mów tak. Twoje włosy są piękne... jak ciepły jedwab, lśniący... przetykany złotem, brązem i bursztynem.

Zadrżała, gdy palce Strathmore'a dotknęły jej skroni - jak na rozpuśnika był niezwykle delikatny. Z determinacją pochyliła się i szarpnęła but. Bez skutku. Słyszając urywany, drżący oddech hrabiego, powiedziała:

- Może lepiej byłoby rozciąć skórę?

- I zniszczyć najlepsze buty do konnej jazdy, jakie posiadam? - zapytał z niedowierzaniem w głosie. - Spróbuj jeszcze raz. Jakoś to przeżyję.

Kit wzruszyła ramionami i pociągnęła z całej siły. Gdy but wreszcie się zsunął, omal nie upadła. Spazm bólu przeszedł po twarzy Luciena; zagryzł usta, by nie zakląć.

Dziewczyna delikatnie dotknęła spuchniętej kostki.

- Czy jesteś pewien, że nie jest złamana?

- Tak. - Zdjął krawat i zawiązał nim kostkę, niczym bandażem. Potem przyciągnął sobie stołeczek i oparł na nim nogę.

- Jak już powiedziałem, to nie pierwszy raz. Tylko drobne zwichnięcie.

- Szkoda, że nie masz już ani odrobiny gazu, żeby zabić ból. Skrzywił się.

- To było doprawdy interesujące doświadczenie, lecz nie mam ochoty go powtarzać. Azotan powoduje, że traci się kontrolę nad sobą, a ten stan niezbyt mi się podoba.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Czując nagłą potrzebę matkowania mu, podeszła do sofy, wzięła koc i przykryła Luciena. Potem zdjęła przemoczony płaszcz i szal, po czym usiadła przy kominku, naprzeciwko gospodarza.

Strathmore z błogim westchnieniem wtulił się w fotel.

- To była doprawdy dziwna noc. - Zerknął na dziewczynę z ukosa. - Powinienem ci pogratulować. Szczęcę się tym, że potrafię odróżnić prawdę od fałszu, lecz muszę przyznać, że w domu Chiswicka mnie nabrałaś. Co ty tak naprawdę knujesz?

Zacisnęła usta.

- Mogłam się domyślić, że zaprosiłeś mnie tu na przesłuchanie. Nie powinnam tu wchodzić.

- Ty poruszyłabyś nawet trupa - odparł sucho Lucien. - Byłaś doprawdy bardzo przekonywająca w roli zrozpaczonej siostry. Czy naprawdę masz brata?

Kit wpatrywała się w kieliszek z brandy.

- Jeżeli to, co mówiłam, brzmiało przekonywająco, to dlatego... że było tam sporo emocjonalnej prawdy. Jednak historyjka była zmyślona. Nie mam brata... ani w wojsku, ani nigdzie indziej.

- Więc dlaczego tak cię interesują Hellioni? Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

- A niby dlaczego mam odpowiadać na twoje pytania?

- Czy to, że jestem od ciebie silniejszy i znany z bezwzględności, nie dla ciebie nie znaczy?

Nagły uśmiech rozjaśnił ponurą twarz Kit.

- Nie teraz, hrabio. Pomijając fakt, że zawarliśmy rozejm, nie jesteś w stanie poruszać się dostatecznie szybko, by mnie złapać.

Spojrzał na nią z udawanym smutkiem.

- Zły to dzień, kiedy człowieka nie szanują w jego własnym domu. - Kiedy się roześmiała, zapytał cicho: - Kim ty właściwie jesteś?

Omam mu nie odpowiedziała, lecz powstrzymała się na czas.

- Jesteś doprawdy diaboliczny! Starasz się mnie rozbroić żartami. - Odstawiła kieliszek z cichym brzękiem. - Ale nie dam się podejść tak łatwo.

- Cóż, warto było spróbować. - Znowu spoważniał. - Na dzisiejszą noc zawarliśmy rozejm, lecz nie mogę pozwolić, byś kontynuowała swą kryminalną działalność. Oprócz tego, że to niezgodne z prawem, włamywanie się do cudzych domów jest wyjątkowo niebezpieczną rozrywką.

- Skoro jesteś taki praworządny, jak to się stało, że zostałeś Hellionem?

Zastanawiał się, dlaczego to właśnie mu wytknęła.

- Nie jestem jeszcze oficjalnym członkiem klubu, lecz wkrótce będę.

Zaskoczona zapytała:

- Dlaczego chcesz się do nich przyłączyć? Przecież jesteś zupełnie inny.

- Mam różnych przyjaciół. Hellioni są zabawni i mało skomplikowani. Za bardziej nobliwym towarzystwem rozglądam się gdzie indziej. - Spojrzał na nią w zamyśleniu ponad krawędzią kieliszka. - Moją wymówką jest zły gust, lecz dlaczego ty się koło nich kręcisz? Jesteś w tym wyjątkowo uparta.

Z niezdecydowaniem jasno wypisanym na twarzy Kit wstała i zaczęła krążyć po pokoju, poruszając się z kocią gracją. Maski, które nosiła przy poprzednich spotkaniach, opadły i odsłoniły prawdziwe oblicze tej niezwyklej dziewczyny.

A jednak nadal była paradoksem. Lucien spotkał już wielu nieobliczalnych zapaleńców - najczęściej mężczyzn, lecz zdarzały się także kobiety - którzy balansowali na pograniczu życia i śmierci, wiecznie podejmując ryzyko. Zdawało się jednak, że Jane nie należały do tego typu ludzi, gdyż najwyraźniej nie znajdowała przyjemności w swych dzikich przebierankach. Była w niej jakaś dziwna nieśmiałość i kruchość, skutecznie jednak

pokrywana stalową, sięgającą dna jej duszy siłą, która kazała dziewczynie raz za razem zapuszczać się do jaskini lwa.

Podjąwszy decyzję odwróciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy.

- Ponieważ zawarliśmy rozejm i jeszcze nie jesteś zaprzysiężonym członkiem Klubu Hellionów, powiem ci prawdę. Okazujesz drobne przejawy sumienia... może więc uda mi się nakłonić cię do rezygnacji ze znajomości z nimi.

Najwyraźniej gaz rozweselający nadal działał, gdyż rzekł beztrosko:

- Aaa... więc wreszcie dochodzimy do prawdy. To miła odmiana. Spojrzała na niego ostro.

- Nie ma się z czego śmiać. Jestem dziennikarką. Piszę opowiadania i artykuły do kilku londyńskich dzienników i pracuję już od dawna nad sprawą Hellionów. Podobno nie są gorsi niż inne kluby, lecz z tego, co wiem, ich działalność wykracza nawet poza granice zła ich poprzedników z Klubu Hellfire.

- To znaczy?

- Ponoć porywają i mordują młode dziewczęta. To stanowi część ceremonii - odparła prosto z mostu.

Wytrzeźwiał natychmiast.

- Przeróżające, jeśli prawdziwe.

- Jestem pewna, że prawdziwe.

Pomyślał o Hellionach, których znał. Nie mógł sobie wyobrazić, że na przykład młody lord Ives mógłby popełnić podobną zbrodnię.

- Nie wierzę, że wszyscy Hellioni biorą udział w czymś takim.

- Najprawdopodobniej masz rację. Myślę, że te przerażające praktyki dotyczą tylko nielicznych członków klubu.

- Wyznawców? Spojrzała na niego ostro. - Znasz ich?

- Wiem, że istnieją, lecz nie znam ani ich tożsamości, ani celów. Czyżbyś podejrzewała, że wykorzystują nieświadomych niczego członków klubu do ukrycia swych praktyk?

- Otóż to. Mam już pewne dowody, lecz muszę mieć coś więcej, zanim napiszę artykuł.

- A jakież to masz dowody?

- Znam dziewczynę, która uciekła z miejsca, gdzie ją przetrzymywano. Opowiedziała mi, co słyszała od swych oprawców, i to, co udało jej się wydobyć od ich służby. Ponieważ jej informacje były ograniczone, postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej.

Zabębnił palcami o oparcie fotela.

- Rzadko się zdarza, że młoda kobieta jest dziennikarzem, a już żeby poruszała taki temat... to wydaje mi się wręcz nieprawdopodobne.

- Innymi słowy, uważasz, że znowu kłamię? - powiedziała z oburzeniem. - Gdyby było więcej kobiet - dziennikarzy, może częściej by się pisało o podobnych sprawach. W Anglii jest zbyt wiele kobiet i dzieci, które są wykorzystywane i krzywdzone, co większość mężczyzn uważa za całkowicie normalne - dodała z determinacją w głosie.

Jej słowa przywołały coś w pamięci Luciena. Coś, co kiedyś czytał...

- Jak masz na imię? Może czytałem jakiś twój artykuł?

- Nikt nie wydrukowałby czegoś, co napisała kobieta, więc używam różnych pseudonimów, w zależności od wydawnictwa.

To brzmiało prawdopodobnie; wielu ludzi piszących do gazet posługiwało się pseudonimami.

- Sporo czytam. Pod jakim nazwiskiem piszesz najczęściej? Zawahała się.

- Czy dasz mi słowo, że nikomu tego nie powtórzysz? - Kiedy kiwnął głową, powiedziała: - Dla „Egzaminera” piszę jako L. J. Knight.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął. Tygodnik, który wymieniła, znany był z odważnych artykułów i liberalnej cenzury; w rzeczy samej dwaj bracia, wydawcy pisma, właśnie siedzieli w więzieniu za okazanie braku szacunku dla księcia regenta. - L. J. Knight, dziennikarz znany w całym Londynie ze skandalizujących artykułów, jest młodą kobietą?

- Nie trzeba być ani starym, ani koniecznie mężczyzną, by widzieć, że w naszym społeczeństwie są rzeczy wymagające zmian. Właściwie moja płeć i wiek są atutami, gdyż wiele spraw widzę inaczej niż moi koledzy - odparła chłodno. - Miałam dwadzieścia lat, gdy po raz pierwszy napisałam dla „Egzaminem”, a Leigh Hunt wydał mój artykuł natychmiast i prosił o więcej.

Nadal nie całkiem jej wierząc, Lucien rzekł:

- Dziwię się, że nigdy do tej pory nie słyszałem, że L. J. Knight jest kobietą.

- Porozumiewam się z Leigh Huntem albo listownie, albo przez specjalnych kurierów.

- Uważam, że trochę za ostro potraktowałaś lorda Castelreagh w artykule, który napisałaś w lecie - powiedział, żeby ją sprawdzić.

- Z pewnością pomyliłaś mnie z innym dziennikarzem, gdyż nigdy nie pisałam o ministrze spraw zagranicznych. - Ironiczny błysk w jej oczach wyraźnie świadczył o tym, że rozpoznała pułapkę.

Lucien zastanawiał się, czy aby nie dolać sobie brandy, lecz uznał, że będzie musiał

nieźle wyteżyc umysł, by poradzić sobie z tą kobietą z piekła rodem.

- Czy czegoś się dowiedziałas podczas włamań do domów Hellionów?

- Nie tyle, ile dowiedziałabym się, gdybyś ciągle nie wchodził mi w drogę - odparła pokrywając desperację dobrym humorem. - Gromadzę dowody i już wkrótce będę gotowa do napisania artykułu.

- Czego się dowiedziałas? Potrząsnęła głową.

- Byłabym idiotką, gdybym zdradziła ci coś więcej.

Z podziwem spoglądał na jej uroczą, kobiecą figurkę. Ile odwagi wymaga stawienie czoła złu świata tylko z piórem w dłoni.

- Moja droga, jesteś dla mnie źródłem nie kończących się niespodzianek.

- Podobnie jak i ty. Jak na zawodowego łajdaka, masz zadziwiająco przenikliwy umysł. - Przekrzywiła głowę. - Czy do wszystkich kobiet zwracasz się per „moja droga”? - Tylko do tych, które naprawdę lubię. A jest ich właściwie całkiem sporo.

- Czego można się spodziewać po rozpustniku.

- Powiedziałem „lubię”, a nie „pożadam” - poprawił ją sucho.

- To są dwie całkiem inne sprawy.

- O ile się orientuję, mężczyźni bardzo rzadko szczerze lubią kobiety. Dlaczego ty jesteś inny?

- Kiedy byłem dzieckiem, moją najlepszą przyjaciółką była dziewczynka - odparł po długiej chwili ciszy. - Poza tym nadal nie wiem, jak masz na imię, więc „moja droga” jest bezpiecznie neutralnym zwrotem.

Uśmiechnęła się lekko.

- Właściwie mam na imię Jane.

- Lydia Jane Knight? Czy może Louise? Albo Laura?

- Nie mam zamiaru nic więcej ci powiedzieć, hrabio, więc radziłabym ci zrezygnować z dalszych pytań. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czy teraz, skoro powiedziałam ci prawdę, rozumiesz, dlaczego śledzę Hellionów?

- Tak, ale nadal tego nie pochwalam. Igrasz z ogniem.

- Więc może się sparzę. - Wstała i wzięła swój płaszcz, który suszył się nie opodal kominka. - Trudno. Dobranoc, hrabio.

Gdy owijała szal wokół głowy, Lucien wstał z wysiłkiem z fotela i ciężko opierając się na lasce podszedł do niej.

- Nie tak szybko. Jak już kiedyś powiedziałem, chciałbym cię jeszcze zobaczyć.

Westchnęła.

- Jesteś wyjątkowo uparty.

- Powinnaś to rozumieć. To jedna z rzeczy, które nas łączą.

- Uniósł wolną dłoń i delikatnie pogładził jej policzek. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie jesteśmy wrogami.

Odsunęła się o krok.

- Nie jestem tego taka pewna.

- Czyżbyś chciała zaprzeczyć, że fascynujemy się nawzajem?

- Nawet ja nie potrafię tak kłamać - odparła ironicznie. - A fascynacja nic nie znaczy. Może trudno ci uwierzyć, że kobieta może być bardziej zainteresowana sprawiedliwością i rozwojem umysłu niż mężczyzna, ale w moim przypadku tak właśnie jest. Żyjemy w różnych światach, lordzie Strathmore. - Czy to też nic nie znaczy? - Przyciągnął ją i pocałował, ale nie z zapamiętaniem, jak wtedy na dachu, lecz z uczuciem, które narastało w nim od chwili ich pierwszego spotkania. Z namiętnością, tęsknotą, nadzieją...

Dłonie Kit spoczęły na jego ramionach i zaciskały się spazmatycznie, gdy delikatnie dotknął jej piersi. Przez warstwy materiału poczuł, że sutki tężeją. Wypełniała jego zmysły, dotyk, słuch i węch.

Kiedy pochylił głowę, by pocałować jej szyję, szepnęła:

- Nie, Lucien... Nie mogę sobie pozwolić na to, by oślepiło mnie pożądanie. W ten sposób dajesz mi tylko następny powód, dla którego powinnam cię unikać.

Słodki dźwięk jego imienia w ustach dziewczyny pozbawił słowa znaczeń. Kiedy cofnęła się niepewnie, ruszył za nią zapominając o skręconej kostce. Ból przeszył go niczym strzała.

- Do diabła! - Oparł się ciężko o fotel, pot wystąpił mu na czoło. - Zdziwiający, jak bardzo ból osłabia pożądanie.

- Gdybym o tym wiedziała, już dawno kopnęłabym cię w tę kostkę. - Owijając się szczelnie płaszczem, podeszła do drzwi. - Naprawdę muszę już iść.

Uniósł lampę i podążył za nią.

- Poświecę ci. - Uśmiechnął się do niej uśmiechem równie czarownym, co pocałunek.

- Z laską w jednej i lampą w drugiej ręce nie bardzo będę miał jak cię uwodzić. Choć jeżelibym się nad tym zastanowił, to może coś bym wymyślił.

- Więc się nie zastanawiaj.

Gdy dotarli do schodów, wzięła od niego lampę, by mógł przytrzymać się poręczy. Był to następny zaskakujący przykład ich współpracy, instynktownej harmonii; czegoś takiego Kit doświadczyła dotąd tylko z jednym człowiekiem.



Nie odezwali się do siebie ani słowem aż do chwili, kiedy doszli do drzwi. Lucien przekręcił klucz w zamku i trzymając dłoń na klamce, zapytał:

- Gdzie mieszkasz, Jane?

W świetle lampy jego oczy wydawały się znowu złociste. Nie jestem stworzona dla takiego mężczyzny, pomyślała z rozpaczą. Był panem tajemnic, których nie było dane jej poznać; używał swej wiedzy z delikatną bezwzględnością. Raczej mamił, niż zmuszał do czegokolwiek. Wiedząc, że musi jak najszybciej wyjść, zanim straci resztę zdrowego rozsądku, powiedziała gwałtownie:

- Wardour Street. Numer dziewięćdziesiąt sześć. Ale to, co powiedziałam wcześniej, jest prawdą, lordzie Strathmore. W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca.

- Miejsce zawsze można zrobić. - Puścił klamkę i odsunął się pozwalając jej przejść.

Pogoda była jeszcze gorsza niż wcześniej. Na szczęście do domu nie było daleko. Zaledwie kilka przecznic. Idąc pustymi ulicami, zastanawiała się, jak by to było, gdyby była wolna i mogła odwzajemnić zainteresowanie Strathmore'a. Jeżeli miał dobre intencje... jeżeli uda się jej ukończyć pomyślnie misję...

A jednak bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła sobie wyobrazić związku z tym mężczyzną. Grała już wiele ról i będzie jeszcze grać, lecz żadna z jej osobowości nie miała nic wspólnego z bogatym, lśniącym światem lorda Strathmore'a.

Po wyjściu dziewczyny Lucien poszedł do sypialni, lecz był tak zmęczony, że ledwo udało mu się wspiąć po schodach. Jednak kiedy wreszcie opadł na łóżko, pomimo bolesnego pulsowania kostki, poczuł radość. Jego tajemnicza dama przyznała, że coś ich do siebie ciągnie, i choć nadal miała wątpliwości, pierwszy krok został uczyniony. Jane. Obracał to imię w myślach. Prawdopodobnie nie było to jej imię, lecz już zaczynał się do niego przyzwyczajać. Jane, subtelnie zmysłowa, łagodna, lecz zdeterminowana, o ciętym języku i sercu lwicy.

Miło było ją zobaczyć wreszcie bez peruki i makijażu. Wreszcie widział jej prawdziwą twarz. Podobały mu się miękkie jasnokasztanowe włosy, opadające w falach aż na plecy, i delikatna cera, która miała w sobie coś z przejrzystości perły. Lecz przede wszystkim podziwiał ją za inteligencję i silną osobowość emanującą na każdym kroku. Zasnął myśląc o jej niesamowicie przejrzystych szarych oczach i ciepłym szczupłym ciele.

Gaz azotowy zostawił po sobie wspomnienie - niespokojną noc pełną niezwykłych snów. Śnił o chwilach namiętności z Jane. Pojawiła się w kilku wcieleniach, a jednak była tą samą olśniewającą i niepowtarzalną kobietą. Po cudownej chwili spełnienia zaczęła rozpylać się w jego ramionach. Starał się ją zatrzymać, lecz stopiła się z mrokami nocy, pozostawiając go sam na sam z rwącym duszę smutkiem.

Obudził się o świcie zlany potem. Marzenia senne już się rozwiewały, zostawiając po sobie ogromne poczucie pustki. Może te sny miały go ostrzec przed ponownym spotkaniem z Jane? Im bardziej jej pragnął, tym bardziej bolesne byłoby rozczarowanie, gdyby coś nie poszło po jego myśli. Nie przez przypadek jego życie przez ostatnich parę lat przypominało życie średniowiecznego mnicha, i z pewnością najmądrzej by było, gdyby tak już pozostało.

Zacisnął usta. Było już za późno, by zawrócić - nieważne, ile miało go to kosztować, musiał kontynuować poszukiwania, gdyż Jane zawładnęła jego umysłem jak żadna inna dotąd kobieta. Postanowił zaryzykować.

Zadzwoił po herbatę, tłumacząc sobie, że nawet jeśli jego sen stanowił jakieś ostrzeżenie, to z pewnością przed używaniem gazu azotowego. Za ulotny stan euforii zapłacił niebagatelną cenę.

Stan kostki poprawił się przez noc. Po dokładnym wymoczeniu jej i zabandażowaniu przez doświadczonego lokaja nie sprawiała Lucienowi zbyt wielkiego kłopotu - był nawet w stanie wyjść na dwór. Pojechał jednak w krytym powozie - wolał nie narażać się na dalszy szwank powożąc samemu.

Oczywiście kazał woźnicy jechać na Wardour Street w Soho, dzielnicy zamieszkaanej przez artystów, pisarzy, ekscentryków i cudzoziemców, czyli dokładnie takiej, w jakiej mogłaby mieszkać tak niezależna kobieta jak Jane.

Wyszedł z powozu z laską w dłoni; niecierpliwość wprost w nim kipiała. Miał nadzieję, że dziewczyna jest w domu; chciał ją zaprosić na przejażdżkę. Chętnie zobaczyłby ją w świetle dnia; dotychczas spotykali się wyłącznie w mrokach nocy niczym para nietoperzy.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu widząc, że po przeciwnej stronie ulicy znajduje się tawerna Pod Przebiegłym Lisem. Wydawało się to odpowiednie, gdyż Jane można by nazwać przebiegłą lisicą.

Humor popsuł mu się nieco, gdy przyjrzał się domowi numer 96. Zajmowała go chyba jedna rodzina, nie był podzielony na małe mieszkania. Lecz w końcu wygląd zewnętrzny mógł być mylący. Zastukał mocno metalową kołatką.

Drzwi otworzyła mała pokojóweczka ubrana na czarno i jej oczy rozszerzyły się gwałtownie na widok tak elegancko ubranego dżentelmena stojącego na progu. Uśmiechając się najbardziej ujmująco, jak potrafił, Lucien powiedział: - Moja kuzynka prosiła, bym złożył wizytę jej przyjaciółce Jane, mieszkającej pod tym adresem, ale obawiam się, że nie pamiętam nazwiska tej młodej damy. Czy zastałem pannę Jane?

- Tu nie mieszkają żadne młode panienki. - Pokojóweczka zachichotała. - Oprócz mnie, oczywiście. Ale ja jestem Molly, nie Jane. Czy na pewno ma pan zapisany dobry adres?

Ogarnęła go zimna wściekłość i zacisnęła dłoń na główce laski. Przeklęta mała wiedźma znowu wyprowadziła go w pole. Stał spokojnie, dopóki nie odzyskał panowania nad sobą, po czym powiedział spokojnym głosem:

- Możliwe, że się pomyliłem. Może to nie był numer dziewięćdziesiąt sześć? Napiszę do kuzynki i poproszę, by raz jeszcze podała mi adres tej młodej damy.

Uchyliwszy uprzejmie kapelusza, odwrócił się i pokuśtykał do powozu. Niech to wszyscy diabli, jak mógł być tak głupi i wierzyć, że powiedziała mu prawdę? Bardzo chętnie zwaliłby winę za swój błąd w ocenie dziewczyny na gaz azotowy, lecz zdawał sobie sprawę, że to ona go oszalaiała. Jane, czy jak jej tam było, potrafiła oszukać go i oczarować jak żadna inna kobieta.

Wdrapując się do powozu polecił woźnicy:

- Na Westminster Bridge! Chcę pojechać do Surrey Gaol.

Leigh Hunt podniósł wzrok bez zainteresowania, gdy klucz zazgrzytał w drzwiach celi. Poznając gościa, wstał i uśmiechnął się radośnie.

- Strathmore, jak miło, że wpadłeś!

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Ponieważ Lucien już odwiedzał wydawcę, wcale nie zdziwił go widok tapety w małe róże na ścianach i namalowanych na suficie chmur. Leigh Hunt nie był człowiekiem, któremu tak drobny incydent jak uwięzienie był w stanie popsuć humoru.

Do celi wszedł strażnik z ogromnym bukietem kwiatów w dzbanie.

- Zobaczyłem je na wystawie jakiegoś kramu i pomyślałem, że może ci się spodobać - wyjaśnił Lucien, gdy strażnik postawił wazon na fortepianie.

- Dziękuję. - Wydawca pogładził delikatne pąki chryzantem. - Są wspaniałe, jak na tę porę roku. - Już wkrótce mają cię wypuścić, prawda?

- W lutym. - Hunt skrzywił się. - I cały czas liczę dni. Starłem się jakoś uprzyjemnić to pomieszczenie, lecz nadal jest to tylko więzienna cela. - Wskazał gościowi krzesło. - Proszę, usiądź i opowiedz mi, co słysząc w mieście.

- Wydajesz „Egzaminera” z tej celi, więc wiesz zapewne więcej ode mnie. Lecz może nie słyszałeś... - Lucien opowiedział kilka zabawnych historyjek, które bardzo spodobały się Huntowi.

W końcu udało mu się doprowadzić rozmowę do tego, co go najbardziej interesowało i co przywiodło go do tego więzienia.

- A tak przy okazji, słyszałem plotki, że jeden z twoich dziennikarzy, L. J. Knight, to kobieta.

Leigh Hunt roześmiał się na całe gardło.

- A cóż to za nonsens!

- Mnie również wydawało się to nieprawdopodobne - zgodził się Lucien. - A jaki tak naprawdę jest Knight? Sądząc po entuzjazmie, jest jeszcze bardzo młody.

- Właściwie sam nie wiem. Nigdy nie spotkałem go osobiście, zawsze kontaktowaliśmy się listownie.

Interesujące.

- Czy on mieszka na wsi? - zapytał.

- Nie, nie... jest londyńczykiem.

- Więc jednak jest prawdopodobne, że Knight to kobieta używająca męskiego pseudonimu, by ukryć swą płeć.

Wydawca potrząsnął głową.

- Teoretycznie jest to możliwe, lecz żadna kobieta nie byłaby w stanie pisać tak inspirujących i dobrze przemyślanych artykułów.

Gdyby Leigh Hunt spotkał kobietę taką jak Jane, nie byłby tak pewny swych słów. Oczywiście, możliwe, że skłamała mówiąc o L. J. Knightcie, lecz Lucien wierzył jej; miała dostateczną wiedzę i cięty język, by pisać podobne artykuły.

- Jak myślisz, czy Knight miałby coś przeciwko, żebym do niego wpadł? Chciałbym uściskać mu dłoń. Nie zawsze zgadzam się z jego opiniami, lecz podziwiam jego wnikliwość. Z ogromną przyjemnością czytam jego artykuły.

Leigh Hunt zmarszczył brwi.

- Wątpię, czy przyjąłby gości z otwartymi ramionami. Domyślam się, że jest słabego zdrowia i mieszka na uboczu. Lucien pokiwał głową. Udawanie kaleki to dobry sposób na ukrycie własnej tożsamości, zwłaszcza dla kobiety tak niekonwencjonalnej jak Jane; właśnie tego by się po niej spodziewał.

- Nie chciałbym narażać jego zdrowia, lecz mam dla niego propozycję - rzekł. - Wojna już się skończyła i nadszedł czas, by Brytyjczycy spojrzeli w przyszłość. Chciałbym opublikować pamflet o sytuacji ekonomicznej i socjalnej tego kraju. Niestety jestem marnym pisarzem i chciałbym wynająć kogoś, kto przedstawi moje poglądy z odpowiednią mocą. Gdybyś był tak uprzejmy i podał mi jego adres, wysłałbym mu wiadomość i poprosił o przemyślenie propozycji. Jeżeli nie będzie zainteresowany, nie będę go niepokoić.

Wydawca zawahał się.

- Knight nigdy nie pozwalał, bym złożył mu wizytę. Jednak rzadko który dziennikarz jest na tyle głupi, by nie współpracować z tak bogatym człowiekiem jak ty, mój drogi. Mieszka na Frith Street numer dwadzieścia.

Znowu Soho. Nie wydawało się, by był to tylko zbieg okoliczności. Ponieważ kiedy ją przycisnęła, Jane także wymieniła adres w tej dzielnicy, Lucien założył, że mieszka gdzieś w okolicy. To ograniczało teren jego poszukiwań do rozsądnych granic. Zmienił temat rozmowy, a po kilku minutach wyszedł.

W drodze powrotnej do Londynu rozmyślał o tym, czego się dowiedział. Spotkał już wielu kłamców, w tym również takich, którzy łgali dla zabawy, i takich, którzy nie potrafili odróżnić iluzji od rzeczywistości. Jane nie należała ani do jednych, ani do drugich. Ona kłamała z jakiegoś powodu. Zapewne nie powinien winić jej za to, że kłamała; odpowiadała przecież na pytania postawione pod groźbą. I choć łagodziło to jego gniew, pałaca potrzeba odszukania jej nadal pozostała.

Było już późno, więc musiał odłożyć wizytę na Frith Street na następny dzień. Zastanawiał się, co tam znajdzie; diabelska Jane na pewno podała fałszywy adres i kazała przysyłać sobie korespondencję do obcego domu. Jednak nowo zdobyty adres mógł prowa-

dzieć do czegoś innego, ciekawszego.

Ponieważ niewiele mu już zostało do zrobienia w jej sprawie, wrócił myślami do Upiora. Francuski szpieg był o wiele ważniejszy niż odnalezienie tej irytującej dziewczyny.

Umysł to wiedział, trzeba było jeszcze tylko przekonać o tym serce. Ubrana w stary, bardzo zniszczony płaszcz i ogromny kapelusz zasłaniający jej twarz, Kit weszła do sklepu z warzywami i owocami. Właścicielka, potężna kobieta w średnim wieku o przyjemnej twarzy, była zajęta innym klientem, lecz uśmiechnęła się do dziewczyny na powitanie.

Kit zajęła się oglądaniem warzyw i dopiero gdy obcy człowiek wyszedł ze sklepu, odezwała się:

- Dzień dobry, pani Henley.

- Miło znowu panienkę widzieć. Zbyt wiele czasu już minęło - odparła kobieta wylewnie. - Co panienka sobie dziś życzy?

- Tuzin porów, proszę, i dwa funty tych świeżych brukselk.

- Kiedy pani Henley wybierała warzywa, dodała cicho: - Najprawdopodobniej ktoś będzie pytał o L. J. Knighta. Młody, czarujący i bardzo uparty dżentelmen.

- Nie martw się, dziewczyno - uspokoiła ją pani Henley. - Ode mnie niczego się nie dowie.

- Im mniej pani powie, tym lepiej. To bardzo sprytny jegomość. Do sklepiku wszedł następny klient, więc pani Henley spytała nieco głośniejszym głosem:

- Może parę tych pomarańczy, panienko? Nie są najtańsze, ale za to jakie słodkie!

- Naprawdę ładnie wyglądają - zgodziła się Kit. - Wezmę sześć. Kiedy pomarańcze trafiły do koszyka, Kit podała sprzedawczyni pieniądze. Pomędzy drobnymi piąstkami schowana była złota gwinea.

- To za koszty wysyłania i odbierania listów - szepnęła. - Nie chcę tego robić osobiście przez jakiś czas.

Pani Henley uśmiechnęła się konspiracyjnie, chowając pieniądze, i odwróciła się do następnego klienta.

Kit wyszła ze sklepu podniesiona na duchu. Nie powinna się wtedy zdradzić przed Lucieniem - wzdrygnęła się i natychmiast poprawiła - lordem Strathmore'em. Oczywiście nie wszystko, co powiedziała, było prawdą, Kit nie miała jednak wątpliwości, że niewiele czasu zajmie mu oddzielenie ziarna od plew. Możliwe, że właśnie w tej chwili przepytował Hunta, a wydawca zaprowadzi go prościutko do sklepu pani Henley.

Będzie wściekły, iż go oszukała, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. To dziwne, że ona, rozmiłowana w prawdzie, opowiadała tak dużo kłamstw na prawo i lewo, że sama

zaczynała się w nich gubić.

Z ciężkim westchnieniem przestała myśleć o hrabim Strathmore. Nadszedł czas, by zastanowić się nad tym, co będzie robić dziś w nocy.

Lucien wcale się nie zdziwił, że pod numerem 20 na Frith Street znajduje się sklep z warzywami i owocami. Przez sklepik przewijało się tyle kobiet w różnym wieku, że Jane mogła tu nie zauważona i nie nękana przez nikogo spokojnie odbierać listy.

Kiedy klientki zorientowały się, że mężczyzna - najwyraźniej bogaty i dobrze urodzony - wszedł do sklepu, wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Jedna po drugiej, jak najszybciej, robiły zakupy i wychodziły ze sklepu, najpierw jednak uważnie przyjrząwszy się intruzowi. Stał spokojnie, opierając dłonie na główce laski i uśmiechał się pod nosem rozbawiony tym, jak samą swoją obecnością przepędza klientki.

Kiedy ostatnia kobieta wyszła pospiesznie ze sklepu, właścicielka odwróciła się do niego, wcale nie zdziwiona widokiem dżentelmena pomiędzy koszami pietruszki i marchewki. Najwyraźniej Jane ostrzegła ją, że ktoś przyjdzie pytać o L. J. Knighta.

- Co mogę panu podać? - zapytała. - Może kilka pomarańczy? Niestety potężna kobieta nie wyglądała na taką, którą można łatwo wystraszyć. Jedyłą jego szansą na wyciągnięcie od niej jakichś informacji było wprowadzenie jej w błąd.

- Szukam mojego wuja. To uroczy starszy dżentelmen, lecz niestety jego głowa nieco szwankuje. Od czasu do czasu zdarza mu się uciekać z domu. Słyszałem, że tym razem uciekł do Soho i każe przysyłać sobie pocztę na ten adres. Nazywa się L. J. Knight. Czy może odbierał tu niedawno listy?

Wyglądała na zaskoczoną, zupełnie, jakby spodziewała się innego pytania.

- Nazwisko pańskiego wuja brzmi znajomo, lecz zupełnie nie kojarzę jego twarzy.

Lucien uśmiechnął się do niej rozbrajająco.

- Czy mogę być z panią szczerą? Obawiam się, że tym razem staruszek uciekł z jakąś awanturnicą. Może to ona odbiera jego pocztę? Czy poznaje ją pani? - Wyciągnął z kieszeni portret Jane, który wcześniej narysował.

Gdyby nie obserwował tak dokładnie twarzy właścicielki sklepu, nie zauważyłby lekkiego, niemal niewidocznego, rozszerzenia się jej źrenic. Lucien przysięgłby, że rozpoznała twarz dziewczyny.

- Może i ją widziałam, ale nie mogę powiedzieć na pewno - odparła po chwili. - To nie jest charakterystyczna twarz. Lucien bynajmniej się z nią nie zgadzał, lecz musiał przyznać, że Jane nie ma żadnych cech szczególnych. Potrzeba by malarza o niezwykłym talencie, by uchwycić niesamowitość i niezwykłość jej twarzy. Niestety jego zdolności tu nie wystarczyły.

Oddając rysunek, właścicielka sklepu zauważyła:

- Nie wygląda na awanturnicę.

- Dlatego jest taka niebezpieczna. Choć sprawia wrażenie największego niewiniątka na świecie, ma doprawdy zastraszającą reputację. Obawiamy się, że może skrzywdzić wuja Jamesa, kiedy się dowie, że on nie ma prawa rozporządzać swymi pieniędzmi.

Iskierka rozbawienia pokazała się w oczach pani Henley, gdy kobieta rozpoznała, że Lucien kłamie.

- Wtedy pański wuj na pewno wróci do domu.

- Mam nadzieję. On nigdy nie potrafił poznać się na kobietach.

- Lucien zastanawiał się ponuro, czy mówi o wymyślonym wuju, czy też może o sobie?

Podziękowawszy kobiecie za cierpliwość, wyszedł. Mógłby postawić warty przy sklepie, lecz wątpił, czy to cokolwiek da. Jane była za sprytna, by tu wracać po tym, jak się tu pojawił.

O wiele lepszym rozwiązaniem byłoby poprosić jednego ze szpiegów, by rozpytali o nią w Soho, pokazując ludziom jej portret. Ta metoda wymagała czasu, ale była skuteczna. W swoim czasie odnajdzie tę dziewczynę.

I co wtedy?



## ***Interludium***

*Kiedy usłyszała, że wszedł do przedpokoju, dopiła herbatą i ostrożnie postawiła filiżankę na spodeczku. Potem wstała i wstrząsnęła grzywą czarnych włosów opadających w ciężkich falach aż na plecy. Tego wieczoru miała na sobie czarny koronkowy kostium, który przylegał do jej ciała niczym druga skóra, od głębokiego dekoltu aż po wysokie do pól uda buty na obcasie. Wzory koronki drażniły oczy dając złudzenie, że odsłaniają więcej niż w rzeczywistości.*

*Zadrżała słysząc cichy brzęczący głos przy wejściu do pokoju. Złapała bat i trzasnęła nim z arogancją i okrucieństwem kawalerzysty.*

*- Nie dotykaj niczego bez mojego pozwolenia, niewolniku! - warknęła, gdy rzemień bata owinał się dokoła jego nadgarstka.*

*Choć był to najdelikatniejszy z batów, na jego ręce pojawiła się czerwona pręga. Wzdrygnął się i odstawił na stolik mechaniczną zabawkę, jednak jego oczy płonęły, kiedy opadł na kolana.*

*- Pokornie błagam o wybaczenie, pani.*

*Kopnęła go w twarz, omijając jednak oczy. Nie zrobiła tego zbyt mocno - został tylko niewielki ślad.*

*- Nie przyjmuję twoich przeprosin, niewolniku. Musisz zostać ukarany. Zdejmij to ubranie, byś był nagi, jak inne zwierzęta.*

*Posłuchał bez słowa sprzeciwu. Drżącymi z niecierpliwości palcami rozpiął guziki obnażając potężne ciało. Potem opadł na dłonie i kolana. Uderzyła go po plecach z morderczą siłą. Jęknął głośno i podniósł głowę. Jego źrenice były ogromne i czarne. Posunęła się za daleko, za szybko. To było najtrudniejsze zadanie - panować nad pożądaniem, podczas gdy ona powoli podnosiła próg bólu. Jeżeli zbyt szybko się pospieszy, straci go... straci znacznie więcej.*

*Znowu trzasnęła z bata, tym razem delikatniej; odprężył się mruczając ochryple z rozkoszy. Ostrożnie, niczym artysta malujący portret, zaczęła pokrywać jego ciało siecią smagnień, z uwagą drapieżnego ptaka obserwując poziom jego podniecenia.*

*Wyzywała go, używała najgorszych słów, jakie tylko знаła; mówiła, jak bardzo jest odrażający. To dolewało oliwy do ognia jego podniecenia.*

*Kiedy miękki bat przestał spełniać swoje zadanie, zmieniła go na inny, mocniejszy, zakończony twardym chwostem, który przecinał skórę za każdym uderzeniem.*

*Zaczął się więc w rytm jej uderzeń, witając z radością razy, które wcześniej byłyby zbyt*

*bolesne. Wreszcie mogła uderzać go z całej siły, której dodawała jej od dawna nagromadzona wściekłość. Przecinała jego skórę raz za razem, a wściekłość i brutalność odarły ją z resztek człowieczeństwa. Jego przeciągłe, coraz głośniejsze jęki wypełniały pokój, aż pokryte potem ciało wygięło się w ekstazie.*

*I już było po wszystkim... leżał rozciągnięty na dywanie z jagnięcej skóry, a jego krew znaczyła białą wełnę.*

*- Jesteś doskonała, o pani - wydyszał. - Doskonała.*

*Krztusząc się z odrazy do niego i do siebie, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.*

Kit obudziła się drżąc na całym ciele. Prześcieradło przesiąknięte było jej potem. To był najbardziej realistyczny koszmar, jaki się jej przyśnił. Pozostawił po sobie mdlące uczucie. Starła się dopatrzeć sensu w obrazach, lecz bezskutecznie; sen był tak inny niż wszystko, czego w życiu doświadczyła, że równie dobrze mogłaby się starać zrozumieć chińszczyznę. Tylko uczucia były rozpoznawalne; wściekłość i agonia tak gwałtowne, że niemal ją dusiły.

Viola ruszyła się ze swego miejsca w nogach łóżka i podeszła do niej z cichym miauknięciem. Kitomal nie rozpląkała się z wielkiej ulgi, gdy kotka przytknęła nosek do jej szyi, prosząc o śniadanie. Zwyczajność tego gestu pozwoliła jej pozbierać się i otrząsnąć ze smutku i przerażenia.

Spróbowała się odprężyć - mięsień po mięśniu - dopóki nie przestała drżeć. Potem starała się wypełnić umysł pozytywnymi emocjami - miłością, spokojem i nadzieją - aż całe okropieństwo koszmaru sennego zniknęło.

Kiedy już się uspokoiła, wstała z łóżka i narzuciła szlafrok, gdyż poranek był wyjątkowo zimny. Z Viola na ręce poszła do kuchni, powtarzając sobie, że cały czas jej poszukiwania posuwają się do przodu. Udało jej się przetrwać tę noc, tak że nie musiała się budzić z poczuciem wstydu. Poza tym miała sposobność obserwowania jednego z podejrzanych dostatecznie dobrze, by wykreślić go z listy. Mimo wszystko był to mały krok do przodu.

Nakarmiła kotkę, postawiła imbryk na piecu i wyjęła z szafki bochenek chleba. Lecz kiedy podniosła nóż, by ukroić kromkę, znowu zobaczyła obraz ze snu.

Choć nie pamiętała szczegółów, z pewnością była to mechaniczna zabawka. Zamarła z nożem uniesionym w dłoni. Znała tylko jednego człowieka zdolnego do zrobienia podobnego przedmiotu. Dobry Boże, nie pozwól, by to był Lucien - modliła się żarliwie. Proszę, niech to nie będzie on.

A jednak, gdyby to był on...

Patrzyła nic nie widzącymi oczyma na lśniąca krawędź noża. Nawet jeżeli człowiekiem, którego szukała, jest hrabia Strathmore, nie cofnie się. Osiągnie cel.

Lucien powoli przeglądał sterty informacji, które zdążył zebrać o Hellionach. Była to zbieranina faktów o ich sprawach finansowych, poglądach politycznych, romansach, działalności publicznej i ukrytych zdolnościach. A jednak na tych kilkudziesięciu arkuszach zapisanego papieru nie znalazł nic, czego by się wcześniej nie domyślał. Większość

Wyznawców borykała się z chronicznymi problemami finansowymi. Kilku z nich miało bezpośredni dostęp do tajnych akt rządowych i wszyscy obracali się w świecie, gdzie po pijanemu można wyjawiać lub dosłyszeć niejednego sekret. I każdy z nich skusiłby się na francuskie złoto.

Równie źle szło mu z poszukiwaniami tajemniczej kobiety. Przez dwa dni jego ludzie przemierzali Soho wzdłuż i wszerz, zagadując przechodniów i pokazując im portret Jane. Niektórzy mieszkańcy okolicy i sklepikarze mówili, że wygląda znajomo, lecz nie potrafili powiedzieć, ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka. Może problem polegał na niedokładności rysunku, lecz Lucien podejrzewał, że tak naprawdę ta dziewczyna potrafi się zmieniać nie do poznania.

Powodowany impulsem odłożył dokumenty i postanowił przejść się na kolację do klubu. Może spokojny wieczór spędzony z przyjaciółmi ukoji jego zszarpane nerwy...

Praca i odpoczynek zeszyły się w jedno, gdy Lucien spotkał w klubie lorda Ivesa. Choć prawdę mówiąc, nie podejrzewał, że młody Hellion może być Upiorem, była szansa, że język mu się rozwiąże i powie coś interesującego o innych członkach klubu. A co ważniejsze, Lucien lubił towarzystwo tego młodego człowieka. Każdy, kto potrafi się z siebie śmiać po tym, jak dostał w nos sztucznym biustem, wart jest szacunku.

- Wkrótce będę musiał cię opuścić, gdyż wybieram się do teatru - rzekł Ives, popijając porto.

- Idziesz na Drury Lane?

- Nie, do Marlowe, to taki nowy teatr przy Strand. Byłeś tam już kiedyś?

- Nie, choć wybierałem się kilka razy - powiedział Lucien z zainteresowaniem. - Słyszałem, że co najmniej dwa królewskie teatry w Londynie obawiają się o swój dochód.

- To prawda, mają doskonały repertuar komediowy. - Ives? wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I najlepsze tancerki w całym Londynie.

- Czyżby jakaś wpadła ci w oko?

- I to nie tylko w oko - odparł młodzieniec z przechwałką w głosie.

- Może wybrałbyś się dziś ze mną? Umówiłem się z Cleo dopiero po przedstawieniu, więc całą lożę mam dla siebie. Dziś wystawiają najpopularniejszą swoją sztukę. Nie mogę się już doczekać.

- Chętnie pójdę z tobą. Zawsze bardzo lubiłem teatr, lecz ostatnio jakoś miałem za mało czasu, by wybrać się samemu.

Młodzieniec zaczął opowiadać o teatrach, nawet o tych, które dawno temu zamknięto. Najwyraźniej była to jego pasja. Wspomniał również, że lorda Nunfielda poznał dzięki

wspólnemu zainteresowaniu teatrem. W ten sposób młody lord trafił do Hellionów.

Kiedy wypili porto, Lucien zauważył filozoficznie:

- Tak, teatr to wyjątkowe miejsce, a ludzie teatru także są niezwykli.

- Podziwiam swobodę, z jaką żyją - powiedział żarliwie Ives, gdy wychodzili z klubu.

- Czyż nie byłoby wspaniale, jeśliby wszystkie kobiety były tak wyzwolone jak aktorki?

- Nie jestem pewien, czy świat jest na to przygotowany. - Lucien zasygnalizował lokajowi, by przyniósł ich cylindry i płaszcze.

- Gdybyś się ożenił, to czy naprawdę chciałbyś, by twoja żona była tak nieskrępowana, jak bywają aktorki?

- Rozumiem. - Ives uśmiechnął się ponuro.

Pojechali w swoich własnych powozach, by po przedstawieniu móc swobodnie dotrzeć do domu. Spotkali się przed lożą w teatrze i weszli natychmiast do środka, gdyż przedstawienie już się zaczęło. Tylko dwa teatry w Londynie posiadały królewską koncesję i miały prawo wystawiać dramaty. Inne, takie jak Marlowe, omijały prawo, dodając do swych przedstawień muzykę i taniec; tym sposobem ich spektakle mogły być traktowane jak koncerty. Lucien i Ives zajęli miejsca właśnie w chwili, gdy orkiestra kończyła z werwą graną *Muzykę na wodzie* Haendla.

Za chwilę miało się odbyć największe wydarzenie wieczoru, w programie zatytułowane *Cyganeczka*. Była to zabawna sztuka zaczynająca się od tego, że oszałamiająco przystojny szlachcic imieniem Horatio został wydziedziczony przez zbyt surowego ojca, księcia Omnium, po tym, jak podły kuzyn uknuł podłą intrygę. Ze złamanym sercem młodzieniec wyruszył w dziki las, gdzie od śmierci uratował go tabor Cyganów.

W momencie kiedy Horatio przyłączał się do nowych przyjaciół siedzących wokół ogniska, Ives nachylił się i szepnął Lucienowi do ucha:

- Za chwilę na scenę wyjdzie chórek dziewcząt i zaśpiewa. Prowadzącym głosem będzie Cleo.

Dziewczęta w kolorowych kostiumach i brzęczących naszyjnikach z drobnych monet wybiegły na scenę. Cleo była ognistą dziewczyną o ładnej buzi i płomiennych oczach. Unosząc tamburynek nad głowę i w ten sposób korzystnie eksponując olśniewającą figurę, dziewczyna zerknęła na lożę i uśmiechnęła się bezczelnie do Ivesa. Wyglądała jak piękna odpowiedź na modlitwy młodzieńca.

Chórek cofnął się o krok i do przodu wystąpiła jeszcze jedna Cyganka. Jej pojawienie się powitał gorący aplauz publiczności. Nowo przybyła dziewczyna nie była może porywającą pięknnością, posiadała jednak zadziwiającą zdolność odwracania uwagi mimu od

innych artystów, nawet najlepszych.

Tańczyła skocznie dokoła sceny, podczas gdy jej powiewne spódnice unosiły się w takt muzyki, odsłaniając delikatny złoty łańcuszek na szczupłej kostce. Dziewczyna wirowała coraz szybciej, pozwalając oczarowanej publiczności zobaczyć nieco więcej niż tylko kostkę, zgrabną łydkę... Miała naprawdę zgrabne nogi.

Nagle dziewczyna zatrzymała się w pół obrotu, napotkawszy spojrzenie Horatia. Przyglądali się sobie przez długą chwilę. Miała szlachetny profil, podobny do starych wizerunków, na greckich monetach... Lucien odetchnął głęboko, jakby doznał szoku. To było niemożliwe, to było, do diabła, niemożliwe.

- Czy mogę pożyczyć twoją lornetkę? - zapytał Ivesa zduszonym głosem.

Po chwili Lucien przekonał się, że wzrok go nie mylił. To była bez wątpienia Jane.

Zaciskał palce na lornetce, tak że kostki pobieły... Kobieta, którą uważał za pełną rezerwy, idealistyczną sawantkę, była artystką! Więcej, artystką, która bez najmniejszych skrępowań pokazywała nieprzyzwoite części swego cudownego ciała w teatrze pełnym obcych mężczyzn.

Oddał Ivesowi lornetkę i siłą się na obojętność, zapytał:

- Kim jest ta tancerka?

- Aaa... to panna James... Cassie James. Gra Annę, dziewczynę, w której zakocha się Horatio. Jest bardzo dobra, nieprawdaż?

Była więcej niż dobra; była olśniewająca, gdy tak wirowała dokoła sceny. Emanowała blaskiem, który rozświetlał scenę i innych artystów.

Oczarowany Anną, Horatio wstał od ogniska i także zaczął tańczyć wokół sceny. Prowokacyjnie odrzuciła do tyłu wspaniałe czarne włosy i z każdym obrotem powiewna spódnica unosiła się coraz wyżej.

- Już niedługo powinniśmy zobaczyć jej słynny tatuaż - szepnął Ives. - Obserwuj uważnie jej prawą nogę tuż nad kolanem.

W rzeczy samej spódnice wirowały tak wysoko, że z łatwością można było dostrzec tatuaż na wewnętrznej stronie prawego uda dziewczyny. Na ten widok męska część widowni zawyła zgodnym chórem.

W odpowiedzi Anna raz jeszcze uniosła spódnice, co znów wywołało aplauz. Lucien zacisnął zęby.

- Co ona tam ma narysowane? Kwiatek?

- Nie... motyla.

Ives podał mu lornetkę i przy kolejnym obrocie dziewczyny Lucien miał okazję

zobaczyć delikatny czarno - szkarłatny rysunek na jedwabistym udzie dziewczyny. Chciał okryć ją swym płaszczem od stóp do głowy. Chciał skrócić jej fałszywy kark. Chciał również dość gorąco, przycisnąć usta do małego tatuażu, a potem poprowadzić je wyżej... Czując, że za chwilę się udusi, zamknął oczy. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Kiedy uniósł powieki, kurtyna właśnie opadała zapowiadając przerwę. Odwrócił się do swego towarzysza.

- Opowiedz mi coś o tej Cassie James.

- Czyżby ci się spodobała? - Ives wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Cóż, ludzie powiadają, że ma szansę odnieść równie wielki sukces, jak swego czasu pani Jordan. Zaczęła występować na scenie jakieś dwa, trzy lata temu, lecz były to tylko drobne rólki i nikt jej nie zauważył. Dwa lata temu widziałem ją w królewskim teatrze w Yorku... grała podrzędną rolę w *Zatrzymała się, by flirtować* i była doskonała. Właściciel Marlowe uznał, że Cassie jest gotowa na przyjazd do Londynu, i zatrudnił ją na ten sezon. Specjalnie dla niej napisał *Cyganeczkę* - Zarówno ona, jak i sztuka odniosły wielki sukces.

Luciena nic nie obchodziły jej teatralne sukcesy.

- Czy panna James ma obecnie jakiegoś opiekuna?

- Nie wiem. Myślę, że raczej należy do tego typu kobiet, które wolą mieć wielu kochanków.

- Szczegóły, proszę.

- Ty naprawdę jesteś zainteresowany! Przykro mi, ale nie mam pojęcia, z kim ona sypia... jest wyjątkowo dyskretna jak na aktorkę. W Yorku widziałem ją z jakimś Kanadyjczykiem czy Amerykaninem, nie wiem jednak, jak się nazywał. - Ives zastanawiał się chwilę. - Nunfield starał się o jej względy. Była z nim na przyjęciu tej nocy, gdy odbył się jej debiut w Londynie. Zachowywał się tak, jak ty teraz.

Lucien znowu zaczął mieć wrażenie, że się dusi.

- Czy udało mu się dopiąć swego?

- Nie mam pojęcia, ale tak mi się zdaje... choć z drugiej strony, nie mogę przysiąc. Wiem, że chciał jej ofiarować bardzo ładny dom i mnóstwo pieniędzy.

Lucien zastanawiał się gorzko, z jak wieloma mężczyznami sypiała „Jane”, podczas gdy w jego towarzystwie zachowywała się jak zalekniona dziewczyna. Grała. Oszukiwała. To był klucz. To wyjaśniało peruki i kosmetyki, zdolność wcielania się w różne postaci. Nawet Ives, który znał ją jako Cassie James, wschodzącą gwiazdkę teatru, nie rozpoznał jej, gdy po pijanemu zalecał się do barmanki Sally w tawernie Pod Koroną i Sępem. Wiedział o niej tylko jedno: śledziła Hellionów. Może była kochanką Nunfielda i szpiegowała grupę z jego polecenia; albo w poszukiwaniu informacji, albo dlatego, że stanowiło to dla nich jakąś

perwersyjną przyjemność. A może była jego kochanką i kiedy ją odprawił, zaczęła szukać zemsty.

Jedno było oślepiająco jasne: raz jeszcze zrobiła z Luciena Strathmore'a kompletnego głupca.

Przerwa się skończyła i zaczął się kolejny akt *Cyganecki*. Między Anną a Horatiem rozkwitł płomienny romans i gdy już byli o krok od cygańskiego ślubu, pojawił się książę Omnium błagając syna o przebaczenie.

Pogodziwszy się z ojcem, Horatio poprosił Annę, by została jego żoną, oferując jej dostatek i bezpieczeństwo należne przyszłej księżnej Omnium. Ze łzami w oczach Anna odmówiła, mówiąc, że jest tylko biedną Cyganką, niewartą tytułu księżnej.

Kiedy kochankowie mieli się rozstać już na zawsze, pojawił się król Cyganów i wyjaśnił, że Anna jest naprawdę córką hrabiego, która została jako dziecko porwana. Anna oczywiście przyjęła oświadczenia Horatia, sztuka zakończyła się wielkim finałem, w którym wszyscy, łącznie z księciem Omnium, tańczyli żwawo dokoła ogniska.

Lucien, zachwycony sztuką, postanowił polecić ją Nicholasowi, gdy tylko przyjaciel zawita w Londynie.

Kiedy aktorzy już uklonili się dostateczną ilość razy i zeszli ze sceny, Ives pochylił się i szepnął:

- Idę poszukać Cleo. Chcesz zejść ze mną do salonu, czy też pożegnamy się już teraz?

Lucien wstał i podniósł płaszcz, przerzucony przez oparcie wolnego krzesła.

- Pójdę z tobą do salonu. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę poznać tę utalentowaną pannę James.



Salon na dole wypełniony był artystami i ich znajomymi. Dziko kłębiący się po przedstawieniu tłum zawsze onieśmiał Kit, więc stawiała czoło zalotom dżentelmenów, opierając się plecami o ścianę. Kilkunastu mężczyzn stało przy niej w półkołu, zarzucając ją ekstrawaganckimi komplementami i na wszelkie sposoby usiłując zwrócić na siebie jej uwagę.

Już zdążyła się nauczyć, jak prowadzić zabawną, nieco frywolną rozmowę z dżentelmenami.

- Tańczyła dziś pani jak anioł, panno James!

- W takim razie lepiej by było, gdyby aniołowie jeszcze raz przemyśleli swe poczynania - odparła przewrotnie.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Dandysowaty młodzieniec odezwał się nagle uduchowionym głosem:

- Czy na pewno nie przyjmie pani mojego biletu wizytowego? Bardzo chciałbym zostać pani opiekunem.

Spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Mężczyźni zawsze chcą się mną opiekować, bronić mnie... Nigdy nie mogłam zrozumieć, przed czym?

Mała grupka przyglądała się jej namiętnie, sugerując aż nadto wyraźnie, przed czym powinna się bronić. Kiedy panowie usiłowali przekrzyczeć się nawzajem, Kit obserwowała pozostałych gości w salonie, starając się nie pominąć niczego, co mogłaby jej pomóc w poszukiwaniu.

Lord Ives właśnie wychodził z pokoju prowadząc pod ramię Cleo. Z tego, co dziewczyna zdążyła się dowiedzieć od przyjaciółki, był przyzwoitym młodzieńcem. Oprócz niego nie widziała żadnych Hellionów. Wielbiciele teatru z pewnością już dawno widzieli *Cyganeczkę*, więc z pewnością nie zobaczy ich tu dziś wieczór.

Znów skierowała uwagę na tłoczących się koło niej mężczyzn, kiedy jeden z nich, poważnie wyglądający młodzieniec, spróbował wcisnąć jej do ręki małą książeczkę.

- Teatr nie jest dobrym miejscem dla pani - powiedział szczerze. - Niech pani to przeczyta i zrozumie, że zblądziła.

Oddając mu miniaturową Biblię odparła z diabolicznym uśmiechem:

- Błądzić jest rzeczą ludzką... i wyjątkowo przyjemną. Pośród głośniego śmiechu młody człowiek umknął jak niepyszny.

- Wielkie nieba, ależ pani ma cięty język! - zauważył dystyngowany starszy pan.

Zatrzepotała prowokacyjnie rzęsami.

- Zapewniam pana, że niebiosa nie mają z tym nic wspólnego. Znowu rozległa się salwa śmiechu. Kit rozejrzała się po pokoju, by zobaczyć, czy nie pojawił się ktoś nowy, i zamarła. Lord Strathmore przedzierał się przez tłum podążając w jej stronę z miną głodnego tygrysa.

Zakłęła w duchu. Powinna się spodziewać, że jej szczęście nie potrwa długo; Strathmore miał zadziwiające zdolności do pojawiania się w najmniej spodziewanym momencie.

Instynkt mówił jej, żeby walczyć, lecz w duchu drżała na samą myśl o tym spotkaniu. Nie było jednak szans, by dostatecznie szybko przecisnąć się przez otaczający ją tłum. Poza tym, bezpieczniej było pozostać w salonie. Strathmore nie mógł przecież zrobić jej nic złego w pokoju pełnym ludzi.

Najwyraźniej go nie doceniła.

Kiedy starała się odzyskać panowanie nad sobą, podszedł do otaczających ją mężczyzn. Tym razem naprawdę wyglądał jak Lucyfer; rozciągał tak potężną aurę grozy, że wielbiciel Kit instynktownie ustępowali mu z drogi.

A jednak jego maniery były nienagane.

- Byłaś dziś wspaniała, moja śliczna. - Uniósł jej brodę i pocałował lekko, lecz z jakąś dziwną władczością, jakby już od dawna byli kochankami.

Nie mogła nie odpowiedzieć na kuszące ciepło jego pocałunku, lecz doskonale zdawała sobie sprawę, że jego uśmiech nie jest szczery. Przywarła plecami do ściany i zastanowiła się, co tym razem knuje lord Lucyfer.

- Cieszę się, że przedstawienie ci się podobało - odparła ostrożnie.

- Jesteś zadziwiająca, moja droga - rzekł cichym, ochrypłym głosem. - Za każdym razem, gdy cię widzę, mam wrażenie, że spotykam inną fascynującą kobietę.

Podczas gdy ona starała się wymyślić stosowną odpowiedź, rozwinął pelerynę, którą do tej pory trzymał przewieszoną przez ramię. Był to doprawdy ogromny kawał czarnego materiału, wystarczająco duży, by mogła się nim owinać dwukrotnie i właśnie to zrobił; kilkoma szybkimi ruchami odciągnął ją od ściany i owinał w grubą tkaninę tak mocno, że Kit nie mogła ruszyć rękami.

- A coż ty, u diabła, robisz? - rzuciła gniewnie.

- Narzekałaś, że za łatwo przewidzieć moje ruchy, więc postanowiłem się poprawić - odparł gładko. Uniósł ją i lekko pocałował w usta; w ostatniej chwili odsunął głowę, kiedy

usiłowała go ugryźć.

- Dziś wieczór przywrócimy romantyczność naszemu związkowi. Kit usiłowała mu się wyrwać, lecz z wściekłością zauważyła, że jest bezradna, otulona jego peleryną niczym grubym kokonem.

- Wiedziałem, że tak smakowity kąsek jak Cassie musi mieć opiekuna, lecz nie miałem pojęcia, że to ty jesteś owym szczęściarzem, Strathmore - zauważył jowialnie jeden z jej adoratorów.

- Nic dziwnego, że odmawiała nam wszystkim.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z mojego szczęścia. - Łagodnemu tonowi jego głosu przeczył niebezpieczny błysk zielonych oczu.

- W całej Anglii nie ma drugiej takiej kobiety jak Cassie James. Kit wciąż próbowała się wyrwać, lecz ramiona hrabiego były twarde jak stal. Udało jej się jednak uderzyć go łokciem prosto w splot słoneczny, lecz nawet gdy skrzywił się bólu, uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Nie radzę ci robić scen, moja droga - powiedział cicho. Rozejrzawszy się po pokoju zobaczyła wszędzie roześmiane męskie twarze i zrozumiała, że nawet prośba o pomoc na nic się nie zda. Każdy protest zostałby potraktowany jako przekomarzanie się kochanków.

Jakiś uprzejmy gość otworzył drzwi przed Strathmore'em i jego branką, za co jego hrabia podziękował uprzejmym skinieniem głowy. Echo jego kroków rozbrzmiewało w pustym korytarzu, gdy wynosił Kit z teatru. Przy frontowych drzwiach portier zgiął się w niskim ukłonie:

- Pański powóz czeka, hrabio. Strathmore kiwnął głową.

- Dziękuję, Smithson.

Kit raz jeszcze próbowała się wyrwać, lecz z takim samym skutkiem jak wcześniej.

- Niech mi pan pomoże, panie Smithson - poprosiła gorączkowo. - To nie jest żadna zabawa... on naprawdę mnie porywa.

Portier uśmiechnął się radośnie wypuszczając ich za drzwi.

- Hrabia już wcześniej opowiedział mi o swoich planach, panienko. Niech się pani dobrze bawi. Ciężko pani pracuje, więc nieco rozrywki dobrze pani robi.

Powóz Strathmore'a stał tuż przed wejściem do teatru. Konie oddychając w mroźnym powietrzu, wypuszczały obłoczki pary. Smithson otworzył drzwiczki i opuścił stopień. Hrabia wsadził dziewczynę do środka, odwrócił się i rzucił portierowi złotą monetę.

Kit wykorzystała moment, gdy był odwrócony do niej plecami, i próbowała wyswobodzić się z fałd peleryny, lecz zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Strathmore usiadł na

skórzanym siedzeniu obok niej i zatrzasnął drzwiczki. Powóz natychmiast ruszył.

Gdy gwałtownie skręcił w kierunku Strand, Kit przyparło do ściany. Panika ogarnęła ją na nowo. Podczas poprzednich spotkań ze Strathmore'em nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że ją skrzywdzi, lecz teraz zastanawiała się, czy aby nie popełniła śmiertelnego błędu w ocenie hrabiego. W okamgnieniu z wolnej kobiety zmienił ją w więźnia. Tak szybko, tak łatwo. Mógł ją zamordować i wrzucić jej ciało do Tamizy. Nawet gdyby doszło do śledztwa, wystarczyłoby, żeby powiedział, iż spędzili cudowną noc, a nad ranem opuścił ją całą i zdrową. Nikt nawet by nie pomyślał, że tak doskonale urodzony i zamożny dżentelmen może kłamać.

Zacisnęła dłonie pod fałdami peleryny i przygryzła wargi aż do krwi. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna, tak całkowicie zdana na łaskę mężczyzny. Pospiesznie odwołała się do źródła swej siły, które do tej pory jej nie zawiodło.

Spokój zaczął powoli zajmować miejsce paniki w jej sercu. Nie była sama. Uspokoila oddech i doprowadziła się do stanu, kiedy znowu mogła spokojnie i logicznie myśleć. Musi być silna, równa mężczyźnie, który ją porwał. Przemykając oczy stworzyła sobie nową rolę: światowej, doświadczonej aktorki, która nie boi się nikogo i niczego. Kiedy już wiedziała, że potrafi zagrać ją przekonująco, otworzyła oczy i powiedziała zimno:

- Czyżby miał pan zwyczaj porywania kobiet, hrabio?

- Nie robię tego zbyt często - odparł równie zimno. - Lecz wydaje mi się, że moje działania są usprawiedliwione, skoro kobieta, o której mowa, najwyraźniej nie potrafi powiedzieć choćby jednego słowa prawdy.

- Moja uczciwość czy też jej brak nie powinny cię obchodzić. - Powóz podskoczył na wybojach i Kit straciła równowagę. Nie mogła się przytrzymać, bo jej ręce wciąż były uwięzione w fałdach peleryny.

Strathmore złapał ją za ramiona i usadowił w kącie powozu, tak że mogła zaprzeć się nogami dla zachowania równowagi.

- Pamiętaj, że Lucyfer jest mistrzem w kłamaniu... a to z pewnością daje mi nad tobą przewagę - powiedział opierając się wygodnie. - Jesteś jedną z moich najgorliwszych wyznawczyń.

- Prędzej w piekle spadnie śnieg - rzuciła nieuprzejmie. - Moim najgorętszym życzeniem jest trzymanie się tak daleko od ciebie, jak tylko jest to możliwe.

Ciągła walka z peleryną wreszcie przyniosła rezultaty i dziewczyna zrzuciła z siebie ciężki materiał i odłożyła go na sąsiednie siedzenia.

- Radzę ci, żebyś tego nie zdejmowała - powiedział cicho Lucien. - Drzwi po twojej

stronie są zamknięte, więc tamtędy nie uciekniesz, a noc jest wyjątkowo zimna.

Niech to wszyscy diabli; miał rację. Na dworze było okropnie zimno, a cygański kostium nie uwzględnił chłodu angielskiej nocy. Ponownie otuliła się peleryną. Potajemnie usiłowała przekręcić klamkę w drzwiach, lecz naprawdę były zamknięte. Z ciężkim westchnieniem oparła się o siedzenie i przytrzymała wełniany materiał pod szyją; pachniał lekko wodą kolońską.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Na kolację. Ktoś, kto tak ciężko pracuje na scenie, musi mieć ogromny apetyt.

Odpowiedź była tak prozaiczna, że dziewczyna omal się nie roześmiała. Strach powoli mijał.

- Masz rację... po przedstawieniu mogłabym zjeść wołu z kopytami. Tylko dlaczego po prostu nie poprosiłeś, bym ci towarzyszyła? Nie lubię być traktowana jak branka.

- Nie? - zapytał głosem ociekającym jadem. - Na ile jestem zorientowany, należałaś już do niejednego.

- To nie twoja sprawa. Nie jesteśmy spokrewnieni, nie jesteś moim małżonkiem, nie masz żadnego prawa mnie osądzać.

- Wcale cię nie osądzam - odrzekł chłodno. - Właściwie czuję coś na kształt ulgi, że nie muszę cię traktować z odpowiednim szacunkiem. Myśl, że jesteś cnotliwą panią, była doprawdy wielce deprymująca. Teraz mogę z tobą zrobić, co mi się żywnie podoba.

- Jeżeli chcesz mnie uwieść, to zacząłeś wyjątkowo kiepsko, hrabio - zauważyła z sarkazmem.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, powóz zatrzymał się, a lokajczyk otworzył drzwi. Strathmore wysiadł pierwszy i pomógł wyjść dziewczynie zachowując się z taką kurtuazją, jak gdyby była królową, a nie więźniem.

Kit ze zdziwieniem zauważyła, że zajechali przed hotel Clarendon. Przynajmniej mówił serio o kolacji. Pospiesznie zaciągnęła poły peleryny, tak że tworzyły wysoki kołnierz dokoła jej szyi i zasłaniały pół twarzy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było to, żeby ktoś ją rozpoznał.

Mocno zaciskając dłoń na łokciu Kit, hrabia Strathmore poprowadził ją po schodkach do hotelu. W holu zwrócił się do gnącego się w pokłonach maître d'hôtel.

- Prywatny pokój, Robecque, i jak najszybciej kolację odpowiednią dla głodnej damy. I szampana.

Robecque zawahał się; przez chwilę na jego wyrazistej twarzy gościło zakłopotanie.

- Bardzo mi przykro, lordzie Strathmore, ale obawiam się, że wszystkie prywatne

pokoje są już zajęte - powiedział z mocnym francuskim akcentem.

- Doprawdy? - Brwi Luciena wygięły się ze zdziwieniem. Francuz zareagował tak, jak gdyby hrabia przyłożył mu zimny nóż do gardła.

- Proszę tędy, hrabio. Właśnie przypomniałem sobie, że jest jeszcze jeden wolny pokoik. - Poprowadził ich wąskim korytarzem do małego, gustownie umeblowanego pokoju.

- Szampan i przekąski zostaną państwu przyniesione bezzwłocznie. Kiedy Robecque uklonił się i wyszedł, Kit odezwała się ironicznie:

- Domyślam się, że właśnie zająłeś pokój, który zarezerwował sobie jakiś pośledniejszy śmiertelnik.

- Najprawdopodobniej - odrzekł wcale nie zawstydzony Lucien. Pomógł jej zdjąć pelerynę. Delikatnie dotknął jej nagiego ramienia.

Wzdrygnęła się i cofnęła o krok.

- Ja potrzebowałem tego pokoju o wiele bardziej - wyjaśnił wieszając pelerynę na kołku w kącie.

- Taak, i byłeś o wiele bardziej przekonujący. - Czując, że gdyby usiadła, byłaby zdana na jego łaskę, zaczęła krążyć po pokoju. Szeroka cygańska spódnica omiatała delikatnie nogi, odsłaniając kostki, a gruby dywan tłumił odgłos kroków. Kit miała okazję jeść kolację w hotelu Clarendon raz czy dwa razy w życiu przy kilku ważnych okazjach, lecz nigdy do tej pory nie była w prywatnych pokojach restauracji. Był to świat zimowych róż, błyszczących kryształów i lśniących wywoskowanych mebli.

Spojrzała na małą, pokrytą satyną sofę stojącą w kącie pokoju i odeszła od niej jak najdalej. Nic nie zostało pominięte. Wszystko było odpowiednie dla dwojga ludzi, którzy przyszli miło spędzić tu czas.

Drzwi się otworzyły i weszło kilkunastu służących. Jeden opuścił niewielki żyrandol i pozapalał świece, inny rozpałił ogień na kominku. Trzeci postawił w wiaderku z lodem butelkę szampana, a pozostali wnosili na srebrnych półmiskach dymiące potrawy. Jedzenie pachniało wyśmienicie i zostało przyniesione tak szybko, że Kit podejrzewała, iż dostali kolację zamówioną przez kogoś innego.

- Dziękuję, Petain - zwrócił się Strathmore do głównego kelnera.

- Możecie już odejść. Sami sobie poradzimy, więc do końca wieczoru nie będziecie nam potrzebni.

Służący uklonił się nisko i wyprowadził swych pomocników z pokoju.

- Biorąc pod uwagę serwis, jaki tu otrzymujesz, zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jesteś właścicielem tego hotelu - rzekła Kit. Wzruszył ramionami.

- Miałem kiedyś możliwość oddać małą przysługę maître d'hôtel. Najwyraźniej nie zapomniał o tym. - Czy mam rozumieć, że stracił majątek przy stoliku karcianym, a ty byłeś na tyle łaskawy, że nie posłałeś go do więzienia?

- Coś w tym stylu. - Lucien wysunął krzesło i wskazał Kit miejsce. - Możemy zaczynać?

Kit wyjęła spinki podtrzymujące czarną perukę Cyganki i odwiesiwszy ją na kolek obok peleryny, wstrząsnęła włosami, po czym przesunęła przez nie palcami, by doprowadzić do porządku splątane loki. Podejrzewała, że wygląda jak dziewczka, która właśnie wyszła ze stogu siana, lecz w oczach Luciena błyszczał podziw. Usiadła przy stole.

Strathmore nalał szampana i uniósł kieliszek:

- Za najbardziej utalentowaną, diabelską kobietę, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Czy to komplement, czy obraza? Uśmiechnął się lekko.

- Po prostu stwierdzenie faktu. - Wyglądał tak elegancko, że niemal uwierzyła, iż jest prawdziwym dżentelmenem. Niemal. Przecież widziała diabelskie ogniki płonące w jego złotozielonych oczach.

Zaniepokojona napięciem panującym między nimi, spróbowała szampana. Bąbelki zatańczyły na jej języku, po czym spłynęły do gardła. Już po chwili napięte mięśnie zaczęły się rozluźniać i odprężona dziewczyna zwróciła uwagę na jedzenie. Smakowało jeszcze lepiej, niż pachniało, więc jadła, aż się jej uszy trzęsły.

Strathmore jadł niewiele. Odchylił się na krześle i założył nogę na nogę; jego włosy lśniły w świetle świec jak czyste złoto. Teraz, kiedy już odpoczęła nieco po przedstawieniu, Kit coraz bardziej czuła, że coś ich łączy, coś niezwykle silnego. Za każdym spotkaniem posuwali się o krok dalej. Zastanawiała się, co przyniesie ten wieczór.

- Dziękuję za wyśmienitą kolację - rzekła chcąc podtrzymać uprzejmą rozmowę.

- Zawsze uważałem, że o wiele lepsze rezultaty przynosi przesłuchiwanie kogoś, kto nie jest głodny. - Upił łyżeczek szampana. - A ja chcę ci zadać wiele pytań.

Wzięła głęboki oddech, a potem odłożyła na talerz nóż i widelec. Bitwa właśnie miała się rozpocząć.

Kit spojrzała mu w oczy.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Co takiego? Żadnych nowych wyspanych z palca kłamstw? Jestem rozczarowany - przyznał z lekkim sarkazmem. - Jesteś jedną z najbardziej twórczych kłamczuch, jakie kiedykolwiek spotkałem.

- I kto to mówi. Przekonałeś wszystkich w całym teatrze, że jesteście kochankami.

- Jestem uczciwy i szczery, kiedy jest to wygodne i niewiele mnie kosztuje - rzekł beczelnie. - Mamy wiele wspólnego. Czy na pewno nie potrafisz wymyślić dla mnie jeszcze jednego brata albo dziennikarskiej ciekawostki?

Potrząsnęła głową.

- Mam już dość kłamstw. Poza tym, jak już wcześniej powiedziałam, wcale nie muszę odpowiadać na twoje pytania, i nie będę tego robić. Mogę ci dać słowo, że nie zamierzam skrzywdzić nikogo niewinnego. Oprócz tego nic więcej ci nie powiem.

- Wolałbym wiedzieć, kto dla ciebie jest niewinny, a kto winny. - Uważnie obserwował jej twarz. - Bardzo to sprytnie z twojej strony, że udawałaś L. J. Knighta, gdyż najwyraźniej nikt nie wie, jak ten dżentelmen wygląda. Trudno byłoby więc udowodnić ci kłamstwo. Może nawet mówisz prawdę, choć nie postawiłbym na to złamanego pensa. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że regularnie czytujesz artykuły Knighta. Chciałabyś to może skomentować? - Teraz ja zadam kilka pytań. - Jej oczy zwęziły się niebezpiecznie. - Uważam, że sam masz wiele sekretów, gdyż nie zachowujesz się jak każdy porządny obywatel tego miasta. Dlaczego aż tak bardzo ci zależy na przesłuchaniu mnie?

- Trudno jest mi powstrzymać ciekawość w przypadku kobiety, która włamuje się do cudzych domów, przebiera za służące i barmanki oraz popełnia wiele innych wykroczeń. - Uśmiechnął się tak czarująco, że dziewczynie dech zapało.

Nawet jeżeli Strathmore nie był człowiekiem, którego szukała, z pewnością stanowił poważne zagrożenie dla jej misji. Nie mogła więc zrozumieć, dlaczego czuje do niego tak wielki pociąg? Wspomnienie ich pocałunków było równie gorące i żywe, co płonący na kominku ogień. I równie rozgrzewające.

Musi jak najszybciej stąd wyjść. Zanim atmosfera stanie się zbyt intymna.

- Jeżeli uważasz mnie za kryminalistkę i potrafisz tego dowieść, powinieneś zawiadomić magistrat - powiedziała spokojnie. - Jeżeli jednak zechcesz oddać mnie w ręce prawa, pamiętaj, że mam wpływowych przyjaciół, którzy z pewnością pospieszą mi z



pomocą.

- Posyłanie cię do więzienia byłoby wielką stratą, moja droga. Na pewno by ci się tam nie podobało, a poza tym w więzieniu nie miałbym z ciebie pożytku.

- Domyślam się, że zamierzasz mnie uwieść, lecz z żalem muszę odmówić ci tego zaszczytu. - Wstała z krzesła. - Nie musisz mnie odprowadzać.

Kiedy podeszła do drzwi, Lucien uniósł dłoń.

- Uwodzenie sugeruje wzięcie siłą niechętniej lub bezbronnej kobiety - rzekł. - Ty nie jesteś ani bezbronna, ani niechętna.

- Wielkie dzięki - odparła sucho. - Lecz przed chwilą zadeklarowałam moją niechęć, hrabio. Czy nadal chcesz mnie tu przetrzymywać siłą?

- Nie wydaje mi się, żeby siła była potrzebna - powiedział cicho. Nadal siedział przy stole, dzięki czemu wydawał się mniej groźny. Jednak jego oczy pozostawały groźne, gdyż obiecywały tajemniki rozkoszy, które obnażyłyby jej duszę. Kit postanowiła nie poddać się bez walki.

- Jeżeli chcesz zaciągnąć mnie do łóża, lepiej dwa razy się zastanów - poradziła spokojnie. Uśmiechnął się do niej leniwie.

- Moja cierpliwość nie zna granic, jeśli tylko mam szansę dostać to, na czym mi zależy. - Ujął dłoń dziewczyny. - Dlaczego nie chcesz mi mówić po imieniu?

Przełknęła ślinę usiłując zignorować ciepło jego uścisku.

- Nazywając cię Lucieniem sugerowałabym istniejącą między nami intymność, której nie ma i której sobie nie życzę.

- Doprawdy? - Nadal patrząc jej w oczy, podniósł dłoń Kit do ust i pocałował delikatnie wewnętrzną stronę jej nadgarstka, znacząc językiem błękitny cień żyły.

Efekt był piorunujący... każda komórka jej ciała zapłonęła pożądaniem. Dziewczyna chciała mu się wymknąć, lecz choć trzymał ją delikatnie, nie była w stanie się od niego odsunąć. Zaczął leciutko pieścić zagłębienie jej dłoni kciukiem i dziewczyna nie miała już siły, by się wrywać.

- Nie każda artystka jest dziwką, hrabio - powiedziała z desperacją w głosie.

- Nie, ale wszystkie są nieco mniej... konwencjonalne niż inne kobiety. - Uśmiechnął się leniwie. - A jedyną rzeczą, jaką wiem o tobie na pewno, jest to, że nie jesteś konwencjonalna. - Jego złotozielone oczy płonęły.

Strach przemieszany z pożądaniem sprawił, że Kit zaczęła ciężiej oddychać.

- Musisz być bardzo zmęczona - powiedział łagodnie, sadzając ją sobie na kolanach. - Czy mam cię nazywać Cassie, czy też Jane?

- Cassie to mój pseudonim sceniczny, naprawdę mam na imię Jane.

Pieścił jej szyję z zadziwiającą delikatnością.

- Jane. Jakież to zwyczajne imię dla tak zadziwiającej kobiety.

- Nie jestem zadziwiająca... po prostu całkiem niezła w stwarzaniu iluzji - rzekła, a dopiero potem zastanowiła się, dlaczego powiedziała mu tak dużo. Był groźniejszy, niż się spodziewała; miała bowiem ochotę mu zaufać i powierzyć swe tajemnice. O dziwo, bliskość tego mężczyzny wydała jej się czymś naturalnym. Chciała opowiedzieć mu o swoich lękach i czerpać siłę z jego niezachwianej pewności siebie, gdyż była już zmęczona - tak okropnie, boleśnie zmęczona - i miała dość samotności.

Kit nie była wprawdzie tak naiwna, by się temu poddać, lecz poczuła się bezpiecznie. Przytuliła Strathmore'a, zadowolona, że otaczają ją jego ramiona, że czuje zapach kwiatów i jedzenia na stole, że słyszy dobiegający z oddali śmiech. Lecz to wszystko było tylko tłem, tak naprawdę radość sprawiał jej fakt, że jest blisko Luciena. Wypełniał jej zmysły... jego oddech poruszał drobne kosmyki włosów na jej skroni.

I jak powiedział, był cierpliwy. Przez długi czas tylko ją tulił, delikatnie masując jej kark, aż wreszcie zmęczenie ją opuściło. Ogarniało ją jego ciepło i pożądanie, tak że wkrótce płonęła tą samą żądzą.

Prawie nie zauważyła pierwszego delikatnego pocałunku, złożonego na jej czole, ani kilku następnych, którymi znaczył owal jej twarzy; aksamitnej pieśczości na powiekach, ciepłego oddechu tuż koło ucha. Wreszcie delikatnie obrócił jej twarz ku sobie i z niespotykaną czułością zawładnął jej ustami.

Leciutkie muśnięcia jego języka łagodziły ból wargi, którą przygryzła w powozie. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo się go bała. Kiedy ujął jej pierś, oszołomiona rozkoszą, nie zaprotestowała.

Gdy zsunął z jej ramienia cygańską bluzeczkę, Kit z radością powitała chłód powietrza na skórze i ciepło jego dłoni. Pieszcząc jej pierś zamruczał czule:

- Ponieważ Jane jest zbyt prostym imieniem, będę cię nazywał lady Jane.

Skąd on wie? Ta myśl rozwiła budzącą się rozkosz. Kit podniosła głowę zszokowana i zdała sobie sprawę z własnej głupoty.

- Muszę już iść.

- Nie tym razem, lady Jane.

Skłonił głowę i wziął do ust jej sutek... rytm jego języka zlewał się z rytmem pulsowania jej krwi. Ciało Kit wygięło się i zrozumiała ze wstydem, że wcale nie usiłuje mu się wyrwać.

Kiedy poruszyła się gwałtownie, omal się nie przewrócili. Tylko szybki refleks Luciena ocalił ich przed upadkiem na podłogę. Odzyskawszy panowanie nad sytuacją, wziął dziewczynę w ramiona i zaniósł na sofę w kącie pokoju.

Położył ją na wznak na miękkim pluszu, a sam usiadł na brzegu. Patrząc w oczy Kit, zdjął bluzkę z jej ramion i zaczął rozwiązywać wstążki gorsetu. Stanik opadał i podnosił się w takt urywanego oddechu dziewczyny. Gdy ściągnął jej ubrania aż do talii, nie była ani zawstydzona, ani zakłopotana.

Ujął w duże ciepłe dłonie uwolnione ze stanika piersi i pochylił głowę, by je pocałować. Kit jęknęła bezwiednie i przymknęła oczy, porwana całkiem nowymi doznaniem; na nagiej skórze piersi czuła jego zarost, język i delikatnie kłapiące zęby. Lucien krążył dłońmi po jej ciele, jakby chciał zapamiętać każdą jego fałdkę i zakamarek. Jej buciki gdzieś się zapodziały, a satynowe obicie sofy lekko pieściło stopy dziewczyny, gdy wiła się w ogniu pożądania. Liczył się tylko on... tylko ta chwila...

A jednak to nie była prawda. W jej życiu były sprawy o wiele ważniejsze niż pożądanie. W panicznym odruchu ucieczki skuliła się i oparłszy dłonie na ramionach Luciena odepchnęła go z całej siły.

- Przestań! Przerażasz mnie!

Znieruchomiał, a potem podniósłszy głowę popatrzył na nią marszcząc brwi.

- Mam nadzieję, że nie fizycznie.

- Nie - odparła uczciwie. - Boję się iść naprzód zbyt szybko. Zrobić coś, czego potem mogłabym żałować.

Skrzywił się ponuro.

- Czy poczujesz się lepiej, jeżeli powiem, że ty przerażasz mnie w dokładnie ten sam sposób? Wiele będziesz mnie kosztować, lady Jane. Właściwie już mnie kosztowałaś.

Świadomość, że ma taki wpływ na tego mężczyznę, dała jej poczucie siły. A jednak...

- Może i czuję się lepiej, ale nie pewniej.

- Czy to dlatego wciąż ode mnie uciekasz? Bo nie potrafisz zaprzeczyć, że jest między nami coś bardzo potężnego? - Delikatnie przesunął dłonią po jej nodze, od kolana do kostki.

Zadrżała, gdy zaczął zataczać kciukiem małe kółeczka na podbiciu stopy.

- Nie mogę zaprzeczyć, że coś takiego istnieje - powiedziała drżącym głosem. - Ale to wcale nie znaczy, że zamierzam się temu poddać.

A jednak jej słowom przeczyła gwałtowna chęć, by go dotknąć. Rozluźniła palce zaciśnięte na jego ramionach i przesunęła nimi w dół jego ciała, czując grę mięśni pod elegancko skrojonym ubraniem. Odsunęła frak i przycisnęła dłonie do jego żeber i wąskiej

talii.

Uśmiechnął się i wrócił do pieszczona jej nogi. Tym razem przesunął rękę w górę, unosząc spódnicę ponad kostkę i odsłaniając złotą bransoletkę. Przyjrzał się jej uważnie.

- To doskonale przyciąga męską uwagę do twoich nóg. - Delikatnie musnął palcem cienki złoty łańcuszek.

Złapała gwałtownie oddech i wbiła mu palce w żebra.

- Ta bransoletka należy do cygańskiej dziewczyny. Jane nigdy nie byłaby tak śmiała.

- Jane? - Spojrzał na nią pytająco i nieco drwiąco. - Złoty łańcuszek można łatwo zdjąć, ale to... - uniósł jeszcze bardziej jej spódnicę odsłaniając wytatuowanego powyżej kolana motylka - ... istnieje tylko po to, by doprowadzać mężczyzn do szału. I mnie doprowadziło.

Kiedy pochylił się i obrysowywał kontur motyla językiem, ciepły oddech drażnił skórę dziewczyny. Oczy się jej rozszerzyły i zeszywniały.

- Lucien - jęknęła. - Och, Boże, Lucien...

W tym momencie stracił resztki zahamowań. Wyciągnął się na sofie przytulając dziewczynę. Kiedy całował ją z łapczywą zachłannością, jego dłoń wędrowała w górę jej nogi, wypalając ścieżkę pożądania na delikatnej skórze uda; zatrzymała się tylko na chwilę przy krótkich majteczkach, które Kit nosiła do prowokacyjnego tańca na scenie. Ciepła dłoń zawisała nad cieniutkim materiałem. Koniuszkami palców odnalazł rozcięcie i wsunął je przez skręcone miękkie loki wprost do wilgotnego spragnionego sedna jej kobiecości.

Jęknęła bezradnie w ogniu pożądania, który w niej szalał urągając zdrowemu rozsądkowi i moralności. Nie potrafiła już znieść tego tumultu odczuć i doznań, tej dzikości i...

Rozładowanie, gdy wreszcie nadeszło, było oszalamiające. Wykrzyknęła głośno jego imię, odgłos, który on stłumił swymi ustami. Zawładnął nią, lecz jednocześnie uczynił bardziej sobą samą odblokowując utajone namiętności.

Odzyskiwała świadomość powoli, zdając sobie sprawę, że całe ciało pulsuje jej w dziwnym, nie znanym dotąd rytmie. Czowała się zaspokojona, jak jeszcze nigdy dotąd, i to zbliżyło ją do Luciena w sposób, o jakim nie śniła. Zdała sobie z tego sprawę i poczuła, że ogarniają wściekłość na samą siebie. Dobry Boże, jak mogła być aż tak szalona? Nie mogła sobie pozwolić na zatracenie się w nim właśnie teraz. Nawet gdyby nie miała desperacko ważnej misji do spełnienia. Dopuszczenie do tego, aby jakiś rozpustnik zawładnął jej duszą, byłoby aktem czystej głupoty. Była karygodnie słaba i głupia, że pozwoliła na coś podobnego.

A zażyłość między nimi miała za chwilę być jeszcze większa. Lucien złapał jej dłoń i przycisnął do swej twardej męskości, która od jakiegoś czasu wbijała się jej w udo. Przez wiele warstw materiału, jakie ich oddzielały, dziewczyna poczuła gorące, nieustające pulsowanie.

Delikatnie zacisnęła palce, ciekawa reakcji. Zamruczał, coś niezrozumiale i zaczął ocierać się o jej dłoń; oczy miał zamknięte i coraz szybciej oddychał. Kit poczuła satysfakcję - potrafiła dać mu przyjemność i był w tej chwili równie bezradny, jak ona była kilka minut wcześniej. Kit czuła intuicyjnie, że to obopólne poddanie się jest najważniejszym składnikiem więzi łączącej kochanków.

Lucien zaczął odpinać guziki spodni; chciał przypieczętować ich świeżo odnalezioną intymność. Kit marzyła o tym samym; nie mogła się doczekać, kiedy połączy się z Lucieniem, kiedy on zatraci się w ekstazie.

A jednak nie śmiała.

W dzikim przerażeniu szukała i znalazła rozsądną wymówkę.

- Jeszcze nie... Muszę... muszę się zabezpieczyć - szepnęła mu do ucha.

Jego złote oczy otworzyły się zamglone pożądaniem.

- Ja się tym zajmę. - Delikatnie musnął jej skroń koniuszkami palców. - Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

Czułość tego mężczyzny była równie potężną bronią co pożądanie. Kit bez tchu wyslizgnęła się z jego objęć, dopóki zdrowy rozsądek jeszcze się jej trzymał.

- Będzie lepiej, jeżeli nie będziesz musiał się wycofywać - przekonywała go, gdy wyciągał rękę, by znowu ją do siebie przyciągnąć.

Zaśmiał się krótko i jego ręka opadła.

- Najwyraźniej wiesz, że temu argumentowi nie można się oprzeć. Nienawidząc samej siebie, Kit wstała i dotknęła jego zmierzwionych włosów. Wyglądał o wiele mniej groźnie niż zazwyczaj - już nie jak Lucyfer, lecz jak Apollo, zrodzony ze słońca.

Przeszło ją dotkliwe poczucie żalu, lecz przewrotny, kłamliwy język mówił nadal:

- Nie będzie mnie tylko minutkę... Mam wszystko, czego mi potrzeba, a widziałam, że toaleta jest tam w głębi korytarza.

Pospiesznie doprowadziła ubranie do porządku.

- Wracaj szybko, lady Jane. - Jego uśmiech przypominał pieszczotę.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Naprawdę nie chcę cię zostawiać na dłużej, niż to konieczne. - Przynajmniej to było prawdą.

Opadł z powrotem na sofę i położył ramię na zamkniętych oczach. Choć wydawało się, że jest całkowicie rozluźniony, Kit wiedziała doskonale, że leży napięty, wyczekując spełnienia.

Już nigdy nie zobaczy go tak ufnego. Nawet jeśli się spotkają, w mniej krepujących okolicznościach, nigdy jej nie wybaczy tego, co zaraz miała zrobić.

Zanim poczucie winy zajęło całkowicie miejsce zdrowego rozsądku, odnalazła pantofelki i włożyła je idąc do drzwi. Zawahała się na widok peleryny i czarnej peruki wiszących na drewnianych kołkach przy drzwiach. Czekala ją piesza wędrowka do domu, musiała się ochronić przed zimnem nocy i zasłonić ten absurdalny cygański kostium. Nie mogła zostawić także peruki, więc po cichu zabrała oba przedmioty i wyslizgnęła się na korytarz.

Ponieważ nie było nikogo w pobliżu, szybko włożyła perukę i wcisnęła pod nią niesforne pasemka włosów. Potem dokładnie owinęła się płaszczem, by na pewno nikt jej nie rozpoznał.

Nie całkiem się to udało, gdyż tuż przy frontowych drzwiach wpadła na maître d'hôtel. Jego oczy dziwnie załśniły na widok jej nieco zmiętego stroju, lecz był na tyle dyskretny, by nie komentować.

- Mam nadzieję, że kolacja pani smakowała?

Przybierając najbardziej królewską pozę, na jaką było ją stać, kiwnęła głową i powiedziała po francusku:

- Oczywiście, monsieur. Potrawy były wysmienite, jak zwykle. Z radością w oczach otworzył przed nią drzwi. Zanim jednak wyszła na dwór, ciekawość popchnęła ją do zadania jeszcze jednego pytania. - Lord Strathmore wspomniał, że wyświadczył kiedyś panu drobną przysługę.

Profesjonalizm Francuza zniknął w mgnieniu oka.

- To nie była mała przysługa, mademoiselle - przyznał cicho. - Uratował moją rodzinę, sprowadzając ją tu z Francji. Oddałbym mu za to własne życie.

Ta wiadomość była kolejnym szokiem tego wieczoru, a i tak było już ich niemało. Kiedy Kit wychodziła na dwór, przeklinała hrabiego w duchu za to, jak bardzo jest skomplikowany. Choć podejrzewała, że ma na sumieniu wiele spraw, o których wolałby nie wspominać, nie miała wątpliwości, że nie brak mu odwagi. Lecz jak udało mu się uratować kogokolwiek z Francji? Przecież wstęp na kontynent był zamknięty dla Anglików od prawie dwudziestu lat? Być może miał powiązania ze szmuglerami lub podobnymi typami spod ciemnej gwiazdy?

Pomimo intymności, łączącej ich zaledwie przed chwilą, nadal pozostał tajemniczym nieznanym. A wszystko, co tajemnicze, mogło być groźne.

Obrazy Jane nawiedzały Luciena, gdy czekał na jej powrót. Smukłość ciała, niesamowita łagodność, oszałamiająco słodka, zmysłowa reakcja na jego pieszczoty. Intrygowała go jak żadna dotąd kobieta i pragnął ją posiadać. Być może w tym intymnym zbliżeniu uda mu się poznać jej zadziwiającą duszę.

Zastanawiał się, co mógł znaczyć fakt, że nosi przy sobie środki antykoncepcyjne. W przypadku większości kobiet uważałby, że to doskonały dowód rozwiązłości, lecz w przypadku Jane mogło to tylko znaczyć, że jest zbyt inteligentna, by dać się zaskoczyć. Jednak nie mógł wykluczyć możliwości, że sam siebie oszukuje, bo nie chce, by ta noc okazała się jeszcze jednym nic nie znaczącym epizodem z żywiołową artystką. Nie chciał analizować swych uczuć, lecz wydawały mu się ze wszech miar dziwne.

Zastanawiając się, jak długo jeszcze będą trwać tej jej przygotowania, bębnił palcami o oparcie sofy. Minęło już ładnych parę minut. Może dziesięć? Na pewno pięć. Zdawało się jednak, że o wiele dłużej. Nie powinien był jej pozwolić odejść.

Gwałtownie otworzył oczy, uświadamiając sobie nagle, że Jane już nie wróci. Dostała już swoje i odeszła pozostawiając go rozpalonego z pożądania. Jezu Chryste litościwy, jak mógł być aż taki głupi? Jak to się działo, że właśnie ta jedna kobieta potrafiła oszukać go bezbłędnie, podczas gdy innym nigdy się to nie udawało? Nigdy jeszcze nie zrobił krzywdy żadnej kobiecie, lecz gdyby Jane była w tej chwili w pokoju, nie ręczyłby za siebie...

Do wszystkich diabłów! Błyskawicznie poderwał się na nogi i złapawszy za krawędź stołu, przewrócił go w ślepej furii. Zastawa spadła na podłogę z brzękiem i dzwonieniem sreber. Gniewny mięsień drgał mu w szczęce, gdy obserwował, jak ciemnoczerwone wino wylewa się na orientalny dywan. Najprawdopodobniej będzie to najdroższa kolacja w jego życiu... pod każdym względem.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, a po chwili wsunęła się głowa zaniepokojonego maître d'hôtel.

- Czy wszystko w porządku, panie hrabio?

Lucien doprowadził do porządku ubranie i przybrał spokojny wyraz twarzy. Byłby głupcem opowiadając komukolwiek, jak ta mała wiedźma wystrychnęła go na dudka.

Podchodząc do drzwi zauważył, że dziewczyna nie tylko wzięła swą perukę, ale i jego pelerynę. Wściekłość zapłonęła w nim na nowo. Ta mała, zimnokrwista złodziejka...

Otwierając drzwi, powiedział już spokojnym głosem:

- Tylko mały wypadek, Robecque. Byłem wyjątkowo niezdarny. Przyślij mi rachunek

za zniszczenia.

Francuz obserwował pokój, zatrzymując komentarze dla siebie.

- Oczywiście, panie hrabio, jak pan sobie życzy. Lucien zatrzymał się w drzwiach.

- Czy moja przyjaciółka wyszła z hotelu? Nie chciałem puszczać jej samej, ale to wyjątkowo uparta dziewczyna... lubi się popisywać niezależnością.

- To doprawdy niezwykła kobieta - przyznał z podziwem Francuz. - Jej francuski jest wyśmienity. Tak dobry, jak pana.

- To kobieta o niezmierzonej liczbie talentów. - A przy następnym spotkaniu drogo zapłaci za to, co mi dziś zrobiła, dodał w duchu.



Podobnie jak kobieta, która wystrychnęła go na dudka, Lucien był mistrzem przebieranek. Następnego ranka czekał przebrany na dorożkę przy Oxford Street, kiedy zobaczył nadchodzącego księcia Candover. Nie mogąc się oprzeć pokusie, zapytał z mocnym akcentem z północy:

- Przepraszam pana bardzo, ale czy gdzieś tu znajduje się opera? Niezbyt zadowolony, że zaczepia go jakiś nieznajomy, Rafe odpowiedział chłodno:

- To jakieś pięć minut drogi stąd. Musi pan skrócić w prawo. Wracając do swego normalnego głosu, Lucien rzekł:

- Wielkie dzięki.

Rafe zatrzymał się i gwałtownie obrócił na pięcie.

- To ty, Luce?

- We własnej osobie - odparł radośnie Lucien. - I jestem ci wdzięczny, że wskazując mi drogę, nie pokazujesz żadnych skrótów.

Księżę prychnął mało elegancko i zrównał krok z przyjacielem.

- Cóż ty knujesz tym razem?

- Muszę trochę poobserwować ludzi i byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie obwieszczał tego głośno i wyraźnie całemu światu.

- Jak ty to robisz? - zapytał Rafe przyciszonym głosem. - Najwyraźniej przyciemnione włosy, okulary i te obdarte ubrania robią swoje, lecz to tylko powierzchowne zmiany. - Przyjrzał się przyjacielowi dokładniej. - Masz te same rysy co zawsze, tego zmienić się nie da, ale wydajesz się niższy i grubszy niż w rzeczywistości. Gdyby nie to, że znam cię od czasu, gdy obaj mieliśmy po dziesięć lat, nie miałbym pojęcia, kim jesteś.

- Przebranie zaczyna się w głowie - wyjaśnił Lucien. - Bogactwo, pozycja i władza nadają człowiekowi specyficzną i doskonale wyczuwalną postawę. Przestając o tym myśleć i powtarzając sobie, że jest się mało ważnym, niepewnym jutra... i tym podobne bzdury, stwarza się zupełnie inną aurę.

- Domyślam się. Choć zupełnie nie mogę sobie wyobrazić siebie w takiej roli. Lubię swą pozycję, tytuł i bogactwo.

- Grasz rolę aroganckiego arystokraty tak doskonale, że byłoby zbrodnią kazać ci przestać - zgodził się Lucien. - Ludzie zaczynają na nas zwracać uwagę. Lepiej będzie, jeżeli się rozstaniemy. Rozmawianie z taką kreaturą jak ja mogłoby całkowicie zniszczyć twoją reputację.

- Jestem nad wyraz łaskawy dla plebsu, pod warunkiem że zachowuje się przyzwoicie  
- odparł beczelnie Rafe. - Bądź więc tak miły i pamiętaj, by podkulić ogon, gdy będziesz odchodził.

Lucien wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Słyszałem, że negocjacje w Gandawie idą coraz lepiej.

- Jeśli dopisze nam szczęście, zawrzemy pokój z Amerykanami jeszcze przed Gwiazdką - przytaknął książę.

- Oby. - Skinąwszy sobie nawzajem głową, przyjaciele rozstali się.

Lucien zatrzymał dorożkę i kazał się wieźć do teatru Marlowe. Tam przedstawił się jako dziennikarz piszący artykuł o Cassie James. Młoda dama zabawiła z dużym powodzeniem publikę na północy i czytelnicy chętnie usłyszeliby o jej sukcesach w Londynie.

Jego obecność nie została potraktowana jako coś osobliwego i kilka godzin spędził w teatrze, rozglądając się, robiąc notatki i wypytując ludzi. Był wyjątkowo zręczny w wyciąganiu informacji; niestety nikt nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Wszyscy zgadzali się co do jednego - że panna Cassie James jest czarującą młodą damą, wcale nie zarozumiałą. I bardzo utalentowaną. I profesjonalną.

A jednak na prywatności i dyskrecji zależało jej najbardziej. Nikt nie wiedział o niej nic znaczącego: ani gdzie mieszkała, ani z kim się spotykała. Jedno wiedzieli wszyscy - że poprzedniego wieczoru kochanek arystokrata porwał ją na kolację z salonu, lecz był to wyjątkowo rzadki widok. Choć wszyscy przypuszczali, że dziewczyna musi mieć jakiegoś opiekuna, nikt się nie spodziewał, że będzie to ktoś o tak wysokiej pozycji społecznej. Młoda dama nieźle się urządziła i chwalała jej za to.

Lucien poczuł wielką satysfakcję, że nikt nie rozpoznał w nim hrabiego Strathmore'a. Niestety, tego dnia nie miał więcej powodów do radości.

Nawet dyrektor teatru nie potrafił mu pomóc. Kiedy przerwał próbę nowego przedstawienia, w trakcie której głównie obrzucał obraźliwymi wyzwiskami niezdarnych tancerzy, wyjaśnił Lucienowi, że panna James grywała drobne role w kilku przedstawieniach, lecz właśnie wyjechała na parę tygodni, ponieważ chciała odwiedzić chorą ciotkę. Ironiczny ton głosu sugerował, że dyrektor ani przez chwilę nie wierzy w istnienie ciotki panny Cassie James; był wczoraj obecny w salonie, gdy tajemniczy opiekun wyniósł młodą damę z pokoju.

Jednak dziewczyna miała wrócić na następne przedstawienie *Cyganeczki*, gdyż była to jej, jak do tej pory, najważniejsza rola. Na scenie teatru Marlowe planowano kolejne

przedstawienie z panną Cassie James. Miała wystąpić w spodniach i zapewne już wkrótce cały Londyn będzie podziwiał jej zgrabne nóżki.

Nie, dyrektor nie miał pojęcia, gdzie mieszka ta młoda dama. Wiedząc z doświadczenia, że artystki to wybuchowe i niezdolne stworzenia, dziękował Bogu, że Cassie James sama pilnuje swoich spraw, zjawia się w umówionych terminach i nigdy nie rzuca niczym ciężkim w zmęczonego dyrektora tego skromnego teatru. Wreszcie dyrektor przeprosił „dziennikarza”, ponieważ musiał wracać do pracy.

Lucien wyszedł z teatru sfrustrowany, lecz wcale nie zdziwiony. Raz jeszcze lady Jane dokładnie zatarła za sobą ślady.

Kiedy wreszcie zjawił się w domu, dowiedział się, że w czasie jego nieobecności jakiś młodzik zostawił dla niego paczkę... Otworzył ją w swoim gabinecie i ze zdziwieniem zobaczył swoją pelerynę i nie podpisaną wiadomość: „Cokolwiek byś o mnie myślał, nie jestem złodziejem.”

Dowód, że Jane na swój pokrętny sposób jest uczciwa, wcale nie poprawił mu nastroju. Miał ochotę cisnąć peleryną o ścianę, lecz się powstrzymał; ciężka wełniana materia nie uderzyłaby o ścianę z zadowalającym łoskotem. Poza tym już i tak zaangażował zbyt wiele emocji w sprawę panny Jane. Najwyższa pora odłożyć požądanie na bok i spokojnie przeanalizować jej zachowanie, tak jak by uczynił z każdym innym przedmiotem śledztwa. Rzucił pelerynę na sofę, po czym usiadł przy biurku, wyjął czystą kartkę i ołówek.

Po pierwsze, co tak naprawdę o niej wie?

Niepodważalny był fakt, iż jest artystką, kobietą światową, która potrafi genialnie odgrywać różne role, od nieśmiałego niewiniątka aż po intelektualnego krzyżowca.

Była do niego pod wieloma względami podobna. I właśnie to wzbudzało w nim największą, wręcz obsesyjną wściekłość.

Oboje byli przewrotni, zdolni kłamać w żywe oczy. Jednak w przypadku Luciena kłamstwa były przekonujące, gdyż jego przebiegankom zawsze towarzyszył wyższy cel; szczerze wierzył, że działa dla dobra swego kraju.

Jane musiała mieć podobne cele, bo w przeciwnym przypadku jej kłamstwa nie byłyby tak przekonujące. Właściwie sama to przyznała, tłumacząc, dlaczego opowiedziała mu zmyśloną historię o bracie. To przez tę niewiarygodną szczerłość za każdym razem jej wierzył.

Co pchało ją do ciągłego ryzykowania życia i reputacji? Zapisał to podstawowe pytanie i podkreślił dwa razy. Gdyby znał na nie odpowiedź, może wreszcie zrozumiałby tę dziewczynę.

Wrócił myślami do historyjek, które mu opowiedziała. Najpierw mówiła, że jest siostrą pomagającą młodszemu bratu, potem dziennikarką starającą się wyjaśnić tajemnicze porwania i gwałty na młodych bezbronnych dziewczętach. Wspólnym celem była pomoc, a jej zapamiętała chęć niesienia pomocy była wyjątkowo wiarygodna.

Ergo, jej doprowadzające do szału, nieprzewidywalne zachowanie było zapewne powodowane chęcią niesienia komuś pomocy. Czy osoba, której chciała pomóc, mogła być jej kochankiem?

Zacisnął usta. Ta myśl bardzo mu się nie podobała, lecz kochanek w opałach tłumaczyłby ambiwalentne zachowanie Jane wobec Luciena. Rozdarcie między pożądaniem do jednego mężczyzny a potrzebą wierności w stosunku do drugiego mogły wywołać namiętne pocałunki, a zaraz potem paniczną ucieczkę.

Przez chwilę myśl o niej w ramionach innego kochanka omal nie zniszczyła jego opanowania. Trochę czasu minęło, zanim odzyskał zimną krew i wrócił do spokojnych rozważań.

Ciągłe kontakty z Hellionami wskazywały na to, że cel tej dziewczyny jest jakoś z nimi związany. Najwyraźniej jeden z członków klubu posiadał coś, o co jej chodziło, lecz jeszcze tego nie znalazła.

Jeżeli będzie się trzymał Hellionów, ona znowu się pojawi... lecz miał już dość czekania. Zamyślony stuknął ołówkiem o skórzany blat stołu i usiłował wymyślić jakąś inną drogę do celu.

Jane była doskonale zaznajomiona z artykułami L. J. Knighta. Najprawdopodobniej kłamała mówiąc, że to ona jest dziennikarzem, lecz mogła poruszać się w kręgach, gdzie jego artykuły są stale omawiane. Może chodziła na spotkania do salonów, gdzie pisarze, aktorzy i wszelkiego typu artyści rozmawiają o życiu, polityce i sztuce. W takich kręgach łatwo dowiedziałaby się, że Knight jest odludkiem, więc spokojnie mogła się pod niego podszyć. W każdym razie czasowo.

Sam zawsze chętnie bywał w tego typu salonach, miały w nich miejsce najciekawsze dyskusje w całym Londynie - lecz ostatnio brakowało mu na to czasu. Nadeszła więc pora, by odnowić te znajomości. Zacznie od salonu lady Graham. Była do bogata wdowa o liberalnych poglądach i bojowej naturze, lecz jej cotygodniowe zgromadzenia ściągały interesujących i kontrowersyjnych ludzi z całego kraju. Z pewnością spotka tam kogoś, kto słyszał o wschodzącej gwiazdce estrady.

Odłożył ołówek z poczuciem, że wreszcie do czegoś doszedł. Musiał na jakiś czas zapomnieć o Jane i przygotować się na kolację z lordem Mace'em. Jeśli dopisze mu szczęście,

dowie się, kiedy odbędzie się następne spotkanie Hellionów. Wtedy zostanie oficjalnie przyjęty do grupy. To z pewnością ułatwi mu odnalezienie zdrajcy.

Uśmiechnął się sucho, wiążąc krawat. Może Jane pojawi się dzisiejszego wieczoru, smukła i zgrabna, przebrana za jednego ze służących Mace'a? Jeżeli tak, to nie będzie już tak głupi jak ostatnio i nie spuści jej z oka.

Kiedy tylko Lucien wszedł tego wieczoru do domu lorda Mace'a, ciężka, gruba tkanina została zarzucona mu na głowę i rozległ się władczy głos. Czyżby Rodericka Harforda?

- Nadszedł moment prawdy, Strathmore. Żeby stać się Hellionem, musisz przejść przez inicjację. Czy chcesz iść wraz z nami w nieznane, czy też wolisz wycofać się i nigdy nie zostać jednym z nas?

Lucien stłumił westchnienie. Powinien spodziewać się po Hellionach czegoś równie dziecięcego.

- Chcę do was należeć - powiedział grobowym głosem. - Chcę iść dalej.

- Słuchaj więc wszystkich rozkazów - zaintonował Harford. - Oczekuj tylko nieoczekiwanego i pozwól, by ognie piekielne cię odmieniły.

Anonimowe dłonie naciągnęły na niego długą ciężką szatę. Najwyraźniej był to habit z kapturem zakrywającym dokładnie twarz. Luźno związane mu dłonie, po czym wyprowadzono z domu i wsadzono do powozu. Cynicznie pomyślał, że to dziwne traktowanie miało zapewne nieco oszołomić delikwenta i zmiękczyć go na tyle, by poddał się wszelkim następnym nonsensom.

Jazda powozem trwała dość długo, aż wreszcie znaleźli się poza granicami Londynu. Nikt się nie odzywał, lecz ludzie rzadko kiedy całkowicie nie wydają dźwięków. Z ciężkich oddechów i poruszania się na siedzeniu powozu Lucien wywnioskował, że wraz z nim jedzie jeszcze trzech mężczyzn. Wreszcie powóz się zatrzymał i ktoś pomógł mu wysiąść. Przejmująco zimny wiatr niósł zapach wilgotnej ziemi i cichy odgłos szeleszczących liści. Po przejściu kilku kroków po miękkiej ziemi, ktoś wepchnął go do małej łódki o płaskim dnie, takiej, jakiej się używa do pływania po płytkich wodach. Łódka zakołysała się niepokojąco, więc pośpiesznie usiadł na dnie.

Kołysanie powtórzyło się jeszcze trzy razy, gdy wsiadali towarzysze jego podróży. Ktoś odepchnął łódkę od brzegu i potem Lucien czuł tylko łagodne kołysanie fal. Gdzieś przed nimi zaczął bić kościelny dzwon, jakby odliczał lata kogoś niedawno zmarłego.

Łódka wkrótce przybiła do brzegu, gdzie czekali już inni. Lucien wyraźnie słyszał szuranie stóp i ciche pokastywania. Było tam pewnie dwudziestu kilku mężczyzn. Ktoś pociągnął go na prawo i zaczął się szamotać z materią zakrywającą mu głowę.

Kiedy odsłonięto mu oczy, zobaczył na wzgórzu powyżej mury średniowiecznego zamku połyskujące w poświacie księżyca. Żałobne, zawodzące bicie kościelnego dzwonu

wywoływało u Luciena dreszcze. Zapanował jednak nad mięśniami twarzy i ukrył tę reakcję. Było to tylko przedstawienie, lecz jakże przekonujące. Gdyby był przesądny, już dawno postradałby zmysły ze strachu.

Otaczało go ze trzydziestu mężczyzn w długich białych habitach o ogromnych kapturach. Wszyscy trzymali w dłoniach świece. Wyglądali jak enklawa duchów. Jego habit był czarny, zapewne dlatego, iż był nowicjuszem.

Najbliżej niego stał Roderick Harford. Wznosząc ramiona zawołał:

- Jakie jest nasze hasło?

- Czyń to, na co masz ochotę! - odwrzasnął chórek fałszywych mnichów.

- Jaki jest nasz cel?

- Przyjemność!

- Chodźcie więc, moi bracia, i dopełnijcie świętego rytuału. Człowiek z medalionem wiszącym na piersi zaczął się wspinać na szczyt wzgórza, a reszta podążyła za nim gęsiego. Jak okiem sięgnąć widać było rozedrgane cienie płomieni świec. Harford dał Lucienowi znak, by podążył za grupą, po czym sam zamknął pochod. Zamek otoczony był wysokimi murami. Przez ciężką żelazną bramę przybysze weszli do doskonale utrzymanego ogrodu. Wąska ścieżka wiała się między klombami i rzeźbami, jasno błyszczącymi w świetle księżyca. Lucien zauważył, że jedna z rzeźb przedstawia ogromny, wysoki na dwadzieścia stóp fallus. Pobożne życzenia!

Podążali w kierunku odległej kaplicy; wejścia do niej strzegły dwa posągi, nagiego mężczyzny i nagiej kobiety, trzymających palec przy ustach na znak milczenia. Oboje byli tak bogato wyposażeni, że przeciętny śmiertelnik musiał się czuć onieśmielony w ich towarzystwie. Ponad drzwiami wyryte były słowa: *Fay ce que voudras*, „Czyń to, na co masz ochotę”. Zdanie już wcześniej wydawało mu się znajome, lecz dopiero teraz uświadomił sobie, że było kiedyś mottem Klubu Hellfire. Zastanawiał się, co by też Jane powiedziała na te wszystkie przejawy męskiego samouwielbienia, i uśmiechnął się do siebie.

Okute żelazem drzwi zaskrzypiały, po czym ponura procesja weszła do kaplicy. Wokół ołtarza płonęły kadzidła wypełniając powietrze słodko - mdłym zapachem. Choć ktoś najwyraźniej starał się stworzyć pozory antyczności, Lucien od razu się zorientował, że budynek niedawno odnowiono. Z pewnością dwanaście malowideł ściennych przedstawiających dwunastu apostołów w najbardziej nieprzyzwoitych pozach było dziełem współczesnego i obdarzonego niebywałą wyobraźnią artysty.

Sufit był pokryty równie obscenicznymi freskami. Reszta wystroju kaplicy stanowiła interesujący przykład pomieszania starożytności i współczesności, chrześcijaństwa i

pogaństwa. Satyrzy o kozłich nogach kopulowali z aniołami, a pożądlivi mnisi gonili greckie nimfy. Najwyraźniej Hellioni lubili różnorodność.

Hellioni uformowali krąg w kaplicy i Harford wyszeptał Lucienowi do ucha:

- Podejdz do ołtarza i połóż się krzyżem. Kiedy prowadzący każe ci wstać, pozostań przy ołtarzu aż do końca ceremonii. Zwracaj się do niego per „mistrzu”.

Lucien pomyślał, że gdyby wiedział, jak długo przyjdzie mu czekać na kolację, zjadłby coś przed wyjściem z domu. Leżenie krzyżem na zimnej kamiennej podłodze jest wyjątkowo nieprzyjemne, kiedy człowiekowi burczy w brzuchu.

Drzwiczki za ołtarzem otworzyły się z cichym skrzypnięciem do komnaty weszła postać szeleszcząca szkarłatnymi szatami. Lucien powstrzymał się przed spojrzeniem w górę, lecz natychmiast rozpoznał ochryply głos Mace'a.

- Czy rozumiesz powagę tego, co tu się dokonuje, nowicjuszu?

- Tak, mistrzu - odparł, z trudem zachowując odpowiednio poważny ton.

- Powstań więc i spójrz mi w oczy, nowicjuszu. - Kiedy Lucien posłuchał, Mace kontynuował: - Czy przysięgasz uroczycie wierność naszemu bractwu, wiedząc, że wszelka zdrada ściągnie na ciebie przekleństwo Hellionów? - Jego słowa toczyły się niczym grzmot, a w oczach płonęła groźba.

Beztroski nastrój Luciena prysł. Przypomnił sobie, że nigdy nie należy nie doceniać przeciwnika.

- Przysięgam, mistrzu - rzekł poważnie. Spojrzenie Mace'a przewiercało go na wylot.

- Niech się więc stanie! - Odwrócił się i zapalił od swej świecy zioła na ołtarzu.

Obrządek, który nastąpił później, w niczym nie przypominał czarnej mszy. Stanowił raczej połączenie pogańskiego rytuału i urągającego samemu sobie chrześcijańskiego patosu. Kiedy Mace wygłaszał zdania zarówno po łacinie, jak francusku i angielsku, jego głos wznosił się i opadał tworząc zadziwiającą atmosferę zagrożenia i tajemnicy.

Dym z kadzideł unosił się w komnacie i Lucien wkrótce poczuł jego odurzające działanie. Podejrzewał, że zioła na ołtarzu zawierają jakieś narkotyki, może belladonę albo czarnego lulka. Otumaniały tak, że nietrudno było uwierzyć, iż mityczne, pradawne siły znów zostały powołane do życia. Lucien starał się zachować trzeźwość myśli, co nie przychodziło mu łatwo.

Wreszcie, kończąc rytuał, Mace zawołał:

- Stań się jednym z nas! - Zanurzył palce w czarnym kielichu i pokropił Luciena miksturą pachnącą brandy. - W naszym bractwie od dziś będziesz znany pod mitycznym imieniem „Lucyfer”.



- Witaj, Lucyferze! - zaintonowali fałszywi mnisi.

Mace odwrócił się i sygnął garścią talku wprost do ognia. Płomienie wystrzeliły aż pod sufit, podczas gdy chmury dymu rozeszły się we wszystkich kierunkach. Ponad ołtarzem dym zageścił się w złowieszczy kształt. Zdawać by się mogło, że sam diabeł przyszedł odpowiedzieć na wezwanie. Atmosfera w kaplicy stała się napięta.

Mace uniósł ramiona i zaintonował coś niezrozumiałego. Diaboliczna figura zaczęła się rozpyływać, podobnie jak napięcie, które zafalowało uczestnikami mszy.

Lucien musiał przyznać, że to niezgorszy efekt. Gdyby miał trochę więcej czasu, z pewnością odkryłby istotę tego zjawiska. Najwyraźniej Mace używał technicznych zdolności nie tylko do produkcji obscenicznych zabawek mechanicznych.

Mace opuścił ramiona, a natchniony blask zniknął z jego oczu.

- Chodźmy więc, bracia, i ucztujmy.

Jeden z mnichów odsunął czarną draperie w rogu komnaty i odsłonił przejście do przestronnego salonu. Natychmiast poważna atmosfera zmieniła się w radosną, kiedy Hellioni wchodzili do pokoju i rozsiadali się na sofach w starorzymskim stylu.

Lucien zawahał się, a Mace widząc to wskazał mu miejsce.

- Chodź. Usiądziesz obok mnie, Lucyferze. Jak ci się podobała msza?

- Imponująca - odparł szczerze Lucien, sadowiąc się na skórzanych poduszkach. - Z pewnością nie jest tak proste, jak czczenie diabła przez członków klubu Hellfire. Połączenie tyłu klasycznych, pogańskich i chrześcijańskich obrządków musiało ci zająć sporo czasu i przemyśleń.

- Wiedziałem, że docenisz złożoność obrazów i symboli. Niestety nie wszyscy nasi członkowie są do tego zdolni. - W oczach Mace'a pojawiło się rozbawienie. - Wymyślanie własnej religii jest zajęciem równie fascynującym, co czasochłonnym.

Opowiadał o swoich poszukiwaniach, gdy do sali wpadła grupka dziewcząt ubranych w przezroczyste stroje, ukazujące każdy zakamarek i fałdkę ich ciała. Jedyne twarze miały zasłonięte maskami z pawich piór.

- Dzisiejszym mottem jest kultura turecka - wyjaśnił Nunfield siedzący obok Luciena. - Osobiście wolę, kiedy dziwki przebierają się za zakonnice... habity pozostawiają wiele pola dla wyobraźni. Lecz najwyraźniej większość naszych braci woli przedstawienie bez niedomówień. - Kiwnął na dziewczynę niosącą dzban.

Gdy pochyliła się, by nalać wina, piersi zafalowały jej pod przezroczystą tkaniną. - Ślicznotki, nieprawdaż? - Mace z lubością pieścił krągłe pośladki dziewczyny. Ta zaśmiała się gardłowo i otarła o niego prowokacyjnie. - To Roderick wybiera dziewczęta i musisz przy-

znać, że ma doskonały gust.

- Czy to wszystko profesjonalistki? - zapytał Lucien, wcale nie zdziwiony, że to Harford jest głównym stręczycielem.

- Większość, ale nie wszystkie. - Mace uśmiechnął się przewrotnie. - Niektóre z nich to najwyższej klasy damy, takie jakie można spotkać w salonie królowej. To dlatego są zamaskowane. Gdybyś miał siostrę, mógłbyś ją tu zastać. Albo żonę.

Lucien walczył z niesmakiem.

- Doprawdy podniecająca myśl. Szkoda, że nie mam ani siostry, ani żony.

Mace podniósł puchar wina.

- Za rozpustę! - Rzuciwszy Lucienowi wyzywające spojrzenie, wychylił go do dna.

Nie mając innego wyboru, lord Strathmore poszedł za przykładem gospodarza. Kiedy władze między wrony...

Inna dziewczyna podeszła właśnie z półmiskiem parujących kielbasek w kształcie fallusa. Lucien nadgryzł kiełbaskę... Czego się nie robi dla ojczyzny!

Uczta bardzo szybko przekształciła się we współczesne wydanie rzymskiej orgii. Kiedy tylko było to możliwe, jedzenie miało sugestywne kształty, wino lało się strumieniem, a rozpusta kwitła.

Rozchichotane dziewczęta coraz częściej były przyciągane na sofy. Niektóre pary, jak na przykład Nunfield i piersiasta brunetka, nie krępowali się obecnością innych i zaczęli igraszki na oczach wszystkich; inni podążali chwiejnym krokiem w stronę osobnych pokoi. Kiedy Mace także się oddalił, Lucien wstał i wyszedł do ogrodu, nie mogąc już dłużej znieść otaczającej go rozpusty.

Nocne powietrze nieco go otrzeźwiło, choć nadal kręciło mu się w głowie od ilości spożytego alkoholu. Próba dorównania Mace'owi w picciu była nawet ponad jego siły, a zawsze szczylił się mocną głową.

Spacerował po oświetlonych księżycem ścieżkach i automatycznie zapamiętywał każdy szczegół, na wypadek gdyby kiedyś miał mu się przydać. Wspiąwszy się na schodki prowadzące na szczyt muru odkrył ze zdziwieniem, że zamek wcale nie znajduje się na wyspie. Woda, przez którą się przeprawiali, była wąską rzeką okrążającą wzgórze tylko z jednej strony. Zamek był zapewne pozostałością po Normanach, odbudowaną przez Hellionów.

Ogrody były pięknie położone, choć obsceniczne rzeźby ujmowały im uroku. Skręciwszy w wąską ścieżkę, natknął się na marmurową rzeźbę; pochylona Wenus wyjmowała sobie cierń ze stopy. Posąg był specjalnie ustawiony na samym środku ścieżki,

tak by nadchodzący wpadł wprost na jej nagie wypięte pośladki.

Natknąwszy się na młodego lorda Ivesa przyglądającego się posągowi Zeusa gwałcącego łabędzia, zrozumiał, że nie on jeden potrzebuje wytchnienia od orgii rozgrywającej się w salonie. Lucien wskazał rzeźbę.

- Możesz mnie nazwać purytaninem, lecz nie wyobrażam sobie, by łabędź mógł mnie podniecić. Chyba że sam byłbym łabędziem.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Myślę, że i ja nie stwarzałbym zagrożenia dla Ledy. Ci greccy bogowie byli doprawdy niewyżytą bandą rozpustników.

Mężczyźni zrównali krok i szli ramię w ramię ścieżkami rozjaśnionymi blaskiem księżyca.

- Czyżbyś zrobił sobie małą przerwę dla odzyskania sił przed następnym wyczynem? - zapytał Lucien.

Ives zawahał się, a potem zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Właściwie chciałem wcześniej wrócić do domu. Może uznasz mnie za głupca, ale niezbyt dobrze bawiłem się z dziewczyną, którą wybrałem. Cały czas myślałem, że wolałbym być w domu z Cleo.

- Wcale nie uważam cię z głupca. - Lucien pomyślał o Jane, której jedno spojrzenie miało w sobie więcej zmysłowości niż wszystkie rozebrane dziewczęta Harforda razem wzięte. - Namietność bez uczucia może zaspokoić ciało, lecz rozkosz szybko mija zostawiając po sobie pustkę i gorz.

- Otóż to. Cieszę się, że nie tylko ja tak to odczuwam. - Ives zrobił ponurą minę. - Gdyby Cleo dowiedziała się, że spałem z inną kobietą, na pewno by mnie zostawiła. Ona nie jest taka, jak inne aktorki. Są mężczyźni, którzy chętnie zapłaciliby za jej względy, lecz wybrała mnie, bo lubi moje towarzystwo.

- Jeżeli naprawdę zależy ci na tej dziewczynie, może powinieneś wystąpić z klubu Hellionów. Ives przytaknął, jakby już wcześniej o tym myślał.

- Chyba masz rację. Idiotyzmem jest ryzykowanie utraty kogoś, na kim naprawdę mi zależy, dla kilku chwil rozkoszy z kobietą, której imienia nie będę pamiętał nazajutrz rano.

Lucien postanowił wykorzystać sytuację:

- Czy Hellioni naprawdę poważnie podchodzą do tych wszystkich rytuałów?

- Być może Mace tak... podejrzewam, że w głębi duszy jest poganinem... ale reszta raczej chce się dobrze bawić. Większość z nas wstąpiła do klubu dla rozrywki i dziewcząt.

Przechadzka zakończyła się przy drzwiach kaplicy. Na zachodzie księżyc chylił się już

ku horyzontowi.

- Kiedy i jak wraca się do domu? - zapytał Lucien.

- Większość tu odsypia nocne ekscesy, lecz ja wracam do Londynu. Chcesz się ze mną zabrać? Mam tu powóz niedaleko.

Lucien zawahał się skuszony propozycją, lecz potem potrząsnął głową.

- Jestem tu pierwszy raz, więc popełniłbym spory nietakt. Zostanę wraz z innymi.

Mężczyźni wymienili pożegnalne uprzejmości i Lucien wrócił do kaplicy. W porównaniu z chłodem nocy, powietrze w salonie było duszące. Na podłodze i sofach spali biesiadnicy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. W kącie sali leżał na plecach Westley, a rozchichotana naga kobieta wlewała mu wino do ust. Oprócz nich wszyscy spali. A w każdym razie tak się zdawało.

Lucien właśnie rozglądał się za spokojnym kątem, w którym mógłby się przespać do rana, gdy z korytarza wychynął Nunfield. Stapał z ostrożnością charakterystyczną dla człowieka mocno pijanego. Jego ramienia uczepiona była kobieta z rozwiązłością wypisaną na twarzy. Ubrana była jedynie w maskę z pawich piór.

- Lucyfer! Szukałem cię! - Nunfield czknął głośno. - Musisz pójść z Lolą. Jest wyjątkowo utalentowana.

- Dziękuję, kochanie - zamruczała jak kotka. Jej oczy lśniły w wąskich szparkach maski. - Z miłą chęcią cię zadowolę. - Wyciągnęła wąską dłoń i pochwyciła rękę Luciena. - Chodź ze mną, a zrobię co w mojej mocy, byś się nie zawiódł.

Lucien usiłował wymyślić jakiś uprzejmy sposób odmowy, gdy zobaczył ostry wzrok Nunfielda. Odrzucenie takiej propozycji mogłoby się wydawać podejrzane, więc nie miał innego wyboru, jak tylko się podporządkować sugestii. Kiedy już zostanie z kobietą sam na sam, rozbroi ją podobnie jak tę prostytutkę u Chiswicka. Przybierając maskę człowieka bardzo już zmęczonego i pijanego, powiedział z galanterią:

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame Lolu. - Zaofiarował jej swe ramię, omal nie tracąc przy tym równowagi.

W porę złapała go za łokieć i poprowadziła w kierunku odosobnionego pokoju. Wychodząc z salonu starał się omijać ciała śpiących, co nie było takie łatwe, gdyż cały czas czuł na plecach wzrok Nunfielda.

W pokoju, w głębi korytarza, stała sofa wystarczająco szeroka dla dwojga. Lola rzuciła maskę i popchnęła go tak, że siedział na samym brzegu. Usiadłszy mu na kolanach, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała namiętnie. Jak Nunfield słusznie zauważył, była profesjonalistką. A jednak wyczuł, że pod udawaną namiętnością czai się wyrachowanie i

chłód zmił.

Czując zawrót głowy, odsunął się nieco i rzekł niewyraźnie:

- Szkoda, że nie spotkałem cię nieco wcześniej, Lolu. Zanim gdzie indziej spożytkowałem całą swą energię. - Czknął tak potężnie, jak tylko potrafił. - Przepraszam. Nie... nie powinienem był tyle pić.

Już miał ją zrzucić z kolan, kiedy przesunęła dłonią w dół jego torsu. Poczuł z odrazą, że jego ciało reaguje niezależnie od woli na manipulację jej zwinnych palców.

Mruknęła z zadowoleniem.

- Nie martw się, mój mały. W staruszku drzemie jeszcze nieco sił. Lola wszystkim się zajmie.

Z dziwnego błysku w jej oczach wyczytał, że w głębi serca nienawidzi mężczyzn i że odczuwała nieklamana przyjemność widząc ich bezbronych w szale namiętności, który tak łatwo może kontrolować. Większość mężczyzn pewno nie zauważała lub nie przejmowała się jej odczuciami, gdyż Lola zachowywała się z bezwstydną i profesjonalnością, o jakiej niemal wszyscy marzą. Lecz nie Lucien. Dobry Boże, nie on. Chciał wstać i natychmiast wyjść z pokoju, lecz wiedział, że musi wytrwać w swej roli rozpustnika.

Kiedy zastanawiał się, co jest w nim silniejsze - chęć natychmiastowego opuszczenia tej przeklętej kaplicy, czy też poczucie obowiązku względem ojczyzny - Lola popchnęła go tak, że leżał już wyciągnięty na sofie. Potem uniosła jego mnisi habit i zajęła się guzikami rozporka. Kiedy jej gorące usta zamknęły się na nim, opuściła go wszelka wola i zdrowy rozsądek. Podniecenie sparaliżowało umysł. Zbyt wiele już wody upłynęło od czasu, kiedy miał kobietę, i ciało wreszcie przypomniało mu o tym.

Zabiegi Loli doprowadziły go do kulminacji w ciągu kilku minut, lecz w fizycznym rozładowaniu nie znalazł żadnej przyjemności. Gdy tylko ogromny głód został zaspokojony, wróciła pogarda dla samego siebie.

Co on, na miłość boską, robił z tą bezwstydną dziwką? Czy naprawdę było to konieczne? Czy jego misja naprawdę nie mogła się obejść bez tego wulgarного aktu? Ojczyzna istniała wieki przed jego narodzeniem i będzie istniała jeszcze długo po jego śmierci. Był głupcem sądząc, że jego starania cokolwiek znaczą; były tyle warte, co zeszłoroczny śnieg.

Starął się pokonać rozpacz, wspominając rodzinę i przyjaciół, lecz prawie natychmiast powstrzymał się mówiąc sobie, że jest niegodny wszelkiego pocieszenia. Cóż by Jane pomyślała, gdyby go teraz zobaczyła? Żołądek skurczył mu się na tę myśl. W ustach poczuł gorzki.

Takie myślenie doprowadzi go na skraj szaleństwa. Z wielkim bólem i wysiłkiem zapanował nad uczuciami i wepchnął je z powrotem na samo dno serca, gdzie spoczywały już od tak dawna.

Kiedy wróciło poczucie rozsądku, otworzył oczy. Lola leżała rozciągnięta na sofie obok niego z uśmiechem satysfakcji na ustach. Choć nie mógł się zmusić, by jej dotknąć, zdobył się na parę słów, których się po nim z pewnością spodziewała; podziękował za mile spędzone chwile, schlebiając jej talentom. Jej sprawozdanie dla Mace'a i Nunfielda nie powinno w niczym odbiegać od normy. Bo przecież tylko to się liczyło. Nieprawdaż?

Najszybciej, jak tylko było to możliwe, wyszedł z tego przeklętego pokoju i udał się jak najdalej od wulgarnej kobiety, którą pogardzał. Szkoda, że równie łatwo nie mógł uciec od własnego, gryzącego go niemilosiernie, sumienia.

Lucien wrócił do domu dopiero przed wieczorem następnego dnia, śmiertelnie znużony udawaniem libertyna. Przede wszystkim wziął długą, gorącą kąpiel, która pomogła mu zmyć z siebie poczucie wstrętu po orgii u Hellionów.

Choć wolałby spędzić spokojny wieczór w domu, majstrując przy swoich mechanicznych zabawkach, wiedział, że właśnie tego wieczoru odbywa się przyjęcie w salonie lady Graham, więc nie było mowy o pozostawaniu w domu. Pocieszał się myślami, że godziny spędzone na inteligentnej rozmowie pomogą mu przełamać depresję, nawet gdyby się nie dowiedział niczego istotnego o Cassie James.

Kiedy wszedł do ogromnego domu lady Graham, gospodyni powitała go przyjaznym uśmiechem.

- Lucien, cóż za miała niespodzianka. Stęskniłam się za twoim przewrotnym poczuciem humoru.

Pocałował ją lekko w policzek.

- Już zbyt długo się tu nie pokazywałem. Nie mogę sobie wyobrazić, co robiłem tak ważnego, że zapomniałem o chwilach przyjemności w twoim salonie.

Lady Graham spojrzała na niego spod oka.

- Z pewnością było to ważne, i zapewne nic, o czym mógłbyś tu rozmawiać. Chodź i przywitaj się z moimi gośćmi. Z pewnością znasz już większość z nich, lecz zaręczam, że dziś wieczór spotkasz tu wyjątkowo interesujących ludzi. Na przykład jest tu moja droga przyjaciółka, sawantka zresztą, lady Jane Travers. Znam ją od czasów mojego debiutu na dworze, trzydzieści lat temu. Zazwyczaj siedzi w domu i nie chodzi na żadne przyjęcia, więc zapewne jej nie znasz. Ma okrutne poczucie humoru i mocne opinie na temat, jak powinny wyglądać rządy w naszym kraju. Rozglądaj się za bardzo wysoką rudowłosą kobietą.

- Z tego, co mówisz, to prawdziwa amazonka. Nie wątpię, że jest gorącą wyznawczynią poglądów Mary Wollstonecraft Godwin?

Lady Graham wygięła brwi ze zdziwieniem.

- Oczywiście, podobnie, jak każda inteligentna kobieta w tym kraju. I ty również, mój dandysie w eleganckim ubranku. Jeśli dobrze sobie przypominam, kiedyś przez cały wieczór dyskutowałeś o prawach kobiet z jakimś okropnym zacofanym szlachcicem. Nie staraj się mnie teraz zwodzić.

Roześmiał się głośno.

- Powiniennem się spodziewać, że będziesz mi to wypominać. - Kiedy gospodyni

prowadziła go do salonu, zapytał spokojnym tonem: - Czy przychodzi tu czasem niejaka Cassie James, artystka?

- Nie, ale nie miałabym nic przeciwko temu - odparła lady Graham. - Widziałam ją w teatrze Marlowe w jakiejś sztuce o Cyganach... to bardzo utalentowana dziewczyna. Z pewnością będzie o niej głośno. - Zauważywszy młodzieńca stojącego samotnie pod ścianą, skinęła na niego. - Panie Haines, oto ktoś, kogo pragnę panu przedstawić.

Po prezentacji zostawiła panów samym sobie i odeszła, by powitać następnego gościa. Pan Haines okazał się ambitnym młodym poetą, wielce zainteresowanym poglądami Luciena na temat najnowszego poematu Byrona. Ponieważ Lucien nie czytał jeszcze *Korsarza* i miał marne zdanie o jego autorze, rozmowa trwała bardzo krótko.

Lucien spędził następną godzinę, snując się po salonie i bardziej przysłuchując rozmowom niż w nich uczestnicząc. Tematy były doprawdy różnorodne, od polityki cara Aleksandra, przez pokojowe negocjacje z Amerykanami, aż do najnowszej satyrycznej powieści Jane Austen.

Z miłą chęcią przysłuchiwał się rozmowom, lecz niestety nie wynikało z nich nic nowego o Cassie James. Wszyscy o niej słyszeli, większość widziała ją na scenie, lecz nikt nie chwalił się, że zna ją osobiście. Ponieważ śledztwa zazwyczaj posuwają się do przodu małymi krokami, Lucien przyjął porażkę z filozoficznym spokojem i przeszedł do mniejszego pomieszczenia, równie zatłoczonego co salon lady Graham. Gdy tylko przestąpił próg, gospodyni zjawiała się u jego boku.

- Pozwól, że przedstawię cię lady Jane. Bardzo interesuje się teatrem, więc może słyszała coś o aktorce, o którą pytałeś.

Lucien szybko zorientował się, która z dam to lady Jane; była prawie o głowę wyższa od otaczających ją kobiet. Jej rude włosy, które kiedyś miały zapewne odcień bursztynu, przetykane były teraz pasmami siwizny, lecz nadal była bardzo piękną kobietą.

Obok niej stała młoda dziewczyna ubrana w gołębioszarą suknię. Łatwo było ją przeoczyć w tłumie, gdyż oczy trzymała spuszczone i przy ciotce przypominała wypłowiałą lalkę. Wydawała się niska, ponieważ stała tuż obok niezwykle wysokiej lady Jane, lecz była zapewne przeciętnego wzrostu. Pewno by jej nawet nie zauważył, lecz odcinała się od roześmianego i rozgadanego tłumu spokojem i opanowaniem.

Młoda kobieta nagle cofnęła się o krok i odwróciła lekko, bo ktoś nadmiernie gestykułujący machnął jej ręką przed oczami. Miała doprawdy śliczny profil, podobny do wizerunku na greckiej monecie...

Lucien zatrzymał się jak wryty. Nie, to niemożliwe... nie znowu...



- Kim jest ta dziewczyna obok twojej przyjaciółki? - zapytał spiętym głosem. - Zdaje mi się, że już gdzieś ją widziałem. Kto to taki?

- Jaka dziewczyna? - Lady Graham także się zatrzymała i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Aaaa... chodzi ci o lady Kathryn Travers, siostrzenicę Jane. Właściwie to ona już nie jest taka młoda. Ma ze dwadzieścia cztery lata. Miła kobieta, choć niewiele się odzywa. Jej rodzice nie żyją, więc mieszka z Jane.

Czysta żywa wściekłość płonęła w jego żyłach. A już myślał, że ta pannica niczym go nie zaskoczy, lecz mała wiedźma znowu wytrąciła go z równowagi. Jej nowa rola prześcignęła wszystkie dotychczasowe kreacje. Bezwstydna aktorka udawała młodą damę z wyższych sfer. I nie tylko. Udawała siostrzenicę sawantki!

Jak zwykle była doskonała w swej roli. Gdyby nie znał jej tak dobrze - gdyby nie trzymał jej w ramionach, nie całował jej ust - dałby się nabrać, tak wydawała się opanowana i pełna rezerwy. A jednak jej twarz była niewątpliwie twarzą Sally i Emmie, i Jane, i Cassie James.

Na chwilę wróciło wspomnienie, jak leżała obok niego, na wpół naga, z oczyma płonącymi pożądaniem. Wtedy jeszcze jej wierzył, lecz teraz już nie. Tym razem nie pozwolił się oszukać.

W jego głosie pobrzmiwało jedynie lekkie zainteresowanie, gdy powiedział:

- No tak, oczywiście. Lady Kathryn Travers. Nie byłem pewien, czy ją poznają... to taka cicha osóbka. Choć pod jej spokojem kryje się doprawdy interesujący umysł.

- Dziwię się, że w ogóle miałeś sposobność ją poznać - skomentowała lady Graham. - Jak zapewne wiesz, pochodzi ze starej i świetnej rodziny, lecz wszyscy mężczyźni Traversowie byli dzikusami i nigdy nie mieli grosza przy duszy. Nie stać ich było na debiut Kathryn, a i jej życie z ciotką jest bardzo ciche.

- Tak czy inaczej, miałem już przyjemność poznać tę młodą damę. - Z niebezpiecznym uśmiechem na ustach zaczął przedzierać się przez tłum. - I nawet nie wiesz, jak się cieszę, że ją tu spotykam.

- Jane, chciałabym przedstawić ci mojego drogiego przyjaciela, hrabiego Strathmore'a. Lucien, to lady Jane Travers - powiedziała lady Graham, gdy udało im się dotrzeć do grupki stojącej w rogu pokoju.

Na dźwięk nazwiska Luciena młoda lady Kathryn odwróciła się gwałtownie i na chwilę zeszytniała. Jednak tylko ktoś obserwujący ją tak wnikliwie jak Lucien mógł to dostrzec, gdyż jej twarz nadal pozostała bez wyrazu.

Lucien pochylił się nad dłonią lady Jane i wygłosił stosowne formułki. Niemal

dorównywała mu wzrostem, a w jej szarych oczach migotały płomyki.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność, lordzie Strathmore - rzekła uprzejmie. - Na ile się orientuję, nieraz wygłaszał pan interesujące przemówienia w Izbie Lordów. Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan nad objęciem stanowiska w rządzie?

- Nigdy - odparł odruchowo. - O wiele łatwiej jest wytykać, co jest nie tak w naszym kraju, niż to samemu naprawiać.

Lady Graham roześmiała się, po czym mówiła dalej: - Oczywiście, lady Kathryn Travers już znasz. Lucien uśmiechnął się i powiedział szczerze:

- Już zbyt wiele wody upłynęło od czasu naszego ostatniego spotkania, lady Kathryn. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Czy myśmy się kiedyś spotkali, lordzie Strathmore? Opanowując nagłą chęć pogratulowania jej wspaniałego trzymania się w roli, westchnął z udawanym żalem i powiedział:

- Jakże mi przykro, że nie pamięta pani naszego spotkania, które na zawsze wyryło się w mej pamięci. Przecież prowadziliśmy tak interesującą rozmowę, gdy nam przeszkodzono.

Popęłniała błąd patrząc mu prosto w oczy. Choć potrafiła znakomicie zapanować nad mięśniami twarzy, nie była w stanie się pozbyć napięcia ze wzroku ani opanować gwałtownego bicia pulsów na smukłej szyi. Inna kobieta już dawno by uciekła.

Spoglądając na starsze damy, Lucien wyjaśnił:

- Bardzo mnie zainteresowały teorie lady Kathryn na temat Mary Wollstonecraft Godwin. Jej pomysły na temat edukacji kobiet zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Chciałem nawet wystąpić przed Izbą Lordów i przedstawić jej poglądy, lecz aby to uczynić, muszę jeszcze chwilę z nią porozmawiać. Jeżeli panie nam wybaczą...

Nawet nie czekając na odpowiedź, złapał dziewczynę za łokieć i poprowadził przez zatłoczony salon. Jeśli dobrze pamiętał, na końcu korytarza był mały gabinet. Tam będzie mógł w ciszy i spokoju skrócić jej kark.

Kiedy prowadził ją do pustego pokoju, usiłowała protestować.

- Lordzie Strathmore, jest wysoce nieprzyzwoite, bym znajdowała się sam na sam z nieznajomym.

Popatrzył na nią bez współczucia.

- Nie mam pojęcia, kim dla siebie nawzajem jesteśmy, lecz na pewno nie jesteśmy sobie obcy. - Widząc, że dziewczyna ma zamiar zaprotestować, spojrzał na nią surowo i rzekł: - Czy mam podnieść głos i obwieścić wszystkim naokoło, jak piękne masz piersi? Albo jak jęczałaś, gdy całowałem ten tatuaż na wewnętrznej stronie twego uda?

Zatrzymała się w pół kroku i zarumieniła gwałtownie. Potem nagle zbladła i poddała się. Niemal wepchnął ją do gabinetu i zatrzasnął drzwi. Kiedy tylko wypuścił jej ramię z żelaznego ścisku, odeszła jak najdalej od niego i zaczęła rozmasowywać sobie łokieć. Spoglądała na niego przerażonym wzrokiem, jakby właśnie wyrwał się ze szpitala dla wariatów.

- Czy lady Jane jest twoją współniczką, czy kolejną ofiarą twoich kłamstw? - Zapalał po kolei wszystkie świece w pokoju, jakby starał się dopatrzeć prawdy w jej twarzy. - Mam wrażenie, że nawet ty nie byłabyś w stanie przekonać rozsądnej kobiety, że jesteś jej krewną, o której nic do tej pory nie wiedziała. - Zapalił ostatnią świeczkę. - Zawłaszczyłaś sobie nawet jej imię. Myślałem o tobie jako o Jane od czasu, gdy wmówiłaś mi, że to twoje prawdziwe imię. Jednak muszę przyznać, że Kathryn o wiele lepiej do ciebie pasuje.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - rzekła drżącym głosem.

W jej oczach zabłyśły łzy, co było przejawem doprawdy niesamowitego talentu aktorskiego. Jednak zamiast ułagodzić Luciena, tylko wzmogły jego gniew.

- Jak to, już nie jesteś porywającą Cyganeczką? Już nie walczysz o sprawiedliwość? Nawet nie jesteś już barmanką o ciętym języku? - Podszedł do niej wielkimi krokami. - Jestem zawiedziony. Z pewnością potrafisz wymyślić jeszcze jedną przekonującą historyjkę. A nawet pół tuzina. Może jesteś szpiegiem Napoleona, na którego przyszły ciężkie czasy, od kiedy cesarz abdykował? Albo może obaloną władczynią bałkańskiego królestwa, która usiłuje odzyskać tron?

Wycofała się za sofę.

- Chyba pan oszalał, hrabio. Albo jest pan bardzo, ale to bardzo pijany.

Okrażył sofę w ślad za nią.

- Zapewniam cię, że nie jestem pijany. A jeżeli oszalałem, to ty jesteś tego przyczyną.

Znowu usiłowała się wycofać.

- Niech się pan do mnie nie zbliża!

- Nie udawaj tchórza. Jeżeli cię za coś podziwiam, to za niesamowitą odwagę.

Przebiegła na drugą stronę sofy, zanim zdążył ją złapać.

- Nie jestem tą, za którą mnie pan uważa! Zatrzymał się i przyjrzał jej ostentacyjnie.

- Ta sama twarz, ten sam kolor włosów, ta sama figura.

- Zacisnął usta. - I te same kłamliwe szare oczy. Tylko imię zmieniłaś, a to o niczym nie świadczy, gdyż przy każdym naszym spotkaniu udawałaś kogoś innego.

Znowu usiłowała mu się wymknąć, lecz pokój był za mały. W kilku długich susach zagnał ją do rogu. Przywarła plecami do ściany i zapytała drżącym głosem:

- Co ma pan zamiar zrobić?

- Doprawdy kuszące jest natychmiastowe zamordowanie cię.

- Wyciągnął dłoń. - Lecz zadowolę się tylko tym, na czym nam ostatnio przerwano.

- Niech mnie pan nie dotyka! - zawołała. - Będę... będę krzyczeć o pomoc!

- W tym harmidrze w salonie i tak nikt cię nie usłyszy. - Kiedy tylko jej dotknął, zdał sobie sprawę, że cała wściekłość to nic w porównaniu z pożądaniem, jakie teraz odczuwał. Pragnął jej... dobry Boże, jak on jej pragnął, nawet jeżeli nie ufał jej za grosz.

Nie mógł się powstrzymać przed przytuleniem jej szczupłego ciała.

- Nie walcz z tym, co nieuniknione - powiedział cicho.

- W tym nie ma nic nieuniknionego! - Wciąż usiłowała mu się wyrwać.

- Doprawdy? - Lekko, lecz nieugięcie, trzymał ją uwięzioną w uścisku swych ramion.

- Rozluźnij się, moja droga, nic złego ci nie zrobię. Nie potrafię się na ciebie złościć, żebym nie wiem jak bardzo się starał.

Zakrztusiła się i ukryła twarz na jego piersi. Delikatnie gładził ją po plecach, czekając, aż łagodność zrobi swoje. Wreszcie jej spięte ciało rozluźniło się i dziewczyna przytuliła się do niego.

Gdy przytknął lekko policzek do jej potarganych włosów, doświadczył dziwnego pomieszania czułości z pożądaniem.

- Szkoda, że nie możemy tak pozostać - zamruczał dotykając znajomych kształtów jej pleców i talii.

Te słowa wyrwały dziewczynę z przejściowego szoku. Mocno i zdecydowanie odepchnęła go.

- Wcale nie powinniśmy tego robić!

Oparł się o ścianę stojąc twarzą do niej, tak że nie miała jak uciec. - Czyżby był jakiś inny mężczyzna w twoim życiu? Powiedz mi, niech przynajmniej rozumiem, co się dzieje!

- Tak naprawdę wcale mnie nie pragniesz! - zawołała z rozpaczą.

- Mylisz się. Pragnę cię, i to bardzo. - Przesunął palcami po policzku dziewczyny. Jej skóra miała miękkość aksamitu. - I tym razem zamierzam cię osiąść.

- Nie! - Zagryzła usta, jakby moczując się sama ze sobą. Potem dodała z wahaniem: - Nie chciałam ci tego mówić wcześniej.

- Mówić mi czego? Uśmiechnęła się ponuro.

- Obawiam się, lordzie Strathmore, że pomylił mnie pan z Kristine Travers, moją siostrą bliźniaczką.

Po chwili zaskoczenia Lucien zaśmiał się głośno.

- Miło mi widzieć, że wyobraźnia i tym razem cię nie zawodzi, lecz z pewnością możesz wymyślić coś lepszego niż siostra bliźniaczka. To rozwiązanie rodem z niemieckiej powieści.

- Kristine istnieje naprawdę... jest aktorką komediową, występuje na scenie pod pseudonimem Cassie James. Najwyraźniej już ją znasz, lecz nie znasz mnie. - Przełknęła ślinę. - Na miłość boską, nie obarczaj mnie winą o to, co zrobiła ci moja siostra.

Lucien zawahał się. Do diabła, dziewczyna mówiła nad wyraz przekonująco. Jednak rysy twarzy, głos, sposób mówienia, wszystko było dokładnie takie, jak zapamiętał. Miękkie kasztanowe włosy mieniące się złotymi pasmami i wdzięczna gibka figura wydawały się równie znajome. A przecież w jej zachowaniu nie było śladu pewności siebie barmanki Sally czy Cassie James. Mimo to przypominała mu „Jane” starającą się pomóc oszukanemu młodszemu bratu.

Przypominając sobie jej poprzednie wcielenia, z łatwością uwierzył, że lady Nemezis byłaby zdolna do odegrania roli nieśmiałej lady Kathryn Travers. Również sposób, w jaki przez chwilę odpowiadała na jego uścisk, miał w sobie coś naturalnego. Znajomego. Lecz coś w jej głosie kazało mu się zastanowić, czy aby przypadkiem tym razem dziewczyna nie mówi prawdy.

Został mu tylko jeden sposób na stwierdzenie prawdomówności lady Kathryn. Nawet najlepsza aktorka nie potrafi udawać pocałunku. Przyciągnął ją do siebie i pochylił głowę. Zanim jednak ich usta się spotkały, dziewczyna gwałtownie cofnęła się i uderzyła go w twarz otwartą dłonią.

- Jak pan śmie, milordzie!

Tak, trzeba przyznać, że była silna, lecz to nie pod wpływem wymierzonego mu policzka wypuścił ją z objęć. W jej głosie dzwięczała nuta szczerego oburzenia. Wątpił, czy nawet najlepsza aktorka potrafiłaby mówić niczym oburzona dziewczyna.

Z piękącym policzkiem raz jeszcze przyjrzał się twarzy lady Kathryn. Nawet on, mistrz obserwacji, nie potrafił odróżnić jej od pannicy, która wprowadziła tyle zamieszania do jego uporządkowanego życia. Może z wyjątkiem tego, że w tych szarych oczach kryło się nieco więcej bezradności i zagubienia.

- Nigdy bliźnięta nie są całkiem identyczne - rzekł powoli.

- Zawsze istnieją subtelne różnice, a jednak w tym przypadku ich nie widzę. A wierz

mi, przyglądałem ci się z wielką uwagą.

Zarumieniała się i pochyliła głowę zawstydzona ciepłem czającym się w jego oczach.

- Przez całe życie ludzie powtarzali nam, że jeszcze nigdy dotąd nie widzieli tak podobnych do siebie bliźniąt, jak ja i Kristine.

- Trochę się zacinała. - Lecz wierz mi, gdyby Kristine tu była, od razu wiedziałbyś, która z nas jest która. Nawet byś mnie nie zauważył, moja siostra ma bowiem jakąś niezwykłą witalność, której mnie brakuje. Ona po prostu przyciąga ludzi.

- Wielu aktorów posiada ten dar, a jednak potrafią go „wyłączać”, kiedy tylko im się spodoba - rzekł. Zdawało się, że to, co przed chwilą powiedziała, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Jego oczy zwęziły się. - Kiedy lady Graham przedstawiła nas sobie, poznałaś mnie, lecz starałaś się to ukryć.

- Mylisz się, wcale cię nie poznałam, tylko śmiertelnie mnie przeraziłeś - odparła szybko. - Patrzyłeś na mnie, jakbym była karaluchem na podłodze.

- Na pewno nie karaluchem - zaprotestował z uśmiechem.

- A jednak twoja mina wystarczyła, by przerazić niewinną kobietę. - Podeszła do kominka i ze spuszczoną głową stanęła tuż przy palenisku. - Nie wiem, co zaszło między tobą a moją siostrą, i mówiąc szczerze, wcale nie mam ochoty wiedzieć. Jedyne, czego chcę, to byś zostawił mnie w spokoju.

- Nadal wcale nie jestem przekonany, czy naprawdę masz siostrę. - Założył ramiona na piersi i oparłszy się o ścianę, przyglądał się jej bacznie. - Ponieważ z doświadczenia wiem, że stale kłamiesz, żądam jakiegoś mocniejszego dowodu niż same słowa.

Uniosła głowę i spojrzała na niego lodowato.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mam ci cokolwiek udowadniać. To ty mnie napadłeś, kiedy stałam spokojnie i pilnowałam własnego nosa.

Dobry Boże, a jeżeli naprawdę jest niewinną dziewczyną, która widzi go po raz pierwszy w życiu? Zastanawiająca myśl.

- Jeżeli mówisz prawdę i rzeczywiście masz siostrę bliźniaczkę jestem ci winien przeprosiny.

W jej oczach pojawił się uśmiech, jak gdyby ta myśl sprawiła jej przyjemność.

- Niech się pan lepiej przygotuje na pokorne przeprosiny, gdyż Kristine jest równie prawdziwa, jak pan czy ja.

Kathryn rozluźniła się i, o dziwo, stała się mniej, a jednocześnie bardziej podobna do kobiety, którą znał. Była niezwykle inteligentna i miała cięty język, lecz było to nieco przyćmione głęboką rezerwą, jakiej do tej pory nigdy nie zauważył u Sally - Emmie - Jane.

Oczywiście, gdyby naprawdę była aktorką, mogłaby bez trudu udawać chłód i dystans arystokratki.

Zrozumiał, że jeśli będzie uprzejmy, zdobędzie o wiele więcej informacji.

- Nie chciałbym być impertynencki, lecz może mi pani powiedzieć, lady Kathryn, dlaczego pani i pani siostra wieciecie tak różny tryb życia?

Dziewczyna poczuła się pewniej, odprężyła nieco i usiadła nie opodal kominka.

- To doprawdy bardzo proste. Moim ojcem był czwarty hrabia Markland. Traversowie zawsze znani byli z tego, że nie mają nic oprócz dzikości, czaru i zdolności do wydawania na świat identycznych bliźniąt. Rodzinna posiadłość, Langdale Court, znajdowała się w Westmoreland.

Lucien usiadł naprzeciw niej.

- Znajdowała się? Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Mój ojciec odziedziczył masę długów, a w niedługim czasie dodał całą furę własnych. Kiedy dorastałyśmy, dom przypominał ruinę. Nasza matka umarła, kiedy miałyśmy dziesięć lat, i od tej pory zupełnie zdziczałyśmy. Gdyby nie kilka dobrych sąsiadek, które się nami zajęły, nie wiem, jak byśmy sobie poradziły. Papie jakoś udawało się utrzymać majątek, lecz po jego śmierci pięć lat temu wszystko zostało sprzedane na licytacji. Tytuł przejął kuzyn w Ameryce, a ja i Kristine zostałyśmy bez grosza przy duszy.

- Czyżby twój ojciec był na tyle nieodpowiedzialny, że nie zabezpieczył was na przyszłość?

- Nie miał zwyczaju myśleć nawet o nadchodzącym dniu - odrzekła sucho. - Może liczył na to, że zapewni nam posag grając w karty, lecz widać nie miał szczęścia. Moja matka była córką wikarego, wydziedziczoną po tym, jak uciekła z moim ojcem, więc z tej strony także nie mogłyśmy liczyć na pomoc. Kristine i ja zostałyśmy dokładnie w tej samej pozycji, co wszystkie młode, dobrze urodzone i biedne panny.

- Co wcale nie jest dobrą pozycją.

- Owszem. W takiej sytuacji można albo wyjść za mąż, albo znaleźć sobie pracę, albo zamieszkać u bogatszych krewnych.

- Małżeństwo wydawałoby się całkiem rozsądnym wyjściem. Obie jesteście bardzo atrakcyjnymi pannami.

- Ale trzeba być wyjątkowo piękną, żeby nadrobić brak posagu - zauważyła cynicznie Kathryn. - Poza tym były jeszcze inne... powody.

Zastanawiał się, jakie, ale postanowił nie dać zbić się z tropu.

- Czy to wtedy zamieszkała pani z lady Jane? Skinęła głową.

- Na szczęście ciocia Jane odziedziczyła spory majątek po swej babce, który pozwolił jej na utrzymanie domu w Londynie. Bardzo chętnie przyjąłem jej zaproszenie, kiedy zaproponowała nam dom i utrzymanie. Nie wydaje mi się, żebym miała predyspozycje do bycia guwernantką, a nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Kiedy zamilkła, zapytał:

- A co z Kristine? Spojrzała w tańczące płomienie.

- Moja siostra jest ode mnie starsza o dziesięć minut i odziedziczyła całą dzikość i urok Traversów. Jest zbyt zdecydowana i zbyt niezależna, by zgodzić się na spokojne życie w domu ciotki sawantki. Zawsze uwielbiała występować publicznie i grać różne role, często organizowała występy i koncerty. Zdecydowała się więc odrzucić przyzwoitość i wybrała karierę na scenie.

- Więc stałyście się doskonałym przykładem dobrej i złej? bliźniaczki.

Nie zauważając ironii w jego głosie, rzekła ostro:

- Kristine nie jest zła, tylko odważniejsza niż większość ludzi. Nigdy nie zgodziłaby się na tchórzliwe wyjście z sytuacji.

Czy właśnie tak Kathryn postrzegała własne życie - jako tchórzliwe wyjście z sytuacji, ucieczkę?

- Teatr może i nie jest zły - starał się załagodzić rozmowę - lecz to doprawdy niezwykły wybór, jak na dobrze urodzoną panienkę. Co z reputacją?

- Kristine powiedziała kiedyś, że reputacja nie ma znaczenia, kiedy w oczy zagłąda głód. Skoro miała być biedna, wolała przy okazji dobrze się bawić. Przyjęła pseudonim sceniczny, by nie przynosić wstydu rodzinie, choć szczerze mówiąc, niewielu już jej członków zostało na tym świecie. Zajęło jej to sporo czasu, lecz, jak pan zapewne wie, radzi sobie całkiem nieźle.

- Czy nadal utrzymuje pani z nią kontakt?

Z zatroskaniem Kathryn spojrzała znowu w ogień.

- Ciocia Jane ma bardzo radykalne poglądy polityczne, lecz w sprawach moralności jest dość tradycyjna. Bardzo jej się nie podoba to, co robi Kristine, i zabroniła jej pojawiać się w swym domu. Z tego powodu mam dość... utrudnione kontakty z siostrą.

- Innymi słowy, musiała pani wybrać między siostrą a dachem nad głową - skonstratował cicho Lucien. - To doprawdy trudna decyzja.

- Wcale nie. Kristine podjęła ją za nas obie, tak jak zawsze.

- Ból w głosie dziewczyny był aż nadto wyraźny. Lucien poczuł się nieswojo.

- Z pewnością Kristine tęskni za panią równie mocno, jak pani za nią.



Kathryn drgnęła.

- To już zupełnie nie pańska sprawa, hrabio. Chciał pan wiedzieć, dlaczego tak różnie ułożyliśmy sobie życie, i teraz pan wie. Będę wdzięczna za nierozgłaszanie tego po całym Londynie. Ciocia Jane byłaby bardzo niezadowolona, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że Cassie James to czarna owca Traversów. - Pani ciotka jest pewnie okropną tyranką.

- Była dla mnie bardzo dobra - sprostowała Kathryn z jeszcze większym chłodem. - Nie pozwolę jej krytykować.

Podziwiał lojalność tej dziewczyny i miał nadzieję, że ciotka odpłaca się jej tym samym. Pomimo irytującego chłodu Kathryn była tak krucha, że chciał się o nią troszczyć... choć nadal nie był pewien, czy nie kłamie mu prosto w oczy.

- Choć aktorki zdarzają się w najlepszych rodzinach, doskonale rozumiem, dlaczego pani ciotka nie chce się przyznawać do tej koneksji. Obawiam się jednak, że dość trudno jest paniom zachować pozory, można panią przecież pomylić z siostrą.

Wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie. Kiedy Kristine występuje na scenie, ma na sobie kostiumy i jest ucharakteryzowana, nie przypomina więc samej siebie, o mnie już nie wspominając. Ponieważ nie mam zbyt wielu przyjaciół, niewielu ludzi dostrzega podobieństwo. Do tej pory nikt o tym w każdym razie nie wspomniał.

Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Rozumiem, lecz uważam, że nie docenia pani swej urody ani urody pani siostry. Takiej urody się nie zapomina. - Popatrzył na ogromny kok nad karkiem dziewczyny. Gdyby rozpuściła włosy, z pewnością sięgałyby jej aż do pasa. - Na przykład tych jasnokasztanowych włosów nie sposób nie zauważyć i nie zapamiętać. Są takie gęste, długie i lśniące.

Nieświadomie uniosła dłoń do włosów i nagle zamarła.

- Powinno mi to przyjść do głowy już wcześniej... to włosy są jedyną rzeczą, którą się różnimy z Kristine. Moje nigdy nie były obcinane, ona swoje co jakiś czas skraca, by łatwiej mieściły się pod perukami. - W jej oczach pokazała się iskierka triumfu. - Nawet najzdolniejsza aktorka nie potrafiłaby zmienić długości swych włosów. Czy to wreszcie przekonuje pana, lordzie Strathmore, że jesteśmy dwiema zupełnie różnymi kobietami?

Nagle wróciło wspomnienie delikatnych włosów Cassie opadających jej na ramiona. Do diabła! Pamięć płatała mu figle! Sam powinien zauważyć różnicę. Co prawda długość włosów nie dowodziła ostatecznie, że miał do czynienia z dwiema kobietami, lecz niewątpliwie był to jakiś argument. - Słyszałem o tym, że można sobie wpinać całe pasma

dłuższych włosów - nie dawał za wygraną.

- Ależ jest pan podejrzliwy! Ale chyba musi pan przyznać, że jeżeli noszę sztuczne tressy, to są one idealnie dobrane do naturalnego koloru moich włosów.

Znowu nie mógł odmówić jej racji. Subtelnie ułożone loki wszędzie miały ten sam odcień.

- Żeby przekonać się na pewno, musiałbym wyjąć spinki z pani fryzury i rozpuścić te piękne włosy.

Jej oczy zwęziły się i zabłyśły groźnie.

- Wystarczy, lordzie Strathmore. Mogę panu sporo wybaczyć, gdyż pomylił mnie pan z moją siostrą, lecz proszę nie posuwać się za daleko. Z pewnością nawet rozpustnicy wiedzą, na czym polega różnica między aktorką a damą.

Roześmiał się.

- Zapędziła mnie pani w kozi róg, lady Kathryn. Czy mogę zadać pani jeszcze jedno pytanie, zanim wyjdę? Czy oprócz występowania na scenie pani siostra pisze może artykuły pod pseudonimem L. J. Knight?

Brwi Kathryn uniosły się gwałtownie.

- Oczywiście, że nie. Jest doskonałą aktorką, lecz na pewno nie dziennikarką. Skąd to panu przyszło do głowy?

- Kristine tak mi powiedziała.

- Musiała odegrać przed panem doprawdy niesamowite przedstawienie, jeżeli udało jej się przekonać pana, że dwudziestoczteroletnia dziewczyna może pisać artykuły z wnikliwością L. J. Knighta.

- Jest wyjątkowo przekonującą młodą damą. - W tonie jej głosu coś go zaskoczyło.

- Czyżby znała pani pana Knighta osobiście?

- Ja nie, ale ciocia Jane tak. Z tego, co mi mówiła, pan Knight jest złośliwym kaleką, który nie ma cierpliwości dla przeciętnych śmiertelników. Jeśli się nie mylę, bardzo się przyjaźnią.

Skoro Kathryn tyle wiedziała o Knightcie, to i Kristine mogłaby mieć o nim mnóstwo informacji. Tym sposobem podszycie się pod niego nie powinno jej sprawić większych kłopotów. Wszystko zaczynało mieć sens.

- Bardzo mi pani pomogła, lady Kathryn. Przepraszam, że panią tak wystraszyłem - rzekł Lucien wstając. - Co prawda nie są to pokorne przeprosiny, ale je przyjmuję. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie zamierza pan skrzywdzić Kristine, kiedy już ją pan odnajdzie, prawda?

- Nie. - Uśmiechnął się ponuro. - Poza tym nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jej szukać. Chyba że pani może mi to powiedzieć.

- Nawet gdybym wiedziała, i tak bym panu nie zdradziła, lordzie Strathmore. Może i nie aprobuję tego, co Kristine robi, ale nadal jest moją siostrą.

Nie spodziewał się niczego innego.

- Doskonale. Wierzę, że się jeszcze spotkamy, lady Kathryn.

- Mam szczerą nadzieję, że nie. Zważywszy na długi czas, jaki spędziliśmy zamknięci za tymi drzwiami, lepiej będzie, jeżeli wyjdziemy osobno. Zaczekam tu przez parę minut.

Zawahał się, jakby chciał coś dodać, lecz w końcu uklonił się tylko i wyszedł.

Kiedy tylko drzwi gabinetu się zamknęły, Kit, cała drżąca, opadła na krzesło. Czy Strathmore jej uwierzył? Zdawało się, że tak, lecz nadal nie była pewna; był bardzo dziwnym człowiekiem. Zastanawiała się, jak też użyje informacji, które z niej wyciągnął. Choć najwyraźniej nie był jej wrogiem, nie oznaczało to wcale, że jest bezpieczna.

Bezpieczna?...

Zadrżała na wspomnienie uczuć, jakie ogarnęły ją, gdy była w jego ramionach. Dobry Boże, powinna spoliczkować go o wiele wcześniej, a nie czepiać się go niczym winorośl! Wcale nie zachowała się jak dobrze ułożona lady Kathryn Travers, która odziedziczyła podwójną dawkę moralności. Lecz w jego ramionach czuła się tak dobrze, tak wolna i bezpieczna. Nie potrafiła mu się wyrwać.

Złapała się na tym, że drapie swędzące miejsce na udzie, i natychmiast opuściła dłoń. Dzięki Bogu nie zobaczył tatuażu. Wtedy naprawdę miałyby kłopoty!

Po przyjęciu u lady Graham Lucien miał kłopoty z zaśnięciem. Kiedy wreszcie zapadł w sen, dręczyły go niepokojące zjawy. Był uwięziony w wirującej, nieprzeniknionej mgle, która ukryła wszelkie cechy krajobrazu. Posuwał się do przodu, cal po calu, wiedząc, że ma śmiertelnie ważną misję do wypełnienia, gdy nagle tuż przed sobą zobaczył swą piękną, tajemniczą lady Nemezis. Smukłe ciało dziewczyny odziane było tylko w mlecznobiałą mgłę. Jej uroda: złapała go za serce.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Z radością zbliżył się do niej o krok, lecz zanim mogli się dotknąć, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Odwróciła się na pięcie i uciekła, ignorując tajemnicze i niepokojące kształty gromadzące się wokół nich we mgle. Podążył za nią, zdecydowany tym razem jej dopaść. Poprowadziła go do zamku zbudowanego z ogromnych kamieni, mrocznego niczym sama śmierć. Wyczuł, że przekroczenie jego murów będzie zgubne w skutkach, zawołał więc, by się zatrzymała, lecz ona nie słuchając go, przebiegła przez bramę.

Ponuro podążył za nią. Wszedł do jasno oświetlonej komnaty wypełnionej lustrami; w każdym widział inny obraz, przerażoną pokojówkę, wyrachowaną aktorkę i chłodną intelektualistkę - wszystkie jej wcielenia, te które znał, i jeszcze wiele innych.

A z głębi korytarza dobiegało rozpaczliwe łkanie kobiety.

Chcąc ją pocieszyć wyciągnął dłoń do twarzy o smutnych oczach, odbijającej się w lustrze - Kristine? Kathryn? - i uderzył palcami o zimną gładką powierzchnię. Tuż za nim ochryply głos wyszeptał:

- Pomóż mi, Lucien. Na miłość boską, błagam, pomóż mi. Obrócił się na pięcie, lecz nie był w stanie domyślić się, które z odbić jest prawdziwe. Z wzrastającym przerażeniem szukał w coraz to nowych salach i komnatach, aż dłonie krwawiły od ciągłego zderzania się z taflami szkła. Wciąż nie mógł odnaleźć ciepłej kobiety z krwi i kości, której szukał, wszędzie były tylko zimne lustrzane odbicia, drwiące z jego rozpaczy.

Obudził się z poczuciem klęski drżąc na całym ciele. Nie wiedział tylko, czyja to klęska: jej czyjego. Może wspólna? Opadł na poduszki i z trudem rozluźnił napięte mięśnie.

Pocieszał się tym, że przynajmniej nie ogarnęło go paralizujące poczucie pustki i samotności, jakiego doświadczył po smutnym zajściu z Lolą. Problem z lady Nemezis nie polegał na zbyt małym, lecz zbyt dużym zaangażowaniu uczuciowym. Najgorsze było to, że przede wszystkim odczuwał frustrację.

Choć Lucien był już w dziewięćdziesięciu procentach przekonany, że poszukuje

Kristine Travers, pełnej temperamentu aktorki, która miała spokojną i dobrze ułożoną siostrę, nie był na tyle naiwny, by od razu i bez zastrzeżeń uwierzyć w opowieść lady Kathryn. Musiał znaleźć jakiś sposób na potwierdzenie słów dziewczyny. Jego cioteczna babka, Josephine, księżna wdowa Steed, na pewno będzie w stanie mu pomóc. Znała wszystkie plotki krążące po Anglii i była jego najlepszym źródłem informacji.

Na szczęście ciotka zgodziła się przyjąć go o niezwykle wczesnej porze. Kiedy wszedł do małego saloniku, siedziała w fotelu przy kominku, drobniutka i siwowłosa, owinięta w ogromne szale.

- Zadzwoń po herbatę, drogi chłopcze - zarządziła. - A potem chodź tu i ucałuj swą starą ciotkę.

Spełnił jej polecenia, po czym zajął fotel stojący naprzeciw niej.

- Czyżbyś przyszedł, by mnie powiadomić, że zamierzasz się ożenić?

Roześmiał się głośno.

- Odpowiedź jest ta sama co zwykle: nie. Ale obiecuję, że jeżeli kiedykolwiek zmienię zdanie, ciebie powiadomię pierwszą. Tym razem jednak chciałbym cię poprosić o informacje dotyczące drzewa genealogicznego pewnego rodu.

Lady Steed kiwnęła głową najwyraźniej wcale nie zdziwiona. - Więc chciałbyś wydobyć nieco wiadomości z mego starego zmurszałego umysłu, co?

- Zmurszałego? Ależ skąd! Masz umysł i pamięć lepszą od mojej.

Usiłowała zmarszczyć brwi z dezaprobatą, lecz nie potrafiła ukryć uśmiechu.

- Cóż chciałbyś wiedzieć tym razem?

- Masz przyjaciół w Westmoreland, nieprawdaż?

- Miltonów, nie opodal Kendall. Księżna wdowa i ja jesteśmy serdecznymi przyjaciółkami od niemal sześćdziesięciu lat. Co roku odwiedzam ją w lecie. W drodze do Szkocji zatrzymuję się u niej co najmniej na tydzień. Obecny książę jest moim synem chrzestnym. , - Spojrzała przez swe oprawne w złoto okulary na Luciena. - Lord Milton ożenił się mając dwadzieścia dwa lata i ma już trzech synów. Oto człowiek, który zna swe obowiązki względem rodziny.

Ignorując jej przytyk, jak czynił to od lat, Lucien zapytał:

- Czy będąc u nich, spotkałaś kiedyś lorda Marklanda?

- A tak, czarujący człowiek, choć niewiele wart. Jego posiadłość znajdowała się zaledwie o parę mil od Milton Hall. - Prychnęła z pogardą. - Udało mu się spłodzić zaledwie dwie córki bliźniaczki. Po jego śmierci tytuł przejął jakiś ich kuzyn z Ameryki. Z tego, co wiem, Amerykanie nie przywiązują wagi do tytułów, więc to już zapewne koniec tej rodziny.

Zanim miała czas wgłębić się w cnoty arystokratycznych rodzin, zapytał prosto z mostu:

- A co z bliźniaczkami? Miałaś może okazję je poznać?

- Widziałam je prawie zawsze, gdy odwiedzałam Miltonów. Bardzo ładne dziewczęta... Kristine i Kathryn... obie miały imiona zaczynające się na „K”. Traversowie zawsze byli znani z nieobliczalności. - Potrząsnęła głową. - Markland haniebnie zaniedbywał córki. Anne Milton zawsze bardzo je obie lubiła, robiła więc co w jej mocy, by wyrosły na damy i wiedziały, jak się zachować w towarzystwie.

- Czy bliźniaczki były identyczne? Starsza pani kiwnęła głową.

- Jak dwa ziarnka piasku. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego podobieństwa. Spotykałam je tak często, a jednak nie potrafiłam odróżnić. Choć trzeba przyznać, że miały zupełnie inne temperamenty. Lady Kristine była starsza i nieokrzesa, jak jej ojciec. - Pokojówka przyniosła tacę z herbatą i lady Steed zaczęła nalewać napój do filiżanek. - O wyczynach Kristine głośno było w całej okolicy. Lubiła pływać nago w rzece przy świetle księżyca, wspinała się na nadmorskie skały, łąziła po drzewach jak małpa, jeździła konno w spodniach na wszystkich polowaniach i wysnuwała logiczne argumenty w rozmowie z wikarym, aż biedny człowiek sam nie wiedział, co mówił na początku. Powinna była urodzić się chłopcem.

To by wyjaśniało jej zdolności do włamań i skakania po dachach.

- A co z lady Kathryn?

- Była raczej podobna do matki, córki wikarego. To bardzo spokojna, dobrze wychowana dziewczyna. Zawsze żyła w cieniu siostry... usiłowała wyciągać ją z tarapatów. Słodkie dziecko, lecz trudno było ją zauważyć... Kristine mówiła za nie obie. - Lady Steed wzięła srebrne szczypczyki i włożyła kostkę cukru do swej herbaty. - Ludzie sporo o nich mówili, narzekali na sposób, w jaki są wychowywane. Lecz to nie były złe dziewczyny, choć Kristine miała zadziwiającą zdolność do ściągania na siebie kłopotów. Najprawdopodobniej uciekła z pierwszym mężczyzną, jaki się jej nadarzył lub zatrudniła się w teatrze, albo zrobiła coś równie głupiego i nieodpowiedzialnego.

Lucien zmarszczył brwi.

- Czy naprawdę uważasz, że mogłaby zostać aktorką? Starsza dama zachichotała.

- Wątpię, czy nawet Kristine stać na taką lekkomyślność, lecz była naprawdę doskonałą aktorką. Ona i Kathryn występowały w lokalnym teatryku wraz z innymi młodymi ludźmi z okolicy. Odniosły wyjątkowy sukces w *Komedii omyłek*.

Lucien uśmiechnął się do swych myśli.

- Rzadko kiedy widuje się w tej sztuce prawdziwe bliźniaczki. Najprawdopodobniej Kristine była Sebastianem, a Kathryn Viola.

- Tak, i była oszałamiającym młodzieńcem. Nic dziwnego, że Oliwia postradała dla niego rozum. - Księżna ostrożnie piła herbatę małymi łyżkami. - Jedno jest pewne: ta dziewczyna potrzebuje silnego mężczyzny w życiu. - Po chwili zastanowienia dodała: - I w łóżku.

Lucien uśmiechnął się szeroko. - Chyba ciocia nie myśli, że jest jeszcze w stanie mnie zaszokować? Ciociu Josie, naprawdę zależy mi na tych informacjach... Czy wiesz może, gdzie obecnie przebywają bliźniaczki?

- Wyjechały z Westmoreland po tym, jak ich ojciec zmarł, a majątek został sprzedany. Pojechały do ciotki, do Londynu.

- Lady Steed zacisnęła usta. - Markland zostawił je bez grosza. Nic, nawet największy urok osobisty, nie jest w stanie zastąpić posagu.

- Czy któraś z nich nie ma na imię Jane, na drugie imię?

- W rzeczy samej obie mają. Jeśli się nie mylę, to jedna jest Kathryn Jane Anne, a druga Kristine Jane Alice. Markland prawdopodobnie poprosił na matkę chrzestną swą siostrę, a gdy urodziły się bliźniaczki, nie chciał już tego odwoływać. - Wzruszyła ramionami. - Może rodzice uważali, że siostry wszystko powinny mieć jednakowe?

Lucien pamiętał, jak „Cassie James” zaklinała się, że naprawdę ma na imię Jane. Więc przynajmniej w tym wypadku nie kłamała. Ta mała wiedźma miała doprawdy isticie diabelskie poczucie humoru. Ale to, oczywiście, wiedział już od dawna.

Jego rozważania przerwał głos lady Steed.

- Bliźniaki to doprawdy zadziwiające zjawisko. Jako małe dzieci często tworzą własny język, zrozumiały tylko dla nich. - Widząc wyraz twarzy Luciena spuściła wzrok. - Ale to już, naturalnie, wiesz. Tak czy inaczej, dziewczęta Traversów wymyśliły dla siebie specjalne przezwiska. Zauważyłam to przysłuchując się ich pogawędkom.

- Czy może pamiętasz, jak brzmiały?

- Jeśli się nie mylę, „Kit” i „Kara”. - Księżna zagryzła usta.

- Nie, nie tak. Kira... otóż to. Kit i Kira. Lucien nie potrafił ukryć zainteresowania.

- Która była która? Dźwięki są podobne, więc prawdziwe imiona i przezwiska mogą być ustawione w różnej kombinacji.

- Kit to zazwyczaj zdrobnienie od Kathryn, ale to niemożliwe... to Kit zawsze trajkotała. Więc wychodzi na to, że Kit to Kristine.

- Tak, Kit to także zdrobnienie od Kristine - rzekł Lucien. Kiedy spotkał ją po raz

pierwszy, po polowaniu w posiadłości Rafe'a, przedstawiła się jako Kitty. Na pewno była to automatyczna reakcja dziewczyny myślącej o sobie jako o Kit. Właściwie powiedziała: „Kit... Kitty”, jakby chciała sprawiać wrażenie, że się jąka. - A więc to Kathryn jest Kirą.

Kiedy sprawa imion została już wyjaśniona, zajął się inną, o wiele ważniejszą.

- Czy któraś z dziewcząt miała wielbicieli?

- Nikogo poważnego. Wszyscy w Westmoreland wiedzieli, że nie mają grosza przy duszy, więc nie były uważane za odpowiednie partie. Och, wielu mężczyzn flirtowało z Kristine, a i ona nie była od nich lepsza. Anne Milton mówiła mi kiedyś, że pewien wdowiec uważał, iż Kathryn byłaby doskonałą macochą dla piątki jego dzieci, lecz nigdy nie słyszałam o niczym poważniejszym.

Uśmiechnął się do ciotki ze szczerą sympatią.

- Jeżeli ty o tym nie słyszałaś, to znaczy, że się nie wydarzyło. Nigdy nie przestanie mnie dziwić, jak wiele wiesz.

Przechyliła głowę i spojrzała na Luciena spod oka.

- Odpowiedziałam już na wszystkie twoje pytania, ale nie sądzę, że ty mi zdradzisz, co też knujesz tym razem?

- Czy wystarczy, jeżeli powiem, że zastanawiałem się nad tym, czy mam do czynienia z dwiema kobietami, czy też tylko z jedną? - Wstał. - Dziękuję, że potwierdziłaś, iż panny Travers w istocie są bliźniaczkami. Jestem twoim dłużnikiem.

- Możesz mi się odwdzięczyć prosząc je, by odwiedziły mnie w Londynie - odparła szczerze. - Nieważne, czy razem czy oddzielnie. Bardzo chętnie odnowię z nimi znajomość.

- Nie omieszka - obiecał i wyszedł.

Przekazanie prośby ciotki będzie dla niego doskonałym pretekstem do odwiedzenia lady Kathryn. Może i nie będzie zachwycona jego widokiem, lecz to ona była najpewniejszym źródłem informacji o Kristine.

Chcąc rozprostować nogi odprawił powóz i ruszył pieszo. Nie przestawał myśleć o Kristine, a właściwie o Kit. Powtarzał w myślach to imię, aż doszedł do wniosku, że pasuje do niej doskonale. Miał tylko nadzieję, że dziewczyna nie ma jeszcze tuzina innych imion, gdyż i tak już zaczynał się gubić w tym wszystkim.

Choć wreszcie jego poszukiwania posunęły się znacząco do przodu, czuł dziwny niepokój i nie miał pojęcia dlaczego. Podejrzewał, że nie odzyska równowagi ducha, dopóki wreszcie raz na zawsze nie odnajdzie Kit.



Następnym jego posunięciem były odwiedziny u bardzo poprawnej lady Kathryn Travers. Od lady Graham dowiedział się, gdzie mieszka i po południu wybrał się z wizytą do domu znajdującego się w pół drogi między Soho a Maifair. Drzwi otworzyła zażywna pokojówka. Uniosła brwi, kiedy podał jej wizytówkę.

- Wielkie nieba, toż to jakiś książę!

- Niestety nie - odparł grobowo. - Tylko hrabia. Czy lady Kathryn jest w domu?

- Jeżeli nie ma jej dla pana, to znaczy, że brak jej rozumu - rzekła poważnie pokojówka, prowadząc gościa.

Po kilku minutach do salonu weszła lady Kathryn; jej mina nie wróżyła nic dobrego.

- A już miałam nadzieję, że nigdy więcej pana nie zobaczę, hrabio. - Nawet nie poprosiła, by usiadł. - Nie wydaje mi się, abyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

- Może i nie, ale na pewno jestem pani winien pokorne przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie. Czy mam paść na kolana? - poruszył się tak, jakby za chwilę naprawdę miał paść przed nią na kolana.

- Niech pan nie będzie niemądry - rzekła z irytacją. - Szkoda pracy pańskiego krawca. Podejrzewam, że przemyślał pan całą sprawę i doszedł do wniosku, że mówiłam prawdę?

- Tak, a poza tym rozmawiałem z moją ciotką, księżną wdową Steed. Na twarzy dziewczyny zagościł niepokój.

- Nie wiedziałam, że lady Steed jest pańską ciotką.

- Właściwie cioteczną babką. Prosiła, bym namówił panią do odwiedzenia jej. Bardzo chętnie zobaczy ponownie panią i jej siostrę.

Zanim Kathryn miała okazję odpowiedzieć, do salonu wmaszerował duży kocur i zaczął się ocierać o nogi gościa pozostawiając kłęby sierści. Spojrzawszy w dół, Lucien zobaczył, że kot właśnie wbija pazury w jego świeżo wypolerowane buty.

- Powinienem był jednak paść przed panią na kolana. Zanim ta kicia się ze mną upora i tak robota krawca pójdzie na marne.

Kathryn straciła nieco ze swej wystudiowanej godności, kiedy rzuciła się, by porwać kota z podłogi. Nie zważając na protesty zwierzaka, wyniosła go z salonu.

- Bardzo przepraszam, hrabio. Jak wszystkie koty, Sebastian instynktownie włązi tam, gdzie go nie proszą.

- Założę się, że pani siostra Kristine ma kota, którego nazwała Viola.

Dziewczyna zeszywniała.

- Skąd pan wie?

- Nie wiem - odrzekł łagodnie - Zażartowałem tylko, wyciągając wnioski z tego, co opowiadała mi ciotka Josephine. Mówiła, że często występowałyście panie razem w sztukach Szekspira, w których była mowa o bliźniętach.

Lady Kathryn nieznacznie się odprężyła.

- Miałyśmy do tego wyjątkowe predyspozycje. A jeżeli chodzi o koty, to dostałyśmy kociaki z tego samego miotu. Ponieważ ona nazwała swą kotkę Viola, mój kocur został automatycznie Sebastianem.

Z zadowoleniem zauważył, że dziewczyna mięknie.

- Muszę się przyznać, że głównym powodem mojej wizyty jest troska o Kristine - wyjaśnił. - Obawiam się, że pani siostra może mieć poważne kłopoty.

- Nie rozumiem. - Jej oczy zwięzły się w dwie szparki. Dysponowała całym repertuarem min wyrażających nieufność.

- Kiedy poznałem Kristine, była zamieszana w... podejrzone i nie całkiem zgodne z prawem przedsięwzięcia - rzekł, ostrożnie dobierając słowa. - Nie sądzę, że jest kryminalistką w potocznym tego słowa znaczeniu, obawiam się jednak, że może być zamieszana w coś bardzo groźnego. Kathryn westchnęła ciężko.

- Z pewnością ma pan rację, lecz czego oczekuje pan ode mnie?

- Rozumiem, dlaczego nie chce pani mi powiedzieć, gdzie mieszka pani siostra, ale błagam, niech jej pani przekaże wiadomość ode mnie. - Prosił coraz natarczywiej. - Niezależnie od tego, w jakie wpadłaby tarapaty, uważam, że jestem w stanie jej pomóc.

W szarych oczach Kathryn błyszczał chłód.

- Czy jest pan jednym z jej kochanków?

A więc potrafiła być równie otwarta, jak siostra.

- Nie jestem - odparł spokojnie Lucien. - Przyznam się, że wolałbym, aby było inaczej, ale teraz najbardziej martwię się o jej bezpieczeństwo. Obawiam się, że zapuściła się na głębsze wody, niż się jej to wydaje.

- Naprawdę chciałabym panu pomóc, lordzie Strathmore, lecz nie mam pojęcia, gdzie jest Kristine. Niech mi pan uwierzy, że także umieram z niepokoju.

W jej słowach dzwięczała prawda, i Lucien zrozumiał, że dziewczyna, tak samo jak on, martwi się o Kristine.

- Niech się pani wybierze ze mną na przejażdżkę. Dzień bardziej przypomina wrześnieiowy niż grudniowy, a świeże powietrze dobrze pani robi. - Zawahała się, więc dodał: - Jakim mogę być zagrożeniem, kiedy będę miał ręce zajęte lejcami?

Drobna iskierka świadcząca o rozbawieniu na chwilę zabłysła w jej oczach.

- Dobry argument. Proszę poczekać, wezmę tylko kapelusz i płaszcz.

Zgodnie z jego przewidywaniami, obie części garderoby były z grubego ciemnego i praktycznego materiału. Choć lady Kathryn uważała, że nie sprostają pracy guwernantki, z pewnością ubierała się tak, jakby pracowała w tym zawodzie od lat. Lucien był zafascynowany tym, jak bardzo jest podobna do siostry, a zarazem tak inna.

Jakby czytając w jego myślach, dziewczyna powiedziała spokojnie:

- Gdyby Kristine miała na sobie dokładnie to samo ubranie, wyglądałaby w nim olśniewająco i tak modnie, że oglądałby się za nią każdy mężczyzna. Powiedziała mi kiedyś, że dobra aktorka powinna potrafić przejść się ulicą i być zauważona przez każdego przechodnia, albo iść tą samą ulicą przez nikogo nie widziana. Ona potrafi i jedno, i drugie. - Kathryn uśmiechnęła się ironicznie. - Kiedy moja siostra nie chce być zauważana, udaje mnie. Wtedy nikt nie zwraca na nią uwagi.

- Z pewnością działa to i w drugą stronę. - Lucien pomógł jej wsiąść do dwukółki. - Jeżeli pani chce być zauważana, musi pani tylko iść ulicą i udawać Kristine.

Dziewczyna usiadła i starannie wygładziła spódnice.

- Nie chciałabym za żadne skarby ściągać na siebie tak wulgarnej uwagi.

Obserwował ją kątem oka, gdy jechali przez ciasne uliczki Londynu. Siedziała spokojnie obok niego, najwyraźniej nie czując potrzeby wypełniania ciszy pogaduszkami. Choć zachowywała się z o wiele większą rezerwą niż jej siostra, obie miały ten sam urok. I ten sam cudowny, łapiący za serce profil. Lucien znów zapragnął ujrzeć Kit.

Kiedy dojechali do w miarę spokojnego parku, zapytał:

- Czy nigdy nie miała pani pretensji do siostry, że to ona oczarowuje wszystkich?

- Jak można mieć pretensje do słońca o to, że świeci? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Poza tym Kristine lubiła znajdować się w centrum uwagi, a ja nie. Nie było między nami żadnego współzawodnictwa.

- Nigdy? - zapytał sceptycznie.

- Nigdy. - Spojrzała na niego zaskoczona. - Nie wiem, czy ktoś, kto nie ma brata bliźniaka, lub siostry bliźniaczki, potrafi to zrozumieć. Ponieważ jesteśmy tak bardzo do siebie podobne, komplement pod jej adresem cieszy mnie tak samo, jakby ktoś skierował go do mnie. Zawsze bardzo się cieszyłam z jej osiągnięć.

Zdawało się, że mówi szczerze, lecz Lucien nadal miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. Z pewnością bywały chwile, kiedy i Kathryn marzyła o uwadze zwróconej tylko na nią.

- Choć bywa i na odwrót - kontynuowała dziewczyna. - Kiedyś pewien nadęty wdowiec chciał pojąć mnie za żonę i zaklinał się na wszystkie świętości, że jestem o wiele ładniejsza od Kristine. Nawet gdyby nie było to oczywistą bzdurą, i tak byłabym wściekła. Jak śmiało przypuszczać, że cieszyłabym się z komplementu uczynionego kosztem mojej siostry.

- To faktycznie nie było najzręczniejsze z jego strony - zgodził się Lucien. - Choć przecież mogło być prawdą, że staruszek uważał panią za bardziej atrakcyjną niż pani siostrę. Piękno słońca nie przyćmiewa urody księżyca.

Spojrzała na niego lekko wystraszona, po czym spuściła wzrok na swe dłonie w rękawiczkach.

- Potrafi pan prawić komplementy, hrabio.

- To prawda. Ale to wcale nie znaczy, że nie mówię prawdy, tak jak przed chwilą.

Nagle dziewczyna wybuchnęła śmiechem i Lucien miał wrażenie, że to Kit siedzi obok niego - roześmiana Kit z oczyma błyszczącymi przekornym blaskiem. Odruchowo zacisnęła dłonie na lejcach, tak że aż konie zareagowały, po czym przypomniał sobie, że to nie tej pragnie.

Lecz choć ta nie posiadała wspaniałej zmysłowości siostry, pod powierzchnią dobrze ułożonej panienki kryła się w niej niezwykła pasja. Bogu dzięki, należała do tego typu przyzwoitych dam, które mężczyzna ma prawo adorować, lecz nie uwodzić. W przeciwnym wypadku Kathryn stanowiłaby pokusę, a jego życie i bez tego było dostatecznie skomplikowane.

Kit to co innego. Odrzuciwszy z pełną świadomością konwencjonalną moralność, była znawczynią gry. Jeżeli... Nie „jeżeli”. Kiedy zostaną kochankami, to na zasadzie równości.

A jednak nadal zwracał uwagę na siedzącą obok niego kobietę. Uśmiechając się pod nosem, powiedział sobie, że dobrze, iż Kathryn ma dość silną prawą rękę i wie, jak jej używać. Nie, przecież to prawy policzek go piekł, musiała więc uderzyć lewą.

- Kira, czy pani i Kristine obie jesteście leworęczne? - zapytał z czystej ciekawości.

Wrogość na nowo obudziła się w dziewczynie.

- Dlaczego nazwał mnie pan Kirą?

- Ciotka powiedział mi, że pani i pani siostra nazywałyście siebie nawzajem Kit i Kira. Kira bardzo mi się podoba.

- Lady Steed ma dobrą pamięć - odrzekła. - Lecz używałyśmy tych imion tylko między sobą. Dziwnie jest słyszeć „Kira” w ustach kogoś obcego. - Przepraszam - odparł potulnie. - Zarezerwuję dla siebie „Kathryn”, jeśli mi pani pozwoli.

- Lady Kathryn, bardzo proszę. Nie znamy się jeszcze aż tak dobrze.

- Jeszcze.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie jestem Kristine, hrabio, i wcale mi się nie podoba, że używa mnie pan jako narzędzia, by ją odnaleźć.

Te słowa sprawiły mu dziwny ból. Zatrzymał konie na skraju ścieżki, by skupić na dziewczynie całą uwagę.

- To prawda, że bardzo chcę odnaleźć pani siostrę, i to zarówno z egoistycznych, jak i całkiem niewinnych powodów. Lecz pani jest wyjątkowo intrygującą kobietą. Myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, gdyby tylko pani na to pozwoliła, a nie siedziała najeżona w kacie, niczym osaczony ryś.

Uciekła spojrzeniem w bok.

- Przepraszam, jeśli zachowuję się nieuprzejmie. Fakt, że mój ojciec był niewartym zaufania wałkoniem, sprawił, że jestem wyjątkowo podejrzliwa, jeżeli chodzi o męskie intencje.

- Zapewniam panią, że nie mam żadnych niecznych intencji, a rozmowa z panią i tak sprawiałaby mi ogromną przyjemność, nawet gdyby nie miała pani czarującej siostry. Czy jest pani skłonna uznać to za podstawy przyjaźni?

- Może... może i tak - odrzekła niepewnie. - Ale nie jestem pewna, czy zależy mi na pańskiej przyjaźni.

- Jest pani twardą kobietą, lady Kathryn.

- I wolę, by tak to pozostało, hrabio. - Chcąc zmienić temat, zapytała nagle: - Czy ma pan brata?

- Nie. - Tym razem to Lucien poczuł się niepewnie. Podciął konie, może trochę za ostro. - Miałem siostrę, lecz umarła bardzo młodo.

- Och... tak mi przykro. - W jej głosie zabrzmiało szczere współczucie. - Rodzeństwo może być najlepszym sprzymierzeńcem w walce z przeciwnościami losu. Nikt inny nie potrafi tak nas zrozumieć.

- W Eton zaadoptowałem trzech braci i nigdy mnie nie zawiedli - powiedział żartem, choć myślał o tym bardzo serio.

Westchnęła. - Rodzina, którą można sobie wybrać, na pewno spełnia więcej oczekiwań niż ta, którą się dziedziczy.

- Najczęściej tak, lecz kiedy przychodzi do problemów, są one równie bolesne, co z prawdziwymi krewnymi. - Przypomniał sobie kłopoty, jakich przysporzył mu Michael zeszej

wiosny. - Ponieważ zna pani Kristine lepiej niż ktokolwiek inny, może pani wie, gdzie mógłbym jej szukać? Mam podstawy, by podejrzewać, że mieszka, gdzieś w Soho.

- Kiedyś miała tam mieszkanie, lecz już dawno je sprzedała', - odrzekła Kathryn. - Jeśli się nie mylę, przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie występować, więc być może wyjechała z Londynu. - Spojrzała na niego nieprzeniknionym wzrokiem. - Jeżeli dowie się pan czegokolwiek, czy da mi pan znać?

- Chciałem prosić panią o to samo. Podejrzewam, że jeśli Kristine z kimś się skontaktuje, to raczej z panią.

Kathryn przyglądała się swym dłoniom, mocno zaciśniętym na kolanach.

- Nie jesteśmy już tak blisko jak kiedyś. Nie spodziewam się wiadomości od niej, choć bardzo by mnie ucieszyła.

Pomyślał o więzi łączącej bliźniaczki i serce mu się kroilo na myśl o samotności Kathryn. Musiało jej być ciężko żyć na utrzymaniu niezależnej ciotki, z dala od siostry, która była zarazem jej najbliższą przyjaciółką. A jeszcze gorsze musiało być dla niej poczucie, że siostra wcale się nią nie przejmuje.

Doszedłszy do wniosku, że jak na jeden dzień i tak wystarczająco zasmucił swą towarzyszkę, zaczął rozprawiać o literaturze. W drodze powrotnej lady Kathryn odprężyła się trochę, a jej złośliwe poczucie humoru bawiło Luciena.

Doszedł do wniosku, że Kathryn jest równie enigmatyczna, jak jej siostra. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że jest także równie czarująca. Chciał rozdmuchać tę drobną iskierkę namiętności w prawdziwy płomień. Chciał całować ją i dodać jej pewności siebie. Chciał, by śmiała się z nim bez żadnego skrepowania, chciał...

Do wszystkich diabłów! Sam nie wiedział, czego chciał! Nie, to też nie było prawdą. Pragnął Kit, a w ślepej desperacji przerzucił to pragnienie na jej siostrę. Oczywiście, były do siebie bardzo podobne, lecz Luciena najbardziej pociągało to, czym się różniły. Obie były indywidualnościami, każda z nich miała własne marzenia i obawy.

Poza tym, jak na gust Luciena, Kathryn była stanowczo zbyt spokojna. Powtarzał to sobie - aż do znudzenia.

W domu wrócił mu zdrowy rozsądek. Musiał odnaleźć Kristine, zanim zupełnie straci głowę. Niestety następna nadzieja na jej odnalezienie spaliła na panewce. Nie był ani o centymetr bliżej odnalezienia pięknej lady Nemezis niż przed spotkaniem z Kathryn.

## ***Interludium***

*Czekała na niego w drzwiach. W chwili gdy przekroczył próg, smagnęła go batem przez plecy. Odwrócił się na pięcie, zaskoczony i podniecony. Tego wieczoru miała na sobie dziewiczą biel, niczym niewinna dziewczyna, którą nie była. Biały welon przykrywał sztuczną blond perukę. Satynowa koszulka sięgała tylko do połowy ud i odsłaniała długie nogi odziane w czarne koronkowe pończochy i buty na wysokich obcasach.*

*- Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie, pani - wydyszał.*

*- Milczeć! - Przeciagnęła się zmysłowo, tak że biała satyna, napięła się na pełnych piersiach. - Oczywiście, że jestem piękna, lecz nie dla takich jak ty, niewolniku. Nie wolno ci mnie dotykać. Nie wolno ci na mnie patrzeć. Nie wolno ci nawet o mnie myśleć.*

*- Jesteś okrutna, pani - wyjęczał. - Nie potrafię przestać o tobie myśleć, ani o przyjemności, z jaką tobie służę.*

*Omam nie udławiła się gulą, która urosła jej w gardle. Kiedy zapanowała nad głosem, krzyknęła:*

*- Ty bezczelna świni! Musisz zostać ukarany za nieposłuszeństwo. Chodź do lochu.*

*Pospiesznie wykonał rozkaz, tylko na chwilę zatrzymując się przy okrutnej małej zabawce mechanicznej. Uderzyła go batem po wierzchu dłoni i kazala iść dalej.*

*Pośrodku wykładanej kamieniami komnaty stała drewniana rama. Starając się dotykać mężczyzny jak najmniej, przywiązała go za kostki i nadgarstki do ramy, tak że leżał rozciągnięty na drewnie.*

*Potem uniosła najtwardszy bat, jaki miała, i korzystając z niego zdarta z mężczyzny ubranie. Niezliczone godziny ćwiczeń uczyniły z niej mistrzynię. Wiedziała dokładnie, ile siły potrzeba, by rozerwać cienki materiał, ile, by zadrapać skórę... jak ją przeciąć i czekać, aż zacznie spływać krew. Wkrótce spod strzępów jego ubrania ukazało się spocone ciało. Białe skrawki materiału poprzecinane były szkarłatnymi pręgami.*

*Z wyrachowaniem obserwowała członek nabrzmiewający pod cienkim materiałem spodni. Im bardziej zdzierala z mężczyzny ubranie, tym bardziej wiercił się i błagał o spełnienie.*

*Gdy był zupełnie nagi, po raz ostatni uderzyła go batem przez pośladki. Z doświadczenia wiedziała, że to doprowadzi go do orgazmu. Wydał przeciągły zwierzęcy skowyt i mocno pracując biodrami wypuścił białą fontannę nasienia. Potem cała energia uszła z jego ciała i zawisł bezwładnie na drewnianej ramie. Tylko ciężkie unoszenie się piersi wskazywało na to, że w ogóle jeszcze żyje.*

*Zacisnęła dłoń na bacie zastanawiając się, jak długo by umierał, gdyby przyłożyła mu do krtani rękojeść i mocno przycisnęła. Morderczy instynkt był tak silny, że poczuła w ustach gorzki smak Jego twarz przybrałaby odcień purpury, a kiedy zdałby sobie sprawę, że tym razem to nie są żarty, zacząłby się wyrywać, lecz nie miałby już ucieczki.*

*Pospiesznie, walcząc z tym pragnieniem, odwróciła się na pięcie i wybiegła z lochu.*



Kit obudziła się z krzykiem i palcami wplątanymi w prześcieradło. Przeżrana, spojrzała w świetle wczesnego poranka na swe dłonie. Spodziewała się zobaczyć na nich krwawe ślady, lecz niczego podobnego tam nie było. Nikogo nie zamordowała. To tylko jeszcze jeden koszmary sen.

Nawiedzające ją koszmary stawały się coraz częstsze, każdy następny okropniejszy i bardziej przerażający, lecz po raz pierwszy śniła o morderstwie. Usiłowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów, ale były zbyt zamazane - gniewem, a może przerażeniem? - zbyt nierozpoznawalne.

Pospiesznie wyskoczyła z łóżka i podeszła do komody w kącie pokoju. Przełamawszy cienką pokrywę lodu na dzbanku z wodą, ochlapała sobie twarz. Czuła się niczym lady Makbeth, gorączkowo pragnąca się obmyć.

Wytarła twarz i usiłowała przypomnieć sobie więcej szczegółów ze snu, lecz widziała tylko urywki, żadnych konkretów. Ubrała się i właśnie czesała włosy, kiedy przed jej oczyma pojawił się wyraźny obraz. Była to nieprzyzwoicie ubrana kobieta chłuszcząca nagie pośladki mężczyzny.

Dopiero po chwili zorientowała się, że widzi nie prawdziwych ludzi, lecz mechaniczne figurki, wykonane z ogromną perfekcją. Nawet szkarłatne pręgi na ciele mężczyzny były bardzo wyraźne. Brzęcząca barokowa melodyjka akompaniowała wznoszącemu się równomiernie biczowi. Widziała pozytywkę - obsceniczną, pomyslową pozytywkę, której widok przyprawiał o mdłości. Strathmore robił mechaniczne zabawki. Czy człowiek, który stworzył pingwina robiącego salta do tyłu, mógł także być twórcą takiego obscenicznego okropieństwa? Powiedziała sobie, że musi być jeszcze ktoś inny, kto potrafi robić mechaniczne zabawki... lecz wiedziała tylko o Lucienie. Poza tym był Hellionem, więc jednym z jej podejrzanych.

Nieraz miała ochotę wyjawić mu całą prawdę i błagać o pomoc, gdyż jemu o wiele łatwiej byłoby osiągnąć cel niż jej. Wizja, którą przed chwilą miała, przypomniła jej raz jeszcze, że nie powinna mu ufać, bez względu na to, jak bardzo tego chciała.

Z ulgą powitała pukanie do drzwi. Gościem z pewnością był Henry Jones, który wczoraj przysłał jej liścik z prośbą o wczesne spotkanie. Z rozpuszczonymi włosami pobiegła do drzwi.

- Czy zdołał się pan czegoś dowiedzieć?

- Ma panienska wiele szczęścia, moja kochana. Większość z pani przyjaciół,

Hellionów, będzie spędzać parę dni w Blackwell Abbey, posiadłości Mace'a.

Wzięła od niego płaszcz.

- Czy to będzie spotkanie tylko członków klubu?

- Nie tym razem. Harfordowie tradycyjnie krótko przed Bożym Narodzeniem wydają bal maskowy. Podejrzewam, że daje im to szansę na pochwalenie się majątkiem przed biedniejszymi sąsiadami. Z tego, co wiem, obecna będzie połowa okolicy. Blackwell Abbey jest ogromną posiadłością, spodziewam się więc wielkiej liczby gości i jeszcze większej służących. - Usiadł z westchnieniem przy stole i z wdzięcznością wziął od swej gospodyni filiżankę parującej herbaty. - Dziękuję, moja kochana. Nie ma to jak filiżanka mocnej herbaty po całej nocy włóczenia się po Londynie.

Dziewczyna nalała również sobie herbaty, po czym usiadła naprzeciw gościa. Była zamyślona.

- W taki tłum łatwo będzie się wtopić.

- Czy zechce mi panienka powiedzieć, co chodzi jej po tej ślicznej główce? - zapytał Jones ponuro.

- Myślę, że to Roderick Harford jest mężczyzną, którego szukamy. Jeżeli spotkam go raz jeszcze, będę już wiedziała na pewno.

- Dlaczego w takim razie nie pójdzie panienka prosto do jego domu i nie zapyta go wprost, czy jest łotrem, którego szukamy? - zapytał sarkastycznie Jones. - Zastanawiałam się nad tym, lecz to nie jest najlepszy pomysł - odrzekła bardzo poważnie. - To mogłoby być bardzo niebezpieczne. I to nie tylko dla mnie.

Jones bawił się pustą filiżanką.

- Minęły już całe tygodnie. Czy zastanawiała się panienka, że może jest już... za późno?

- Nie jest za późno! - odparła z przekonaniem dziewczyna.

- Jestem tego równie pewna, jak tego, że siedzę tu teraz z panem. A jednak, gdy przypomniła sobie swój sen, zrozumiała z przerażającą pewnością, że czas ucieka nieubłaganie.

Choć Kit stała się już ekspertką w infiltrowaniu rezydencji bogaczy, tym razem nie potrzebowała swych zadziwiających zdolności. Z kryjówki na tarasie obserwowała gości tańczących w sali balowej Blackwell Abbey. Najwyraźniej było to wielkie święto dla okolicznej szlachty.

Pomimo późnojesiennego chłodu, pary rozgrzane tańcem - lub czym innym - wychodziły na kamienny taras. Wszyscy nosili maski i domina, ogromne peleryny szyte na

wzór szat średniowiecznych księży.

Maski dawały gościom poczucie anonimowości, więc wśród śmiechu i rozmów rozbrzmiewały frywolne dowcipy i uwagi. Większość gości wracała do sali balowej wymieniwszy kilka pocałunków, lecz ci, w których żyłach płynęła gorętsza krew, opuszczali taras szukając intymności między wielkimi drzewami ciemnego ogrodu. Kit zastanawiała się, czy dla tych kilku chwil rozkoszy warto się narażać na zapalenie płuc.

Około północy, kiedy szampan i tańce już odpowiednio podziały na gości, Kit zdjęła z ramion koc i zręcznie zeskoczyła z murku wprost na taras. Rzuciła koc na kamienną posadzkę; uznała, że nawet jeżeli ktoś go tu znajdzie, pomyśli, iż służył którejś z par dla ochrony przed chłodem nocy.

Wstrząsnęła połamami ciemnogrnatowej peleryny i sprawdzwszy, czy dopasowana kolorem maska trzyma się na miejscu, przypomniała sobie dziewczynę, którą miała tej nocy odegrać - doświadczoną, pewną siebie i wyzywającą. Postąpiła jeszcze chwilę na tarasie; lekki nocny wietrzyk rozwiewał pelerynę dokoła jej kostek. Wiedziała, że wygląda dokładnie tak samo, jak wiele obecnych kobiet. A jednak wkraczając do sali czuła się równie niepewnie, jak Daniel wchodzący do jaskini lwa. Zatrzymała się niedaleko drzwi wiodących na taras i machając wachlarzem przed twarzą, obserwowała otoczenie.

Wszystko było tak, jak się tego spodziewała: gorąco, duszno, głośnie muzyka mieszała się z gwarem rozmów i szelestem wirującego jedwabiu. Większość gości miała czarne peleryny, lecz niektórzy włożyli domina w innych barwach, co dawało wspaniały efekt kolorystyczny. Na środku sali tańczyło sporo par, podczas gdy inni flirtowali przy ścianach. Jedzenie i napoje wystawiono na stołach w sąsiednim pomieszczeniu, a gdzieś nie opodal znajdował się zapewne pokój dla muzykantów.

Na szczęście Kit nie ściągnęła na siebie uwagi. Szukała w tłumie Strathmore'a; na pewno gdzieś tu był. Nietrudno było go zauważyć, gdyż ani peleryna, ani maska nie zdołały ukryć jego wzrostu i złotych włosów. Tańczył właśnie z kobietą, której rozwiana peleryna odsłaniała oszałamiającą szkarłatną suknię i równie oszałamiającą figurę.

Właśnie takim ladacznicom mężczyźni nie potrafią się oprzeć, pomyślała zjadliwie Kit. Peleryna, maska i ubranie hrabiego uszyte były z czarnego materiału pierwszego gatunku; tylko biała koszula i blond włosy stanowiły jasne elementy w jego powierzchowności. Idealny portret Lucyfera na łowach. Kit rozpoznała go i natychmiast odeszła jak najdalej.

Wiele trudu ją kosztowało, by znaleźć przebranie, którego do tej pory nie widział. Nie potrafiła ukryć co prawda swego wzrostu, lecz tego wieczoru miała jasną perukę o złocistym

odcieniu, a jasnoblękitna suknia przylegała do łagodnie skorygowanej figury. Nie była to co prawda figura barmanki Sally, lecz i tak robiła duże wrażenie.

Zdecydowała się na błękitną kreację, gdyż ten kolor wydobywał odcień szafiru z jej zazwyczaj szarych oczu. Delikatne kosmetyczne zabiegi zmieniły nieco kształt jej ust i policzków. Namalowała również drobne linie na twarzy i mocno je przypudrowała. Wyglądała jak kobieta, która stara się sprawiać wrażenie o piętnaście lat młodszej. Nawet Strathmore da się na to nabrać. Ale tak czy inaczej, nie powinna ryzykować. O wiele trudniej niż Strathmore'a było jej odnaleźć w tłumie Rodericka Harforda. Szła właśnie przez salę rozglądając się za nim, kiedy zbliżył się do niej starszawy dżentelmen i zapytał uprzejmie:

- Królowo nocy, czy raczysz ze mną zatańczyć?

Odmowa mogłaby ściągnąć na nią niepotrzebną uwagę, zgodziła się więc z czarującym uśmiechem. Na szczęście taniec był wyjątkowo skoczny, co doprowadziło jej wiekowego partnera do niemal natychmiastowej zadyszki. Gdy orkiestra przestała grać, z trudem oddychając, zapytał ją, czy nie zechciałaby mu towarzyszyć do jadalni. Na to również się zgodziła, lecz wypiwszy kieliszek szampana uśmiechnęła się do nieznanego i znikła.

Zatańczyła z jeszcze jednym mężczyzną, który wyglądał jak Harford, lecz okazało się, że nim nie był, i z jeszcze jednym, lecz to także był fałszywy trop.

Po czterech następnych tańcach i dwóch kieliszkach szampana nadal ani na krok nie zbliżyła się do celu. Zaczęła się niepokoić, gdyż tłum właśnie zaczynał się przersedzać. Najwyraźniej okoliczni sąsiedzi woleli wracać do domu przed zachodem księżyca. Jeżeli nie uda się jej odnaleźć Harforda, taka szansa może się już więcej nie powtórzyć.

Właśnie zamierzała się udać do przyległego salonu, gdzie mężczyźni grali w karty, kiedy usłyszała jego głos. Odwróciwszy się na pięcie, zobaczyła go żegnającego się z grupką przyjaciół. Kiedy tylko został sam, podeszła do niego i szepnęła:

- Szukam dzielnego rycerza o lancy długiej i mocnej. Może ty nim jesteś?

Zaskoczony, milczał przez chwilę, po czym się uśmiechnął.

- W żadnej sypialni nie znajdziesz dzielniejszego ode mnie wojownika, moja pani.

Zatrzepotała prowokacyjnie wachlarzem przed twarzą.

- Więc zatańcz ze mną, panie rycerzu.

- Z wielką przyjemnością. - Pociągnął ją na parkiet właśnie w chwili, gdy orkiestra zaczęła grać walca. Jego oddech zdradzał, że tego wieczoru nie żałował sobie wina. Starając się nie myśleć o tym, jak usiłował ją zgwałcić, gdy udawała pokojówkę, wyszeptała: - Jakże się cieszę, że wszystkie słodkie i niewinne panienki zostały już zabrane do domu przez nadopiekuńcze mamusie. Cała ta ich niewinność robiła się już przytłaczająca. - Nie mogę się

nie zgodzić - odparł Harford. - Mój brat Mace uważa za rodzinny obowiązek zabawianie co roku okolicznej szlachty, więc zawsze ponad pół wieczoru spędzam tańcząc z pannicami, które przez resztę roku podpierają ściany. Lecz teraz ten obowiązek został ze mnie zdjęty, małe dziewczynki pojechały do domu i wreszcie możemy robić, co się nam żywnie podoba. Do końca nocy będą grane już tylko wyjątkowo długie walce. Przy nich o wiele łatwiej jest się zaznajomić, nieprawdaż?

- W rzeczy samej. - Poglądziła go po ramieniu koniuszkami palców. - Zawsze podobało mi się spotkanie nowych rycerzy.

Przyciągnął ją do siebie, dzieliła ich znacznie mniejsza odległość niż zwyczajowe dwanaście cali. Do końca tańca Kit prowokowała Harforda, a on zachowywał się zgodnie z jej przewidywaniami. Lecz jak się tego obawiała, w sali balowej było zbyt tłoczno, by mogła się upewnić, czy to właśnie jego szuka. Będzie musiała zaryzykować spotkanie sam na sam.

Orkiestra przestała grać. Ściskając znacząco dłoń partnera, Kit zapytała:

- Czy pokażesz mi wkrótce swą lancę? Spojrzał na jej dekolt z wyraźnym podziwem.

- Chodź ze mną do ogrodu, a zrobię to od razu.

- Jest zbyt zimno. - Skrzywiła się z niezadowoleniem.

- Podejrzewam, że znajdziemy gdzieś tu jakiś spokojny zakamarek, choć większość jest już zajęta. Mogłoby się to okazać nieco krepujące.

- Dlaczego zakamarek? Prawdziwy rycerz się nie spieszy... przecież o to właśnie chodzi w sztuce uwodzenia. - Zatrzepotała rękami mając w duchu nadzieję, że maska nie zepsuje całego efektu. - Czy nie możemy pójść do twojego pokoju i zrobić tego jak należy?

Zawahał się.

- Jestem tu jednym z gospodarzy, jeszcze trochę za wcześnie, bym wychodził na dobre.

Pogłaskała go po policzku złożonym wachlarzem.

- Może spotkamy się w twoim pokoju za jakąś godzinę?

- Doskonały pomysł. - Z wewnętrznej kieszeni kamizelki wyjął mały kluczyk. - Moje pokoje znajdują się w zachodnim skrzydle, ostatnie drzwi na lewo. Nie ma na nich wywieszanej wizytówki, ale i tak trudno ją przegapić. Może pójdziesz tam i poczekasz na mnie?

Cóż za niesamowity uśmiech losu! Wzięła od niego kluczyk i ostentacyjnie schowała za stanik sukni.

- Będiesz mógł go poszukać, kiedy przyjdiesz do mnie na , górę. - Delikatnie uderzyła go złożonym wachlarzem po grzbiecie dłoni. - Tylko nie zapomnij i nie

przyprowadź do pokoju innej kobiety, gdyż może się okazać, że będziesz musiał zabić smoka.

Roześmiał się i delikatnie pogłodził ją po plecach, gdy się odwracała. Z wielką ulgą opuściła salę. Jeżeli tylko dopisze jej szczęście, dowie się wszystkiego w jego pokoju. Będzie to o wiele prostsze niż czekanie na Harforda i potem wywijanie się z jego obleśnych uścisków. Choć przysięgała sobie, że zrobi wszystko, by dopiąć celu, myśl o pójściu do łóżka z wrogiem przyprawiała ją o mdłości.

Już niemal wychodziła z pokoju, gdy orkiestra zaczęła grać następnego walca. Tuż za nią głęboki znajomy głos powiedział:

- Czy mogę prosić panią do tańca?

Zanim zdołała zaprotestować, już była w ramionach hrabiego Strathmore'a.

No tak, mogłam się tego spodziewać. Kit nie była pewna, czy bardziej jest wściekła, czy przerażona. Mogliby się znaleźć sami na Saharze, a i tak prędzej czy później jakaś magiczna siła przyciągnęłaby ich ku sobie, niczym magnes. A jednak nic w jego twarzy nie wskazywało na to, że ją poznał, i tylko to miało znaczenie. Widział zaledwie mały fragment jej twarzy poniżej maski, a i on był zmieniony umiejętnym makijażem.

A jednak to wcale nie znaczyło, że jest bezpieczna. Wydeła usta i powiedziała z mocnym paryskim akcentem:

- Już wcześniej obiecałam ten taniec innemu dżentelmenowi.

- Więc kiedy ten szczęśliwiec nas odnajdzie, ustąpię bez sprzeciwu - odparł Strathmore płynną francuszczyzną. - Lecz zanim to nastąpi, nie marnujmy dobrej muzyki.

Ponieważ nie wypuścił jej z objęć, potulnie poszła za nim na parkiet, by odtańczyć walca - skandalicznego walca, którego większość londyńskiego towarzystwa uważała za taniec nieprzyzwoity i potępiała.

Była z hrabią w tak intymnych sytuacjach, że teraz walc wydał jej się czymś zupełnie niewinnym.

Miała wrażenie, że hrabia przygląda jej się z nadzwyczajną wnikliwością. Czyżby zaczął coś podejrzewać? Usiłowała odczytać coś z wyrazu jego twarzy, lecz zasłaniała ją czarna maska.

Udało im się idealnie zgrać kroki. Wcale nie zaskoczyło to Kit; od czasu ich pierwszego spotkania zawsze się doskonale z sobą zgrywali. Okrążali parkiet w milczeniu. Kit pomyślała z przerażeniem, iż powinna coś powiedzieć. Musiała zacząć rozmawiać, by stłumić budzącą się w niej namiętność. Bez zdejmowania dłoni z lewego ramienia partnera otworzyła wachlarz i zaczęła się nim chłodzić, gorączkowo starając się wymyślić jakiś neutralny temat rozmowy. Nie powinna była pić tyle szampana!

To on rozwiązał jej problem pytając:

- Czy kiedy młode Francuzki biorą lekcje walca, to czy uczy się je, jak się wachlować nie gubiąc przy tym kroku? Doprawdy interesująca sztuczka.

Roześmiała się wysokim, cienkim śmiechem, zupełnie niepodobnym do jej naturalnego.

- Francuzki znają mnóstwo interesujących sztuczek, monsieur.

- Zbyt późno się zorientowała, że ta uwaga przypomina niemoralny flirt, jakiego dopuściła się na Harfordzie.

- Doskonale. Tajemnicze, wszechstronnie uzdolnione kobiety zawsze bardzo mnie pociągały - odrzekł bezczelnie Strathmore.

Byli tak blisko siebie, że każdy ruch stał się dla Kit pieszczotą - delikatne ocieranie się piersi o jego tors, oddech hrabiego na jej skroni, kolano, które czuła na udzie, wszystko to przyprawiało ją o dreszcze.

Choć każdy kontakt był ulotny i leciutki, całościowy efekt był piorunujący i szalenie erotyczny. Chciała objąć go ze wszystkich sił, zamienić to delikatne drażnienie się w namiętny uścisk. Nagle wspomnienie kolacji w hotelu Clarendon wywołało gorący rumieniec na policzkach Kit. Pochyliła nieco głowę, dziękując Bogu, że Strathmore nie potrafi czytać w jej myślach.

- Tańczy pani wyjątkowo dobrze, madame - szepnął jej do ucha.

- Pan również, monsieur, lecz trzyma mnie pan zbyt blisko jak na wymogi przyzwoitości - odparła z delikatną wymówką w głosie.

Spróbowała odsunąć się nieco, lecz trzymał ją zbyt mocno.

- Przyzwoitość na balu maskowym po północy to coś zupełnie innego niż przyzwoitość w biały dzień w salonie królowej, madame. Niech się pani rozejrzy.

W rzeczy samej, wielu tancerzy było do siebie przytulonych o wiele bardziej niż ona i Stradimore. Lecz Kit mogłaby się założyć, że żaden inny mężczyzna nie ma takiego wpływu na kobiety jak Lucien... - Przypomina mi pani kogoś - odezwał się zamyślonym głosem. Kit poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

- Gzy to dobre, czy złe wspomnienie, monsieur?

- I jedno, i drugie. Wspaniała kobieta, lecz irytująco nieuchwytna. Była dokładnie pani wzrostu... - otarł się policzkiem o jej włosy - ... i równie cudownie było trzymać ją w ramionach...

- przytulił ją mocniej - ... i miała tyle wdzięku, co pani, madame.

- Pochylił się ku niej, co bardziej ją zaskoczyło, niż wystraszyło.

- Zastanawiam się, czy całuje pani równie cudownie jak ona. Zanim miał okazję to sprawdzić, odsunęła się i powiedziała lodowato:

- Tylko największy głupiec myśli, że prawi kobiecie komplement przyrównując ją do innej.

- Ma pani rację. Zazwyczaj zachowuję się wobec kobiet jak największy głupiec. - Uniósł jej dłoń i ucałował końce palców w rękawiczkach. - Proszę mi wybaczyć. Postaram się być nieco mądrzejszy.

- Nie sądzę, by tańczenie z panem było rozsądne, monsieur.



- A niby dlaczego dziś wieczór mamy zachowywać się rozsądnie? - Znów przyciągnął ją ku sobie. Poły jego peleryny zakryły ją niczym opiekuńcze skrzydła.

Dziewczyna wstrzymała oddech, tak bardzo poruszyło ją bijące od niego ciepło. Miała rację bojąc się milczenia; pozbawiona narzędzia walki w postaci słów, nie potrafiła mu się oprzeć.

Rozdarta między chęcią zostania w jego ramionach a poczuciem, że musi już iść, przyrzekła sobie, że odejdzie, gdy tylko skończy się ten taniec. Lecz orkiestra grała i grała, o wiele dłużej, niż zazwyczaj trwa walc, rozciągając magiczną sieć muzyki i pożądania. Wreszcie zapomniała na chwilę o szalonym strachu, który popędzał ją do działania przez ostatnie tygodnie. Przymknęła oczy i oparła policzek na ramieniu Luciena.

Ten taniec był dla niej aktem miłosnym, czuła się tak, jakby leżeli nadzy w pościeli... Wiedziała, że powinna mu się wyrwać, lecz nie potrafiła...

Okrażali salę; szeleszczące peleryny wirowały wokół nich niczym mgła... czarno - granatowa mgła...

Wreszcie - a jednak za wcześnie - orkiestra przestała grać. Zatrzymali się w pół obrotu pod ogromnym kryształowym kandelabrem. Ich oczy zdawały się złączone zaklęciem czarodzieja. W małych otworkach maski Kit zobaczyła, że oczy Luciena zmieniły się, przybrały jasnozłotą barwę żądz. Już знаła ten kolor.

Zastanawiając się, co hrabiemu zdradziły jej oczy, zmuszała się, żeby odejść.

- Dobranoc, monsieur - powiedziała ochryple, gdyż nagle zaschło jej w gardle.

Kiedy odwróciła się, złapał ją za nadgarstek.

- Nie odchodź - poprosił szeptem. - Albo raczej, pozwól mi pójść z tobą.

Wyszarpnęła mu dłoń.

- Przepraszam, ale mam już inne plany na resztę wieczoru. Kropla gorącego wosku ze świec na kandelabrze rozprysła się na jej policzku, lecz zanim zdążyła unieść dłoń, on delikatnie starł krzepnącą szybko kropelkę wosku i powiedział:

- Chodź ze mną. Teraz. Z pewnością twoje „inne plany” mogą poczekać godzinę lub dwie.

Mówił z cichą pewnością siebie mężczyzny, który wie, że po godzinie spędzonej z nim każda kobieta zapomni o wszelkich innych zobowiązaniach. Ale Kit miała przed sobą o wiele poważniejsze zadanie niż spędzenie paru upojnych chwil, nawet jeśli były bardzo kuszące. Potrząsnęła głową.

- Przepraszam, monsieur, ale honor mi zabrania. Może następnym razem.

W samą porę wyczuła, co hrabia chce zrobić. Zanim zdołał zdjąć jej maskę, uderzyła

go mocno wachlarzem w dłoń, łamiąc przy tym delikatne płytki z kości słoniowej i rozrywając koronkę.

- Niech pan nie próbuje zmieniać reguł gry, monsieur - rzuciła ze złością. - Intymność, która przed chwilą stała się naszym udziałem, nie byłaby możliwa, gdybyśmy nie nosili masek. Jeżeli ja panu nie wystarczam, to niechże pan idzie szukać damy, którą panu przypominam. Może ona bardziej będzie panu odpowiadać.

- Nie mogę się powstrzymać od myśli, że już ją znalazłem - powiedział cicho. - Choć wygląda inaczej, ma ten sam temperament. Czy jest możliwe, by istniała druga taka kobieta? Czy inna potrafiłaby wzbudzać takie pożądanie?

Do diabła! Tak się starała, a on był już prawie całkiem pewien jej tożsamości. Ale jeszcze nie całkiem; gdyby był pewien, już dawno wyprowadziłby ją z sali balowej do bardziej odosobnionego miejsca.

Kit przypomniała sobie, że najlepszą obroną jest atak. Wyrzuciła z siebie francuskie przekleństwo, którego nauczyła się od swojej pochodzącej z Paryża niańki, po czym odwróciła się do niego z takim impetem, że peleryna zawirowała.

- Staje się pan nudny, monsieur. Proszę więcej mnie nie nagabywać!

Kiedy odchodziła kręcąc biodrami w nienaturalny dla siebie sposób, czuła jego oczy wpatrzone w swe plecy. Całą siłą woli musiała powstrzymać się od przyspieszenia kroku. Tylko świadomość, że ucieczka potwierdziłaby jego podejrzenia, pozwoliła jej utrzymać równy i niespieszny krok.

Przyłączyła się do największej grupki pozostałej w sali i kiedy miała już pewność, że Strathmore stracił ją z oczu, wyslizgnęła się tylnymi drzwiami. Gdy znalazła się w holu, oparła się o ścianę drżąc na całym ciele. Jak mogła być tak głupia i pozwolić na to wszystko?! Powinna była odejść, kiedy tylko się do niej zbliżył. I jak długo z nim tańczyła? Harford zamierzał wrócić do swego pokoju za godzinę, a minęło już ponad pół. Nie miała czasu do stracenia.

Wbiegła po schodach, jakby ziemia paliła się jej pod stopami. Kilka razy zauważyła pary albo chowające się w zakamarkach korytarza, albo właśnie wchodzące do sypialni, lecz wszyscy byli zbyt zajęci sobą, by zwracać na nią uwagę.

Blackwell Abbey miało kształt litery „U”. W długim, słabo oświetlonym korytarzu widać było kilkanaście identycznych drzwi. Aby zapobiec niemiłym pomyłkom, na drzwiach każdego pokoju umieszczono eleganckie wizytówki. Kit zadrżała widząc drzwi z napisem „Hrabia Strathmore”, choć wiedziała doskonale, że Lucien na pewno jest jeszcze na dole.

Wyciągnęła kluczyk ze stanika i przez dwie minuty walczyła z zamkiem nie

oznaczonych drzwi na końcu korytarza. Może Harford stroił sobie z niej idiotyczne żarty?

A może przysłała nie tu, gdzie trzeba? Nagle uświadomiła sobie, że pomyliły się jej kierunki i zamiast do zachodniego, przysłała do wschodniego skrzydła domu. Przeklinając w myślach własną głupotę wróciła na schody, odruchowo omijając drzwi pokoju Strathmore'a szerokim łukiem. Klucz w ostatniej sypialni zachodniego skrzydła domu przekręcił się w zamku bez żadnych oporów. Weszła do przestronnego salonu i zamknęła za sobą drzwi na klucz, na wypadek gdyby Harford wrócił, zanim ona zdąży załatwić swoje sprawy.

W salonie paliła się tylko jedna świeczka. Kit rozejrzała się niepewna, czego ma szukać. Już raz była w pokoju Harforda, lecz wtedy był jednym z wielu gości w czyimś domu. Teraz musiała przeszukać pomieszczenia - pokój i przyległą sypialnię - z których korzystał przez sporą część roku.

Zaczęła od półek z książkami; kolekcja była imponująca, ale Kit nie znalazła nic, co by ją zainteresowało. Otworzyła szafę na ubrania i przejechała po nich palcami, starając się wyczuć coś niezwykłego. Potem przetrząsnęła leżące na biurku dokumenty modląc się w duchu, by Harford pozostał na dole dłużej, niż zamierzał.

W biurku znajdowały się dwie szuflady pełne rachunków - wszystkie nie zapłacone - trzecia była wypełniona śmiałymi listami miłosnymi napisanymi różnymi charakterami pisma. Przejrzała je pospiesznie, lecz nie znalazła nic godnego uwagi, poza błędami ortograficznymi. Najwyraźniej Roderick Harford nie lubił inteligentnych kobiet.

W czwartej szufladzie trafiła na notatnik. Po przeczytaniu paru stron z niesmakiem zdała sobie sprawę, że jest to kartoteka kobiet, które poszły z nim do łóżka, zawierająca dokładne dane dotyczące ich sprawności i upodobań seksualnych. Gdyby Kit była kobietą, jaką przed nim udawała, jej imię z pewnością znalazłoby się na tych stronach. Harford niewątpliwie nie omieszkaby wspomnieć o tatuażu.

Przejrzała notatki z ostatnich kilku miesięcy, lecz nie znalazła niczego, co by ją mogło zainteresować lub potwierdzić podejrzenia. Właśnie się pochylała, by wyciągnąć najniższą szufladę, kiedy usłyszała wściekły głos.

- A cóż ty wyprawiasz, u wszystkich diabłów?

Z dziko walącym sercem wyprostowała się gwałtownie. Dobry Boże, dlaczego nie przyszło jej do głowy, że Harford może mieć zapasowy klucz!

- Przeszukuję twoje biurko, rzecz jasna - rzekła niewinnym tonem. - Znudziłam się czekaniem, monsieur, więc postanowiłam nieco się rozejrzeć. - Następnym razem nie rozglądaj się po biurku dżentelmena - powiedział już nieco spokojniej. Jego irytacja szybko minęła, jak to u ludzi pijanych. - Jesteś Francuzką? Nie zauważyłem tego wcześniej.

- W sypialni zawsze jestem Francuzką. Francuzi może i są naszymi wrogami, lecz są mistrzami w uprawianiu miłości.

- Och, nie byłbym taki pewny, jeżeli chodzi o ich wrogość. Napoleon jest wyjątkowo sprytnym jegomościem, sprytniejszym niż przedstawiciele naszej rodziny królewskiej. Jeszcze o nim usłyszymy. - Harford zdjął maskę i rzucił ją na krzesło, po czym rozpiął pelerynę i opuścił ją na podłogę. - Ściągnij maskę! Chcę zobaczyć, czy buzię masz równie ładną jak cycki.

To była chwila, na którą czekała. Podeszła do lampy i sięgnęła dłonią do maski. Miała wprawdzie inny kolor włosów, lecz jeżeli był człowiekiem, którego szukała, z pewnością ją rozpozna. Odsloniwszy twarz wpatrywała się w niego z intensywnością sokoła, wyczekując reakcji, która potwierdziłaby jej podejrzenia.

Nie dostrzegła nic - ani drgnięcia, ani rozszerzenia się oczu. Usłyszała tylko okrutną uwagę:

- Trochę jesteś za stara, ale na jedną noc ujdiesz. Starszawe kobiety są lepszymi kochankami ze względu na doświadczenie.

Poczuła zimno na dnie serca. To nie on. To nie on był człowiekiem, którego szukała! Nie potrafiła wytłumaczyć, skąd to wiedziała, lecz była pewna. Może i był we wszystko zamieszany, lecz to nie o niego jej chodziło.

Dowiedziała się tego, po co tu przyszła. Teraz chodziło już tylko o to, by nie dać się zgwałcić i wyjść z tego pokoju.

- Bardzo nieładnie z twojej strony, że wypominasz mi wiek - poskarżyła się, powoli zbliżając się do drzwi. - Prawdziwy rycerz nigdy nie powiedziałby czegoś podobnego.

- Przestań paplać o rycerzach. - Zdjął frak i zaczął rozwiązywać krawat. - Przyszedłeś tu, bym cię wziął do łóżka. Chętnie spełnię twe prośby, lecz oszczędź mi tych bzdur.

- Wcale nie jesteś rycerski. - Jednym płynnym ruchem sięgnęła do klamki. - Chyba cię już nie lubię.

Poruszając się tak szybko, jakby w ogóle nie był pijany, złapał ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Nigdzie nie idziesz! - zagrzemiał. - Jest już zbyt późno, bym znalazł sobie inną kobietę, więc zostaniesz tu i dostaniesz dokładnie to, o co mnie prosiłaś.

Jego gorące, śmierdzące alkoholem usta zamknęły się na jej wargach. Było to równie okropne, jak wtedy w zamku Bourne, kiedy myślał, że jest zwykłą pokojówką. Starając się zapomnieć o obrzydzeniu, jęknęła tak, jakby te wstrętne uściski ją podniecały, i zarzuciła Harfordowi ramiona na szyję.

Westchnął, kiedy otarła się o niego biodrami, i zaczął niecierpliwie rozpinąć guziki spodni. Zaczekała, aż ściągnie je do połowy ud, i dopiero wtedy mocno popchnęła go w pierś. Runął najpierw plecami na biurko, a potem padł na podłogę jak długi.

Nawet nie zatrzymując się, by sprawdzić, czy coś mu się nie stało, Kit wybiegła z pokoju. Dopiero gdy opuściła zachodnie skrzydło i pędziła głównym korytarzem, usłyszała za plecami groźne okrzyki i tupanie. Na szczęście nie zabiła Harforda, lecz szkoda, że uderzenie przynajmniej nie pozbawiło go przytomności.

- Zapłacisz mi za to, ty mała dziwko! - krzyczał zagłuszając głosy dochodzące z sali balowej. Zazwyczaj takie odgłosy ściągają tłum ludzi, lecz Kit podejrzewała, że goście, którzy jeszcze trzymają się na nogach, są zbyt zajęci piciem, tańczeniem czy też umilaniem sobie czasu w inny sposób.

Czując, że nie uda jej się uciec, Kit postanowiła się ukryć. Nacisnęła klamkę najbliższych drzwi, lecz były zamknięte. Znów rzuciła się do ucieczki, kierując się ku schodom wiodącym na parter. Gdyby udało jej się przemknąć przez salę balową i dotrzeć do ogrodu, Harford by jej nie dopadł.

Jej plany gwałtownie się zmieniły, kiedy zobaczyła lorda Mace'a stojącego u stóp schodów i rozmawiającego z kilkoma innymi mężczyznami. Może gdyby do nich podeszła, byłaby bezpieczna, ale wolała nie ryzykować.

Zawróciła więc i biegła tak szybko, jak niegdyś na wzgórzach Westmoreland. Kilka sekund po tym, jak skręciła do wschodniego skrzydła, kroki Harforda ucichły. Usłyszała tylko jak woła:

- Mace, czy przed chwilą nie zbiegała tędy kobieta?

- Nie - odparł jego brat. - Cóż ty, u diabła, wyczyniasz?

- Ścigam małą wredną ladacznicę - odrzekł Harford z wściekłością w głosie. - Pożałuje, że mnie spotkała. - No cóż, ścigaj ją nieco ciszej, Rodericku - upomniał go łagodnie Mace. - Jest chyba jeszcze kilku gości, którzy próbują zasnąć.

Starając się złapać oddech, Kit pospiesznie sprawdziła drzwi we wschodnim skrzydle. Minęła drzwi Strathmore'a; kolejne były zamknięte. Dopiero czwarte otworzyły się cicho i dziewczyna odetchnęła z ulgą. W tej samej jednak chwili usłyszała odgłosy namiętnego uprawiania miłości, dochodzące z przylegającej sypialni. Wycofała się szybko i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy usłyszała kroki, uświadomiła sobie, że Harford za parę sekund ją dopadnie. Rozejrzała się z przerażeniem. Jedne z zamkniętych drzwi na pewno prowadziły do schodów dla służby, lecz nie wiedziała które, a czas uciekał nieubłaganie.

Nie osiągnęła jeszcze celu i byłoby fatalnie, gdyby Harford ją teraz złapał. W najlepszym wypadku pobiłby ją i zgwałcił. O najgorszym wolała nie myśleć.

Było tylko jedno wyjście. Jedna nadzieja. Dobry Boże, proszę, niech on tam będzie i niech mi pomoże!

Czując, że nie ma innego wyjścia, obróciła się na pięcie i wpadła prosto do pokoju Strathmore'a.

Po spotkaniu z damą w granatowej pelerynie Lucien wrócił do swego pokoju czując dziwną mieszaninę psychicznej i fizycznej frustracji. Przed balem powiedział swemu służącemu, żeby na niego nie czekał, więc zdjął domino i maskę, rozpałił ogień na kominku i nalawszy sobie nieduży kieliszek brandy, usiadł przed ogniem, by chwilę pomyśleć.

Nie miał żadnej racjonalnej podstawy, by sądzić, że damą w granatowej pelerynie była Kristine Travers; pomijając wzrost, te dwie kobiety nie miały ze sobą nic wspólnego. Nie mógł jednak odegnać przykrego wrażenia, że to właśnie Kristine śmiała się z niego zza granatowej maski. Miał na jej punkcie obsesję i może dlatego widział ją wszędzie; a może dlatego, że niewątpliwie była królową przebieranek.

Jakimś cudem udało mu się przeżyć trzydzieści dwa lata bez zakochania się w kobiecie tak namiętnie, jak zakochał się w Kit. To, że spodobała mu się także jej siostra bliźniaczka, można było jakoś wytłumaczyć, a jednak trudno mu było zrozumieć, dlaczego tak na niego podziałała kobieta, której w ogóle nie znał. Gdyby nie to, że uczynił z siebie kompletnego głupca przed lady Kathryn Travers, nic nie powstrzymałoby go od zdarcia maski damie w granatowej pelerynie. Całe jej szczęście, że zniknęła w tłumie, zanim dał się ponieść namiętności.

Z sarkastycznym uśmiechem na ustach dokończył brandy. Bardzo trudno było mu zachować rozsądek, gdy w powietrzu nadal wibrowała muzyka... walc... Każdy drobny dźwięk przypominał mu, jak cudownie ta ostatnia partnerka wtapiała mu się ramiona. Może dama w granatowej pelerynie była jakąś odległą kuzynką Traversów... Rano popyta tu i ówdzie i postara się dowiedzieć, kim była owa dama, lecz teraz zrobi najlepiej, jeżeli położy się już do łóżka.

Zdjąwszy frak i buty przypomniał sobie, że wracając do pokoju nie zamknął drzwi. Właśnie sięgał do klucza tkwiącego w zamku, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie niemal uderzając go w głowę. Do pokoju wpadła jego lady Nemezis w granatowej pelerynie.

Z rozszerzonymi ze strachu oczyma wydyszała:

- Harford mnie ściga. Błagam...

Wyjaśnienia mogły poczekać. Natychmiast zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Wskakuj do łóżka i naciągnij kołdrę na głowę. Siedź cicho i nie odzywaj się, cokolwiek by się działo. - Zdjął pospiesznie krawat i rzucił go na podłogę, po czym wyjął koszulę ze spodni. Kiedy odpinał pierwszy guzik przy kołnierzyku, ktoś zaczął walić pięściami w drzwi.

- Otwieraj!

- Odejdź! - krzyknął Lucien. W jego głosie słyhać było irytację.

- Jestem zajęty. - Jedną ręką mierzwił sobie włosy, a drugą szczypał się w szyję. Na delikatnej skórze natychmiast pojawiła się czerwona plamka podobna do miłosnego ukąszenia.

- Do diabła, Strathmore! Otwieraj! - zaryczał ponownie Harford.

- Dobrze już, dobrze - odrzekł Lucien z niechęcią w głosie.

- Idę już, idę.

Spojrzał na łóżko; spod nakrycia wyslizgiwał się tylko długi skrawek granatowego jedwabiu. Wcisnąwszy zdradziecki materiał pod kołdrę, niespiesznym krokiem podszedł do drzwi. Zdmuchnąwszy wszystkie świece z wyjątkiem jednej, otworzył drzwi.

- Czy dom się pali?! Nie wyobrażam sobie, by cokolwiek było tak pilne, by nie można było z tym poczekać do rana.

W holu stał Roderick Harford o oczach nieprzytomnych z wściekłości i niekompletnie ubrany.

- Chcę kobiety, która jest tu z tobą! Lucien uniósł brwi ze zdziwienia.

- Nie możesz jej mieć. Jest moja, a ja chcę jak najszybciej wrócić do tego, co przed chwilą robiliśmy.

- Ta cholerna suka usiłowała mnie okraść! Złapałem ją na gorącym uczynku, jak przeszukiwała moje biurko. - Czyżby? - Lucien założył ramiona na piersi i oparł się o framugę drzwi. - To musiało być już jakiś czas temu, gdyż zabawiam się tu z nią od ponad pół godziny.

- Przecież widziałem, jak dopiero co wchodziła do ciebie do pokoju!

- Na pewno nie do mojego - odparł Lucien z niezmaconą pewnością. - Twoja ptaszyna musiała pofrunąć gdzie indziej. Wszystkie drzwi w tym domu wyglądają podobnie.

Z niedowierzaniem jasno wypisanym na twarzy Harford spróbował wejść do pokoju.

- Chcę zobaczyć, kto jest w twoim łóżku, i nie wyjdę, póki tego nie zrobię.

Ramię Luciena wystrzeliło do przodu; oparł się o framugę, by zatrzymać intruza.

- Doprawdy nie mogę na to pozwolić - powiedział niebezpiecznie łagodnym głosem.

- Ja nie proszę o twoje pozwolenie, Strathmore! - Harford ponownie usiłował sforsować drzwi.

Lucien wykręcił mu rękę za plecami i, mimo protestów, trzymając go w żelaznym uścisku, powiedział zimno:

- Jeżeli będziesz nalegać, to nie będę miał wyboru i wyzwę cię na pojedynek. Byłoby



to wyjątkowo niemiłe... nie wypada zabijać brata gospodarza.

To przywróciło Harfordowi nieco rozsądku. Przestał się wrywać i po jakimś czasie Lucien go puścił.

- Ty i ta dziwka pracujecie razem, nieprawdaż? - nie dawał tamten za wygraną.

Oczy Luciena zwięzły się groźnie.

- Zaczynasz mnie irytować, Rodericku. Przestrzegam anonimowości tej damy z powodów, które nie mają z tobą nic wspólnego.

- Dlaczego więc? Lucien wywrócił oczyma.

- Dlatego, że niektórym panom nie podobają się zabawy, które uprawiają ich żony.

Po chwili ciszy Harford roześmiał się nieco zażenowany.

- Mężatka? Powinienem był się spodziewać.

- Ano powinienes. A teraz idź poszukać swej oszustki gdzie indziej. Następne drzwi prowadzą schody dla służby. Może tam pobiegła? Harford zmarszczył brwi.

- Pewno tak. W tym przyćmionym świetle i z tej odległości mogło mi się pomylić. - Odwrócił się, by odejść, po czym raz jeszcze się odezwał: - Przepraszam. Trochę mnie poniosło.

- Przeprosiny przyjęte. Tylko więcej tu dziś nie wracaj. - Lucien odwrócił się na pięcie, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku, po czym schował go pod poduszkę najbliższego krzesła.

Na Boga, tym razem mu się nie wymknie.

Przysłuchiwał się przez chwilę cichnym krokom Harforda, a potem skrzypieniu kuchennych drzwi. Z właściwą sobie ciekawością zwiedził to skrzydło domu zaraz po przyjeździe. Harford przewędruje mnóstwo pokoi i spiżarni, po czym zrezygnuje z poszukiwań.

- Możesz już wyjść - rzekł Lucien podchodząc do łóżka.

Z niepewną miną dziewczyna usiadła; otaczała ją biel pościeli i granat jedwabiu. W powietrzu unosiły się dziwne uczucia: gniew, niepewność, desperacja i pożądanie... Przede wszystkim pożądanie.

A zaraz po nim wściekłość, przynajmniej jeśli chodzi o Luciena.

- Więc to naprawdę byłaś ty - rzekł cichym, twardym głosem. - Dobrze wiedzieć, że instynkt jeszcze mnie nie zawodzi. Cóż tym razem masz do powiedzenia na swą obronę?

Skrzywiła się.

- Że stawianie ci czoła w takich okolicznościach jest niemal tak trudne, jak zmaganie się z Roderickiem Harfordem. - Nie okazując szacunku dla drogiego jedwabiu, starła z twarzy

makijaż połą peleryny. Była wprawdzie nieco ubrudzona, ale wyglądała o niebo młodziej: - Jemu naraziłam się tylko raz.

Jej poczucie humoru tylko wzmogło gniew Luciena.

- Może powinnaś zaryzykować z nim. Poprosiłaś mnie o pomoc, lecz ja nie robię nic za darmo. Tym razem, droga pani, nie ma we mnie nic z dżentelmena.

Dziewczyna spoważniała.

- Po tym, jak cię dotychczas traktowałam, wcale ci się nie dziwię.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Lucien widział w oczach dziewczyny całą gamę uczuć: żalu, wątpliwości, tęsknoty i wreszcie determinacji. Zacisnęła dłonie na kolanach.

- Wiem, że już zbyt długo zwlekam z zapłatą - powiedziała cicho. - Kiedyś chciałeś, bym znalazła się w twoim łóżku. Jeżeli nadal tego pragniesz... to oto jestem. Raz jeszcze go zaskoczyła - tym razem niezwykłą bezpośredniością. Odetchnął głęboko. Choć nie podobała mu się świadomość, że jej propozycja wynika raczej z poczucia obowiązku niż z pożądania, nie miał jak odmówić.

- Obyś mówiła szczerze - rzekł spiętym głosem. - Tym razem nie będziesz miała jak się wycofać i nie pozwolę ci na błaganie o litość.

- Jeżeli ktokolwiek będzie błagał o litość, to nie ja, hrabio.

- Wyciągnęła do 'niego szczupłą, silną dłoń. - Mam już dość kłamstw. Nadeszła chwila szczerości.

Wiedział z niezachwianą pewnością, że tym razem mu nie ucieknie. A jednak nadal wyglądała na wystraszoną. Coś dziwnego czaiło się w jej oczach... najwyraźniej wspomnienie spotkania z Harfordem.

Lucien zmarszczył brwi. Strach nigdy nie pomagał w miłosnych zmaganiach. Chciał, by była równie spragniona, równie bezbronna, co on. Ale to mógł osiągnąć tylko w jeden sposób: hamując własne żądze, przynajmniej przez jakiś czas. Lecz to nie będzie takie łatwe.

W ciszy, która między nimi nastąpiła, usłyszał delikatne, cichutkie dźwięki muzyki dobiegające z sali balowej. Tak! Taniec przywrócił porozumienia, jaka się między nimi nawiązała. Wyciągnął rękę i złapał dziewczynę za rękę.

- Zatańcz ze mną, pani.

Przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona, lecz zaraz zsunęła swe długie, piękne nogi z łóżka i zrzuciła pantofelki. Wysunęła rękę z jego dłoni i dygnęła przed nim głęboko, jakby właśnie zostali sobie przedstawieni.

- Z największą przyjemnością, hrabio.

- Choć nie zostaliśmy sobie jeszcze oficjalnie przedstawieni - zaczął z powagą -

domyślam się, że mam przyjemność z lady Kit Travers?

Wyprostowała się, a w jej oczach zagościł śmiech.

- Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, a dowiesz się, kim jestem. Właściwie mam Jane na drugie imię.

- Dla mnie miałaś tysiące imion... lady Jane... lady Nemezis... jednak Kit pasuje do ciebie najlepiej... jest piękne i niekonwencjonalne, zupełnie jak ty. - Zanim się zorientowała, ściągnął jej z głowy blond perukę. Potem uwolnił włosy ze spinek i delikatnie gładził jej głowę. - Mmm... - zamruczała uśmiechając się leniwie. - Jak miło... Nic dziwnego, że koty lubią być drapane za uszami.

Nadal miała rękawiczki, więc zdjął je i pocałował delikatną skórę wnętrza dłoni. Zacisnęła palce, a on powędrował ustami do jej nadgarstka; przycisnął wargi do pulsującego, gorącego miejsca.

Kiedy zrobił to samo z lewą ręką Kit, delikatnie dotknęła koniuszkami palców jego policzka.

- Lucyfer - wyszeptała. - Jasny syn gwiazdy zarannej.

- Obawiam się jednak, że nieco upadły. - Położył dłoń na plecach dziewczyny i wyczuł mocne mięśnie sprężające się pod jego dotykiem. Łącząc palce wolnej ręki z jej palcami, poprowadził ją do walca. - Jednak teraz mam przed sobą perspektywę rajy.

Zaczerwieniła się i spuściła oczy. W świetle świec jej włosy przybrały odcień cynamonu. Mając do dyspozycji więcej miejsca niż w zatłoczonej sali balowej, tańczyli swobodnie, zataczając coraz większe koła. Gruby szkarłatny dywan, który Kit czuła pod odzianymi jedynie w pończochy stopami, działał na nią wyjątkowo zmysłowo.

Choć była doskonałą tancerką, najwyraźniej szkoloną przez mistrzów, na początku Lucien wyczuwał dziwną sztywność w jej ruchach, zupełnie jakby ciało i umysł nie kontaktowały się ze sobą. Jednak powoli się odprężyła. Muzyka zaczęła działać.

Ich ruchy nabrały harmonii. Lucien miał dziwne wrażenie, jakby od dawna znał smukłe ciało ukryte pod granatową peleryną. Lucien wolną dłonią rozwiązał tasiemki domina; gruby jedwab pofrunął w kąt pokoju. Nagie ramiona Kit lśniły niczym kość słoniowa. Zaszło mu w ustach. Jeszcze nie. Jeszcze... nie.

Przymknęła oczy i poddała mu się w tańcu. Była lekka niczym piórko na jego ramieniu. Poczul dziwne wzruszenie na myśl, że tak całkowicie oddała mu się we władanie, przynajmniej na jakiś czas.

Nadszedł czas na następny krok. Lucien pochylił się i pocałował ją delikatnie w szyję; przesuwając usta coraz wyżej w kierunku jej ucha. Dziewczyna wstrzymała oddech, wciąż nie

otwierając oczu.

Przechylił ją do tyłu wsuwając kolano pomiędzy jej nogi. Zaskoczona, uniosła powieki i w szarej głębi jej oczu Lucien zobaczył namiętność, którą tak bardzo chciał obudzić. Otrząsnęła się z zaskoczenia szybciej, niż się tego spodziewał.

- Ależ, hrabio - rzekła z przesadną powagą - jesteśmy stanowczo za blisko siebie.

- W rzeczy samej. A będziemy jeszcze bliżej.

Znów wirował dookoła pokoju, tak bezwstydnie, że w każdym salonie ten walc wywołałby skandal. Jej smukłe ciało tancerki swobodnie dostosowało się do ruchów Luciena. Przywarli do siebie w niemej pieszczocie z coraz większym pożądaniem. To nie był walc, to był taniec godowy.

Kiedy muzyka w sali na dole umilkła, stali przez chwilę na; środku pokoju, kołysząc się lekko.

Czas czekania się skończył. Lucien rozwiązał tasiemki podtrzymujące suknię Kit. Z oczyma zamroczonymi pożądaniem dziewczyna lekko zadrzała. Suknia spłynęła z jej ramion i bioder.

Cały czas patrząc jej w oczy rozwiązał tasiemki z przodu gorsetu. Każdy ruch ciała dziewczyny zdradzał pożądanie. I nagle Lucien zrozumiał, że pożądanie to za mało. Chciał czegoś więcej. Chciał, by podzieliła się z nim tajemnicami, które kryje w sercu.

Ona tymczasem wsunęła dłonie pod jego koszulę i obejmując go mocno w pasie, wtuliła twarz w pierś.

Podziwiając gładkość, z jaką uniknęła jego spojrzenia, zdjął jej przez głowę koszulkę i odrzucił na bok.

- Masz zbyt wiele ubrania na sobie.

- Ty także. - Zdjęła mu koszulę, po czym dodała ochryplym ' głosem: - „Miły dla oka był jego kształt i piękny”.

Roześmiał się wbrew woli z absurdalności jej skojarzeń.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, Lucyfer miał postać węża, gdy Milton wypowiadał te słowa.

- Czyż nie ma tu gdzieś węża w pobliżu? - Zaczęła pokrywać skórę na piersi Luciena drobnymi pocałunkami.

Gdy jej dłonie zawędrowały pod pasek spodni, stłumił jęk i odruchowo zacisnął dłonie na pośladkach dziewczyny. Miękkie krągłości doskonale pasowały do jego dłoni. Kiedy stracił resztę kontroli nad sobą, zdarł z siebie spodnie i bieliznę i popchnął ją gwałtownie na łóżko. Upadli na materac z taką siłą, że aż ramy zaskrzypiały. Jej otwarte usta odpowiadały na

pocałunki Luciena z natarczywością, której się nie spodziewał. Zwarli się niczym dzikie koty, z zachłannością, jakiej nigdy dotąd nie zaznali. Gorączkowo wtulił twarz w głęboki rowek między jej piersiami wdychając słodki zapach... czując słonawy smak potu... Nie mógł się nią nacieszyć.

Kiedy wziął jej sutek do ust i zaczął ssać, zadrżała i wygięła się w łuk, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Miała na sobie tylko jedwabne pończochy.

Nie mogąc się powstrzymać, powędrował ustami do słodkiego trójkąta jej podbrzusza. Męski oddech drażnił wrażliwą skórę Kit. Jęknęła i ujawszy jego głowę w obie dłonie przytrzymała ją mocno. Jej aksamitne wnętrze odurzyło go.

Kiedy na chwilę się od niej oderwał, zobaczył mały tatuaż tuż nad podwiązką. Pochyliwszy się przycisnął usta do tego miejsca. Czuł, że nie potrafi już dłużej czekać. Powędrował palcami do delikatnego wilgotnego wnętrza. Kit drżała i jęczała, gdy jego palce wsuwały się, głaskały, doprowadzały do szaleństwa... Zaciśnęła dłonie na kocu.

Drżąc z niepohamowanej pasji klęknął między jej udami. Dziewczyna wygięła plecy w łuk i skrzyżowała obleczone w jedwab nogi na jego biodrach. Wszedł w nią jednym pchnięciem.

Krzyknęła - z bólu, a nie z rozkoszy - drapiąc mu plecy aż do krwi.

Zamarł w bezruchu i spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Jezu Chryste! - W jednej chwili barwa jego oczu zmieniła się: ze złotej w zieloną. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

Drżąc na całym ciele Kit zamknęła oczy. Może był to tylko kolejny koszmarny sen, który za chwilę się skończy. Lecz, niestety, ciężar męskiego ciała przygniatający ją do łóżka i rwący ból w podbrzuszu były prawdziwe.

Otworzyła oczy. Lucien górował nad nią, ogromny i groźny. Zza jego szerokich ramion nie widziała światła świecy.

- Nie wiedziałam... nie wiedziałam, że powinnam... - wyszeptała wreszcie. - Nie zdawałam sobie sprawy, że będzie aż tak bolało.

Pochylił głowę i oparł czoło na jej ramieniu. Drżał. Po długiej chwili westchnął.

- Bolałoby o wiele mniej, gdybyś mi powiedziała. Nawet najlepsza aktorka nie potrafi udawać wszystkiego, skarbie. - Wściekłość już minęła; odczuwał smutek i tkliwość. Delikatnie pocałował ją w usta. - Przepraszam. Powinienem być się spodziewać, że w twoim przypadku nic nie będzie proste. Postaraj się odprężyć. Najgorsze mamy już za sobą.

Miał rację. Rozdzierający ból trwał tylko chwilę, Kit powoli dochodziła do siebie. Lucien był cierpliwy; całował jej twarz i szyję kontrolując swe żądze, lecz pot lśniący na jego piersi wskazywał, jak wiele go to kosztuje.

Kit zaczęła się na nowo oswajać z jego ciałem. Powoli znów - Postaram się, żeby cię nie bolało - wysapał. - Niewiele mi już brakuje.

- Powiedz mi tylko, co mam robić.

- Po prostu... rytmicznie poruszaj się za mną...

Wszedł w nią głębiej. Kit poczuła nagle rozkosz, której istnienia nigdy nie podejrzewała.

- Tak? - zapytała bez tchu.

- O, Boże! - jęknął. - Właśnie tak.

Ciało Kit odpowiadało instynktownie na jego ruchy; rozumiało to, czego umysł jeszcze nie ogarniał.

Wchodził w nią coraz szybciej; zawładnął jej ciałem. Tym razem był nie tylko wyrachowanym kochankiem, jak w hotelu Clarendon, przynoszącym spełnienie, lecz i mężczyzną, domagającym się tego, co mu się należy.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wnika w jej duszę równie głęboko, jak w ciało, odzierając ją z misternie wznoszonych obronnych konstrukcji. Chciała się cofnąć do bezpiecznej pozycji obserwatora, lecz to już było niemożliwe. Była bezbronna, potrzeba jego ciepła i mocy skruszyła jej wolną wolę.

Kiedy wreszcie krzyknęła z rozkoszy, przycisnął głowę do jej ramienia i w tym samym momencie wstrząsnęło nim tak gwałtownie, że dziewczyna niemal poczuła, jak wznosi się coraz wyżej w niezmiernym spełnieniu wszystkich fizycznych i psychicznych potrzeb.

Burza minęła, pozostawiając Kit drżącą po przeżytych szoku. Dobry Boże, gdyby wiedziała, jak to się skończy, prędzej wyskoczyłaby z okna, niż pozwoliła mu się dotknąć. Powinna była się domyślić, że prosząc go o pomoc, raz na zawsze zmieni ich wzajemne stosunki. Ona tymczasem zaufała mu, dała mu swe ciało, z nadzieją, że nic to nie zmieni, że nadal będzie panią swej duszy i sekretów.

Teraz, po tym, co się stało, nie będzie w stanie nic przed nim ukryć. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zrobiłaby wszystko, o co by ją poprosił. Niech Bóg ma ją w swej opiece...

Kiedy usiłowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy, odsunął się nieco i położył na boku.

- To zawsze byłaś ty, prawda? - spytał, gładząc delikatnie jej ciało.

Przytaknęła i przycisnęła twarz do jego piersi. - I jesteś Kathryn, nie Kristine. - Nie pytał, stwierdzał fakt. Ostatkiem sił starając się trzymać go na dystans, zapytała:

- Dlaczego tak uważasz?

- Mój umysł zaakceptował fakt, że musi być was dwie, lecz instynktownie czułem, że to nieprawda. - Wziął do rąk jej koszulkę, która przypadkiem wylądowała na łóżku, i otarł nią krew, która pojawiła się między jej nogami. - Wspaniale udawałaś frywolną aktorkę, ale nawet w najbardziej wyzywających momentach była w tobie jakaś nieśmiałość. To mnie zastanawiało.

Skrzywiła się.

- Jak sam zauważyłeś, nawet najlepsza aktorka ma swoje ograniczenia. Potrafię doskonale udawać Kirę, lecz nie zawsze sprawia mi to przyjemność.

- Ostatecznym dowodem na poparcie mojej teorii było twoje dziewictwo. Domyślałam się, że Kira może mieć wiele zalet, lecz wątpię, czy niewinność jest jedną z nich. - Skrzywił się lekko - Gdybym słuchał instynktu, a nie rozumu, może nie sprawiłbym ci aż takiego bólu.

- Dziewictwo jest kiepskim żartem natury - odpowiedziała ponuro Kit.

Uśmiechnął się i podparł głowę ramieniem.

- Podobno zawsze podążałaś za siostrą. Ludzie uważali, że byłaś zaledwie jej cieniem, ale to nieprawda. Wszystko, co robiła Kira, ty potrafiłaś robić równie dobrze. Kiedy ona grała Sebastiana w Szekspirowskiej *Dwunastej nocy*, ty byłaś Viola, która ma właściwie o wiele

bogatszą, bardziej żywiołową rolę. Kiedy Kira pływała nago w strumieniu albo galopowała w spodniach na koniu, ty byłaś tuż obok niej. W niczym jej nie ustępowałaś. Ponieważ mówiłaś, że jesteście identycznymi bliźniaczkami, domyślałam się, że i ty miałaś swój udział we wszystkich psotach.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

- Skąd to wiesz? Nikt inny nigdy się nie domyślił, nawet ciocia Jane. Wszyscy zawsze zakładali, że żyję w cieniu Kiry.

- Ponieważ bliźnięta są zarazem identyczne i różne, wielu ludzi ma z nimi problemy. O wiele łatwiej jest, gdy można je jakoś odróżnić. Bezczelna siostra, nieśmiała siostra. Dobra siostra, złośliwa siostra. - W jego oczach błyszczało rozbawienie. - Podejrzewam, że Kira jest mniej nieokrzesana, niż się ogólnie przyjęło uważać, a ty jesteś mniej łagodna, pomimo doskonałego odgrywania roli przyzwoitej lady Kathryn.

- Masz rację, że wielu ludzi woli myśleć o nas jako o przeciwieństwach, zamiast o dwóch wariacjach na ten sam temat - zgodziła się Kit. - Są też i tacy, którzy rozmawiają zawsze tylko z jedną z nas ignorując drugą, jak gdyby w ogóle nie istniała. Zawsze śmiałyśmy się z tego.

- Najprawdopodobniej wykorzystywałyście swą identyczność i śmiałyście się między sobą z naiwności świata.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

- Kiedy ktoś mówił „Kristine ma niebieską wstążkę we włosach, a Kathryn czerwoną”, czekałyśmy, aż się odwróci do nas plecami, i natychmiast zamieniałyśmy się i wstążkami, i zachowaniami. Ale naprawdę bardzo się różnimy pod wieloma względami. Jak powiedziałam w domu ciocia Jane, Kira ma niesamowitą witalność i urok, które potrafią rozjaśnić cały teatr. Zawsze była swobodniejsza i łatwiej przychodziło jej próbowanie czegoś nowego niż mnie. Ja jestem tą spokojniejszą i poprawniejszą siostrą.

Uniósł brew do góry i zapytał z niedowierzaniem:

- Spokojniejszą? Poprawniejszą? Ta kobieta, która wodziła mnie za nos po dachach i sypialniach całego Londynu?

- Nie miałam innego wyboru - odrzekła słabo. Jego dobry humor prysł.

- Chodzi o Kirę, tak? Coś się z nią stało?

Strach, o którym na jakiś czas zapomniała, poraził ją ze zdwojoną siłą. Kit poczuła znajomy ucisk w żołądku.

- Moja siostra nie powinna cię interesować.

- Opowiedz mi o tym - rzekł spokojnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem.



Odsunęła się od niego i usiadła wyprostowana na łóżku, owijając się szczelnie w prześcieradło.

- Skąd bierze się twoja ciekawość?

- Nie przychodziłabyś na ten bal i nie umawiałabyś się z Roderickiem Harfordem w jego sypialni, gdybyś nie była zdesperowana. Potrzebujesz pomocy, Kit. Dlaczego nie chcesz przyjąć mojej?

Odwrociła wzrok wiedząc, że boi się Luciena, i nie chce wyjaśniać dlaczego.

Jak gdyby czytając jej w myślach, zapytał: - Dlaczego nie chcesz mi zaufać?

- Nie stać mnie na popełnienie błędu - odrzekła spiętym głosem. - Stawka jest zbyt wysoka.

- Nigdy nie skrzywdziłbym ciebie ani twojej siostry, i w głębi serca wiesz o tym.

Wiedziała, lecz przez to wcale nie czuła się lepiej. Postanowiła zadowolić się półprawdą.

- Nigdy nie spotkałam mężczyzny godnego zaufania. Mój ojciec potrafił oczarować każdego, lecz niech Bóg ma w swej opiece nieszczęśnika, który odważyłby się mu ufać.

- Nie jestem twoim ojcem. - Ujął jej zimne palce i uściśnął lekko. - Bardzo się staram dotrzymywać raz danego słowa i powszechnie uważa się, że potrafię rozwiązywać problemy. Może pozwolisz mi rozwiązać swoje?

Ze zdziwieniem zauważyła, że wbrew zdrowemu rozsądkowi opowiada mu o wszystkim, co postanowiła zachować tylko dla siebie.

- To nie tobie nie ufam, tylko samej sobie. Nie potrafię być sama, Lucien. Przez pierwsze osiemnaście lat życia Kira zawsze stała u mego boku. Wiedziałyśmy, że musimy się rozdzielić i ułożyć sobie każda własne życie, lecz usamodzielnienie niezbyt mi wyszło. Czuję się pozbawiona bardzo ważnej części mnie... jak dzikie wino szukające drzewa, na którym mogłoby się opleść. Wątpię, czy by ci się to spodobało. Ja sama bardzo tego u siebie nie lubię.

- Nie doceniasz swej siły, Kit. To, o co się martwisz, może nigdy nie nadejść. - Delikatnie gładził jej dłoń. - Nie pozwól, by to, czego się obawiasz, stanęło ci na drodze do odnalezienia Kiry.

Jej opór padł. Ukryła twarz w dłoniach, myśląc z rozpaczą, że Lucien właśnie sięgnął samej istoty problemu. Bezpieczeństwo Kiry było o wiele ważniejsze niż to, czy Kit zrobi z siebie idiotkę zakochując się w bogatym i wpływowym rozpustniku, Lucienie Fairchildzie, hrabim Strathmore.

Poza tym obawiała się, że jeżeli sama mu nie opowie, i tak prędzej czy później

wszystko z niej wyciągnie.

- To długa historia - zaczęła niepewnie.

- Więc usiądźmy wygodniej. - Wstał z łóżka i wyciągnął z szafy koszulę. - Włóż to. Mężczyźnie i kobiecie o wiele łatwiej się rozmawia, gdy oboje są ubrani i siedzą, nawet w łóżku. Posłuchała go i także podniosła się z pościeli. Ogromna koszula opadała jej prawie do kolan. Z lekkim rozbawieniem zauważyła, że nadal ma na nogach pończochy, więc zdjęła je i rzuciła na podłogę. Potem usiadła na łóżku podwijając nogi pod siebie.

Lucien nałożył szlafrok z błękitnej wełny; jego złote włosy lśniły w świetle świec niesamowitym blaskiem. Dorzuciwszy drewna do ognia na kominku, wyjął ze swego bagażu srebrną flaszkę i nalał do kieliszków nieco bursztynowego płynu.

- Wypij - polecił podając jej jeden.

Potulnie usłuchała go. Brandy pomogła przynajmniej opanować drżenie dłoni.

Lucien usiadł obok niej na łóżku opierając się o ścianę.

- Co się stało z Kirą?

Dziewczyna zapatrzyła się w płyn na dnie kieliszka.

- Nie wiem. Nie mam też pojęcia, gdzie zacząć.

- Gdzie tylko chcesz. Jeżeli będzie taka potrzeba, możemy siedzieć tu całą noc, a noce o tej porze roku są wyjątkowo długie.

- Większość z tego, co ci powiedziałam w domu cioci Jane, jest prawdą. - Skrzywiła się. - Choć oczerniłam ciocię. Wcale nie jest taką tyranką, jak ci to dałam do zrozumienia. Bez jej pomocy nigdy nie byłabym w stanie robić tego, co robię.

- I nie zabroniła Kirze przychodzić do swego domu?

- Nie, choć nie była zachwycona karierą, jaką wybrała moja siostra. Prawdę mówiąc, ja też. Ale Kirą była bardzo pewna swego i nie chciała za nic zmienić zdania, więc zaakceptowałam to. Utrzymywałyśmy w miarę bliski kontakt, pisałyśmy do siebie co tydzień, gdy występowała w prowincjonalnych teatrzykach. Potem, kiedy przeprowadziła się do Londynu, spotykałyśmy się raz, dwa razy w tygodniu, najczęściej wtedy, gdy szłyśmy na targ.

- Kit zawahała się, niepewna, czy ktoś, kto nie ma brata bliźniaka, potrafi ją zrozumieć. - Nie były to z góry ustalone spotkania. Po prostu... wiedziałyśmy, kiedy jest szansa, że się spotkamy.

Spojrzała niespokojnie na Luciena i odniosła wrażenie, że ją rozumie.

- Kira mieszka w Soho? Przymknęła.

- Ma tam mały domek. Mieszka na parterze, a piętro wynajmuje znajomej aktorce, Cleo Fransworth. - Kiedy zorientowałaś się, że coś jest nie tak?

- W dzień naszych urodzin, dwudziestego pierwszego października. Zawsze obchodzimy urodziny razem. Zawsze. Kiedy pracowała na prowincji, zawsze na dwudziestego pierwszego przyjeżdżała do Londynu. Raz, gdy nie mogła się wyrwać, pojechałam dyliżansem do Yorkshire, abyśmy mogły być razem. Tego roku postanowiłyśmy spotkać się u niej w domu i zjeść wspólnie kolację.

- Przełknęła z trudem ślinę przypominając sobie okropne przerażenie, jakie wtedy poczuła. - Noc wcześniej miałam koszmary sen, lecz z początku nie połączyłam tego z Kirą. A jednak w chwili gdy weszłam do jej mieszkania, już wiedziałam, że coś jest nie tak.

- Czy były tam jakieś ślady walki?

- Nie, tylko... pustka. Okropna, przerażająca pustka... choć wszystko było dokładnie tak, jak być powinno. - Kit objęła palcami kieliszek brandy. - Jediną rzeczą, która wyraźnie potwierdzała moje podejrzenia, było to, że kotka Kiry, Viola, zachowywała się tak, jakby przez cały dzień nie dostała jeść. Kiedy już ją nakarmiłam, poszłam na górę, by porozmawiać z Cleo, znałam ją wtedy dość przelotnie. Cleo z początku mnie nie poznała i myśląc, że jestem Kirą, zbesztła mnie za niepojawienie się na próbie. Kiedy wyjaśniłam jej, że jestem Kathryn, ona także zaczęła się martwić. Powiedziała, że poprzedniego wieczoru moja siostra wyszła z teatru i od tamtej pory Cleo jej nie widziała. A Kira nigdy nie opuszczała prób. Musiała zostać porwana w drodze do domu.

Po chwili wahania Lucien zapytał łagodnie:

- Najprawdopodobniej rozważałaś już możliwość, że została zamordowana przez rzezimieszków, a jej ciało wrzucono do rzeki?

- Myślisz, że ona już dawno nie żyje, tak? No cóż, ona żyje - odparła gwałtownie Kit.  
- Może ktoś, kto nie ma brata albo siostry bliźniaczki tego nie rozumie, ale ja się czuję tak, jakbym była z nią połączona niewidzialną nicią. Gdyby umarła, wiedziałabym o tym natychmiast. Kira jest bardzo nieszczęśliwa, czasami okropnie przerażona, lecz żyje.

Oczekiwała sceptycyzmu, lecz Lucien powiedział tylko:

- Jeżeli tak się sprawy mają, to rzeczywiście porwanie jest najrozsądniejszym wytłumaczeniem - rzekł Lucien, ku zaskoczeniu dziewczyny, która najwyraźniej spodziewała się z jego strony sceptycyzmu. - Czy wiesz może, kto i dlaczego mógłby ją porwać? Uwierzył jej! Naprawdę jej uwierzył!

- Jakiś miesiąc temu, kiedy jadłyśmy razem kolację, Kira wspomniała, że ma jakiegoś wielbiciela, który robi wszystko, żeby została jego kochanką. Żartowała sobie z niego, lecz jestem pewna, że nie wspominałaby o nim, gdyby się nie martwiła.

- Więc uważasz, że ten człowiek, znudzony czekaniem, doszedł do wniosku, że jeżeli

Kira nie chce mu się oddać dobrowolnie, weźmie ją siłą. - Lucien zmarszczył czoło.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ryzyko z jego strony byłoby minimalne... nikogo nie dziwi zniknięcie młodej artystki. W jej głosie słychać było ironię. - Ludzie uważają, że artystki nie są lepsze od nierządnic.

- Kiedy Kira wspominała ci o tym mężczyźnie, czy powiedziała coś, co mogłoby nam posłużyć za wskazówkę?

- Nie, ale zawsze miała pod ręką mały notesik, w którym zapisywała sobie umówione spotkania i rzeczy, o których nie chciała zapomnieć. Kiedy zniknęła, przeszukałam cały jej dom, szukałam tak długo, aż go znalazłam. Większość z jej notatek była bezwartościowa, lecz kilka razy napisała z rozgoryczeniem o człowieku, który nie chciał pogodzić się z odmową. - Kit zamilkła i dopiero po chwili dodała: - Kira nazywała go „lordem Hellionem”. W wielu miejscach widziałam też krytyczne uwagi na temat klubu.

- Teraz rozumiem, dlaczego ich śledziłaś. - Lucien zmarszczył brwi. - Ale po co podejmowałaś aż takie ryzyko? Z pewnością nie miałabyś trudności z zaangażowaniem kogoś doświadczonego. Dlaczego nie zwróciłaś się do któregoś z inspektorów z Bow Street?

Dziewczyna uśmiechnęła się ponuro.

- Właśnie tak zrobiłam. Pan Jones zrobił co w jego mocy. Odnalazł stróża nocnego, który podobno widział, jak wpychano jakąś kobietę do powozu niedaleko teatru Marlowe w noc zniknięcia Kiry. Ale wtedy padało i ten człowiek nie potrafił przypomnieć sobie żadnych szczegółów dotyczących kobiety i porywaczy. Pan Jones nie był w stanie dowiedzieć się niczego więcej, choć ma informatorów w całym Londynie. Tak jakby Kira zniknęła z powierzchni ziemi.

- Więc postanowiłaś przejąć sprawy we własne ręce i ryzykować życie?

- Najlepszym sposobem na to, by dowiedzieć się czegoś o Kirze, było wcielenie się w Cassie James i poznanie otaczających ją ludzi. W teatrze tylko Cleo wiedziała, że Kira ma siostrę bliźniaczkę, i nikomu nie przyszło do głowy, że nie jestem prawdziwą Cassie James. Często widziałam Kirę na scenie, więc wcale nie było mi trudno ją udawać.

- „Wcale nie było ci trudno” stać się najpopularniejszą aktorką komediową Londynu? - zamruczał Lucien potrząsając głową.

- Nie udałoby mi się to bez pomocy Cleo. To ona opowiedziała mi o reszcie trupy teatru Marlowe i o tym, jak zachowywać się za kulisami. Kiedyś mówiłaś, że aby usunąć się w cień, Kira powinna udawać mnie, a kiedy ja chcę być zauważona, powinnam udawać siostrę. I to prawda. - Kit uśmiechnęła się gorzko. - Potrafi udawać Kirę przez kilka godzin, lecz zawsze potem jestem potwornie zmęczona. Ciężko jest cały czas błyszczeć.

- A tatuaż? - Poły jego szlafroka rozchyliły się, ukazując nagą pierś.

Kit ledwo oderwała oczy od fascynującego widoku złotych włosków rozsianych po jasnej skórze muskularnej piersi Luciena.

- Zwróciłam się do tego samego człowieka, u którego była Kira. - Potarła tatuaż. - Nadal mnie swędzi.

Lucien odsunął połą koszuli z nogi dziewczyny i przez długą, chwilę przyglądał się motylowi, tańczącemu na wewnętrznej stronie jej uda.

- Powinienem był się domyślić, kiedy go pocałowałem i zauważyłem, że jest nieco opuchnięty. Ktoś mi kiedyś mówił, że świeży tatuaż zawsze jest trochę wypukły. Zapomniałem. - Koniuszkiem palca obrysował motyla. - Przy tobie mój umysł nie pracuje jak trzeba.

Nie była już sama! Wystarczyło, że jej dotknął, a wszystko się w niej zagotowało. Odsunęła się i naciągnęła koszulę z powrotem na udo. Starając się stłumić swą reakcję na bliskość Luciena, mówiła dalej:

- Kiedy Kira zaczęła występować na scenie, obcięła włosy, żeby było jej wygodniej nosić peruki. Kazałam zrobić sobie treskę z własnych włosów po tym, jak je obciąłam. Zawsze ją noszę, kiedy jestem Kathryn.

Lucien uśmiechnął się szeroko. - Więc gdybym wcześniej sprawdził twój kok, dowiedziałbym się prawdy. Nic dziwnego, że wtedy u ciotki byłaś taka chłodna.

- Kathryn najczęściej jest chłodna - odparła lodowato, po czym dodała naturalnym tonem: - Zadziałało, prawda?

- A jakże - zgodził się bez zmruczenia oka. - Czy Kira naprawdę jest leworęczna?

- Nie, praworęczna. Jesteśmy swymi lustrzanymi odbiciami. Musiałam skłamać, skoro widziałeś, że jestem leworęczna udając Kirę. Nikt inny nigdy nie zauważył tej drobnej różnicy.

- Takie podwójne życie musi być trudne.

- To mało powiedziane. - Odgarnęła włosy z czoła. Po pierwszym szoku związanym z utraceniem grzywy włosów, które nosiła przez całe życie, czuła się teraz wyjątkowo swobodnie.

- Nigdy nie udałoby mi się bez pomocy cioci Jane, Cleo, czy pana Jonesa. Cały czas kursowałam między życiem Kristine a życiem Kathryn, zostając na noc w tym domu, który akurat był bliżej.

- Czy twoje podchody przyniosły jakikolwiek skutek?

- Właściwie nie. - Westchnęła. - Obserwowałam wielu mężczyzn przewijających się

przez życie Cassie James, głównie w salonie po przedstawieniach. Starłam się dostrzec fałsz w czymś głósie lub może cień zaskoczenia czy sugestii, że nie mogę być prawdziwą Cassie James. Jednak szczęście mi nie dopisało.

- Może człowiek, który ją porwał, nie był od tego czasu w teatrze Marlowe, i nie wie, że Cassie James nadal występuje na scenie.

- I ja tak myślę. - W jej głósie pojawiła się cyniczna nutka.

- Gdyby ten człowiek mnie zobaczył, pomyślałby, że jestem bliźniaczą siostrą Kiry, i mnie też by porwał. Już dawno temu przekonaliśmy się, że niektórzy mężczyźni oddaliby wszystko, aby tylko przespać się z bliźniaczkami. Po śmierci mojego ojca jeden z jego znajomych ofiarowywał nam tysiąc funtów w zamian za spędzenie z nim nocy.

Oczy Luciena zwały się w dwie niebezpiecznie lśniące szparki.

- Powiedz mi, jak się nazywał, a wyzwę świnie na pojedynek. Jestem całkiem niezłym strzelcem.

Kit zamruwała niepewnie powiekami. - Mówisz to poważnie? Nie ma takiej potrzeby. Kira zareagowała wylaniem mu całego dzbanka gorącej herbaty na kolana. Uważaliśmy, że to stosowna odpowiedź na taką zniewagę.

- Powinienem być się domyślić, że potraficie o siebie zadbać.

- Tak było kiedyś. - Spuściła wzrok na kieliszek i zaczęła obracać go w dłoniach... - Musiałabym mieć doprawdy wiele szczęścia, by zlokalizować porywacza Kiry, nie robiąc nic innego niż odgrywanie roli Cassie James. To nie wystarczało, przeszukiwałam więc domy Hellionów i starałam się bywać na ich zebraniach.

- A czego dokładnie szukałaś? Czy Kira zostawiła coś w swym dzienniku, co mogłoby posłużyć ci za wskazówkę?

- Obawiam się, że nie. - Kit zsunęła się z łóżka wiedząc, że Lucien nie będzie w stanie zrozumieć jej wyjaśnienia. Nie rozumiała go ani Cleo, ani pan Jones, ani nawet ciocia Jane, która znała je przecież od dziecka. - Z początku sama nie byłam pewna, lecz w końcu zdałam sobie sprawę, że szukam... jakiegoś znaku... czekam, aż poczuję, że dany człowiek jest, lub był, blisko Kiry. Jestem jak pies kręcący się w kółko, szukający zapachu, z tą tylko drobną różnicą, że to, czego ja szukam, nie jest materialne.

- Czy możesz to jakoś lepiej wyjaśnić? - zapytał zaintrygowany Lucien.

Dziewczyna zawahała się.

- To coś w rodzaju rozpoznania obecności Kiry. Zawsze wchodząc do domu czy sklepu potrafiłam powiedzieć, czy ona tam niedawno była.

- Fascynujące. Czy Kira potrafi tak samo wyczuwać twoją obecność?

- Do pewnych granic tak, choć nie do końca. - Uśmiechnęła się krzywo. - To dziwne... ale kiedy byłyśmy małe, ja często czytałam niemieckie romanse, a Kira snuła plany, co byśmy zrobiły, gdyby jedną z nas porwał zły czarnoksiężnik. Z perspektywy czasu zdaje się to dziecinną zabawą, lecz było w tym też coś niepokojącego. Przysięgałyśmy, że ta porwana będzie cały czas myśleć o ciemniźcielu, tak by ta druga mogła go bez trudu poznać, nawet z wielkiej odległości. Kiedy wybierałyśmy się na konną przejażdżkę, jedna z nas wymyślała kryjówkę, gdzie się spotkamy, a druga musiała przyjechać w to miejsce. Z czasem stałyśmy się wyjątkowo dobre w odgadywaniu nawzajem swych myśli.

Lucien dopił brandy i odstawił kieliszek na nocny stolik.

- Czy twoje poszukiwania przyniosły już jakieś rezultaty?

- Niestety nie - odrzekła ponuro. - W każdym razie nie takie, jak bym sobie tego życzyła. Byłam w stanie wyeliminować większość młodszych Hellionów, lecz ze starszymi, z Wyznawcami, nie jest to takie proste. Odnoszę wrażenie, że Kira знаła ich wszystkich i żadnego z nich nie lubiła. - Zaczęła przechadzać się po pokoju. - Przyjechałam do Blackwell Abbey z myślą, że to Harford. Nie mogłam tego stwierdzić na sali balowej, więc zgodziłam się pójść z nim do jego sypialni. Dopiero tam zdałam sobie sprawę, że to nie on. Wiem na pewno, że spotkał Kirę, lecz to nie on ją więzi. Gdyby to on ją porwał, zareagowałby jakoś, widząc moją twarz.

- A co z lordem Mace'em?

- To następny główny podejrzany. Miałam nadzieję znaleźć tu jakieś ślady obecności Kiry, lecz jestem gotowa przysiąc, że nigdy nie przekroczyła progu Blackwell Abbey. Nigdy nie była też w posiadłości lorda Chiswicka.

- Człowiek, który ją porwał, wcale nie musi koniecznie przetrzymywać jej we własnym domu.

- To prawda. - Kit potarła palcami skronie, starając się pozbyć bólu, który zawsze czuła na myśl o zniknięciu siostry. - Jest stanowczo zbyt wiele możliwości. Ludzi tak potężnych, jakimi są Wyznawcy, nie można oskarżyć, nie mając niepodważalnych dowodów, a ja nie mam nic. Nic oprócz własnych uczuć. A one mówią mi, że czas ucieka.

- Twoja więź z siostrą jest najlepszym narzędziem, jakie mamy. - Lucien zamyślił się.  
- Musimy jeszcze znaleźć sposób, jak się nim posługiwać.

Dziewczyna poczuła ogromną ulgę. Uwierzył jej bez wahania i chciał pomóc! Będzie doskonałym sprzymierzeńcem. A przede wszystkim rozumiał więź łączącą ją z Kirą.

Niesamowite. Jej oczy zwięzły się, kiedy przyglądała mu się coraz baczniej.

- Skąd tyle wiesz o bliźniętach? Umknął spojrzeniem w bok. - Zawsze uważałem ten

fenomen za fascynujący, więc rozmawiałem ze wszystkimi bliźniętami, jakie tylko spotkałem na swej drodze.

Teraz, kiedy już nie myślała o siostrze, Kit zdała sobie sprawę, że tak jak on potrafi rozumieć jej doznania, to ona wyczuwa jego emocje. I coś się kryło za jego słowami, coś bardzo ważnego...

- Jest jeszcze coś, prawda? Opowiedz mi o tym, Lucien. Zamknął oczy, a twarz wykrzywił mu spazm bólu. Potem, nie mogąc zbyć jej pytania, tak jak ona nie potrafiła zbyć jego pytań milczeniem, rzekł z ogromnym smutkiem w głosie:

- Wspominałem ci kiedyś, że miałem siostrę, która umarła. Elinor była nie tylko moją siostrą. Była moją bliźniaczką.



Kit patrzyła na niego z przerażeniem.

- Dobry Boże, miałaś siostrę bliźniaczkę, która umarła? Jak ty to zniosłeś?

- Bardzo źle. - Jego spokój gdzieś zniknął, pozostawiając pustkę i... ból. - To było tak, jakbym był rozdarty na pół.

Wciągnęła głęboko powietrze, po czym bez słowa podeszła do niego i mocno objęła.

Przytulił twarz do jej piersi drżąc na całym ciele. Nie płakał. Może gdyby zapłakał, byłoby to łatwiejsze do zniesienia.

Kit gładziła go po głowie, po karku. Podejrzewała, że rzadko, jeśli w ogóle, rozmawia z kimkolwiek o swej stracie. Miała także wrażenie, że już najwyższy czas, by to zrobił.

- Opowiedz mi o Elinor - wyszeptała.

Delikatnie wyswobodził się z jej objęć i wstał z łóżka.

- Linnie była pół godziny młodsza ode mnie. Podobno lekarze wróżyli jej rychłą śmierć, mówili nawet, że może nie doczekać świtu. A jednak zaskoczyła wszystkich. Oczywiście, nie byliśmy identyczni, a jednak bardzo podobni, choć ona była o wiele młodsza. Ludzie często uważali, że jest młodsza ode mnie nawet o dwa, trzy lata. - Spacerował po pokoju. - Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczą właśnie jej. Zawsze była obok mnie, zawsze uśmiechnięta. Była cichutka, delikatna, wyglądała na zjawę nie z tego świata, a jednak była bardzo mądra i spostrzegawcza. Kiedyś, gdy mieliśmy po cztery, może pięć lat, usłyszałem, jak niania mówi, że lady Elinor jest nam tylko pożyczona przez anioły i że nie zabawi zbyt długo na ziemi. Przysięgałem sobie, że udowodnię, iż niania się myli, że nie pozwolę Linnie umrzeć. Miałem jakiś szósty zmysł, jeżeli o nią chodziło... zawsze wiedziałem, kiedy ma kłopoty. Kiedy była chora, pożyczalem jej... moją siłę. Pewnego dnia zeskoczyłem jak oparzony z konia na biegunach i złapałem ją w samą porę. Starła się zwabić ptaszka do domu i nie uważała. Lada moment wypadłaby przez okno. - Uśmiechnął się lekko. - Ona też zawsze wiedziała, co się ze mną dzieje. Kiedyś spadłem z kucyka, tak że straciłem przytomność, a ona przyprowadziła ojca na miejsce wypadku. Niektórzy myśleli, że jestem tym „dominującym” bliźniakiem, lecz to nie było prawdą. Choć Linnie była łagodna i cichutka, to ona zawsze rządziła. Nie potrafiłem niczego jej odmówić. Miała w sobie jakiegoś psotliwego chochlika, lecz kiedy doszło co do czego, to ja zawsze brałem winę na siebie i to mnie karano, jako starszego. Jej się to bardzo nie podobało, lecz nie mógłbym znieść, gdyby to ją miała spotkać kara. Tylko w tej jednej sprawie zawsze stawiałem na swoim. Myślałem, że obronię ją przed wszystkim. - Zatrzymał się przy oknie i

odsunął ciężkie zasłony jedną ręką, by wyrzecz w ciemność nocy. - A jednak nie udało mi się.

- Ile miałeś lat, kiedy ją straciłeś?

- Jedenaście. - Nastąpiła długa cisza. - Moi rodzice byli nieugięci, i gdy miałem dziewięć lat, posłali mnie do szkoły z internatem, choć błagałem ich, by pozwolili mi zostać i uczyć się razem z Linnie w Ashdown. Rozłąka z nią była najgorszym doświadczeniem w całym moim życiu. Gdy wyjeżdżałem, musieli nas siłą rozdzielać, bo trzymaliśmy się w objęciach, płacząc histerycznie. Rodziców martwiło to, zwłaszcza matkę, lecz miałem być następnym hrabią Strathmore, a wszyscy Strathmore'owie uczęszczali do Eton, nie było więc wyboru. Pierwsze tygodnie w Eton spędziłem samotnie. Całe noce płakałem, a Linnie w domu robiła to samo. Co dzień pisaliśmy do siebie długie listy. Żyłem tylko dla tych listów.

Kit wzdrygnęła się na myśl, że dzieci zostały tak brutalnie od siebie oderwane. Kiedy ona i Kira zostały rozdzielone, przynajmniej były już dorosłe.

- Od małego byłeś przyzwyczajony do głębokiego związku z innym człowiekiem. Może dlatego udało ci się nawiązać tak trwałe przyjaźnie w Eton. Zmarszczył brwi.

- Nigdy tak o tym nie myślałem, ale możliwe, że masz rację. Z pewnością miałem wiele szczęścia. Kilka dni po przyjeździe do szkoły poznałem Michaela. Znalazł mnie płaczącego w kącie kaplicy. Inni z pewnością by się ze mnie śmiali, lecz Michael zapytał, co się stało. Powiedziałem, że tęsknię za siostrą bliźniaczką. Pomyślał nad tym chwilę i zdradził mi, że jego starszy brat to bezrozumna bestia, po czym spytał, czy byłbym zainteresowany zostaniem jego przybranym bratem. - Lucien uśmiechnął się na to wspomnienie. - Potem Eton nie było już takie złe. Linnie i ja przyzwyczailiśmy się do rozłąki, choć żadne z nas tego nie polubiło. Myślę, że jej było o wiele ciężiej, gdyż nie miała nowych przyjaciół ani zajęć, które by ją zajmowały. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem do domu, była coraz bledsza, niemal przezroczysta, a jednak wciąż tak samo żywiołowa. Była jak płomień, który jest zbyt jasny dla lampy.

- Czy umarła na jakąś chorobę? - zapytała cicho Kit.

- Nie. Zdarzył się wypadek. Głupi, okropny wypadek. - Lucien zacisnął dłoń na zasłonie. - Zbliżał się już koniec ferii bożonarodzeniowych i niedługo miałem wracać do Eton. Odwiedziliśmy dalekich kuzynów i właśnie jechaliśmy do domu jednym z tych ogromnych powozów, które były wtedy modne. Niedaleko drogi znajdowały się jakieś stare rzymskie ruiny. Linnie bardzo chciała je zobaczyć, więc błagałem ojca, by nas tam zabrał. Wreszcie się zgodził... już wtedy potrafiłem być bardzo przekonujący. Gdyby nie to... - Głos uwiązł mu w gardle, a twarz okropnie pociemniała.

- Powóz się rozbił? Przełknął ślinę.

- Padało od wielu dni i ziemia była rozmiękła. Jechaliśmy stromym zboczem tuż nad jeziorem, kiedy ziemia usunęła się spod kół powozu. Zaczęliśmy się zsuwać w dół, a konie kwiczały i szarpały się w przerażeniu. Woźnica i służący, który jechał na dachu, spadli i oprócz małych draśnięć nic im się nie stało. W środku powozu panował istny chaos, kiedyśmy tak we czwórkę objali się o siebie. - Oderwał się wreszcie od okna i odwrócił twarzą do dziewczyny. - Powóz wpadł do jeziora. Jedno z okien się zbiło i do środka natychmiast zaczęła wlewać się woda. Nawet nie pamiętam, bym pomyślał o rodzicach. Może oboje stracili przytomność podczas tej karkołomnej podróży w dół zbocza? Nie mieli najmniejszej szansy. Złapałem Linnie i wyciągnąłem przez strzaskane okienko. Woda była przeraźliwie zimna i w ciągu kilku sekund byłem otepiały z zimna. Kopyto jednego z koni strzaskało mi kostkę, ale zupełnie tego nie czułem. Udało mi się jakoś dopłynąć do brzegu wraz z Linnie, choć nasze ubrania natychmiast nasiąknęły wodą i obawiałem się, że pociągną nas na dno. Wiatr był przeszywający i przeraźliwie zimny. Linnie jeszcze oddychała, lecz wiedziałem, że umrze, jeżeli szybko nie znajdę jakiegoś schronienia. Po drodze mijaliśmy jakąś chatę, więc starałem się tam donieść siostrę. Pamiętam, że ogarniała mnie wściekłość na to, że przez ranną kostkę idę zbyt wolno. Tak bardzo ją wtedy . nadwerżyłem, że do tej pory mam z nią kłopoty. Kiedy do chaty ; było już całkiem blisko, Linnie uniosła dłoń i dotknęła mojej twarzy. Uśmiechnęła się do mnie najcudowniejszym, najsmutniejszym uśmiechem. Wiedziałem, że w ten sposób się ze mną żegna. I wtedy... wtedy... - Głos mu się załamał i minęło sporo czasu, nim dokończył ledwie słyszalnym szeptem: - Poczułem w tej chwili, że dusza z niej uchodzi.

Kit znów podeszła do Luciena i przytuliła go. Coś ścisnęło ją za serce, gdy na niego patrzyła.

- To nie była twoja wina - powiedziała łagodnie. - Gdyby nie twoja opieka, być może Linnie nigdy nie dożyłaby jedenastu lat. Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy.

- A jednak to było za mało - odrzekł bez wyrazu. - Absurdalne, prawda? Dorosły mężczyzna oplakuje dziecko, które umarło ponad dwadzieścia lat temu. Straciłem rodziców i dzieciństwo tego samego dnia. To było okropne, lecz przetrwałem i jakoś z tym żyję. A jednak ból po stracie siostry zawsze mi towarzyszy.

- Linnie była twoją bliźniaczką, twoim drugim ja. - Kit miała łzy w oczach. - Pewna Cyganka powiedziała kiedyś Kirze i mnie, że bliźnięta to ludzie, którzy w poprzednim życiu byli sobie bardzo bliscy. Że to więź mocniejsza od śmierci.

- A więc rozumiesz. - Głos mu drżał. - Myślę, że tylko ktoś, kto ma siostrę albo brata bliźniaka potrafi to zrozumieć. Może dlatego nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Och, Kit,

Kit...

Przywarł ustami do jej warg i całował ją z jakąś dziwną desperacją. Silne przeżycia, jakich oboje doświadczyli, zapłonęły nagle namiętnością. Szlafrok sam zsunął się z niego, ona zrzuciła koszulę przez głowę. Natychmiast znaleźli się w łóżku i Kit poczuła na sobie ciężar Luciena. Błądziła dłońmi po jego ciele, ucząc się, jak sprawić mu przyjemność. Jego gorące usta znajdowały sekretne, wrażliwe miejsca, wzniecając głód, który by ją zawstydził, gdyby już dawno nie przekroczyła granicy wstydu.

A potem się połączyli, tak naturalnie, jakby oddychali. Nieśmiałość stopniała w żarze nieomal bolesnej namiętności i zapamiętania. I było już tylko słodkie szaleństwo, które zaprowadziło Kit na skraj świata.

Gdy leżeli wycieńczeni, obejmując się, czuła tylko dziwne ukojenie i radość, która wypełniała każdą komórkę jej ciała i każdy skrawek przerażonego umysłu. Po raz pierwszy, odkąd zaginęła Kira, poczuła, że naprawdę nie jest sama.

Wystraszyła ją ta myśl, więc natychmiast ją stłumiła. Czule gładziła Luciena po plecach. Nie miała pojęcia, że ciało mężczyzny może być takie piękne, podobnie jak nie miała pojęcia, że kobieta może odrzucić reputację i majątek dla mężczyzny i namiętności. Nadal uważała, że to wyjątkowo niemądre, lecz rozumiała, i to jak rozumiała.

- Musimy uważać, żeby nie wpaść w nałóg - odezwał się Lucien. Uśmiechnęła się.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli się pobrać?

- rzekł nawijając kosmyk jej włosów na palec.

Jego słowa podziały niczym lodowaty strumień wody.

- Co takiego? - Poderwałyby się z łóżka, gdyby jej nie powstrzymał. - Chyba oszalałeś!

- Ależ skąd - odparł spokojnie. - Znasz zasady, równie dobrze jak ja. Kiedy dżentelmen kompromituje damę, tylko jego nazwisko może zmyć hańbę. W związku z czym ofiarowuję ci moje nazwisko.

- Czy powiedziałbyś to samo do Kristine? - spytała walcząc z myślami.

- Sytuacja byłaby wtedy nieco inna. Twoja siostra postanowiła odwrócić się plecami do społeczeństwa i jego zasad. Ty nie... ty cały czas prowadziłaś poprawne życie mieszkając u ciotki.

- Uśmiechnął się i obrysował kontur jej ucha opuszką palca.

- Sama powiedziałaś, że dżentelmen nie traktuje w taki sam sposób damy i aktorki. Pomimo naszych niecznych poczynań w tym pokoju, nadal jesteś damą. W towarzystwie ja jestem uważany za dżentelmena. Ergo: nie pozostało nam nic innego niż małżeństwo.

Pomimo jego żartobliwego tonu Kit była przekonana, że mówi śmiertelnie poważnie. Wyczuwała, że ma silny instynkt opiekuńczy, szczególnie rozwinięty wobec kobiet, co być może wiązało się z jego siostrą. Jednak zdawała sobie sprawę, że to nie są dobre ' podstawy do budowania małżeństwa.

Światło świec igrało na jego muskularnym torsie i wywoływało srebrne błyski na włosach. Był wspaniały - nagi, nieprzyzwoicie męski anioł, który porzucił niebo, aby zawładnąć ziemskimi przyjemnościami. Jak by to było zostać jego żoną? Doświadczać co noc zmysłowych rozkoszy?

Była to niebezpiecznie pociągająca myśl. Z trudem łapała się resztek rozsądku.

- Lucien, nie jesteś zbyt przekonujący w roli obrońcy moralności. Nie wierzysz w reguły ustalane przez społeczeństwo, a na pewno ich nie przestrzegasz.

- Może faktycznie nie zawsze ich przestrzegam - zgodził się spokojnie - lecz wierzę w nie z całym przekonaniem. Poza tym społeczeństwo jest bardzo surowe w swych sądach. Niszczy tych, którzy odważyli się złamać zasady. Nie pozwolę, by zniszczono ci życie po tym, jak bezmyślnie odebrałem ci dziewictwo.

- W głębi serca jestem równie niekonwencjonalna co Kira... tylko brakowało mi jej odwagi - upierała się Kit. - Ponoszę taką samą odpowiedzialność jak ty za to, co się stało. Nie ma potrzeby, byś poświęcał siebie na ołtarzu dżentelmeńskiego honoru.

Wzruszył ramionami.

- To nie będzie żadnym poświęceniem. Jak na to wskazują moje kontakty z paniami, już najwyższa pora, bym się ożenił, a ty jesteś doprawdy więcej niż tylko odpowiednią partią.

- Przesunął dłonią po brzuchu dziewczyny i zatrzymał ją na jedwabistych włoskach między udami. - Zawsze jest możliwość, że pojawi się dziecko. To jedna z tych konsekwencji, których nie sposób ukryć.

Urodzić jego dziecko...

- Szansa na coś podobnego po jednej wspólnej nocy jest niewielka - rzekła pewnym głosem. - Mamy jeszcze sporo czasu, by się o to martwić.

Kiedy otwierał usta, by kontynuować argumentację, Kit próbowała połączyć się myślami z Kirą, by szukać w niej oparcia i siły na stawianie czoła Lucienowi.

Tylko że Kiry nie było.

Ogarnęła ją panika. Zesztywniała.

- Kira!

- Co się stało? - zapytał ostro Lucien.

- Nie mogę jej znaleźć! - wykrztusiła stłumionym głosem, jakby się dusiła. - Próbowałam połączyć się z nią myślami i... nie ma jej!

Lucien spojrział w oczy Kit i ujął jej głowę. Dziewczyna poczuła, jak spływa na nią część jego siły.

- Zamknij oczy, odpreż się i oddychaj głęboko - polecił spiętym głosem. - Raz. Dwa. Trzy. Oddychaj, do diabła! Raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

Zmusiła się do dostosowania do jego rytmu. Kiedy jej oddech wrócił do normy, Lucien rzekł cicho:

- Spróbuj jeszcze raz.

W panice raz jeszcze sięgnęła w głąb siebie, szukając tej nici, która zawsze prowadziła ją do siostry. Z ogromną ulgą, tak potężną, jak przed chwilą strach, poczuła ciekłą więź łączącą ją z siostrą od zawsze. Pulsowała mocno i rytmicznie.

- Wszystko w porządku - wyszeptała złamanym głosem. - Nic się jej nie stało.

- Dzięki Bogu. - Lucien otulił kołdrą drżące ciało Kit i przyciągnął ją do siebie.

Otworzyła oczy i zobaczyła zatroskanie wymalowane na jego twarzy. Zdziwiło ją, jak bardzo się przejął. Nie spotkała do tej pory nikogo, kto tak dobrze potrafiłby zrozumieć jej przerażenie. - Sądzę, że powinniśmy się jak najszybciej pobrać - powiedział spokojnym głosem, jakby nic się nie stało. - To pomoże nam w szukaniu Kiry.

- Nie, Lucien - odrzekła tonem, jaki jej siostra uznalaby za ostateczny. - Naprawdę nie rozumiesz? To, co się stało przed chwilą, zdarzyło się tylko dlatego, że namiętność załamała moje zmysły. Nie mogę ryzykować, że zdarzy się to po raz drugi. Sam powiedziałeś, że mój kontakt psychiczny z Kirą jest najlepszą szansą na jej odnalezienie. Jeżeli zostaniemy kochankami, mogę to stracić.

- Mówiłem o małżeństwie, a nie romansie - sprostował z miną pokerzysty.

- Małżeństwo byłoby jeszcze gorsze. - Przymknęła oczy, bo nie śmiała spojrzeć mu w twarz. - Lucien, nie mogę być twoją kochanką, nie mogę nawet myśleć o naszej wspólnej przyszłości, dopóki Kira jest w niebezpieczeństwie. - Głos jej się załamał. - A jeżeli ona umrze, to nie widzę dla siebie żadnej przyszłości, gdyż nie wyobrażam sobie życia bez niej.

- Człowiek potrafi wiele przetrwać - powiedział cicho, lecz nie udało mu się ukryć

bólu brzmiącego w każdym słowie. - Ale rozumiem cię. No dobrze, odłóżmy nasze plany do czasu odnalezienia twojej siostry. Ale uprzedzam cię, że gdy nadejdzie czas, nie przyjmę odmownej odpowiedzi.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Kiedy to przemyślisz, na pewno odechce ci się zachowywać jak dżentelmen. Jak wiesz, jestem ekscentryczną sawantką i wcale nie nadaję się na hrabinę dla oszałamiającego bywalca salonów.

- Innymi słowy, obawiasz się, że jestem zbyt konwencjonalny, by zaakceptować twoją karierę dziennikarza. Właściwie to jeden z twych uroków - zauważył ze śmiertelną powagą. - Poślubienie kobiety, która ma tyle różnych twarzy, byłoby fascynujące. To tak, jakbym miał cały harem w postaci jednej tylko żony. Ani przez chwilę nie będę się nudził. Zgadzam się z większością twoich poglądów, pomijając te miejsca, gdzie na siłę starasz się być prowokacyjna.

Patrzyła na niego wytrącona z równowagi.

- Nie rozumiem.

- Nie wierzyłem, by Kristine była L. J. Knightem, ale to, co on pisze, pasuje mi do Kathryn. - Spojrzył na nią spod oka. - Czyżbym się mylił?

- Nie - przyznała ponuro. - To akurat jest prawdą. Knight to panięskie nazwisko mojej matki. Zaczynam podejrzewać, że nigdy się nie mylisz.

- I to mówi kobieta, która tygodniami wodziła mnie za nos. Przyglądała mu się uważnie. Zawsze czuła, że istnieje dwóch Lucienów - jeden jest figurą publiczną, a drugi prawie wcale się nie pokazuje. Teraz była tego pewna.

- Wcale nie jesteś zwykłym dżentelmenem, jakiego udajesz, prawda? Powinam już wcześniej się zorientować, że twój sposób obserwacji i analizowania wszystkiego nie jest naturalny. Czym się zajmujesz?

Tym razem to on został wytrącony z równowagi.

- Miałem złudną nadzieję, że może się nie domyślisz - powiedział po małej przerwie. - Wystarczy jednak, jeżeli powiem, że wojna z Francją uświadomiła niektórym wartość informacji, więc nauczyłem się zwracać uwagę na szczegóły i przekazywać istotne materiały rządowi.

- Jeżeli tak to nazywasz... - rzuciła sceptycznie. - Powiedziałabym jednak, że jesteś raczej jakimś doskonałym szpiegiem ukrywającym się za fasadą rozpustnika.

Jego oczy robiły się coraz bardziej zielone. Ktoś inny mógłby tego nie zauważyć, lecz dla Kit był to niezbity dowód, że ma rację.

- Więc to dlatego chciałeś zostać Hellionem! - zawołała z triumfem w głosie. - To wiele tłumaczy.

- Zawrzyjmy pokój, kobieto, błagam. - Uniósł ręce w geście poddania. - Będę się musiał wypowiadać ze wszystkiego, tak?

- Myślę, że to uczciwe. W końcu dzisiejszej nocy nie dość, że wywróciłeś moje życie do góry nogami, to jeszcze obejrzałeś je sobie dokładnie.

- Właściwie nie ma oficjalnej nazwy na stanowisko, które zajmuję, lecz byłem zaangażowany w pracę brytyjskiego wywiadu od czasu, gdy ukończyłem Oxford. Przyjaciół powiedział mi kiedyś, że jestem niczym pająk siedzący pośrodku ogromnej pajęczyny i rozgryzający raporty przychodzące z całej Europy.

- Nie wyglądasz mi na pająka, nie masz wystarczającej liczby nóg. Uśmiechnął się szeroko.

- Czasami zajmuję się także sprawami w kraju, zwłaszcza dochodzą mnie niepokojące wieści z zagranicy. W tym przypadku mam podstawy, by podejrzewać, że jeden z Hellionów jest od wielu lat francuskim szpiegiem. Teraz, gdy do Anglii docierają plotki o Napoleonie wracającym do władzy, trzeba za wszelką cenę powstrzymać owego niktzemnika. Jednak, jak na razie, też nic nie znalazłem. - Spojrzał na nią przeciągle i wsunął dłoń pod koc, by pogłaskać jej piersi. - Chyba dlatego, że prawie całą moją uwagę skupiała pewna irytująca młoda dama.

Zaśmiała się i nagle zeszywniała, gdy dotknął jej sutka. Z nieszczęśliwą miną złapała jego dłoń i wyciągnęła na koc.

- Nie rób tego, proszę. Namiętność to luksus, na który mnie teraz nie stać. Wiąz łącząca mnie z Kirą nie jest już tak mocna jak niegdyś i nie mogę pozwolić, by i to mi umknęło.

- I tak wasza więź jest zaskakująco silna, jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że od dawna nie mieszkaliście razem i obracałyście się w różnych środowiskach.

- Być może, lecz Kira od czasu, jak zaczęła żyć po swojemu, miała przede mną tajemnice. - Kit uśmiechnęła się niewesoło. - Podejrzewam, że uważała mnie za zbyt niewinną, by opowiadać mi o szczegółach aktorskiego życia. Było to dla mnie wyjątkowo frustrujące... wyczuwałam gwałtowne wahania jej samopoczucia, ale nie miałam wystarczających wiadomości, by właściwie je odczytać.

Lucien zmarszczył czoło.

- To mogłoby się nam przydać. Czy w ciągu tych ostatnich kilku lat wyczułaś coś szczególnego?



- Na początku Kira była szczęśliwa, wprost promieniała. Potem coś się stało i była w fatalnym stanie. Podejrzewam, że się zakochała i że się to źle skończyło. - Kit westchnęła ciężko. - Nie chciała ze mną o tym rozmawiać, nie chciała nawet przyznać się, że w ogóle kogoś poznała, ale od tego czasu nie była sobą. Tak jakby straciła nieco swego blasku.

- To, że cię odsunęła od siebie, musiało bardzo boleć - zauważył cicho Lucien.

Kit nie odpowiedziała. W tej chwili wolałaby, żeby Lucien był trochę mniej wrażliwy. Wystarczająco ciężko było jej żyć ze świadomością, że siostra cierpi.

- Założyliśmy, że ten „lord Hellion”, o którym Kira pisała w notatniku, jest jej porywaczem, lecz może się mylimy - powiedział nagle Lucien. - Czy jest możliwe, by porwał ją dawny kochanek?

Dziewczyna zastanawiała się chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- Nie sądzę... to zdarzyło się jakieś dwa, może trzy lata temu. Poza tym odnoszę wrażenie, że to on ją zostawił, nie ona jego. Więc dlaczego miałby ją porywać?

- Czy bywały chwile, kiedy Kira się czegoś bała?

- Tylko przed premierą, ale to był zupełnie inny rodzaj strachu. - Kit skrzywiła się. - Zrozumiałem, co znaczy trema, przez te kilka tygodni, gdy udawałam Kirę.

- Podoba ci się występowanie na scenie? Doskonale ci to wychodzi. Masz dokładnie tę samą zdolność oczarowywania publiczności, o jakiej wspomniałaś mówiąc o siostrze.

- Pożyczyłam ją od niej na chwilę. - Kit myślała nad czymś przez dłuższą chwilę. - Aplauz publiczności jest podniecający i cieszę się, że miałam możliwość go doświadczyć. To mi pewnie pomogło zrozumieć Kirę? Ale żeby dobrze grać, trzeba też ujawnić coś ze swego osobistego życia, a ja tego nie znoszę. O wiele lepiej czuję się za kulisami.

- Najwyraźniej twoim przeznaczeniem jest pisanie, podobnie jak przeznaczeniem Kiry jest występowanie na scenie. - Delikatnie pogłodził ją po policzku. - W bliźniętach o wiele bardziej fascynujące jest to, co je odróżnia, a nie to, co upodabnia. Jeżeli kiedyś przypomnisz sobie coś więcej, zapisz i powiedz mi później. Może ja zauważę coś, co tobie umknęło.

Przez chwilę leżeli obok siebie w milczeniu. Kit pomyślała z nagłym smutkiem, że taka noc już nigdy się nie powtórzy. Wreszcie usiadła i zsunęła nogi na podłogę.

- Już najwyższy czas, bym sobie poszła. Zaraz nadejdzie świt.

- Jakoś nie mam ochoty spuszczać cię z oczu.

- Nie dziwię ci się. - Wstała i zaczęła wdziawać pomięte ubranie. - Ale nie masz się czym martwić. Jak już powiedziałaś, rozpaczliwie potrzebuję pomocy. Obiecuję więc, że tym razem nie zniknę. - Gdzie mieszkała twoja siostra?

Jeżeli to był sprawdzian, dziewczyna przeszła go bez zmrużenia oka.

- Na Marshall Street numer siedem. Połowę swego czasu spędzam tam, a połowę u cioci Jane. Jednak zawsze po przedstawieniu zostaję w mieszkaniu Kiry.

Lucien uśmiechnął się.

- Kiedy wyjadę z Blackwell Abbey, muszę na chwilę odwiedzić Ashdown, ale wrócę do Londynu we wtorek wieczorem.

- We wtorek będę grać w *Cyganeczce*. Może spotkamy się po przedstawieniu w mojej garderobie? - Coś zamigotało w jej oczach.

- Tym razem z własnej woli pójdę z tobą na kolację. Nie będziesz musiał mnie porywać.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, porywanie cię było wtedy wyjątkowo nie na miejscu. Wcale się nie dziwię, że byłaś wściekła.

- Spojrzał na nią zamyślony. - Czyżbyś podejrzewała, że to ja porwałem twoją siostrę?

- Właściwie nie. Wiedziałam, że powinnam... informacje o tobie były raczej dość tajemnicze i niepokojące... ale jakoś nie mogłam uwierzyć, że człowiek, który ciągle ratuje mnie przed pijanymi Hellionami, może być porywaczem. - Skrzywiła usta w uśmiechu.

- Poza tym, gdybyś kiedykolwiek spotkał Kirę, nie musiałbyś jej porywać. Doskonale pasowalibyście do siebie.

- Dobrze wiedzieć, że moja doskonała reputacja jednak na coś się zdała. - Wstał z łóżka i także zaczął się ubierać. - Zobaczymy się we wtorek wieczorem, chyba że drogi będą wyjątkowo nieprzejezdne. Jeżeli nie pojawię się najpóźniej w godzinę po przedstawieniu, to znaczy, że coś mnie zatrzymało. Wpadnę na Marshall Street następnego ranka. - Nagle coś go rozbawiło. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak rzadko widzieliśmy się w ciągu dnia? To zupełnie jak zaloty dwóch sów.

Przekrzywiła głowę wiążąc wstążki peleryny.

- A czy to w ogóle są zaloty?

- Chyba tak, biorąc pod uwagę fakt, że wkrótce staniemy przed ołtarzem. - Podszedł do Kit i chciał wziąć ją w ramiona, lecz odsunęła się od niego zniecierpliwiona.

- Nie powinnam cię całować, Lucien. Jak już powiedziałam, namiętność jest zbyt rozpraszająca. Zatrzymał się w pół kroku.

- Miałem wrażenie, że już doświadczyliśmy potężniejszych wstrząsów.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Przy tobie nawet jeden pocałunek wystarczy, bym zapomniała, jak się nazywam.

- To miłe, lecz bardzo frustrujące. Będzie mi wyjątkowo ciężko być blisko ciebie i nie móc cię dotknąć, kotku.

- Jestem zbyt wysoka i poważna, by być kociakiem.

- Bzdury. Jesteś wyjątkowo wygodnego wzrostu i uważam, że jesteś bardzo zabawna.

- Zanim zdążyła zaprotestować, przytulił ją i ocierając się policzkiem o jej włosy, ciągnął: -  
Dziś i tak nie będziesz w stanie się skoncentrować, więc cóż może zaszkodzić jeden mały pocałunek?

Wiedział przecież, że nie potrafi mu się sprzeciwić, gdy jest tak blisko.

- Prawdopodobnie... jeden pocałunek niczemu nie zaszkodzi - odrzekła niepewnie.  
Uniosła głowę i przycisnęła usta do jego warg. Odpowiedział natychmiast mocno i słodko.

- Znajdziemy Kirę, a potem mnie poślubisz. Pogódź się z tym, moje małe tygrysiątko, gdyż zabrnęliśmy już zbyt daleko, by zawrócić. - Znowu ją pocałował, tym razem bardzo lekko.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będę mógł cię skompromitować.

Wyswobodzając się z jego objęć, uśmiechnęła się smutno. Rozpaczliwie chciała wierzyć, że mają przed sobą wspólną przyszłość, lecz nie potrafiła.

Nikt nie widział Luciena odprowadzającego Kit przez pusty dom do tylnego wyjścia. Powtarzała cały czas, że da sobie radę, lecz trudno mu było się z nią rozstać, a gdy wrócił do pokoju, nie mógł zasnąć. Niepokój i pożądanie nadal krążyły w jego żyłach. I choć te uczucia nie były przyjemne, stanowiły miłą odmianę od pustki i melancholii, które przez tyle lat towarzyszyły jego miłosnym zbliżeniom.

Wypełniała jego umysł: irytująca, złośliwa Kit, ze swą odwagą i lojalnością, ciętym językiem, frapującą inteligencją i niezwykłą zmysłowością. Fascynowało go, że to w niej mógłby odnaleźć bliskość i uczucie, które zniknęły z jego życia wraz z odejściem Elinor.

Mógłby... Lecz dla Kit najważniejsza była siostra. Kira, żywa czy martwa, może już zawsze stać między nimi. Ale przynajmniej była dla nich jakaś nadzieja.

Trudno będzie trzymać ręce z daleka od niej. Bardzo trudno...

Uśmiechnął się w ciemnościach. Kit nie mogłaby dać mu lepszej motywacji do jak najszybszego odnalezienia siostry.

## ***Interludium***

*Gorsza niż strach, prawie tak okropna jak degradacja, była nuda. Dziwne, że nawet najgorszy horror z czasem staje się banalny. Nieraz miała wrażenie, że oszaleje w tym osamotnieniu. Może i powinna się cieszyć, że więzienie jest tak wygodne, lecz nadal było to tylko więzienie.*

*Jak długo przetrzymywano ją już w tym pokoju bez okien? Z pewnością tygodnie, może nawet miesiące. Trudno było zdać sobie sprawę z upływu czasu. Tak bardzo tęskniła za słońcem czy choćby skrawkiem zachmurzonego nieba.*

*Jedyną drogą do zapomnienia była mała półeczka z książkami; wprawdzie gdyby mogła wybierać, żadnej z nich nie chciałaby mieć u siebie w domu, lecz wyboru nie miała. Ohydne, przyprawiające o mdłości książki pomogły jej jednak choć w części zrozumieć perwersyjny umysł jej dręczyciela. Przeglądała je także z nadzieją, że znajdzie nowe pomysły, co z nim robić. Uwielbiał nowości, a wiedziała doskonale, że dzień, w którym się nią znudzi, będzie jej ostatnim.*

*Niespokojnie krążyła po pokoju, gdy drzwi się otworzyły i weszła pokojówka o zaciętej twarzy. Kiedy okute żelazem drzwi się uchyliły, dojrzała potężnego strażnika stojącego za nimi. Tylko świadomość, że zawsze tam stoi, powstrzymywała ją od prób ucieczki. Jeszcze nie była na tyle zrozpaczona, by ryzykować życie. Może jeśli poczeka, nadarzy się lepsza sposobność.*

*- On przyjdzie za godzinę - powiedziała pokojówka grobowym głosem. - Chce, byś włożyła futro. Przytaknęła zrezygnowana. Jej oprawca szczególnie lubił właśnie ten kostium. Z pomocą pokojówki przebrała się szybko. Najpierw włożyła czerwoną satynową bieliznę, na nią gorset oraz nieodzowne czarne buty i koronkowe pończochy. Wreszcie na wierzch narzuciła sobolowe futro, które niemal zamiatało podłogę. Strzeliła z bata.*

*Jeżeli... kiedy już wydostanie się z tego przekłętą miejsca, będzie szczęśliwa mogąc nosić proste muśliny do końca życia.*

*Właśnie wciskała ostatni kosmyk włosów pod blond perukę, gdy pokojówka zasyczała:*

*- Myślisz, że jesteś tu bezpieczna, bo jemu podoba się to, co z nim robisz, ale sama się przekonasz. Już wkrótce skończysz tak jak wszystkie inne.*

*Odwróciła się na pięcie i spojrzała na służącą.*

*- Jakie „inne”? Co się z nimi stało? Pokojówka uśmiechnęła się jadownicie.*

*- Myślisz, że jesteś pierwszą, którą tu przyprowadził? A jeżeli chodzi o to, co się stanie... sama się przekonasz, ty wstrętna szmato!*

*Pokojówka zastukała do drzwi i strażnik natychmiast je otworzył.*

*Zacisnęła zimne dłonie na rękojeści bata. Od początku wiedziała, że to nie może się dobrze skończyć. Nie wiedziała tylko, że tak mało czasu jej zostało.*

*Już wkrótce. Przysięgła sobie, że się nie podda. Nie pójdzie spokojnie niczym owieczka na rzeź.*

Przedstawienie udało się, choć sny dręczyły Kit przez całą noc Tańcząc na scenie zastanawiała się, czy Lucien wrócił dostatecznie wcześnie, by zasiąść na widowni? Podejrzewała, że tak, gdyż miała wrażenie, że ktoś przygląda się jej z większą niż inni uwagą. Miała nadzieję, że podobał mu się widok jej tatuażu.

Ponieważ po występie czuła się wykończona fizycznie i psychicznie, pozwoliła sobie zrezygnować z wizyty w salonie. Garderoba była mała, lecz cała była do jej dyspozycji, odkąd zaczęła grywać główne role w przedstawieniach. Zdjęła czarną perukę, zmyła puder z twarzy i zdjęwszy cygański kostium włożyła jedną z sukni Kiry, o wiele bardziej wyzywającą niż jej własne kreacje. Choć nie chciała ryzykować ponownych chwil namiętności z Lucieniem, chciała go kusić. Ze zdumieniem odkryła w poprawnej Kathryn nieprzyzwoitą żyłkę.

Uśmiechała się do siebie, czesząc włosy. Trzy dni od ich ostatniego spotkania ciągnęły się w nieskończoność. Może i nie mogli się dotykać... w każdym razie nie tak, jak by chcieli... lecz już samo towarzystwo Luciena jest tak przyjemne! Przy nim wierzyła, że wszystko dobrze się skończy.

Jej rozmyślenia przerwało nagle pukanie do drzwi. Podskoczyła gwałtownie przy toalecie. Dobry Boże, zachowywała się jak zdenerwowana smarkula! Ale Lucien nie będzie miał do niej o to pretensji.

Jednak powitanie zamarło na jej ustach, gdy tylko otworzyła drzwi. To nie był Lucien. Zamiast niego, w holu stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wydało jej się, że go zna, lecz gdy przyjrzała mu się uważniej, zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd go nie widziała.

Nie był pierwszym adoratorem Cassie James, który zawędrował do jej garderoby, ani też ostatnim. Starając się zapomnieć o zawodzie, jaki przeżyła, Kit uśmiechnęła się do nieznajomego ciepło, tak jak zrobiłaby to Kira.

- Dobry wieczór. Czy podobało się panu przedstawienie?

- Czy podobało mi się przedstawienie? - Skrzywił się nieznacznie. - Ledwo je zauważyłem. Widziałem tylko ciebie. - Nie czekając na zaproszenie, wszedł do garderoby.

Najwyraźniej bardzo dobrze znał Kirę. W jaśniejszym świetle pokoju Kit zauważyła, że jest przystojny, choć bardzo szczupły, niemal wychudły. Brzydka czerwona blizna biegła przez skroń i znikwała we włosach, którym już od dawna przydałoby się strzyżenie. Był ubrany w za duże brudne odzienie, leżące na nim jak na wieszaku, a jednak nosił się z dumą

szlachcica. Starła się dopasować jego wygląd do rysopisów mężczyzn, z którymi Kira najczęściej się umawiała. Cleo musiała nie znać wszystkich.

Doszedłszy do wniosku, że przyjazna uprzejmość będzie najlepszym wyjściem, Kit rzekła:

- Wiele czasu już minęło.

- Cała wieczność. - Uniósł ręce. - Poddaję się... wraz z koniem i lancą.

Było gorzej, niż Kit się spodziewała. Nie miała wątpliwości, że nieznajomy znał Kirę bardzo dobrze. Zawahała się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Wiem, że wyglądam jak coś, co twój kot właśnie zostawił na progu, lecz na pewno nie zapomniałem nic z tego, co mi powiedziałaś ostatnim razem - rzekł mężczyzna z bólem w głosie. - Zastanawiam się, czy nie powinienem tego przypomnieć tobie?

Zanim zdążyła pomyśleć, co te zagadkowe słowa mogą znaczyć, podszedł do niej i objął ją w mocarnym uścisku. W jego pocałunku był ogromny głód i władczość.

Przerażona Kit odepchnęła go lekko i powiedziała swobodnie:

- Nie spiesz się tak. Jak już powiedziałam, minęło sporo czasu. Powiedz mi, gdzie byłeś i co porabiałeś? - Przeszła na drugą stronę pokoju zastanawiając się, ile już czasu minęło od końca przedstawienia i czy jest jeszcze jakaś szansa na pojawienie się Luciena. - Napijesz się kieliszek sherry?

Patrzył na nią z gorączką płonąca w brązowych oczach.

- Nic cię nie obchodzi, że ryzykowałem życie, by tu przyjść? Zachowujesz się tak, jak gdyby był to salon samej królowej.

Jako Kathryn z pewnością starałaby się jakoś go ułagodzić, lecz tego wieczoru była Kirą.

- A ty zachowujesz się, jakbym była twoją własnością - odparła szybko. - Ale nie jestem i jeśli natychmiast nie nabierzesz lepszych manier, będę zmuszona poprosić cię, byś wyszedł.

Przez długą chwilę w pokoju panowała napięta cisza. A potem on powiedział łagodnie:

- A więc chcesz, bym nabrał dobrych manier?

Sięgnął do krzesła stojącego przy toalecie. Kit myślała, że poprosi ją, by usiadła, on tymczasem uniósł krzesło nad głowę, po czym gwałtownie rzucił nim o ścianę. Kawałki drewna poleciały we wszystkich kierunkach; jeden strzaskał lustro.

- Przepraszam, Kiro, lecz nie jestem w nastroju do dobrych manier. - Wyraźnie próbował zapanować nad furią i przez to jego głos brzmiał jeszcze groźniej. - Ostatnie dwa

lata przetrwałem tylko dlatego, że pozbyłem się dobrych manier i stałem się dziki. A dzikości nie można odłożyć na bok jak starej koszuli.

Przywarła plecami do ściany, rozważając możliwość wezwania pomocy. Nie, i tak nikt by jej nie usłyszał.

A potem gwałtownie wciągnęła powietrze. Przetrwał dwa ostatnie lata...

Fragmety układanki wreszcie wskoczyły na miejsce. To był mężczyzna, w którym Kira zakochała się kilka lat temu. To dlatego wydawał się Kit znajomy, choć nigdy dotąd go nie widziała. Może nie opuścił jej siostry z własnej woli... może trafił do więzienia... Tak, tego mężczyznę stać było na szaleństwo, ba, nawet na okrucieństwo. To tłumaczyłoby smutek Kiry i jej niechęć do mówienia o całej sprawie.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co wycierpiałeś - rzekła starając się, by zabrzmiało to wiarygodnie. - Opowiedz mi, co się stało.

- Nie przyszedłem tu, by rozmawiać o moich nieszczęściach. Przyszedłem tu po ciebie. Zawahała się. Jeżeli jej siostra była zakochana w tym człowieku, Kit nie powinna go odsyłać. Powinna mu wyjaśnić, kim jest, i wierzyć, że on zachowa to w tajemnicy. Może nawet wiedział coś, co pomogłoby w odnalezieniu Kiry.

Czas płynął, a Kit wciąż nie wiedziała, co zrobić.

- Zastanawiasz się, jak mi powiedzieć, że przez dwa lata uczucia się zmieniają? - zapytał mężczyzna z rozpaczą jasno wypisaną na twarzy. - Cóż, moje się nie zmieniły i chyba nigdy nie zmienią.

To nieuczciwe pozwalać nieznanemu obnażać swe serce przed niewłaściwą siostrą. Uniosła rękę, by mu przerwać.

- Proszę, nie mów już nic więcej. Nie jestem tą kobietą, za którą mnie bierzesz...

- Nie, nie jesteś - przerwał jej. - Myślałem, że jesteś kochająca i uczciwa, choć jesteś aktorką. Ale najwyraźniej jesteś taką samą nierządnicą, jak wszystkie tobie podobne. I bardzo dobrze, od tej pory tak właśnie będę cię traktował. Niestety, nie mam przy sobie zbyt wiele złota, lecz jesteś mi coś winna za te prezenty, które ci niegdyś dawałem.

Przycisnął ją do ściany i znowu zaczął całować, tym razem bardzo brutalnie. Choć walczyła z nim, nie miała najmniejszych szans. Przywarł biodrami do jej bioder i położył ciężką dłoń na jej piersi. Ugryzła go w język.

- Ty mała dziwko!

Usiłowała się wyrwać, lecz złapał ją i znowu przygniótł do ściany. Patrzyli sobie w oczy z furją. W jego ciemnych źrenicach Kit dostrzegła mieszaninę wściekłości i rozsądku.

Nagle drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem. Kit i jej napastnik spojrzeli w tej samej



chwili na stojącego w drzwiach Luciena. Wyglądał na bardzo zmęczonego podróżą, lecz pojąwszy, co się święci, z mordem w oczach wpadł do pokoju.

- Puść ją w tej chwili!

- A więc to dlatego udawałaś pannę skromniśnię! - eksplodował ciemnowłosy mężczyzna. - Zbyt wiele cię nauczyłem. Powinienem się domyślić, że skoro raz poznasz rozkosze miłości, nie będziesz w stanie utrzymać ud razem! Jak wielu kochanków miałaś przez ostatnie dwa lata? Czy może już straciłaś rachubę?

Zanim Kit mogła mu odpowiedzieć, puścił ją i rzucił się na Luciena; dopadł go w kilku susach. Kit krzyknęła przerażona, lecz Lucien zdążył zareagować: jednym płynnym ruchem ustąpił z drogi przeciwnikowi i unikając ciosu wyrznął go w szczękę. Mężczyzna wy dobył z siebie rozpaczliwy charkot, po czym padł na podłogę niczym ogłuszony bawół.

Lucien przeszedł nad nim i wziął Kit w ramiona.

- Nic ci nie zrobił?

- W... właściwie nie. - Przytuliła twarz do szerokiej piersi żałując, że nie może dotykać każdego skrawka ciała Luciena. Pachniał błotem, końskim potem i... bezpieczeństwem.

Pocałował ją w czoło, po czym łagodnie zaczął gładzić po plecach.

- Kto to taki? - spytał.

- Nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale coś mi się zdaje, że to w nim moja siostra zakochała się kilka lat temu. Nigdy nie pozwoliłaby mu nazywać się „Kirą”, gdyby nie myślała o nim poważnie.

Lucien przyglądał się ciemnowłosemu mężczyźnie leżącemu na podłodze. Powoli wracała mu przytomność.

- Jego maniery pozostawiają wiele do życzenia.

- Był bardzo zdenerwowany. - Kit zadrżała. - Ale cieszę się, że wreszcie jesteś.

Mężczyzna usiadł nieporadnie na podłodze i pocierając puchnącą szczękę, powiedział zmęczonym głosem:

- Na co czekacie? Wezwijcie straż czy magistrat, czy jak tam nazywacie tę waszą policję. Naprawdę jest mi wszystko jedno.

Lucien przyjrzał mu się uważniej.

- Sądząc z akcentu, jesteś Amerykaninem albo Kanadyjczykiem.

- Amerykaninem. - Nieznajomy z drwiną spojrzął na Kit. - Oczywiście jesteś za sprytna, by opowiadać obecnym kochankom o swoich byłych.

- Jeżeli w tej chwili nie przestaniesz jej obrażać, połamię ci szczękę - uprzedził go Lucien przyjaznym tonem. Wypuścił Kit z objęć i pomógł obcemu wstać. - Masz tu może coś

do picia, Kit? Myślę, że ten pan chętnie by się napił.

Dziewczyna podeszła do szafki, gdzie stała karafka z sherry. Że też Lucien rozpoznał subtelny niebrytyjski akcent! Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że po długiej podróży i on pewno chętnie się napije, więc napełniła dwa kieliszki. Jeden podała nieznanemu, który siedział teraz na krześle z pochyloną głową.

- Siedzisz dobrze? - zapytała. - To przygotuj się na niespodziankę. Nie jestem Kirą, tylko jej siostrą bliźniaczką. Wszystko wskazuje na to, że ci o mnie nie wspominała.

Gwałtownie poderwał głowę i popatrzył na nią z niedowierzaniem. Potem uniósł wolną dłoń i dotknął końcami palców twarzy dziewczyny.

- Dobry Boże! - wyszeptał. - Naprawdę nie jesteś... nie jesteś Kirą. - Twarz mu spochmurniała. - Przepraszam... tak bardzo cię przepraszam. Gdybym tylko wiedział... nigdy tak bym się nie wygłupił.

- Szczerze mówiąc, bardzo nie podoba mi się sposób, w jaki traktujesz moją siostrę. Czy masz to we krwi? - Po chwili zastanowienia dodała cierpko: - Oczywiście, gdybym była Kirą, także zachowałabym się inaczej.

Nie mógł spojrzeć jej w oczy.

- Przez dwa nie kończące się lata tylko myśl o Kirze utrzymywała mnie przy życiu. Oczekiwałem, że padniesz... że padnie mi w ramiona. Kiedy potraktowałaś mnie jak zwykłego znajomego, trochę... oszalałem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Przyglądała się w milczeniu jego bladej twarzy. Biedaczysko.

- Już wybaczyłam i zapomniałam. Ale kim ty, na Boga, jesteś?

- Jason Travers. - Skrzywił się lekko. - Może trochę późno, ale do usług.

- Kuzyn? - zapytał Lucien. Kit otworzyła szeroko oczy.

- Coś mi się zdaje, że to jest właśnie mój kuzyn z Ameryki... obecny hrabia Markland, o którym ci kiedyś wspominałam.

Lucien gwizdnął cicho.

- Interesujące. Fakt, że ma tytuł szlachecki, może być pomocny, jeżeli władze się o nim dowiedzą. - Zwrócił się do Amerykanina: - Właśnie uciekłeś z galer?

- Chyba nie mówisz o tych przerażających okrętach więzieniach, które snują się po Tamizie?! - wykrzyknęła Kit.

Jason uśmiechnął się ponuro.

- Obawiam się, że tak... to pływające czeluście Hadesu. Wczoraj miałem pierwszą możliwość wyskoczenia za burtę, więc z niej skorzystałem. O mało nie zamarłem na śmierć, nasiąknięte wodą ubranie ciągnęło mnie do dna i już myślałem, że nie dopłynę do brzegu. -

Spojrzał podejrzliwie na Luciena. - Skąd się tego domyśliłeś? I w ogóle kim ty jesteś?

- Lucien Fairchild, przyszły mąż tej młodej damy, którą napastowałeś. - Lucien wyciągnął dłoń. - Wyglądasz na człowieka, który przez dłuższy czas nie dojadł, no a poza tym, na galerach pływających po Tamizie znajduje się wielu amerykańskich jeńców wojennych, nietrudno więc było wysnuć taki wniosek.

Jason potrząsnął zaoferowaną dłonią Luciena i wypił mały łyżeczek sherry. Zdawało się, że lada moment zemdleje.

- Najlepiej będzie, jeżeli zabierzemy go do mnie do domu - rzekł Lucien patrząc na Kit. - Potrzebuje jedzenia, nowego ubrania i wypoczynku.

Dziewczyna przytaknęła. Jej nowo odnaleziony kuzyn patrzył na nich, niewiele rozumiejąc.

- I nie odeślicie mnie z powrotem na barkę? Z tego, co ostatnio słyszałem, nasze kraje są w stanie wojny.

- Z boską pomocą już niedługo. A i tak od początku była to bezsensowna wojna. Poza tym, prawdę mówiąc, nawet psa bym nie posłał na śmierć na tych barkach. - Lucien pomógł Amerykaninowi wstać. - Możesz iść? Dobrze... Gdybym cię niósł, mogłoby się to wydać podejrzane.

Puściwszy Kit przodem, wyszli z garderoby i wsiedli do powozu czekającego tuż przed tylnym wyjściem z teatru.

Niecałe pół godziny później siedzieli w kuchni Strathmore House. Kit zauważyła, że - jak na szlachcica - Lucien wyjątkowo swobodnie porusza się w tym pomieszczeniu; najwyraźniej nocne wypadki do miasta nie były rzadkością. W szafce stała nawet waza zupy. Kit zagrzała ją, podczas gdy Lucien zajął się chlebem, serem, mięsem i pasztetem.

Pomimo ogromnego głodu Jason nie zjadł wiele. Odsunawszy miskę z zupą, zaczął przyglądać się Kit. Dziewczyna poczuła się nieswojo, uniosła wzrok i spojrzała na niego pytająco.

- Przepraszam - powiedział niepewnie. - Wiem, że nie jesteś Kirą. Zdałbym sobie z tego sprawę od razu, gdyby nie to, że spodziewałem się właśnie jej. A jednak podobieństwo jest uderzające. - Nie ty pierwszy się pomyliłeś - zauważyła. - Nawet nasz ojciec nie potrafił nas odróżnić.

- Bo nie zwracał na was dostatecznie dużo uwagi. - Zacisnął dłonie na kubku kawy z domieszką brandy. - Gdzie jest Kira? Domyślałam się, że ma jakieś kłopoty.

Kit opowiedziała mu wszystko o zniknięciu siostry i o swoich podejrzeniach. Twarz Jasona pochmurniała z każdą chwilą. Kiedy dziewczyna skończyła mówić, odezwał się z

ledwo tłumioną wściekłością:

- Do wszystkich diabłów! Od tygodni czułem, że coś jest nie w porządku, ale sądziłem, że to po prostu zwidy, jakie przychodzą człowiekowi do głowy w więzieniu. - Potarł brzonę na czole. - Podejrzewam, że to dlatego zaryzykowałem ucieczkę... czułem, że muszę ją odnaleźć.

Widząc, że jest niemal tak zrozpaczony, jak ona, Kit powiedziała ciepło:

- Gdziekolwiek by Kira była... nic jej nie jest. Wiedziałałabym, gdyby było inaczej. Poza tym robimy co w naszej mocy, by ją odnaleźć.

- Powiedzcie, jak mogę wam pomóc - poprosił z kamienną twarzą.

- Nie martw się. - Lucien dolał wszystkim do kawy nieco więcej brandy. - Jeżeli będziesz nam potrzebny, zaraz damy ci znać. Najpierw musimy dowiedzieć się, gdzie ona jest. Ale teraz to twoja kolej na wyjaśnienia.

Jason przymknął oczy, starając się zebrać myśli.

- Cztery lata temu mój pełnomocnik z Anglii poinformował mnie, że zostałem następnym hrabią Markland. Ponieważ poprzedni hrabia był bardzo nierozsądny i nie odziedziczył żadnego majątku, nie przeczytałem listu zbyt dokładnie. Mój dziadek był najmłodszym synem i wyemigrowawszy do Ameryki, nie utrzymywał kontaktu z rodziną w Anglii. Ponieważ jako Amerykaninowi niewiele przysłoby mi z samego tytułu, cała sprawa była czysto teoretyczna. Jednak kiedy zjawiłem się w Anglii w interesach, poczułem przypływ ciekawości. Gdy załatwiłem swoje sprawy w Liverpoolu, pojechałem do Kendall. Obecny właściciel majątku oprowadził mnie po okolicy i nawet zaprosił na obiad. Byłem w kościele parafialnym i na cmentarzu, widziałem groby moich przodków i właściwie bardzo podobała mi się ta wyprawa. - Skrzywił się. - Zrozumiałem też, dlaczego mój dziadek postanowił wyjechać... Kendall było najsmutniejszym, najbardziej szarym i mokrym miejscem, jakie w życiu widziałem. Kit uśmiechnęła się.

- Westmoreland ma wilgotny klimat nawet jak na brytyjskie warunki, lecz można się do tego przyzwyczaić. Okolica jest piękna.

- Ale bardzo jednostajna. Właśnie miałem wyjeżdżać, gdy gospodarz powiedział, że córka zmarłego hrabiego przyjechała przed chwilą do gospody. Wyjaśnił, że lady Kristine wraz z siostrą spłaca długi zmarłego ojca i że pewno chce załatwić ostatnie formalności.

Lucien uniósł brwi i spojrzał pytająco na Kit.

- To prawda, że spłacałyśmy długi, lecz nie te karciane - odrzekła. - Jego wstrętnei przyjaciele mogą się smażyć w piekle. Ale czułyśmy się w obowiązku spłacić ludzi, którzy dawali mu towary na kredyt. Gdyby sklepikarze w Kendall nie dawali ojcu kredytów,

chodziłybyśmy po mieście boso i w łachmanach, nie mając co włożyć do ust.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczyma, w których paliła się czułość.

- Ależ jesteście honorowe. Dziewczyna spuściła wzrok.

- Kira zrobiła więcej ode mnie. Dobra aktorka zarabia znacznie lepiej niż najpoczytniejszy nawet dziennikarz.

- Tym bardziej należą ci się słowa uznania. - Lucien sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Gospodarz mówił z dużym szacunkiem o was obu - wtrącił się Jason. - Byłem bardzo ciekaw moich angielskich kuzynek, poprosiłem więc o przedstawienie mnie lady Kristine. Spodziewałem się zobaczyć kogoś zupełnie innego. - Uśmiech zagościł na jego ustach.

Ponieważ cisza przeciągała się, Lucien zapytał:

- Zakładam, że gwiazdy zamarzyły w bezruchu i zaśpiewał chór anielski, tak?

Jason z wysiłkiem wrócił do rzeczywistości.

- Coś w tym stylu. Pojechałem za nią do Yorku, gdzie występowała. Przez następne tygodnie... - Głos zaczął mu się łamać i zamilkł. - Czy Kirze zależało na małżeństwie, a ty nie mogłeś się zdobyć na poślubienie aktorki? - zapytała Kit niebezpiecznie spokojnym głosem.

- Nie! - Spojrzał na nią z wściekłością. - Oświadczyłem się jej... padłem na kolana i błagałem, by zechciała mnie poślubić. Zgodziła się, ale pod jednym warunkiem: że zostanę w Anglii. Nie wiem, czy marzyła o tym, by być hrabiną, czy może nie chciała porzucić kariery na scenie. Wiem tylko, że ja nie mogłem zostawić domu i interesów.

- Niełatwy wybór, co? - zapytał Lucien.

- Okropnie się pokłóciliśmy. Powiedziałem, że jeżeli zmieni zdanie, wie, gdzie mnie szukać w Bostonie. Ona odpowiedziała, że jeżeli ja zmienię zdanie, powita mnie z otwartymi ramionami, lecz w przeciwnym razie mam jej więcej nie odwiedzać.

- Nic dziwnego, że gdy się pojawiłeś, a ja nie otwarłam ramion, byłeś wściekły - powiedziała zamyślona Kit.

Przesunął dłonią po włosach.

- Nie zaznałem ani chwili spokoju, odkąd wyjechałem z Yorku. Kiedy już skończyłem ją przeklinać, zacząłem okropnie tęsknić. Myślałem o przeprowadzeniu się do Europy, choć jak każdy przyzwoity Amerykanin nie cierpię brytyjskiego rządu. Jest przesiąknięty złem do szpiku kości.

Kit spojrzała przelotnie na Luciena, który większą część swego życia poświęcił na bronienie tego właśnie rządu.

- Wielu zgadza się z twoim zdaniem, lecz rząd to nie to samo, co naród - oświadczył.

Jason uśmiechnął się krzywo.

- To prawda i kiedy to zrozumiałem, zdałem sobie sprawę, że lubię Anglików. Nie mam w Ameryce rodziny, a moje interesy, czyli handel morski, można prowadzić równie dobrze z Anglii, co z Bostonu, postanowiłem więc wrócić do Kiry i raz jeszcze błagać ją, by za mnie wyszła. Lecz wtedy właśnie wybuchła wojna. Zgłosiłem się na ochotnika i kilka miesięcy później wylądowałem na tej przeklętej barce, żyjąc tylko nadzieją, że zobaczę Kirę, zanim umrę z gorączki.

- Te barki są najcięższymi więzieniami w całej Anglii - odezwała się Kit grobowym głosem. Napisała już kilka wściekłych artykułów na ten temat. - Masz sporo szczęścia, że zdołałeś ująć z życiem. - Wierz mi, że zdaję sobie z tego sprawę. - Jason wzdrygnął się mimo woli.

- Dowodziłeś okrętem w czasie wojny - bardziej stwierdził, niż zapytał Lucien.

Amerykanin patrzył na niego w milczeniu.

- Jesteś wyjątkowo niebezpieczny, przyjacielu - zauważył po chwili. - Jak się tego domyśliłeś?

- Tylko ktoś schwytyany na morzu wylądowałby w więzieniu w Anglii, a nie w Kanadzie - wyjaśnił łagodnie Lucien. - Wspominałeś, że twoje interesy związane są ze statkami, a wyglądasz na człowieka, który raczej wydaje rozkazy, a nie ich słucha. W takim razie dowodzenie okrętem zaopatrzeniowym wydaje się oczywiste. A jednak dziwi mnie, że oficera posłano na galerę.

- Kapitan okrętu, który zaatakował *Bonnie Lady* niezbyt mnie polubił i użył swych wpływów, aby zesłano mnie na najgorszą barkę pływającą po Tamizie.

- Powiedziałeś, że wyskoczyłeś za burtę i dopłynąłeś do brzegu - wtrąciła się Kit. - Jak ci się udało zdobyć pieniądze i ubranie?

- Włamałem się do sklepu z używaną odzieżą i wybrałem co lepsze szmaty - odpowiedział Amerykanin z zażenowaniem. - A dziwnym łutem szczęścia znalazłem trochę pieniędzy pod stosem ubrań.

- Jeżeli pamiętasz nazwę sklepu i adres, ureguluję ten dług - rzekł spokojnie Lucien.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny. Przysięgam, że zwrócę ci wszystko, co do grosza.

Lucien machnął niecierpliwie ręką.

- Po zawarciu pokoju. I co się później stało?

- Miałem zamiar pojechać dylizansem do Yorku w nadziei, że Kira nadal tam występuje, ale w zajeździe zobaczyłem plakaty *Cyganczki* wraz z napisem, że gra w niej Cassie James, więc poszedłem do teatru. - Westchnął ciężko. - Myślałem, że szczęście wreszcie się do mnie uśmiechnęło. Tymczasem... - Przerwał na chwilę i wreszcie dodał: - To

brzmi nieco niewdzięcznie, lecz wiercie, że doceniam waszą dobroć i to, że nie odsyłacie mnie z powrotem do tego piekła.

Lucien uśmiechnął się lekko.

- Skoro wkrótce będziemy krewnymi, byłoby bardzo nieuprzejme z mojej strony, gdybym pozwolił ci umrzeć z głodu w jakimś przez Boga zapomnianym doku. - Wstał. - Wyglądasz na skonanego. Prześpij się trochę, a rano porozmawiamy. Kit ujęła wychudłą dłoń Amerykanina.

- Odnajdziemy ją, Jasonie... obiecuję ci to.

- Masz i moje słowo - dodał cicho Lucien.

Kit posprzątała w kuchni po posiłku, podczas gdy Lucien zaprowadził Jasona do pokoju gościnnego. Kiedy wrócił do kuchni, objął ją mocno, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Oparła się o niego i poczuła, że zmęczenie i smutek powoli z niej opadają, niczym płatki z przekwitniętej róży.

- Czyżby nie podobało ci się to, że on i Kira są tacy bliscy?

- zapytał łagodnie.

- Mój nowo odnaleziony kuzyn miał rację... wiesz i widzisz zbyt wiele. - Zawahała się, starając znaleźć odpowiednie słowa. - Lubię Jasona... to honorowy mężczyzna i najwyraźniej szaleje za Kirą. Jeśli dobrze odczytałam jej uczucia, ona także go kocha. Bóg jeden wie, że życzę jej jak najwięcej szczęścia. - Westchnęła ponuro.

- A jednak mam mu za złe, że stanął między nami. Po tym, jak go spotkała, wiele przede mną ukrywała. Miała do tego pełne prawo, a jednak... - Wtuliła twarz w jego pierś i dodała stłumionym głosem:

- Nie powiedziała mu nawet, że jesteśmy bliźniaczkami! To najważniejsza rzecz w moim życiu, a ona nawet o tym nie wspomniała.

Delikatnie pogładził ją po głowie. O mało nie wpadła w histerię, gdy sobie uświadomiła, z jaką łatwością Lucien ją uspokaja.

- Może nie powiedziała mu tego, gdyż jest to dla niej zbyt, a nie za mało, ważne. Może właśnie w ten sposób próbowała chronić łączącą was więź. Jesteś na tyle ważna w życiu Kiry, że zapewne nie chciała nic o tobie mówić, dopóki nie była pewna uczucia mężczyzny, którego pokochała.

Kit poczuła, że coś dławi ją w gardle.

- Nie wiem, czy to prawda, lecz to bardzo miłe wyjaśnienie. Podoba mi się. - Uniosła wzrok. - Gdzie się nauczyłeś być tak miły?

Choć pytanie miało być retoryczne, odpowiedział:

- Od Linnie. Nie tylko była bardzo dobra i łagodna, ale nauczyła mnie także co nieco o tym, jak działa kobiecy umysł. Wiem też, że gdyby dorosła, zakochała się i wyszła za męża, nie znosiłbym jej męża. I to nie ze względu na jakąś perwersyjną zazdrość, lecz dlatego, że obawiałbym się utraty łączącej nas więzi.

A stracił ją, gdy był jeszcze dzieckiem. Na tę myśl Kit zawstydzila się własnych narzekań. Przytuliła go mocno, modląc się, żeby mogła odwrócić przeszłość i przywrócić Elinor życie.

- Pokonałbyś swą niechęć i z całego serca życzył jej szczęścia.

- I ty zrobisz to samo. - Raz jeszcze pogładził ją po włosach.

- Jest już bardzo późno. Może spędzisz resztę nocy tu, ze mną?

- Kiedy się zawahała, dodał uspokajająco: - Tylko żeby spać, Kit. Przysięgam. Nie chcę zrobić nic, co mogłoby zakłócić twoją więź z Kirą. To był nad wyraz długi i męczący dzień i spałbym o wiele lepiej, gdybyś była przy mnie.

- Lepiej nie. Co pomyślą twoi służący?

- Wszystkich wybrałem dlatego, że kiedy trzeba, mają wyjątkowo krótką pamięć. A poza tym powinni się przyzwyczajać do twego widoku, skoro masz zostać ich panią.

Musiał wyczuć, że zeszywniała, bo położył jej dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy.

- Zauważyłem, że na wzmiankę o małżeństwie zareagowałaś jak zając stający oko w oko z lisem. Czy ta perspektywa jest ci aż tak niemila?

O wiele łatwiej żyłoby się z Lucieniem, gdyby tak od razu wszystkiego w mig nie zauważał.

- Nie jest niemila, tylko raczej niemożliwa do spełnienia - odparła ostrożnie dobierając słowa. - Od czasu zniknięcia Kiry świat zaczął stanowić dla mnie zagadkę.

- I tylko to zamierzasz mi powiedzieć, tak? - zapytał sucho.

- Doskonale, nie będę cię popędzał. Lecz nie zmienię zdania, a potrafię być wyjątkowo natarczywy.

- Wiem, niestety. - Przytuliła głowę do jego piersi. - Jesteś wyjątkowy z wielu powodów.

- Zostań ze mną - powiedział cicho. - Proszę.

Odmówić mu było równie trudno, co nie zgodzić się z Kirą. A prawda wyglądała tak, że chciała z nim zostać tak samo mocno, jak on tego pragnął.

- Dobrze - wyszeptwała. - Zostanę.



Aby zaakcentować, że nie ma wobec dziewczyny żadnych podstępnych zamiarów, Lucien wyjął z szafy dwie identyczne nocne koszule i jedną podał Kit, a w drugą sam się ubrał. Fałdy materiału otuliły szczupłe ciało dziewczyny od podbródka aż po palce stóp. Wyglądała doprawdy uroczo, kiedy ułożyła się tuż obok niego i szybko zasnęła. Choć był bardzo zmęczony długim dniem i podróżą błotnistymi drogami Anglii, obserwował ją przez jakiś czas, delektując się jej bliskością.

Czy jej niechęć do małżeństwa była ogólna, czy też dotyczyła tylko jego? Podejrzewał, że po części i jedno, i drugie. Będzie musiał jakoś ją przekonać, że nie zamierza podcinać jej skrzydeł i zamieniać w łagodną kurę domową. Będzie mogła pisać swe radykalne artykuły w jego domu równie dobrze, co w domu ciotki.

Zasnął na krótko tylko po to, by obudzić się za moment, gdy Kit wydała zdławiony okrzyk i zamachnęła się lewą pięścią, omal nie wybijając mu oka. Złapał ją za nadgarstek i przytrzymał mocno.

- Kit! Obudź się! To tylko jakiś koszmarny sen! Otworzyła oczy, lecz nadal szarpała się z nim rozpaczliwie.

- Kit! To ja, Lucien. Jesteś bezpieczna - powtórzył ostrzejszym tonem.

Przestała się szamotać.

- Lucien? - wyszeptwała niepewnie.

- Tak, skarbie. - Puścił jej rękę i zapalił świeczkę na nocnym stoliku. - Opowiedz mi, co ci się śniło.

- To było okropne... Ja... miałam na sobie jakiś dziwny, nieprzyzwoity kostium i chłostałam mężczyznę. Był przywiązany za nadgarstki i okropnie krzyczał, a ja uderzałam go raz za razem.

- Zadrżała i westchnęła. - I choć byłam wściekła sama na siebie, uderzałam go coraz mocniej. Najdziwniejsze jest to, że miałam wrażenie, iż... jemu to się podoba. - Schowała twarz w zimne dłonie. - Czy sny ujawniają nasze ukryte pragnienia? Jeżeli tak, to moje są ohydne.

- Czasem nasze sny dotyczą bezpośrednio nas - powiedział ' wolno Lucien. - Lecz czasem mogą dotyczyć czegoś zupełnie innego. Opowiedz mi wszystkie szczegóły, jakie zapamiętałaś.

- Oparł się o poduszkę i przytulił dziewczynę do piersi.

- Zamknięta przestrzeń... duszenie się. Gorąco. Wnętrze jest wyjątkowo wyrafinowane

i bardzo wulgarne. Mam na sobie czarne buty na niesamowicie wysokich obcasach i dziwne ubranie... coś jak czarna wężowa skóra. I długą perukę. Chyba rudą.

- A jak wygląda mężczyzna?

Potarła skronie i spojrzała na niego zakłopotana.

- Wszystko błędnie. Przepraszam... nic już więcej nie pamiętam. Chciałabym napić się wody. - Podniosła się, zsunęła stopy na dywan i padła zemdlna.

- Kit! - Lucien rzucił się do niej, wziął na ręce i położył na łóżku. Otulił ją troskliwie kołdrą.

Była bardzo blada i drżała na całym ciele, a jednak zdołała się uśmiechnąć.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. To się już zdarzało. Za parę minut mi przejdzie.

Zatrzymał się w pół drogi do komody, na której stał dzbanek z wodą.

- Jak często ci się to zdarza?

- W nieco łagodniejszej formie przez całe życie. Ale ostatnio jest coraz gorzej. Teraz jestem nie tylko zmęczona, ale wycieńczona tak bardzo, że nie mogę stanąć na nogach. Te koszmary też są inne. Podejrzewam, że mają związek z niepokojem o Kirę.

- Może. - Nalał trochę wody do szklanki i wrócił do łóżka.

- Czy we wszystkich koszmarach chłosisz tego mężczyznę?

- Chyba tak...

Podtrzymał ją, by mogła się trochę napić, po czym delikatnie ułożył ją z powrotem pod kołdrą. Idąc do kominka, by rozpaścić ogień, zapytał: - Czy jest możliwe, że zamiast śnić, wyczuwasz aktualne doznania Kiry? Jej myśli?

- Chyba nie - powiedziała z powątpiewaniem. - Wyczuwanie emocji to jedno, a czytanie w myślach to drugie.

- Spróbuj się skupić. Kiedy chłostałaś tego mężczyznę, używałaś bata prawą czy lewą ręką?

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się swym dłoniom i pobladała.

- Prawą... ręką Kiry, nie moją. - Uniosła oczy na Luciena ze zdumieniem na twarzy. - Ale to, co mi się śniło, było tylko koszmarnym snem, nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Kira nigdy by nikogo nie torturowała!

- Powiedziałaś, że masz wrażenie, iż temu mężczyźnie to się podoba - odparł spokojnie Lucien. - Może on chciał, by go chłostać.

- Jak można chcieć chłosty! Człowiekowi nie może się podobać taki ból!

- Niekoniecznie. - Usiadł na brzegu łóżka i ujął dłonie Kit. - Korzenie pożądania są tajemnicze i bardzo złożone. Dla niektórych ból i rozkosz są tak mocno ze sobą powiązane, że

odpowiedni rodzaj bólu uznają za podniecający. - Widząc jej niedowierzanie, wyjaśnił: - Wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale są burdele w Londynie, których pensjonariuszki specjalizują się właśnie w chłóście. Znam kobietę, właścicielkę takiego przybytku. Ona twierdzi, że doskonale na tym zarabia.

Kit przygryzła wargę, a dziennikarska ciekawość przytłumiła na chwilę prywatne uczucia.

- Czy wyjaśniła ci kiedykolwiek, dlaczego mężczyźni przychodzą do niej?

- Dolly mówi, że jej klienci to bardzo bogaci i wpływowi ludzie, obciążeni obowiązkami. Sytuacja, w której są bezradni, a jedynym celem jest seks, podnieca ich. Podobnie wiele kobiet lubi chłostać mężczyzn, bo jest to dla nich jedyna możliwość kontrolowania sytuacji. Jedyna możliwość zdominowania mężczyzny.

- Spodziewam się, że jest to dość niezwykła odmiana seksu.

- Nie spodziewaj się zbyt dużo logiki w ludzkich działaniach... nigdy nie są zbyt racjonalne - rzekł sucho. - Są kobiety i mężczyźni specjalizujący się w takich, a nie innych rolach, a także tacy, którzy lubią się zamieniać miejscami. I właściwie nie chodzi tylko o chłostę. Dolly ma klientów, którzy podobno byli za młodu bici przez niańki czy nauczycieli w szkole i od tamtej pory szukają podobnego rodzaju bólu, to ich podnieca. Inni... - Przerwał gwałtownie. - Nieważne. Zdaje się, że już rozumiesz, o co mi chodzi. Kit zacisnęła pięści.

- Więc uważasz, że Kira została porwana, by pracować w takim burdelu?

- Niezupełnie... w takich miejscach zazwyczaj nie pracują kobiety porwane. W domu Dolly można spotkać wiele dam z wyższych sfer, które po prostu lubią to robić. I robią to za darmo. - Poruszył się niespokojnie. Wolałby nie wyjaśniać Kit tego tak szczegółowo. - Myślę, że od początku miałaś rację. Kirę porwał ktoś, kto był nią oczarowany, może nawet opętany. Jednak nie chodziło mu o zwykły gwałt, bo ma o wiele bardziej niezwykle gusta. Być może bezpieczeństwo twojej siostry zależy od tego, na ile jest w stanie zaspokajać.

- Dobry Boże! - Kit przycisnęła dłoń do ust czując, że robi się jej niedobrze. - To ohydne!

- Są gorsze rzeczy, które mogłyby się jej przytrafić - powiedział Lucien ponuro. - To by wyjaśniało, dlaczego wyczuwasz, że fizycznie nic jej nie jest, a jednak psychicznie jest zdezorientowana.

Kit zmarszczyła brwi.

- Jeżeli takiego człowieka podnieca bycie bezradnym, to dlaczego ją więzi? Przecież to on nad wszystkim panuje, nawet jeżeli ona ma bat w ręce.

Lucien wzruszył ramionami.

- Może nie potrafi sobie pozwolić na całkowitą bezradność, więc tworzy iluzję, nadal nad wszystkim panując.

- Czy robiłeś kiedyś coś podobnego? - zapytała z wahaniem, tak jakby nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Potrząsnął głową z uśmiechem.

- Dolly zaproponowała kiedyś, że zademonstruje mi niezwykle przyjemności bycia zdominowanym przez taką artystkę bata jak ona, lecz odmówiłem. Jediną przyjemnością, jaką znajduję w bólu, jest ulga, kiedy wreszcie mija. - Kit nadal spoglądała na niego oszołomiona, więc dodał: - Sporo zachowań, uchodzących za perwersyjne, jest po prostu przesunięciem granicy tego, co jest uznawane za normalne. Większość kochanków bawi się w różne gry, które sprawiają im przyjemność. , droczą się ze sobą, siłują, udają, że się uwodzą... Niektórzy ludzie po prostu posuwają się nieco dalej.

Dziewczyna skrzywiła się niemiłosiernie.

- Nieco dalej? A jednak po tym krótkim wyjaśnieniu chyba już trochę rozumiem. Czy myślisz, że Dolly zdradziłaby ci nazwiska swych klientów?

- Wątpię, czy poda mi je czarno na białym, ale może potwierdzi te, które sam jej przedstawię. Powinnaś jednak pamiętać, że porywaczem Kiry może być ktoś, kto nie odwiedzał przybytku Dolly.

- Ale to już jakiś początek. Zapytaj ją o Mace'a, Chiswicka, Nunfielda, Westleya i Harforda. Choć, moim zdaniem, to nie Harford ją porwał, ale może być w to wszystko zamieszany.

- Powoli dochodząc do siebie, usiadła wyprostowana na łóżku.

- Dlaczego uważasz, że moje sny mają coś wspólnego z Kirą?

- Linnie i ja mieliśmy czasem te same koszmary senne, choć zdawaliśmy sobie z tego sprawę, dopiero gdy mieliśmy po jakieś dziewięć lat i zaczęliśmy o tym rozmawiać. Była też kwestia przekazywania siły. Pamiętasz, co o tym mówiłem?

- Tak, ale nie jestem pewna, czy zrozumiałam.

- To trudno wytłumaczyć. Kiedy byliśmy mali, Linnie ciężko zachorowała. Siedziałem przy jej łóżku i trzymając ją za rękę mówiłem, by wzięła trochę mojej siły. To była tylko zabawa, ale podziałało. Ona szybko zdrowiała, a ja łatwiej się męczyłem. Ta więź utrzymała się nawet wtedy, gdy wyjechałem do szkoły. Czasem budziłem się zmęczony, a potem dowadywałem się, że Linnie była chora. - Odsunął te wspomnienia, zanim stały się zbyt bolesne. - Czy pomiędzy tobą a Kirą nie istniało coś podobnego?

- Może i tak, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy jestem w trudnej

sytuacji, odruchowo szukam kontaktu z Kirą. Zawsze uważałam, że jest to szukanie moralnego wsparcia, lecz możliwe, że przy okazji zabierałam jej nieco życiowej energii.

- A teraz sytuacja się odwróciła, gdyż to ona ma kłopoty i wyciąga z ciebie siły, by móc przetrwać. - Uśmiechnął się nagle.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak dziwna wydawałaby się nasza rozmowa komuś, kto nigdy nie miał siostry lub brata bliźniaka?

- A jednak dla nas ma to sens. - Kit zamilkła.

Siedziała zamyślona. W ogromnej nocnej koszuli wydawała się mała i krucha. Górny guzik był odpięty i koszula odsłaniała o wiele więcej niż najśmielsza suknia wieczorowa. Wzrok Luciena zatrzymał się na cieniu między piersiami, który widać było z drażniącą wyrazistością. Z niepokojem pomyślał o jej szczupłym ciele pod grubą tkaniną. Byli kochankami, znał więc doskonale jej wąską talię, kształt miękkich piersi i delikatne wnętrze ud.

Zaschło mu w ustach. Choć zawsze potrafił cierpliwie czekać na to, na czym mu zależało, nagle ta zdolność go opuściła. Namiętność była jak choroba, którą tylko Kit mogła uleczyć. Pragnął: jej bardziej niż czegokolwiek innego na ziemi, i to nie tylko dlatego, by zaspokoić pożądanie.

Wcale nie pomagała mu świadomość, że ma nad tą dziewczyną taką władzę, że gdyby tylko chciał, mógłby ją uwieść. To byłoby takie proste: delikatny pocałunek, pogładzenie jej szczupłych pleców, położenie dłoni na kolanie. Wkrótce pragnęłaby go tak samo, jak on jej pożądał, i powitałaby go z niewinną radością.

A potem pogardzałaby nim za złamanie słowa i egoizm. Powtarzając w myślach każde przekleństwo, jakie znał, zmusił się do oderwania wzroku od jej piersi.

- O czym myślisz? - spytał najspokojniej, jak potrafił. - Nieomal widzę, jak myśli przebiegają za tymi twoimi szarymi oczyma.

- Teatr Marlowe będzie wystawiał *Ulice skandalu*, w piątek jest premiera - odparła. - To przedstawienie, które kiedyś było bardzo popularne na prowincji, lecz w Londynie będzie wystawiane pierwszy raz. Moja rola jest bardzo mała, więc nazwiska Cassie James nie ma na plakatach. Czy myślisz, że zdołałbyś namówić głównych podejrzanych, by wybrali się z tobą do teatru? Mógłbyś obserwować ich reakcje, kiedy pojawią się na scenie.

- Doskonały pomysł, tylko że... - Zmarszczył brwi. - Jeżeli porywacz cię zobaczy, domyśli się, że jesteś siostrą bliźniaczką Kiry. A jak już sama powiedziałaś, niektórych mężczyzn bardzo podnieca myśl o kochaniu się z identycznymi bliźniaczkami. Mogłabyś się narazić na duże niebezpieczeństwo.

- Jeżeli zostanie porwana, to przynajmniej spotkam się z Kirą.

- Nawet tak nie żartuj, Kit - powiedział ostro. - Gdyby coś ci się stało...

To, co zobaczyła w jego oczach, sprawiło, że spuściła wzrok. Przez chwilę w powietrzu wisiały niewypowiedziane emocje, lecz oboje się wycofali. - Jutro postaram się zaaranżować wypad do teatru - rzekł Lucien.

- Od tej chwili nie chcę, byś gdziekolwiek chodziła sama. Czy twój znajomy z Bow Street może służyć ci opieką, kiedy ja nie będę mógł?

Kiwnęła głową.

- Myślę, że tak. Traktował mnie, jak pies pasterski traktuje zbłąkaną owieczkę.

- Rozsądny człowiek. - Lucien przyglądał się jej przez moment.

- Tak się zastanawiam... Gzy myślisz, że byłabyś w stanie komunikować się z Kirą? Jeżeli tak, to moglibyśmy dowiedzieć się czegoś o porywaczu.

- Chcesz powiedzieć, że następnym razem, kiedy będę miała jakiś koszmarny sen, mam spróbować zadać Kirze pytania? - Zmarszczyła brwi. - Nie sądzę, bym potrafiła aż tak panować nad snami. A nawet jeżeli, wątpię, czy efekty byłyby bardzo pomocne. Te sny to raczej rozmazane obrazy i emocje Kiry. Nic konkretnego.

Obserwował dziewczynę zastanawiając się, czy jest w nastroju na eksperymenty.

- Myślałem raczej, że zamiast czekać na następny sen, możemy spróbować hipnozy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Myślałam, że to tylko zabawa. Zwykle sztuczki.

- Nie jestem do końca pewien, jak to działa, lecz wiem, że potrafię wprowadzić kogoś w stan podobny do uśpienia - przyznał Lucien. - Gdybyś mogła znaleźć kontakt z siostrą w ten właśnie sposób, moglibyśmy za twoim pośrednictwem zadać jej pytania.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że potrafisz hipnotyzować ludzi? - Kiedy przytaknęła, dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Lucien, gdzie ty się uczysz takich rzeczy?

- W tym przypadku od doktora, który studiował z Mesmerem, a potem wymyślił własną metodę. Uznałem to za bardzo interesujące, więc poprosiłem go, by mnie nauczył. Nie wiem, czy hipnoza pomoże nam w odnalezieniu Kiry, lecz jestem święcie przekonany, że nie zaszkodzi.

- Doskonale. - Nerwowo potarła dłonie o uda. - Co mam robić? Zmarszczył brwi.

- Musisz być wykończona. Może powinniśmy poczekać do jutra, aż nieco odpoczniesz?

- Zmęczenie obniża bariery psychiczne. Największe szanse na sukces mamy wtedy,

gdy obie będziemy zmęczone. - Uśmiechnęła się ponuro. - Wiem, że ja jestem wykończona, a jeżeli ona właśnie odbyła sesję ze swym porywaczem, także jest bardzo zmęczona. Warto spróbować.

- Doskonale. Usiądź wygodnie.

Dziewczyna oparła się o poduszki, a Lucien wzięwszy świeczkę z nocnego stolika, ustawił ją kilka stóp przed nią, tak by mogła ją swobodnie widzieć.

- Gotowa?

Kiwnęła głową, po czym z wyraźnym oczekiwaniem wygładziła koc na piersi.

- Właściwie to nic takiego. Możesz nawet nic nie zauważyć - powiedział pogodnym tonem. - Musisz tylko się odprężyć i patrzeć w płomień świecy. Spokojny i jasny, wypalający całe twoje zmęczenie, a pozostawiający spokój i odprężenie. Czujesz się bardzo lekka i swobodna, niczym piórko niesione na wietrze - mówił spokojnym jednostajnym głosem.

Tak jak podejrzewał, Kit była doskonałym materiałem do hipnozy. Rozluźniała się coraz bardziej, z twarzy znikало znużenie, a oczy nadal wpatrywały się w płomień świecy.

Kiedy miał wrażenie, że jest już gotowa, powiedział:

- Twoje lewe ramię jest bardzo lekkie, tak lekkie, że chce się unosić w powietrzu. Pozwól mu na to.

Powoli ramię Kit się uniosło i zawisło w powietrzu.

- Doskonale... bardzo dobrze, Kit... Teraz twoja dłoń staje się coraz cięższa, pozwól jej opaść.

Bezwładna ręka opadła powoli na koc.

Przygotowując się do następnego kroku, odczuł gwałtowną chęć zapytania jej, czy go kocha. Stłumił to pragnienie. To nie był czas ani miejsce na osobiste wynurzenia. Poza tym nie był pewien, czy chce usłyszeć prawdę.

- Sięgnij myślami do Kiry - powiedział cicho. - Jest zmęczona i samotna... Na pewno poczuje się lepiej, wiedząc, że jesteś obok niej. Czy możesz ją wyczuć?

Szare oczy Kit zabłyśły.

- Tak. Kira, Kira... kochanie...

## ***Interludium***

*Była śmiertelnie znużona, lecz gdy już wyszedł, znalazła jeszcze siłę, by zdjąć ohydny kostium. Potem wytarła się dokładnie szorstkim ręcznikiem. Choć nigdy nie wykorzystywał jej seksualnie, zawsze po jego wizytach czuła się brudna. Dzisiejszy wieczór był gorszy niż wszystkie do tej pory, wspomniał coś o jej losie i nie potrafiła zapanować nad przerażeniem.*

*Wyjęła z szafy najdłuższą koszulę i położyła się do łóżka. Przysięgała sobie, że nie będzie się roztkliwiać nad swoim losem, lecz nie potrafiła powstrzymać przerażenia i desperacji.*

*Jak zwykle użyła myśli o siostrze jako tarczy. Świadomość, że nigdy tak naprawdę nie jest sama, działała wyjątkowo kojąco.*

*Już odpływała w zapomnienie snu, kiedy poczuła jej ciepło i bliskość, a potem i usłyszała pytanie:*

*- Kira?*

*- Kit! - Była tak zaskoczona, że natychmiast otrząsnęła z siebie początki snu. Starła się połączyć z siostrą, lecz więź zniknęła.*

*Pozostał strach, zagubienie, samotność...*

*Po chwili bezsensownego szamotania zdała sobie sprawę, że aby odnowić kontakt, musi się odprężyć. Z ponurą determinacją, dzięki której zachowała do tej pory zdrowe zmysły, uspokoiła się. Otworzyła umysł dla siostry.*



Twarz Kit wykrzywiła się w panice.

- Nie ma jej!

- Odpręż się. Uspokój. - Lucien mówił bardzo łagodnie - Kira pewnie jest zaskoczona.

Wróć do niej jeszcze raz i daj jej trochę czasu, by cię odnalazła.

Minęło kilka minut, zanim Kit westchnęła z ulgą. Znowu połączyła się z siostrą.

- Czy Kira jest w Londynie, czy też gdzieś na wsi? - zapytał Lucien.

Kit zmarszczyła brwi.

- Na... na wsi.

- Czy ona wie, gdzie się znajduje? Na twarzy Kit pojawiło się zmieszanie.

- Wyobraź sobie mapę Wielkiej Brytanii z krzyżykiem w miejscu Londynu - ciągnął. -

Czy Kira wie, gdzie się znajduje w odniesieniu do Londynu? - Po chwili ciszy zasugerował: - Na północy? Na zachodzie? Na południu? Może na wschodzie?

- Nie wie - odrzekła z niepokojem Kit. A potem, po długiej przerwie, dodała: - Ale... niezbyt daleko od miasta. Może dwie godziny drogi... nie więcej.

Jeżeli była to prawda, teren ich poszukiwań zawęził się do całkiem rozsądnych rozmiarów.

- Jak wygląda jej więzienie?

- Ciemne. Zawsze ciemne. Są tu tylko lampy. Cisza. Strażnicy. - Koc na piersi Kit unosił się i opadał, podczas gdy jej oddech stawał się coraz cięższy. - Niezbyt niewygodnie, ale to okropne nie móc zobaczyć słońca.

- Czy Kira wie, kto jest jej porywaczem?

Kit gwałtownie wciągnęła powietrze, a na jej twarzy pojawiło się potworne przerażenie.

- Nie! Nie!

- Wszystko w porządku, Kit, nic ci nie grozi - powiedział pospiesznie. - Powiedz Kirze, że ją odnajdziemy i że nic jej się nie stanie.

Słowa Luciena, niestety, tylko potęgowały przerażenie dziewczyny.

- Nie ma czasu! Słońce... słońce umiera i nie zobaczę już Nowego Roku. - Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Po chwili wyszeptala już swoim głosem: - Nie płacz, Kira, proszę, nie płacz. Nie mogę znieść twoich łez.

Smutek Kit łamał mu serce. Odstawił na bok świeczkę i ujął jej dłoń.

- Szukamy cię, Kiro - powiedział z mocą. - Przywieziemy cię do domu, gdy tylko cię

odnajdziemy.

Przez twarz Kit przebiegł spazm.

- Ja już chcę do domu.

- Im więcej powiesz nam o swojej sytuacji, tym szybciej cię odnajdziemy, Kiro. Czy możesz powiedzieć nam coś o człowieku, który cię więzi, coś, co mogłoby nam pomóc go zidentyfikować?

- Wysoki... wysoki diabeł, który przybył z czeluści piekieł.

- Kit zaczęła wiercić się niespokojnie. - Chcę do domu! Była już najwyższa pora, by zakończyć to przedstawienie, zanim jedno z nich trojga całkiem się załamie. Westchnął głęboko, po czym powiedział z wymuszonym spokojem:

- Powiedz Kirze, jak bardzo ją kochasz, Kit. Powiedz, że ją kochasz, i poproś, żeby nie rozpaczała.

Twarz Kit rozpogodziła się.

- Kocham cię, Kiro. Jak zawsze.

- Policzę teraz od jednego do dziesięciu i gdy dojdę do dziesięciu, ockniesz się i będziesz wszystko pamiętać. Raz... dwa...

- Doliczył do dziesięciu i rzekł szorstko:

- Obudź się, Kit. Zamrugała powiekami, a jej spojrzenie odzyskało blask.

- Zadziałało - wyszeptała. Potarła czoło grzbietem dłoni. - Ale, wielkie nieba, tak zmęczona nie byłam jeszcze nigdy w życiu. To było nawet bardziej wyczerpujące niż koszmary.

Położył się obok niej i przytulił, chcąc ogrzać jej drżące ciało.

- Wspaniale się spisałaś. Pamiętasz, co się działo?

- Taak. To było bardzo dziwne. - Kit urwała i odetchnęła głęboko kilka razy. - Wiedziała, że potrzebuję informacji, lecz nie byłyśmy w stanie porozumieć się słowami, bez względu na to, jak bardzo się starałyśmy. W większości to były emocje, trochę, oderwanych obrazów. Bardzo frustrujące.

- Domyślam się, że wysoki diabeł oznacza kogoś bardzo wysokiego i chudego. Czy to pasuje do tego, co wyczułaś?

- Tak. Pasuje też do wspomnienia o mężczyźnie z moich snów... dopiero teraz przypomniałam to sobie. - Potarła skronie. - Czy ja mówiłam coś o płomieniach piekielnych?

- Tak. Mam wrażenie, że chodziło ci o Hellionów. To, co zakładaliśmy od początku, lecz dobrze jest mieć potwierdzenie. Dowiedzieliśmy się także, że Kira jest przetrzymywana za granicami miasta, choć niezbyt daleko. I że przebywa w małym zamkniętym

pomieszczeniu. - Zmarszczył brwi. - To może być wszystko, poczynając od chaty z zamkniętymi okiennicami aż po prawdziwy loch. Czy odniosłaś jeszcze jakieś wrażenie, o którym nie powiedziałaś nic na głos?

- Tylko to, że Kira jest potwornie przerażona. Że wie, iż wkrótce stanie się z nią coś okropnego. - Kit zadrżała. - Czas ucieka nam bardzo szybko.

- Ale wreszcie robimy jakieś postępy. Poczynając od jutra, wszystkich podejrzanych z twojej listy każę mieć na oku. Może jeden z nich zaprowadzi nas do twojej siostry. Postaram się również dowiedzieć, który z tych mężczyzn ma posiadłości w odległości około dwóch godzin drogi od Londynu. - Zamyślił się na chwilę, delikatnie gładząc ramię Kit koniuszkiem palca.

- Przejrzę raz jeszcze akta Hellionów, które zgromadziłem: w poszukiwaniu szpiega. Nie sądzę, bym znalazł tam coś ważnego, lecz kto wie?

- To byłoby wspaniale - zgodziła się Kit. - Z powodu zawężonych możliwości działania musiałam bardzo ograniczyć krąg podejrzanych, lecz nie zdziwię się, jeżeli porywaczem okaże się ktoś, kogo nie brałam pod uwagę. - Znów wzdrygnęła się. - Nawet jeżeli będziemy pewni, że jeden z nich porwał Kirę, to jak dowiemy się, gdzie ją trzyma?

- Użyjemy ciebie jako psa gończego. Z tego, co mówisz, wynika, że jeżeli znajdziesz się dostatecznie blisko niej, będziesz potrafiła ją odnaleźć.

Kit przygryzła wargę.

- Jeżeli odległość nie będzie zbyt duża, to chyba tak.

- Moglibyśmy przeszukiwać posiadłości nocą, poruszając się w kwadratach, tak by nie minąć ani piędzi ziemi. - Przyciągnął ją do siebie i z rozczuleniem pomyślał, jaka jest delikatna i krucha. Czuł ból na myśl, że nie potrafi obronić jej przed tym, czego najbardziej się obawiała. Wreszcie odezwał się ponuro: - Wiem, że proszę cię o bardzo wiele, skarbie.

- Zrobię, co będę musiała. - Dopiero teraz zauważył ciemne sińce pod jej oczami. - Ale kiedy już ją znajdziemy, jak zdołamy ją wydostać? Jest strzeżona.

- Myślę, że po prostu wejdziemy i ją zabierzemy. Twój kuzyn Jason na pewno będzie chciał pójść z nami, a robi na mnie wrażenie dżentelmena gotowego na wszystko. Postaram się również, by pomógł nam jeden z moich najniebezpieczniejszych przyjaciół. Z pomocą takich ludzi moglibyśmy wydostać Kirę nawet z więzienia Tower. - Zaczął delikatnie masować jej plecy. Miał nadzieję, że dziewczyna zaśnie i trochę odpocznie. - Postaraj się odprężyć, Kit. Jeżeli tylko jest to w ludzkiej mocy, na pewno ją wydostaniemy.

- Jesteś bardzo pewny siebie. - Zamknęła oczy i wtuliła twarz w zagłębienie między jego szyją a ramieniem. Wkrótce zaczęła regularnie oddychać i zasnęła.

Lucien z ponurą miną przyglądał się grze cieni na suficie. Pomimo pewności siebie, jaką zaprezentował Kit, był zmartwiony i zaniepokojony. Było zbyt wiele możliwości i jeśli Kira się nie myliła, bardzo mało czasu. Potwór, który ją porwał, w każdej chwili mógł się znudzić zabawką i zabić ją tylko po to, by znaleźć sobie nową ofiarę do dręczenia.

Tak wiele zależało od cienkiej nici porozumienia wiążącej Kit z siostrą. Był to doprawdy zbyt wielki ciężar dla dziewczyny; jeżeli nie uda im się odnaleźć Kiry na czas, Kit nigdy sobie tego nie wybaczy. Będzie skazana na poczucie winy i samotność, do końca życia będzie jej czegoś brakowało. Lucien wiedział o tym doskonale, gdyż sam to przeżywał od zbyt wielu lat. Nikomu by tego nie życzył, nawet najgorszemu wrogowi, a już na pewno nie Kit. Poza tym obawiał się, że jeżeli jej siostra zginie, Kit już nigdy nie będzie chciała go widzieć, obwiniając go za to, że nie zdołał jej pomóc. Na samą myśl o tym czuł nieprzyjemne mrowienie na karku.

Kiedy był pewien, że dziewczyna śpi, delikatnie wyswobodził się z jej ramion, wyslizgnął z łóżka i podszedł do biurka. Usiadłszy na fotelu, skreślił krótki liścik:

*Michaela, potrzebuję twojej pomocy. Czy możesz natychmiast przyjechać do Londynu?*

*Lucien.*

Na odwrocie napisał:

*Lord Michael Kenyan, zamek Byrn, Penreith, Caermarthenshire, Walia.*

Nakapał parę kropli wosku na papier, przyłożył rodową pieczęć z herbem i zakleił list. Z samego rana wysłał go przez posłańca do Walii. Jeżeli się okaże, że będą musieli odbijać Kirę siłą, pomoc Michaela będzie nieoceniona. Ale najpierw trzeba się dowiedzieć, gdzie ona jest.

Wsunął się z powrotem do łóżka i objął mocno Kit. Miał nadzieję, że nie zawiedzie jej zaufania.

Lucien zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Dzień dobry, Dolly! Twój służący powiedział, że mogę wejść. Blondynka o bujnych kształtach, która właśnie pochylała się nad księgami rachunkowymi, uśmiechnęła się na powitanie.

- Strathmore! Jaka miła niespodzianka. Czyżbyś tu przyszedł, by dodać nieco smaku do swego nudnego życia?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zamknął za sobą drzwi.

- Moja droga, nie zapominaj o naszej umowie! Ja nie mówię, że jesteś odrażająca i zboczona, a ty mi nie wytykasz, jakie to wiodę nudne i pozbawione wdzięku życie purytanina. I masz mi nie powtarzać, że każda normalna kobieta zanudziłaby się przy mnie na śmierć.

Odchyliła się do tyłu na fotelu, wybuchając śmiechem.

- Zawsze mi się podobało, że potrafisz żartować z moich interesów. Większość klientów jest stanowczo zbyt ważna. Zapominają, że mają się dobrze bawić. - Możesz poświęcić mi kilka minut?

- Spodziewam się pewnego dżentelmena, ale on może poczekać. Frustracja pomoże mu wejść w odpowiedni nastrój. - Podniosła z biurka ogromny wachlarz, po czym wstała i obróciła się z ręką na biodrze. - To mój najnowszy strój. Jak ci się podoba? Czy uważasz, że mężczyźni oszaleją na mój widok?

Lucien przyjrzał się jej z uwagą. Miała na sobie olśniewającą czerwoną suknię i... chyba gorset, gdyż niesamowite krągłości jej ciała zostały wyeksponowane wprost idealnie. Dekolt odsłaniał tyle powabnego ciała, że nawet kamienny posąg by się zarumienił. Kiedy kobieta się obracała, zauważył, że długa do kostek suknia ma rozcięcia do pól uda, odsłaniające czarne buty do konnej jazdy ze srebrnymi ostrogami i czarne koronkowe pończochy.

- Czy nie jest nieco zbyt konserwatywny? - zapytał z udawaną nieśmiałością. - Kilka tygodni temu widziałem księżną paradującą w podobnym stroju, tyle że jej był nieco bardziej wyzywający.

- Świnia! - Zamachnęła się na niego wachlarzem. Lucien ze zdumieniem poczuł ból. Przyjrzawszy się zabawce z bliska, zauważył, że między strusimi piórami ukryte są skórzane chwosty. Piękno i ból zmieszane ze sobą - dokładnie to, czym trudniła się Dolly.

- Przyznaję, że czasem trudno jest być bardziej wulgarną niż damy obracające się w twoich wyższych sferach, ale ja potrafię tego dokonać. - Usiadła zakładając nogę na nogę, tak że przez rozcięcia sukni widać było zgrabne, obleczone w czarną koronkę nogi aż do pól uda. - Usiądź. Nie sądzę, byś przyszedł tu z towarzyską wizytą.

- Niestety, nie. - Usiadł naprzeciw niej i twarz mu spoważniała, gdy podawał jej kartkę papieru. - Czy któryś z nich jest twoim klientem?

- Wiesz dobrze, że o tych sprawach nie rozmawiam, Strathmore - odrzekła z niezadowolaniem. - Moi klienci oczekują ode mnie dyskrecji.

- Wiem o tym i szanuję to, lecz mam nadzieję, że tym razem złamiesz zasady. Jest bardzo prawdopodobne, że jeden z nich porwał dobrze urodzoną młodą aktorkę i zmusza ją do robienia rzeczy, które twoi klienci uwielbiają. Dolly zmarszczyła brwi.

- Nieładnie. Zabawy są tylko wtedy przyjemne, kiedy ich uczestnicy wspólnie ustalają reguły. Najlepiej, jeżeli łączy ich prawdziwe uczucie. - Rzuciła okiem na kartkę. - Nie sądzę, że to ten pierwszy na liście, Harford. Znam go, lecz nigdy tu nie bywa. Często natomiast

odwiedza burdel prowadzony przez moją przyjaciółkę. Uważam, że to zwykły zjadacz chleba. Ktoś, kogo mógłbyś polubić.

Lucien spojrzał na nią z przyganą.

- Wolałbym, abyś nie porównywała mnie do tego zwierzaka. Dolly uśmiechnęła się szeroko i wróciła do listy.

- Pozostali owszem odwiedzali mnie, lecz nieregularnie. Przychodzą tu raczej, by zakosztować czegoś odmiennego. Mace jest wyjątkowo dominującym typem, uwielbia bawić się pejcem. Chiswick lubi te zabawy i z jednej, i z drugiej strony, równie chętnie bije, co jest biczowany. Westley jest bardzo pasywny... lubi wachlarze, szczególnie podnieca go łaskotanie w stopy. Nunfield. - Postukała długim, cienkim paznokciem w papier. - Posuwa się za daleko. Po ostatniej wizycie zabroniłam mu tu wracać.

- Czy na podstawie tego, co o nich wiesz, mogłabyś się domyślać, który z nich mógłby być porywaczem?

Dolly zawahała się.

- Może Nunfield, ale trudno mi to powiedzieć. Wszyscy są przyzwyczajeni, że zawsze dostają to, czego chcą. To nie wyklucza porwania i chłostania dziewczyny, która potraktowała ich zbyt dumnie.

- Właściwie mam powody, by podejrzewać, że jest zmuszana do odgrywania roli pani, a nie niewolnicy.

Dolly zacisnęła usta.

- To dziwne. Nie podejrzewałabym człowieka, który lubi być poniżany, o to, że porwałby kogokolwiek. A jednak niczego nie można być pewnym. - Oddała mu listę. - Mam nadzieję, że w czymś ci pomogłam.

- Pomogłaś. - Lucien wstał. - Dziękuję ci, Dolly. Doceniam to, co dzisiaj dla mnie zrobiłaś!

- Zawiadom mnie, gdy już odnajdziesz tę dziewczynę - odpowiedziała poważnie. - Człowiek, który ją porwał i zmuszał do podobnych rzeczy, jest zdolny do wszystkiego.

- Tego się właśnie obawiam - odparł cicho Lucien. Lucien pracował w swym gabinecie, gdy Jason Travers wreszcie zwłókł się z łóżka po długim wypoczynku. Wykapany, ogolony, w ubraniu gospodarza, wyglądał wcale przystojnie, pomijając fakt, że odzienie wisiało na nim jak na wieszaku. Lucien poprosił go, by wszedł do gabinetu.

- Dzień dobry. Jak się czujesz? - spytał. Amerykanin zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- Jestem trochę spokojniejszy niż wczoraj wieczorem, choć nadal mam wrażenie, że

złapałem gorączkę więzienną i to wszystko to tylko halucynacja.

- Czy moja służba dobrze się tobą opiekuje?

- Doskonale. - W ciemnych oczach Jasona zamigotały iskierki humoru. - Nazywają mnie lordem Marklandem. Czasem zapominam, że to o mnie im chodzi.

Lucien odchylił się na fotelu.

- Zdaje się, że to doskonała przykrywka. Nawet jeżeli władze cię szukają, nikt nie pomyśli, że hrabia jest zbiegłym jeńcem wojennym.

- Ja też bym tak nie pomyślał. - Amerykanin błędził wzrokiem po wysokich półkach wypełnionych oprawnymi w skórę książkami. - Wszystko, co tu widzę, jest uczną dla mych zmysłów. Po szarości życia na więziennej barce jestem dość przytłoczony. Dziś rano wypłem kawę, zjadłem jajko na miękko i tosty. Smakowały niczym ambrozja. - Dotknął delikatnie płatków kwiatów stojących w wazonie i rozsiewających po pokoju lekki zapach. - Od twojej służby dowiedziałem się, że ty także jesteś hrabią.

Lucien kiwnął ceremonialnie głową.

- Dziewiąty hrabia Strathmore, ostatni z długiej linii mężczyzn, którzy zawsze wiedzieli, którą stronę popierać w odwiecznej walce o władzę i kiedy się wycofać. Do pańskich usług. Może i moi przodkowie nie byli zbyt bohaterscy, lecz potrafili dopiąć swego.

Jason przyglądał się swemu gospodarzowi.

- Być może to, że człowiek jest utytułowany, nie zawsze oznacza, że jest bezwartościowy.

Lucien był wyraźnie rozbawiony.

- Typowa amerykańska bezpośredniość zawsze mnie bawiła. Młodzieniec zarumienił się.

- Przepraszam. To nie tak miało zabrzmieć. Zapomniałem, jak człowiek powinien się zachowywać w normalnym społeczeństwie. - Z półki z książkami wziął antyczną klepsydrę i delikatnie przesunął palcami po polerowanym drewnie. Potem odwrócił przyrząd do góry nogami i patrzył, jak śnieżnobiały piasek przesypuje się do dolnej części klepsydry. - Uciekły mi bez powodu aż dwa lata życia i nawet nie mam u kogo się o nie upomnieć.

- Z czasem nawet najgorsze wspomnienia się zacierają - powiedział cicho Lucien. - W każdym razie tak mówił mi przyjaciel, który przez kilka okropnych lat walczył z Francuzami. Możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz. Jak widzisz, miejsca w tym domu nie brakuje. Albo jeżeli wolisz, mogę ci pomóc dostać się na kontynent i wrócić jakimś statkiem do Ameryki. Możliwe, że pakt pokojowy zostanie podpisany jeszcze przed końcem tego roku.

- Amen. Ale nie mam zamiaru wyjeżdżać z Anglii, dopóki nie dowiem się czegoś o

Kirze. - Odstawił klepsydrę na miejsce i kontynuował: - A skoro już przy tym jesteśmy, chętnie skorzystam z twojej gościnności, lecz proszę, byś zapisywał me długi. - Dotknął wełnianej marynarki. - Trudniłem się handlem dostatecznie długo, by poznać najlepsze materiały na pierwszy rzut oka.

- Dobrze - zgodził się spokojnie Lucien. - Będę zapisywał każdego szylinga, którego na ciebie wydam, i oczywiście dorzucę jeszcze jakiś drobny procent za usługę.

- Dzięki. - Jason spochmurniał. - A teraz opowiedz mi o zniknięciu Kiry.

Lucien zdradził mu wszystko, co wiedzieli bądź też zdołali się domyślić. Wspomnił o koszmarnych snach Kit i drobnych informacjach, jakie zdobyli poprzedniej nocy dzięki zahipnotyzowaniu Kit. Relacjonował wszystko jak najdokładniej.

Amerykanin zacisnął usta i tylko w jego oczach widać było targające nim emocje. Kiedy Lucien skończył, rzekł ze spokojem, w którym czaiło się szaleństwo i groźba:

- Gdy odnajdziemy człowieka, który porwał Kirę, zamierzam pokroić go na bardzo małe paseczki bardzo tępym nożem. - Może się okazać, że do tego przywileju będziesz musiał ustawić się w kolejce - odparł sucho Lucien.

- A wracając do tego, że Kira ma nie doczekać Nowego Roku... czy myślisz, że mówiła dosłownie? Jezu Chryste, styczeń zacznie się za kilka dni!

- Za parę dni dowiemy się dostatecznie dużo, by zacząć działać. - Choć w jego głosie brzmiała pewność, Lucien popatrzył niepewnie na klepsydrę. Nie potrafił pozbyć się przygnębiającej myśli, że godziny życia Kiry upływają równie nieubłaganie, co ziarenka piasku w antycznym mechanizmie. A jeżeli umrze, on może na zawsze stracić Kit...



Lord Chiswick wychylił się przez balustradę łoży.

- Kiedy przychodzę do teatru, czuję nieodpartą chęć rzucenia zgniłymi owocami w tę hołotę na dole.

- Aktorzy by ci za to nie podziękowali - zauważył Lucien.

- Najprawdopodobniej wszystkie owoce wylądowałyby właśnie na nich.

Lord Mace wziął szczyptę tabaki.

- Tylko wtedy, gdyby na to zasłużyli.

- Może powinniśmy wezwać tu dziewczynę z pomarańczami i wykupić cały jej zapas na wszelki wypadek - zaproponował Nunfield.

- Wątpię, czy by się przydały - powiedział wesoło Ives. - Z tego, co słyszałem, ta sztuka jest bardzo zabawna.

- Mam nadzieję - odrzekł Nunfield przeciągając nieco wyrazy.

- W przeciwnym razie mogę zachować się grubiańsko i wyjść w połowie przedstawienia, Strathmore. Na Pall Mail otworzono nowe kasyno, które jest podobno wyjątkowo interesujące, więc chciałbym je zobaczyć.

- Jeżeli sztuka będzie nudna, idę z tobą - zapewnił go Lucien. Na szczęście wszyscy podejrzani, oprócz Harforda, przyjęli jego zaproszenie do teatru. Aby nie wzbudzać podejrzeń, zaprosił także młodego lorda Ivesa, który zawsze chętnie odwiedzał teatr Marlowe, by zobaczyć swą ukochaną Cleo.

Większość towarzystwa londyńskiego wyjechała z miasta, by spędzić święta w rodzinnych posiadłościach na wsi, tak że prawie wszystkie najlepsze łoża w teatrze były wolne. Jednak cały dół teatru i galerie wypełniali londyńczycy, którzy przyszli na premierę *Ulic skandalu*.

Najpierw zagrała orkiestra, lecz publiczność zupełnie to zignorowała. Rozmowy ucichły, dopiero gdy zaczął się pierwszy akt. Osią akcji była intryga skorumpowanego kupca, który chciał zdyskredytować uczciwego urzędnika państwowego, Digby'ego Uprighta. Już sama sugestia, że urzędnik państwowy może być uczciwy, wywołała dzikie wybuchy śmiechu.

Dialogi były zabawne i cięte, pełne aluzji nawiązywały do wielu aktualnych spraw, od ekstrawagancji księcia regenta, po negocjacje pokojowe w Wiedniu. Cała publika ryczała ze śmiechu, a nawet wytworni goście Luciena byli rozbawieni.

Kulminacyjną sceną pierwszego aktu był bal wydawany przez Digby'ego z okazji

zaręczyn córki. Wrogowie, o których istnieniu nie miał pojęcia, postanowili zdyskredytować go przed zaproszonymi gośćmi, między którymi było wielu znaczących polityków. W pewnym momencie Digby przerywa tańce, by przedstawić gościom zarumienioną córkę, graną przez wyjątkowo poważną Cleo Fransworth, i jej przystojnego narzeczonego.

Gdy tylko dostojny człowiek skończył mówić, na scenę weszło dwóch łobuzów niosących ogromny dywan. Przy wielkim zainteresowaniu gości rozwinęli go na samym środku sali balowej. Ze środka wyskoczyła Kit. Na głowie miała rozczochraną blond perukę i jej frywolna szkarłatna suknia przypominała Lucienowi kreację Dolly. Nie tylko dekolot z przodu był niezwykle wyzywający, lecz także tył sukni odsłaniał niemal w całości mlecznobiałe plecy dziewczyny.

Lucien usiadł w kącie łoży, tak by bez wzbudzania nadmiernych podejrzeń obserwować swych gości. Kiedy Kit pojawiła się na scenie, Ives i Westley po prostu wybuchnęli śmiechem wraz z resztą widowni, natomiast Chiswick pochylił się do przodu opierając ramiona na balustradzie i wpatrując się w dziewczynę z napięciem. Z wystudiowaną obojętnością Nunfield rozparł się w fotelu, bębniąc palcami o kolano i wpatrując się w scenę oczyma drapieżnego ptaka. Mace nie zareagował w żaden sposób, może tylko nieco zacisnął usta.

Lucien przeklął ciemności panujące w łoży, które utrudniały mu zadanie. Choć co prawda nie spodziewał się, że porywacz wstanie na równe nogi i zawoła wielkim głosem: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!”, to liczył na jakąś wskazówkę, zdumienie, na widok „Cassie James”. Z drugiej strony brak reakcji niczego nie dowodził - wszyscy Wyznawcy byli doświadczonymi graczami, hazardzistami przywykłymi do kontrolowania swych emocji.

Ku wielkiej rozpaczy Digby'ego, dziewczyna, którą grała Kit, pocałowała go swobodnie, sugerując długą i zażyłą znajomość, obraziła jego żonę i córkę, zaczęła flirtować otwarcie z narzeczoną tej ostatniej i opowiedziała radośnie wszystkim gościom, że sir Digby'ego stać na to, by pomagać jej w karierze, dzięki niewiarygodnie wielkim łapówkom, które od lat przyjmuje. Kiedy urzędnik usiłował wykrztusić z siebie słowa jakiegokolwiek protestu, uciszyła go niecierpliwym machnięciem ręki. Była wspaniałą kobietą, która doskonale zdaje sobie sprawę z władzy, jaką ma nad mężczyznami.

Kit odwróciła się do publiczności i spojrzała w stronę łoży Luciena. Potem, przy wtórze bębenka i kastanietów, rozpoczęła dziki taniec, podczas którego fruwały fatałaszk i migały jej szczupłe nóżki. Lucien starał się obserwować swych towarzyszy, lecz jego wzrok sam wędrował do Kit. Żywiołowość i uroda dziewczyny przyciągały oczy wszystkich

zgrupowanych na widowni.

W jej ruchach była jakaś nowa zmysłowość. W *Cyganeczce* po prostu doskonale grała zmysłową kobietę, teraz nią była. Każde skinienie szczupłej dłoni, każde zgięcie ślicznej szyi, każde frywolne spojrzenie, obiecywało rozkosz, o jakiej nikomu się nie śniło. Lucien poczuł, że budzi się w nim pożądanie. Te dwa dni, w ciągu których jej nie widział, wydawały mu się wiecznością.

Spontaniczny aplauz rozległ się w całym teatrze, gdy spódnice dziewczyny podfrunęły dostatecznie wysoko, by ukazać wytatuowanego motyla. Lucien był rozdarty między chęcią natychmiastowego zamordowania każdego mężczyzny w teatrze, który ośmielił się na nią patrzeć i jej pożądać, a radością i męską dumą z faktu, że on jeden całował frywolnego motylka na jej udzie i on jeden zna cudowności, kryjące się w jej ciele i duszy.

Poza tym był na najlepszej drodze do szaleństwa, a podejrzewał, że dopóki nie poślubi Kit, będzie coraz gorzej.

Na zakończenie tańca Kit uklękła we wdzięcznej pozycji u stóp zaskoczonego Digby'ego, jego żona i córka z furią wypadły ze sceny, zabierając ze sobą opierającego się narzeczonego. Oburzeni goście poszli w ich ślady, pozostawiając sir Digby'ego sam na sam z fałszywą kochanką. Kit szybko wstała i przesławszy zrujnowanemu urzędnikowi pocałunek, zostawiła go samego.

Po opadnięciu kurtyny rozległy się burzliwe oklaski. Lord Chiswick odezwał się pierwszy, z niezwykłym jak na niego entuzjazmem:

- Cóż za urocza aktorka!

- W rzeczy samej - zgodził się lord James. - Czy ktoś wie, jak ona się nazywa?

- Cassie James. - Nunfield wziął szczyptę tabaki z tabakierki podsunętej mu przez Mace'a. - Proponowałem jej kiedyś dość korzystny układ, lecz odmówiła. Może powinienem spróbować ponownie, tym razem hojniej? - Zerknął na Luciena. - Oczywiście pod warunkiem, że jeszcze nie ma opiekuna. - Ironiczne błyski w jego oczach sugerowały, że słyszał o incydencie w salonie, jednak Lucien nie dostrzegł ani śladu zazdrości. Czy jego wyrozumienie było szczere, czy tylko udawane? Lucien nie potrafił tego ocenić.

- Dobrze poznałem aktorki - odezwał się nagle Mace przeciągając słowa. - Wszystkie są takie same... chciwe dziwki. Uważam, że znudzone żony bliźnich są o wiele bardziej interesujące. Nie mają takich zachcianek i są wdzięczne za okazaną im uwagę. - Wstał. - Chyba rozprostuję nogi przed drugim aktem.

Pozostali także wyszli, by pospacerować lub odwiedzić znajomych w innych lożach, Lucien został więc sam. Chciał rozważyć to, co udało mu się zaobserwować. Miał właśnie

zamiar wstać i zejść na dół, gdy drzwi łoży otworzyły się i do środka weszła Kit. Miała na sobie ciemną pelerynę z kapturem zakrywającym włosy. Wyglądała na cnotliwą średniowieczną mniszkę.

Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie, a potem padli sobie w ramiona. Jej ciało było ciepłe i chętne, a usta spragnione pocałunków. Tulili się do siebie przez długą chwilę. Raptem Kit odwróciła głowę i wybuchnęła ponurym śmiechem.

- Właściwie przyszedłam, by zapytać, czy się czegoś dowiedziałeś.

- Nie powinniśmy tu rozmawiać - zauważył Lucien, wracając do rzeczywistości. - Któryś z nich może wrócić lada moment. - Wiem. Łoże na końcu korytarza są puste. Moglibyśmy tam porozmawiać. - Wyrzwała ostrożnie na korytarz, po czym ująwszy go za rękę, poprowadziła do pustej łoży.

Wybrała ją doskonale, gdyż była nie tylko pusta, ale niezwykle głęboka i tak ocieniona, że nikt z dołu nie mógł ich zobaczyć. Na wszelki wypadek Lucien przygarnął dziewczynę i przycisnął ją plecami do ściany. Gdyby ktoś ich zobaczył, pomyślałby, że są parą kochanków, wymieniającą czułości w przerwie przedstawienia. Mówiąc cicho z ustami tuż przy uchu Kit, powtórzył rozmowę z Dolly i opowiedział o reakcji mężczyzn, których zaprosił na premierę.

Kiedy skończył mówić, milczała, lecz wyczuwał jej rozczarowanie.

- Przykro mi, kochanie - rzekł ponuro. - Może coś umknęło mojej uwagi, lecz gdy zaczęłaś tańczyć, nie potrafiłem oderwać od ciebie wzroku. Podobnie jak wszyscy inni. Byłaś doskonała.

- Tańczyłam tylko dla ciebie - powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Taką miałem nadzieję. - Wsunął dłonie pod jej pelerynę. Nadal miała na sobie ów wyjątkowo wycięty kostium, tak że bez przeszkód gładził jej delikatne ramiona, doznając przyjemnego uczucia towarzyszącego każdemu, kto robi coś zakazanego.

Kit zadrżała lekko, a jej szare oczy pociemniały. Odezwała się wolno, jak gdyby z trudem przypominając sobie, po co tu przyszli:

- Gdybyś miał zgadywać, na podstawie czystej intuicji, kogo podejrzewałbyś o porwanie Kiry?

- Mace'a. - Choć odpowiedź przyszła niemal natychmiast, umotywowanie jej zabrało mu nieco więcej czasu. - Prawie wcale nie zareagował na twoje pojawienie się. Uważam to za podejrzane, gdyż cały teatr chłonał twój taniec, a on zdawał się tego nie zauważać. Poza tym nie wątpię, że jest zimny i skory do okrucieństwa.

- Twoja przyjaciółka, Dolly, mówiła jednak, że on lubi posługiwać się batem -

przypomniała mu dziewczyna. - Dlaczego miałby zmuszać kobietę do wymierzania mu chłosty?

- Nie mam pojęcia. - Lucien odsunął kaptur jej peleryny. Gęste blond loki spięła na karku. Pod ciężkimi sztucznymi włosami jej ucho, wyjątkowo delikatnie rzeźbione, przypominało wiosenny kwiat. Lekko przesunął ustami po tym kuszącym kształcie; smakował słodko, lecz jednocześnie trochę słonawo. Przypominając sobie, że musi skupić się na najważniejszym, Lucien dodał: - Jednak Dolly mówiła także, że nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać po takim człowieku.

Kit westchnęła głęboko, zaciskając dłonie na jego ramionach.

- A co... a co z Nunfieldem? Przyznał, że chciał, by Kira została jego kochanką.

Dłonie Luciena przesunęły się w dół po delikatnej skórze i miękkiej tkaninie, by spocząć na twardych pośladkach dziewczyny. Zacisnął je lekko, czując, jak ciepłe ciało dopasowuje się do jego rąk.

- Nie wyglądał mi na odrzuconego adoratora, który nagle owładnięty obsesją porywa przedmiot swych westchnień. Oczywiście, Nunfield może być doskonałym aktorem, który śmieje się z nas wszystkich w kułak, wiedząc, że ma Kirę gdzieś zamkniętą i tylko dla siebie.

- A Chiswick?

- Zachowuje się tak, jakby nigdy dotąd nie widział Cassie James na oczy. Może i nie widział... nie wygląda mi na miłośnika teatru. - Choć Lucien wiedział, że powinien natychmiast wypuścić Kit z objęć, nie potrafił się do tego zmusić. Na poły zdumiony, na poły rozdrażniony własną słabością, dodał: - Trudno jest mi myśleć logicznie, gdy trzymam cię w ramionach.

- Rozumiem to. - Pochyliła się nieśmiało, dotknęła ustami jego twarzy i przesuwiała je po policzku. Lucien poczuł ciepłe mrowienie na całym ciele. Wstrzymał oddech mając nadzieję, że dziewczyna na tym nie skończy.

Tak jakby to wyczuwając, Kit w ciszy i skupieniu dotarła do miękkiego zagłębienia poniżej jego ucha. Przekręcił głowę... pocałowali się z namiętnością i zapamiętaniem. Była Kathryn pełną rezerwy, wyzywającą Cassie i czystooką Kit w jednej osobie. Przytulił ją mocniej i poczuł, jak kobieca miękkość wtula się w jego twarde męskie ciało.

Gdzieś bardzo daleko bywalcy teatru wracali na swe miejsca szurając nogami. Wiedząc, że muszą natychmiast przerwać, powiedział bez tchu: - Pewno musisz już schodzić na dół, by przygotować się do drugiego aktu?

- Ja... ja występuję dopiero w trzecim. - Oddychała urywanie, a jej ciepły oddech drażnił delikatną skórę poniżej ucha Luciena.

Rozumiał obawę dziewczyny przed zniszczeniem więzi łączącej ją z Kirą i już zaakceptował jej potrzebę unikania emocjonalnych pożarów namiętności. A jednak dłoń, jego samolubna, zdradziecka dłoń przesunęła się do bioder Kit i miętosząc wspaniały szkarłatny materiał, zmierzała nieubłaganie w kierunku tajemniczej cudowności między udami.

Kit wydała zdławione westchnienie.

- Nie... nie powinniśmy tego robić.

- Wiem - zgodził się Lucien wsuwając palce coraz głębiej. Nawet przez grube warstwy materiału czuł podniecające ciepło jej ciała. - Ale tak trudno jest... przestać.

Dziewczyna wypchnęła biodra do przodu i wydała niski, nieomal zwierzęcy jęk. Dla niego był to najcudowniejszy, najbardziej podniecający dźwięk pod słońcem. Przywarł ustami do jej warg.

Na sali poniżej rozległ się gwałtowny wybuch śmiechu spowodowany kolejnym, nieoczekiwanym obrotem spraw na scenie. Jednak Lucien ledwo to zauważył, gdyż Kit właśnie gładziła jego brzuch zsuwając się coraz niżej w nieśmiałej, niepewnej pieszczocie. Napierał spragnionym ciałem na jej dłoń, a ona już się nie wahała, zacisnęła na nim palce. Stał jak sparaliżowany. Był tak napięty, że zdawało się, że przy najmniejszym ruchu rozpadnie się na kawałki.

A jednak nie potrafił wytrwać w bezruchu. Złapawszy w garść jej suknię, pelerynę i bieliznę, uniósł je w górę. Pończochy były przywiązane do gorsetu tasiemkami; ignorując kokardki, wsunął dłonie między jej obleczone koronką uda i znalazł jedwabisty trójkąt. Pomędzy miękkimi włoskami czekało na niego gorące, słodkie kobiece ciało, wilgotne i gotowe.

Ukryła twarz na jego ramieniu, by nie krzyknąć głośno, gdy pierwszy raz jej dotknął.

- Nie powinniśmy tego robić - powiedziała słabo, sama nie wiedząc, czy chce, czy też nie, aby on był od niej silniejszy. - A... a jeżeli ktoś zajrzy do łoży?

- Jest zbyt ciemno... by ktokolwiek nas zauważył - odrzekł pospiesznie, z trudem układając zdanie. Kit czuła, że kręci jej się w głowie. Nie bardzo już pamiętała, dlaczego nie powinni tego robić. Gorąca męskość pulsowała w jej dłoni, niewątpliwa męskość, wyczuwalna nawet przez warstwy materiału. Zacisnęła dłoń przypomniawszy sobie, jak to było, gdy miała go w sobie. Na samą myśl o tym poczuła, że jeszcze bardziej wilgotnieje. Bezwiednie zaczęła go masować, wodząc palcami w górę i w dół po twardym wybrzuszeniu materiału.

Lucien zamruczał coś niezrozumiałego i sięgnął niecierpliwie do guzików pantalonów. Rozpiął je wymacawszy w ciemności krzesło, usiadł na nim pociągając Kit za sobą. Opadła

na niego z szeroko rozłożonymi udami i natychmiast poczuła, jak się w nią wsuwa.

W tym, co robili, była jakaś nieprzyzwoitość. Ich ciała połączyły się pod szeleszczącymi fałdami materiału i koronek. Tak, nieprzyzwoite, ale jakże podniecające.

Kiedy delikatnie wypchnął biodra w górę, dziewczynę przeszedł dreszcz. Jej piersi przywarły do torsu Luciena, a policzek do twarzy. Obejmował ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Zaczęli się razem kołysać, a nogi krzeselka skrzypiały po podłodze. Dźwięk ten ginął wśród śmiechu publiczności.

Krew pulsowała w jej skroniach, wybijając rytm niczym afrykańskie tam - tamy i doprowadzając ją do szaleństwa. Nagle poczuła, że gdzieś, w samym środku, wybucha dziki płomień, i wbiła zęby w ramię Luciena. Szorstki materiał ocierał się o jej policzek. Potem przyszedł spokój.

- Dobry Boże, Kit... - Jego palce wbiły się w biodra dziewczyny, gdy wchodził w nią nadal, raz za razem. Z głębi jego piersi dochodził świszczący oddech.

Potem już żadne z nich nie oddychało, aż nadeszła chwila, gdy zmęczone płuca zaczęły domagać się haustu świeżego powietrza.

- Słodki... Jezu... - wymamrotał Lucien. - Przepraszam, Kit. Nie chciałem, by to się tak skończyło. - Przytulił policzek do jej piersi starając się uspokoić dziko walące serce. - Myślisz, że Kirę...

- To była w tym samym stopniu moja wina, co twoja - wyszeptwała z bolesną szczerością. Ale dobry Boże, jak mogła tak bezceremonialnie zapomnieć o siostrze? Jakąż była egoistką, pozwalając sobie na chwilę zdrożnego zapomnienia w ramionach mężczyzny, gdy Kirze groziło śmiertelne niebezpieczeństwo!

Spróbowała nawiązać kontakt z siostrą, obawiając się, że wąta nić ich porozumienia mogła nie przetrwać tak dzikiego szału namiętności. Tym razem jednak nie panikowała, gdy nie znalazła od razu połączenia z Kirą. Cierpliwie skupiła myśli, zapominając na chwilę o cudownym rozluźnieniu, jakiego właśnie doznawała. Wreszcie udało jej się wyczuć słabiutkie pulsowanie życia siostry.

- Wszystko w porządku - rzekła w przypiływie ulgi.

- W takim razie wcale nie żałuję, że się zapomnieliśmy.

- To nie jest śmieszne. Namiętność okropnie osłabia mój umysł. Nie powinnam była do tego dopuścić.

- Po uprawianiu miłości jest to całkiem naturalne - wyjaśnił Lucien. - Ale ten efekt nigdy nie trwa długo. Nie bądź dla siebie tak surowa... jak na razie nasza namiętność wcale nie zburzyła twej więzi z siostrą, a nam bardzo się podobało.

I to był jeden z powodów, dla których czuła się tak okropnie winna. Usiłując jakoś się rozładować, odezwała się ostrym tonem:

- A ty nie chcesz zrezygnować z tej przyjemności, prawda? Czy moje uleganie twoim zachciankom jest ceną za pomoc w odnalezieniu Kiry?

Lucien zacisnął dłonie na jej ramionach z bolesną siłą. Kit czuła bijącą od niego wściekłość. Jednak kiedy się odezwał, jego głos był cichy i spokojny. Niebezpiecznie spokojny.

- Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, czy powiedziałem coś, co mogłoby sugerować, że moja pomoc jest obwarowana jakimkolwiek warunkami?

- Nie. - Spuściła wzrok. - Nie mogę jednak pozbyć się uczucia, że jestem zdana na twoją łaskę.

Znów nastąpiła cisza.

- Czy chcesz mnie sprowokować, tak abym trzymał się od ciebie na dystans? - zapytał w końcu Lucien.

Zesztywniała zastanawiając się, jak to możliwe, by znał jej umysł lepiej niż ona sama.

- Może... może i tak. Czuję się osaczona, Lucien. Jestem przerażona tym, co stało się z Kirą, wyczerpana tym, że muszę prowadzić jej życie, i teraz jeszcze ty... Czuję się jak liść niesiony burzą... nie mam już żadnej kontroli nad własnym życiem. To wcale nie jest miłe uczucie.

- Myślę, że nie - przyznał cicho. Przytulił czule dziewczynę. - Ale to już nie potrwa długo. Wkrótce odzyskasz własne życie. Ze sceny dotarł do nich mocny głos aktora grającego Digby'ego Uprighta. Kit miała jeszcze trochę czasu, by pomedytować o wspaniałym uczuciu, jakie stało się jej udziałem.

Nagle uświadomiła sobie, że wciąż tkwiący w niej członek Luciena twardnieje. Gdyby się jeszcze raz kochali, zrobiliby to wolniej i delikatniej. Byłoby więcej czasu, by delektować się rosnącym pożądaniem i wspaniałością spełnienia...

Ale uzależnienie się od człowieka, który potrafił zmienić jej umysł i ciało w galarete, było w jej sytuacji zbyt niebezpieczne. Zbierając resztki silnej woli, wstała.

Poczuła nagły protest Luciena, lecz i on zrozumiał, że tak będzie najlepiej.

- Nawet gdyby nie było innych powodów, dla których nie powinnam tracić dla ciebie głowy, istnieje ryzyko ciąży - odezwała się Kit, starając się mówić ze swobodą, jakiej nie była w stanie z siebie wykrzesać. - Jest to całkiem prawdopodobna komplikacja, która miałaby fatalne skutki. Nawet nie chcę myśleć, jak fatalne.

- Wcale nie aż tak bardzo. - Lucien wygładzał zmarszczki na fraku. - Nawet gdybyś



już zaszła w ciążę, do czasu gdy będziesz tego pewna, dawno będziemy po ślubie.

Kit zacisnęła dłonie na pelerynie i mruknęła:

- Wolałabym, żebyś tego tak nie powtarzał.

Gdy tylko te słowa wyszły z jej ust, zamarła. Jakże chciała je cofnąć!

Nie mogła mieć nawet nadziei, że on puści je mimo uszu. Z twarzą kamienną popatrzył na nią badawczo w przyćmionym świetle.

- Czy to myśl o posiadaniu dziecka tak bardzo cię drażni, czy też może chodzi ci o małżeństwo?

Wiedząc, że jedynym sposobem na uniknięcie awantury jest posłużenie się półprawdą, Kit rzekła:

- Drażni mnie myśl o tym, że zaciągniesz mnie przed ołtarz tylko po to, by zaspokoić swoje poczucie przyzwoitości. To nie jest najlepsza podstawa dla budowania małżeństwa.

Lucien lekko przekręcił głowę, a padające pod dziwnym kątem światło zapaliło zielone błyski w jego oczach.

- A więc to w tym rzecz. Powinienem być się domyślić. - Ujął jej dłoń i lekko uściskał.

- Zdaje się, że nie byłem do końca uczciwy. Choć mówiłem o naszym małżeństwie jako o sprawie honoru i obowiązku, nigdy bym tego nie zaproponował, gdybym naprawdę nie chciał się z tobą ożenić. - Uniósł dłoń Kit i ucałował końce palców. - Pomiedzy nami już wiele się stało. Mam nadzieję, że to tylko początek.

Kit próbowała wyrwać mu rękę.

- Ale coś mi się zdaje, że to ja nie chcę za ciebie wychodzić za mąż.

- Nie proszę, byś oddała mi całe serce - rzekł, wciąż nie wypuszczając jej dłoni. Wystarczy mi tylko mały kawałeczek. Przysięgam, że nie będę się sprzeciwiał twojej pracy ani nie będę starał się wejść między ciebie a Kirę.

- Nie składaj obietnic, których później możesz żałować. Im mniej powiemy teraz, tym łatwiej będzie się nam później rozstać.

- Nie zamierzam się z tobą rozstawać, moja kochana - oświadczył Lucien cicho. - Chyba żeby się okazało, że pogardzasz mną tak bardzo, że nie możesz mnie znieść w swym towarzystwie.

- Może teraz mnie pragniesz, lecz jeszcze nie spotkałeś Kiry. Kiedy ją poznasz, stracisz całe zainteresowanie moją osobą.

Zacisnął mocno palce na jej dłoni. Wyczuła jego wściekłość i niedowierzenie tak jasno, jakby wypowiedział je na głos.

Na dole wybuchły gwałtowne oklaski. Drugi akt miał się już ku końcowi.

- Znałem kiedyś pewnego człowieka, który powtarzał mi, że z kobietami należy postępować tak jak z dywanami... trzeba je regularnie trzepać - rzekł Lucien, gdy oklaski ucichły. - Nigdy się z nim nie zgadzałem, ale może jednak miał rację. Skąd przyszło ci do głowy, że gdy tylko zobaczę Kirę, od razu śmiertelnie się w niej zakocham?

- Bo każdy się zakochuje! - rzuciła Kit. - Ona ma to wszystko, co ci się we mnie podoba, i jeszcze o wiele więcej.

- Nawet jeżeli masz rację, to jej uczucia są już zaangażowane gdzie indziej. W każdym razie tak uważa Jason Travers - zauważył cynicznie. - W takim wypadku nie pozostaje mi nic innego, jak ożenić się z tobą.

Kit słyszała ironię w jego głosie, lecz te słowa były zbyt bolesne, by mogły bawić. - Małżeństwo jest jedyną sprawą, w której nie pozwolę traktować się jako gorszą od Kiry. Wolę już zostać starą panną. - Wyszarpnęła mu rękę. - Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, przygotuj się na to, że będziesz musiał walczyć o Kirę. Jason jest wspaniałym mężczyzną, lecz ty jesteś o wiele lepszy. Jeżeli naprawdę jej zapragniesz, będziesz w stanie ją zdobyć. - Odwróciła się i podeszła do drzwi. - Muszę już iść. Muszę się przebrać przed trzecim aktem.

Zwinnie jak pantera przebył dzielącą ich odległość i zablokował jej wyjście.

- O wiele łatwiej jest mieć rodzeństwo bliźniacze przeciwnej płci. Mniejsze jest współzawodnictwo. - W jego głosie było tyle współczucia, że Kit miała ochotę się rozplakać. - Nie masz zbyt wysokiego mniemania o miłości. Ale to nie jest konkurs, który trzeba wygrać; to więź łącząca dwa serca. To, że ty i Kira jesteście niemal identyczne, wcale nie znaczy, że ludzie kochający was zupełnie was nie rozróżniają. I choć jestem mile polectany faktem, że uważasz mnie za atrakcyjniejszego od Jasona Traversa, wątpię, czy Kira podzieliłaby twoje zdanie.

- Wiem, że myślisz, iż opowiadam bzdury, lecz jeszcze nie spotkałeś Kiry - upierała się Kit. - Nie wiesz, jakie może wyrzeć na tobie wrażenie.

- I nie potrzebuję tego wiedzieć... wiem już, jakie ty wywierasz na mnie wrażenie. - Złapał ją w pasie i pocałował mocno, dając upust determinacji i wściekłości. - Wybaczę ci to idiotyczne zachowanie ze względu na to, że porwanie Kiry bardzo tobą wstrząsnęło. Ale nie myśl sobie, że na tym kończy się nasza rozmowa. Kiedy odnajdziemy twoją siostrę, podejmiemy ją znowu i nie skończymy, dopóki nie uwierzysz, że mówię ze szczerego serca. Przysięgam.

Na szczęście zaraz wypuścił ją z objęć, gdyż nie była w stanie mu odpowiedzieć. Naciągnęła kaptur głęboko na włosy, owinęła się szerokimi połami czarnej peleryny i uciekła. Mało brakowało, a spóźniłaby się. Burzliwe oklaski w teatrze oznaczały, że drugi akt już się

kończy i za chwilę foyer wypełni się ludźmi.

Wąskie schody poprowadziły ją na parter. Wchodząc za kulisy, powinna była już skupić się na roli, lecz nie potrafiła. Jej myśli zajmował mężczyzna, który nie chciał odejść, nawet gdy się go odpychało. Wiedząc, że nie potrafi stawić czoła swoim kompanom, Lucien pozostał w pustej łoży aż do kolejnej przerwy. Trudno było mu uwierzyć, że zaledwie przed kilkoma minutami kochał się z Kit - w samym środku teatru pełnego ludzi! Chyba już tracił zdrowy rozsądek!

Dlaczego nie mógł się zakochać w mniej skomplikowanej kobiecie?

Bo nieskomplikowane kobiety go nie interesowały; nie rzucały mu wyzwania; nie doprowadzały do szaleństwa tak wielkiego, że zapominał, gdzie jest i co go może spotkać. I oczywiście intymne zbliżenia z nieskomplikowanymi kobietami zawsze kończyły się bolesnym rozczarowaniem. Ta może i zostawiała go sfrustrowanego, lecz nie pogrążonego w melancholii.

O wiele łatwiej byłoby, gdyby mógł raz na zawsze powiedzieć, że Kit jest w błędzie. Lecz nie mógł. Choć serce mówiło mu, że nie jest w stanie pokochać innej kobiety tak mocno, to zdawał sobie sprawę, że Kit ma rację - jeszcze nie spotkał lady Kristine Travers. Czy naprawdę była drugą Kit, tylko wspanialszą, cudowniejszą, bardziej godną pożądania?

Bzdury! A jednak tak długo, jak Kit wierzyła, iż może pokochać jej siostrę bliźniaczkę, dziewczyna będzie kontrolować własne uczucia. Był to kolejny powód, dla którego jak najszybciej chciał odnaleźć Kirę.

Pochylił się do przodu opierając ręce na balustradzie. Choć spoglądał prosto w tłum, nie widział nikogo. Wciąż rozmyślał. Dotychczas zawsze unikał spółnienia dziecka. Dość powściągliwy tryb życia bardzo mu to ułatwiał.

A jednak z Kit wcale nie uważał. Najprostszym wytłumaczeniem było to, że podniecała go tak bardzo, że nie potrafił się wstrzymać. Jednak znał siebie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że naprawdę chciał, by dziewczyna zaszła w ciążę i musiała go poślubić. Zamiast bronić kobiety, którą kochał, chciał ją uwięzić, złapać w pułapkę tak szczelną, by nie mogła z niej uciec. Nawet gorzej, jego samolubne zachowanie mogło zagrozić nici wiążącej Kit z siostrą.

Nie była to przyjemna myśl. A jednak gdyby miał możliwość znów się z nią kochać, pewnie by z tego nie zrezygnował.

Wrócił myślami do dawno minionych dni z czasów szkolnych. W Kolegium Świętego Serca był pewien byczkowaty młodzieniec, który specjalizował się w pomiataniu młodszymi kolegami. Pewnego razu wyzwał na pojedynek spokojnego i cichego chłopca o nazwisku

Whitman, który podczas jakiejś dyskusji miał czelność się z nim nie zgodzić. Whitman nie miał doświadczenia w pojedynkach, ale honor nakazywał mu przyjęcie wyzwania, choć cała sprawa mogła zakończyć się jego śmiercią.

Zbliżający się pojedynek był ulubionym tematem plotek uczniów. Wszyscy uważali, że ze względu na nierówne szanse będzie to farsa, nie pojedynek, lecz ponieważ chodziło o honor, nikt nie śmiał się wtrącać. Nikt, z wyjątkiem Luciena. Ten zadał, komu trzeba, parę pytań i dowiedział się, że arogancki młodzieniec ma preferencje seksualne, które mogłyby go zrujnować w oczach towarzystwa. Posłużył się zdobytą wiedzą na tyle umiejętnie, że zmusił go do porzucenia wszelkich myśli o pojedynku, a nawet skłonił do przeproszenia Whitmana.

Kiedyś Rafe dowiedział się przypadkowo o roli, jaką Lucien odegrał w tej historii, i z zamyśleniem w chłodnych szarych oczach powiedział:

- Ty naprawdę jesteś amoralny.

Ta uwaga nie pozostawiła żadnego śladu na ich przyjaźni, poza tym Rafe naprawdę się cieszył, że pojedynek się nie odbył, lecz ujawniała podejście do sprawy nawet najbliższych przyjaciół Luciena.

I, oczywiście, Rafe miał rację. Choć Lucien wcale nie uważał się za człowieka pozbawionego honoru, bez wahania o nim zapominał w sytuacjach, w których uważał to za konieczne. Może dzięki temu był doskonałym szpiegiem. Poza tym wiedział, że sama przynależność do wyższych sfer jeszcze nie czyniła człowieka dżentelmenem.

Z kwaśnym uśmiechem wyszedł z pustej łoży, by dołączyć do swoich kompanów. Kit miała charakter i temperament reformatora, a on mógł zapewnić jej fundusze i środki, by mogła wprowadzać swe pomysły w życie.

Lucien wszedł do łoży, w chwili gdy zajmowano miejsca przed trzecim aktem. Obecni byli tylko Ives, Chiswick i Westley. Chiswick przekrzywił głowę i spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Wygląda na to, że na czas drugiego aktu znalazłeś lepsze od nas towarzystwo.

Lucien wcale nie przejął się tym, że będzie miał wśród Hellionów opinię rozpustnika; o to mu przecież chodziło. - Spotkałem przyjaciela, który miał ochotę porozmawiać o polityce - odparł wymijająco. - Bardzo ciekawa rozmowa.

- Sądząc z twojego wygniecionego fontazia, także bardzo burzliwa - zauważył lord James z krzywym uśmiechem.

- Dość. Zawsze bardzo chętnie się tym zajmuję. To znaczy polityką. - Lucien zajął swe miejsce. - Czyżby Mace i Nunfield znudzili się i wyszli?

- Taak. Prosili, bym przekazał ci ich przeprosiny - odezwał się Ives. - Nunfield

powiedział, że nagle poczuł dobrą passę i że musi dorwać się do karcianego stolika, zanim mu przejdzie.

Lucien zastanawiał się, czy zniknięcie dwóch panów ma jakieś znaczenie. Może nie - wiedział z doświadczenia, że łatwo się nudzili i zawsze poszukiwali nowych podniet. Wzruszając lekko ramionami, zwrócił całą swą uwagę na sprytny odwet, jaki na scenie wziął Digby na swych dręczycielach.

Wreszcie przed widownią pojawiła się Kit ubrana w wyjątkowo surową suknię i wyjaśniła wszystkim obecnym, że wstrętny kupiec zmusił ją do odegrania roli kochanki uczciwego Digby'ego pod groźbą posłania jej kochanej babci do więzienia za długi. Jej oświadczenie przypieczętowało niewinność urzędnika. Społeczeństwo przyklasnęło bezpardonowemu rozprawieniu się z chciwym kupcem, wierna żona powitała męża z otwartymi ramionami, a premier obdarzył go zaszczytami i władzą, o jakich mu się do tej pory nie śniło. Triumf sprawiedliwości i doskonale przedstawienie teatralne. *Ulice skandalu* będą zapewne w repertuarze teatru Marlowe przez długie lata.

Kit dostała swoją porcję oklasków, choć jej rola była stosunkowo mała. W ostatniej scenie wyglądała na tak szczerze zrozpaczoną, że Lucien poczuł się winny. Nie lubił świadomości, że utrudnia jej życie. Nie chciał przysparzać dziewczynie kłopotów, i tak miała ich dosyć. Odwiedzi ją następnego dnia rano i opowie, czego się dowiedział o właścicielach niektórych posiadłości dokoła Londynu.

Z pewnością, jeżeli się postara, będzie w stanie utrzymać ręce z daleka od niej i rozmawiać w miarę sensownie.

Zamiast zostać i obejrzeć krótką farsę po głównym przedstawieniu, Lucien i jego znajomi postanowili pójść do Klubu Waitera, znanego w całym mieście z doskonałego kasyna i jeszcze lepszego jedzenia. Kiedy koła powozu stukotały po Piccadilly, skierował rozmowę na Cassie James.

Chiswick rzucił parę uwag świadczących o oszołomieniu i olśnieniu, całkiem typowych dla człowieka, który widział dziewczynę po raz pierwszy w życiu. Westley także był oczarowany, ale sprawiał wrażenie nieco mniej poruszonego. Lucien, choć był wytrawnym słuchaczem i potrafił wyczuć kłamstwo w głosie rozmówcy, nie sądził, by którykolwiek z nich mógł być porywaczem.

Próbował się skupić na swym małym przesłuchaniu, lecz nagle zdał sobie sprawę, że coraz bardziej niepokoi się o Kit. Dopilnował wprawdzie, by sama nie wracała do domu, nie potrafił jednak pozbyć się uczucia, że sam powinien ją odprowadzić, tym bardziej że rozmowa z trzema Hellionami najwyraźniej donikąd nie prowadziła.

Byli już prawie przed Klubem, gdy dobiegł go głos Westleya:

- Strathmore, jesteś tu jeszcze?

Lucien natychmiast wrócił myślami do rzeczywistości i zdał sobie sprawę, że ktoś zadał mu pytanie. Zrozumiał także, że nic go to nie obchodzi. Musiał iść do Kit. Natychmiast.

Zapukał w dach powozu, na znak, by woźnica się zatrzymał. Gdy powóz zwalniał, rzekł:

- Waśnie sobie przypomniałem, że jestem z kimś umówiony. Nie mogę pojechać z wami do Waitera. Przepraszam.

Zanim któryś z jego towarzyszy miał okazję to skomentować, Lucien wyskoczył z powozu i podbiegł do dorożki, z której właśnie wysiadali pasażerowie.

- Do teatru Marlowe - powiedział wskakując pospiesznie do środka. - I dam ci dodatkowo pięć funtów, jeżeli dojedziemy tam za dziesięć minut.

- Jak pan sobie życzy, psze pana - odparł woźnica z entuzjazmem. Dorożka ruszyła tak gwałtownie, że Lucien musiał się złapać poręczy, by nie upaść na podłogę. Usiadł zastanawiając się, dlaczego aż tak się przejmuje?

Kit zatrzymała się w zielonym salonie obserwując twarze i próbując dopatrzeć się jakiejś reakcji. Na wszelki wypadek. Ponieważ nie zdarzyło się nic niezwykłego, pozostała chwilę, by porozmawiać z gośćmi, po czym udała się do garderoby. Była wycieńczona, i to nie tylko występami na scenie. Namietność i pożądanie były męczące, a sprzeciwianie się Lucienowi jeszcze bardziej.

Właśnie kończyła się przebierać, gdy zjawił się Henry Jones.

- Dobry wieczór, panienko - powiedział skinąwszy jej uprzejmie głową. - Już chce pani iść do domu?

- Oczywiście.

Henry Jones wyjął z kieszonki kamizelki stary zegarek i sprawdził, która godzina.

- Za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut przyjedzie powóz lorda Strathmore'a.

Dziewczyna narzuciła na ramiona długi płaszcz.

- Nie chcę już dłużej czekać. Pójdźmy na piechotę. Przecież to nie jest daleko, a ja z chęcią się przejdę i odetchnę świeżym powietrzem. - Przemknęła obok zdumionego inspektora i ruszyła w kierunku wyjścia z teatru.

- Jego lordowska mość wiele razy podkreślał, że powinna panienka pojechać jego powozem. Miał przysłać także dwóch uzbrojonych służących - odezwał się Henry, nieomal biegnąc za nią korytarzem. - Może być panienka w niebezpieczeństwie.

- Gdyby to była jutrzejsza noc, zgodziłabym się bez słowa. Ale nawet najgorszy

złoczyńca nie jest w stanie zorganizować napadu, jeśli lord Lucyfer nie spuszcza go z oka. - Inspektor chciał zaprotestować, więc dodała pospiesznie: - Jeśli pan sobie przypomina, panie Jones, to ja pana zatrudniłam i chcę się dziś przejść.

Inspektor zmarszczył brwi.

- Jego lordowska mość nie lubi, gdy się ignoruje jego rozkazy. To bardzo gwałtowny człowiek.

Kit zrobiła groźną minę, jedną z tych, które praktykowały razem z Kirą pod łóżkiem dla odstraszenia złych duchów.

- A ja jestem bardzo gwałtowną kobietą, panie Jones. Idzie pan ze mną czy też zostaje?

Starszy mężczyzna zachichotał, dając w ten sposób do zrozumienia, że czuje się pokonany.

- Powiem portierowi, że poszliśmy pieszo. On przekaże tę wiadomość woźnicy lorda Strathmore'a.

Rześkie nocne powietrze przegnało trochę jej zmęczenie, lecz nie złagodziło smutku. Była idiotką mówiąc Lucienowi, że zakocha się w Kirze, gdy tylko, niech Bóg pozwoli jak najszybciej, ją zobaczy. Oczywiście, że był wściekły, żaden mężczyzna z odrobiną honoru na dnie duszy nie przyjąłby spokojnie takiego oświadczenia. Ale on nie znał prawdy. Nie miał o niej pojęcia.

Kit nigdy nie miała pretensji do siostry o to, że zawsze łatwiej nawiązywała kontakty z mężczyznami i miała zadziwiającą zdolność oczarowania każdego, od niemowlaka po starca. Pewnie dlatego, że nie spotkała mężczyzny, o którego mogłaby być zazdrosna. Może z wyjątkiem Philipa Burke'a, który przyjechał na całe lato w odwiedziny do znajomych w Westmoreland. Bliźniaczki miały wtedy po szesnaście lat, a Philip był dwudziestoletnim, czarującym i zabawnym studentem. Pierwszy raz w życiu Kit chciała, by jakiś mężczyzna uważał ją za wyjątkową.

Jednak mimo jej szczerých wysiłków, to Kira zawładnęła sercem młodzieńca. Chętnie dołączył do wianuszka stałych wielbicieli dziewczyny, a nieśmiałą Kit ledwo zauważał. To trochę bolało... więcej niż tylko trochę... ale Kit nigdy nie winiła o to siostry. To nie było wcale tak, że Kira specjalnie starała się odciągnąć od niej Philipa; po prostu była sobą - cudowną, czarującą i oszłamiającą dziewczyną.

Z Lucieniem jednak nie poszłoby tak łatwo. Była spora szansa, że Kira wybierze Jasona. W takim przypadku Lucien z pewnością będzie się czuł w obowiązku dotrzymać zobowiązania wobec Kit. Ale ona nigdy by go nie poślubiła wiedząc, że to jej siostry

naprawdę pragnie - choć Lucien był bardzo sprytny, nie oszukałby jej co do prawdziwego obiektu swych uczuć.

Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy Kit marzyła o tym, by nie mieć siostry bliźniaczki. Ta myśl jednak szybko się ulotniła, gdyż nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez siostry. Kiedy były jeszcze bardzo młode, poprzysięgły sobie, że nigdy nie wyjdą za mąż, dopóki nie znajdą odpowiednich braci bliźniaków. Później, gdy trochę dojrzały, często rozmawiały o tym, jakie byłoby to okropne, gdyby jedna z nich umarła. Bardzo poważnie przyrzekły sobie, że na starość zeskoczą ze skały trzymając się za ręce. W ten sposób umarłyby w tej samej chwili.

Och, Kiro, Kiro...

Zadrżała i otuliła się połami płaszcza. Kit wiedziała, że gdyby siostra umarła, najprawdopodobniej sama zeskoczyłaby ze skały.



Kit była tak przygnębiona, że milczenie Henry'ego Jonesa było dla niej błogosławieństwem. Skręcili z placu Strand w wąską uliczkę.

Uszli zaledwie kawałek, gdy usłyszeli stukot końskich kopyt na bruku. Sfatygowany powóz minął ich, po czym zatrzymał się kilkanaście stóp przed nimi. Ze zdziwieniem Kit zauważyła, że konie są wyjątkowo dobrze utrzymane i piękne. A potem wszystko stało się bardzo szybko. Z powozu wypadło trzech mężczyzn w maskach i ruszyło do Kit i jej towarzysza.

- Biegiem, panienko! - zawołał Henry Jones.

Popchnął ją z powrotem w stronę Strand i wyciągnąwszy pistolet zza pasa wymierzył w przeciwników. Stał między Kit a złoczyńcami, lecz i to nie na wiele się zdało. Podczas gdy dwóch z nich rzuciło się na biednego Henry'ego Jonesa, ostatni i największy pobiegł za dziewczyną.

Pędziła ile sił w nogach, lecz nagle wielkie łapsko zacisnęło się na jej ramieniu. Chciała zawołać o pomoc, lecz napastnik drugą dłoń przytknął jej do ust, zanim zdążyła pisnąć choć słówko.

Gdy odchylił do tyłu jej głowę, za małymi otworkami w masce dziewczyna ujrzała oczy napastnika, lśniące i bez wyrazu, niczym wypolerowane kamienie - oczy człowieka, który zabiłby bliźniego z równą łatwością, co pajaka. Czy to on pomagał porwać Kirę? Z dziką furią Kit wgrzyła się w jego mięsistą rękę.

- Ty mała dziwko! - Uderzył ją w głowę otwartą dłonią z taką siłą, że poczuła, jak ciemnieje jej w oczach. - Spróbuj czegoś podobnego jeszcze raz, a naprawdę zrobię ci krzywdę.

Ponad jego ramieniem Kit zobaczyła, że nieco dalej Henry Jones szarpie się z jednym z opryszków, podczas gdy drugi stoi tuż obok z wymierzonym pistoletem. Na szczęście bał się wypalić w obawie, że zrani swego towarzysza. Szybko straciła z oczu całą scenę, gdyż napastnik włókł ją w stronę powozu. Każdy cal drogi okupiony był zajadłą walką z jej strony - kopała i drapała, jednak nie miała najmniejszych szans.

I wtedy zza zakrętu ulicy wyjechał drugi powóz. Zdobywając się na nadludzki wysiłek, Kit krawędzią dłoni uderzyła ciągnącego go mężczyznę w krtań. Wydał z siebie zduszony dźwięk. Wykorzystując chwilę jego słabości wydarła mu się z ramion i zostawiła na pamiętkę tylko płaszcz. Modląc się w duchu, by woźnica lub właściciel najeżdżającego powozu udzielił jej pomocy, a nie uciekł w popłochu, Kit pobiegła wzywając ratunku. Za

sobą słyszała ciężkie kroki goniącego ją złoczyńcy.

Powóz zatrzymał się. Zanim jeszcze całkiem stanął, drzwiczki otworzyły się i wyskoczył Lucien; wyglądał tak, jak go nazywano - jak Lucyfer.

- Stań za mną, Kit! - krzyknął.

Kiedy go posłuchała, złoczyńca wyszczerzył zęby w podłym uśmiechu.

- No, no... cóż za elegancki paniczek - mruknął. - Zjadam takich jak ty na śniadanie.

Zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, Lucien zatoczył laską koło niczym pałką i uderzył go w głowę. Ciężka złota gałka rąbnęła w czaszkę z nieprzyjemnym odgłosem, a nieszczęśnik zwałił się na ziemię jak worek piasku.

Nie tracąc czasu i poruszając się zwinnie niczym tancerz, Lucien obrócił się na pięcie i pobiegł na pomoc inspektorowi z Bond Street. Henry Jones leżał właśnie na ziemi, a jeden z przestępców stał nad nim z wymierzonym pistoletem. Lucien uderzył laską w lufę i posłał ją z głośnym klekotem do rynsztoka. Zanim broń spadła na ziemię, trzeci mężczyzna rzucił się na Luciena zwalając go z nóg, jednak zamiast walczyć dalej, poderwał się na równe nogi i zawołał do swych kamratów: - Czas się zwijać, chłopaki! - Podniósł z ziemi swego kompana i pobiegli do czekającego powozu.

Lucien wstał i chciał biec za nimi, jednak potknął się i runął na ziemię. Bezradnie patrzył, jak trzech złoczyńców wskakuje do powozu, woźnica strzela z bata nad głowami koni i odjeżdżają w mrok nocy.

Zaklął podnosząc się z trudem. Potem odwrócił się i pokuśtykał do Kit.

- Nic ci się nie stało?

- Chyba nie - odrzekła drżącym głosem. Powoli zbliżała się do Luciena. Wreszcie znalazła się w jego ramionach.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, pod dziewczyną ugięły się kolana. Wtuliła twarz w jego pierś i słuchała, jak dzikie walenie serca Luciena stopniowo wraca do normy.

- Czy oni chcieli cię porwać?

Zapanowała nad histeryczną ochotą wybuchnięcia płaczem.

- Chyba tak. To nie był zwykły napad. Odgarnął potargane włosy z jej czoła.

- Czy rozpoznałaś któregoś z nich?

- Jestem pewna, że to nie byli Hellioni. Mam wrażenie, że raczej zbiry na ich usługach. - Starła się odtworzyć w pamięci całe zajście. - Pamiętam, że kiedy ten wielki ciągnął mnie do powozu, zastanawiałam się, czy to on porwał Kirę? Może brał udział w jej porwaniu, a ja to wyczułam.

- Mace i Nunfield wyszli z teatru przed drugim aktem. Jeden z nich mógł zaaranżować

pułapkę w tak krótkim czasie, jeżeli wiedział, do kogo się zwrócić. Ale jest także możliwe, że ten napad nie ma nic wspólnego z dzisiejszą wizytą podejrzanych w teatrze. Po prostu nie mamy dostatecznych dowodów.

- Skąd wiedziałeś, że ktoś nas napadł? Wahał się dość długo, zanim odrzekł:

- Nie wiedziałem. Po prostu czułem... że mnie potrzebujesz. Kiedyś powiedział, że miał jakiś szósty zmysł, jeżeli chodziło o jego siostrę, że potrafił wyczuć, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo. Najwyraźniej ta jego zdolność dotyczyła wszystkich kobiet w potrzebie. Poza tym wiedział dokładnie, gdzie przyjechać. Kit potrząsnęła głową w zdumieniu. - Nic dziwnego, że ludzie nazywają cię Lucyferem... masz doprawdy niezwykle zdolności. Cieszę się, że jesteś po mojej stronie.

- Zawsze, Kit - odpowiedział cicho. - Nigdy w to nie wątp. Jej ukochany, jej obrońca. Pragnęła go nieomal z bólem. Chciała wtopić się w jego ramiona i pozostać w nich do końca świata. Chciała zapaść się w jego siłę i dobroć. Przeszedł ją dreszcz, jak gdyby mury oddzielające ją od innych ludzi właśnie miały runąć. Kit bała się, że wtedy już nigdy w życiu nie odzyska w pełni wolności.

Z bólem przypominała sobie, że im bardziej teraz będzie na nim polegać, tym bardziej będzie potem cierpieć. Musi zachować dystans, nawet jeżeli nie po to, by odnaleźć Kirę, to po to, by zachować zdrowe zmysły.

Odstępując od Luciena na krok, zapytała:

- Czy noga bardzo cię boli?

Momentalnie wyczuł, że dziewczyna znów próbuje go odtrącić. Zamarł w bezruchu, a ciepły złoty blask znikł z jego oczu i były teraz zimne, zielone i obce. Kit, obserwując jego twarz w świetle latarni gazowej, poczuła ogromny smutek i zdała sobie sprawę, jak bardzo go zraniła.

I choć przez długą chwilę nie odzywali się do siebie ani słowem, wyrósł między nimi niewidzialny mur.

- Tylko skręciłem sobie kostkę. Nic mi nie będzie - odpowiedział wreszcie Lucien cichym i zimnym głosem.

Podniosła z ziemi płaszcz, który zdarł z niej napastnik, i owinęła się nim drząc z zimna. Potem w milczeniu sięgnęła po laskę i kapelusz, po czym bez słowa podała je Lucienowi, starając się na niego nie patrzeć.

Dwadzieścia stóp dalej Henry Jones pozbierał się na nogi i właśnie otrząpywał z kurzu. Na jego szczęce widać już było zaczątki siniaka, dolną wargę miał rozciętą, a na brodzie - plamę z krwi. Oprócz tych kilku zadrapań nic groźnego mu się chyba nie stało.

- Doskonale wycucie czasu, hrabio - powiedział jowialnie, najwyraźniej nie podejrzewając burzy, która miała miejsce między dziewczyną a Lucieniem. - Warto było poświęcić mój jedyny płaszcz, by zobaczyć pana w akcji.

Lucien odwrócił się do inspektora. - Czy wolno mi zapytać, dlaczego nie poczekaliście na mój powóz, który miał zabrać lady Kathryn do domu? - Jego głos był lodowaty.

Zgadując, że całą jego wściekłość na nią Lucien wyładowuje na biednym inspektorze, Kit wtrąciła się szybko:

- To była moja wina. Nie wierzyłam, że naprawdę grozi mi niebezpieczeństwo, i nalegałam, byśmy poszli pieszo.

Ignorując jej słowa, Lucien, mrużąc oczy, przyglądał się inspektorowi z Bond Street.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, hrabio. Panienska nie rozumiała grożącego jej niebezpieczeństwa, lecz ja powinienem był to przewidzieć.

- Ano właśnie, powinien pan. Jeżeli raz jeszcze dowiem się o podobnej nieostrożności, będzie miał pan ze mną do czynienia. A ja bywam bardziej przykry niż cała banda takich łotrów. - Lucien nadal mówił groźnym tonem, lecz nieco złagodniał, gdy inspektor uczciwie przyznał się do popełnionego błędu. - Może chce pan, by woźnica odwiózł go do domu po tym, jak zabierze mnie i lady Kathryn do Strathmore House? Podejrzewam, że po takiej bójce wygodniej będzie panu pojechać niż iść piechotą.

- Dziękuję bardzo, hrabio, ale przechadzka dobrze mi zrobi.

- Henry Jones skrzywił się schylając się po wygnieciony kapelusz.

- Gdy człowiek oberwał tyle razy w życiu co ja, wie, co jest po tym najlepsze.

Życząc Kit dobrej nocy, inspektor poszedł swoją drogą. Kiedy był już dostatecznie daleko, Kit zaproponowała:

- Jeżeli myślisz, że nie będę bezpieczna w domu Kiry, odwieź mnie do cioci Jane. Nikt z całą pewnością nie zna tego adresu.

- Nie opowiadaj bzdur - odrzekł szorstko. - Zostajesz ze mną aż do zakończenia całej tej sprawy. Nigdy nie powinienem był spuszczać cię z oczu. - Otworzył przed nią drzwiczki powozu, zwracając się do zafascynowanego woźnicy: - Na Hanover Square.

Kiedy Lucien pomagał jej wsiąść do powozu, Kit już otwierała usta, by zaprotestować, ale przerwał jej w pół słowa:

- Nawet nie próbuj mnie przekonywać, jak to ucierpi na tym twoja reputacja. Sama mi kiedyś mówiłaś, że nie obchodzą cię podobne plotki. - Wdrapał się do powozu i zatraskując drzwiczki dodał: - A jeżeli aż tak bardzo martwisz się o przyzwoitość, twoja ciotka może przyjechać i zamieszkać na jakiś czas w Strathmore House. Jeśli chcesz mi powiedzieć, że

szekspirowski kot twojej siostry potrzebuje opieki, to zapewniam cię, że i to stworzenie może zamieszkać w moim domu. A przez resztę drogi na Hanover Square możesz mnie uświadomić, jaką to jestem potworną bestią. - To powiedziawszy, oparł się o poduszki siedzenia i popatrzył na dziewczynę wyczekująco.

Może i nawet miała ochotę go zbesztać, lecz ostatnie słowa Luciena całkiem ją rozbroiły.

- Jeżeli mam być szczerą, to mam już dość kłótni na dzień dzisiejszy. Poczekaj do jutra, a opowiem ci dokładnie, co o tobie myślę.

- Jutro będziesz miała lepsze rzeczy do roboty. Znalazłem kilka domów należących do naszych podejrzanych, które leżą w odległości kilku godzin jazdy od Londynu. - Westchnął ze zniecierpliwieniem. - To już coś, lecz takie informacje są starannie ukrywane. Mogą być jeszcze inne posiadłości, o których nic nie wiemy.

- Jestem pewna, że odkryłeś więcej, niż udałoby się to zwykłemu śmiertelnikowi... - Zagryzła usta, znowu mając wrażenie, że czas upływa zbyt szybko i nieubłaganie. - Mam zagrać w *Ulicach skandalu* jutro wieczorem, lecz jeżeli mamy się udać na poszukiwania, to mogę poprosić w teatrze, by ktoś przejął moją rolę.

- To nie będzie konieczne. Dwie posiadłości położone najbliżej Londynu są małe, więc chyba nie będziemy musieli się włamywać, byś przekonała się, czy jest tam Kira.

- Dzięki Bogu - odpowiedziała gorąco. - Nareszcie zaczniemy coś robić.

Kilka minut później dojechali do Strathmore House i Lucien, sownie wynagrodziwszy woźnicę, poprowadził dziewczynę do środka. Nie było mowy o spaniu w jednym łóżku; niezwykle formalnie polecił służącej zabrać lady Kathryn do pokoiów gościnnych i obdarzył dziewczynę zaledwie przelotnym pocałunkiem na dobranoc.

Kiedy układała się do snu w pustym pokoju, powtarzała sobie, że tak jest najlepiej. Nie było mowy o rozterkach, czy mają się kochać, czy też nie, ani poczucia winy, gdyby Lucienowi udało się ją jednak przekonać.

Szkoda tylko, że rozsądek jest zawsze związany z chłodem i samotnością. Kit była tak zmęczona, że spała bardzo długo, a obudziło ją dopiero natarczywe pukanie do drzwi. Jeszcze lekko otumaniona snem, rozejrzała się po bogato wystrojonym pokoju, nie wiedząc, gdzie jest. Zanim sobie przypomniała, do pokoju weszła jej ciotka, dwa znajomo wyglądające koty i pokojówka z tacą herbaty. Koty natychmiast wskoczyły na łóżko obok dziewczyny i ułożywszy się po obu jej bokach, przyglądały się sobie nieufnie ponad jej kolanami. Najwyraźniej Viola i Sebastian już zapomnieli, że są rodzeństwem.

Ignorując poczynania kotów, ciotka Jane radośnie przywitała Kit.

- Dzień dobry, Kathryn, wyglądasz dość paskudnie. Wypij herbatę i zjedz kilka rogalików. - Odprawiwszy pokojówkę, naląła herbaty do filiżanek i dosypała szczydru cukru.

Kit stłumiła westchnienie; ciotka była jedną z tych okropnych, godnych pożałowania osób, powszechnie znanych jako ranne ptaszki.

- Co ty tu robisz, Jane? - zapytała unosząc filiżankę do ust i pijąc przesłodzony napój.

- Ten twój hrabia odwiedził mnie dziś z samego rana i przywiózł tu razem z Sebastianem w imię przyzwoitości. - Jane usiadła na krześle obok łóżka. - Choć podejrzewam, że bronienie twojej reputacji jest równie na miejscu, co zamykanie drzwi stajni po tym, jak ostatni koń zniknął właśnie za horyzontem. - Kiedy Kit zarumieniła się po uszy, dodała: - Nie musisz tego komentować.

- I nie zamierzam. - Choć opowiadała ciotce wszystko, co dotyczyło poszukiwań Kiry, jakoś nigdy nie wspominała jej o swojej znajomości z Strathmore'em. - Poza tym on wcale nie jest „moim hrabią”.

Jane uśmiechnęła się szeroko.

- Jemu się wydaje, że jest. Nie jestem twoim prawnym opiekunem, więc nie poprosił mnie o twoją rękę, lecz powiedział mi o waszych planach.

- To jeszcze nie zostało ustalone - sprostowała ostro Kit. Ciotka zmarszczyła brwi.

- Czy on sprawia ci trudności, Kathryn? Mężczyźni potrafią być takimi brutalami.

Kit wpatrywała się w filiżankę.

- Hrabia Strathmore nie jest brutalem. Myśli po prostu, że mnie skompromitował i że powinien się ze mną ożenić. Wątpię jednak, czy coś z tego wyjdzie.

- Jeżeli tak twierdzisz, kochanie... Zdaje się, że on jest bardzo stanowczy. A jednak muszę przyznać, że go polubiłam. Mogłabyś znaleźć sobie o wiele gorszego męża.

- Sama nie wiem, czy chcę męża, i nie sądzę, żeby jemu zależało na małżeństwie. Kiedy odnajdziemy Kirę, spodziewam się, że hrabia Strathmore i ja pójdziemy każde w swoją stronę.

- Wiedząc, że nie powinna faworyzować żadnego kota, Kit odstawiła filiżankę, by głaskać oba jednocześnie. - Jak udało mu się wyciągnąć Violę z domu Kiry?

- Może obudził Cleo Fransworth i poprosił ją, by go wpuściła.

- Oczy lady Jane zaświeciły. - A może sam otworzył sobie drzwi. Nie sądzę, by włamanie się do czyjś domu nie leżało w naturze tego dżentelmena.

- I ja tak myślę. Między innymi to dlatego jest mi tak pomocny.

- Kit przełamała rogalik na pół, trzymając go poza zasięgiem kocich pazurków. - Nic

mnie nie obchodzi, jeżeli hrabia jest zwykłym włamywaczem. Jeżeli tylko pomoże mi odnaleźć Kirę, nic innego się nie liczy.

Lady Jane spoważniała. Przeżyła porwanie siostrzenicy nieomal tak ciężko, jak Kit.

- Czy dowiedziałaś się czegoś nowego?

Dziewczyna opowiedziała ciotce, co się wydarzyło, od czasu kiedy ostatnio się widziały, i zakończyła mówiąc, że właśnie tego dnia zamierzają pojechać do dwóch posiadłości Hellionów, położonych niedaleko Londynu.

- Naprawdę uważasz, że potrafisz ją wyczuć, jeżeli znajdziesz się dostatecznie blisko niej? - zapytała z powątpiewaniem lady Jane.

- Mam nadzieję. - Kit zacisnęła palce na rogaliku, a gdy okruchy opadły na łóżko, koty rozpoczęły dziką walkę o to, który złapie więcej. - Jeżeli to się nie uda, nie wiem, co zrobimy dalej.

Kit uważała, że będzie o wiele naturalniej, jeżeli pojedzie na wyprawę za miasto ubrana jak młodzieniec. Zjadłszy więc śniadanie, zajrzała do kufra z ubraniami, który przywiozła jej ciotka. Na szczęście lady Jane nie zapomniała o jej stroju włamywacza, więc ubrana w czarne buty i spodnie Kit wyruszyła wraz z Lucieniem i Jasonem Traversem na południe, do Surrey.

Pierwsza posiadłość należała do lorda Chiswicka; wynajmował ją bogatemu urzędnikowi z Londynu. Wraz ze swą eskortą Kit okrążyła posiadłość wiele razy, zbliżając się tak bardzo, jak tylko było to możliwe. Potem uwiązawszy konie przy drodze, poszli pieszo ścieżkami prowadzącymi w głąb majątku.

Cały czas Kit wyteżala zmysły w poszukiwaniu Kiry. W samym centrum posiadłości stanęła i zamknąwszy oczy zaczęła powoli się obracać, niczym pies gończy węszący zdobycz. Mężczyźni przyglądali się jej w napięciu. Czują tylko zimno i pustkę, ani śladu ciepła i obecności Kiry.

- Nic - powiedziała cicho, otwierając oczy.

- Za dobrze by było, gdyby się okazało, że znaleźliśmy ją za pierwszym razem - rzekł Jason.

- Poza tym, właściwie nie spodziewałem się, że tu znajdziemy twoją siostrę - dodał Lucien kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. - Chodź. Pojedziemy do następnej posiadłości. Jest własnością Nunfielda i mieszka w niej kilku jego podstarzałych krewnych. Myślę, że to o wiele bardziej prawdopodobne miejsce.

Kit nic nie odpowiedziała. Była zawiedziona i przerażona. A jeśli się myliła, jeżeli nie będzie w stanie zlokalizować siostry, nawet gdy będzie blisko niej? Jeżeli jej zdolności

zanikły pod wpływem czasu i stresu?

Jeśli tak, to Kira nie miała najmniejszych szans.



## ***Interludium***

*Nie spodziewała się, że przyjedzie na następną sesję tak szybko. Poza tym miała bardzo mało czasu na przygotowanie się. Ledwie zdążyła włożyć czarną perukę, wysokie buty i szkarłatny gorset. Nie jest łatwo stać się na zawołanie wścieklą suką, jakiej pragnął; potrzebowała do tego koncentracji i wszystkich swych zdolności aktorskich. Musiała wreszcie dobrze wyczuć, czego on w danej chwili pragnie. Nie mając czasu na przygotowanie się, nie była pewna, czy zdoła opanować na tyle strach, by go nie okazać.*

*Dokładnie przymocowała go do kajdan wiszących u sufitu i rzucając pod nosem przekleństwa, które tak go podniecały, chłostała batem po nagich plecach. Była to zwykła gra, lecz tym razem wszystko zajęło o wiele więcej czasu. Na domiar złego w jego ciemnych oczach płonął jakiś ogień, i to ją przerażało. Może już nie stanowiła dla niego nowości, może już go tak nie podniecała. Jeżeli się nią znudzi.*

*Jej podejrzenia potwierdziły się, gdy tylko uwolniła go z kajdan. Dotychczas zawsze wychodziła do sąsiedniego pomieszczenia, a on zostawiał ją w spokoju. Tym razem złapał ją brutalnie za rękę.*

*- Z czasem niewolnik staje się panem, a pani niewolnicą - rzekł jadowicie. - I to nastąpi już wkrótce, moja królowo.*

*Musiała go opanować jak dziką bestię. Uderzywszy go kolanem w pierś, wyrwała mu rękę.*

*- Ale kundel zawsze będzie tylko kundlem - warknęła. - I jak pies, który drży przed swoim panem, tak ty mnie potrzebujesz, i tego, co ci daję. Przyjmiesz więc każde poniżenie. Złapał ją za ramiona i ociekającym potem ciałem przygniół do ściany. Ogarnęła ją panika; jeszcze nigdy jej nie uderzył.*

*- Wkrótce poznasz prawdziwy strach, a ja będę się rozkoszował każdą jego chwilą. - W jego urywanym oddechu czaiło się podniecenie. - Ostatnie i najlepsze przedstawienie swego życia dasz, gdy role się odwrócą. Ale nie martw się... kiedy nadejdzie ta chwila, nie będziesz sama.*

*Równie nagle, jak się zaczęła, sesja dobiegła końca. Podniósł Z podłogi szlafrok, owinał nim poznaczone pręgami ramiona i wyszedł przekręcając ciężki klucz w zamku.*

*Opadła na kolana drżąc na całym ciele. Ile jeszcze jej zostało? Starła się nie myśleć o tym, co usłyszała, lecz nie potrafiła przestać się zastanawiać, jak długo i jak okropnie będzie musiała cierpieć, zanim litościwa śmierć weźmie ją w swe objęcia.*

*I co miał na myśli mówiąc, że nie będzie sama?*

*Nagle zamarła; do głowy przysła jej potworna myśl. Nie, to niemożliwe. Kit była za sprytna, poza tym wiedziała, co jej grozi.*

*Ale czy wygra w walce z ucieleśnieniem zła?*

*Och Kit, Kit... Na miłość boską, uważaj...*

*Podszedł do pokojówki, która zajmowała się jego więźniem.*

*- Zrób jeszcze jeden skórzany kostium. Taki z otworami i skórzanymi wiązaniem.*

*- Tak, panie. - Nie okazywała najmniejszego zainteresowania. - Jaki ma być rozmiar nowego ubrania?*

*- Dokładnie taki sam, jaki pani ma teraz. - Zatrzymał się w pół kroku, rozmyślając o niezwykle erotycznej fantazji, którą niedługo spełni. - Kostium musi być dokładnie taki sam.*

Było już późno, prawie północ. Odeskortowawszy Kit do domu po przedstawieniu w teatrze i odesławszy ją do łóżka, Lucien zasiadł do pracy, którą ostatnimi czasy porzucił zajmując się wyłącznie zniknięciem Kiry. Kiedy ktoś zapukał cicho do drzwi jego gabinetu, odpowiedział zamyślonym głosem, nadal przesuwał w myślach liczby i fakty.

Jednak gdy tylko rozpoznał wysoką, odzianą w podróżne ubranie postać stojącą na progu, natychmiast wrócił do rzeczywistości. Skoczył na równe nogi i wyciągając dłoń, obszedł biurko.

- Dobry Boże, czy to naprawdę ty, Michael? Czy może ulegam złudzeniu?

Lord Micheal Kenyon uśmiechnął się i oburącz ujął dłoń przyjaciela.

- Żadne złudzenie. Pukałem do drzwi, lecz wszyscy służący już poszli spać, więc otworzyłem sobie drzwi kluczem, który dałeś mi w zeszłym roku.

- Jesteś głodny? Może coś zjesz?

- Nie, dziękuję ci bardzo. Zjadłem kolację po drodze w Berkshire. Ale nie odmówiłbym kieliszka czegoś mocniejszego.

Lucien wskazał przyjacielowi fotel.

- Nie spodziewałem się, że dotrzesz do Londynu tak szybko. Jak ci się to udało?

Michael usiadł na skórzanym fotelu, a jego ubłocone buty do konnej jazdy i ubrudzone spodnie dawały ciche świadectwo trudów podróży z Walii. - Twoja wiadomość bardzo mnie zaniepokoiła, więc postanowiłem przyjechać tu jak najszybciej. Co się stało?

Ciesząc się, że ma przyjaciół, którzy odpowiadają na wezwanie bez zbędnych pytań, Lucien podszedł do barku i wyjął karafkę szkockiej, pamiętając, że Michael chętnie ją pija.

- Ktoś został porwany, a czas ucieka. - Nalał sporo whisky do dwóch kieliszków i usiadłszy naprzeciw przyjacielowi, opowiedział mu o sprawie Kit i Kiry.

Michael słuchał go rozciągnięty wygodnie na fotelu, tylko jego zielone oczy zdradzały zaniepokojenie. Kiedy Lucien skończył mówić, odezwał się spokojnie:

- Zakładam, że już myślałeś nad złapaniem każdego z podejrzanych i wymuszeniem na nich zeznań?

Cały Michael! Można być pewnym, że wymyśli najbardziej pragmatyczne rozwiązanie!

- Wierz mi, że nad tym myślałem - przyznał Lucien. - Jest jednak zbyt wielu podejrzanych i spore prawdopodobieństwo, że prawdziwego porywacza między nimi nie ma. Myślę, że torturowanie kilku najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii

niewiele nam pomoże.

Michael uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze podobało mi się w tobie to, że nie przejmujesz się drobnostkami.

- To nasza wspólna cecha - przypomniał mu Lucien. - Choć powszechnie nie uważa się jej za cnotę.

- Czasami nie stać nas na cnoty. - Michael przyglądał się przyjacielowi natarczywie. - Choć nie powiedziałaś mi wiele, mam wrażenie, że zajmujesz się tą sprawą nie tylko z wrodzonej szlachetności, ale i ze względu na lady Kathryn Travers. Mam rację?

- Tak. Mam zamiar ją poślubić, gdy tylko odnajdziemy jej siostrę.

Michael uniósł gęste brwi.

- Jak na przyszłego pana młodego, jesteś nad wyraz ponury.

- Bo istnieją pewne... komplikacje. - Lucien wpatrywał się w kieliszek. Od czasu nieudanego porwania Kit obchodzili się nawzajem niczym dwa koty. Wiedział, co dziewczyna przeżywa, i rozumiał, dlaczego unika zbyt bliskich z nim kontaktów. Mimo to miał nieodparte wrażenie, że dziewczyna oddała się od niego z dnia na dzień, i nie miał pojęcia, jak temu zapobiec. Z początku był pewien, że uda mu się zdobyć jej serce, lecz teraz zaczynał się obawiać, że kiedy... jeżeli... odnajdą Kirę, straci Kit bezpowrotnie, gdyż po prostu nie będzie jej już potrzebny.

- Michaelu, dlaczego kobiety i mężczyźni doprowadzają się nawzajem do szaleństwa? I dlaczego, mimo to, wciąż starają się do siebie zbliżyć?

Michael pochylił się nieco i oparłszy łokcie na kolanach ujął oburącz kieliszek.

- Jestem ostatnim człowiekiem, którego powinienesz prosić o porady w sprawach sercowych, Luce - powiedział cierpko. - Moje dokonania w tej dziedzinie są wyjątkowo marne. Ale jeśli ci to pomoże: kobiety mają coś, czego mężczyźni potrzebują...

i wcale nie mam na myśli tego, co nasuwa się każdemu.

Lucien spojrzał na niego uważniej.

- To co w takim razie masz na myśli?

Jego przyjaciel zawahał się, zanim odpowiedział:

- Kobiety i mężczyźni uzupełniają się. Są swoimi przeciwieństwami, a więc dochodzi czasami do konfliktów. Dobra kobieta jest ciepła i wrażliwa, co pozwala nam odetchnąć po tych wszystkich nieprzyjemnych i twardych rzeczach, jakie spotykają nas w życiu codziennym. - Uśmiechnął się ciepło. - Pomyśl tylko o żonie Nicholasa.

- Clare jest tylko jedna. Niestety!

- Wypiję za to. - Michael uniósł kieliszek. - Ale z tego, co wiem, oni też wiele

przeszli, zanim w końcu się pobrali. Nicholas i Clare zasłużyli sobie na szczęście, które stało się ich udziałem.

Lucien wrócił myślami do rozmowy, którą odbył z bardzo zmartwioną Clare na dzień przed jej ślubem z Nicholasem.

- Jakoś zapomniałem o tym. Dzięki za słowa otuchy. Zdaje się, że to tego było mi trzeba.

- Dobre rady ofiarowuję za darmo. Wiem wtedy na pewno, że są warte każdego grosza.

Lucien zaśmiał się. Z pomocą Michaela z pewnością odnajdą Kirę. A wtedy, na Boga, przekona Kit, że potrzebuje go tak bardzo, jak on jej. Odgrywanie przyzwoitki przez ciotkę Jane ograniczało się do spędzania nocy w Strathmor House. W dzień starsza dama wracała do własnego domu i zajmowała się swymi codziennymi sprawami. Między innymi dlatego Kit jadła śniadania u siebie w pokoju - nie chciała ryzykować spędzania choćby chwili sam na sam z Lucieniem. Podczas wypraw do posiadłości Hellionów pod Londynem nawet nieźle sobie radzili i nie przeszkadzali sobie zbyt, jednak Kit wiedziała, że to nie może trwać wiecznie, więc nie chciała wprowadzać niepotrzebnych niesnasek. Obawiała się także tego, co może powiedzieć lub zrobić, jeżeli będzie zbyt długo przebywać w jego obecności. A jednak bardzo tęskniła za jego towarzystwem.

Zjadłszy śniadanie usiadła do pracy, ale pisanie artykułu o Ustawach Zbożowych jakoś nie bardzo jej szło. Od czasu zniknięcia Kiry nie była w stanie napisać przyzwoitego artykułu.

Zniecierpliwiona poszła do galerii portretów rodzinnych mieszczącej się na trzecim piętrze Strathmore House, którą miała ochotę zwiedzić już od dłuższego czasu. Chciała się przekonać, czy przodkowie Luciena byli równie przystojni jak on. Wątpiła, czy było to możliwe.

Kiedy weszła do galerii, w przeciwnym jej krańcu zobaczyła wysoką ciemnowłosą postać. Zadowolona z towarzystwa kuzyna, zawołała:

- Dzień dobry, Jasonie!

Jednak gdy mężczyzna się odwrócił, zobaczyła, że jest wyższy i nie tak chudy jak kuzyn. Również włosy miał jaśniejsze; w promieniach wpadającego przez okna zimowego słońca połyskiwały rudawo.

Podchodząc do niej z uśmiechem, nieznajomy powiedział:

- Przepraszam, ale chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Michael Kenyon, przyjaciel Luciena. A pani jest zapewne lady Kathryn Travers.

- W rzeczy samej. - Zbliżyła się do niego o krok i podała mu dłoń. - Bardzo miło mi pana poznać. Jest pan lordem Kenyonem, czy tak? Lucien wspominał o panu.

- Dla przyjaciół Luciena jestem po prostu Michaellem. - Pochylił się nad jej dłoń, a gdy się wyprostowywał, zauważyła, że jego oczy mają zadziwiający odcień zieleni; były nie złotozielone, jak oczy Luciena, tylko szmaragdowe. - W takim razie musisz mówić mi Kit. - Przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nawet gdyby tego nie wiedziała, od razu spostrzegłaby, że lord Kenyon był żołnierzem. Roztaczał wokół siebie aurę siły i stalowej woli. - Lucien mówił, że zamierza poprosić o pomoc swego najgroźniejszego przyjaciela. Domyślam się, że chodziło mu o ciebie?

- Podejrzewam, że tak, choć prawdę mówiąc, jeżeli Lucien potrzebował kogoś naprawdę groźnego, powinien raczej spojrzeć w lustro. Ja jestem już tylko żołnierzem w stanie spoczynku, niczym stary kawaleryjski koń, który już tylko pasie się na łące.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Spodobało się jej ironiczne poczucie humoru lorda Michaela Kenyona.

- A jednak dla dobra mojej siostry postanowiłeś na chwilę wrócić do czynnego życia. Jestem ci doprawdy głęboko wdzięczna.

- Mam nadzieję, że się przydam. - Przyjrzał jej się dokładnie. - Czy naprawdę jest jeszcze jedna kobieta taka jak ty?

- Tak, a właściwie piękniejsza. Mam nadzieję, że wkrótce ją poznasz. - Ponieważ na samą myśl o Kirze ogarnął ją niepokój, mówiła szybko dalej: - Przyszłam tu, by pooglądać obrazy. Czy dobrze znasz historię rodziny Luciena?

- Tak, a czego nie wiem, mogę wymyślić. - Wskazał portret jasnowłosego młodzieńca ubranego w kawaleryjski mundur. - To Gareth, trzeci hrabia, jeśli się nie mylę. Popierał rojalistów w czasie wojny domowej, lecz zabezpieczył swój majątek przekonując brata, by został purytaninem. Kiedy rojaliści zostali pokonani, jego brat przejął cały majątek i poprzysiągł wierność Cromwellowi. Po Restauracji Gareth wrócił, odzyskał majątek i dopilnował, by brat został sowicie wynagrodzony za pomoc, jakiej udzielił spadkobiercy Fairchildów, no a przede wszystkim chodziło mu o to, by nie upominał się o tytuł.

Kit przyglądała się zimnej, ironicznej twarzy na portrecie.

- Lucien powiedział mi kiedyś, że jego przodkowie byli pragmatykami.

- Tylko dlatego Fairchildowie przetrwali tyle burz w historii tego kraju. - Michael wskazał na następny portret, dandysowatego młodzieńca ubranego w strój z poprzedniej epoki. - To piąty hrabia, Charles, i jego żona, Maria. Podobno był niepoprawnym hazardzistą, lecz zanim stracił cały majątek, zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, a majątek

odziedziczył jego sześciolatek syn.

Spojrzała na niego zaskoczona:

- To prawda, czy właśnie to wymyśliłeś? Michael zachichotał.

- To historia, którą kiedyś opowiedział mi Lucien. Mówił, że w rodzinie wszyscy wierzą, iż Maria zabezpieczyła synowi byt i majątek za cenę życia własnego męża. Może to prawda, a może Lucien wymyślił tę historię. On ma dość niesamowite poczucie humoru, a poza tym niezbyt przejmują się swymi szlacheckimi przodkami.

- To lepsze niż przywiązywanie do pochodzenia zbyt wielkiej wagi. Michael spoważniał.

- Coś mi się zdaje, że to rodzinna wada Kenyonów. Kenyonów... Dopiero teraz skojarzyła.

- Czy twoim ojcem nie jest przypadkiem książę Ashburton?

- Tak - odparł głosem, który nie dopuszczał następnych pytań. Kiwnął głową w stronę ostatniego portretu na ścianie. - Czy widziałeś już ten obraz? To portret Luciena i jego rodziny, kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ten obraz, by uświadomić sobie, że to tylko zwykła rodzina, a nie jakaś tam dynastia. Hrabina czule trzymała dłoń na ramieniu męża; oczy hrabiego, gdy patrzył na żonę i dzieci, błyszczały radośnie; twarzyczki Luciena i jego drobnutkiej siostrzyczki o srebrnych włosach opadających na szczupłe ramionka, rozjaśniały uśmiechy. Kit poczuła, że coś dławi ją w gardle na ten widok. Lucien stracił tak wiele, w tak młodym wieku. A jednak to, co mogło go zniszczyć, sprawiło jedynie, że stał się silny, niemal niezniszczalny.

- Czy dobrze znałeś jego rodzinę? - zapytał cicho.

- Dość dobrze. - Przyglądał się obrazowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Nie lubiłem spędzać świąt i wakacji z własną rodziną, więc znajomi i przyjaciele często brali mnie do siebie, jak bezpańskiego psiaka. Ashdown było moim ulubionym miejscem, gdyż rodzice Luciena byli ze sobą tak bardzo szczęśliwi. To nieczęsto się zdarza wśród arystokracji.

Kit spojrzała na małą jasnowłosą dziewczynkę, której uśmiech sprawiał, że wyglądała na o wiele starszą. - A lady Elinor?

- Była czarująca - odparł po prostu. - Bystra, słodka i kochana. Między nią a Lucieniem było coś niezwykłego. Z tego, co wiem, nie zawsze bracia i siostry, nawet bliźniaki, są sobie tak bliscy, ale to chyba jej delikatne zdrowie tak bardzo ich zbliżyło. Luce troszczył się o nią jak o nikogo innego. Jej śmierć zniszczyła go psychicznie. - W jego głosie zabrzmiał przeraźliwy smutek.

- I ciebie także? - spytała Kit, uważnie patrząc mu w oczy.

- Tęsknię za nimi wszystkimi, ale szczególnie za nią - odpowiedział po długiej chwili ciszy. - Choć wyglądała jak mały kruchy aniołek, była wyjątkowo zdecydowana. Podczas mojej pierwszej wizyty w Ashdown uznała, że pasujemy do siebie, i powiedziała mi, że gdy dorośniemy, na pewno się pobierzemy. Przyjąłem jej propozycję bardzo chętnie... - Znów na chwilę zamilkł. - Gdyby Elinor żyła... - Odwrócił się gwałtownie od portretu. - Oczywiście, to była tylko dziecięca zabawa. Nic ważnego.

Ale najwyraźniej było to dla niego ważne, nawet po tylu latach. Kit zamyśliła się. Nawet jako dziecko siostra Luciena musiała być bardzo mądra, rozpoznała bowiem w Michaelu człowieka, który wyrośnie na wspaniałego mężczyznę.

- Dziękuję, że tyle mi opowiedziałeś, Michaelu. Chciałabym jak najwięcej dowiedzieć się o przeszłości Luciena.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Ta informacja nie jest darmowa. Nie zrań go, Kit. Lucien na to nie zasługuje.

- Wierz mi, że ostatnią rzeczą, jaką chcę zrobić, to zranić Luciena.

To, co zobaczył w jej oczach, musiało go zadowolić; odezwał się beztroskim tonem:

- Tam dalej wisi portret siódmego hrabiego. W oczach społeczeństwa zhańbił się handlem, ale odkupił swą winę dorabiając się ogromnego majątku.

Tego wieczoru, z eskortą złożoną już z trzech, a nie jak poprzednio dwóch, mężczyzn, Kit wyruszyła do Blackwell Abbey, posiadłości lorda Mace'a. Została zachowana na koniec, gdyż Kit już tam była i nie wyczuła najmniejszych śladów Kiry. Jednak posiadłość była tak duża, że z pewnością istniało wiele miejsc, których nie potrafiłaby wyczuć z domu.

Podobnie jak w przypadku pozostałych miejsc, Lucien zdobył bardzo dokładną mapę, którą narysował były pracownik Mace'a. Na ogromnej płachcie papieru zaznaczono każdą chatę, każde pole i ścieżkę, a nawet mury otaczające posiadłość.

Zanim wyruszyli w noc, dokładnie przestudiowali mapę, tak by w ciemności z łatwością odnaleźć drogę. Mimo to dokładne przeszukanie terenu byłoby niemożliwe bez Michaela. Nie tylko widział w ciemnościach jak kot, ale i doskonale orientował się w terenie. Jak doświadczony zwiadowca wojenny poruszający się po terytorium wroga, prowadził ich krętymi ścieżkami, ani razu nie zbaczając z wybranego kursu. W ten sposób mogli dotrzeć wszędzie.

Lucien szedł tuż obok Kit uważając, by się, nie potknęła, gdyż całą uwagę skoncentrowała na kontakcie z siostrą, a nie na otoczeniu. Za nimi, z lekkością i zwinnością myśliwego, szedł Jason Travers. W ciemnych ubraniach przypominali raczej zjawy niż ludzi.



Blackwell Abbey wywoływało w Kit dziwne, nieprzyjemne uczucie, którego nie potrafiła określić. Kiedy szerokim łukiem okrążali ciemny dom, nagle się zatrzymała, wpatrując się z napięciem w ciemny kształt. Towarzyszący jej mężczyźni również przystanęli.

- Wyczuwasz coś? - zapytał Lucien tak cicho, że ktoś stojący o dziesięć stóp dalej już by go nie usłyszał.

Nie mogła przestać myśleć o tym, że między tymi murami ona i Lucien zostali kochankami, a wcale nie pomagała jej pewność, że on w tej chwili myśli dokładnie o tym samym. A jednak to nie to ją powstrzymało.

- Coś dziwnego jest w tym miejscu. Co prawda Kiry tu teraz nie ma i nie sądzę, by kiedykolwiek była. A jednak czuję tu... jakiś kontakt z nią.

- Może ktoś z Blackwell Abbey był z nią?

- Może. - Zagryzła usta. Miała ochotę wyć z poczucia bezsilności. - To tak, jakby zarzucono mi na głowę kaptur, wpuszczono w sam środek tłumu i kazano zidentyfikować jakąś osobę tylko na podstawie zapachu.

Lucien dotknął delikatnie jej łokcia. - Nie martw się, Kit. Potrafisz to zrobić. Musimy tylko znaleźć się dostatecznie blisko niej.

Znowu czytał w jej myślach. Wolno wypuściła powietrze z płuc i oddychając już nieco spokojniej, ponownie spróbowała odnaleźć kontakt z Kirą. Po jakimś czasie ruszyli dalej.

Podczas poprzednich poszukiwań nie napotkali żadnych trudności, lecz tym razem szczęście ich zawiodło. Kiedy przechodzili nieopodal kilku wiejskich zagród, nagle rozległo się ujadanie psów. Z chat powychodzili mężczyźni, w pośpiechu naciągając zimowe płaszcze; pewnie pomyśleli o tym, że to jeleni lub zając mógł zakłócić spokój sfory.

- To chyba nic takiego - zamruczał jeden z nich zachrypniętym głosem.

- To już nie my mamy sądzić - odpowiedział mu drugi. - Może jakieś złodziejzki kręcą się w pobliżu? Spuść psy.

Kit poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Michael zasyczał:

- Przed nami jest strumień. Wy troje idźcie nim pod prąd, a ja odciągnę psy.

Lucien złapał dziewczynę za ramię i pociągnął ją przez pagórek w kierunku strumienia. Za nimi spuszczone z łańcuchów psy zaczęły jeszcze głośniejsze ujadać.

Na brzegu Kit poślizgnęła się na mokrym kamieniu, lecz Lucien ją podtrzymał. Razem wskoczyli do wody, a Jason deptał im po piętach.

Starając się poruszać bezgłośnie w bystrym nurcie, poszli w górę strumienia, aż do ostrego zakrętu. Tam znaleźli mały staw ocieniony nagimi gałęziami, nisko wiszącymi nad

wodą. Lucien poprowadził cicho do najbardziej zacienionego zakątka i zatrzymał się. Lodowato zimna woda sięgała Kit do połowy ud.

Sto jardów od nich, w miejscu, gdzie weszli do strumienia, szczekanie psów zamieniło się w histeryczne, wściekłe ujadanie.

- Tędy! - wrzasnął jeden ze ścigających ich ludzi. Zapamiętałe ujadanie psów ucichło w oddali... Kit poczuła, że robi jej się niedobrze; zrozumiała, że Michael poprowadził psy w przeciwną stronę. Trzęsła się tak mocno, że aż szczękała zębami.

- Nie martw się, Michaelowi nic się nie stanie - powiedział głosem cichszym od szeptu, przyciągając ją do siebie.

A jeżeli jednak coś mu się stanie, to będzie jej wina. Objęła Luciena mocno w pasie i przytuliła policzek do jego piersi. Od czasu gdy próbowano ją porwać, chował swe najbardziej intymne uczucia i myśli za ścianą chłodu, lecz nigdy nie odmówił jej pomocy czy wsparcia. Gdyby nie on, teraz wyląby z rozpacz.

Tulił ją mocno, gładząc po plecach. Nawet w obliczu zimna, strachu i niebezpieczeństwa Kit czuła, jak pożądanie wkrada się w jej żyły, przypominając o namiętności, którą niedawno dzielili. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będą ze sobą tak blisko. Trudno było jej wyobrazić sobie takie szczęście.

Gdy ujadanie psów docierało już do nich jak ciche echo w oddali, wyszli ze strumienia i poszli dalej brzegiem.

- Jeżeli pójdziemy jeszcze z pół mili na zachód, zdołamy zbliżyć się do ostatniego kawałka posiadłości, który opuściliśmy w naszych poszukiwaniach - rzekł Lucien. - Dasz radę, Kit?

- Dam - odparła z ponurą determinacją, choć przemoczone stopy miała zdrętwiałe z zimna.

- Niepokonana Kit. Jeżeli ktoś mnie kiedyś porwie, mam nadzieję, że to ty będziesz mnie szukać.

Pewność w jego głosie dodała dziewczynie odwagi. Tym razem Jason szedł na czele. Dziewczynie było tak zimno, że nie była już pewna, czy może polegać na swych zmysłach, lecz w końcu dotarli do muru okalającego posiadłość.

Lucien podskoczył i złapawszy za krawędź podciągnął się na szczyt. Potem pochylił się i wyciągnął w dół rękę, by pomóc Kit. Jason wskoczył na mur z taką samą lekkością i zwinnością jak Lucien. Najwyraźniej dobre jedzenie i codzienne konne przejażdżki pomogły mu odzyskać siły utracone w więzieniu.

Spuścili się po murze z drugiej strony i poszli w kierunku koni. Michael już na nich

czekał.

- Nic ci się nie stało? - zapytała niespokojnie Kit.

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją pogodnie. - To najlepsza zabawa, w jakiej brałem udział od czasu, gdy wystąpiłem z armii.

Kit zadrżała wdrapując się z wysiłkiem na konia. Jeżeli ucieczka przed sforą psów gończych była dla niego zabawą, to nic ją już nie zdziwi u tego mężczyzny.

Wrócili do Londynu nie zamieniwszy ani słowa. Misja się powiodła, a oni wydostali się szczęśliwie. Był tylko jeden problem.

Kit nadal nie odnalazła śladu siostry.

Była prawie trzecia nad ranem, gdy dotarli do Strathmore House; Kit chwiała się na nogach ze zmęczenia i zimna. Miała zamiar natychmiast udać się do łóżka, lecz Lucien oświadczył:

- Czas na naradę wojenną. - Miał bardzo ponurą minę, a zmęczenie starło jego wdzięk, odsłaniając kryjącą się pod nim stalową bezwzględność. Spojrzał na Michaela, Jasona i w końcu na Kit. - Możemy to zrobić teraz, czy też wszyscy są zbyt zmęczeni?

- Teraz - odrzekł Jason ochryple. - Nie możemy marnować ani chwili.

Michael przytaknął bez słowa.

Wiedząc, że są równie zmęczeni jak ona, Kit wyprostowała ramiona.

- Jeżeli wy nadal możecie działać, nie będę gorsza.

- Grzeczna dziewczynka. - Uśmiech, który zobaczyła w oczach Luciena, wypędził nieco chłodu z jej serca. - Idźcie się przebrać. Spotkamy się w kuchni.

Piętnaście minut później siedzieli razem przy ogromnym stole. Kuchnia była wielkim pomieszczeniem; z sufitu zwisały pęki suszonych ziół, a ogień wesoło trzaskał na kominku. Niech Bóg błogosławi Luciena za to, że zanim zeszli na dół, kazał służbie zająć się jedzeniem i piciem. Kit wypila pierwszą filiżankę herbaty w dwóch łykach. Po zjedzeniu chleba, sera, wędliny i miski gorącej zupy poczuła się już nieco lepiej.

Kiedy wszyscy zaspokoili pierwszy głód, Lucien wstał od stołu i podszedł do kominka. Dorzucił pełną szufłę węgla do paleniska i odwrócił się do pozostałych. Za jego plecami zabłyśły płomienie. Tak musiał wyglądać Lucyfer, gdy zwracał się do swych gości.

- Zabrnęliśmy w ślepy zaułek - powiedział spokojnie. - Czy ktoś ma jakiś pomysł, co robić dalej?

Po długiej ciszy odezwał się Michael:

- Tylko to, o czym rozmawialiśmy w dniu mojego przyjazdu... żeby wybrać najbardziej wiarygodnego podejrzanego i zmusić go do mówienia.

- Masz na myśli tortury? - zapytała przerażona Kit. Lucien spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeżeli dzięki temu będziemy w stanie odnaleźć twoją siostrę... Zdała sobie sprawę, że Lucien mówi poważnie. Pochyliła głowę i przytknęła złączone dłonie do czoła. Opierając się jedynie na jej słowach, ci trzej mężczyźni - trzej kompetentni, doświadczeni mężczyźni - chcieli skrzywdzić kogoś, kto mógł być całkiem niewinny. Ta myśl była przerażająca.

- Wiem, że to okropny pomysł, Kit, lecz może okazać się najskuteczniejszy. To może być nasza jedyna nadzieja - powiedział cicho Lucien. - Którego z nich wybrałabyś na

głównego podejrzanego? Nunfield, a może Mace?

Zawsze uważała się za cywilizowaną kobietę, delikatną, słabą istotę, lecz najwyraźniej taka nie była, gdyż złapała się na tym, że poważnie rozważa pytanie Luciena. W końcu życie Kiry było w niebezpieczeństwie. Zobaczyła przed oczyma twarze swych podejrzanych.

- Nie potrafię, przysięgam na Boga, że nie potrafię. Gdybym mogła, zrobiłabym to. Ale nie potrafię.

- Szukamy igły w stogu siana - rzekł Michael zdesperowanym tonem. - Jediną rzeczą, którą wiemy na pewno, jest to, że lady Kristine została porwana na ulicy, gdy wracała do domu po przedstawieniu. Na to mamy świadków. Wszystko inne to spekulacje oparte na przeczuciach i intuicji Kit.

- Wątpisz w to, co ona mówi? - zapytał Lucien neutralnym tonem.

- Nie. Bywa, że intuicja jest przydatniejsza od logicznego myślenia. Problem polega na tym, jak użyć zdolności Kit, by odnaleźć jej siostrę?

Było to pytanie, które Lucien stawiał już setki razy, lecz teraz nadeszła niespodziewana odpowiedź. Jason Travers odezwał się cicho:

- Istnieje pewna wróżbiarska metoda, która może tu zadziałać. Możemy spróbować. Do odnalezienia zgubionego obiektu potrzebujemy mapy i wahadełka. Może Kit będzie w stanie znaleźć Kirę w ten sposób. - Zobaczywszy, że pozostali wpatrują się w niego z niedowierzaniem, dodał: - Wiem, że brzmi to dziwnie, ale są przecież ludzie, którzy znajdują wodę za pomocą drewnianej różdżki.

- Widziałem już coś takiego. Ten człowiek znalazł wtedy wodę - powiedział Lucien dobitnie. - Wiem, że z logicznego punktu widzenia nie ma to sensu, a jednak działa. Kit, co ty na to?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Podejrzewam, że nie zaszkodzi spróbować. Czego mam użyć jako wahadełka?

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. - Jason zamyślił się na chwilę. - Może jakaś biżuteria Kiry, jeśli masz.

- Mam w swoim pokoju całe pudełko jej klejnotów. - Kit wstała. - Zobaczę, czy jest tam coś odpowiedniego.

- A ja znajdę najdokładniejszą mapę Wielkiej Brytanii, jaką posiadam. - Lucien zapalił dwie świece, jedną podał Kit i otworzył przed nią drzwi.

Wchodzili po schodach i Kit szła kilka stopni z przodu. Kiedy doszli do pierwszego podestu, dziewczyna odwróciła się.

- Czy powiedziałam ci już, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co dla mnie robisz?

Uwierzyłeś mi, podczas gdy każdy inny odesłałby mnie do szpitala dla wariatów. Zrobiłeś wszystko co w twojej mocy, by odnaleźć moją siostrę.

- Będiesz mogła mi podziękować, gdy to wszystko już się skończy - odparł zmęczonym głosem uśmiechając się nieznacznie.

Dziewczyna spochmurniała. Po raz pierwszy w życiu Lucien źle zrozumiał jej reakcję.

- Pozwól, że powtórzę raz jeszcze - rzekł. - To nie jest na zasadzie *quid pro quo*, twoja wolność w zamian za moją pomoc w odnalezieniu Kiry. Choć w rzeczy samej potrafię być bezwzględny, mam jakieś granice. Odnalezienie twojej siostry to dla mnie całkiem inna sprawa niż przekonanie cię, byś za mnie wyszła. - Wiem. - Delikatnie dotknęła jego policzka. Lekko złocisty zarost, zbyt jasny, by widać go było gołym okiem, drażnił wnętrze jej dłoni. - To nie jest czas, by martwić się o przyszłość. Poczekaj z decyzją, czego naprawdę pragniesz, do czasu, aż minie kryzys. Potem dam ci wszystko, czego będziesz chciał, jeśli będzie to w mojej mocy. - Jej dłoń opadła. Gdy pozna Kirę, już nie będzie się tak upierał przy poślubieniu cichej, zwyczajnej siostry.

- Trzymam cię za słowo. - Po raz pierwszy od wielu dni Lucien ją pocałował. Ujmując ją delikatnie za podbródek, szybko przycisnął wargi do jej ust. Kit była do głębi poruszona. Napięcie, jakie ostatnio między nimi panowało, zniknęło; pozostał jedynie spokój. Lucien ruszył do swego gabinetu, a Kit, z drżącymi kolanami, poszła do swej sypialni.

Kira lubiła biżuterię, więc obita aksamitem szkatułka pełna była koralików i świecidełek. Kit zawahała się nad otwartą szkatułką, nie bardzo wiedząc, co wybrać. Nawet jeżeli pomysł Jasona był absurdalny, musi się postarać. Może jednak coś z tego wyjdzie?

Nie, żadna z broszek ani bransoletek, żaden skomplikowany naszyjnik... to coś musi się kołysać. Spojrzenie dziewczyny padło na parę szmaragdowych kolczyków. Jeden z nich, powieszony na nitce, będzie doskonały.

Sięgając po kolczyk, nagle zamarła z ręką w powietrzu. Na wnętrzu dłoni poczuła dziwne ciepło... nie, właściwie nie ciepło, bardziej jakieś mrowienie... swędzenie... coś...

Czując się idiotycznie, przeszukała kupkę biżuterii, aż znalazła mały medalionik w kształcie serca. Był doprawdy śliczny, z delikatnym wzorkiem wygrawerowanym na złotej powierzchni i dopasowanym łańcuszkiem, idealny na wahadełko, którego potrzebował Jason.

Poza tym Kit czuła, że to dobry wybór. Zmęczenie i niepokój najwyraźniej dawały się jej we znaki. Zamknęła szkatułkę i poszła do kuchni.

Jason przechadzał się niespokojnie po kamiennej podłodze. Z jego zachowaniem ostro kontrastował spokój Michaela; siedział wygodnie rozparty na krześle opierając skrzyżowane w kostkach nogi o krawędź stołu. Wyglądał na człowieka, który nauczył się cierpliwości na

polu bitwy. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że ma z nich wszystkich najmniej do stracenia; ledwo znał Kit, a Kiry nawet nie spotkał. Kit uznała, że tym bardziej powinni być mu wdzięczni za udział w całej wyprawie. Zastanowiła się, jakie to uczucie, być tak odważnym. Ona była bardzo zmęczona i jeszcze bardziej przerażona.

Lucien właśnie rozkładał na stole ogromną książkę. Kiedy Kit przyjrzała się dokładnie, zobaczyła, że jest to oprawiony zbiór dokładnie narysowanych i pokolorowanych map brytyjskich hrabstw. Podziwiała doskonałość rysunków, gdy Lucien bez zmużenia oka wyrwał kartkę przedstawiającą Surrey.

Spojrzał na nią słysząc protest, jaki mimowolnie wyrwał się jej z ust.

- Nie mam pojęcia, jak działa to wahadełko, lecz mogą być problemy, jeżeli mapa będzie połączona z innymi.

- Tak, masz rację - zgodziła się. Otworzyła dłoń i pokazała wszystkim wisiołek. - Czy to wystarczy, Jasonie?

Zacisnął usta na widok tego, co trzymała w dłoni.

- To ja dałem go Kirze... Czy... czy ona go kiedykolwiek nosiła? Choć Kit bardzo chciałyby móc odpowiedzieć twierdząco, to jednak potrząsnęła głową.

- Nie, ale nie zapominaj, że w ciągu ostatnich paru lat bardzo rzadko ją widywałam.

Wziął od niej wisiołek i otworzył. W środku znajdował się ciemny kosmyk włosów w tym samym kolorze co jego ciemne loki.

- W każdym razie go zachowała. To musi coś znaczyć.

Serce ją bolało na widok jego zasmuconej twarzy. Nie dość, że obawiał się o życie Kiry, to jeszcze nie był pewien jej miłości.

- Wierz mi, że gdyby moja siostra chciała o tobie zapomnieć, dawno już pozbyłaby się tego wisiora.

Wzięła błyskotkę z jego ręki, by przyjrzeć się wygrawerowanemu w środku inicjałom. K. T. + J. T. Poniżej wyryta była leżąca klepsydra - matematyczny znak wieczności i nieskończoności. Kira i Jason, na zawsze. Kit zamrugała powiekami, by odpędzić natrętne emocje.

- Najwyraźniej wybrałam odpowiednie wahadło.

- Miejmy nadzieję - rzekł Jason. - Jak to działa? - spytała Kit. - Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia.

- Siądź wygodnie. To zajmie nam trochę czasu. - Posłusznie usiadła za stołem, a Jason ciągnął: - Oprzyj łokieć na stole, tak żeby wisiołek swobodnie się kołysał, zwisając z twojej prawej ręki.

- Czy to, że Kira jest leworęczna, ma jakieś znaczenie? - wtrącił się Lucien.

- W takim razie użyj lewej ręki. Niech wisiołek kołysze się tak długo, aż całkiem znieruchomieje. - Kiedy Kit czekała, aż wahadełko się zatrzyma, Jason wyjaśnił: - Zazwyczaj wahadełko używa się w przypadku pytań, na które można odpowiedzieć prostym „tak” lub „nie”. Jednak, w zależności od indywidualności człowieka, rozpiętość możliwości jest bardzo duża. Żeby zbadać, jak akurat na ciebie działa wahadełko, zadaj mu parę pytań, na które znasz już odpowiedzi.

Kiwając głową ze zrozumieniem, Lucien zapytał:

- Czy jesteś teraz w Londynie?

Wisiołek zachwiał się. Potem, ku zdumieniu Kit, zaczął lekko wirować w kierunku przeciwnym do kierunku wskazówek zegara, choć dziewczyna gotowa była przysiąc, że nic nie robiła.

- Ten kierunek musi oznaczać potwierdzenie - mruknął Jason. Zaintrygowany Lucien zapytał:

- Czy byłaś kiedyś w Indiach, Kit?

Wisiołek zwolnił, po czym zaczął się poruszać zgodnie ze wskazówkami zegara.

- To musi być zaprzeczenie - odezwał się Amerykanin.

- Czy Kongres Wiedeński pozwoli Napoleonowi na zachowanie francuskiego tronu?

Wisiołek zakręcił się niespokojnie i znieruchomiał.

- Wahadełko nie nadaje się do przepowiadania przyszłości - wyjaśnił Jason. - Pomaga w znajdowaniu zgubionych przedmiotów albo, na przykład, najlepszego wyjścia z sytuacji.

Lucien zadał dziewczynie parę pytań, na które odpowiedzi były bardzo proste. Nie było wątpliwości, że ruch zgodny z ruchem wskazówek zegara jest zaprzeczeniem, a przeciwny - potwierdzeniem. Zafascynowana Kit zapytała:

- Gdzieś ty się tego nauczył? - Od mojej matki, która była szaloną Irlandką. - Jason uśmiechnął się z wyraźną miłością. - Z tego, co mówiła, wszystkie kobiety O'Hanlonów były uznawane za wieszczki w swych wioskach i przekazywały swą wiedzę z matki na córkę w każdym pokoleniu. Mój ojciec zmarł, gdy byłem jeszcze bardzo mały, a matka powtórnie nie wyszła za mąż, więc to mnie przekazała całą swą wiedzę. Poleciała mi także, bym przekazał to, czego mnie nauczyła, własnej córce. - Jego uśmiech zamarł. - Jeśli będę miał córkę.

Matka musiała być mu bardzo bliska. Może to, że wychowała go „szaloną Irlandką” sprawiło, że tak zakochał się w silnej i niekonwencjonalnej kobiecie, która ośmieliła się zostać aktorką. Im lepiej Kit poznawała kuzyna, tym bardziej rozumiała siostrę.

Wracając myślami do rzeczywistości, zapytała:



- Teraz, skoro już ustaliliśmy, jak wahadło działa na mnie, co mam robić?

- Myśl bardzo mocno o odnalezieniu Kiry - odrzekł Jason.

- Kiedy już będziesz miała w głowie tylko ten jeden cel, trzymaj wahadło nieruchomo w lewej ręce, a prawą powoli wódz po mapie. Jeżeli to zadziała, wahadełko zareaguje bardzo gwałtownie w momencie, gdy przesuniesz dłonią nad obszarem, gdzie znajduje się Kira.

- Poczekaj chwilę, aż przygotuję mapę - powiedział Lucien.

- Czy mamy zacząć od Londynu?

Pozostali zgodzili się, więc wydarł mapę Londynu z okładek. Kiedy biedził się z rozłożeniem jej na stole, Kit przypomniała sobie, że wahadełko może pomóc człowiekowi w odkryciu prawdy o skomplikowanej sytuacji. W myślach zapytała: Czy jestem zakochana w Lucienie?

Wisiołek podskoczył w jej dłoni i zaczął się poruszać w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Tak, tak, tak...

Patrzyła na wirujący wisiołek pustym wzrokiem. Była idiotką, że zapytała. Oczywiście, że go kochała; jakże mogła nie kochać? Jednak jej tchórzliwy umysł wołał się do tego nie przyznawać, w obawie przed bólem, jaki sprawi jej jego odejście. I choć zaakceptowanie tego, że go kocha, przyniosło jej pewną ulgę, to wcale nie czuła się lepiej. Zanim mogła się powstrzymać, jej umysł sformował następne pytanie: Czy kiedy to się skończy, on nadal będzie myślał, że mnie kocha?

Wisiołek zatrzymał się i wisiał kompletnie bez ruchu na złotym łańcuszku. No cóż, Jason przecież mówił, że wahadełko nie potrafi przepowiadać przyszłości. A właściwie wcale nie chciała wiedzieć, co się stanie. Już sama myśl o tym bolała.

- Gotowa? - zapytał Jason.

Lucien położył przed nią mapę Londynu. Zaniknęła oczy i pomyślała o Kirze, o swej siostrze bliźniaczce, o swym drugim, lepszym ja. Kira, gdzie jesteś? Powiedz mi, gdzie jesteś, kochanie... Powtarzała to zdanie jak litanię, aż była w stanie wyczuć pulsującą obecność siostry. Potem zaczęła wolno wodzić dłonią nad mapą Londynu. Napięcie panujące w pomieszczeniu odbierało jej oddech i zdolność myślenia. Co dziwne, wcale jej nie obchodziło, że ma publiczność. Właściwie obecność trzech mężczyzn dawała jej poczucie opieki w nieznanym świecie, do którego się zapuszczała.

Wróżbiarstwo okazało się powolnym, działającym na nerwy procesem. Jak można się było tego spodziewać, Londyn nie wywołał żadnej reakcji, choć w pewnej chwili dziewczyna poczuła dziwne swędzenie w dłoni - może dlatego, że Kira tyle czasu spędzała w mieście.

Potem przysła kolej na Surrey, potem Kent. Lucien kładł przed nią mapy okolic

położonych wokół Londynu w kolejności przeciwnej do ruchu wskazówek zegara. Potem Essex. Kit nie przyglądała się mapom, starała się myśleć tylko o siostrze, tak żeby tajemnicza siła wiedziała, kiedy poruszyć wahadłem.

Nagle wisiołek zaczął podskakiwać, wywołując podniecenie wśród trójki obserwatorów.

- Czy Kira jest gdzieś niedaleko Romford? - zapytał Jason głosem drżącym od tłumionej nadziei.

Wahadło zaczęło się kręcić zgodnie ze wskazówkami zegara. Nie. Kit wypuściła gwałtownie wstrzymywanie powietrze.

- Kira często odwiedzała naszych przyjaciół w Romford. Może dlatego wisiołek zareagował.

- A jednak to dowodzi, że ta technika jest coś warta. Nawet nie patrzyłaś na mapę, nie mogłaś wiedzieć, że jesteś nad okolicą Romford. - Lucien przyjrzał się dokładnie twarzy Kit.  
- Czy nie chcesz może odpocząć?

Zgadując, że musi być już blada ze zmęczenia, oparła się o krzesło, z dłońmi spoczywającymi bezwładnie na kolanach. Lucien położył dłonie na jej ramionach i dziewczyna poczuła, jak część jego siły i pewności siebie przepływa do niej. Podniosła wisiołek i kontynuowała poszukiwania. Po Essex przyszła kolej na Hertford.

Teraz Middlesex. Nadal nic się nie działo. Zaszło jej w gardle. To nie działało; przeszukała już wszystkie hrabstwa w okolicy Londynu, bezskutecznie.

Bez słowa Lucien podsunął następną mapę pod jej drżącą dłoń. Zerknąwszy na kartkę zorientowała się, że to Berkshire, na zachód od Middlesex. Zaczynał następne okrążenie.

Przesuwała drżącą dlonią nad Windsorem, potem północnym Maidenhead. Kira, Kira, gdzie jesteś? Znowu na południe, w kierunku Bracknell.

Wisiołek gwałtownie podskoczył w jej dłoni i zaczął szybko wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Równocześnie Kit poczuła nagłe, niemal bolesne ciepło w prawej dłoni. Krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Bardzo wyraźnie czuła obecność siostry, nie tylko łączącą je zawsze delikatną więź, lecz mocne pulsowanie, takie jak wtedy, gdy Lucien ją zahipnotyzował.

- Czy Kira jest gdzieś w okolicy Basildon? - zapytał Jason głosem schrypniętym z podniecenia.

Wisiołek zwolnił, lecz nadal wirował w tym samym kierunku. Kit poczuła za plecami obecność Luciena.

- Czy Kira jest bliżej Haycombe?

Wahadełko zaczęło krążyć coraz szybciej. Kit była tego tylko na wpół świadoma, gdyż oładnęły nią emocje tak gwałtowne, że przestała już wiedzieć, gdzie kończy się ona sama, a gdzie zaczyna Kira.

- Trzymasz rękę nad małą wioską w zachodnim Haycombe - powiedział Lucien z oddali. - Czy to tam jest Kira?

Kit czuła, jak dudni jej w skroniach, i nawet się nie zorientowała, że wahadełko znowu dziko wiruje.

*Uderzać, uderzać, coraz mocniej, aż skórzany chwost bata zacznie wgryzać się w ciało, aż rozlegnie się zwierzęcy jęk bólu przemieszanego z ekstazą. Oszalate źrenice wypełnione pożądaniem i okrucieństwem...*

Gdzieś, bardzo daleko, Lucien zapytał:

- Czy Kira jest w zamku Raine, czy w pobliżu?

Rzeczywistość zamieniła się w huragan strachu. Siostró... moja... wróg... niebezpieczeństwo... niebezpieczeństwo... niebezpieczeństwo!

Zapadając się w ciemność, Kit zaczęła krzyczeć.

Zaczęła krzyżeć dokładnie w chwili, gdy Lucien powiedział „zamek Raine”. W jej głosie słychać było tak ogromne przerażenie, że krew zamarła mu w żyłach.

Michael poderwał się z krzesła i przemierzył kuchnię dwoma susami.

- Do wszystkich diabłów, co się stało?

Jason również się odezwał, lecz Lucien obu zignorował. Stał przed Kit i zobaczył, że choć oczy ma szeroko otwarte, nie widzi ani jego, ani nikogo w kuchni. Jej dłonie zaciskały się kurczowo, a krzyk przeszedł w piskliwe zawodzenie szaleńca... albo raczej kogoś schwytanego w pułapkę szaleństwa.

Złapał ją za obie ręce i powiedział natarczywie:

- Obudź się, Kit. Udało ci się. Już po wszystkim. Dziewczyna zaczęła mu się wyrwać z ogromną siłą.

- Nienawidzę tego! Nienawidzę! Nienawidzę go! Nienawidzę go! NIENAWIDZĘ GO!

- Co się stało? - zapytał poblady Jason.

- Zdaje się, że została uwięziona w koszmarze Kiry - odrzekł ponuro Lucien. Potem, podnosząc głos, powtórzył: - Obudź się, Kit! Na miłość boską, obudź się!

Dziewczyna przestała już zawodzić, lecz w jej oczach nadal kryło się szaleństwo; dyszała, niczym jelen goniony przez sforę psów myśliwskich. Lucien pochylił się i ją objął. Drżała na całym ciele i była tak zimna, jak wtedy, gdy chowali się w strumieniu przed pościgiem. Ile ona jeszcze wytrzyma, zanim się załamie? - Wszystko w porządku, Kit. Już ci nic nie grozi. Jestem tu z tobą - powiedział cicho.

- Proszę... proszę, obejmij mnie. - Zaczęła płakać, lecz tym razem mówiła już swoim głosem.

Dziękując Bogu, że dziewczyna wyrwała się z koszmaru Kiry, wziął ją w ramiona, po czym odwrócił się i usiadł na krześle, nadal trzymając ją na kolanach. Tuląc ją mocno, zapytał:

- Czy zabawy z wahadłkiem zawsze są aż tak ekscytujące?

- Nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego - odparł Amerykanin z pobladłą twarzą.

- Bo nigdy nie miałeś do czynienia z kobietą, która szuka zagubionej siostry bliźniaczki. - Lucien gładził drżące ramiona Kit. Była tak delikatna i krucha! Choć wołałby tego uniknąć, zapytał: - Połączyłaś się z Kirą, prawda?

Kit głośno przełknęła ślinę.

- Tak, ona właśnie była z tym mężczyzną. To było okropne, zupełnie jak senny koszmar, tyle że na jawie. Wszystko widziałam i słyszałam, czułam jej emocje, ale nic nie mogłam zrobić. Byłam sparaliżowana, jak mucha uwięziona na pajęczynie, widząca zbliżającego się pająka.

- Czy Kirze nic nie jest?

Kit zmarszczyła brwi, lecz zaraz się odprężyła.

- Nie. On już sobie poszedł. Kira wiedziała, że tam byłam. Myślę, że to jej trochę pomogło.

- Myślisz, że jest przetrzymywana w zamku Raine? Kit zadrżała i raz jeszcze ukryła twarz w dłoniach.

- Tak mi się zdaje.

- Michaelu, daj mi mapę - poprosił Lucien. Patrzył na nią przez dłuższy czas. - Zamek Raine to właściwie ruiny średniowiecznej fortecy i zapewne nie jest zbiegiem okoliczności, że znajdują się w połowie drogi między posiadłościami Mace'a i Nunfielda.

- Pewno nie. - Michael spojrzał na dziewczynę. - Lochy takiej twierdzy odpowiadałyby opisowi ciemnego podziemnego więzienia, które zobaczyła Kit.

- Masz rację - przyznała krzywiąc się. - Nawet umeblowanie tego miejsca najlepszymi sprzętami i tak nie zatarłoby ponurego wrażenia.

Lucien zmarszczył czoło przyglądając się mapie. Nie opodal zamku płynęła rzeczka, co wcale nie było dziwne, zważywszy, że budowlę wzniesiono w średniowieczu. Nagle poczuł, że już kiedyś był w tym miejscu. Przed oczyma stanął mu dziwny widok: stał na szczycie wzniesienia, pomiędzy kamiennymi murami, spoglądając na srebrzącą się w poświacie księżyca rzekę... Kamienne mury i oświetlona blaskiem księżyca rzeka...

- Do diabła, wydaje mi się, że już kiedyś tam byłem! - wykrzyknął. - Zamek Raine to pewno jest to miejsce, gdzie Hellioni odprawiają swe rytuały.

- Czyżbyś brał udział w z ich niesławnych orgiach? - zapytał Michael, ze zdziwieniem unosząc brwi.

Kit spojrzała na Luciena, a jej szare oczy zwięzły się, kiedy czekała na odpowiedź. Lucien przypomniał sobie brzydką dziwkę i rozpacz po tym, jak dał jej zarobić na chleb. Objął mocniej ramiona dziewczyny.

- Tylko i wyłącznie dla dobra sprawy, a nie dla przyjemności. Kit odprężyła się. Dobrze, że była taka zmęczona, w przeciwnym razie mogłaby domyślić się prawdy o jednej z tych nocy, o których Lucien wolałby zapomnieć.

- Wiesz może, czy zamek ma jakieś podziemia? - zapytał Jason.

- Nie widziałem, ale jest to prawdopodobne. Tam można by schować wszystko... i każdego.

W kuchni zapadła cisza; dopiero po chwili przerwał ją Michael, mówiąc z cichą groźbą w głosie:

- Zakładam, że natychmiast ruszymy do zamku Raine poszukać lady Kristine.

- Oczywiście - odrzekł Lucien. - Ale najpierw się prześpijmy. Rano razem z Kit złożę wizytę lordowi Ivesowi, który jest jedynym Hellionem, któremu możemy ufać. Może on powie nam coś więcej o zamku.

- A wiadomości o celu wyprawy wojennej nigdy nie jest za wiele. - Michael zmęczonym gestem przejechał dłonią po kasztanowych włosach. - Ale im szybciej pojedziemy do Berkshire, tym lepiej. Coś mi się zdaje, że szykuje się paskudna burza. Zamarzający deszcz albo nawet grad.

- W takim razie będziemy potrzebować jakiegoś miejsca w pobliżu zamku, gdzie moglibyśmy przycupnąć do zmroku. Prywatny dom byłby lepszy niż gospoda. - Lucien postukał palcem w mapę. - Rafe ma tu w okolicy mały domek myśliwski. Wiem, że człowiek, któremu go wynajmował, zmarł niedawno, więc założę się, że stoi pusty. Możemy pojechać tam po południu. Rafe z pewnością nie miałby nic przeciwko temu. Kiedy znajdziemy Kirę, będziemy mogli tam przenocować, zamiast od razu wracać do Londynu.

Pomimo ogromnego zmęczenia Kit była zaintrygowana.

- Potrafisz tak dokładnie przewidzieć burzę, że Lucien przyjmuje to bez zmruczenia oka? - zwróciła się do Michaela.

- W wojsku nazywali mnie czarodziejem. Nawet w dzieciństwie potrafiłem przewidzieć, kiedy przyjdzie burza i jak będzie porywista.

- Poruszył jednym ramieniem. - Od kiedy oberwałem kulką w ramię, jestem w stanie przepowiadać jeszcze dokładniej. - Wstając dodał: - Spijcie dobrze przez tę resztę nocy, która nam została. Mamy zimę, więc do rana jeszcze daleko. - Zakrył usta dłonią, bo nie mógł powstrzymać się od ziewania. - Dobranoc.

Lucien wstał, nadal trzymając Kit w ramionach.

- Dobranoc.

Kiedy podszedł do drzwi wciąż nie wypuszczając jej z objęć, zaprotestowała:

- Dam sobie radę, nie musisz mnie nieść.

- Wątpię - odrzekł sucho. - Pamiętasz, jak byłaś wykończona, gdy ostatnim razem połączyłaś się z Kirą?

- Och. - Zrozumiawszy, że nie ma sensu się z nim sprzeczać, Kit przymknęła oczy i

oparła mu głowę na ramieniu.

Znowu uderzyło go, jak bardzo jest krucha. Biedna, wspianała, wycieńczona dziewczyna, która żyje chyba tylko dzięki silnej woli.

Zabrał Kit do jej sypialni, posadził na skraju łóżka i zaczął rozbierać z wierzchniego ubrania. Poddawała się temu biernie, niczym szmaciana lalka. Głowa opadała jej na piersi. Kiedy już rozebrał ją do bielizny, pomógł jej się położyć, po czym nakrył puchową pierzyną. Zanim jednak zdążył ją otulić do snu, wyciągnęła szczupłe ramiona i objęła go za szyję.

- Zostań, Lucien - powiedziała; jej szare oczy były dziwnie świetliste. - Proszę.

Zawahał się. Propozycja niesłuchanie go kusila, lecz...

- Bardzo chciałbym zostać, kochanie, lecz nie mogę ci obiecać, że zachowam się odpowiednio. Choć dobrze rozumiem, dlaczego nie chcesz się poddawać wichrom namiętności, bo kiedy jestem zbyt blisko ciebie, nie potrafię myśleć logicznie. Teraz miałbym wzgląd na twoje zmęczenie, lecz nie mogę ci obiecać, co się stanie jutro rano.

Uśmiechnęła się do niego blado.

- Jestem gotowa zaakceptować wszelkie konsekwencje. Wiemy, gdzie jest Kira, więc już nie chcę cię tak unikać. - Przytuliła policzek do jego piersi i dodała zmęczonym szeptem: - A dziś w nocy bardzo nie chcę być sama.

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- Jak długo żyję, Kit, nie będziesz sama.

Zacisnęła usta, choć nie powiedziała ani słowa. Lucien zastanawiał się, czy kiedykolwiek mu zaufa, czy też jej nieodpowiedzialny ojciec raz na zawsze już pozbawił ją wiary w słowa mężczyzn? Cóż, będzie cierpliwy. Rozebrał się i wsunął obok niej pod pierzynę.

Kit przytuliła się do niego z cichym westchnieniem. Pościel była zimna tak jak ona, lecz gdy tylko ich ciała się dotknęły, poczuła ciepło. Lucien uśmiechnął się, gdy szczupła noga wsunęła się między jego kolana, a zaraz potem zimna stópka szturchnęła go w kostkę. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego niektórzy wolą spać samotnie.

Choć zmęczenie dawało o sobie znać i niemal zabiło pożądanie, to miło było mu gładzić szczupłe ciało dziewczyny od ramion aż po biodra. Gładka skóra robiła się coraz cieplejsza. Kiedy jego dłoń leniwie spoczęła na piersi, odruchowo zaczął bawić się sutkiem. Pod cieniutką materią bielizny Kit powstał mały twardy wznórek.

Przesunął się kilka cali, tak że jego wargi leciutko dotykały ust dziewczyny. Ich wargi złączyły się w jednej chwili. Otworzyła usta zapraszając go do dalszych pieszczot. Kiedy języki spotkały się z miękką pieszczotą, zamruczała jak kot. Po długim pocałunku Lucien odsunął

się nieco.

- To śmieszne - powiedział. - Przecież oboje jesteśmy zmęczeni. Zamruczała coś, a jej dłoń powędrowała na plecy Luciena i gładziła je tak zmysłowo, że zalała go fala pożądania. Pochylając głowę pocałował jej pierś, czując twardy wzgórek jej sutka przez cienki materiał. Sądząc po jej oddechu, była nie mniej podniecona niż on. Pieszczota przeciągnęła się, dłoń Luciena przesunęła się w dół po jej udzie aż do kolana. W drodze powrotnej dół koszulki zahaczył się o jego kciuk i powędrował w górę. Nie zrobił tego umyślnie, lecz teraz już nie potrafił oprzeć się pokusie i wsunął głowę pod pierzynę, by pocałować jedwabistą skórę brzucha. Długie palce Kit przesunęły się na jego szyję i zaczęły wodzić do wrażliwej skórze karku. Cudownie... doprawdy cudownie...

Poruszali się zgodnie z odwiecznym rytmem, lekko oszołomieni, każdy ich kolejny krok był coraz śmielszy. Gładka skóra tuż przy gęstych włoskach; ostra szczecina przy delikatnej skórze wygiętej szyi; ciepła kobieca miękkość i jego twarde kształty...

Kiedy sięgnęła ręką w dół i ujęła go, Lucien delikatnie wsunął palce w jej wilgotną kobiecość. Rozłożyła uda w zapraszającym geście. Ale nawet gdy się na niej położył i wszedł w nią, nie było w tym żadnego pośpiechu.

Zasnęli trzymając się w ramionach i spali aż do rana.

Kit otworzyła oczy, gdy do pokoju wkradało się już szare światło świtu. Choć dzięki długiej zimowej nocy poranek nadszedł dość późno, nie spała więcej niż cztery godziny. A jednak czuła się doskonale wypoczęta, co było zapewne zasługą Luciena. Intymność dzielonej wspólnie łóżka wydawała się jej najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem i dziwna była myśl, że może się już nie powtórzyć.

Ale ona nigdy nie pożałuje, że go pokochała, niezależnie od tego, jak wiele bólu jej to przysporzy. Nigdy też nie zapomni, że on jej pragnął.

Przyglądała się jego twarzy otoczonej potarganymi złotymi włosami, gdy leżał obok niej pogrążony we śnie. Jego uroda zapierała dech w piersi.

W jakimś głębokim zakątku jej umysłu powstała śmiała myśl. Lucien był najmądrzejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała, i najwyraźniej nie potrafił okłamywać samego siebie. Może jednak powinna uwierzyć, że naprawdę ją kocha; może naprawdę będzie mu się bardziej podobać niż Kira.

Wolno wypuściła powietrze z płuc. Nikomu innemu się nie podobała. Kira była nie tylko bardziej żywiołowa i czarująca, ale i silniejsza. Kwitła pośród swego niezależnego życia, podczas gdy Kit ledwie była w stanie egzystować, kiedy zabrakło jej drugiej połowy. Lucien z pewnością będzie podziwiał siłę Kiry.



Jakież to było ironiczne. Gdyby Kira umarła, Kit najprawdopodobniej byłaby tak załamana emocjonalnie, że już nigdy nie byłaby się w stanie pozbierać; a jednak uratowanie siostry mogło już na zawsze zaprzepaścić jej szansę na miłość.

Ale teraz, w tej niezwyklej, czarownej chwili Lucien należał tylko do niej. Kit pochyliła się i pocałowała go najdelikatniej, jak umiała, prosto w usta. Uchylił nieco powieki i w jego oczach dziewczyna zobaczyła złoty płomynek radości.

- Ostrzegałem cię, że jeżeli zostanę, to może się okazać, że nie zachowam się dość przyzwoicie - powiedział z chochlikowatym błyskiem w oczach. - Choć zdawało mi się, że będę w stanie nieco dłużej nad sobą panować.

- Bzdura - odrzekła dziewczyna z uśmiechem. - Zachowujesz się przyzwoicie tylko wtedy, jeżeli ci to odpowiada.

- A teraz mi nie odpowiada. - Objął ją i natychmiast znalazła się na nim.

Pisnęła cicho z zaskoczenia, a potem odprężyła się i wyciągnęła nogi tuż obok jego nóg. Jej piersi rozpląszczyły się na jego torsie.

- Właściwie powinniśmy już wstawać - powiedziała z żalem. - To będzie długi dzień.

- Co oznacza, że powinniśmy go jak najszybciej zacząć. - Uciszył jej protesty namiętnym pocałunkiem, wsuwając ręce pod cienką koszulkę i ujmując twarde pośladki.

Poczuła, jak ocierając się o jej brzuch męskość twardnieje. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Właśnie chciała przetoczyć się na łóżko, by mogli się kochać, kiedy on złapał ją za biodra i wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Gwałtownie złapała powietrze.

- Ojej! Teraz już rozumiem, dlaczego położyłeś mnie na sobie.

- Edukacja to wspaniała rzecz - odparł z uśmiechem.

- W rzeczy samej. - Nie mogła złapać tchu. - L. J. Knight napisał kiedyś całą serię prowokujących artykułów na ten temat.

- Czy tak prowokujących jak to, co właśnie robimy?

- To nie jest prowokacja - odpowiedziała tłumiąc śmiech. - To czyste wszeteczeństwo.

- Hmm... wszeteczeństwo... mój ulubiony śmiertelny grzech. - Wszedł w nią głębiej.

Zadrzała czując, że płynny ogień wstępuje w jej żyły. Ostrożnie się wyprostowała, tak że teraz siedziała na nim jak na koniu. Potem zdjęła koszulkę, celowo wolnymi i prowokującymi ruchami, po czym rzuciła ją za siebie. Lucien odpowiedział na tę zaczepkę podnosząc się i biorąc do ust jej lewy sutek. Kiedy ssał jej pierś, dziewczyna zamruczała coś niezrozumiale i zaczęła się kołysać w przód i w tył, doprowadzając go do szaleństwa, tak że po chwili opadł z powrotem na poduszki nie mogąc złapać tchu.

Pochyliła się i złapawszy go za nadgarstki, przycisnęła je do łóżka. Spoglądając na jego twarz wykrzywioną spazmami rozkoszy, przez chwilę poczuła się tak silna, jak on. Chcąc usłyszeć jego prośby, zwolniła nieco. Patrzył na nią z otwartością małego chłopca, niczego nie krył.

W kochaniu się przy dziennym świetle było coś dziwnie poruszającego i intymnego. Dziewczyna odkrywała właśnie całą gamę wspaniałych pozycji i sposobów uprawiania miłości. Każdy jej ruch odbijał się natychmiast na jego twarzy; w końcu Kit nie wiedziała już, czy są dwiema istotami, czy też mają tylko jedno ciało.

Pochyliła się i pocałowała go mocno, gorąco. Tak bardzo chciała, by ich połączenie było nie tylko cielesne, ale i duchowe, tak bardzo chciała znaleźć opiekę i schronienie dla swej zmęczonej duszy w jego silnych objęciach.

Lecz ledwie zdążyła sobie to uświadomić, poczuła lęk. Odsunęła się od Luciena i powiedziała lekko:

- Teraz już rozumiem dowcip, który kiedyś usłyszałam w teatrze, o kobiecie ujeżdżającej mężczyzn.

Zobaczyła lekki cień w jego oczach - zawód? - i poczuła, że Lucien dystansuje się emocjonalnie. Z wielkim smutkiem zdała sobie sprawę, że chcąc ochronić siebie, znowu go zawiodła.

Kit już opanowała trudną sztukę doprowadzania go do szału okrężnymi ruchami bioder i trzymania go na granicy wytrzymałości swym bezruchem. Odkryła, że potrafi zachowywać się jak ładacznicą i że jemu się to podoba. Nieomal zakrztusiła się ze śmiechu, gdy w pewnej chwili wydyszał:

- Czujesz, coś się pali? To chyba prześcieradła... Jednak jej dobry humor wkrótce prysł. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin wszystko się zmieni. Z bożą pomocą siostra będzie wolna, a to może oznaczać, że już nigdy ona i Lucien nie będą tak blisko.

Z nagłą desperacją, posługując się nowo zdobytymi umiejętnościami doprowadziła ich oboje do szczytu. W sztormie spełnienia nie było miejsca na strach czy żal.

Jednak to lekarstwo nie działało długo. Kiedy później z dziko walącym sercem leżała w ramionach Luciena, czuła, że smutek pulsuje jej w żyłach powtarzając: nigdy więcej, już nigdy więcej, nigdy więcej...

Lucien patrzył w sufit, czując przy sobie bicie serca Kit. Leżała przytulona do niego niczym mały miękki kociak. Przed chwilą skończyli się kochać. I było cudownie. Dlaczego więc miał wrażenie, że żegna się z nim bez słów?

Im byli bliżej odnalezienia Kiry, tym bardziej odcinała się od niego emocjonalnie.

Teraz, po tym, jak doświadczył zupełnie innej Kit, uświadamiał to sobie aż nadto wyraźnie. To oznaczało, że gdy odnajdą Kirę, on utraci Kit bezpowrotnie.

Na początku myślał, że fizyczna miłość tylko jeszcze bardziej zbliży ich do siebie, lecz teraz zrozumiał, że się mylił. Choć nie miał wątpliwości, że udałoby mu się zaciągnąć ją przed ołtarz - wdzięczność była potężną siłą, a on był mistrzem subtelnej manipulacji - już nie był taki pewny, czy znajdzie w tym małżeństwie to, czego szukał.

Nie był już pewny niczego.

Ku jego wielkiej uldze, Kit odezwała się pierwsza:

- Mam złe przeczucia. Coś mi się zdaje, że odbicie Kiry nie będzie takie łatwe, jak się nam zdaje. Pamiętasz, co Kira mówiła o strażnikach? Tam kryje się niebezpieczeństwo, Lucien.

Zadowolony, że może zająć myśli czym innym, spytał:

- Ale ilu może być strażników? Nie mówimy tu o oblężeniu obcego miasta. Porywaczem jest jeden perwersyjny bogaty szlachcic. Są wielkie szanse, że będzie jeden, może dwóch strażników. Jeżeli porywacz też tam będzie, to daje nam trzech przeciwników. - Wzruszył ramionami. - A nawet gdyby było ich i sześciu, to i tak mamy przewagę, bo Michael jest po naszej stronie.

- Jestem pełna podziwu, że ryzykuje własne życie, choć właściwie nic go ta sprawa nie obchodzi. Jason i ja kochamy Kirę, ty mieszasz się w to z mojego powodu - pocałowała go przelotnie - za co jestem ci dozgonnie wdzięczna, ale Michael nie ma żadnego powodu, oprócz przyjaźni z tobą i dobroci serca, żeby się w to mieszać. To dość abstrakcyjna motywacja.

- Podejrzewam, że cieszy się, iż może wykorzystać swe umiejętności służąc tak dobrej sprawie. Michael byłby doskonałym średniowiecznym rycerzem.

- Zabijałby smoki i ratował dziewice?

- Otóż to. - Lucien objął ją w talii, chcąc, by została z nim jeszcze trochę.

Ale jego czas już się skończył i Kit się odsunęła.

- Jeżeli się pospieszymy, złapiemy jeszcze lorda Ivesa u Cleo.

- Czyżby razem mieszkali?

- Nieomal. - Uśmiechnęła się lekko. - On już od dawna chce kupić jej duży, przestronny dom, ale ona ciągle odmawia. Powtarza, że woli być panią samej siebie niż kochanką lorda. To ironia losu, bo choć Cleo mówi to bardzo poważnie, może doprowadzić do tego, że Ives się jej oświadczy tylko po to, by jej nie stracić.

- Nie byłby pierwszym szlachcicem, który wziął za żonę aktorkę - zauważył Lucien. -

Słyszałem, jak o niej mówi. Jest więcej niż prawdopodobne, że gdyby się pobrali, byłiby razem bardzo szczęśliwi. - Przycisnął usta do wnętrza dłoni Kit. - Za dwadzieścia cztery godziny będziemy świętować uwolnienie Kiry. Myślę, że wtedy nadejdzie pora, by omówić plany naszego ślubu. Osobiście wolałbym szybką i cichą uroczystość.

Chciał, by zareagowała tak, jakby i ona tego pragnęła równie mocno - jakby w ogóle tego pragnęła. Ona tymczasem uśmiechnęła się, nie kryjąc smutku w oczach.

- Jak obiecałam wczorajszej nocy, zgodzę się na wszystko, o co poprosisz.

Jeżeli to było zwycięstwo, to smakowało jak popiół.

## **Interludium**

*Kiedy już sobie poszedł, była tak wycieńczona, że ledwo mogła się poruszać. Zapadła w błogosławiony, nie zakłócony niczym sen, lecz nagle się obudziła. Ile czasu już upłynęło? Zostało go jej tak niewiele, że nie mogła sobie pozwolić na zmarnowanie choćby chwili. Po wszystkim powiedział jej z chorobliwym błyskiem fascynacji w oczach, co dokładnie ją czeka. Następnym razem, gdy ją odwiedzi, przyjdzie odebrać jej życie.*

*Cóż mogła jednak zrobić poza chodzeniem w kółko po obitym pluszem więzieniu? Już wcześniej rozglądała się za czymś, co mogłoby posłużyć jej za broń, ale jej porywacz dobrze sobie to wszystko obmyślił. W całym pokoju nie znalazła nic. Meble były przytwierdzone do podłogi, sztucce zrobiono z miękkiej blaszki, tak że gięły się pod byle naporem, a cynowe kubki i talerze nie dałyby się stłuc i połamać na ostre kawałki.*

*Co prawda mogłaby użyć jednego z batów, by udusić ciemężyciela, lecz wątpiła, czy ma dostatecznie dużo siły, by pokonać dorosłego mężczyznę. A nawet gdyby to jej się udało, jak wydostałaby się z zamkniętego pomieszczenia i jak pokonałaby stojącego za drzwiami strażnika? Oczywiście, że będzie się bronić; nie zamierzała iść pokornie niczym owieczka na rzeź, lecz nie miała złudzeń co do swoich szans.*

*Jej spojrzenie spoczęło na paskudnej mechanicznej zabawce, jaką jej tu zostawiono. Z nagłą furią rzuciła mały przedmiot na podłogę i zdeptała pod podeszwą buta. Gdybyż tylko mogła zrobić to samo ze swym oprawcą... A potem przyszła jej do głowy pewna myśl. Uklęka, by przyjrzeć się szczątkom zabawki. Pozostało z niej tylko kilka metalowych kawałków. Podniosła największy i przyjrzała mu się uważnie. Był zrobiony z dobrej twardej stali. Odpowiednio użyty, mógłby wryć się w drewno.*

*Uważnie rozejrzała się po pokoju. Aaa... stolik nocny. Gdyby tylko miała dostatecznie dużo czasu, mogłaby oderwać jedną z jego nóg i zerwać śrubę, którą drewno było przytwierdzone do podłogi. Jeżeli nie, to cóż, odetnie je kilka centymetrów nad podłogą.*

*Ze skrzyżowanymi nogami usiadła przy stoliku i z ponurą zaciętością wzięła się do pracy. Kiedy już skończy, będzie miała pałkę dostatecznie twardą, by zmiażdżyć czaszkę mężczyzny. To nie wystarczy, by ją uwolnić, lecz jeżeli miała umrzeć, zabierze ze sobą tego śmiecia, który ją więzi.*

Cleo nie spieszyła się z otwieraniem drzwi. Kiedy już wreszcie się zjawiała, była roześmiana, a blond włosy opadały jej w nieładzie na ramiona. Widząc, że za Kit stoi Lucien, otuliła się zieloną narzutką.

- Cassie, kochanie, wcześniej dziś wstałaś - rzekła głosem na tyle podniesionym, by było ją słychać w całym mieszkaniu. Jej wymowne spojrzenie sugerowało, że ma towarzystwo. - Obawiam się, że to nie jest najodpowiedniejsza chwila na pogaduszki przy śniadaniu. Czy mogłabyś przyjść do mnie nieco później?

- Przyszliśmy porozmawiać z lordem Ivesem - powiedziała Kit.

- Czy jest tutaj? Zdaje się, że już wiemy, gdzie jest Kira, i może on mógłby nam pomóc.

Oczy Cleo rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Niech Bogu będą dzięki. John, masz gości!

Nie do końca ubrany lord Ives pojawił się w drzwiach saloniku z bardzo zdziwioną miną. Kiedy zobaczył Luciena i Kit, uklonił się uprzejmie i rzekł:

- Witaj, Strathmore. Panno James, jaka miła niespodzianka. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku?

- Nie jestem Cassie James, lecz jej siostrą bliźniaczką. Moja siostra została porwana kilka tygodni temu i od tego czasu udaję, że jestem nią - odparła prosto z mostu Kit. - Mamy nadzieję, że pomoże nam pan ją odnaleźć.

- Czy naprawdę są dwie kobiety, które potrafią tak tańczyć?

- zapytał z niedowierzaniem. Długo przyglądał się twarzy Kit, wreszcie kiwnął głową.

- Rozumiem. Wejdźcie. Podejrzewam, że to bardzo długa historia.

Kit zrelacjonowała mu wszystko bardzo szybko, pomijając wiele szczegółów, takich jak na przykład to, że parę razy była na spotkaniach Hellionów, czy też to, że zlokalizowali jej siostrę za pomocą magii wahadelka. Nie wspomniała też o zajściu w gospodzie, kiedy to udawała barmankę i uderzyła nieco zbyt rozochoconego lorda Ivesa poduszką, która udawała jej biust. Nie rozpoznał jej, uznała więc, że najlepiej będzie o tym nie wspominać i zaoszczędzić mu wstydu.

- Podejrzewamy, że Cassie jest przetrzymywana w zamku Raine w Berkshire - rzekł Lucien, kiedy skończyła relację. - Czy mam rację, że to miejsce spotkań Hellionów?

- Tak. - Ives gryzł wargi z niepokojem. - Naprawdę uważasz, że porwał ją jeden z Wyznawców? Jestem przekonany, że żaden z nich nie posunąłby się do czegoś podobnego.

Stać ich na każdą kobietę, jakiej tylko zapragną.

- Są i tacy, którzy wołają, gdy kobieta się im opiera - odrzekł niewesoło Lucien. - Są i tacy, którzy nie przyjmują odmowy do wiadomości.

Ives zachmurzył się. Kit zgadła, że przypomina sobie rozmowy między Hellionami, które potwierdzają podejrzenia Luciena.

- Jak mogę wam pomóc? - spytał w końcu lord Ives.

- Musimy zebrać tyle wiadomości o zamku Raine, ile to możliwe - rzekł Lucien. - Na przykład, czy pod zamkiem są jakieś lochy?

- Tak mi się zdaje, choć nigdy ich na oczy nie widziałem. Wyznawcy mają jakieś własne sanktuarium, gdzie odprawiają swe rytuały. Pomniejsi Hellioni, tacy jak ja, nie mają tam wstępu, lecz zdaje mi się, że wejście do lochów jest zaraz za kaplicą.

- Co wiesz o ich rytuałach?

- Właściwie nic. Jednak jeden z moich znajomych, taki sam zwykły Hellion jak ja, przystanął kiedyś nie opodal ruin zamku w nocy, gdyż bardzo podobało mu się światło księżycy padające na kamienie. Kiedy już odjeżdżał, usłyszał krzyk kobiety. - Ives przesunął palcami po włosach. Widać było, że czuje się niezręcznie.

- Pomyślał, że tylko mu się zdawało. Był pijany, a to miejsce jest tak dziwne, że aż ciarki przechodzą człowiekowi po krzyżu. Może jednak naprawdę słyszał krzyk. - Kiedy to się zdarzyło?

- Zeszłego lata, gdzieś pod koniec czerwca.

Zanim Kira została porwana, pomyślał Lucien z ulgą. Ale to nasuwało paskudne podejrzenie, że i inne kobiety były ofiarami Hellionów. Ponieważ nikt ich nie oskarżył, najwyraźniej żadna z nich nie przeżyła dość długo, by złożyć zeznania.

- Jak można dostać się do zamku?

Kiedy Ives podał im dokładne instrukcje, Lucien zadał mu jeszcze wiele pytań, lecz właściwie nie dowiedział się nic poza tym, co sam już zdążył wydedukować.

- Czy wiesz może, czy w zamku są jacyś strażnicy? - spytał.

- Z tego, co wiem, kiedy nikogo tam nie ma, po terenie chodzi strażnik. - odrzekł Ives.  
- Poza tym, jak zapewne zauważyłeś, w czasie bankietów po salach chodzi kilku służących przebranych za strażników haremu. Co prawda nazywa się ich eunuchami, lecz jestem święcie przekonany, że są pełnowartościowymi mężczyznami, jak ty czy ja. Właściwie wyglądają na bokserów. Z pewnością byłiby doskonałymi strażnikami, lecz domyślam się, że są obecni tylko podczas przyjęć.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Lucien wstał. - Dzięki za pomoc. Zapewne nie

muszę ci mówić, byś nikomu nie powtarzał naszej rozmowy?

- Wiesz, że nic nikomu nie powtórzę. - Ives również się podniósł. - Spodziewam się, że jedziecie prosto do zamku Raine po prawdziwą Cassie James. Czy potrzebujecie może jeszcze jednego ochotnika?

- Nie, ale bardzo dziękujemy. Już zwerbowałeś kilku przyjaciół.

Lord Ives spojrział na Kit.

- Czy może zamierza pani występować wraz z siostrą? - zapytał. - To by dopiero było zapierające dech w piersiach widowisko.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Gdy tylko ona będzie na wolności, ja się wycofuję.

Kiedy już się pożegnali, Cleo zamknęła drzwi, a Kit i Lucien wsiedli do powozu.

- Wolałbym, abyś nie jechała z nami do zamku Raine.

- Muszę tam być, by odnaleźć Kirę - rzekła. - Jeżeli ruiny są bardzo duże, nigdy jej beze mnie nie znajdziecie. - Wiem. Co wcale nie znaczy, że mi się to podoba.

- Czym się martwisz? Pamiętaj, że Michael, bóg wojny i obrońca wszystkich uciśnionych, jest po naszej stronie - powiedziała Kit z beztroską, która wcale nie odpowiadała jej nastrojowi.

Lucien uśmiechnął się krzywo.

- To prawda, poza tym nie ma najmniejszych podstaw, by się spodziewać kłopotów. Najprawdopodobniej włamiemy się do środka i wyciągniemy stamtąd twoją siostrę, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje. Ale wciąż nie podoba mi się pomysł narażania cię na najmniejsze nawet niebezpieczeństwa.

Dziewczyna zmarszczyła ładny nosek.

- To nie ja omal nie spadłam z dachu przez własną nieuwagę. Lucien uśmiechnął się i ujął jej dłoń.

- Masz rację. Będę cię jeszcze potrzebował do opieki.

A jednak choć udawał dobry humor, nadal się martwił. Miał wyjątkowo złe przeczucia.

Mężczyzna, który od wielu dni obserwował dom na Marshall Street, zaklął soczyście widząc, że aktorka z powrotem wsiada do powozu lorda Strathmore'a. Jego pracodawca będzie wściekły, jeżeli jej nie porwie, a poza tym nalegał, żeby cała sprawa została załatwiona najpóźniej do dzisiejszego wieczoru. Ale to nie było możliwe. Cholera, po prostu niemożliwe. Głupia pannica nie pojawiła się w domu od wielu dni, a kiedy w końcu przyjechała, był z nią hrabia Strathmore. Byłby głupcem, gdyby spróbował zwinąć ją przed nosa samego Lucyfera.



Mężczyzna skrył się w mrokach pokoju po przeciwnej stronie Marshall Street. Płacono mu za czas, więc mógł siedzieć i patrzeć, dopóki nie będzie musiał złożyć raportu pracodawcy.

Ziewnął szeroko. Gdyby to on miał decydować, porwałby kobitkę nieco lepiej odżywioną niż ta chuda aktoreczka.

Ciężkie podwoje zamku Raine były zamknięte; nigdzie nie było widać strażnika. Gdyby nawet jakiś tu był, pewno chowałby się w środku, gdzie było ciepło i sucho.

Michael miał rację co do tej burzy; kiedy Kit czekała przy bramie, czuła, że powoli zamarza. Było okropnie zimno i bez przerwy padał deszcz. Jeżeli temperatura spadnie jeszcze o kilka stopni, wszystko zamieni się w lód. Ale z boską pomocą, wtedy będą już daleko, a Kira będzie bezpieczna.

Lucien pochylił się nad małą furtką wielkości człowieka, umieszczoną w o wiele większej bramie. Dziewczyna nie widziała zbyt wyraźnie, co tam robi, lecz zdawało się jej, że spośród całego pęku kluczy wybiera jeden. Zamek zagrzechotał metalicznie i po chwili drzwiczki się otworzyły. Kit wcale to nie zdziwiło. To był przecież Lucien we własnej osobie.

Za jej plecami rozległ się śmiech Jasona Traversa.

- Czyja też muszę się tego nauczyć, zanim zostanę prawdziwym hrabią?

- To właśnie jest całe piękno brytyjskiego szlachectwa - odrzekł Lucien wprowadzając ich do środka. - Można być tak ekscentrycznym, jak tylko się chce, i nikt nie zwróci na ciebie najmniejszej uwagi.

Jednak w tym wypadku nie chodzi o ekscentryczność, Luce, tylko o twoje niepoprawne złodziejskie skłonności - sprostował łagodnie Michael.

Wszyscy trzej zachichotali.

Kit, znajdująca się już na granicy załamania nerwowego, miała ochotę zamordować ich za te niewczesne żarty. Postanowiła jednak nic nie mówić podejrzewając, że mężczyźni żartami usiłują pokryć zdenerwowanie. Ona była kobietą, mogła więc okazywać strach. Lucien musiał odgadnąć jej nastrój, gdyż podczas drogi do zamku, cały czas trzymał jej dłoń na ramieniu.

Obiektywna, dziennikarska część jej umysłu notowała wszystkie szczegóły; mniej więcej w ten sposób wyobrażała sobie prawdziwą wojnę. Wszyscy byli ubrani w czarne stroje. Ona miała na sobie swe złodziejskie łaszki. Nawet konie, spętane i uwiązane w pobliżu, były niewidoczne, gdyż Michael zamalował czymś ciemnym wszystkie białe znamiona na ich sierści. Uzbrojeni w pistolety Jason i Lucien wyglądali na równie niebezpiecznych. Choć Kit modliła się w duchu, by przemoc nie była konieczna, wszyscy byli

doskonale przygotowani na każdą okoliczność.

Lucien zapytał, czy nie chciałyby wziąć pistoletu, lecz odmówiła wzdrygając się z obrzydzeniem. Była to jedna z nielicznych cech, jakie różniły ją od Kiry. Siostra była doskonałym strzelcem, podczas gdy Kit zawsze spokojnie odmawiała wszelkich prób strzelania. Teraz było już za późno na naukę.

Kaplica wydawała się ciemnym kształtem na tle burzowego nocnego nieba. W połowie drogi Kit wstrzymała nagle oddech i przytknęła dłonie do skroni.

- Co się stało? - zapytał po cichu Lucien.

- Ona tu jest. - Głos jej się załamywał. - Ona naprawdę tu jest! Jason nieomal podskoczył z podniecenia, a Michael, zachowawszy zimną krew, zapytał:

- Czy możesz określić, w jakim kierunku powinniśmy się udać? Kit skoncentrowała się i poczuła, jak z wysiłku dudni jej w uszach.

- Jest dokładnie przed nami. Gdzieś w kaplicy. Może pod nią. - Z mocno bijącym sercem pobiegła w kierunku budynku; nic nie widziała, nie czuła strug deszczu smagających ją po twarzy. Dotarła do kaplicy i właśnie łapała za klamkę u drzwi, gdy Lucien ją powstrzymał.

- Nie otwieraj drzwi! Tuż nad progiem widać smugę światła.

- To pewno tylko strażnik. Damy sobie radę z jednym człowiekiem - odezwał się niecierpliwie Jason.

- Niewątpliwie - odrzekł Lucien. - Jednak rozsądniej będzie, jeżeli poszukamy innego wejścia. Jeśli się nie mylę, to trochę w prawo znajdują się boczne drzwi wiodące do sali bankietowej.

Okrażali budynek tak długo, dopóki ich nie znaleźli. Lucien zajął się zamkiem i pracował tak cicho, że nawet Kit stojąca nie dalej niż sześć stóp od niego nic nie usłyszała. Potem rozległo się ciche skrzypnięcie. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Słuchał przez chwilę w napięciu, po czym dał im znać, żeby do niego dołączyli. Sala bankietowa była ogromnym pokojem ze stołami i ławami, ledwie widocznymi w słabym świetle dochodzącym z odległego lewego rogu. Bez słowa Lucien poprowadził ich w stronę tego światła, poruszając się tuż przy ścianie pokoju, by uniknąć zderzenia z meblami.

Tuż przy wejściu do korytarza bez słowa ścisnął ramię Kit, dając jej znak, by się nie ruszała. Zostawiwszy z nią Jasona, ruszył wraz z Michałem do korytarza wiodącego do głównej kaplicy.

Dziewczynie zdawało się, że czekają przez całą wieczność. Zaciśnęła dłonie w pięści i zmusiła się do spokoju. Potem, przy wtórze deszczu za oknem, usłyszała zduszony okrzyk i

ciche łupnięcie. Kilka minut później obaj mężczyźni wrócili. Michael niósł krzesiwo i zapalił dwie latarnie, które trzymał Jason. Co prawda szkło było chronione żelaznymi zasłonkami, lecz i tak przyćmione światło rozjaśniło korytarz.

- Doskonale, wszystko już załatwione - powiedział Lucien.

- Był tylko jeden strażnik.

- Czy ty... - zapytała nerwowo Kit.

- Tylko go ogłuszyliśmy i związaliśmy - zapewnił ją Michael.

- Nigdy nie zabijam, jeżeli nie muszę.

Dziewczyna zastanowiła się, czy przypadkiem nie żartuje, lecz po chwili doszła do wniosku, że Michael jest śmiertelnie poważny. Żył w zupełnie innym świecie niż ona. Kiedy mężczyźni ruszyli w głąb korytarza i przeszukiwali wszystkie napotkane pokoje i zakątki, ona pochyliła głowę i sięgnęła myślami do siostry, starając się ją zlokalizować.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy w końcu się jej udało. Energia Kiry była zadziwiająca - nie tylko była bardzo blisko, lecz była także śmiertelnie przerażona. Choć Kit chciała przesłać jej wiadomość, zapewnić, że już idą, nie udało się jej dotrzeć do zamroczonego strachem umysłu siostry.

Kit uniosła głowę, bo usłyszała dochodzące gdzieś z oddali dudnienie. Nie wiedząc, co to jest, odwróciła się do Luciena.

- Co to za dziwny dudniący odgłos?

Przechylił nieco głowę i słuchał. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że nic nie słyszy, dopóki o tym nie wspomniała.

- Jakaś maszyna - odrzekł marszcząc brwi. - Coś jak kocioł parowy, tylko bardzo duży.

Jeżeli działała jakakolwiek maszyna, to oznaczało, że w ruinach ktoś jeszcze jest. Kit miała rację: będzie o wiele ciężiej, niż się spodziewali.

- Tutaj! - zawołał cicho Jason zza załomu korytarza.

Kiedy pozostali do niego dołączyli, otworzył drzwi, które właśnie odkrył. Stopnie wiodły w dół, w kierunku światła i głosów nucących jakąś dziwną melodię.

Lucien zaniknął za sobą drzwi.

- Do diabła. Wyznawcy dziś mają jakiś swój rytuał. - Dziś jest dzień zimowego przesilenia - zauważył Jason.

- Najprawdopodobniej odgrywają jakiś pogański rytuał, świętując w ten sposób zmianę pory roku.

Lucien zamyślił się na chwilę.

- Najprawdopodobniej. Przyjaciel Ivesa słyszał tu krzyki mniej więcej wtedy, gdy było letnie przesilenie.

- Czy Druidzi przypadkiem nie praktykowali ofiar z ludzi?

- zapytał nagle Michael.

Kit jęknęła z przerażenia i podbiegła do otwartych drzwi. Lucien powstrzymał ją na czas.

- Poczekaj - powiedział ostro, łapiąc ją za ramię. - Zostań przy mnie.

Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem; domyślił się, że znowu połączyła się z siostrą. Potrząsnął nią mocno.

- Kit, jeżeli mamy uratować Kirę, musisz zostać z nami i fizycznie, i psychicznie.

Przełknęła z trudem ślinę, kiwnęła głową i spojrzała na niego już nieco przytomniejszym wzrokiem.

Michael zerknąwszy porozumiewawczo na Luciena, poprowadził ich schodami w dół. Tuż za nim szedł Jason, potem Kit, a Lucien zamykał pochód. Popękane stopnie i kamienne mury były wzniesione z pewnością w średniowieczu i od tej pory nie odnawiane. Im niżej schodzili, tym głośniejsze stało się zawodzenie głosów. Jeden głęboki mocny głos intonował frazę, a mały chórek powtarzał ją za nim. Język był nie do rozróżnienia, mogła to być kuchenna łacina.

Buczący dźwięk, który wcześniej usłyszała Kit, także się wzmacniał, aż ściany dokoła nich wibrowały. Z każdym schodkiem prowadzącym w dół Lucien zdawał sobie coraz bardziej sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im groziło. Ciarki zaczęły mu chodzić po karku.

Podjeżdżał jednak, że to uczucie jest bardziej związane z niepokojem o Kit niż z przeczuwaniem zagrożenia. Choć niebezpieczeństwo było jego starym kompanem, nigdy do tej pory nie ryzykował niczyjego życia, tylko własne. Teraz martwił się o bezpieczeństwo Kit o wiele bardziej niż o własne życie.

Wcale nie pomagało mu przecucie, że pod wpływem ogromnego stresu dziewczyna za chwilę się załamie. Łącząca ich więź może i nie była tak mocna, jak by sobie tego życzył, ale dokładnie wyczuwał jej emocje. Otchłań przerażenia Kit przypomniła mu własną panikę, gdy próbował ocalić Elinor.

Zacisnął usta. Nie udało mu się ocalić życia siostrze, lecz tym razem nie zawiedzie.

U stóp schodów korytarz rozdzielał się i biegł na prawo i na lewo. Jeszcze jedne schody wiodły w dół. Korytarz z prawej wydawał się starszy, lecz dźwięk i światło dobiegały z lewej, gdzie korytarz był wyciosany w skalnym zboczu góry.

Lucien dotknął ramienia dziewczyny. Skrzywiła się i wskazała na ścianę...

najwyraźniej Kira była gdzieś przed nimi i Kit nie była pewna, którądy najlepiej będzie do niej dotrzeć.

Poruszając się cicho jak kot, Michael poszedł zbadać źródło światła. Zniknął za załomem korytarza tylko po to, by już za chwilę wrócić ze zdziwieniem wypisanym na twarzy. Dając znak, by zachowywali się cicho, poprowadził ich w kierunku światła.

To, co zobaczyli, było doprawdy zadziwiające. Korytarz prowadził na ocienioną galerię biegnącą wzdłuż czterech ścian ogromnej sali, która kiedyś mogła być naturalną jaskinią, a do obecnego kształtu kwadratu doprowadziły ją ludzkie ręce. Ściany były wilgotne. W samym środku komnaty stali Wyznawcy odziani w szkarłatne szaty. Wszyscy mieli dziwne fryzury przypominające średniowiecznych mnichów, z wygolonymi tonsurami. Lucien zauważył ze zdumieniem, że jest ich tylko trzynastu.

W każdym rogu komnaty stał czarno ubrany mężczyzna w turbanie, trzymający przed sobą halabardę. Ives miał rację - wszyscy wyglądali, jakby dopiero co zeszli z ringu.

Najdziwniejsze zaś były posągi tworzące podwójny okrąg w czworokątnej komnacie. Było ich ze trzydzieści, miały po dziesięć stóp wysokości. Każdy przedstawiał wojownika i żaden nie był podobny do drugiego. Rzymski gladiator, trzymający krótki miecz i okrągłą tarczę, stał naprzeciw ogromnego Afrykańczyka, który trzymał przygotowane do rzutu noże. Barczysty wiking, wymachujący olbrzymim bojowym toporem, patrzył spode łba na Turka, trzymającego półokrągłą szablę o szerokim ostrzu, a pieszy żołnierz uzbrojony w halabardę stał tuż obok średniowiecznego rycerza w zbroi.

Posągi zrobiono z metalu, lecz potem pomalowano farbami tak, by wyglądały jak żywe. Efekt był piorunujący i irytujący zarazem. Lucien wyobraził sobie, że posągi budzą się do życia i zabijają każdego, kto chce zakłócić spokój Wyznawców.

W samym środku komnaty, między dwoma ogniskami, jako jedyny odwrócony do nich twarzą, z ramionami wyciągniętymi ku górze, stał Mace. Nad nim wisiał olbrzymi kandelabr, a za nim znajdował się płaski kamienny ołtarz. Lucien poczuł, jak strach łapie go zimnymi palcami za gardło; ołtarz wyglądał tak, jakby został specjalnie zaprojektowany do składania ludzkiej ofiary.

Kit także musiała to odgadnąć, gdyż nagle się wzdrygnęła. Na szczęście nigdzie nie było widać ani śladu Kiry. Jeżeli miała zostać poświęcona w jakimś barbarzyńskim rytuale, to jeszcze do tego nie doszło.

Kit cofnęła się o krok i wskazała na kierunek, z którego przyszli. Kira musiała znajdować się na tym samym poziomie, co makabryczna sala pod nimi. Spoglądając po raz ostatni na przedziwną scenę w komnacie, Lucien poszedł za innymi. Wrócili do schodów i

znowu zaczęli wędrówkę w dół.

Stopnie kończyły się na następnym poziomie. Tym razem drogi wiodły nie tylko na prawo i lewo, ale i na wprost. Świece płonęły w niszach wzdłuż korytarza, oświetlając maski diabłów, wyciosane w miękkim kamieniu ścian. Oblicza były pełne wściekłości i zdawało się, że za chwilę ożyją.

Idąc za Kit, Lucien zaczął mieć nadzieję, że zdołają wydostać Kire, nie niepokojąc Wyznawców. To byłoby najspokojniejsze i najbezpieczniejsze rozwiązanie i Lucien już żałował, że nie uda mu się pociągnąć do odpowiedzialności łajdaka, który był wszystkiemu winien. Pocieszył się tylko myślą, że wcześniej czy później sprawiedliwości i tak stanie się zadość.

Kit była kilka stóp przed Lucieniem; szła szybko, nie rozglądając się na boki. Pozostali szli za nim, uważnie obserwując wszystko dokoła. Lucien zauważył kilka stóp przed Kit pas ciemniejszych kamieni, między którymi ukryte były małe otworki. Pas biegł na podłodze, wzdłuż ścian i na suficie. Lucien właśnie się zastanawiał, cóż to takiego, gdy Kit nastąpiła na jeden z tajemniczych ciemnych kamieni.

Przesunął się pod jej stopą z cichym zgrzytem i... wtedy rozpętało się piekło.

Gdzieś w oddali odezwały się dzwony. Ich głos poniósł się korytarzem z ogłuszającą mocą. Kit zamarła obracając głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Lucien usłyszał jakiś dziwny chroboczący dźwięk tuż przy suficie i spojrzawszy w górę zobaczył, że z zamaskowanych ciemnymi kamieniami szpar w murze opada ciężka żelazna krata - i że Kit stoi dokładnie na drodze ostrych prętów. Krzyknął i rzucił się w jej stronę, zwalając ją z nóg tuż za zasięgiem żelaznych szydeł. Dziewczyna upadła ciężko na ziemię, a on potoczył się na nią.

Z ogromnym hukiem, który zatrzęsł ścianami korytarza, odłupując kawałki kamienia ze ścian, krata opadła na kamienną podłogę. Lucien poczuł, że coś ociera się o jego kostkę, i spoglądając za siebie zobaczył, że nie uskoczył dostatecznie daleko.

Dzięki łutowi szczęścia jego prawa noga znalazła się między dwoma ostrymi szpikulcami kraty. Gdyby przesunął ją o kilka centymetrów w prawo czy w lewo, twarde ostrze przyszpiliłoby mu nogę do podłogi. Teraz była tylko przyciśnięta do ziemi i uwięziona między dwoma prętami.

Dzwony nadal biły, a z komnaty, gdzie odbywał się obrządek, dobiegł ich wściekły głos:

- Intruzi wdarli się do naszej świątyni! Znajdźcie ich!

Do wszystkich diabłów! Lucien wyrwał nogę z potrzasku i szybko się podniósł. Jeżeli kraty nie da się podnieść, Jason i Michael będą uwięzieni. Michael już zdał sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Szarpnął żelazną kratę, lecz natychmiast potrząsnął głową.

- Nigdy nie zdołamy tego ruszyć, Lucien. Idźcie dalej sami. - Spokojnie wyjął zza pasa pistolet i odciągnął kurek. - Damy sobie z Traversem radę z tą bandą idiotów.

Kit też już wstała i patrzyła na uwięzionych mężczyzn z przerażeniem w oczach. Lucien złapał ją za ramię.

- Nic nie możemy zrobić. Nie martw się o nich, są uzbrojeni. My musimy odnaleźć Kirę.

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową, patrząc gdzieś za załom korytarza.

- Jest już bardzo blisko.

Korytarz skręcał w lewo. Potem rozdzielał się na cztery węższe korytarze, niknące w ciemnościach i wijące się niczym loki Meduzy. Kit zatrzymała się i patrzyła w zakłopotaniu.

- Wiesz, którym korytarzem powinniśmy pójść? - zapytał pospiesznie Lucien.

Zanim dziewczyna zdążyła mu odpowiedzieć, za nimi rozległy się strzały, a zaraz

potem zabrzmiał okrzyk bólu. Kit z przerażeniem złapała go za ramię.

- Dobry Boże, to chyba głos Jasona! Musimy wrócić i im pomóc.

- Wcale nie jestem taki pewien, że to był on. - Lucien zmarszczył czoło. - Poza tym prędzej diabli mnie wezmą, niż pozwolę ci wrócić do tunelu, gdzie na wszystkie strony świszczą kule.

- Więc idź sam - odrzekła niecierpliwie. - Ja tu zostanę. Nawet jeżeli nie przedostaniesz się przez kratę, możesz przez nią strzelać.

Znowu zabrzmiały strzały i znowu ktoś krzyknął. Lucien skrzywił się z niezadowoleniem.

- No dobrze, pójdę. Ale ty tu zostań... i nawet nie waż się iść gdziekolwiek. A jeżeli ktoś wyjdzie z jednego z tych małych tunelików i zaatakuje cię, nie uciekaj nigdzie, tylko wróć do mnie.

Dziewczyna posłusznie kiwnęła głową. Popędził wąskim korytarzem. Skręcił w prawo i wybiegłszy zza zakrętu, wpadł w chmurę gryzącego dymu. Zamrugał rozpaczliwie i gdy już przejaśniło mu się przed oczyma, zauważył, że Michaelowi i Jasonowi nic nie jest. Siedzieli skuleni pod ścianą, z bronią gotową do strzału, a kilka postaci w głębi korytarza właśnie się wycofywało. Na podłodze leżał człowiek w czarnym turbanie, a strużka krwi jasno wskazywała, że co najmniej jeden z uciekających też został ranny.

Doszedłszy do wniosku, że przyjaciele doskonale sobie radzą, Lucien zawrócił na pięcie i pobiegł z powrotem do Kit. Gdy tylko skręcił za załom tunelu, zaklął szpetnie.

Dziewczyna zniknęła.

Kiedy Lucien pobiegł na pomoc Jasonowi i Michaelowi, Kit oparła się o ścianę, zadowolona, że wreszcie może złapać oddech. Jednak gdy tylko się odprężyła, natychmiast przeraziło ją niespokojne bicie dzwonów. Ich żałobny głos wzbudzał w niej panikę.

O, Boże! Te dzwony na pewno znaczą, że on już po mnie idzie! Powiedział, że to się zdarzy właśnie dziś. Muszę się przygotować.

Kit przycisnęła dłonie do skroni. Z wielkim trudem starała się wydostać, gdyż wiedziała, że nie stać jej na zatracenie siebie w przerażeniu siostry.

Pomyślała o Lucieniu i dopiero wtedy udało się jej uwolnić od siostry. Kiedy już się nieco uspokoiła, wysłała psychiczną wiadomość: Gdzie jesteś? Jesteśmy już bardzo blisko! Pokaż mi, jak cię znaleźć, kochanie!

Jednak przerażenie Kiry utrudniało kontakt. Umysł siostry był zamknięty na wszelkie wołania, niczym płonący dom. Kit raz jeszcze zaczęła walczyć o zachowanie zdrowego rozsądku, lecz zanim się jej to udało, poczuła znów przerażenie. Tym razem jednak



pochodziło z innego źródła. W jakiś nie wyjaśniony sposób czuła, że złoczyńca zbliża się do siostry.

Wszelki rozsądek ją opuścił. Na oślep, zupełnie nie myśląc, odepchnęła się od ściany i pomknęła korytarzem odchodzącym najbardziej na lewo. W zamroczonym przerażeniem umyśle widziała dziwną zamgloną mapę, przedstawiającą jej siostrę jako spokojne jasne światło, a porywacza zbliżającego się do niej jako czern bez dna nadchodzącą z lewej strony.

Wąski korytarzyk, którym pędziła, przeszedł w większy jaśniejszy tunel. Dziewczyna nie zatrzymując się wbiegła do niego, skręciła w lewo, i stanęła oko w oko z lordem Mace'em. Wysoki, odziany w szkarłatne szaty, z barbarzyńskimi łańcuchami przecinającymi pierś i bronią przytroczoną do pasa, przedstawiał sobą przerażający widok. Zatrzymał się jak wryty na jej widok... na jego chudej twarzy widać było niebotyczne zdumienie.

Z pierśią unoszącą się spazmatycznie po długim biegu, Kit wyrzuciła z siebie z wściekłością:

- Nie pozwolę ci już więcej jej tknąć, ty potworze! Jego oczy rozjaśniły się przerażająco.

- A niech kule biją mą przeklętą duszę! To ta druga, Cassie numer dwa. Chyba wreszcie niebiosy się do mnie uśmiechnęły! - Ruszył do Kit. - Coś mi się zdaje, że jednak zakosztuję mej fantazji.

Dopiero w tej chwili wróciła do rzeczywistości. Chyba oszalała zostawiając Luciena. Dobry Boże, teraz będzie musiała sama stawić czoło uzbrojonemu szaleńcowi!

Wiedziała, że nie zdoła go pokonać. Ale zawsze może spróbować go nieco opóźnić. Im dłużej będzie mu stwarzać problemy, tym większe szansę miał Lucien na odnalezienie jej lub Kiry.

Wiedząc, że Mace nie spodziewa się ataku z jej strony, rzuciła się na niego i powaliła z nóg. Niestety upadła na niego i zanim zdążyła się podnieść, już przetoczył się na nią i przygniatając ją do ziemi rzekł:

- Szybka jesteś! - W jego głosie nie było ani śladu podniecenia, tylko chłód, bezbrzeżny chłód. - Jesteś taka sama jak twoja siostra. Taka sama.

Splunęła mu w twarz.

A potem nastąpiła zajadła walka: Kit kopała, drapała, gryzła, biła na oślep; wiedziała, że zadaje mu ból, i czerpała jakąś dziką satysfakcję z tego, że tym razem jemu się to nie podoba. Ale nawet jej największe wysiłki nie powstrzymały go na długo. Kiedy z całej siły uderzył ją pięścią w splot słoneczny, była tak ogłuszona, że bez słowa protestu dała mu się związać.

Podniósł ją brutalnie z kamiennej podłogi.

- Przygotowałem dla ciebie specjalne pokoje, oczekując na twoje porwanie. Niestety człowiek, którego wynająłem do tego zadania, zawiódł. Powiniennem sam się tym zająć, jak w przypadku porwania twojej siostry. Jednak teraz to już nie ma znaczenia. Jesteś z nami.

Fałdy jego szkarłatnej szaty uchyliły się, odsłaniając pochwę na nóż wiszącą przy jego lewym boku i pistolet - przy prawym. Choć Kit podejrzewała, że broń jest raczej rekwizytem w ceremonii, była przerażona. Wyciągnął pistolet zza pasa i przyłożył zimną lufę do karku dziewczyny.

- Chodź, Cassie numer dwa. Kiedy przebierzesz się w kostium, który dla ciebie przygotowałem, nadejdzie czas na ceremonię. Wtedy zobaczysz siostrę. Mam nadzieję, że doceni to, iż poświęciłaś życie tylko po to, by ją odnaleźć. Jakie to wzruszające! Ciekaw jestem, czy mój brat, Roderick, poświęciłby się tak dla mnie. Jakoś w to wątpię, choć często wyświadczał mi różne przysługi.

Słyszac te słowa, Kit wysyczała przez zaciśnięte zęby:

- Powinieneś uciekać, póki jeszcze możesz, Mace. Moich kompanów tak łatwo jak mnie nie złapiesz, a jeżeli mnie skrzywdzisz, oni będą domagać się sprawiedliwości.

Mace zatrzymał się i otworzył zamknięte na klucz drzwi po lewej stronie korytarza.

- Nawet jeżeli jeszcze żyją, to zostało im już niewiele życia. Moi ludzie mają nad nimi przewagę liczebną, poza tym twoi towarzysze nie mają pojęcia, gdzie i jakie pułapki pozostawiałem w tych korytarzach.

Wziął świecę i machnął pistoletem w kierunku drzwi, dając jej do zrozumienia, żeby weszła do środka. Kiedy zapalił oliwną lampę, Kit zobaczyła, że pokój został umeblowany jak sypialnia. Mace otworzył jedną z szaf i wyciągnął z niej czarne łaszki. Kit rozpoznała w nich okropne przebranie, jakie widziała w swoich snach o Kirze.

Mace wyjął zakrzywiony nóż z pochwy u pasa i przeciął jej więzy.

- Załóż to! - rozkazał.

- Nie - odparła spokojnie.

Pokiwał nożem, tak że światło świec zaśniło groźnie na ostrzu.

- Z wielką przyjemnością potnę twoje ubranie i sam ubiorę cię siłą.

Na myśl, że mógłby dotykać jej ciała, dziewczynie zrobiło się niedobrze. Z trudem przywołując aktorskie zdolności, Kit powiedziała słodko:

- To zajmie mi trochę czasu. Czy twoi koledzy zbrojeńcy nie będą się niecierpliwić?

Mace zmarszczył czoło. - Masz rację. Nie powiniennem zaniedbywać gości. Nalegam jednak, byś włożyła ten kostium. Kiedy znajdziesz się na ołtarzu, musisz wyglądać dokładnie

tak, jak twoja siostra.

Kiedy zbliżył się do niej o krok, musiała walczyć ze sobą z wszystkich sił, by nie okazać paniki i się przed nim nie cofnąć.

- Sama to włożę, jeżeli ty poczekaasz na zewnątrz.

- To kompromis do przyjęcia. Potem będę mógł się z tobą siłować, ile dusza zapragnie. Tylko pamiętaj, by jak najmocniej zasnuwać kostium. - Obliznął powoli wargi. - Wtedy efekt jest wręcz zapierający dech w piersiach.

Kiedy Mace wyszedł i zamknął za sobą drzwi, Kit drżąc opadła na fotel. Jak zwykle, gdy była bardzo przerażona, skoncentrowała się, by przywołać pomoc. Jednak tym razem nie skupiła się na Kirze, która sama była na granicy załamania, lecz na Lucienie. Sama myśl o jego spokoju i sile wróciła jej trochę pewności siebie.

Wstała z fotela i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jej w obronie, nic jednak nie znalazła. Nie mogła również zamknąć czy zabarykadować drzwi od środka.

Z zaciśniętymi ustami zaczęła się przebierać tak wolno, jak tylko mogła.

Kiedy Lucien zauważył, że Kit zniknęła, najbardziej winił siebie. Nie powinien zostawiać jej samej, tym bardziej że wiedział, iż w każdej chwili może wpaść w ten trans, koncentrując się tylko na siostrze.

Musiała pójść jednym z czterech korytarzy, tylko którym? Przeżegnawszy się, wszedł do drugiego korytarza po lewej. Tunel wiódł krętą drogą cały czas w lewo, a nisze w ścianach wypełnione były kośćmi zwierząt.

Gdzie, do diabła, była Kit?

Wyłonił się zza zakrętu i zderzył się z kimś idącym z naprzeciwka. Nie była to Kit, lecz jeszcze jeden strażnik. Najwyraźniej usłyszał strzały i szedł sprawdzić, co się stało. Zanim strażnik zorientował się, co się dzieje, było już za późno. Lucien nogą wytrącił mu broń z ręki, potem uderzył go w szczękę mocnym prawym sierpowym, po czym poprawił jeszcze mocniejszym lewym.

Strażnik zwałił się nieprzytomny na podłogę. Lucien skonfiskował jego broń i amunicję i związał jego własnym wytartym już nieco krawatem. Potem wyprostował się na chwilę i rozejrzał. Znajdował się w małej komnacie, do której wiódł jeszcze jeden korytarz z lewej strony. Pośrodku pomieszczenia stał stół i dwa krzesła. Na stole paliła się lampa i leżały karty. Strażnik pewnie oderwał się od pasjansa.

Nigdzie nie było widać Kit, lecz po przeciwnej stronie komnaty znajdowały się ciężkie, okute żelazem drzwi. Przeszukawszy strażnika, znalazł przy nim potężny klucz.

Przekręcając go w zamku modlił się, by znaleźć za drzwiami Kirę. Wtedy odnalazłszy Kit, mogliby natychmiast uciekać. A Kit nie mogła być daleko.

Drzwi się otworzyły i Lucien wszedł ostrożnie z pistoletem w dłoni. Znalazł się w pięknie umeblowanym pokoju, który spokojnie mógłby uchodzić za zwyczajny salon, tyle że nie było w nim okien. W pokoju znajdowało się dwoje drzwi, jedno prowadziły do sypialni, a drugie do lochu, dokładnie takiego, jaki opisała Kit.

Kącikiem oka zarejestrował jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał lady Kristine Travers. Przez chwilę szok pozbawił go wszelkiej zdolności myślenia. Fakt, że Kit miała siostrę bliźniaczkę, był sednem całej misji, a jednak Lucien poczuł się okropnie dezorientowany widząc kobietę wyglądającą dokładnie jak Kit, a jednak zupełnie obcą.

Kiedy on się jej przyglądał, ona próbowała rozbić mu głowę.

Uchylił się odruchowo, jednak nie dość szybko, gdyż dziewczyna zdołała uderzyć go w ramię i wytrącić pistolet. Zwinnie jak kot przygotowała się do następnego uderzenia. Zobaczył przerażenie w jej szarych oczach.

Wycofał się do salonu, tłumacząc natarczywie:

- Kira, odłóż to. Jestem przyjacielem Kit.

Zamarła, zawieszona gdzieś między śmiertelną furią a pełnym nadziei niedowierzaniem.

- Nazywam się Lucien Fairchild. - Mówił wolno i łagodnie, niczym do przestraszonego dziecka. - Kit też gdzieś tu jest. Straciłem ją z oczu szukając ciebie. Chodźmy ją odnaleźć.

- Kit tu jest? - zapytała Kira drżącym głosem.

- Zgubiłem z nią kontakt w tej sieci tuneli, ale nie mogła odejść daleko. - Postąpił krok do przodu i wyjął ciężką pałkę z jej bezwładnej dłoni. Przez chwilę pocierała skronie dokładnie tak, jak robiła to Kit.

- Ja... przepraszam, że cię uderzyłam - powiedziała załamującym się głosem. - Myślałam, że to lord Mace.

- To Mace cię porwał? Kiwnęła głową.

- Widział mnie na scenie i całkiem oszalał. Kiedy odmówiłam zostania jego kochanką, porwał mnie po jednym z przedstawień. Od tamtej pory zmusza mnie do... do...

Przerwał jej, żeby znowu się nie załamała. Choć zdawało się, że nie odniosła żadnych fizycznych obrażeń, miesiące spędzone w zamknięciu sprawiły, że była niezwykle roztrzęsiona.

- Nic nie musisz wyjaśniać. Kit dowiedziała się wszystkiego ze snów o tobie.

To wywołało blady uśmiech na jej twarzy.

- Wiedziałam. Kochana Kit, tylko ona by to potrafiła.

Lucien przyglądał się jej twarzy. Podobieństwo było rzeczywiście uderzające. Ta sama szczupła figura i jasnokasztanowe włosy, te same szare oczy i piękny profil, dzięki któremu kiedyś rozpoznał Kit.

Ale były także i różnice. Twarz i wargi Kiry były nieco pełniejsze. Temperament też był inny.

No i nigdy nie widział Kit w krótkiej czarnej koronkowej koszulce, pokazującej więcej niż tylko trochę mleczne ciało i wiązanej na skórzane tasiemki. Nigdy też nie przyszło mu do głowy, że Kit mogłaby nosić wysokie do kolan buty z czarnej skóry i czarne jedwabne pończochy. Był jednak przekonany, że jego ukochana wyglądałaby równie olśniewająco, jak jej siostra.

Widząc sposób, w jaki Lucien się jej przygląda, Kira odezwała się cierpko:

- Przysięgam, że gdy tylko wrócę do domu, będę szczęśliwa nosząc do końca życia białe muśliny.

Lucien uśmiechnął się. Najwyraźniej Kira odzyskiwała pewność siebie.

- Masz tu jakiś płaszcz? Pogoda jest paskudna, a mamy przed sobą jeszcze kilka mil drogi powrotnej do domu.

Bez słowa wyszła do sąsiedniego pokoju i wróciła z sobolowym futrem bardziej pasującym do rosyjskiej księżniczki. Zarzucając je na ramiona, przyjrzała się Lucienowi tak dokładnie, jak on się jej przypatrywał przed minutą.

- Czy to dzięki tobie moja siostra była ostatnio tak szczęśliwa? Zaskoczony zapytał:

- Mam nadzieję. Czy ty także potrafisz wyczuwać jej uczucia, tak jak ona twoje?

- Nie tak dobrze jak ona, lecz zazwyczaj wyczuwam, co się z nią dzieje. Ostatnio była strasznie zmartwiona, zdaje się że z mojego powodu, lecz bywały też chwile, gdy czuła się bardzo szczęśliwa.

Interesujące, bardzo interesujące. Odkładając te myśli na trochę stosowniejszą chwilę, zapytał:

- Czy chcesz wziąć z sobą coś jeszcze? Im szybciej stąd wyjdziemy i znajdziemy Kit, tym lepiej. Niestety Wyznawcy mają dziś jedną ze swych niesławnych ceremonii i odkryli, że się tu wdarliśmy.

Kira pobladła i Lucien zobaczył, że strach dziewczyny tylko na chwilę skrył się pod cienką warstewką ulgi.

- Gdy Mace odwiedził mnie tu ostatnio, wyjaśnił mi, że będę główną atrakcją w czasie

rytualnego zbiorowego gwałtu przeprowadzonego przez Wyznawców - powiedziała załamującym się głosem. - Potem miała nastąpić nieco bardziej prywatna ceremonia... dla niego i jego najbliższych przyjaciół. Odkąd mnie porwał, cały czas czekał właśnie na ten moment. Choć uwielbiał grać mojego niewolnika, marzy o tym, by mnie zabić.

Lucien spojrzał jej w oczy.

- Trzymaj się, Kiro - rzekł z ogromną mocą. - Nie możesz się teraz załamać.

Dziewczyna zamknęła oczy, a po chwili znowu je otworzyła. Już nie drżała.

- Dam sobie radę. - Uśmiechnęła się ponuro i odsunęła włosy z czoła gestem, którego nigdy nie widział u Kit. - Nie ma tu nic, czego mogłabym chcieć. Może poza...

Przeszła do jednej z szafek i otworzyła ją. W środku znajdowały się baty, różnej wielkości i różnego kształtu. Wyjęła największy.

To na wypadek, gdybym potrzebowała jakiejś broni - wyjaśniła. Lucien sięgnął po pistolet i wyprowadził ją z pokoju. W pokoju strażnika odwrócił się do dziewczyny i powiedział:

- Przyszedłem stamtąd, lecz nie jestem pewien, czy zdołamy wrócić tą samą drogą. Po pierwsze krata blokuje wyjście, a po drugie Kit też jest gdzieś po tej stronie. Wiesz może, dokąd prowadzi ten drugi korytarz?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, lecz możemy sprawdzić. - Wzruszyła ramionami.

Weszli do szerokiego korytarza. Lucien miał nadzieję, że szybko znajdą Kit, gdyż gdzieś w sercu czuł, że niebezpieczeństwo zbliża się z minuty na minutę.

Dobrze, że przeciwnicy już się wycofywali, bo dym stał się tak gęsty, że Michael po raz pierwszy w życiu nie był w stanie strzelać. Kiedy już wreszcie zdołał wydobyć głos z gardła, wykrztusił:

- Bliskie dystanse są okropne... wołałbym stanąć z nieprzyjacielem na otwartym polu...

- A ja wolę strzelanie z działa na pokładzie statku. - Jason ponownie załadował pistolety. - Mnóstwo świeżego powietrza, no i wróg trzyma się w odpowiedniej odległości. Może tak byśmy się wycofali, zanim tu wrócą z posiłkami?

- Doskonały pomysł. - Po następnym napadzie kaszlu Michael wykrztusił: - Chodźmy z powrotem na galerię. Z tyłu widziałem tam drzwi, które mogą prowadzić dołem na drugą stronę kraty.

Poruszając się jak najszybciej, wrócili do miejsca, gdzie korytarze się rozchodziły. Właśnie dotarli do schodów, gdy usłyszeli wściekłe głosy. Strażnicy planowali następny atak. Ponieważ z przeciwnej strony była sala wypełniona Wyznawcami, pobiegli w kierunku korytarza, który był przedłużeniem tego, z którego dopiero co wyszli.

Kiedy już wreszcie znaleźli się w bezpiecznej odległości od strażników, zatrzymali się, by się zastanowić, co robić dalej.

- Może jednak pójdziemy schodami? - zaproponował Jason. - Coś mi się zdaje, że bez trudu pokonamy tę bandę.

- Najprawdopodobniej - zgodził się Michael. - Ale przybyliśmy tu, by wyratować pewną damę, a nie rozpętać wojnę. Najpierw zobaczmy, dokąd prowadzi ten tunel. Czuję lekki powiew, więc z pewnością nie jest to ślepy zaułek. Jeżeli dopisze nam szczęście, niedługo odnajdziemy Luciena i nasze damy.. To miejsce przypomina labirynt, ale nie może być zbyt duże.

Jason skinął głową i poszli przed siebie, niosąc jedyną latarnię, która przetrwała atak. Tak jak Michael podejrzewał, korytarz wkrótce zawrócił, tak że właściwie zmierzali w kierunku, z którego przyszli. Miękkie ściany i sufit podierały drewniane stemple. Jako właściciel kopalń, Michael natychmiast rozpoznał konstrukcję. Ściany tu musiały być wyjątkowo sypkie, gdyż nawet na podłodze leżały grube deski.

Nagle zmarszczył czoło. W stemplu tuż przed nimi było coś dziwnego...

Przyglądał mu się na tyle bacznie, że zauważył błysk stali, kiedy coś zaczęło zbliżać się do nich z niesamowitą prędkością. Było na wysokości ich głów...

- Padnij! - wrzasnął, padając na podłogę.

Amerikanin poszedł za jego przykładem bez chwili zastanowienia. Gdyby zawahał się choć na moment, rozpedzone ostrze pozbawiłoby go głowy. Śmiercionośne narzędzie ustawione równolegle do podłogi wyglądało na gigantyczną kosę, wystarczająco ostrą, by rozpruć człowieka na dwoje.

- Jezu Chryste! - sapnął Jason. - W tym miejscu aż roi się od pułapek. Ale jak udało nam się to uruchomić?

Michael przyglądał się, jak ostrze zwalnia i z powrotem chowa się do ściany. Musiało być napędzane ogromną sprężyną umieszczoną pod deskami podłogi.

- Te deski nie zostały położone na podłodze dla zakrycia dziur, lecz dla zamaskowania mechanizmu. Zdawało mi się, że ta jasna deska poruszyła się nieco, gdy na nią nastąpiłem.

Przycisnął ją piętą lewej nogi i nad ich głowami ponownie rozległ się złowieszczy świst, gdy ostrze przecięło powietrze. Kiedy już schowało się z powrotem do ściany, Michael odezwał się zamyślonym głosem:

- Ktoś, kto wymyślił te mechanizmy, musiał zrobić spusty na tyle widoczne, by samemu się nie złapać we własną pułapkę. Jeżeli będziemy szli wystarczająco ostrożnie, powinno się nam udać je ominąć. - Chciałbym podzielać twój niezwykły entuzjazm dla możliwości naszych umysłów. - Jason wstał ostrożnie na nogi i spojrzał na jasną deskę w podłodze. - Forsowanie blokady nigdy nie było aż tak niebezpieczne.

- Jedno, co lubię w Lucienie, to to, że życie w jego towarzystwie nigdy nie jest nudne. - Michael wstał i uniósł latarnię, która po raz kolejny uniknęła stłuczenia. - Chodźmy zobaczyć, co leży przed nami.

Jason Travers zsalutował mu.

Kit starała się odciągnąć chwilę ponownego spotkania z Mace'em tak długo, jak mogła, lecz pojawił się, zanim jeszcze zdążyła się do końca przebrać. Widząc jego groźną minę, Kit pospiesznie naciągnęła wysokie buty na obleczone w czarne pończochy nogi. Nie ośmieliła się zbyt go prowokować. Może i lubił, jak się go poniżało, lecz teraz miał minę, jakby się szykował do bezpardonowego gwałtu.

Kiedy dziewczyna wstała, rozkazał:

- Obróć się dokoła.

Usłuchała go; poruszała się powoli w obawie, że szybkie ruchy mogą jeszcze bardziej wyeksponować jej ciało. Kostium, który miała na sobie, był już i tak wystarczająco nieprzyzwoity. Z przodu materiał był rozcięty aż do pasa i tylko skórzane paseczki trzymały go na ciele dziewczyny. Całość bardziej eksponowała, niż zakrywała piersi i brzuch. Podobne



rozcięcia odsłaniały jasną skórę pleców. Kit czuła się bardziej naga, niż gdyby nie miała na sobie ubrania.

Mace przyglądał się jasnemu motylkowi widocznemu przez koronkę pończochy.

- Cudownie! Nawet tatuaż jest taki sam. Ale za luźno zasznurowałaś tasiemki. Sam je zacisnę.

Kit spróbowała się wycofać, lecz Mace natychmiast wyciągnął nóż z pochwy u pasa i przyłożył go jej do gardła.

- Stój spokojnie - wysyczał.

Z jakiegoś dziwnego powodu, może dlatego, że mógł ciąć i ranić, nóż wydawał się dziewczynie o wiele groźniejszy niż pistolet. Kit stała bardzo spokojnie, podczas gdy on schował nóż i złapawszy rzemyki, zacisnął je przy piersiach. Ścisnął materiał tak mocno, że przez cieniutką koronkę było widać sutki. Dziewczyna ledwo mogła oddychać i nie miała wątpliwości, że mocno zaciśnięte rzemienie pozostawia czerwone ślady na jej skórze, to znaczy jeśli pożyje wystarczająco długo.

- A jednak z pewnością nie jesteście całkiem identyczne. - Zawiązał kokardkę na rzemykach i cofnąwszy się o krok, zaczął wodzić dłońmi po jej delikatnie zaokrąglonym ciele. - Zanim z wami skończę, sam odkryję różnice. Skoro twoja siostra jest tą złą bliźniaczką, podejrzewam, że ty jesteś dobra. - Uszczypnął jej sutki z okrutną siłą. - To jest jeszcze bardziej podniecające, niż myślałem.

Kit zagryzła wargi, by nie jęknąć z bólu. Nie da mu tej satysfakcji. Mace wreszcie się odsunął.

- No dobrze, później - rzekł z wyraźnym żalem. - Chodźmy teraz po Cassie numer jeden.

Związał jej ręce na plecach wstążką o odcieniu szkarłatu przypominającego krew. Potem skinął pistoletem dając jej znać, że ma iść przed nim.

Cała świątynia była mnóstwem podziemnych korytarzy. Przypominała zajęczą norę. Skręciwszy kilka razy, doszli do jasno oświetlonej komnaty, gdzie na podłodze leżał związany strażnik.

- Cholerny idiota! - zawołał Mace z twarzą pociemniałą z gniewu.

Nie puszczając Kit, otworzył ciężkie drzwi i wszedł do pokoju, ciągnąc dziewczynę za sobą. Od razu poczuła, że te pokoje były więzieniem jej siostry; czuła jeszcze jej obecność. Jednak teraz już jej tu nie było; najwyraźniej Lucien ją odnalazł. Kit roześmiałaby się z ulgi, gdyby się nie bała, że spowoduje tym wybuch złości Mace'a.

Zaklął szpetnie i warknął:

- Zabiorę cię do sanktuarium. Mci koledzy zabawią się z tobą, podczas gdy ja poszukam twojej siostry. A teraz rusz się! - Szturchnął ją pistoletem w zębra.

Podczas koszmarnej drogi do sanktuarium Mace nie dał jej najmniejszej szansy na ucieczkę. Kiedy zbliżali się do wielkiej komnaty, dziewczyna usłyszała gwar podnieconych głosów. Gdy tylko tam weszli, wszystkie rozmowy natychmiast ucichły. Każdy z obecnych mężczyzn gapił się na Kit. Chciała zapaść się pod ziemię albo przynajmniej zakryć się rękoma. Było to niemożliwe, pomyślała więc o sztuce, którą kiedyś widziała. O sztuce o Annie Boleyn, idącej na szafot z niezmaconą godnością.

Zamknęła się w sobie tak mocno, jak tylko potrafiła, jak gdyby była właśnie na scenie. To nie działo się naprawdę. To było tylko przedstawienie. Z wysoko podniesioną głową podeszła do ołtarza. Dwa płonące ogniska doskonale ogrzewały pomieszczenie, co zważywszy na jej skąpy kostium było niewątpliwie przyjemne. Poza tym, Kit nie była w stanie dostrzec nic przyjemnego.

Szła między posągami wojowników. Z bliska wydawały się jeszcze większe. Kit przeszła między indiańskim wojownikiem trzymającym dzidę a potężnym krzyżowcem, nawet na nich nie patrząc. Jednak nie potrafiła zignorować mężczyzn w szkarłatnych szatach, którzy przyglądali się jej pożądliwymi oczyma i wymieniali między sobą obsceniczne uwagi. Co gorsza, niektórzy z nich śmieli dotykać jej w najbardziej odrażający sposób, jaki mogła sobie wyobrazić. Jednak szła naprzód, nie zwracając na nich uwagi, z oczyma utkwionymi w stojącym przed nią ołtarzu.

Wszyscy jej główni podejrzani zgromadzili się z przodu grupki. Pozostali byli zwykłymi Hellionami, lecz żaden z nich nie wydawał się jej nadzwyczaj niebezpieczny, gdy zastanawiała się nad nimi wcześniej. Teraz wiedziała, że miała rację - byli tylko pomocnikami. Całe zło pochodziło od przywódców - mieli je wryte w twarzach.

Lord Nunfield i Roderick Harford przyglądali się jej z obleśnym pożądaniem.

- Więc udało ci się zaangażować samą Cassie James - powiedział przeciągając słowa Chiswick. - Wspaniale, Mace. Ona podnieciłaby nawet górę lodową.

- Osobiście wolę, kiedy kobiety mają na sobie nieco więcej mięska, lecz z drugiej strony jeszcze nigdy nie poświęcaliśmy nikogo o tak wspaniałych osiągnięciach artystycznych - rzekł radośnie Nunfield.

- Jest nawet lepiej, niż przypuszczacie panowie - oświadczył Mace z dumą w głosie. - To nie jest Cassie James, lecz jej identyczna siostra bliźniaczka. Z pewnością każdy z was zawsze marzył, by posiadać bliźniaczki, równie piękne i równie bezbronne. - W jego ciemnych oczach zabłyszczało szaleństwo. - Prawdziwa Cassie gdzieś się nam zagubiła w korytarzach,

muszę iść jej poszukać.

To wywołało powódź komentarzy. Kit zauważyła, że każdy z mężczyzn ma przy sobie zakrzywiony nóż. Zastanawiała się, czy użyją ich do zabicia jej?

Mace kiwnął ręką na brata.

- Popilnuj tej, a ja poszukam drugiej - powiedział po cichu. Harford uniósł brwi.

- Już ją gdzieś widziałem. - Klasnął w dłonie. - To ta mała dziewczka usiłowała mnie okraść na balu!

- Doprawdy? - Mace spojrzał na Kit z szacunkiem. - Więc wkradłaś się do Blackwell Abbey w poszukiwaniu siostry? Jesteś naprawdę odważną dziewczką. - Zwracając się znów do brata, dodał: - Przyszedł z nią Strathmore i zdaje się, że uwolnił jej siostrę. Czy udało się wam wyeliminować dwóch pozostałych?

Harford skrzywił się.

- Obawiam się, że nie... strażnicy wpadli w panikę, gdy zaczęła się strzelanina, a kiedy usiłowali się pozbierać do kupy, pomocnicy Strathmore'a uciekli. Ścigamy ich, lecz może jeszcze trochę potrwać, zanim ich zgładzimy.

Mace zmarszczył brwi.

- Będę się za nimi rozglądał, kiedy pójdę po Strathmore'a i tę drugą dziewczkę. Nie znają tych korytarzy, więc szybko ich znajdę. A kiedy już ich spotkam, jego pozbędę się jak najszybciej, a ją przyprowadzę na naszą małą ceremonię.

Kit z radością przekonała się, że Mace jest następnym człowiekiem, który nie docenia Luciena, chociaż niewątpliwie miał nad nim przewagę, doskonale znając teren, na którym przyszło im się poruszać.

Skoncentrowała się, by nawiązać kontakt z siostrą i w tej samej chwili jej serce przeszył lęk.

Lucien i Kira byli blisko, niebezpiecznie blisko...

Zakręty korytarzy były wyjątkowo uciążliwe i mylące. Kiedy szukali wyjścia z kolejnego tunelu, Lucien czuł, że wzbiera w nim niepokój. Nagle Kira zatrzymała się jak wryta z okropnie pobladłą twarzą. - Dobry Boże, on ma Kit!

Jej słowa tylko potwierdziły najgorsze podejrzenia Luciena.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej. - Kira wskazała przed siebie, potem na prawo. Coś załamało się w jej twarzy i łzy zabłysły w oczach - Gdzieś tam. Jest śmiertelnie wystraszona.

To samo zmieszanie, które tak często widział na twarzy Kit, tym razem zasnuwało oblicze Kiry. Wiedząc, że musi ją przywołać, zanim całkiem wpadnie w trans, zapytał:

- Czy stało się jej coś złego?

- Chyba nie. - Kira odetchnęła głęboko, a spokój znowu wrócił na jej twarz. - To moja wina, że Kit znalazła się w niebezpieczeństwie. Gdybym nie zaczęła występować na scenie, nic by się nie wydarzyło. Kit miała rację, że się sprzeciwiała... miała rację, jak zawsze.

Lucien ujął ją za łokieć, mówiąc pewnym głosem:

- Później możesz mieć wyrzuty sumienia, ile ci się żywnie podoba. Teraz jednak musimy znaleźć Kit i wydostać ją z rąk Mace'a.

Zdobywając się na nadludzki wysiłek, Kira skoncentrowała się i ruszyła naprzód. Nie wystarczyło wiedzieć, gdzie znajduje się Kit, trzeba jeszcze było znać drogę. Korytarze skręcały i prowadziły do ślepych zaułków, gdzie widać było tylko pobielające kości. Żadne z nich nie odzywało się ani słowem, gdyż Kira potrzebowała jak największej koncentracji, by odnaleźć siostrę.

Wreszcie dotarli do jaśniejszego pasażu, a gdy skręcili za następny róg, ich oczom ukazała się ogromna zasłona. Po drugiej stronie było jaśniej i słychać było niecierpliwe głosy. Lucien zatrzymał się.

- Zdaje się, że odnaleźliśmy sanktuarium Mace'a i jego zboczonych kompanów. Poczekaj tu, a ja pójde zobaczyć, co się dzieje.

Kira zagryzła wargi.

- Gdzieś tam jest Kit.

- Tak, ale niekoniecznie w samym sanktuarium - powiedział prowadząc ją z powrotem za róg. - Jeżeli jej tam nie ma, bezpieczniej będzie poszukać innej drogi. Poczekaj tu i nigdzie nie odchodź. - Nie chciał zostawiać jej samej, lecz jeżeliby go schwytano, miałyby jeszcze szansę uciec w głąb tuneli. Przypomniawszy sobie, jak Kit mówiła, że siostra doskonale strzela, odwrócił się i dał jej pistolet, który zabrał strażnikowi.

- Przez te parę minut, gdy mnie nie będzie, nic ci się nie powinno stać, lecz weź to. Na wszelki wypadek.

Dziewczyna kiwnęła głową i wkładając bat pod pachę, z wyraźną ulgą wzięła pistolet. Kiedy sprawnie przełamała broń, by zobaczyć, czy w lufie jest nabój, rzekła spokojnie:

- Dobrze jest mieć broń w ręku po tylu miesiącach bezradności. Czując, że dziewczynie nic nie grozi, Lucien wrócił za załom korytarza i cicho przysunął się do zasłony. Rozsunął ją nieco i spojrzał przez szparę. Jak się domyślał, było to sanktuarium, pełne posągów wojowników, płonących ognisk i odzianych w szkarłat Wyznawców. Natychmiast zauważył Mace'a, stojącego nieco na uboczu.

Jeżeli był tu Mace, to musiała być i Kit. Przyjrzał się uważniej stojącym w kręgu

postaciom i zobaczył ją stojącą obok Rodericka Harforda, który trzymał zakrzywiony nóż tuż przy jej piersi. Choć dziewczyna ubrana była w dokładnie taki sam kostium co Kira, wyglądała tak dumnie, jak sama Maria Antonina pośród wieśniaków.

Ten widok wywołał w nim morderczą furię. Chciał się rzucić i rozedrzeć na strzępy każdego obecnego w pokoju mężczyznę. Przypominając sobie, że bezmyślna wściekłość nic nie pomoże, zdusił furię i rozważył możliwości.

W sanktuarium było kilkunastu mężczyzn, uzbrojonych w pistolety i noże. Choć może nie wszyscy zdawali sobie sprawę z nikczemności Mace'a, nie mógł liczyć na sprzymierzeńców. Błyskawicznie doszedł do wniosku, że na razie, nic nie może zrobić, by ocalić Kit.

Intuicja podpowiedziała mu, że im dłużej dziewczyna jest w rękach Mace'a i Harforda, tym większe grozi jej niebezpieczeństwo. Powinien więc działać natychmiast. Szkoda, że nie było tu Michaela i Jasona, lecz nie śmiał tracić czasu na ich poszukiwania.

Była nadzieja - mała, lecz lepsza niż żadna - że zdoła uwolnić Kit w brawurowej akcji. Z pistoletem w dłoni odepchnął zasłonę i wstąpił w krąg światła. Wznosząc głos tak, by słyszać go było wyraźnie w całej komnacie, wrzasnął:

- Puść ją, Harford! Wszyscy się odwrócili i spojrzeli na niego z niedowierzaniem. Kit popatrzyła mu w oczy z ulgą. Miał nadzieję, że jej nie zawiedzie.

- Aaa, Lucyfer! Jak miło, że zdażyłeś - zawołał jowialnie Mace szybko otrząsając się z szoku. - Obawiałem się, że przez tę okropną pogodę nie dotrzesz tu na czas. Już myślałem, że będę musiał prosić kogoś o odegranie twojej roli. - Podchodził coraz bliżej do ołtarza.

- Przestań udawać - odrzekł spokojnie Lucien. - To nie żadna gra, tylko zbrodnia. Jeżeli natychmiast nie uwolnisz dziewczyny albo ty, albo twój brat umrzecie.

Z płonącymi wściekłością oczami Mace ryknął:

- Nadszedł czas, by zamknąć krąg!

To mówiąc pochylił się i nacisnął dźwignię znajdującą się tuż przy ołtarzu.

I wtedy posągi wojowników ożyły.

Komnatę wypełniło szuranie i zgrzyt metalowych przekładni oraz syk pary. Natychmiast metalowe posągi zostały zamienione w grupę antycznych, ogromnych wojowników, wymachujących z niesamowitą siłą śmiercionośnymi narzędziami.

Gladiator spuścił miecz z diaboliczną siłą, wiking zaczął wymachiwać bojowym toporem, a średniowieczny rycerz - tuż obok Luciena - ciął powietrze mieczem.

Lucien w ostatniej chwili zdążył uskoczyć.

Mace wybuchnął opętańczym śmiechem, jak gdyby okropna pułapka była niezwykle zabawnym dowcipem.

- Ty najbardziej ze wszystkich, Lucyferze, powinieneś docenić moich wojowników napędzanych parą wodną - zawołał. - Nigdy, w całej historii ludzkości, nikt nie wymyślił nic podobnego.

Wycofując się pospiesznie, Lucien kłął w duchu. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego jest tak duszno, i co jest źródłem tych dziwnych dźwięków. Najprawdopodobniej gdzieś za ścianą ukryty był ogromny kocioł parowy, a rurki doprowadzające napęd do wojowników ukryto pod podłogą. Każda z broni śmigła po półkolu w górę i w dół. Każde pojedyncze ostrze dałoby się ominąć, jednak zasięg broni poszczególnych wojowników nachodził na siebie, czasem na wysokości głowy człowieka, czasem o wiele niżej.

Całość zupełnie blokowała dostęp do środka okręgu. Obejście miecza rycerza natychmiast zaprowadziłoby go w pole rażenia topora wikinga z jednej lub płaskiej szabli Turka - z drugiej strony. Konstrukcja była genialna i Lucien przeklął w duchu swego przeciwnika za wymyślenie czegoś równie diabelskiego i nie do pokonania.

- Bardzo sprytnie, Mace. Ale strzelanie między posągami wcale nie będzie dla mnie zbyt trudne. Wypuść ją!

- Czyżbyś chciał zobaczyć krew, Lucyferze? Jeżeli nie będziesz mnie słuchać, popłynie krew dziewczyny. - Mace skinął dłonią na brata.

Z okrucieństwem jasno wypisanym na twarzy Harford delikatnie przeciągnął nożem po białej skórze dziewczyny tuż poniżej szyi. Szkarłatne kropelki krwi natychmiast pojawiły się na całej długości cięcia. Kit jęknęła cicho, lecz natychmiast zdusiła ten dźwięk.

Lucien poczuł, że blednie. Błysk w oczach Mace'a potwierdził słowa Kiry: od dawna musiał czekać na wyzwolenie żądzy zemsty i seksualnego spełnienia. Harford musiał być równie szalony, jak jego brat, gdyż Lucien wyczuwał w powietrzu niebezpieczeństwo, coś na kształt napięcia pojawiającego się czasem przed burzą. Pod byle pozorem, bez zastanowienia,

ten zboczeniec podetnie Kit gardło.

- Znaleźliśmy się w martwym punkcie, nie uważasz? - zapytał Mace uprzejmym tonem. - Jeżeli zależy ci na życiu tej fałszywej małej aktoreczki, rzuć broń.

Z obrzydzeniem wzbierającym w gardle, Lucien zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Mógłby zastrzelić Mace'a albo Harforda, lecz nigdy obu. Pozostawienie jednego przy życiu byłoby wyrokiem śmierci na Kit, gdyż obaj bracia byli zdolni do zabicia jej z zimną krwią.

Choć ani za grosz nie ufał zapewnieniom Mace'a, miał niejaką nadzieję, że obecność tyłu świadków powstrzyma jego najgorsze instynkty, przynajmniej na trochę. Z tego, co mówiła Kira, wynikało, że nie wszyscy Wyznawcy są mordercami. Z kamienną twarzą rzucił pistolet na ziemię.

Wtedy właśnie zauważył drobny ruch na galerii. Spojrzał w górę, nie podnosząc głowy, i zauważył wchodzących z korytarza Michaela i Jasona. Momentalnie orientując się w sytuacji Michael wycelował broń w głowę Harforda i popatrzył na Luciena, czekając na jego sygnał.

Kiedy Michael pociągnie za cyngiel, Harford padnie trupem. Jednak Lucien będzie musiał jeszcze podnieść swój pistolet i zająć się Mace'em, gdyż Jason był za daleko i w niewygodnej pozycji do strzału. To będzie bardzo ryzykowne - lecz o wiele mniej niebezpieczne niż pozostawianie Kit w rękach dwóch szaleńców.

Kiedy rozpocznie się strzelanina, wszystko może się zdarzyć. Dzięki Bogu Kit była wystarczająco odważna i rozsądna, by reagować błyskawicznie. Skupiając się z okrutną furją, Lucien starał się przesłać jej ostrzeżenie, by miała się na baczności. Patrzyła na niego z pobladłą twarzą, lecz w jej przerażonych oczach dostrzegł zrozumienie.

Modląc się, by Michael nie chybił, Lucien spojrział w górę i skinął głową.

Broń Michaela zagrzmiała z ogłuszającą mocą, tak że zadrżały ściany. Tymczasem Lucien sięgnął po pistolet. Roderick Harford wrzasnął i zwinął się, po czym padł na podłogę. Kit odsunęła się jak najdalej.

Nie podnosząc się na nogi, Lucien wypalił w stronę Mace'a, lecz ten skorzystał z drobnej chwili przerwy, by skryć się za ołtarzem. Zanim Lucien zdążył załadować broń, rozległ się krzyk Kiry:

- Kit!

Tak się bał o życie Kit, że zupełnie zapomniał o jej siostrze. Teraz, przyciągnięta odgłosem strzałów, Kira wpadła do komnaty. Spoglądając przez ramię zobaczył, że dziewczyna jest tylko kilka jardów za nim, z przerażonymi oczyma utkwionymi w siostrze.

Kit obróciła się gwałtownie na pięcie i patrzyła na nią oczyma pełnymi łez.

- Kira!

Z własnego doświadczenia wiedział, że rozdzielone siłą dziewczęta tak bardzo chciały być teraz razem, że nic nie było im w stanie przeszkodzić. Cały świat mógłby przestać istnieć i nie miałyby to dla nich znaczenia.

Mimo to był zaskoczony, gdy obie ruszyły do siebie biegiem. Kira upuściła bat i sobolowe futro i rzuciła się w sam środek mechanicznych wojowników. Bezpiecznie uniknęła ciosu spadającego miecza, lecz Lucien zamarł widząc, że zbliża się do opadającego bojowego topora. Padła na podłogę i prześlizgnęła się pod nim. Przez chwilę miał okropne przeczucie, że ostrze spadnie jej na plecy, przecinając ją na dwoje, lecz na szczęście była wystarczająco szczupła i zwinna, by się wydostać.

Do tej pory szło jej dobrze, lecz nie miała szans uniknięcia szabli Turka. Lucien złapał bat, który zostawiła, i ze wszystkich sił zamachnął się nim na mechaniczny posąg. Rzemień zacisnął się dokoła ramienia figury. Napędzany parą mechanizm omal nie wyrwał Lucienowi ramienia ze stawu, lecz on trzymał bat z ponurą determinacją. Z żalonym zgrzytem metalu ramię Turka zwolniło na tyle, że Kira zdołała przemknąć się pod opadającą bronią.

Kiedy Kira podjęła swą szaloną wędrówkę, Kit umknęła Nunfieldowi, szarpiąc swe więzy. Zdołała uwolnić nadgarstki w samą porę, by paść w objęcia siostry. Zarzuciły sobie ramiona na szyję i ścisnęły się pośrodku chaosu.

Nunfield podniósł pistolet i z morderczą furią na twarzy wymierzył z niego w kierunku dwóch kobiet. Z dzikim przerażeniem Lucien zaczął ładować pistolet modląc się w duchu, by tamten za pierwszym razem chybił.

Jego uwagę przyciągnął ruch gdzieś w górze. Zerknął tam i zorientował się, że to Michael i Travers biegną galerią w stronę liny wiszącej z kandelabru na suficie. Lina służyła do opuszczania kandelabru do czyszczenia lub uzupełniania nowymi świecami, jednak Jason znalazł dla niej nowe, śmiertcionośne zastosowanie. Trzymając się jej mocno, skoczył na balustradę, a potem na podłogę komnaty, niczym anioł zemsty we własnej osobie.

Pod wpływem jego ciężaru kandelabr uniósł się i z wielkim impetem uderzył w sufit. Płonące świece poleciały na stojących poniżej Wyznawców. Kiedy tylko Jason wypuścił linę z rąk, kandelabr spadł, nieomal trafiając w Mace'a, nadal kryjącego się za ołtarzem. Gdy uderzył w podłogę, wszystkie świece zgasły i komnatę oświetlały tylko dwa płonące ogniska.

Łądując na ziemi, Jason odwrócił się i wypalił z pistoletu w Nunfielda, trafiając go pierwszym strzałem. Zanim jeszcze martwy przeciwnik padł na podłogę, Jason chwycił dźwignię zatrzymującą posągi i nacisnął.

W martwej ciszy, która nastąpiła, zawołał ochryple:



- Kira?

Podniosła wzrok i pobladła. Powoli, jakby nie wierząc własnym oczom, oderwała się od siostry i podeszła do niego. Niepewnie podniosła dłoń, chcąc go dotknąć, upewnić się, że to naprawdę on. Jason złapał jej rękę i przyciągnął dziewczynę do siebie. Przytuliła twarz do jego piersi drżąc na całym ciele. Lucien zauważył ich radosne powitanie w drodze do ołtarza. Lecz Mace nadal był wolny, uzbrojony i groźny. Z pistoletem w dłoni Lucien zaczął okrążyć ołtarz.

- Lubilem cię, Strathmore - rzekł Mace z groźnym spokojem wychodząc mu nagle naprzeciw z pistoletem wycelowanym prosto w serce Luciena. - Jesteś nieomal tak sprytny jak ja. Szkoda tylko, że jesteś takim cholernym purytaninem.

Bardziej doświadczony niż przeciwnik, Lucien nie tracił czasu na czcze słowa. Padając na bok, pociągnął za spust; pistolet nie wypalił. Na szczęście zdołał uniknąć śmiertelnego strzału. Kula przemknęła mu tuż obok ucha, ogłuszając go, lecz nie czyniąc większej szkody.

Klnąc okropnie, Mace sięgnął po nóż. Usiłując odzyskać równowagę, Lucien zdał sobie sprawę, że skreślił sobie tę przeklętą kostkę. Kiedy znów padał na kolana, Mace przysunął się do niego. Na ostrzu noża zalśniły płomienie ogniska.

Kąciem oka Lucien zobaczył, że Kira wrywa się Jasonowi. Uniosła pistolet, który jej dał - gdzie ona u diabła go ukryła w swym skąpym kostiumie? - i wymierzyła w Mace'a. W oczach miała przerażenie, a jednak ręce jej nie drżały, kiedy odciągała kurek... i nie chybiła.

Kula trafiła Mace'a prosto w pierś. Sapnął z niedowierzaniem, a potem powoli padł na podłogę ze wzrokiem utkwionym w Kirę. W końcu wyszeptał ochryple:

- Byłaś najlepsza, o pani. Szkoda, że...

Potem zamknął oczy i umarł. Cała akcja, której efektem była śmierć trzech mężczyzn, nie trwała dłużej niż dwie minuty.

Przez długą chwilę Kira przyglądała się Mace'owi. Na jej twarzy malowała się wściekłość i triumf kobiety, która wreszcie, po długich miesiącach piekła bezbronności, wzięła sprawy w swoje ręce.

Powoli jednak na jej twarz znów zaczęło wracać przerażenie. Odgadując, co dziewczyna musi teraz przeżywać, Lucien pokuśtykał do niej i objął ją w braterskim uścisku.

- Dziękuję, Kiro - rzekł łagodnie. - Jesteś dokładnie taka, jak mówiła mi Kit.

Choć spotkał ją zaledwie pół godziny wcześniej, zdawało się, że znają się od lat. Właśnie rozglądał się za Kit, gdy zobaczył, że niebezpieczeństwo wcale jeszcze nie minęło.

Większość z ocalałych Wyznawców stała w okręgu zszokowana. Wszyscy, oprócz lorda Chiswicka. W zamieszaniu, które nastąpiło po śmierci Mace'a, wpadł za ołtarz i wyciągnął pistolet. Spoglądając na galerię, gdzie nadal stał Michael, wymierzył w Luciena.

- Czyś ty oszalał, Strathmore? - wrzasnął. - Czy naprawdę sądzisz, że pozwolimy się spokojnie zaszlachtować?

- Odsuń się ode mnie, Kiro - rzekł Lucien bardzo cicho. Kiedy dziewczyna usuwała się z linii strzału, opuścił bezużyteczny pistolet na podłogę i uniósł ręce na tyle, by Chiswick zobaczył, że są puste.

Wysoko nad nimi Michael popędził wzdłuż galerii, by znaleźć miejsce dobre do strzału, tak by ołtarz nie zasłaniał mu widoku. Jednak coś w głosie Chiswicka sugerowało, że bitwa już się skończyła.

- Czy naprawdę sądzisz, że była to bezsensowna masakra? - zapytał Lucien.

Z pistoletem w drżącej dłoni ocalały Hellion odezwał się z nieprzekonującą nonszalancją.

- Dobry Boże, właśnie mieliśmy zaczynać miłą małą orgię, gdy wpadłeś tu ze swymi przyjaciółmi i zacząłeś strzelać do wszystkiego, co się ruszało.

Michael znalazł sobie odpowiednią pozycję do strzału, lecz Lucien uniósł rękę na znak, by czekał.

- Czyżbyś twierdził, że nie masz pojęcia, iż Mace porwał Cassie James i więził ją tu od dwóch miesięcy? - spytał ostro Chiswicka. - I że zrobi co tylko w jego mocy, by porwać także siostrę panny James? To są fakty... Poza tym Mace przechwalał się swej ofierze, że już nieraz porywał, maltretował i mordował kobiety.

Szczęka Chiswickowi opadła.

- Ależ wszystko ci się pomieszało, Strathmore! - zawołał James Westley. Dziewczeta, które Mace zatrudniał do naszych rytuałów, były pouczone, by walczyć i krzyczeć, udawać, że są brankami. To była część zabawy. Gwałt Sabine i tego typu rzeczy. - Wargi mu drżały. - Myślałem, że bierzesz udział w przedstawieniu, dopóki nie zacząłeś tu wszystkich mordować. Lucien spojrzał twardo na baroneta.

- A skąd wiesz, że dziewczeta tylko udawały, że naprawdę nie były przerażone?

- Myślisz, że naprawdę były...? - Westley nieco poszarzał na twarzy. - Sądziłem, że Mace zatrudnił Cassie James, by zabawiała nas dziś wieczór. Nie byłaby pierwszą aktorką, która sprzedała się za odpowiednią cenę.

Kira uciekła w objęcia Kit, lecz teraz uniosła głowę.

- Mace nie tylko powiedział mi o morderstwach, które popełnił, ale także to, że ja i

moja siostra miałyśmy być następnymi ofiarami - powiedziała gorzko. - Po zbiorowym gwałcie miał zamiar zabrać nas w odosobnione miejsce, gdzie wraz z braćmi zamierzał urządzić sobie własne małe przyjęcie, którego kulminacją miała być nasza śmierć.

To oświadczenie najwyraźniej wstrząsnęło pozostałymi przy życiu Wyznawcami. Chiswick wodził wzrokiem po ciałach Mace'a, Nunfielda i Harforda, a przerażenie w jego oczach nie mogło być udawane.

- Nie miałem pojęcia - powiedział łamiącym się głosem.

- Przysięgam na Boga, że nie miałem o niczym pojęcia.

- Może i nieświadomie, ale swą bezmyślnością i okrucieństwem wszyscy wspieraliście poczynania Mace'a - oświadczyła Kira.

- Pomyśl dobrze i przypomnij sobie pewne fakty... może wtedy łatwiej będzie ci uwierzyć - zaproponował mu Lucien.

Po chwili bolesnego wahania Chiswick kiwnął głową.

- Zawsze miałem wrażenie, że między nimi trzema dzieje się coś dziwnego, ale myślałem, że to tylko rodzinny ekscentryzm.

- Wyprostował się opuszczając pistolet. - Choć czasem zastanawiałem się...

Znalazły się brakujące fragmenty układanki Luciena.

- Czy przyszło ci do głowy, że jeden z nich może być francuskim szpiegiem? - spytał z pewnością w głosie.

Chiswick gwałtownie podniósł głowę.

- Dziwne, że o tym wspominasz. Kiedyś podsłuchałem ich rozmowę i mało brakowało, poszedłbym z tym do odpowiednich władz. Nunfield posiadał informacje, Mace uwielbiał władzę, a Roderick zawsze potrzebował pieniędzy. Ale byli moimi przyjaciółmi i nie miałem ochoty ich oskarżać. Potem wojna się skończyła i sprawa straciła na znaczeniu. Nigdy... nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mogliby kogoś zamordować.

To nawet miało sens. Potem Lucien będzie miał czas, by przepytąć Chiswicka, czy zna jakieś dowody na potwierdzenie winy Mace'a i jego krewnych. Ale i tym razem intuicja go nie zawiodła: Upiorem nie był jeden człowiek, tylko trzech łotrów, którzy teraz leżeli przed nim martwi.

- Myślę, że mieli na sumieniu sporo win - rzekł sucho. - Choć nie tak to planowałem, mam wrażenie, że to, co się tu dziś stało, było raczej wymiarem sprawiedliwości niż rzezią.

Chiswick spojrział na swój pistolet, po czym schował go do pochwy przy pasie.

- Wiesz, nie był nawet naładowany. To tylko część kostiumu. To by wyjaśniało, dlaczego nie zastrzelił Luciena. Poza tym było też dowodem na to, że nie był zamieszany w

knowania pozostałych.

Michael zszedł z galerii, nadal mając się na baczności, lecz już nie tak bojowo nastawiony.

- Czy wszystko poszło po twojej myśli? - zapytał. Lucien położył mu dłoń na ramieniu.

- Tak. Wielkie dzięki, Michaelu. Bóg jeden wie, co by się mogło zdarzyć bez twojego kunsztu wojownika.

Przyjaciel uśmiechnął się do niego.

- Nie ma o czym mówić. Zawsze chętnie służę ci pomocą. - Odsunął się nieco, by przypatrzeć się posągom wojowników.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, Lucien poczuł, że jest fizycznie i psychicznie wycieńczony. Ramię bolało go w miejscu, gdzie Kira go uderzyła nogą stołową, kostka dokuczała mu jak wszyscy diabli, a i długotrwały stres zrobił swoje. Instynktownie odwrócił się do Kit, by ją przytulić.

Była z Kirą. Ich twarze wyglądały jak lustrzane odbicia. Choć bliźniaczki już nie tuliły się do siebie z taką desperacją, widać było, że istnieje między nimi więź wykluczająca wszystko inne na świecie.

- Nic ci nie jest, Kit? - zapytał niby od niechcienia. - Mace nie skrzywdził cię?

Spojrzała na niego szarymi oczyma.

- Nic mi się nie stało, dziękuję. Nie było na to czasu. Gorsza niż jej chłodne słowa była świadomość, że rozmyślnie przecięła ciche więzy, które zaczęły się między nimi tworzyć. Nie zdawał sobie sprawy, jak były mocne, do czasu, aż zniknęły pozostawiając po sobie lodowatą pustkę.

Spełniły się jego najgorsze oczekiwania. Stała się centrum jego istnienia, lecz ledwo go zauważała. Teraz, gdy odzyskała siostrę, już go nie potrzebowała.

Zastanawiał się, gdzie też Jason znajdzie sobie między nimi miejsce. Może nie oczekiwał od Kiry tak wiele jak Lucien od Kit; jeżeli tak, to mógł być szczęśliwy do końca życia, nie zdając sobie sprawy, ile traci. Ale Lucien chciał czegoś więcej i z rozpaczą uświadomił sobie właśnie, że nigdy tego nie otrzyma. Gdyby nalegał, może Kit zgodziłaby się wyjść za niego za męż. Z wdzięczności. Z żadnego innego powodu.

Tłumiąc ból, zanim stanie się nie do zniesienia, odwrócił się do Chiswicka.

- Chyba już pójdziemy. Mógłbyś zająć się tym bałaganem? Byliście częścią tego wszystkiego, w związku z tym to wy macie najwięcej do stracenia.

Chiswick zamyślił się.

- Gdyby zostało ogłoszone, że Mace, Nunfield i Harford zginęli w wypadku spowodowanym złą pogodą, śniegiem i lodem, byłoby to smutne, lecz nie skandaliczne. - Spojrzał na swych przyjaciół. - Zgodzicie się ze mną?

W grupie rozległ się pomruk ulgi. Sądząc po minach Wyznawców, którzy przetrwali tę noc, nie będą mieli ochoty na żadne wybryki przez długi czas.

- A skoro mowa o podróżowaniu - dodał Chiswick. - W moim powozie są specjalne koła umożliwiające bezpieczne poruszanie się po śniegu i lodzie. Chciałbym pożyczyć go paniom na podróż do Londynu. - Spojrzał niespokojnie na Kirę i Kit. - Myślę, że starczy im wrażeń jak na jedną noc.

Lucien przyjął tę propozycję i w przeciągu kwadransa byli już w drodze. Nawet gdy pomagał Kit wsiąść do powozu, nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Nie mogłaby być bardziej zamknięta w sobie, nawet gdyby dopiero co zostali sobie przedstawieni.

Michael powoził, a Lucien i Jason jechali za powozem, prowadząc konie. Deszcz przestał już padać, lecz temperatura spadła zamieniając świat w lodowe królestwo. Lucien nawet nie czuł zimna, które dorównywało chładowi panującemu w jego sercu. Przypomniawsobie dawno minioną noc w Eton, kiedy to postanowił zostać Lucyferem - zimnym, ironicznym i obojętnym... pozostającym daleko od bólu i smutku, szybującym wysoko, niczym chmury na niebie. Zdziałało wtedy - będzie musiało zadziałać i teraz. Przecież miał już za sobą tyle lat praktyki.

Kiedy już zamknął ból w niedostępnym kąciku duszy, poczuł spokój. Choć Kit wymknęła mu się zabierając ze sobą jego marzenia o szczęściu, tej nocy znalazł odkupienie. Naprawił choć trochę zła, jakie wyrządził, nie mogąc uratować własnej siostry.

Z początku Kit i Kira nawet ze sobą nie rozmawiały. Wystarczało im, że trzymają się za ręce, kiedy powóz jechał przez oblodzone pola do Londynu. Kit nie próbowała odnaleźć swego ubrania w korytarzach podziemnego królestwa Mace'a i skryła swój bezwstydną kostium pod płaszczem, który dał jej Chiswick. Jego cyniczna obojętność zniknęła; Kit uznała, że chce zapewne naprawić nieco szkód, które wyrządził swą bezmyślnością.

Bezwzględnie zdusiła wspomnienie, kiedy to Lucien przytulił Kirę i powiedział, że jest dokładnie taka, jak mówiła Kit. Przecież spodziewała się czegoś podobnego. Gdyby pozwoliła sobie na ból, załamałaby się; wołała już być sama przez resztę życia. Teraz zaś powinna się cieszyć z uwolnienia siostry. Potem będzie miała wystarczająco dużo czasu na rozpaczanie.

Ciszę przerwała Kira mówiąc drżącym głosem:

- Właśnie zabiłam człowieka. Cały czas widzę krew i jego twarz...

- Wielkie nieba! - Kit aż sapnęła z dezaprobaty. - Pomijając wszystkie inne grzechy Mace'a, chciał zasztyletować Luciena. Dobrze jest wybaczać wrogom, lecz po tym, jak już wiszą na stryczku.

Błady uśmiech siostry zamarł szybko.

- Nigdy mnie nie zgwałcił, nawet nie pocałował. Podejrzewam, że zachowywał to na sam koniec naszej znajomości. Ale to, że zmuszał mnie do odgrywania tych wszystkich wstrętnych... To było jeszcze gorsze... Czułam się tak bezbronna... - A jednak przetrwałaś i zachowałaś zdrowe zmysły - rzekła cicho Kit. - Rzadko która kobieta jest tak silna.

- Bez ciebie nie udałoby mi się to. Nieważne, jak okropne było to wszystko, wiedziałam, że zawsze, w jakiś sposób, jesteś przy mnie. Kiedy wszystko stawało się nie do zniesienia, czerpałam siły z ciebie. Wiedziałam także, że jeżeli tylko pożyję wystarczająco długo, odnajdziesz mnie. - Kira zacisnęła mocniej dłonie na ręce siostry. - I odnalazłaś mnie.

- Miałam pomocników. - Kit spojrzała na nią spokojnie. Właściwie nie wierzyła w zemstę, lecz tym razem przyjęła ją z radością. Z pewnością akt zemsty i sprawiedliwości wymierzonej przez Kirę odbudował w niej nieco wiary w siebie, zabranej jej przez Mace'a.

- I to bardzo imponujących pomocników - dodała Kira. - Opowiedz, co się działo od czasu mego porwania.

Kit opowiedziała jej o wszystkim, za wyjątkiem jej związku z Lucieniem. To było zbyt bolesne.

Kira pobladła usłyszawszy o uwięzieniu i ucieczce Jasona, lecz ani słowem nie

przerwała Kit. Pod koniec opowieści wykrzyknęła:

- Moja skromniutka siostrzyczka grała główną rolę w *Cyganeccze?!!*

- I obcięłam włosy, i kazałam zrobić sobie dokładnie taki sam tatuaż z motylkiem, jak masz ty, żeby nikt się niczego nie domyślił - odrzekła Kit z niezwykłą powagą.

- I jakie miałaś recenzje? - zachichotała Kira.

- Krytycy mówili, że jestem w dobrej formie. - Kit wzruszyła ramionami. - Po prostu udawałam, że jestem tobą. Publiczność widziała tylko tyle, ile spodziewała się po Cassie James.

- Może już na stałe powinnaś objąć moje miejsce? - zaproponowała Kira. - Nie zamierzam już więcej występować na scenie, lecz szkoda byłoby przerywać karierę Cassie, i to właśnie w chwili, gdy zaczyna odnosić sukcesy.

- Zamierzasz porzucić aktorstwo? - zapytała zaskoczona Kit.

- Mam już dość. Czasem było wspaniale... nic nie może równać się z uczuciem, że cała widownia wstrzymuje oddech czekając na twoje wystąpienie. Ale teatralny świat jest zbyt ograniczony, zbyt pochłonięty sobą i traktujący wszystko zbyt poważnie. Często miewałam tego dość.

- Nigdy o tym nie mówiłaś. Kira zaczęła poruszać nerwowo palcami.

- Nie chciałam się przyznać, że popełniłam błąd zostając aktorką. Właściwie to nie był tak do końca błąd... ale teraz mogę odejść bez żalu. - Nagle w jej głosie pojawiła się cieplejsza nutka. - Właściwie to dobrze, że przestanę występować, bo w przeciwnym razie nie byłabym w porządku wobec Jasona. Ludzie teatru powinni łączyć się tylko z ludźmi teatru.

- Więc jednak zamierzasz go poślubić?

- Niczego więcej nie pragnę. Odkąd poznałam tego diabelnego, upartego Amerykanina, żaden mężczyzna mi już nie wystarcza. Podejrzewam, że on to czuje podobnie, w przeciwnym razie by po mnie nie wrócił. - W jej głosie zabrzmiała prośba. - Lubisz go, prawda? Byłoby okropnie, gdybyś go nie lubiła.

- Bardzo go lubię. Mam wrażenie, że doskonale do siebie pasujecie.

- Ma zadziwiającą i rzadką u mężczyzny zdolność emocjonalnego kontaktu. Pewnie wynika to z tego, że wychowywała go matka. On bardzo poważnie traktuje kobiety. - Kira zachichotała. - Pewno o tym nie wspomniał, ale też zadziwiająco dobrze idzie mu prowadzenie handlu morskiego. Uwierzyłybyś? Travers, który wie, jak zarabiać pieniądze, zamiast je przepuszczać. Papa uważałby to za herezję.

- Najwyraźniej dwa pokolenia w Ameryce poprawiły nieco rodzinne tradycje - zgodziła się Kit. - Ale dlaczego odmówiłaś wyjścia za niego trzy lata temu? Mówił, że nie

chciałaś wyjeżdżać z Anglii, ale skoro go aż tak kochasz...

- Nie potrafiłabym żyć z dala od ciebie, rzecz jasna. - Kira znowu zacisnęła dłonie na ręce siostry. - Wystarczająco źle było mi na świecie, gdy byliśmy rozdzielone mieszkając w tym samym mieście. Gdyby się okazało, że między nami miałby jeszcze leżeć ocean... Choć bardzo kocham Jasona, nie potrafiłabym się na to zdobyć.

Kit była tak poruszona, że nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ja bym się tak czuła, ale nigdy mi do głowy nie przyszło, że ty też... - odrzekła w końcu bardzo cicho. Zawahała się, bo chciała zadać sobie pytanie, które nękało ją od czasu, gdy poznała Jasona.

Kira musiała zauważyć jej zmieszanie, gdyż zapytała:

- Czego mi nie mówisz, siostrzyczko? - Dlaczego nic mu o mnie nie powiedziałaś? - Kit bardzo się starała, by w jej głosie nie zabrzmiała uraza. - Wiedział, że istnieję, ale nie miał pojęcia, że jestem twoją bliźniaczką ani co to dla nas znaczy. Czyżbyś się mnie wstydziła?

- Kit, nie! Jak mogłaś tak pomyśleć?!

- Dlaczego w takim razie milczałaś?

Po długiej chwili ciszy Kira odezwała się łamiącym się głosem:

- Wstydzę się przyznać... to brzmi tak okropnie dziecinnie. Ale obawiałam się, że będziesz mu się bardziej podobać ode mnie.

Kit wyprostowała się gwałtownie.

- Czyś ty oszalała? Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie wolał mnie od ciebie.

- To wcale nie jest śmieszne. Nie znoszę twej fałszywej skromności. Wystarczająco nie znoszę tego, że jesteś mądrzejsza i bardziej wygadana ode mnie, nie zniosę, jeżeli będziesz też jeszcze skromniejsza.

Kit nie mogła dłużej znieść tej jawnej niesprawiedliwości.

- Jeżeli jestem skromna, to tylko dlatego, że mam ku temu powody - rzekła drżącym głosem, myśląc o Lucienie. - Całe życie spędziłam ukrywając się w twym cieniu. Cicha siostra. Nudna siostra. Siostra, która nie jest Kristine, i choć wygląda dokładnie tak samo, z jakiegoś powodu, nie jest tak ładna. Nie przeszkadzało mi to, lecz nie masz prawa oskarżać mnie o hipokryzję.

Kira zagryzła wargi.

- Och, Kit, tak bardzo mi przykro. Mam zszarpane nerwy, lecz nigdy nie powinnam się była wyładowywać na tobie!

Znowu padły sobie w ramiona, a w ich oczach błyszczały łzy. Kit wróciła myślami do czasów dzieciństwa, gdy w nocy wkradały się do tego samego łóżka i spały przytulone



niczym kocięta. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez siostry.

Wreszcie Kit oderwała się od Kiry.

- Zauważyłaś może, że gdy tylko jakiś czas nie jesteśmy razem, zawsze krótko po spotkaniu się kłócimy?

Kira oparła się o poduszki powozu i wzięła dłoń Kit w swoje.

- Masz rację. Tak jest zawsze. Jak myślisz, dlaczego?

- Dlatego, że za bardzo za sobą tęsknimy. - Po chwili ciszy Kit dodała: - Nadal nie mogę uwierzyć, że uważałaś mnie za rywalkę. Po pierwsze, nigdy bym ci nie zrobiła czegoś podobnego, a po drugie, Jason czci ziemię, po której stąpasz.

- Wiedziałam, że nie będziesz się specjalnie starać odciągnąć go ode mnie, ale ty zawsze intrygowałaś mężczyzn - odrzekła ponuro Kira. - Ja jestem taka frywolna. Ty jesteś silniejsza, mądrzejsza i jest w tobie jakaś tajemniczość, która doprowadza mężczyzn do szaleństwa. To nie było tak, że nie ufałam Jasonowi albo tobie... ale oboje jesteście dla mnie tak ważni, że nie potrafiłam przestać się martwić.

- Czy aby na pewno rozmawiamy o tej samej osobie? - zapytała z niedowierzaniem Kit. - Ja jestem tajemniczą uwodzicielką? Chyba oszalałaś, starsza siostro! W domu, w Kendall, to ciebie zawsze otaczał szczelny wianuszek wielbicieli!

Kira wzruszyła ramionami.

- To byli chłopcy, nie mężczyźni. Poza tym lubili ze mną rozmawiać, gdyż gadałam jak katarynka. Och, podobałam się niektórym, lecz większość kręciła się wokół mnie, by dostać się bliżej ciebie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że twoja inteligencja ich onieśmiała. Zawsze wiedziałam, że zdobędziesz kogoś wartego siebie, gdy wejdiesz w świat dojrzałych i pewnych siebie mężczyzn.

- A co z Philipem Burke'em? - zapytała Kit, nawet teraz czując delikatne ukłucie. - Tak bardzo chciałam, by mnie zauważył, a on nawet nie wiedział, że istnieję.

- On? Przecież on był jednym z tych ludzi, którzy nie potrafią poradzić sobie z identycznymi bliźniętami - odparła lekko Kira. - Musiał się czymś zajmować podczas wizyty w Kendall, postanowił więc włączyć się za mną. Przykro mi, że tak cię to zabolalo, lecz on nie był tego wart. Tacy ludzie nigdy nie są warci zachodu.

- I pomyśleć, że wdychałam do niego przez całe lato, a nie widziałam czegoś tak oczywistego! - Kit pokiwała głową. - Chyba nieco przeceniłaś moją inteligencję.

- Ależ skąd. - Kira westchnęła. - Nie jestem tak silna jak ty, Kit. Wiem, że Jane miała rację, nalegając, byśmy się po śmierci papy rozdzieliły i nauczyły żyć osobno. Staralam się, lecz nigdy nie potrafiłam poradzić sobie tak jak ty. Zawodowo stałaś się najbardziej wziętym

dziennikarzem w królestwie, czytany i szanowany przez wpływowych mężczyzn z rządu. Poza tym, co jest o wiele ważniejsze, zawsze byłaś taka spokojna, taka opanowana, tak bardzo zadowolona z siebie. Nie to co ja!

- Ale ty odniosłaś o wiele większy sukces! - zaprotestowała Kit. - Zarabiałaś dziesięć razy więcej niż ja. To ty spłaciłaś długi papy i to ty miałaś całe zastępy wielbicieli.

Kira wzruszyła ramionami.

- Nieźle mi poszło jako aktorce, ale jako człowiek, jako całość... zupełnie się załamalam... czułam się niekompletna. Desperacko chciałam znaleźć kogoś, kto by mnie kochał i kto by się mną zaopiekował. Dlatego tak okropnie się czułam zakochawszy się w Amerykaninie. Nie potrafiłam opuścić Anglii, a odprawienie Jasona było niemal równie straszne.

Znowu Kit miała wrażenie, że rozmawiają o dwóch całkiem różnych osobach.

- Czyżbyś naprawdę uważała, że byłam szczęśliwa i niezależna? Kocham Jane i życie z nią jest bardzo wygodne, lecz zamieszkałabym z nią nawet, gdyby była Kaligulą. Po opuszczeniu Westmoreland nie potrafiłam znieść myśli o życiu w samotności. Jak bardzo zazdrościłam ci odwagi, by pójść w świat, między obcych ludzi, i odnieść sukces. Przez cztery lata kryłam się w swoim pokoju, pisząc artykuły do gazet, a już bardziej chyba nie można oderwać się od prawdziwego świata.

- Potrzebowałam stałego zajęcia, by nie myśleć o samotności - powiedziała po prostu Kira. - Wiedziałam, że się załamie, gdy tylko będę miała czas na roztrząsanie swych porażek. Stałe zajęcie i nowości pomagały mi zachować zdrowy rozsądek.

W tej chwili obie zrozumiały. Patrzyły na siebie w milczeniu przez długą chwilę.

- Jane stale powtarzała, jak wspaniale dajesz sobie radę. Sama.

- Kit przyglądała się siostrze. - Czy pisząc do ciebie, wspominała coś o moich sukcesach?

- Tak! - wykrzyknęła Kira. - Podejrzewam, że chciała nam tylko pomóc, dodać otuchy i odwagi. Szkoda, że przez to obie czułyśmy się jak ofiary losu.

- Choć miała dobre intencje, nie całkiem jej wyszło - zgodziła się ze śmiechem Kit. - Przez cztery lata oskarżałam się o słabość charakteru. - Ja też, dopóki nie spotkałam Jasona. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie potrafię być tak przerażająco samodzielna jak Jane. Owszem, potrafię przetrwać sama, ale jestem o wiele szczęśliwsza, kiedy mam przy sobie kogoś, kto mnie kocha.

Słowa siostry odblokowały pewne obrazy w umyśle Kit. Starła się opierać Lucienowi z całej mocy. Po części dlatego, że wierzyła, iż będzie wolał Kirę i że pozostawi ją załamaną

emocjonalnie; lecz oprócz tego uważała, że nie powinna aż tak go potrzebować. Z doświadczenia wiedziała, że nie należy ufać mężczyznom, co potwierdzała jeszcze Jane, doskonale radząca sobie sama.

Lecz Lucien nie był Traversem i Kit nie powinna w niego wątpić tylko dlatego, że jej ojciec nie był godzien zaufania. Ani też nie powinna dopatrywać się niczego złego w sposobie, w jaki przytulił Kirę po tym, jak zastrzeliła Mace'a. Kit od początku zakładała najgorsze, lecz najwyraźniej obie z siostrą już od wielu lat źle się oceniały. Jeżeli mogła się mylić co do swej siostry bliźniaczki, mogła też mylić się co do Luciena.

- Nie rozmawialiśmy tak od czterech lat, Kira - rzekła zamyślona. - Dziękuję, że pokazałaś mi nowe spojrzenie na świat i miłość.

- A skoro mowa o miłości, czy zamierzasz poślubić Luciena Fairchilda? Jest wspaniały.

- To prawda. Ale co do małżeństwa... - Kit zawahała się, nie chcąc rozmawiać o czymś, czego sama nie była jeszcze pewna. - To się dopiero okaże. On uważa, że powinien się ze mną ożenić z powodu tych wszystkich kompromitujących sytuacji, w których się znaleźliśmy. Skoro jednak była to bardziej moja wina niż jego... no cóż, idiotyczne byłoby, gdyby się ze mną ożenił tylko przez wzgląd na moją reputację.

- To tylko wymówka... prawda natomiast jest taka, że lord Lucien jest następną ofiarą twego niezawodnego czaru. - Po krótkiej chwili Kira dodała ze zdumieniem. - Kit, ty podstępne stworzenie, czyżbyś była w ciąży?

- Co takiego? - wykrzyknęła Kit. - To niemożliwe!

- Czyżby?

Kit zarumieniła się gwałtownie.

- Cóż, właściwie, nie jest to tak całkiem niemożliwe... lecz z pewnością nieprawdopodobne.

Kira zachichotała złośliwie. - A jednak uważam, że to prawda. Chyba muszę się przygotować do roli ciotki.

Może miała rację; była to jedna z tych rzeczy, które bliźniaczki potrafiły wyczuwać. Kit zaczęła rozmyślać nad możliwością urodzenia dziecka Luciena. Ciepło zapłonęło w jej sercu i rozeszło się po całym ciele. Była to doprawdy cudowna myśl... tylko że niesłychanie komplikowała jej sytuację.

Przez resztę drogi trajkotały o wszystkim i o niczym, dokańczając nawzajem swoje zdania, porównując odczucia i ogólnie mówiąc, nadrabiając cztery stracone lata w powodzi słów. Potem Kira wyjrzała przez okno i zobaczyła dom na tle ciemnego nocnego nieba.

- A właśnie, dokąd jedziemy? Do tej pory nie zapytałam.

- Do małej posiadłości, której właścicielem jest przyjaciel Luciena. Na razie jest opuszczona, więc wypożyczyliśmy ją na trochę. Przyjechali z nami niektórzy służący Luciena.

- Przywiozłaś może ze sobą jakieś przyzwoite ubrania? Gdy tylko wejdziemy do środka, chciałabym, żebyś pomogła mi zdjąć ten koszmarne kostium. Mam ochotę go spalić.

- Spakowałam kilka twoich sukni - uspokoiła ją Kit. - Ciepłych, konserwatywnych, bo byłam pewna, że tego właśnie będziesz teraz chciała.

Kira zerknęła na swój strój.

- Właściwie podejrzewam, że Jasonowi bardzo bym się spodobała tak ubrana, jednak nie potrafię ścierpieć na sobie niczego, co kazał mi wkładać Mace. A jeżeli już o tym mowa, czy mogłabyś zamienić się ze mną na płaszcz? Możesz sobie zatrzymać to sobolowe futro; ja nie chcę go już więcej widzieć na oczy.

W ciasnej przestrzeni wnętrza powozu, dziewczęta zamieniły się płaszczami. Otulając się sobolowym futrem, Kit zapowiedziała:

- Mace nie należał również do moich ulubieńców, więc nie zamierzam zatrzymywać tego futra. Może powinniśmy dać je Cleo? Była doprawdy cudowna i bardzo mi pomogła.

- Doskonały pomysł. Na pewno się jej spodoba. - Spojrzawszy spod oka na siostrę, Kira dodała: - Kiedy tylko się przebiorę, pójdę poszukać Jasona, a gdy już go znajdę, zaciągnę go do sypialni na całą noc. Mamy dużo zaległości do odrobienia. Kit zdała sobie sprawę, że siostra oczekuje po niej zgorszenia. Kiedyś, dawno temu, poprawna lady Kathryn byłaby zaszokowana tak niemoralnym zachowaniem. Ale nie teraz. Nie, odkąd nauczyła się tego i owego o pożądaniu i o więzi łączącej mężczyznę z kobietą.

- Nie wątpię. Jestem pewna, że fakt, iż oboje przetrwaliście okropne więzienie, bardzo was do siebie zbliżył.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale może masz rację. - Po chwili wahania Kira dodała: - Wiesz, nie musisz być zazdrosna o Jasona. Wiąż, która nas łączy, zmieniała się przez te wszystkie lata, lecz zawsze istniała. I zawsze będzie istnieć. Zawsze.

To właśnie była cała Kira. Zawsze wiedziała, co powiedzieć.

- A mówisz, że to ja jestem mądra - powiedziała Kit z sercem przepelnionym miłością.  
- W sprawach w życiu najważniejszych zawsze mnie wyprzedzałaś.

- Ale tylko o jakieś dziesięć minut. - Powóz zatrzymał się przed schodami domu. Powoli już zapominając o okropnych doświadczeniach, Kira dodała nonszalancko: - A teraz pomóż mi pozbyć się tego okropieństwa!

Luciena nie zaskoczył fakt, iż zaraz po przyjeździe do domu Kira i Kit, obejmując się, poszły do pokoi na górze. Podejrzewali że przez kilka następnych dni nic nie będzie w stanie ich rozdzielić. Właściwie było to całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach.

Trzymał się od dziewcząt z daleka; wołał unikać Kit. Jedną rzeczą było rozumowe zaakceptowanie faktu, że ich romans dobiegł już końca, a całkiem inną - przestać za nią tęsknić. Lecz z czasem i to pewno minie.

Wypiwszy pół kieliszka brandy, wstał i zaczął niespokojnie krążyć po sypialni. Pozostali dwaj panowie jedli właśnie kolację i świętowali zwycięstwo, lecz on nie miał najmniejszej ochoty do nich dołączać. Nie chciało mu się jeść, a poza tym nie miał żadnego powodu do świętowania. Michael uniósł brwi słysząc wymówkę przyjaciela, że chce się wcześniej położyć, lecz nie skomentował tego. W końcu przyjaźń polega nie tylko na tym, by wiedzieć, co i kiedy powiedzieć, ale i na tym, by wiedzieć, kiedy nic nie mówić.

Lucien otworzył drzwi na balkon i wyszedł na zewnątrz. Wiatr był przeraźliwie zimny, lecz na szczęście burza już się skończyła i wysoko na niebie świecił księżyc. Jego zimne światło odbijało się w lodzie, który osiadł na gałęziach drzew i krzewów. Wszędzie było zimno, a zwłaszcza w jego sercu.

Oparł się ciężko o balustradę balkonu i patrzył w mroźną noc, powoli sącząc brandy. Może kiedy trochę się upije, zdoła wreszcie zasnąć. Kit pomogła siostrze przebrać się z perwersyjnego kostiumu w zwykłą błękitną suknię. Z włosami wyszczotkowanymi i szeszanymi z czoła Kira była wyjątkowo piękna, błyszczała naturalnym blaskiem. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać kobieta udająca się na całą noc do kochanka. Kit spodziewała się, że gdy następnym razem zobaczy siostrę, ona i Jason wreszcie będą po raz pierwszy od kilku lat pogodzeni ze sobą i szczęśliwi. A na pewno Kira będzie szczęśliwa.

Kit także chciała się przebrać, lecz gdy tylko siostra wyszła z pokoju, poczuła ogromny niepokój. Coś złego działo się z Lucieniem.

Dopiero gdy spróbowała się na nim skoncentrować i trafiła na pustkę, zdała sobie sprawę, że przywykła do wyczuwania go gdzieś w głębi umysłu, dokładnie tak, jak zawsze wyczuwała Kirę. A jednak ciemna pustka, na którą trafiła, była zupełnie inna niż ta, jakiej doświadczyła, gdy obawiała się, że jej siostra nie żyje. Wyglądało to tak, jakby zamknął przed nią raz już otwarte drzwi.

Bardzo zaniepokojona, narzuciła na ramiona płaszcz i pobiegła chłodnym korytarzem do pokoju Luciena. Może był na nią zły za to, że odeszła i dała się złapać Mace'owi?

Właściwie nie bardzo mogła odpowiadać za swe czyny w tych okropnych chwilach - zachowywała się bardziej jak lunaticzka niż normalna dziewczyna - lecz bardzo skomplikowała całą sytuację. Gdyby posłuchała i została z Lucieniem, może zdołaliby uratować Kirę bez zbędnego rozlewu krwi - choć właściwie ani Mace, ani pozostali dwaj nie stanowili zbyt wielkiej straty dla społeczeństwa.

Zwolniła podchodząc do drzwi jego sypialni. A jeżeli on naprawdę jej tu nie chciał? A jeżeli...?

Zanim całkiem straciła panowanie nad sobą, zastukała pewnie do drzwi. Nie słysząc odpowiedzi, po cichu nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Lampa paliła się na nocnym stoliku i łóżko było posłane, lecz Luciena w nim nie było. Zimne powietrze wpadało przez otwarte drzwi balkonowe. Wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła go pochylonego, opartego o balustradę i odwróconego do niej plecami.

Musiał usłyszeć pukanie pod drzwi, gdyż nie odwracając się powiedział: - Nie musisz się o mnie martwić, Michaelu. Nic mi nie dolega. Muszę się tylko wyspać.

- Czyżbyś źle się czuł, Lucien? - zapytała niepewnie. Zesztywniał. Po długiej chwili rozluźnił się i odwróciwszy się do niej, oparł się plecami o balustradę. Był elegancki i opanowany. Nie pozostało w nim nic z wojownika, jakiego widziała jeszcze przed godziną.

- Jestem tylko bardzo zmęczony, Kit. To była męcząca noc. Podeszła do niego, otulając się szczerzej płaszczem. Zaciągając poły pod brodą, zdała sobie sprawę, że jest ubrana w taki sam strój, jak jeszcze niedawno jej siostra. Musiała wiedzieć, czy naprawdę potrafi je odróżnić, uśmiechnęła się więc ze swobodą i nonszalancją Kiry.

- Dlaczego jesteś taki pewny, że jestem Kit?

Domyślając się, że dziewczyna go sprawdza, Lucien uśmiechnął się ironicznie.

- Oczywiście. Nawet, jeżeli nadal grasz rolę Cassie James. - Spojrzał na jej sobolowe futro. - Domyślam się, że Kira zamieniła się z tobą na okrycia, nie chcąc mieć na sobie nic, co przypomina jej Mace'a?

Kit z wielką ulgą przyjęła świadomość, że naprawdę potrafi je odróżnić. I z pewnością nadal wiedział, jak pracuje jej umysł. Ale minę miał równie obojętną i ironiczną.

Przez chwilę myślała przerażona, że Kira naprawdę oczarowała go do takiego stopnia, iż pragnął, aby Kit po cichu wycofała się z jego życia. Oczywiście, gdyby mu powiedziała, że jest w ciąży, na pewno by się z nią ożenił. Ale jej nie chodziło tylko o małżeństwo.

Zacisnęła usta. Nie poddała się poszukując Kiry i nie podda się teraz, dopóki nie będzie absolutnie pewna, że jej nie chce.

Dom miał kształt litery „L”, w zagięciu której znajdował się prawdziwy ogród. Nie

mając odwagi spojrzeć na Luciena, przyglądała się zamrożonej fontannie, przypominającej w świetle księżycy lodową rzeźbę.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że gdy już odnajdziemy Kirę, dam ci wszystko, czego zapragniesz i co będę mogła ci dać. Czy już się zdecydowałeś, czego ode mnie chcesz?

Nastąpiła cisza, w której słychać było tylko szelest ocierających się o siebie, pokrytych lodem gałązek. Wreszcie się odezwał: - Chcę czegoś, czego nie możesz mi dać. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, Kit. Cieszę się, że mogłem ci pomóc w odnalezieniu Kiry. Dzięki temu odnalazłem szpiegów, których szukałem, więc jesteśmy kwita. Idź i bądź szczęśliwa.

Po prostu ją odprawił... Wciągnęła głęboko do płuc zimne powietrze, po czym wypuściła je powoli, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Rozmyśliłeś się co do naszego małżeństwa?

- Od czasu śmierci Linnie bezowocnie szukałem drugiej połowy samego siebie - powiedział głosem tak chłodnym, jak ta zimowa noc. - Zawsze, gdy już myślałem, że znalazłem ją w jakiejś kobiecie, okazywało się, że znajdowałem samotność. Miałem nadzieję, że z tobą osiągnę tę emocjonalną bliskość, na której tak mi zależało. Masz siostrę bliźniaczkę, więc wiesz, jak dawać siebie, jak odsłaniać się przed drugim człowiekiem, jak kochać kogoś bez zastrzeżeń. Chciałem, byś dała mi to wszystko. - Oparł dłonie na balustradzie i spojrzał w niebo. Światło księżycy zaświetliło na jego niesamowicie pięknej twarzy. Twarzy upadłego archaniola, syna gwiazdy porannej, najpiękniejszego z dzieci bożych. - Byłem jednak głupcem sądząc, że z kimkolwiek innym mogę osiągnąć aż taką zażyłość. Elinor i ja byliśmy urodzeni o tej samej godzinie, z tej samej krwi. Razem nauczyliśmy się mówić, bawić i śmiać... dzielić się uczuciami i myślami. Może posiadanie bliźniaczego rodzeństwa jest zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem, bo daje człowiekowi apetyt na coś, czego już nigdy w życiu nie znajdzie. - Po bardzo długiej przerwie, dodał ledwo słyszalnym głosem: - Zdaje się, że tak naprawdę chciałem odzyskać złote, szczęśliwe dni mojego dzieciństwa, które minęły bezpowrotnie, gdy odkryłem, jak bolesne i niesprawiedliwe jest życie. Nikt, nawet ty, nie jest mi w stanie tego wrócić, podobnie jak ja nie byłbym w stanie oddać ci Kiry, gdyby umarła. Ona należy do ciebie. Dziś zdałem sobie sprawę, że nie byłbym szczęśliwy zbierając po niej resztki, więc lepiej nawet nie próbować. To była prawdziwa przyjemność poznać panią, lady Kathryn. Dzięki pani wiele się o sobie dowiedziałem. - Spojrzawszy na nią zielonymi oczyma zauważył, że drży. - Powinnaś wejść do środka. Przetrwiałaś tak wiele, że głupotą byłoby nabawić się teraz zapalenia płuc.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, w sypialni na piętrze w sąsiednim skrzydle domu

zapaliło się światło. Zobaczyli, jak do okna podchodzi Kira, by zaciągnąć zasłony. Zanim jednak to zrobiła, podszedł do niej Jason i objął ją od tyłu w pasie. Oparła się o niego i zacisnęła dłonie na jego ramionach z całkowitym zaufaniem.

Lucien także to zauważył i zacisnął dłonie na balustradzie. Kiedy Kira odwróciła się twarzą do Jasona i pocałowała go namiętnie, Lucien westchnął i wepchnął Kit do sypialni. Dziewczyna nie protestowała; tego, co widziała, nie powinien nikt oglądać, nawet siostra bliźniaczka.

- Przykro mi, że musiałaś to zobaczyć, Kit. To musi bardzo boleć. - Spojrzał na nią z uwagą. - Czyżbyś czuła się odrzucona i przyszła do mnie po pocieszenie, podczas gdy Kira udała się do swego kochanka?

- Wielki Boże, nie! - Wiedziała, że aby przełamać jego bariery, będzie musiała być bardzo przekonująca. - Masz rację, że bliźnięta mają bardzo wysokie mniemanie o swej więzi emocjonalnej. Ale uważam, że mylisz się mówiąc, iż tylko więzy krwi i wspólne dorastanie mogą wytworzyć prawdziwą więź. Cudownie jest mieć siostrę bliźniaczkę i jestem z Kirą bliżej niż z kimkolwiek innym. Podobnie jak ty i Elinor. Ale bliźnięta są rodzeństwem, ze wszystkimi ułatwieniami i utrudnieniami, które to powoduje. Mam nadzieję... wierzę w to... że namiętność także potrafi stworzyć więzi, nawet jeszcze głębsze. Równie bardzo jak ty pragnę zażyłości i intymności. Nie chciałam za ciebie wychodzić za mąż, gdyż uważałam, że nie jest to możliwe między kobietą a mężczyzną... i nie chciałam zadowalać się czymś mniejszym... - Głos zaczął się jej łamać. - Ja... nigdy mi do głowy nie przyszło, że może istnieć ktoś taki jak ty. Przez kilka ostatnich tygodni przekonałam się, że istnieje więź, która może powstać tylko między kobietą a mężczyzną.

W jego oczach zapaliła się gwałtowna potrzeba. Pragnął jej. Tego była pewna - widziała to w każdym napiętym mięśniu jego ciała. Ale instynktownie wiedziała, że już poddał swe nadzieje czarnym mrokom zwątpienia. Aby sięgnąć po to, co mu ofiarowywała, musiałby się znowu otworzyć na ból potencjalnej straty. To przez nią, przez to, że pozwoliła, by jej lęki i uprzedzenia stanęły między nimi, miłość stała się dla niego niebezpieczeństwem, którego już nie chciał podejmować. Skoro myśli i strach stały się barierą nie do pokonania, nadszedł czas, by wykorzystać niezwykłą siłę namiętności. Uniosła dłoń i odpięła zapięcie sobolowego futra; opadło na podłogę. Pod spodem miała tylko koronkowo - skórzane ubranie, które dał jej Mace.

Lucien zeszytniał wyczuwając, że namiętność, która zawsze między nimi istniała, rozpała się prawdziwym ogniem.

- Nie rób tego, Kit - powiedział spiętym głosem. - Seks stwarza iluzję bliskości, ale



ona znika równie szybko, jak śnieg na słońcu. Już wiele lat temu przekonałem się, że bezmyślne uprawianie seksu jest najkrótszą drogą do samotności i pustki.

- Wiesz o tym lepiej ode mnie, ale ja wiem, że fizyczne spełnienie jest tym, czego oboje teraz potrzebujemy.

Jego twarz przybrała groźny wyraz.

- Jeżeli chcesz kochanka na jedną noc, poszukaj go gdzie indziej. Mnie nie potrzebujesz.

- I tu się mylisz - odrzekła drżącym głosem. - Przez całe życie najważniejsza była dla mnie Kira. O, kochałam mamę i Jane i innych, ale przetrwałabym ich stratę. Tylko śmierć Kiry mogłaby odebrać mi tę cząstkę mnie, dzięki której nie potrafiłabym nadal żyć. - Spojrzała mu w oczy. - Teraz w moim życiu są dwie tak ważne osoby. Potrzebuję cię tak bardzo, jak potrzebuję Kiry, tylko w inny sposób. Nigdy nie będziesz na drugim miejscu w moim sercu, Lucien. Jest tam wystarczająco dużo miejsca dla dwojga.

Potrząsnął głową z pustką w oczach.

- Nawet jeżeli oboje pragniemy tego samego, same życzenia to za mało.

- Masz rację, to za mało. Musimy się postarać, by nasze marzenia się spełniły. - Skoncentrowała się, by wydobyć z siebie tę zmysłową aurę, dzięki której tak wyśmienicie grała rolę Cassie James. Gdy zbliżała się do niego w butach na wysokim obcasie, każdy jej krok był prowokacją. Czarny jedwab lśnił na ponętnych kształtach, a cienka koronka bardziej odsłaniała, niż ukrywała piersi. - Czy moglibyśmy spróbować jeszcze tylko jeden raz?

- Nie wiem, czy zdołam przeżyć choć jedną jeszcze porażkę. - Patrzył na nią, a jego pierś unosiła się ciężko, jakby właśnie skończył długi bieg.

W jego oczach paliło się pragnienie, lecz kiedy dziewczyna wyciągnęła do niego rękę, nawet się nie poruszył. Przez chwilę miała ochotę się rozplakać. Potem zdała sobie sprawę, czego brakowało. Otworzyła serce i raz jeszcze wyciągnęła rękę. Tym razem, bez słów, ofiarowała mu miłość.

Potem już nie mogła sobie przypomnieć, które z nich poruszyło się pierwsze, ale przywarli do siebie z dziką namiętnością. Jego wargi przywarły do jej ust z tęsknotą, samotnością i nadzieją.

- Dobry Boże, Kit - Lucien pospiesznie odwiązywał skórzane rzemyki jej stroju. - Żaden śmiertelnik by ci się nie oparł.

- Więc... się nie opieraj. - Materiał się rwał, guziczki odpadały, kiedy ściągali z siebie ubranie w szalonym zapamiętaniu. Łóżko zaskrzypiało pod nimi. A potem było już tylko ciało tuż przy ciele, pizmowy zapach i jej miękkość, twarde mięśnie i ciężki oddech.

Kiedy poprzednio się kochali, Kit odsuwała się od niego, instynktownie bojąc się zapamiętania, jakie niesie ze sobą pożądanie. Tym razem nie uciekła. Porzuciła wszystkie bariery i nie bała się już niczego. Jeżeli Kira była jej odzwierciedleniem, to Lucien był jej duszą.

On natomiast bał się tego zbliżenia równie mocno, jak go pragnął. Przeraziła go myśl, że akt zaspokoi tylko jego ciało, pozostawiając duszę rozdartą i niepewną. A jednak tym razem czuł ją, czuł miłość rozświetlającą najciemniejsze zakątki jego spragnionego umysłu.

Potem leżeli twarzą w twarz objęci. Kit oparła mu policzek na czole. Lucien bał się poruszyć w obawie, że to tylko sen, który zaraz rozwieje się niczym mgła.

Ale ona była prawdziwsza od każdego snu.

- Wiesz, że kiedy jesteś szczęśliwy, twoje oczy robią się złote? - powiedziała.

Uśmiechnął się lekko, wiedząc, że tylko Kit mogłaby wymyślić coś podobnego.

- Zawsze uważałem, że są zwyczajnie piwne.

- W tobie nie ma nic zwyczajnego - odrzekła z przekonaniem w głosie.

Przesunął dłonią po wygięciu jej nagich pleców, podziwiając szczupłe, lecz jędrne ciało.

- Choć uważałaś, że jestem rozpustnikiem, przez wiele lat żyłem niemal jak mnich, bo nie potrafiłem znieść pustki, jaka następowała nieodłącznie po seksie. Ale uprawianie miłości z tobą jest równie uspokajające, co odurzające. - Pochylił głowę i pocałował ją lekko. - Czuję z tobą tak mocną więź, że ledwie mogę uwierzyć, iż kiedykolwiek jeszcze zamienimy choć słowo. Zdaje mi się, że możemy czytać sobie nawzajem w myślach.

- Może i nie będziemy musieli ze sobą rozmawiać, ale na pewno będziemy chcieli. Uwielbiam z tobą rozmawiać. - Poglaskała go delikatnie po policzku. - Uwielbiam patrzeć na ciebie. Uwielbiam się z tobą kochać. - Zatrzepotała po pensjonarsku rzęsami.

- Czy mówiłam ci już, że kocham cię duszą i ciałem?

- Nie, ale po tym, jak tak się ze mną kochałaś, nie musisz już nic mówić. - Uniósł jej dłoń i pocałował. - Jak zapewne się domyślasz, w pełni podzielam twe uczucia.

- Tak - odrzekła z ogromną radością. - Wiem. Pocałował ją w czoło.

- Doskonale do siebie pasujemy, moje małe tygrysiątko. Oboje wolimy czaić się za kulisami niż być w centrum wydarzeń.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację. Jason i Kira są o wiele bardziej społecznie nastawieni, nieprawdaż?

Owinął jedwabisty kosmyk jej włosów dokoła palca.

- Posiadłość granicząca z Ashdown wkrótce zostanie wystawiona na aukcję.

Zamierzałem ją kupić, zagospodarować ziemię i wynająć dom, ale może Jason będzie chciał ją kupić. To doskonała posiadłość i leży niedaleko od Bristolu. Byłaby dobrą bazą wypadową dla jego interesów.

- A ja i Kira byłybyśmy sąsiadkami przez resztę naszego życia - powiedziała cicho Kit. - Cóż za wspaniała, cudowna myśl.

- Postępuję wyjątkowo samolubnie. Im ty jesteś szczęśliwsza, tym i ja jestem.

Jej uśmiech szybko zamarł.

- Nadal jestem zaskoczona, że mnie kochasz. I... szczerze mówiąc, jestem przerażona, że zawiedziesz się, gdy zobaczysz mnie w bardziej codziennych sytuacjach. Dotychczas kiedy się spotykaliśmy, zwykle udawałam Kirę. Ja jestem trochę inna.

- Bzdura - odparł spokojnie. - Nigdy byś nie potrafiła tak doskonale udawać Kiry, gdybyś sama nie posiadała tych cech. Przez ostatnie parę tygodni nie grałaś żadnej roli, tylko odkrywałaś swoje nowe możliwości.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała z niedowierzaniem.

- Wiem, że tak jest. - Tym razem pocałował ją w koniuszek nosa. - Cieszę się, że przestajesz grać Cassie James, ale mam nadzieję, że nadal będziesz dla mnie tańczyć. Jesteś cudowną Cyganeczką.

- Mogę dać przedstawienie tylko dla ciebie, gdy tylko sobie tego zażyczysz.

- Wciąż jednak chciałbym cię poślubić jak najszybciej.

- Cudownie... jeżeli ożenisz się ze mną jeszcze przed Gwiazdką, będzie to najwspanialszy prezent. - Przeciągnęła się i przytuliła do niego. - I bardzo praktyczny. Kira twierdzi, że jestem w ciąży. - Położyła sobie dłoń na brzuchu. - Jeszcze jedna bardzo ważna dla mnie osoba jest już w drodze.

Ta wiadomość rozproszyła senność Luciena.

- Naprawdę? Jeżeli twoja siostra się nie myli, to cudowna nowina. - Podparł głowę ręką i przyglądał się jej twarzy przez długą chwilę. - Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Chciałam, żebyś ożenił się ze mną dlatego, że mnie kochasz, a nie dlatego, że musisz.

Lucien uśmiechnął się ponuro.

- Jesteś bardziej honorowa ode mnie, Kit. W tym okresie, który z dużym poczuciem humoru można by nazwać naszymi zalotami, miałem nadzieję, że zajdziesz w ciążę i będziesz musiała wyjść za mnie za męża. - Położył dłoń na ręce Kit, nadal spoczywającej na jej brzuchu. - Nie mam zbyt miłego charakteru, wiesz?

- Ale ja mam - odrzekła udając poprawną i skromną lady Kathryn. - I zamierzam poświęcić resztę mego życia na zaspokajanie twoich fizycznych i psychicznych potrzeb.

- A skoro mowa o fizycznych potrzebach... Kit roześmiała się i przetoczyła na niego.

- Myślisz, że będziemy mieć bliźnięta?